

Wolność i Solidarność

STUDIA Z DZIEJÓW OPOZYCJI WOBEC KOMUNIZMU I DYKTATURY

Wolność i Solidarność
Studia z dziejów opozycji wobec komunizmu i dyktatury

ISSN: 2082-6826

Rada Naukowo-Programowa:

Anne Applebaum, Jerzy Eisler, Andrzej Friszke, Paweł Golak, Aleksander Hall,
Jerzy Holzer, Basil Kerski, Jacek Kołtan, Ireneusz Krzemiński, Andrzej Paczkowski,
Aleksander Smolar, Edmund Wnuk-Lipiński

Redakcja:

Andrzej Kaczyński, Jakub Kufel (sekretarz), Przemysław Ruchlewski,
Jan Skórzyński (redaktor naczelny), Małgorzata Strasz

Wydawca:



Adres Wydawcy:

Europejskie Centrum Solidarności
ul. Doki 1, 80-958 Gdańsk
tel. (058) 767 79 71, fax (058) 767 79 78
e-mail: ecs@ecs.gda.pl

Projekt graficzny i skład: Piotr Białas / www.tatastudio.pl

Korekta: Małgorzata Strasz

Druk i oprawa: Zakład Poligraficzny Normex

Nakład: 1000 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

4 OD REDAKTORA

ESEJ

- 6 ANNE APPLEBAUM Żelazna kurtyna

ŚWIADECTWA

- 16 BRONISŁAW KOMOROWSKI Lata opozycji
37 KAROL MODZELEWSKI Obrona konieczna.
Wspomnienia z Marca

STUDIA

- 50 LESZEK BIERNACKI Początki Wolnych Związków
Zawodowych Wybrzeża
63 ANDRZEJ FRISZKE Uciec przed konfrontacją.
Koncepcja rządu narodowego w 1981 roku
76 JAN OLASZEK Program podziemnej Solidarności
88 GABRIEL DOHERTY Irlandia, NATO i strach przed
inwazją w Polsce 1980–1981
109 PATRYK PLESKOT Nierealna *Realpolitik*. Republika
Bońska wobec stanu wojennego i normalizacji
w Polsce 1981–1986

INTERPRETACJE

- 123 PIOTR WCIŚLIK Totalitaryzm w myśleniu
politycznym opozycji demokratycznej

SIERPIEŃ 1988

- 153 JAN SKÓRZYŃSKI Strajki, cenzura i prawa człowieka
155 Maryjo, pobłogosław Solidarność. Rozmowa
z Eugeniuszem Polmańskim

SALON KULTURY NIEZALEŻNEJ

- 165 TOMASZ ŁUBIEŃSKI Snobizm i opozycja
168 PAWEŁ SOWIŃSKI Europa George'a Mindena

ARCHIWUM WOLNEJ MYŚLI

- 183 ZDZISŁAW NAJDER Polskie Porozumienie
Niepodległościowe: Polska a Niemcy

EX LIBRIS

- 188 ALEKSANDER HALL Jan Paweł II i walka z komunizmem
191 TOMASZ JASTRUN Królestwo wolnego słowa
197 ŁUKASZ GARBAL Historyk nie jest prokuratorem ani
obrońcą
201 JÓZEF MARIA RUSZAR W oczach rosyjskich niepokornych
208 TOMASZ WIŚCICKI Jak nie uratowano komunizmu
w Polsce
212 JAN OLASZEK Szczecińska konspira
216 MICHAŁ SIEDZIAKO Wolność i Pokój – autoportret

220 NOTY O KSIĄŻKACH

OD REDAKTORA

Opozycja przeciw rządowi komunistycznym w Polsce wypływała z dwóch głównych źródeł. Nurt pierwszy wywodził się z postawy tradycyjnego patriotyzmu i dążeń niepodległościowych, odwoływał się do dziedzictwa II Rzeczypospolitej i Armii Krajowej. PRL odrzucał jako dyktaturę z obcego nadania, państwo niesuwerenne, wrogie wartościom narodowym i religijnym. Nurt drugi tworzyli ludzie czerpiący z tradycji polskiej lewicy, niekiedy sami zaangażowani w komunizm w pierwszych dekadach, by następnie – w roku 1956, 1968 lub 1980 – mu się przeciwstawić w imię liberalnej demokracji i powszechnych praw człowieka.

Oba te nurty – zarysowane tutaj w grubym uproszczeniu – współtworzyły opozycję demokratyczną lat siedemdziesiątych. Owych ideowych podziałów nie da się wszakże opisać w kategoriach przynależności do ROPCiO czy KPN z jednej strony i KSS KOR z drugiej. We wszystkich tych środowiskach działali ludzie wywodzący się z różnych tradycji. Wśród nich było również wielu takich, którzy nie chcieli się definiować w antynomiach prawica – lewica, tradycja – nowoczesność. Warto też pamiętać, że choć dziś dawni opozycjoniści często akcentują różnice między sobą, to z pewnością więcej ich wówczas łączyło niż dzieliło. Fenomenem polskiego ruchu wolnościowego były nie ideowe i polityczne spory, zrozumiałe i naturalne, lecz poczucie antytotitarnej wspólnoty, które pozwoliło na pokonanie konfliktów i utworzenie najsilniejszej w bloku sowieckim opozycji przeciwko rządowi komunistycznym.

Jedyną w swoim rodzaju syntezą rozmaitych odmian oporu wobec komunizmu była Solidarność, łącząca piłsudczyków i narodowców, chadeków i liberałów, socjalistów i anarchistów, godząca wrażliwości różnego typu, odwołujące się zarówno do narodowej suwerenności, jak i sprawiedliwości społecznej. W tym numerze „Wolności i Solidarności” publikujemy wspomnienia dwóch postaci reprezentujących różne drogi polskich niepokornych XX wieku. Bronisław Komorowski za sprawą rodzinnej genealogii i politycznego temperamentu należał do tradycyjnego nurtu opozycji. Współdziałał jednak zarówno z KOR, jak i ROPCiO, mając własne środowisko Biblioteki Historycznej i Literackiej. Karol Modzelewski był jednym z czołowych przedstawicieli rewizjonizmu, osądzającego socjalizm realny wedle miar socjalizmu idealnego. W latach sześćdziesiątych atakował dyktaturę partii w języku marksistowskiej lewicy, za co zapłacił latami więzienia. Obaj spotkali się w 1980 r. w ruchu Solidarność, a szesnaście miesięcy później trafili do więzień gen. Jaruzelskiego.

Czy można było uniknąć stanu wojennego i zniszczenia „pierwszej” Solidarności? O dylematach lat 1980–1981 i koncepcjach politycznych Jacka Kuronia, który uparcie szukał wyjścia z sytuacji bez wyjścia, traktuje studium Andrzeja Friszkego. Istnienie Solidarności stanowiło tyleż wewnętrzny problem polski, ile kwestię międzynarodową. Dwa materiały tego numeru „Wolności i Solidarności” przedstawiają reakcje Zachodu na wyzwanie, jakim było powstanie niezależnego związku zawodowego w kraju należącym do Układu Warszawskiego. Gabriel Doherty opisuje stosunek Irlandii do groźby inwazji sowieckiej na Polskę. Patryk Pleskot pokazuje trudności Republiki Federalnej Niemiec w znalezieniu właściwej odpowiedzi na ostry antysolidarnościowy kurs ekipy rządzącej w PRL.

Anne Applebaum przypomina w swoim eseju pierwszą dekadę systemu komunistycznego w Polsce, na Węgrzech i w Niemczech Wschodnich. Choć Stalin i jego namiestnicy w Warszawie, Budapeszcie i Berlinie dużym nakładem sił zniszczyli instytucje społeczeństwa obywatelskiego, to komunistom nie

udało się ustabilizować władzy ani narzucić trwałego ładu totalitarnego. Po głębokim kryzysie i buntach lat 1953–1956 złagodzili swoje rządy, jednak wciąż „ponosili porażkę za porażką – i nieustannie zmieniali taktykę, aż w końcu w 1989 r. całkowicie oddali władzę” – pisze autorka *Gułagu* w swojej nowej książce, której fragment prezentujemy. Piotr Wciślik śledzi losy pojęcia totalitaryzmu w myśli opozycji demokratycznej i jego ewolucję po upadku systemu. Paweł Sowiński opisuje zorganizowany przez Amerykanów system wspierania wydawnictw emigracyjnych, często przedrukowywanych w kraju poza zasięgiem cenzury. Ta literacka dywersja odegrała w walce z komunizmem rolę niepoślednią. Ścisłe kontrolujący wszystkie środki społecznego przekazu urząd cenzury stanowił bowiem jeden z fundamentów systemu. Jak to wyglądało w praktyce, można się przekonać na przykładzie wywiadu z 1988 r. z zaznaczonymi ingerencjami Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk.

Jan Skórzyński

ŻELAZNA KURTYNA

ANNE APPLEBAUM

amerykańska pisarka i dziennikarka, absolwentka Yale University, studiowała także w London School of Economics i na Uniwersytecie Oksfordzkim. Komentatorka „The Washington Post”, publikuje m.in. w „The New York Review of Books”, „The Spectator”, „Foreign Affairs” i „The Wall Street Journal”. Jej książka *Gułag* (wyd. polskie 2005) otrzymała Nagrodę Pulitzera. Wydała także *Między Wschodem i Zachodem*. *Przez pogrnicza Europy* (2001) oraz *Iron Curtain: The crushing of Eastern Europe 1944–1956* (2012).

Słowo totalitaryzm – choć najczęściej używane w odniesieniu do hitlerowskich Niemiec i stalinowskiego Związku Radzieckiego – pierwszy raz padło w kontekście włoskiego faszyzmu (*totalitarismo*)¹. Mimo że określeniem tym posłużył się krytyk systemu, Benito Mussolini przyswoił je z entuzjazmem i w jednym z przemówień zawarł jego – do dziś najtrafniejszą – definicję: „Wszystko w państwie, nic przeciw państwu, nic poza państwem”². Uściślając tę definicję, można powiedzieć, że ustrój totalitarny to system zakazujący istnienia wszelkich instytucji poza tymi, które sam oficjalnie zatwierdził. W reżimie totalitarnym jest zatem jedna partia, jeden system edukacyjny, jeden kierunek w sztuce, jedna centralnie planowana gospodarka, zhomogenizowane media i jeden kodeks moralny. W takim ustroju nie ma niezależnych szkół, prywatnych firm, żadnych oddolnie tworzonych organizacji i żadnej krytycznej myśli. Mussolini i jego ulubiony filozof Giovanni Gentile napisali kiedyś o koncepcji państwa wszechogarniającego: „wszystko mieści się w państwie, i poza państwem nie istnieje nic ludzkiego, nic duchowego, ani tembardziej nie posiada jakiegokolwiek wartości”³.

Słowo totalitaryzm rozeszło się z włoskiego do wszystkich języków w Europie i na świecie. Po upadku Mussoliniego jednak mało kto otwarcie popierał ten światopogląd, dlatego też z czasem przyjęła się definicja stworzona przez jego krytyków, z których wielu należało do największych myślicieli XX wieku⁴. Przytoczmy garść przykładów: *Droga do zniewolenia* Friedricha Hayeka to filozoficzna odpowiedź na wyzwanie totalitaryzmu, tak samo jak *Spółeczeństwo otwarte i jego wrogowie* Karla Poppera. Z kolei

¹ Nieznacznie skrócony wstęp do książki Anne Applebaum, która ukaże się pod tytułem *Żelazna kurtyna* nakładem wydawnictwa Świat Książki (red.).

² Termin ten ukuł Giovanni Amendola, przeciwnik Mussoliniego, w 1923 r. Sam Mussolini przyjął go w 1925 r.; często posługiwał się nim główny teoretyk faszyzmu Giovanni Gentile. Ogólne omówienie zob. A. Gleason, *Totalitarianism: The Inner History of the Cold War*, Oxford 1995, s. 13–18.

³ B. Mussolini, G. Gentile, *Fascism: Doctrine and Institutions*, Rome 1935, wyd. polskie: B. Mussolini, *Doktryna faszyzmu*, Lwów 1935.

⁴ Podsumowanie tej debaty w: A. Gleason, *Totalitarianism...* oraz we wstępie M. Geyer, Sh. Fitzpatrick w: *Beyond Totalitarianism: Stalinism and Nazism Compared*, Cambridge 2009.

Rok 1984 Orwella jest dystopieczną wizją świata całkowicie zdominowanego przez reżimy totalitarne.

Największą zapewne badaczką polityki totalitarnej była Hannah Arendt, która w opublikowanej w 1951 r. książce *Korzenie totalitaryzmu* określiła ten ustrój jako „nową formę rządu” umożliwiającą przez nadejście nowoczesności. Upadek tradycyjnych społeczeństw i sposobów życia – twierdziła – stworzył warunki do ewolucji „osobowości totalitarnej”, ludzi, których tożsamość była całkowicie zależna od państwa. Znałe jest twierdzenie Arendt, że tak nazistowskie Niemcy, jak Związek Radziecki są państwami totalitarnymi i jako takie cechuje je więcej podobieństw niż różnic⁵. Carl J. Friedrich i Zbigniew Brzeziński rozwinęli to twierdzenie w opublikowanej w 1956 r. książce *Totalitarian Dictatorship and Autocracy*. Także i oni starali się podać definicję funkcjonalną. Wszystkie reżimy totalitarne – uznali – mają co najmniej pięć cech wspólnych: dominującą ideologię, jedną partię rządzącą, służbę bezpieczeństwa gotową posłużyć się terrorem, monopol na informację oraz gospodarkę planową. Według tych kryteriów reżimy sowiecki i nazistowski nie były jedynymi państwami totalitarnymi; warunki te spełniały także inne kraje, np. maoistowskie Chiny⁶.

Jednak pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych XX wieku totalitaryzm nie był koncepcją wyłącznie teoretyczną. W pierwszych latach zimnej wojny termin ten budził konkretne polityczne skojarzenia. W przełomowym przemówieniu wygłoszonym w 1947 r. prezydent Harry Truman oznajmił, że Amerykanie muszą „chcieć pomagać wolnym narodom w zachowaniu ich wolnych instytucji i narodowej integralności przeciwko wrogim ruchom, które pragną tym narodom narzucić reżim totalitarny”⁷.

Koncepcja ta zyskała nazwę doktryny Trumana. [...]

Ponieważ amerykańscy zwolennicy zimnej wojny nazywali siebie przeciwnikami totalitaryzmu, sceptycy oczywiście zaczęli kwestionować to określenie i pytać, co ono oznacza. Czy totalitaryzm stanowi rzeczywistą groźbę, czy jest to jedynie wyolbrzymienie, straszak, wymysł senatora Josepha McCarthy’ego? W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych rewizjonistyczni sowieccy historycy twierdzili, że nawet stalinowski Związek Radziecki nigdy nie był totalitarny. Upierali się, że nie wszystkie decyzje podejmowano w Moskwie, że lokalna milicja rozpętywała terror w równym stopniu co ci, którzy stali na szczycie hierarchii, że centralnym planistom nie zawsze udawało się kontrolować gospodarkę, że masowy terror otwierał „możliwości” przed wieloma członkami społeczeństwa⁸. Niektórzy zaczęli uważać sam termin totalitaryzm za niezręczny, nieprecyzyjny i nadmiernie ideologiczny.

Co więcej, spora część ortodoksyjnych teoretyków totalitaryzmu podnosiła podobne kwestie. Mało kto jednak posunął się do tego, by twierdzić, że totalitaryzm dobrze funkcjonuje. [...] Bardziej współcześni teoretycy polityki rozwinęli jeszcze ten rewizjonistyczny tok rozumowania. Niektórzy twierdzą, że termin totalitaryzm jest naprawdę użyteczny jedynie w teorii, jako wzorzec negatywny, w stosunku do którego mogą się określić liberalni demokraci⁹. Inni uważają, że słowo to jest pozbawione znaczenia, i wyjaśniają, że ów termin oznacza jedynie „teoretyczną antytezę społeczeństwa zachodniego” czy wręcz „ludzi, których nie lubimy”. Bardziej złowieszcza interpretacja to taka, że słowo totalitaryzm służy wyłącznie naszym interesom: używamy go, by dodatkowo legitymizować zachodnią demokrację¹⁰.

⁵ H. Arendt, *The Origins of Totalitarianism*, Cleveland – New York 1958, wyd. polskie: *Korzenie totalitaryzmu*, przeł. D. Grinberg, M. Szawiel, Warszawa 1989.

⁶ C.J. Friedrich, Z. Brzezinski, *Totalitarian Dictatorship and Autocracy*, Cambridge 1956.

⁷ Zob. http://www.trumanlibrary.org/whistlestop/study_collections/doctrine/large/index.php.

⁸ M. Geyer, Sh. Fitzpatrick, *Wstęp...*

⁹ M. Halberstam, *Totalitarianism and the Modern Conception of Politics*, Yale 2000.

¹⁰ S. Žižek, *Did Somebody Say Totalitarianism?: Five Interventions in the (Mis)Use of a Notion*, New York 2001. Slavoj Žižek twierdzi, że określenie stalinizmu jako totalitarnego to nic więcej jak próba dopilnowania, żeby przetrwała „hegemonia liberalno-demokratyczna”.

Na co dzień słowo totalitaryzm nie tyle służy naszym interesom, ile jest nadużywane. Charakteryzuje się nim demokratycznie wybranych polityków (np. „Totalitarne zapędy Ricka Santoruma”), rządy, a nawet firmy (można przeczytać o „marszu Stanów Zjednoczonych ku totalitaryzmowi” lub dowiedzieć się, że „Apple przejawia totalitarne podejście do swego App Store”)¹¹. Libertarianie, poczynając od Ayn Rand, używali tego słowa na określenie postępowych liberałów. Postępowi liberałowie (a także konserwatyści) używali go zaś, mówiąc o Ayn Rand¹². Obecnie pada ono w kontekście tak wielu osób i instytucji, że czasami wydaje się rzeczywiście pozbawione znaczenia.

Choć jednak sama idea władzy totalnej mogłaby się obecnie wydawać niedorzeczna, absurdalna, przerysowana lub głupia i choć samo słowo może utraciło zdolność szokowania, należy pamiętać, że totalitaryzm to coś więcej niż niedokładnie zdefiniowane wyzwisko. W historii zdarzały się reżimy aspirujące do władzy totalnej. Jeśli mamy je zrozumieć – jeśli mamy zrozumieć historię XX wieku – musimy zrozumieć, jak totalitaryzm działał w teorii i w praktyce. Zresztą pojęcie władzy totalnej nie jest bynajmniej całkowicie przebrzmiałe. Korea Północna, działająca według stalinowskich zasad, niewiele się zmieniła w ciągu siedemdziesięciu lat. Choć wydaje się, że dzięki nowym technologiom dążenie do władzy totalnej, a tym bardziej jej osiągnięcie, jest dziś trudniejsze, nie możemy być pewni, czy telefony komórkowe, internet i fotografia satelitarna nie staną się narzędziami kontroli w rękach władz, które chciałyby być wszechogarniające¹³. Totalitaryzm pozostaje przydatnym i koniecznym określeniem empirycznym. Już dawno należy mu się odrodzenie.

Szczególnie jeden reżim tak dobrze rozumiał metody i techniki działania władzy totalitarnej, że je skutecznie eksportował: po zakończeniu drugiej wojny światowej i dotarciu Armii Czerwonej do Berli-

na przywódcy Związku Radzieckiego usilnie starali się narzucić totalitarny system rządów różnym okupowanym wówczas środkowo- i wschodnioeuropejskim państwom, tak samo jak już wcześniej postarali się podporządkować systemowi totalitarnemu wszystkie regiony w samym ZSRR. Dążenia te były śmiertelnie poważne. Stalinowi, jego dowódcom wojskowym i organom bezpieczeństwa, a także jego lokalnym sojusznikom nie chodziło o idee Ayn Rand czy postępowych liberałów, gdy tworzyli totalitarne państwa Europy Środkowej i Wschodniej. Parafrazując Mussoliniego, można powiedzieć, że z całych sił pragnęli stworzyć społeczeństwa, w których wszystko będzie się dziać wewnątrz państwa, nic nie pozostanie poza kontrolą państwa i nie będzie istniało nic przeciwnego państwu – i pragnęli, by stało się to jak najszybciej.

Osiem europejskich krajów, które Armia Czerwona w całości lub części zajęła w 1945 r., zdecydowanie różniło się między sobą pod względem kultury, tradycji politycznej i struktury gospodarczej. Do nowych terytoriów należała uprzednio demokratyczna Czechosłowacja, uprzednio faszystowskie Niemcy, a także monarchie, państwa autokratyczne i półfeudalne. Region ten obejmował uprzemysłowione Czechy i wiejską Albanię, kosmopolityczny Berlin i małe drewniane wioski w Karpatach. Wśród mieszkańców regionu byli katolicy, prawosławni, protestanci, żydzi i muzułmanie. Mówili językami słowiańskimi, romańskimi, ugrofińskimi i germańskimi. Można tam było spotkać rusofilów i rusofobów, dzielili się zaś na byłych poddanych Austro-Węgier, Prus, imperium osmańskiego i imperium rosyjskiego.

Niemniej jednak w tamtym okresie tak Amerykanie, jak mieszkańcy Europy Zachodniej postrzegali kraje zajętej przez komunistów, ale niewłączonej do Związku Radzieckiego Europy – Polskę, Węgry, Czechosłowację, wschodnie Niemcy, Rumunię, Bułgarię, Albanię i Jugosławię – jako „blok”, który później

¹¹ Zob. http://www.huffingtonpost.com/james-peron/rick-santorum-gay-rights_b_1195555.html; <http://video.foxbusiness.com/v/1328239165001/theuss-march-toward-totalitarianism>; <http://articles.latimes.com/2011/dec/25/business/la-fi-hiltzik-20111225>.

¹² Zob. <http://fare.tunes.org/liberty/library/toptt.html>.

¹³ Opis ewolucji współczesnych dyktatur zob. W.J. Dobson, *The Dictator's Learning Curve*, New York 2012.

określano mianem Europy Wschodniej. Jest to określenie polityczne i historyczne, a nie geograficzne. Nie obejmuje takich wschodnich krajów jak Grecja, która nigdy nie była państwem komunistycznym. Nie obejmuje też państw bałtyckich ani Mołdawii, które – choć historycznie i kulturowo zbliżone do Europy Wschodniej – w tym okresie były już inkorporowane do Związku Radzieckiego. Między doświadczeniami państw bałtyckich i doświadczeniami szczególnie Polski zachodzą podobieństwa, występują jednak także istotne różnice: dla państw bałtyckich sowietyzacja oznaczała utratę nawet nominalnej niepodległości.

W latach po śmierci Stalina – a szczególnie po 1989 r. – osiem krajów Europy Wschodniej wybrało bardzo różne drogi. Powszechnie wskazuje się teraz, że od samego początku w gruncie rzeczy niewiele je łączyło. I to prawda: przed 1945 r. nigdy nie były w żaden sposób zjednoczone, a i obecnie mają zaskakująco mało ze sobą wspólnego, poza pamięcią historyczną o komunizmie. A jednak przez pewien czas, od 1945 do 1989 r., osiem państw Europy Wschodniej łączyło bardzo wiele. Dlatego też dla uproszczenia, z przyzwyczajenia i dla historycznej precyzji będę je w tej książce określać mianem Europy Wschodniej¹⁴.

Przez krótki czas, od 1945 do 1953 r., wydawało się, że ZSRR zdoła przekształcić te tak zróżnicowane kraje Europy Wschodniej w region jednolity ideologicznie i politycznie. Z wrogów Hitlera i sojuszników Hitlera powstało w tym okresie grono pozornie identycznych państw¹⁵. Już na początku lat pięćdziesiątych wszystkie szare, zniszczone przez wojnę stolice

„dawnych państw” tego regionu – by posłużyć się wyrażeniem Churchilla – patrolowali podobni ponury milicjanci, architekci projektowali w tym samym stylu realizmu socjalistycznego, a na murach wisiły takie same plakaty propagandowe. Kult Stalina (którego nawet nazwisko czczono w ZSRR jako „symbol nadchodzącego zwycięstwa komunizmu”) szerzył się w całym regionie wraz z bardzo podobnymi kultami miejscowych przywódców partyjnych¹⁶. Miliony ludzi brały udział w organizowanych przez państwo paradach i obchodach potęgi komunizmu. W tamtym okresie żelazna kurtyna nie była wyłącznie metaforą: mury, ogrodzenia i drut kolczasty dosłownie oddzielały Europę Wschodnią od Zachodu. W 1961 r., gdy wzniesiono mur berliński, wydawało się, że te bariery mogą trwać wiecznie.

Z perspektywy czasu widać, że ta transformacja dokonywała się we wręcz zdumiewającym tempie. W samym Związku Radzieckim proces tworzenia się państwa totalitarnego trwał dwie dekady i odbywał się zrywami. Bolszewicy nie dysponowali gotowym planem. Po rewolucji październikowej podążali zygzakami, czasami przyjmując ostrzejszy, czasami bardziej liberalny kurs, ponieważ kolejne strategie polityczne nie przynosiły obiecanych postępów gospodarczych. Po kolektywistycznym komunizmie wojennym i czerwonym terrorze z okresu wojny domowej nadszedł czas bardziej liberalnego leninowskiego NEP-u, dopuszczającego w pewnej mierze prywatne firmy i handel. NEP z kolei odwołano w 1928 r., zastępując go planem pięcioletnim i nową strategią polityczną,

¹⁴ Oto znakomita i precyzyjna definicja Marka Kramera: „Termin Europa Wschodnia jest częściowo geograficzny, a częściowo polityczny i obejmuje osiem państw europejskich, które od lat czterdziestych do końca osiemdziesiątych były pod rządami komunistów. [...] Termin ten nie obejmuje samego Związku Radzieckiego, mimo że zachodnie republiki sowieckie (Litwa, Łotwa, Estonia, Białoruś, Ukraina, Mołdawia i Rosja na zachód od Uralu) stanowią najdalej na wschód położoną część Europy. Termin obejmuje natomiast kilka państw leżących w części Europy, którą prawidłowo należy nazywać Środkową, takich jak Czechosłowacja, Węgry, Polska oraz to, które w 1949 r. przyjęło nazwę Niemiecka Republika Demokratyczna (albo Niemcy Wschodnie). Inne komunistyczne państwa w Europie – Albania, Bułgaria, Rumunia i Jugosławia – także są objęte terminem Europa Wschodnia. Państwa, w których nigdy nie rządili komuniści, takie jak Grecja i Finlandia, nie są uważane za część Europy Wschodniej, choć tam właśnie leżą z czysto geograficznego punktu widzenia” (M. Kramer, *Stalin, Soviet Policy and the Consolidation of a Communist Bloc in Eastern Europe, 1944–1953*, s. 1, referat wygłoszony 30 IV 2010 w Freeman Spogli International Institute).

¹⁵ O tym samym pisze Joseph Rothschild w: *Return to Diversity: A Political History of East Central Europe since World War II*, New York – Oxford 2000, szczególnie s. 75–78.

¹⁶ „Prawda”, 21 XII 1949.

która z czasem zyskała sobie nazwę stalinizmu, a jej główne cechy to: nacisk na szybsze uprzemysłowienie, przymusowa kolektywizacja, centralne planowanie, drakońskie ograniczenia wolności słowa, cenzura literatury, mediów i sztuki oraz rozbudowa Gułagu, sieci obozów pracy przymusowej. Słów stalinizm i totalitaryzm często używa się wymiennie, i słusznie.

Jednakże pod koniec lat trzydziestych także i stalinizm znalazł się w kryzysie. Poziom życia nie rósł tak szybko, jak obiecywała partia. Źle zaplanowane inwestycje zaczęły być obciążeniem. Masowy głód na Ukrainie i w południowej Rosji na początku lat trzydziestych, być może w pewnej mierze przydatny władzom, zrodził raczej strach niż podziw. W 1937 r. sowieckie służby bezpieczeństwa rozpoczęły nagłościoną przez propagandę kampanię aresztowań, zamykania w więzieniach i egzekucji, początkowo wymierzoną w sabotażystów, szpiegów i „szkodników”, którzy rzekomo uniemożliwiali postęp społeczny. Ostatecznie zaś czystka objęła także najwyższe kręgi kierownictwa partii komunistycznej. Wielki terror nie był ani pierwszą, ani największą falą aresztowań w Związku Radzieckim – wcześniejsze przypiły terroru dotyczyły głównie chłopów i mniejszości etnicznych, szczególnie mieszkających w pobliżu granic państwa – po raz pierwszy jednak czystki dotknęły wysokich przywódców partii, budząc głęboki niepokój i w kraju, i za granicą. Po pewnym czasie wielki terror mógłby doprowadzić do rzeczywistego rozczarowania. Jednak stalinizm – i samego Stalina – uratowała przypadkiem druga wojna światowa. Mimo chaosu i błędów, mimo masowych ofiar i ogromnych zniszczeń zwycięstwo wzmocniło legitymację ustroju, „udowodniwszy” jego wartość. W wyniku zwycięstwa niemal religijny kult Stalina sięgnął nowych szczytów.

Równocześnie wojna dała Stalinowi bezprecedensową szansę narzucenia sąsiadom jego szczególnej wizji społeczeństwa komunistycznego. Pierwsza okazja pojawiła się na samym początku, w 1939 r., gdy Związek Radziecki i hitlerowskie Niemcy podpisały

pakt Ribbentrop-Mołotow, w którym uzgodniły podział Polski, Rumunii, Finlandii i państw bałtyckich na sowiecką i niemiecką strefę wpływów. 1 września Hitler najechał na Polskę od zachodu. 17 września Stalin wkroczył na jej ziemie od wschodu. W ciągu kilku miesięcy wojsko sowieckie zajęło także państwa bałtyckie, część Rumunii i Finlandii. Choć okupowana przez hitlerowskie Niemcy Europa została w końcu wyzwolona, Stalin nigdy nie oddał obszarów zajętych w pierwszym etapie wojny. Wschodnia część Polski, wschodnia Finlandia, państwa bałtyckie, Bukowina i Besarabia – obecnie nosząca nazwę Mołdawia – zostały wcielone do Związku Radzieckiego. Wschodnie terytoria Polski stanowią dziś część Litwy, Ukrainy i Białorusi.

[...] W standardowej historiografii powojenne dzieje regionu zazwyczaj dzieli się na dwie fazy¹⁷. Początkowo, w latach 1944–1945, istniała prawdziwa demokracja, potem – jak napisał swego czasu Hugh Seton-Watson – demokracja pozorowana, w końcu zaś w latach 1947–1948 doszło do nagłej zmiany kierunku politycznego i pełnego przejęcia władzy: nasilił się terror polityczny, zakneblowano publiczne środki przekazu, manipulowano wynikami wyborów. Porzucano wszelkie pozory autonomii narodów.

[...] Nowe źródła pomogły historykom zrozumieć, że ten wczesny, „liberalny” okres w rzeczywistości wcale nie był tak liberalny, jak się to może wydawać z perspektywy czasowej. To prawda, że nie wszystkie elementy sowieckiego systemu politycznego wprowadzono w tym regionie od razu po przekroczeniu granic przez Armię Czerwoną; co więcej, brakuje dowodów na to, że Stalin spodziewał się szybko utworzyć komunistyczny „blok”. W 1944 r. jego minister spraw zagranicznych Iwan Majski sporządził notatkę, w której przewidywał, że wszystkie kraje europejskie ostatecznie staną się państwami komunistycznymi, ale potrwa to trzydzieści, a może nawet czterdzieści lat. (Przewidywał także, że w Europie przyszłości będzie tylko jedno mocarstwo lądowe – ZSRR i jedna

¹⁷ H. Seton-Watson, *The New Imperialism: A Background Book*, London 1961, s. 81.

potęga morska – Wielka Brytania). Zanim to nastąpi, zdaniem Majskiego, Związek Radziecki nie powinien próbować rozniecać „rewolucji proletariackich” w Europie Wschodniej, powinien natomiast starać się zachować dobre stosunki z zachodnimi państwami demokratycznymi¹⁸.

Ten wybiegający w przyszłość pogląd niewątpliwie zgadzał się z ideologią marksistowsko-leninowską, taką jak rozumiał ją Stalin. Jego zdaniem kapitaliści nie daliby rady bez końca ze sobą współpracować. Wcześniej czy później ich chciwy imperializm doprowadzi między nimi do konfliktu, a Związek Radziecki wyciągnie z tego korzyści. „Wciąż wyczuwalne są sprzeczności między Anglią a Ameryką – powiedział towarzyszom kilka miesięcy po zakończeniu wojny. – Nieustannie rozszerzają się konflikty społeczne w Ameryce. Angielscy labourzyści tak wiele obiecali angielskim robotnikom, jeśli chodzi o socjalizm, że trudno im się teraz z tego wycofać. Wkrótce dojdzie do konfliktów nie tylko z ich własną burżuazją, ale także z amerykańskimi imperialistami”¹⁹.

Związkowi Radzieckiemu zatem się nie spieszyło; nie spieszyło się także komunistycznym przywódcom w Europie Wschodniej, którzy w większości nie oczekiwali, że zdobędą władzę natychmiast. W latach trzydziestych wielu z nich wchodziło w koalicje z partiami centrowymi i socjalistycznymi, tworząc fronty narodowe – albo przyglądało się, jak koalicje frontu narodowego odnoszą sukcesy w innych krajach, szczególnie w Hiszpanii i Francji. Historyk Tony Judt opisał nawet wojnę domową i jej następstwa w Hiszpanii jako „próbę generalną przed przejęciem władzy w Europie Wschodniej po 1945 r.”²⁰. Pierwotne koalicje frontu narodowego tworzone, by przeciwstawić się Hitlerowi; po wojnie wiele osób było gotowych je odbudować, by przeciwstawić się zachodniemu kapitalizmowi. Stalin głosił pogląd perspektywiczny: rewolucje proletariackie nadejdą w odpowiedniej chwili, zanim jednak to się stanie, w regionie musi

dojść do rewolucji burżuazyjnej. Zgodnie ze schematyczną bolszewicką interpretacją historii konieczna rewolucja burżuazyjna jeszcze nie nastąpiła.

Jednakże we wszystkich państwach zajętych przez Armię Czerwoną Związek Radziecki od samego początku wprowadził pewne kluczowe elementy sowieckiego ustroju. Po pierwsze NKWD przy współpracy miejscowych partii komunistycznych natychmiast stworzyło wzorowany na sobie aparat bezpieczeństwa, często wykorzystując do tego ludzi wcześniej przeszkolonych w Moskwie. Wszędzie gdzie pojawiła się Armia Czerwona – nawet w Czechosłowacji, z której sowieckie wojsko się ostatecznie wycofało – funkcjonariusze nowo utworzonej służby bezpieczeństwa i milicji natychmiast zaczęli selektywnie posługiwać się siłą, precyzyjnie namierzając wrogów politycznych według uprzednio sporządzonych list i kryteriów. Czasami ich celem stawały się też nieprzyjazne grupy etniczne. Objęli również kontrolę nad ministerstwami spraw wewnętrznych, a w kilku przypadkach także ministerstwami obrony, ponadto uczestniczyli w konfiskacie i rozdzielnictwie ziemi.

Po drugie w okupowanych krajach władze sowieckie powierzyły zaufanym miejscowym komunistom najpopularniejszy wówczas środek masowego przekazu: radio. Choć w pierwszych miesiącach po wojnie w przeważającej części Europy Wschodniej można było wydawać niekomunistyczne gazety i czasopisma i choć niekomunistom pozwalano kierować innymi państwowymi monopolami, krajowe rozgłośnie radiowe, docierające do wszystkich – od niepiśmianych chłopów po wyrafinowanych intelektualistów – oddano pod ścisłą kontrolę partii komunistycznej. Władze miały nadzieję, że radio – w połączeniu z innymi rodzajami propagandy i zmianą systemu oświaty – pomoże z czasem przyciągnąć ogromne rzesze ludzi do obozu socjalistycznego.

Po trzecie wszędzie gdzie dotarła Armia Czerwona, sowieccy i miejscowi komuniści nękali, przesła-

¹⁸ *Sowietskij faktor w wostocznój Jewropie 1944–1953*, t. 1: 1944–1948, red. T.W. Wołokitina i in., Moskwa 1999, s. 23–48; N. Naimark, *The Sovietization of Eastern Europe, 1944–1953* [w:] *The Cambridge History of the Cold War*, Cambridge 2010.

¹⁹ *The Diary of Georgi Dimitrov, 1933–1949*, red. I. Banac, New Haven – London 2003, s. 14.

²⁰ T. Judt, T. Snyder, *Thinking the Twentieth Century*, London 2012, s. 190.

dowali i w końcu delegalizowali wiele niezależnych organizacji tworzących to, co obecnie nazwalibyśmy społeczeństwem obywatelskim: Ligę Kobiet Polskich, niemieckie ugrupowania „antyfaszystowskie”, organizacje kościelne i szkoły. Od pierwszych powojennych dni szczególnie zależało im na ugrupowaniach młodzieżowych: młodych socjaldemokratach, młodzieżowych organizacjach katolickich i protestanckich, męskim i żeńskim harcerstwie. Jeszcze zanim zakazano partii politycznych, a nawet zanim zdelegalizowano organizacje kościelne i niezależne związki zawodowe, organizacje młodzieżowe znalazły się pod jak najczujniejszym dozorem, a ich swobodę działania ograniczono.

I w końcu, gdzie to tylko było możliwe, władze sowieckie – znów we współpracy z miejscowymi partiami komunistycznymi – realizowały politykę masowych czystek etnicznych, przesiedlając miliony Niemców, Polaków, Ukraińców, Węgrów i innych z miast i wsi, w których mieszkali od wieków. Ciężarówkami i pociągami przewożono ludzi i ich ubogi majątek do obozów dla uchodźców i do nowych domów, odległych o setki kilometrów od ojczystych stron. Zdezorientowaną i zagubioną masą uchodźców łatwiej było manipulować. Do pewnego stopnia współsprawcami tej polityki były Stany Zjednoczone i Wielka Brytania – etniczną czystkę Niemców wpisano do traktatu poczdamskiego – ale mało kto na Zachodzie zdawał sobie wówczas sprawę, jak powszechna i gwałtowna okaże się czystka etniczna w sowieckim wydaniu.

Przez pewien czas zachowały się jeszcze elementy kapitalizmu, a nawet liberalizmu. Prywatne rolnictwo, prywatne firmy i prywatny handel przetrwały 1945 i 1946 r., a gdzieś tam dłużej. Ukazywało się kilka niezależnych tytułów prasowych i czasopism, część kościołów pozostała otwarta. W niektórych krajach pozwolono nadal funkcjonować niekomunistycznym partiom politycznym, jak również niekomunistycznym politykom. Przyczyną takiego stanu

rzeczy nie był jednak bynajmniej fakt, że sowieccy komuniści i ich wschodnioeuropejscy sojusznicy okazali się liberalnie nastawionymi demokratami, tylko ich przekonanie, że w krótkiej perspektywie te sprawy są mniej istotne niż aparat bezpieczeństwa, radio, czystki etniczne oraz przejęcie kontroli nad ugrupowaniami młodzieżowymi i innymi organizacjami obywatelskimi. Nieprzypadkowo ambitni młodzi komuniści nieodmiennie trafiali do pracy w którejś z tych dziedzin. Komunistycznemu pisarzowi Wiktorowi Woroszyłskiemu po wstąpieniu do partii w 1945 r. zaoferowano trzy możliwości: komunistyczny ruch młodzieżowy, urząd bezpieczeństwa i ministerstwo propagandy, które zajmowało się środkami masowego przekazu²¹.

Wolne wybory, przeprowadzone w niektórych państwach w 1945 i 1946 r., także nie stanowiły przejawu komunistycznej tolerancji. Partie komunistyczne w Związku Radzieckim i Europie Wschodniej zezwoliły na te wybory, ponieważ uważały, że kontrola nad służbą bezpieczeństwa i radiem, a także wielki wpływ, jaki wywierają na młodych ludzi, zapewnią wygraną. Komuniści wszędzie wierzyli w moc własnej propagandy, a w pierwszych powojennych latach ta wiara nie była bezpodstawna. Po wojnie wstępowano do partii – czy to z rozpacz, dezorientacji, pragmatyzmu, cynizmu, czy ideologii – nie tylko w Europie Wschodniej, ale także we Francji, Włoszech i w Wielkiej Brytanii. W Jugosławii komunistyczna partia Tity cieszyła się prawdziwą popularnością dzięki roli, którą odegrała w ruchu oporu podczas wojny. W Czechosłowacji – zajętej przez Hitlera w 1939 r. na skutek prowadzonej przez Zachód polityki ustępstw – początkowo pokładano prawdziwe nadzieje w Związku Radzieckim, który zdaniem Czechów i Słowaków miał być mocarstwem bardziej im przychylnym. Nawet w Polsce i Niemczech, czyli w krajach, gdzie motywy działania Sowietów budziły silniejszą nieufność, percepcję wielu osób kształtował psychologiczny wpływ wojny.

²¹ T. Goban-Klas, *The Orchestration of the Media: The Politics of Mass Communications in Communist Poland and the Aftermath*, Boulder 1994, s. 54, wyd. polskie: *Niepokorna orkiestra medialna. Dyrygenci i wykonawcy polityki informacyjnej w Polsce po 1944 roku*, Warszawa 2004, s. 82.

Kapitalizm i liberalna demokracja głęboko zawiodły w latach trzydziestych. Sporo ludzi uważało, że pora spróbować czegoś innego.

Choć zrozumienie tego czasami przychodzi nam z trudem, także i komuniści wierzyli we własną doktrynę. Sam fakt, że teraz, z dystansu, ideologia komunistyczna wydaje się błędna, nie oznacza, że w swoim czasie nie znajdowała żarliwych wyznawców. Większość komunistycznych przywódców w Europie Wschodniej – i wielu ich zwolenników – naprawdę uważała, że wcześniej czy później klasa robotnicza zyska świadomość klasową, zrozumie swoje historyczne przeznaczenie i będzie głosować za władzą komunistyczną.

Mylili się. Mimo zastraszania, mimo propagandy, a nawet mimo rzeczywistej atrakcyjności komunizmu w oczach części zdruzgotanych wojną osób partie komunistyczne dotkliwie przegrały pierwsze wybory w Niemczech, Austrii i na Węgrzech. W Polsce komuniści zbadali nastroje, organizując referendum, a gdy źle wypadło, całkowicie porzucili zamiar przeprowadzenia wolnych wyborów. W Czechosłowacji partia komunistyczna odniosła sukces w pierwszych wyborach, w 1946 r., zdobywając jedną trzecią głosów, ale gdy stało się jasne, że w następnych wyborach, w 1948 r., wyniki będą znacznie gorsze, przywódcy partyjni przeprowadzili zamach stanu. Surowsza polityka narzucona blokowi wschodniemu w latach 1947–1948 nie była więc zaledwie, a już na pewno nie jedynie, reakcją na zimną wojnę. Była to także reakcja na przegraną. Związkowi Radzieckiemu i jego lokalnym sojusznikom nie udało się przejąć władzy w sposób pokojowy. Nie udało im się zyskać władzy absolutnej ani nawet wystarczającej. Mimo nadzoru nad radiem i bezpieczeńką nie zyskali popularności ani powszechnego podziwu. Liczba ich zwolenników gwałtownie malała nawet w takich krajach jak Czechosłowacja czy Bułgaria, gdzie początkowo cieszyli się autentycznym poparciem²².

W rezultacie lokalni komuniści, którym doradzali sowieccy sojusznicy, zastosowali bardziej brutalną taktykę, wcześniej skutecznie wprowadzoną w ZSRR. Techniki te opisano w drugiej części książki: nowe fale aresztowań, rozbudowa obozów pracy, ściślejszy nadzór nad mediami, środowiskami intelektualistów i sztuką. Niemal wszędzie posługiwano się sprawdzonymi wzorcami: najpierw eliminacja partii prawicowych lub antykomunistycznych, następnie zniszczenie niekomunistycznej lewicy, w końcu eliminacja opozycji w łonie samej partii komunistycznej. W niektórych państwach władze przeprowadzały nawet pokazowe procesy, wzorowane na sowieckich. Na koniec partie komunistyczne w regionie podjęły próbę likwidacji wszystkich pozostałych niezależnych organizacji, zwerbowania członków do nowo powstałych organizacji masowych kierowanych przez państwo, wprowadzenia znacznie surowszego nadzoru nad systemem oświaty oraz osłabienia Kościoła katolickiego i protestanckiego. Stworzono nowe, wszechstronne formy propagandy oświatowej, organizowano pochody i publiczne wykłady, wieszano transparenty i plakaty, urządzano kampanie podpisywania petycji oraz imprezy sportowe.

Jednak i to nie przyniosło zamierzonych rezultatów. Po śmierci Stalina w 1953 r. w całym regionie wybuchały większe i mniejsze bunt. W 1953 r. w Berlinie Wschodnim rozpętały się rozruchy, którym kres położyły dopiero sowieckie czołgi. W 1956 r. doszło do dwóch znaczących powstań – w Polsce i na Węgrzech. W następstwie tych wydarzeń wschodnioeuropejscy komuniści raz jeszcze zmienili taktykę. Jak się jednak okazało, ponosili porażkę za porażką – i nieustannie zmieniali taktykę, aż w końcu w 1989 r. całkowicie oddali władzę.

Od 1945 do 1956 r. Związek Radziecki radykalnie przekształcił cały region od Bałtyku po Adriatyk, od środka kontynentu europejskiego po jego granice południowe i wschodnie. W tej książce jednak zajmuję

²² Komunistyczna Partia Jugosławii przez wiele lat cieszyła się większą popularnością niż inne partie komunistyczne, częściowo dlatego, że ostatecznie wyzwoliła się spod sowieckich wpływów.

się Europą Środkową. Choć wspominam o Czechosłowacji, Rumunii i Bułgarii, a także o Jugosławii, szczególnie skupiam się na Węgrzech, Polsce i Niemczech Wschodnich. Wybrałam te trzy kraje nie z powodu łączących je podobieństw, tylko dlatego, że tak bardzo się wzajemnie różniły.

Przed wszystkim miały za sobą różne doświadczenia wojenne. Niemcy oczywiście były głównym agresorem, a potem największym przegranym. Polska wytrwale walczyła z niemieckim okupantem i należała do aliantów, choć nie dano jej skorzystać z owoców zwycięstwa. Węgry grały rolę pośrednią – eksperymentowały z autorytaryzmem, kolaborowały z Niemcami, próbowały zmienić stronę i przekonały się, że jest już za późno. Te trzy kraje miały za sobą bardzo różne doświadczenia historyczne. Niemcy od dzieścioleci stanowiły potęgę gospodarczą i polityczną, dominującą w Europie Środkowej. Polska, choć do końca XVII wieku była mocarstwem na skalę kontynentu, w XVIII wieku padła łupem trzech imperiów i w 1795 r. utraciła niepodległość, by odzyskać ją dopiero w 1918 r. Węgry przeżyły chwile największej potęgi i wpływów w początkach XX wieku. Po pierwszej wojnie światowej utraciły dwie trzecie terytorium, a doświadczenie to było tak traumatyczne, że jeszcze dzisiaj odbija się echem w węgierskiej polityce.

W okresie poprzedzającym wybuch wojny żadne z tych trzech państw nie było właściwie w pełni demokratyczne. Wszystkie jednak na pewnym etapie swoich dziejów przeszły przez doświadczenie politycznego liberalizmu, konstytucyjnego rządu i wolnych wyborów do parlamentu; we wszystkich kiedyś funkcjonowały giełda, zagraniczne inwestycje i spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, obowiązywało prawo chroniące własność. We wszystkich działały instytucje obywatelskie – Kościoły, organizacje młodzieżowe, związki zawodowe – powstałe kilkadziesiąt lat wcześniej, a także istniała długa tradycja prasy, drukarstwa i wydawnictw. Pierwsza polska gazeta uka-

zała się w 1661 r. W Niemczech przed dojściem Hitlera do władzy w 1933 r. rywalizowała ze sobą ogromna liczba różnych mediów. Wszystkie te państwa były powiązane z Europą Zachodnią złożonymi więzami gospodarczymi i kulturalnymi, w latach trzydziestych znacznie silniejszymi niż ich więzy z Rosją. Nic w ich historii ani kulturze nie wskazywało na to, że przeznaczony jest im los totalitarnych dyktatur. Powojenne Niemcy Zachodnie, choć kulturowo tożsame z Niemcami Wschodnimi, stały się liberalnym krajem demokratycznym – tak samo jak Austria, przez wiele lat stanowiąca część imperium Habsburgów razem z Czechosłowacją i Węgrami.

Z perspektywy lat wydaje się czasami, że historia nie mogła się inaczej potoczyć; przez kilkadziesiąt lat po narzuceniu komunizmu doszukiwano się *post hoc* racjonalnych uzasadnień dla istnienia wschodnioeuropejskich reżimów. Mówiono, że wschodnia część kontynentu była biedniejsza niż część zachodnia (tylko że oczywiście nie dotyczyło to Niemiec); że leżące tam kraje były mniej rozwinięte (tylko że Węgry i Polska były bardziej rozwinięte niż Hiszpania, Portugalia czy Grecja) i mniej uprzemysłowione (tylko że Czechy należały do najbardziej uprzemysłowionych regionów w Europie). Jednak patrząc w przyszłość w 1945 r., trudno było przewidzieć, że Węgry, mające długotrwałe związki z niemieckojęzycznymi krajami Zachodu, Polska z jej zaciekle antybolszewicką tradycją czy Niemcy Wschodnie o nazistowskiej przeszłości pozostaną pod sowiecką polityczną dominacją przez blisko pół wieku.

Natomiast w chwili, gdy się pod tą dominacją znalazły, mało kto poza regionem zdawał sobie sprawę, co się właściwie wydarzyło i dlaczego. Nawet teraz wiele osób wciąż postrzega Europę Wschodnią przez pryzmat zimnej wojny. Poza kilkoma wyjątkami zachodnie książki o Europie Wschodniej najczęściej skupiały się na konflikcie między Wschodem a Zachodem, na podziale Niemiec (kwestia niemiecka) oraz na powstaniu NATO i Układu Warszawskiego²³.

²³ Wyjątkiem i przez wiele lat podstawowym dziełem na ten temat była książka Zbigniewa Brzezińskiego *The Soviet Bloc: Unity and Conflict*, New York 1967, wyd. polskie: *Jedność czy konflikty*, Londyn 1964.

Hannah Arendt wręcz lekceważąco odniosła się do powojennej historii regionu jako nieinteresującej: „Sprawiało to wrażenie, jakby Moskwa w wielkim pośpiechu starała się powtórzyć wszystkie etapy od rewolucji październikowej aż do narodzin totalitarnej dyktatury. Dlatego wydarzenia te, choć niewymownie okropne, nie budzą szczególnego zainteresowania. Ich przebieg był wszędzie podobny”²⁴.

Arendt się jednak myliła: Moskwa nie odtwarzała w Europie Wschodniej pogmatwanych etapów rewolucji październikowej. Stosowała jedynie te techniki, o których wiedziała, że mogą okazać się skuteczne, i atakowała jedynie te instytucje, których zniszczenie uważała za absolutną konieczność. Właśnie dlatego ich historia jest tak interesująca: więcej nam mówi o totalitarnej mentalności, sowieckich priorytetach i sowieckim sposobie myślenia, niż mogłyby to zrobić jakiekolwiek studia nad historią ZSRR. Jeszcze ważniejsze jest to, że badania nad tym regionem lepiej pokazują, jak ludzie reagują na narzucany im totalitaryzm, niż studia nad jakimkolwiek krajem z osobna.

[...] Rozpoczynając badania, postawiłam sobie kilka celów. W dokumentach z tamtego okresu szukałam dowodów na zamierzone zniszczenie społeczeństwa obywatelskiego i drobnych przedsiębiorstw. Przyjrzałam się bliżej zjawiskom realizmu socjalistycznego i komunistycznej edukacji. Zebrałam możliwie najwięcej informacji na temat powstania i początkowych etapów rozbudowy służby bezpieczeństwa w regionie. Czytając i rozmawiając, starałam się zrozumieć, jak zwykli ludzie uczyli się radzić sobie pod nową władzą; jak współpracowali, z własnej woli lub wbrew niej; jak i dlaczego wstępowali do partii i innych organizacji państwowych; jak stawiali czynny lub bierny opór; jak musieli dokonywać tragicznych wyborów, których większość z nas, żyjących na Zachodzie, nigdy dokonywać nie musi. Przede wszystkim zaś starałam się zrozumieć rzeczywisty totalitaryzm – nie totalitaryzm jako teorię, ale totalitaryzm jako praktykę – i sposób, w jaki w XX wieku ukształtował on życie milionów Europejczyków.

Przekład Barbara Gadomska

²⁴ H. Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, przeł. D. Grinberg, M. Szawiel, Warszawa 1993, s. 354.

ŚWIADECTWA

LATA OPOZYCJI

BRONISŁAW KOMOROWSKI

absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, działacz opozycji antykomunistycznej, od 1976 r. współpracownik Komitetu Obrony Robotników i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, drukarz i kolporter wydawnictw niezależnych, organizator demonstracji niepodległościowych, w 1979 r. założyciel oficyny Biblioteka Historyczna i Literacka. W stanie wojennym internowany, redaktor pisma podziemnego „ABC – Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”. W III RP polityk, poseł, w latach 1990–1993 wiceminister obrony narodowej, 2000–2001 minister. Członek władz Unii Wolności, Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego i Platformy Obywatelskiej, w latach 2007–2010 marszałek sejmu, od 2010 r. prezydent RP.

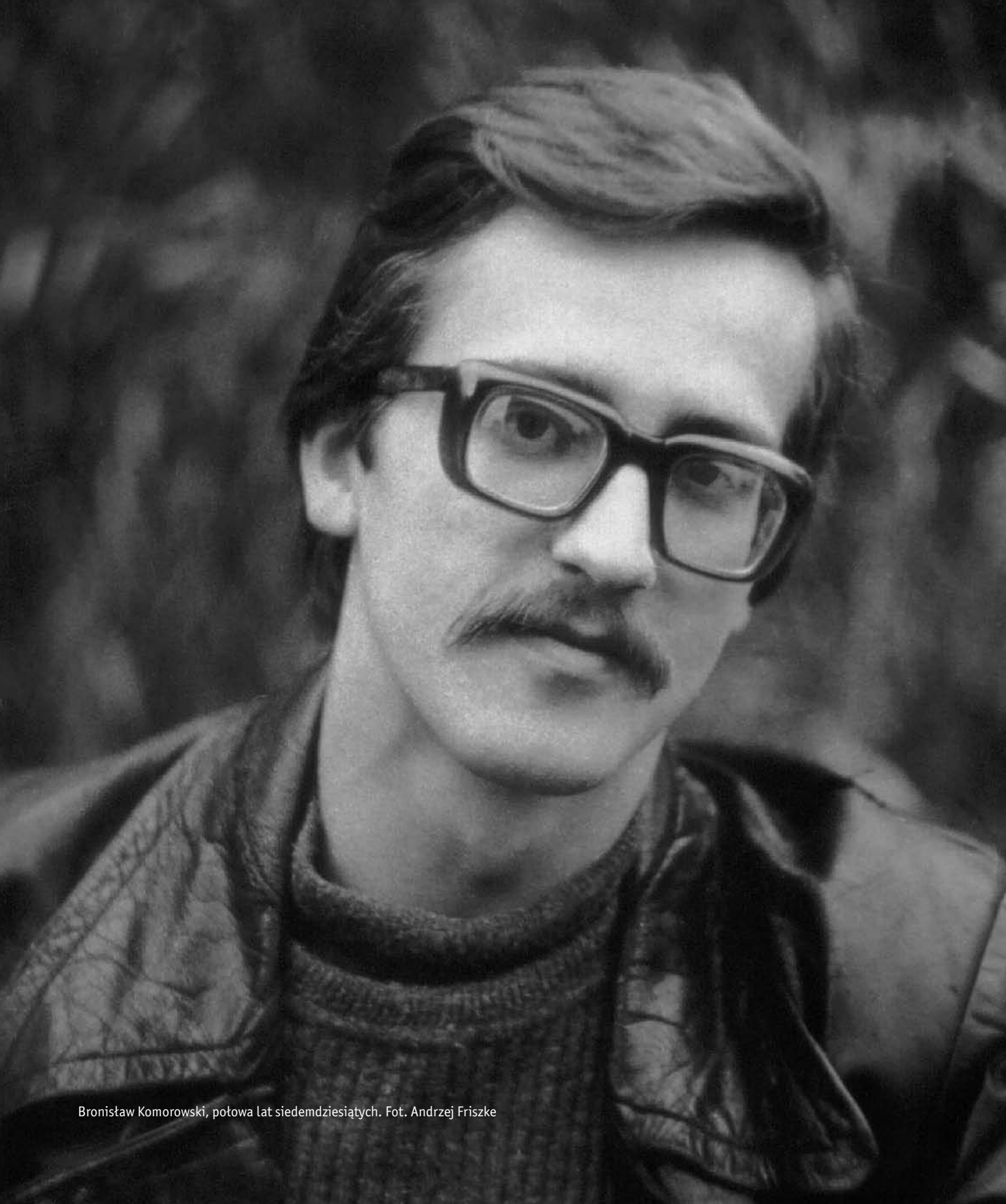
Jan Skórzyński: Pański opozycyjny życiorys zaczyna się w szkole średniej. Brał Pan udział w demonstracjach Marca '68?

Bronisław Komorowski: W marcu 1968 r. byłem uczniem pierwszej klasy XXIV Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie na Kole. Znaczną część kadry nauczycielskiej stanowiły żony oficerów z pobliskiego Bemowa, co miało wpływ na atmosferę w szkole. Również znaczna część uczniów pochodziła z rodzin żołnierzy zawodowych.

O tym, że w mieście trwają studenckie demonstracje, dowiedzieliśmy się od nauczycieli wyjaśniających powód zamknięcia budynku na cztery spusty i zakaz wychodzenia na boisko w czasie przerw. W szkole już od paru dni rozmawiało się na temat syjonistów, rewizjonistów, antysemityzmu i ogólnie relacji polsko-żydowskich. Czuło się, kto jest z jakiego domu; kto jest pochodzenia żydowskiego, a kto od Moczara. Myśle, że duże znaczenie miała agitacja partyjna w wojsku, która przez rodziny wojskowe trafiała do naszej szkoły. Dla mnie rysujące się podziały nie były do końca zrozumiałe. Sam wyrastałem w tradycjach kresowego ziemiaństwa, gdzie Żyd był częścią tego samego krajobrazu społecznego, zdominowanego przez Litwinów. Był więc inną, ale jednak mniejszością, tak jak Polacy w litewskim morzu. W mojej rodzinie Żydów dzieliło się na naszych i tych obcych. Był też podział na Żydów polskich patriotów i tych stalinowców.

Dobrze zapamiętałem ważną dla mojego stosunku do osób pochodzenia żydowskiego rozmowę z moją mamą. Pracowała w tamtych latach w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. W czasie pomarcowej nagonki przysłała do domu ze łzami w oczach, roztrzęsiona i mówiła o swoim znajomym docencie Grosie, że wyjeżdża, „a przecież to taki ciekawy człowiek i taki dobry Polak”.

W 1968 r. dziwiły mnie także wszelkie hasła „socjalizmu z ludzką twarzą”. Nic z tego nie rozumiałem. To nie były moje dylematy. Tym, co pobudziło moją wyobraźnię, było zdjęcie *Dziadów* w afisza Teatru Narodowego. Zdjęto moje *Dziady*, mego Mickiewicza, mego poetę z mojego Wilna. Namówiłem więc kolegę z klasy, Andrzeja Hermana (najlepszego klasowego matematyka i chemika), na ucieczkę ze szkoły i na udział w manifestacjach. Wyskoczyliśmy z okna ubikacji na pierwszym piętrze i pobiegliśmy do mnie, do mieszkania przy ulicy Magistrackiej. Nie chcieliśmy iść na manifestację z gołymi rękami. Jak powstanie



Bronisław Komorowski, połowa lat siedemdziesiątych. Fot. Andrzej Friszke

narodowe to powstanie! Zrobiliśmy parę petard i świec dymnych, przygotowaliśmy dwa noże fińskie... i wtedy zadzwonił mój Ojciec.

Do dzisiaj nie wiem, jak to się stało, skąd Tata się domyślił, że zwiąłem ze szkoły, ale zadzwonił do domu z pracy. Rozmowa była krótka: „Pospiesz się, bo może się szybko skończyć!”. A my już w drzwiach. Po kieszeniach petardy i świece dymnej, za paskami noże... Zdążyliśmy pod uniwersytet, ale już na samą końcówkę. Studentów wyparto m.in. na Nowy Świat, a potem niedobitki w Aleje Jerozolimskie. Jedni krzyczą coś o faszystach, inni coś o cenzurze, a my szukamy kamieni i rzucamy te nasze domowe petardy. Szło kiepsko, bo lont słabo się palił. Milicja szarżuje lub straszy i spycha nas w stronę ulicy Kruczej. My uciekamy, a gdy każdy ma już parę znalezionych kamieni w garści, odwracamy się i rzucamy. Wtedy milicja staje i czasami się cofa. Stale rzuca petardy z gazem łzawiącym. W pewnym momencie widzę, że Andrzej, który kiepsko biegał (genialny matematyk nie musi dobrze biegać), został w tyle. Dogania go samotny milicjant, chyba leje pałą i ciągnie w stronę milicyjnych szeregów. Pamiętam walkę, którą musiałem stoczyć sam ze sobą, nieomal sam siebie ciągnąc za kołnierz, by ruszyć Andrzejowi na ratunek. Nogi miałem jak z ółowiu, z trudem je odrywałem od jezdni, by wrócić i biec z pomocą w stronę kolegi. Pobiegłem, ale na moich oczach dobiegł następny milicjant, likwidując szanse na choć chwilowe uzyskanie przewagi i uwolnienie Andrzeja.

Potem dowiedziałem się, że Andrzej zdołał w budzie milicyjnej pozbyć się kompromitujących petard i noża. Po paru dniach mogliśmy zobaczyć go w kronice filmowej wśród innych sprząających kino Kultura, ponoć zniszczone przez demonstrantów. Andrzej Herman, nasz kolega szkolny, zmienił się w Andrzeja Hermasza, syna wysokiego funkcjonariusza Najwyższej Izby Kontroli (w domyśle pewnie syjonisty). Trzeba było go bronić na tyle, na ile mógł to zrobić uczeń pierwszej klasy. Znowu musiałem ciągnąć samego siebie za uszy, aby stanowczo, jako gospodarz klasy, w imieniu koleżanek i kolegów upomnieć się u dyrektorki o Andrzeja. Pewnie to nie miało jakiegokolwiek znaczenia, a o jego powrocie do szkoły zdecydowały zupełnie inne względy. Ważne było również to, że o Andrzeja toczyła się inna walka, na froncie czysto uczniowskim. Szef Związku Młodzieży Socjalistycznej (J.R. – późniejszy nomenklaturowy milioner) i jemu podobni atakowali syjonistów, albo po prostu „Żydów”, a my mówiliśmy o *Dziadach*, o koleżeństwie, o braku wolności. Czasem była to walka na argumenty, a czasem na pięści. Jednak przez następne lata klasa stanowiła zgrany zespół, poczuliśmy smak odwagi i solidarności.

Kiedy ta nieomal instynktowna, kierowana tradycjami rodzinnymi postawa przyjęła postać bardziej dojrzałą?

Ta szczeniacka konspiracja po Marcu '68 miała już postać zorganizowaną. Brali w niej udział moi koledzy z XXIV Liceum na Kole. Dzięki nim miałem kontakt ze środowiskami młodzieży robotniczej Woli ze szkół zawodowych. Z tego liceum byli m.in. Wacek Psiurski, Marek Totwiński i Ludwik Janion, którego ojciec był kolegą mego taty z VI Brygady Wileńskiej AK. Myślę, że był to dla nas obu symbol wspólnoty walki ideowej, idącej przez pokolenia. Nasza grupa liczyła w sumie ze dwudziestu chłopaków. Należał do niej także Zdzisław Wrotniak z VIII LO im. Władysława IV. Z kolei przez Pawła Dangla poznałem grupę

z Mokotowa, którą tworzyli ludzie m.in. z drużyny harcerskiej Czarna Jedyńka i liceum im. Reyтана; wśród nich był Zbyszek Znosko. Zgodnie z zasadami konspiracji dbałem o to, aby te grupy się ze sobą nie kontaktowały. Potem, gdy już studiowałem, na początku zaocznie, przez Kazika Stembrowicza nawiązałem kontakt z grupą pomarcową, w której byli Konrad Bieliński, Kazik Wóycicki i Staszek Krajewski. Trochę nas rozczarowali, bo chcieli nas zapędzić do bezpiecznej formy opozycyjności, czyli samokształcenia, i kazali czytać w bibliotece różne przedwojenne pisma. Pamiętam, jak ze zdumieniem, ale karnie, wykonałem tę sugestię i przerobiłem kilka roczników pisma OMS *Życie*¹, przybudówki przedwojennej partii komunistycznej. Kompletnie nie mogłem zrozumieć, o co tu chodzi, dlaczego mam się zajmować dyskusjami radykalnej komunizującej młodzieży przedwojennej, skoro chciałem robić powstanie narodowe przeciwko komunistom.

Kontakty z Konradem i Staszkiem urwały się z tego powodu na jakiś czas, natomiast przez męża mojej kuzynki Marka Barańskiego, także historyka, nawiązałem znajomość z Antkiem Macierewiczem. Dzięki temu trafiłem na spotkanie Gromady Włóczęgów² w Zalesiu, w domu profesorostwa Doroszewskich (dziadków Uli Doroszewskiej), i zaliczyłem swoje pierwsze aresztowanie. To był grudzień 1971 r. Tam też jedynym antykomunistycznym gestem było uczczenie minutą ciszy pamięci pomordowanych w rewolucji grudniowej na Wybrzeżu. Potem już była mowa tylko o ekumenii w Kościele. Ze względu na wspólne zatrzymanie zawiązały się bliższe relacje. Byłem potem na jeszcze jednym spotkaniu, ale do Gromady nie należałem. Dyskusje mnie za bardzo nie pociągały, wręcz irytowały jako próżne gadulstwo, bo tu przecież trzeba było czynu!

Moja grupa stała się obiektem swoistej opozycyjnej ewangelizacji prowadzonej przez Antka Macierewicza. Była w tym silnie obecna myśl zaczerpnięta z doświadczeń urugwajskiej partyzantki miejskiej Tupamaros, co mi wtedy szalenie odpowiadało. Antek dużo o nich opowiadał, choć nie sędzę, żeby stały za tym poglądy ideowe czy polityczne – była to raczej fascynacja metodą. Pasowało to zresztą do jego ówczesnego wyglądu, nosił się trochę jak Che Guevara. Nam to odpowiadało z uwagi na uczestnictwo naszych ojców w walce zbrojnej i dosyć radykalne postawy wyniesione z domów. Myśl o intelektualnym zwalczaniu systemu komunistycznego nas nie przekonywała, ale każdy pomysł na akcję bezpośrednią – zdecydowanie tak.

Podjęliśmy więc akcje ulotkowe – w rocznicę inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, po samospaleniu się Ryszarda Siwca na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie.

Jak robiliście te ulotki?

¹ Organizacja Młodzieży Socjalistycznej *Życie* – organizacja akademicka, utworzona w 1923 r. jako Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej *Życie*, związana z Komunistyczną Partią Polski. Rozwiązana w 1938 r.

² Gromada Włóczęgów – klub dyskusyjny założony w 1969 r. przez instruktorów 1. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Romualda Traugutta, zwanej Czarną Jedyńką. Do twórców Gromady należeli Antoni Macierewicz, Wojciech Onyszkiewicz, Piotr Naimski, Andrzej Celiński, Janusz Kijowski. Organizowano cykliczne spotkania i dyskusje. Na spotkanie 11 XII 1971 w Zalesiu Dolnym wkroczyła Służba Bezpieczeństwa, zatrzymała i próbowała przesłuchać większość jego 31 uczestników (J. Skórzyński, *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników*, Warszawa 2012, s. 39–41).

Najprymitywniejsze urządzenie to był „mały drukarz”, na którym robiliśmy z Wackiem Psiurskim i Lutkiem Janionem ulotki w maju 1968 r. Hasła były dwa. „Pomóżmy studentom na 1 maja” – bo nam się wydawało, że możemy ludzi zachęcić do ponownych demonstracji, w które mógł się przerodzić pochód pierwszomajowy. Drugie – „Precz z moskiewską dyktaturą”. Dwa proste hasła, które rozlepialiśmy na murach budynków na warszawskim Kole, gdzie wielu z nas mieszkało. Gdy na ulotce było więcej tekstu, stosowaliśmy metodę fotograficzną. Produkowałem to głównie z moim późniejszym szwagrem Maćkiem Bronarskim, który potem został zawodowym fotografem, ale to wychodziło bardzo drogo z uwagi na cenę papieru fotograficznego. Tańsze było przepisywanie na maszynie. O żadnej innej formie druku nie było wtedy mowy. Malowaliśmy również napisy na murach w rocznicę Grudnia '70 itp. Równolegle robiła to także grupa Gromady. Po latach dowiedziałem się, że z ich strony robił to Lutek Dorn, który był harcerzem. Inne akcje to zrywanie czerwonych flag i próba rozwieszania nekrologów Władysława Gomułki, urzędującego wtedy I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR.

Przykład Tupamaros skłaniał nas do myśli o akcji bardziej bezpośredniej, co stało się realne, gdy jednemu z kolegów z grupy wolskiej udało się kupić od jakiegoś złodzieja rewolwer. W grudniu 1972 r. zaplanowaliśmy więc zamach na milicjanta; nie zrobiliśmy go tylko dlatego, że nie mieliśmy amunicji. Wypatrzyliśmy już odpowiednie miejsce na rogu ulicy Obozowej i Młynarskiej, gdzie chodził milicyjny patrol. Ja miałem wykonać zamach, zostawić na miejscu kartkę z informacją, że to jest odwet za zamordowanie robotników podczas rewolucji grudniowej, a potem porzucić broń w wybranym grobowcu na cmentarzu ewangelickim i opłotkami uciec na Koło. Dziesięć lat później niemal w tym samym miejscu, na przystanku tramwajowym przy Obozowej, tacy sami chłopcy jak my wtedy zabili sierżanta Karosa³. Zapłacili za to straszną cenę więzienia, wyrzutów sumienia i marginalizacji na całe życie. W naszym przypadku na szczęście zadziałał Anioł Stróż. Matka kolegi znalazła rewolwer, wezwała męża, który młotkiem rozłupał broń na kawałki i utopił w gliniankach w parku Moczydło. Pamiętam moje zdziwienie, gdy w reakcji na mój meldunek o kupieniu rewolweru nasz Che Guevara zerwał z nami kontakt...

Nigdy nie wracaliście już do takich projektów?

Nie, ta historia uodporniła mnie na takie pomysły. Poszedłem na studia na Uniwersytet Warszawski. Związałem się tam przyjaźnią z Łukaszem Kądziałą i Jackiem Michałowskim ze środowiska Klubu Inteligencji Katolickiej, które angażowało się wtedy w akcję listów protestacyjnych przeciwko zmianom w konstytucji. Moi rodzice podpisali jeden z tych listów, więc żył tym cały nasz dom i ja też pomagałem w zbieraniu podpisów. Wtedy poznałem

³ Funkcjonariusz MO Zdzisław Karos został postrzelony w Warszawie 18 II 1982 przez grupę młodzieży, która próbowała go rozbroić; zmarł po kilku dniach. Uczestnicy akcji i ich koledzy, tworzący konspiracyjną grupę Polska Podziemna, zostali aresztowani. Aresztowano także ks. Sylwestra Zycha, ich opiekuna duchowego, który zgodził się na przechowanie broni. Po brutalnym śledztwie osiem osób stanęło w sierpniu 1982 przed sądem wojskowym. Zapadły najwyższe w stanie wojennym wyroki: Robert Chechłacz został skazany na 25 lat więzienia, Tomasz Łupanow na 13 lat, Stanisław Matejczuk i ks. Zych na 6 lat (T. Ruzikowski, *Stan wojenny w Warszawie i województwie stołecznym 1981–1983*, Warszawa 2009, s. 244–245).

wiele osób z późniejszej opozycji. Na jednym ze spotkań u Łukasza Kądzieli spotkałem znowu, po kilku latach przerwy, Antka Macierewicza.

Obok zmian w konstytucji drugą sprawą, wokół której integrowała się młoda opozycja w połowie lat siedemdziesiątych, była obrona studentów Stanisława Kruszyńskiego i Jacka Smykała, prześladowanych za poglądy krytyczne wobec PRL wyrażone w prywatnych listach czy na zajęciach. Uczestniczył Pan w zbieraniu podpisów studenckich także w tej sprawie. Czy zauważył Pan powstający na uniwersytecie potencjał nonkonformizmu?

Tak, bardzo wyraźnie. Szedłem na studia historyczne z poczuciem misji, po to, żeby poznać prawdę zakłamywaną przez komunistów i z myślą, że jest to forma przeciwstawienia się komunizmowi. Jeden z moich kuzynów, Staś Gregorowicz, absolwent historii, ostrzegał mnie, że się bardzo rozczaruję, bo na wydział przychodzą ludzie z normalnych katolickich rodzin, a opuszczają go jako ludzie niechodzący do kościoła, robiący kariery w partii. Nie chciałem się pogodzić z taką perspektywą, ale szedłem na studia z pewnym lękiem, że mi zabiorą duszę. Tymczasem okazało się, że to już jest inne pokolenie, inni ludzie. Bardzo szybko znalazłem z kolegami wspólnotę języka i poglądów. Z roku na rok było pod tym względem lepiej. Coraz łatwiej było przełamywać obawy u tych, którzy pozbawieni zaplecza środowiskowego nie chcieli ujawniać swojej postawy. Jak się do nich dotarło głębiej, podrapało, to okazywało się, że absolutna większość ma podobne do moich poglądy.

Najbliżej związałem się z Łukaszem Kądzielą. Przeprowadziliśmy razem piękną intrygę. Ukartowaliśmy mianowicie przejęcie przez naszą opozycyjną grupę kontroli nad wydziałowymi instytucjami życia studenckiego. Podzieliliśmy się rolami – on wystartował na funkcję szefa Rady Wydziałowej Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, a ja kandydowałem na prezesa Koła Naukowego Historyków. Obie operacje się udały. Już w tym oficjalnym charakterze wywiesiliśmy z Łukaszem na tablicy wydziałowej list w obronie Kruszyńskiego i Smykała. Zaowocowało to tym, że odezwał się do mnie Wojtek Fałkowski. Spotkaliśmy się pod kolumną Zygmunta. Był to kolejny kontakt z tym samym środowiskiem – harcerskim i historycznym.

Koło Naukowe w Instytucie Historii było w dużej mierze niezależne, tworzyło załączek samorządu i ośrodek wydziałowej opozycji, jego władze studenci wyłaniali w autentycznych wyborach. Jak to się udało zrobić? Jacy profesorowie wam sprzyjali?

Pomagali nam przede wszystkim asystenci – Marek Barański, Wojtek Fałkowski i Andrzej Rosner. Dwa elementy pozwoliły nam zdominować życie studenckie na wydziale: nasza ideowość oraz pewnie trochę atrakcyjność towarzyska, która w życiu studenckim zawsze odgrywa dużą rolę. Łukasz był wysoki, brodaty, ze swoim kikowskim zapleczem, ja trochę starszy od kolegów, bardziej dojrzały – razem uwodziliśmy koleżanki i kolegów i zachęcaliśmy do odpowiedniego głosowania w wyborach wydziałowych. Udało się; mogliśmy wykorzystywać te funkcje i przypisane do nich pieczętki do organizowania

np. spotkań na tematy bieżące. Dawało to naszym działaniom opozycyjnym stempel oficjalności i legalności. Ludzie nie bali się przychodzić na nasze spotkania, a jak raz przyszli, to nawiązywały się kontakty, rosła fala nonkonformizmu i grono osób zaangażowanych.

Jednak partia szybko się zorientowała, co naprawdę robimy, i zaczęło być gorąco. Zagrożono nam w wydziałowej organizacji partyjnej reprimendą rektora, którym był Zygmunt Rybicki, postać mało ciekawa, chociaż bratanek Józefa Rybickiego z późniejszego Komitetu Obrony Robotników. Na tę rozmowę poszedł ze mną prof. Henryk Samsonowicz, który był opiekunem Koła Naukowego. Jego obecność stanowiła pewną osłonę, utrudniała ukaranie mnie, toteż rozmowa przebiegła w tonie umiarkowanym i zakończyła się niegroźnie. Ostrzeżono mnie jedynie, abyśmy zachowywali się rozsądnie, żeby nie sprowokować jakiegoś nieszczęścia, np. relegacji ze studiów. Nigdy się tego nie mówiło wprost, wiedziałem jednak, że mamy na wydziale nad sobą parasol ochronny prof. Samsonowicza, ale zdawałem też sobie sprawę, że nie mogę przegiąć. Prowadziliśmy więc w kole historyków – jako opozycyjna jacejka – cichą pracę formacyjną, pokazywaliśmy np. stare niemieckie filmy dokumentalne, które miały wydźwięk antysowiecki. Był też klub dyskusyjny, spotkania tak planowaliśmy, żeby coś z nich wynikało dla kształtowania postaw.

Oczywiście, prowadziliśmy także normalną pracę koła naukowego, robiliśmy kwerendy, jeździliśmy po parafiach na Podlasiu czy Mazowszu, organizowaliśmy sesje naukowe. Na jednej z takich sesji w Rogowie koło Łodzi bodaj w 1974 r. poznałem człowieka, z którym potem długie lata działaliśmy w opozycji. Przyjechała wtedy grupa studentów z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Zazwyczaj pojawiali się tylko ludzie z państwowych uczelni, np. z Wojskowej Akademii Politycznej, na których ja zresztą patrzyłem podejrzliwie, jak na komunistycznych agentów, a potem się okazało, że to fajni chłopcy. Natomiast studenci z KUL-u to był ewenement. Siedzimy z nimi i dyskutujemy niby na tematy historyczne, ale za każdą dyskusją o historii najnowszej kryły się współczesne dylematy polityczne. Dyskusję prowadził Andrzej Garlicki. Widzę, że jeden ze studentów KUL-u coraz bardziej przestępuje z nogi na nogę, a w pewnej chwili mówi: „No dobra, to o historii już porozmawialiśmy, a teraz powiedzcie, macie jakąś konspirację na uniwersytecie czy nie?”. Przy Garlickim i innych profesorach! A ja przecież mam konspirację. Więc mnie zatkało i myślę sobie: prowokator, na pewno coś o mnie wiedzą i chcą mnie sprowokować. Ale patrzę na niego, oczy pocziwe, nie, niemożliwe. Zabrałem go na spacer i mówię: „Co ty robisz?”. A on: „Bo mnie to denerwuje, u nas już dawno się zorganizowaliśmy”. To był Marian Piłka. A zorganizował ich w Lublinie chyba Bogdan Borusewicz. Skupili się zaś wokół seminarium Władysława Bartoszewskiego.

Zawarliśmy porozumienie i aby to przypieczętować, wymieniliśmy się książkami. On mi dał jakąś książkę katolicką, a ja mu dałem książkę Andrzeja Micewskiego. Potem przez wiele lat się z tego natrzęsaliśmy: na dowód tego, że jesteśmy prawdziwymi konspiratorami, daliśmy sobie legalnie wydane, koncesjonowane książki. Szkoda, że polityka w III RP tak bardzo nas z Marianem poróżniła i rozdzieliła.

Kto poza Łukaszem Kądziałą tworzył wraz z Panem grupę niepokornych na wydziale?

Kazik Stembrowicz, Krzysztof Łazarski, Andrzej Krawczyk, Wojtek Kriegseisen, Andrzej Rosner, Tadeusz Cegielski, a z młodszych Andrzej Friszke, Marek Kunicki-Goldfinger. To było spore grono połączone więzami nawet nie wprost politycznymi, ale towarzyskimi.

Służba Bezpieczeństwa odnotowała Pana wystąpienie 30 marca 1977 r. w Instytucie Historycznym UW na spotkaniu z Jaremą Maciszewskim, szefem Wydziału Nauki w Komitecie Centralnym, również historykiem. Mówił Pan, powołując się na „Komunikaty” KOR, o represjach wobec robotników, o akcji bezpieki przeciwko studentom, braku obiektywnej informacji o sytuacji politycznej w kraju, np. przemilczaniu przez oficjalne media listu Jacka Kuronia do lewicy na Zachodzie.

Spotkanie z Maciszewskim było rezultatem przeprowadzonej przeze mnie i Kądzielej intrygi. Postanowiliśmy pójść do niego jako do posta ziemi radomskiej na sejm, ale także jako profesora historii cieszącego się dobrą opinią naukową. Wystąpiliśmy – Łukasz jako szef SZSP na wydziale, ja jako prezes Koła Naukowego – z prośbą, aby przyszedł i wyjaśnił, co się właściwie dzieje w Radomiu. „Dochodzą do nas – mówiliśmy – informacje, które bulwersują studentów, o tym, że ludzie są wyrzucani z pracy i bici na komisariatach, że są »ścieżki zdrowia«. Nam się nie chce w to wierzyć – choć wiedzieliśmy doskonale, jak jest naprawdę, bo przecież sami jeździliśmy do Radomia z pomocą dla rodzin represjonowanych robotników – ale wielu studentów jest kompletnie zdezorientowanych. Czy mógłby pan – mówimy więc do Maciszewskiego – wytłumaczyć studentom, jak się sprawy mają?” On odpowiada: „Dobrze”.

Zorganizowaliśmy zebranie w siedemnastce, największej sali na wydziale. Przyszła masa studentów, było bardzo burzliwie. Zaczął ostro Łukasz, a ja – zgodnie z podziałem ról – w tonie bardziej ugodowym prosiłem o wyjaśnienia. Maciszewski oczywiście zaprzeczył wiadomościom o maltretowaniu robotników, zaczął się wykręcać. Wtedy powiedziałem: „Panie profesorze, jeżeli to jest nieprawda, to czy pan przyjmie rodziny poszkodowanych robotników?”. On, kompletnie nieprzygotowany na takie pytanie, odpowiedział: „Tak, oczywiście! Ale to nieprawda!”. No to ja powiedziałem, że zorganizujemy takie spotkanie, to pan profesor się więcej dowie. I taki był koniec tego zebrania. Maciszewski wezwał nas zaraz potem do gabinetu i powiedział bez ogródek: „Udało się wam wpuścić mnie w maliny, ale żebyście nie mieli wątpliwości, traktuję was odtąd jak wrogów politycznych. I ostrzegam: zbieracie pieniądze dla tych z Radomia, a przecież wam też są potrzebne, więc prędzej czy później któryś z was je ukradnie...”. Poczułem się wówczas tak, jakbym dostał w twarz. Nie dlatego, że powiedział, że jest moim wrogiem, bo to nas nobilitowało, ale że podejrzewa, że któryś z nas ukradnie te pieniądze. Powiedziałem tylko: „Panie profesorze, to są zupełnie inne doświadczenia pokoleniowe”.

Sprawa ta powróciła do mnie, gdy w 1989 r. jako dyrektor gabinetu ministra Aleksandra Halla w rządzie Tadeusza Mazowieckiego przyjmowałem grupę historyków powołaną jeszcze przez Jaruzelskiego do sprawy Katynia. W tym gronie był prof. Maciszewski – syn oficera zamordowanego w Katyniu. Pamiętam myśl, że w ludzkich

ścieżkach nic nie jest takie proste, jak się wydaje. Zrobiło mi się nawet trochę wstyd za to, że wtedy, w 1977 r., zastawiliśmy na niego pułapkę.

Jakie wrażenie wywarły na Panu protesty czerwcowe w Radomiu i Ursusie?

Latem 1976 r. byłem za granicą. Pierwszy raz (i na długie lata ostatni) dostałem paszport i z moją ówczesną narzeczoną, a obecnie żoną, pojechaliśmy zarobić pieniądze na to, by kupić mieszkanie i się pobrać. Pracowaliśmy w jakimś gasthofie w Tyrolu. Po informacji o strajkach zrezygnowaliśmy z dalszych planów turystycznych i wcześniej wróciliśmy do Polski. Nie znałem żadnych szczegółów, tylko tyle, ile było w radio i prasie niemieckiej. Ale zareagowaliśmy w ten sposób: coś się dzieje, to wracamy do Polski.

Jak przyjechałem do Warszawy, to była już zupełnie zmieniona rzeczywistość. Natychmiast skontaktowałem się z Łukaszem Kądziałą i pojechaliśmy razem na spotkanie z Mirkiem Chojeckim. W jakimś pustym mieszkaniu na Piaskach Mirek siedział na materacu i przyjmował adeptów do akcji pomocy w Radomiu. Patrzę, a obok siedzi mój przyjaciel z harcerstwa Tomek Dangel. Nastąpiło radosne powitanie; okazało się, że wszystkie moje wcześniejsze kontakty – studenckie, kikowskie, konspiracyjne, historyczne, harcerskie – pojawiły się w nurcie KOR-u. Znajomych z tych środowisk spotykałem najpierw u Mirka Chojeckiego, a potem u Zosi i Zbyszka Romaszewskich, do których przywoziłem mel-dunki z Radomia. Za ich pośrednictwem nawiązałem potem kontakt m.in. z Adamem Piechowskim.

Pierwszy raz pojechałem do Radomia dosyć wcześniej, chyba we wrześniu 1976 r. Jeździłem tam autostopem na zmianę z Łukaszem. W Radomiu mieszkała moja ciotka Zofia Majewska. Ciotka, stara konspiratorka, z wyrokiem sowieckim, do końca życia żyła pod fałszywym nazwiskiem – najpierw bo musiała, a potem bo już się przyzwyczaiła. Miałem u niej na ulicy Moniuszki metę, mogłem tam nocować, zostawiać papiery, pieniądze, wszystko. Obok mieszkała pani Krysia Dzierżanowska, później szefowa miejscowego KIK-u, a wtedy dyrektorka jednej ze szkół – dzięki niej budowałem sobie kontakty w Radomiu. Jeszcze ważniejsze było to, że na parterze mieszkała rodzina Rejczaków. Janek Rejczak, którego ciocia uczyła języków, pracował w Wyższej Szkole Inżynierskiej, miał kontakty w radomskich zakładach przemysłowych i przez niego łatwiej było dotrzeć z pomocą do robotników. Potem został jednym z szefów radomskiej Solidarności.

Te kontakty przekazałem później Łukaszowi, z którym się umówiliśmy, że on będzie jeździł do Radomia, a ja zajmę się pracą na wydziale. Na procesy nie jeździłem, bo nie chciałem się dekonspirować. Moje wyprawy radomskie trwały do czasu wypadku samochodowego Wojtka Onyszkiewicza i Krzysia Łazarskiego, też kolegi z wydziału, historyka. W maju 1977 r. zderzyli się z samochodem, którym jechała rodzina Jana Brożyny, jednej z ofiar represji poczerwcowych, i rozbili nowy samochód pożyczony od Tymowskich. Wylądowali w szpitalu w Radomiu, ja do nich tam jeździłem i w ten sposób się w pełni zdekonspirowałem.

Na początku 1977 r. na Uniwersytecie Warszawskim zbieraliście podpisy pod apelem do sejmu o powołanie specjalnej komisji poselskiej do zbadania i ujawnienia przypadków naruszania prawa przez organa porządku publicznego oraz pełnych rozmia-

rów represji przeciwko uczestnikom demonstracji czerwcowych. Apel poparła jedna czwarta studentów historii. W marcu w kancelarii sejmu złożono pismo z podpisami 730 studentów UW. To bardzo dużo.

Tak, z takimi inicjatywami wchodziło się wówczas jak w masło, bo ludzie chcieli zareagować. Bali się bardziej radykalnej formy opozycji, ale upominanie się o sprawiedliwość, o prawdę, o uczciwość już nie wywoływało paniki, łatwo spotykało się z akceptacją.

W KOR-ze współpracował Pan najbliżej z Antonim Macierewiczem, Piotrem Naimskim i Wojciechem Ziemińskim. Czy współpraca z ludźmi z „Głosu” wynikała po prostu z dawnej znajomości z Macierewiczem? Czy była to także jakaś wspólnota poglądów?

Gdy zaczynałem z nimi współdziałać, nie tworzyli jeszcze grupy „Głosu”, postrzegałem ich po prostu jako harcerzy w KOR-ze. A ja z harcerstwa wyniosłem jednak pewną obolałość w stosunku do Jacka Kuronia. Toteż łatwiej było mi się porozumieć z Antkiem Macierewiczem, którego lokowałem w nurcie prawowitej tradycji harcerskiej. Choć przypuszczam, że i Macierewicz w moich oczach był wtedy lewakiem...

Potem ewoluowałem w stronę uznania innych tradycji niż moja własna, ale nie był to szybki proces. Wobec Janka Dworaka musiałem np. przekroczyć barierę niechęci do jego odmiennej tradycji rodzinnej – endeckiej, podczas gdy ja byłem z tradycji konserwatywno-piłsudczykowskiej. Taką samą barierę musiałem pokonać wobec osób o proveniencji rewizjonistycznej. Pełną jedność z opozycjonistami wywodzącymi się z tej tradycji, pomimo różnic w genealogiach politycznych i rodzinnych, poczułem dopiero w czasie internowania. Na początku w relacjach z niektórymi ludźmi z KOR-u musiałem się trochę przełamywać.

W marcu 1977 r. powstała druga obok KOR-u grupa opozycyjna – Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Jak Pan do niej trafił?

Ze względu na wcześniejsze przyjaźnie współdziałałem głównie z tzw. młodym KOR-em. Ale niewątpliwie ponosił mnie trochę temperament polityczny, w inną stronę pchała też tradycja rodzinna. Swoje poglądy określaliśmy wtedy, odwołując się do postaci historycznych – ja byłem od marszałka Piłsudskiego. Na pewno nie byłem narodowcem ani rewizjonistą – dla mnie to były obszary zupełnie obce. Marzyłem o walce o niepodległość Polski, traktowałem działanie społeczne i zaangażowanie na rzecz ludzi buntujących się jako jazdę tramwajem, który ponownie zakończy bieg na przystanku niepodległość. To było dosyć proste skojarzenie natury historycznej. Oczywiście, bardzo ważna była sama pomoc drugiemu człowiekowi, ale szło też o to, aby mobilizować do działania, budować różne formy oporu, przełamywać bariery lęku. Stąd harcerstwo, które było moją pasją, ale także metodą zmierzania do celu, jakim było pobudzenie społeczeństwa do oporu przeciwko komunizmowi. Podobnie wszystkie działania na uniwersytecie.

Gdy w 1977 r. powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, mój ojciec spotkał się z Leszkiem Moczulskim. Tata miał bardzo radykalne poglądy, a ja w jego oczach byłem jego

żołnierzem, więc mobilizował mnie, abym czym prędzej robił to powstanie, a przynajmniej poszedł do partyzantki albo coś przyzwoicie wysadził w powietrze. Przerazało to moją mamę, ale ja w ten styl myślenia wchodziłem z ochotą, bo taka była rodzinna tradycja. Ojciec patrzył z pewnym niepokojem na moje korowskie kontakty z jakimiś rewizjonistami, a Moczulski mu się bardzo spodobał. „Nareszcie – mówił – nareszcie coś zaczyna się dziać, są ludzie, którzy mówią o niepodległości”.

Po tej rozmowie przyszedł do mnie ówczesny adiutant Moczulskiego Janek Dworak. Mieliliśmy już wtedy z Anią własne mieszkanie, ale w domu panował styl dość bałaganiarski, bo całe to korowskie towarzystwo przychodziło i siedziało godzinami, wszystko z lodówki wyzerato, ktoś otwierał wino, ktoś grał na gitarze, ogólnie luz. A tu raptem przychodzi dwóch młodych ludzi od Moczulskiego – Janek Dworak i Piotrek Krawczyk. Moja żona, która jest osobą dość pryncypialną, źle znosiła ten luzacki styl. Tolerowała to, ale opinię miała negatywną o tym całym opozycyjnym bajzlu. A tu ci wchodzi, przedstawiają się, młodą panią domu całują w rączkę, elegancko ubrani, kulturalna rozmowa, dostali herbaty, podziękowali, kontakty zostały nawiązane i poszli, bez żadnego zasiadywania się. Anka mówi: „No wiesz, co? Są jednak dobrze wychowani ludzie na tym świecie, z nimi trzeba trzymać”.

Przyszli do mnie jako emisariusze tajnej organizacji Nurt Niepodległościowy, do której nie przystąpiłem. Działiałem przy KOR-ze, więc uważałem, że mi nie wypada konspirować. Sądziłem, że trzeba działać jawnie, sam zresztą byłem już jawniakiem, więc to nie miałoby sensu. Sądziłem także, że mogę odegrać rolę łącznika towarzyskiego pomiędzy środowiskiem młodego KOR-u a Ruchem Obrony. Nie miałem problemu wyboru: czy tu, czy tam. Chciałem w maksymalnie możliwym stopniu być i tu, i tam. O tym wiedzieli ludzie z Ruchu Obrony i koledzy z młodego KOR-u – że ja współdziałam i z jednymi, i z drugimi. Dobrze się z tym czułem, mając więzi towarzyskie raczej w środowisku korowskim, a rosnące więzi ideowe, niepodległościowe z Ruchem Obrony. Starłem się nie wdawać w żadne rozgrywki i spory wewnętrzne w środowiskach.

Z kim w ROPCiO współpracował Pan najbliżej?

Najbliżsi mi byli Janek Dworak, Piotrek Krawczyk, Marian Piłka, a potem Wojtek Ziemiński, który był przecież także członkiem założycielem KOR-u. Andrzeja Czumę ceniłem, ale nie rozumiałem, o co się kłóć z Ziemińskim czy Moczulskim. Dla mnie było ważne dobre nazwisko, postać gen. Czumy, tradycja walki o niepodległość i legenda organizacji Ruch. Szczególnie ta ostatnia. Pamiętam swoje zdumienie, gdy przeczytałem w 1971 r. w „Kulisach” maciusieńką notatkę, że sąd skazał grupę Andrzeja Czumy za działalność nielegalną przeciwko państwu. Jak to zobaczyłem, to aż mnie dźgnęło i pomyślałem, że muszę się z nimi skontaktować. Przecież wszystkich nie mogli aresztować, bo to jakaś potężna organizacja. Szukałem więc kontaktu z resztkami Ruchu i proszę sobie wyobrazić, że znalazłem! Miałem kolegę jeszcze ze szkoły podstawowej w Pruszkowie, Piotrka Mijasa, którego matka pracowała w jakimś instytucie rolniczym związanym ze Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego. On się dowiedział od matki, że dwóch młodych pracowników Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach przestuchiwano w sprawie Ruchu. Dotarłem do

nich przez pośrednika, ale oni byli tak przerażeni, że oczywiście wszystkiego się wyparli; dopiero po latach dowiedziałem się od Stefana Niesiołowskiego, że trafiłem, rzeczywiście to byli ci, którzy pozostali na wolności. Musieli się dziwnie poczuć. Z trudem się wykręcili od podejrzeń bezpieki, a tu nagle zgłasza się do nich ktoś, kto chce nawiązać kontakt. Prawdopodobnie potraktowali to jako esbecką prowokację. Ale mam do dziś satysfakcję, że ich znalazłem, choć było to szukanie igły w stogu siana.

10 lutego 1978 r. policja przeprowadziła nalot na wasze mieszkanie. Strzał był celny – podczas rewizji wpadła drukarnia „Głosu”. SB znalazła powielacz, matryce, papier, 2 tys. wydrukowanych już stron numeru trzeciego „Głosu” oraz inne wydawnictwa opozycyjne. Na domiar złego w trakcie przeszukania wszedł Marian Piłka z matrycami. Wszyscy – Pan, żona i Piłka zostaliście zatrzymani. SB zapisała, że Bronisław Komorowski odmówił wszelkich wyjaśnień. Wedle notatki z tego przesłuchania powiedział Pan, że „nie czuje się związany ani z KSS KOR, ani ROPCiO, aczkolwiek większość ich postulatów popiera”, a także „że w Polsce powinna być partia opozycyjna i zniesiona cenzura. Wśród jego wypowiedzi było wiele akcentów antyradzieckich” – zapisał funkcjonariusz. Jak Pan to pamięta?

Włączyłem się w pracę dla „Głosu”, bo na początku miał kłopoty z drukiem. Chciałem udzielić im pomocy jako pismu korowskiemu, zgodnie z zasadą współpracy z obydwoма głównymi grupami opozycji. Janka Dworaka też namawiałem, aby nie dać się przypisać tylko do Ruchu Obrony. W tym znaczeniu pomoc „Głosowi” była pomocą udzieloną przez nas KOR-owi. Drukowaliśmy pismo w naszym mieszkaniu. Aż przyszła policja i nasz wielki majątek opozycyjny – powielacz – przepadł. Ale nie była to drukarnia „Głosu”, tylko nasza, tzn. środowiska późniejszej Biblioteki Historycznej i Literackiej. Nasz powielacz i nasze ryzyko.

Skąd mieliście powielacz?

Skąd pochodził ten, na którym drukowaliśmy „Głos”, nie pamiętam. Drugi powielacz kupiliśmy w Bydgoszczy z pomocą koleżanki Mariana Piłki z KUL-u. Kupiliśmy go od starszego pana, który miał zakład naprawy maszyn do pisania. Zapłaciliśmy gotówką, on wiedział doskonale, komu to sprzedaje i po co. Stary cyklos, elektryczny powielacz białkowy. Z Piotrkim Krawczykiem przywożem go do Warszawy. To była nasza duma. Wymagał jednak naprawy i dorobienia drobnych brakujących części. Pomógł nam wtedy Janusz Krzyżewski, były działacz Ruchu. Pracował w zakładach Skala i miał dostęp do precyzyjnych obrabiarek.

Powielacz ten pracował w różnych miejscach. Na poprzednim drukowaliśmy w moim mieszkaniu na ulicy Bruna. To była sytuacja awaryjna. Nie było to zbyt bezpieczne, ale wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie Paweł Miłkasz, który był agentem i doniósł policji, że powielacz stoi u mnie. Jak przypuszczam, udałoby się nam wydrukować cały nakład, bo paradoksalnie w mieszkaniu już parokrotnie rewidowanym, w którym wcześniej zostali aresztowani ludzie, było najciemniej – trochę jak pod latarnią. Codziennie w nocy po

zakończeniu pracy wynosiliśmy powielacz przez drugą klatkę schodową i raczej by nas nie złapali, gdyby nie ten bezpośredni donos.

W jakich działaniach ROPCiO brał Pan udział?

Z założenia nie brałem udziału w spotkaniach ogólnopolskich Ruchu Obrony. W akcjach ROPCiO uczestniczyłem na takich samych zasadach jak w KOR-ze – zbierałem podpisy, uczestniczyłem w kolportażu itp. Potem zaczęły się manifestacje, ale to już był raczej wkład naszej grupy do środowiska ROPCiO. W 1979 r. założyliśmy z Marianem Piłką, Janem Dworakiem, Piotrem Krawczykiem, Wojciechem Hardtem i Grażyną Houwalt własną oficynę niezależną – Bibliotekę Historyczną i Literacką. Dołączyli do nas szybko m.in. Krzysztof Dowgiałło, Adam Chajewski i Tadeusz Wachnik. Później także Andrzej Krawczyk, Ula Stasik, Joanna Matlak i Krzysztof Gordon – aktor z teatru Wybrzeże w Gdyni. Zebranie założycielskie odbyło się w Grodzisku Mazowieckim, w domu Maryli i Wojtka Hardtów. Nie traktowaliśmy tego jako aktywności w ramach Ruchu Obrony, staliśmy wyraźnie osobno. Chcieliśmy się dystansować od sporów między Moczulskim, Czumą i Ziemińskim. Dworak, Piłka i Krawczyk wycofali się nawet z tego powodu z uczestnictwa w ROPCiO, ja nie musiałem się wycofywać, gdyż nigdy do Ruchu Obrony nie wszedłem.

Czym Bibliotekę Historyczną i Literacką miała się różnić od innych niezależnych oficyn? Jaki był jej profil?

Myślę, że to zasługa Janka Dworaka. Chcieliśmy odejść od spraw bieżących i prostej propagandy, wydawać książki i publikacje nastawione na pogłębianie wiedzy, kształtowanie poglądów i postaw, a nie tylko podyktowane wymogami walki politycznej, gdzie najważniejsze jest to, jak ostro się mówi. Stąd dobór tytułów: wiersze Czesława Miłosza, *Na probostwie w Wyszku* Żeromskiego, dużo rzeczy historycznych, np. o wileńskiej AK. Chcieliśmy, aby mieściło się to w nurcie spokojnych działań na rzecz niepodległości, ze świadomością potrzeby mobilizowania ludzi, ale bez ostrych haseł propagandowych, bo w tym specjalizował się wówczas Moczulski. Dystansowaliśmy się też trochę od tonu bogoojczyźnianego, jaki dominował w Ruchu Obrony, zwłaszcza w wydaniu Wojtka Ziemińskiego. Myśmy Wojtka lubili, ale chcieliśmy robić to inaczej. Wydrukowaliśmy np. tekst Stefana Kurowskiego *Doktrynalne uwarunkowania kryzysu gospodarczego w Polsce*. Mogę więc powiedzieć, że jako pierwsi w opozycji wydawaliśmy książki prokapitalistyczne. Kurowski, niezależnie od jego późniejszych politycznych ekstrawagancji, był wówczas ekonomistą o poglądach jednoznacznie wolnorynkowych, co było wtedy absolutnym ewenementem. Jeszcze w obozie internowania wszyscy mówili o naprawie gospodarki socjalistycznej.

Jak wyglądała baza techniczna BHil? Gdzie drukowane były wasze książki?

Poza powielaczem używaliśmy też wałków i kopioramek, a co najważniejsze, mieliśmy dostęp do drukarni państwowych – tzw. dojsćia. Były one głównie zasługą Tadeusza

Wachnika, który pracował w Krajowej Agencji Wydawniczej, miał kontakty w drukarni i dojsca załatwiał, także potem, w stanie wojennym. Trudno przecenić jego aktywność i zaangażowanie. Był ojcem naszej harcerki Moniki.

Gdzie drukowaliśmy? Między innymi u Adama Chajewskiego z wydziału chemii Uniwersytetu Warszawskiego, który był siostrzeńcem prof. Pieniążka, kawalerem, mieszkał w niewykończonym domu w Aninie, gdzie zawsze coś było – albo drukarnia, albo skład papieru, albo magazyn książek. Ten lokal został zagrożony dopiero w stanie wojennym, gdy bezpieka rozpracowywała Liberalno-Demokratyczną Partię Niepodległość. Gdy Jerzy Targalski, lider tej grupy, wyjechał za granicę, szefem LDPN został Norman Pieniążek, sąsiad i kuzyn Chajewskiego. Wkroczenie SB do Pieniążka zagroziło naszej drukarni, która znajdowała się w sąsiednim domu. Adam Chajewski zakopał wtedy w nocy „towary”, m.in. wydruki *Utopii u władzy* Aleksandra Niekricza i Michała Hellera, a lokal musieliśmy uśpić. Ale o ile wiem, nigdy nie został w pełni rozpracowany.

Rewizja u Pieniążków miała swój anegdotyczny finał. Następnego dnia u pani profesorskiej zameldowało się z kwiatami i przeprosinami dwóch esbeków. Bo nic nie znaleźli, a prof. Pieniążek podobno interweniował u swego kolegi Henryka Jabłońskiego, też profesora, ale i przewodniczącego Rady Państwa.

Inną metę mieliśmy w willi na Sadybie. *Na probostwie w Wyszkowie* drukowałem na Tar-chominie, w przeznaczonym do rozbiórki domu, już opuszczonym. Drukowaliśmy razem z Krzysztofem Łazarskim. Inny adres to domek fiński w rejonie, gdzie dziś jest ambasada Hiszpanii. Mieszkała w nim ciotka mojego przyjaciela z harcerstwa Stasia Czopowicza, ale już się wyprowadziła, bo dom miał być rozebrany – świetne miejsce na drukarnię. Obsługiwali ją głównie moi koledzy z harcerstwa: Witek Górczyński, Staszek Czopowicz, Zbyszek Czopowicz, Jacek Łach, Mariusz Rakowski.

Policja nie wiedziała, że się Pan zajmuje BHiL. Nie ma tej informacji w Pana teczce, choć sprawę operacyjnego rozpracowania założono Panu w październiku 1977 r., a w czerwcu 1979 r. zainstalowano w mieszkaniu podsłuch. Domyślał się Pan tego?

Zakładałem, że jest. Wiedziałem, że podsłuch był w mieszkaniu rodziców. Ja od 1977 r. mieszkalem poza domem rodzicielskim, ale zameldowałem się w moim mieszkaniu na Bruna dopiero w 1978 r. Wcześniej mieszkalem jeszcze u mojej siostry Marysi Bronarskiej w Radości, gdzie organizowałem spotkania młodego KOR-u i gdzie jesienią 1976 r. wkroczyła policja. Podsłuch u mnie działał nawet w czasie legalnej Solidarności.

W 1978 r. zaczęły się w Warszawie opozycyjne demonstracje. Manifestacja 11 listopada, w sześćdziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości, była udana, co przyznawali nawet Jacek Kuroń i Jan Józef Lipski, raczej niechętni tej formie ekspresji poglądów opozycyjnych. W następnym roku sezon patriotycznych demonstracji rozpoczął się 31 lipca, gdy po mszy w katedrze wraz z Marianem Piłką złożyliście na Grobie Nieznanego Żołnierza wieniec z napisem „Powstańcom Warszawy – Młodzieży Polska”. 1 września 1979 r., w rocznicę wybuchu wojny, zorganizowaliście manifestację, podczas której ogłoszono powstanie Konfederacji Polski Niepodległej.

To było dla nas całkowite zaskoczenie, gdy zza naszych pleców wyłoniły się transparenty KPN-u. My, czyli środowisko Biblioteki Historycznej i Literackiej, napracowaliśmy się nad organizacją tej manifestacji, a oni ją przechwycili. Ludzie Leszka Moczulskiego przyszli na gotowe i bez naszej zgody podłączyli się ze swoimi transparentami. W oczach opinii publicznej wyszło na to, że to my zakładaliśmy KPN...

Inicjatywą naszego środowiska były akcje cmentarne na Powązkach Wojskowych. Najpierw z inicjatywy Wojtka Ziemińskiego, a potem już na własną rękę przeprowadziliśmy parę akcji wokół tzw. dołka katyńskiego. Później zostało to twórczo rozwinięte przez środowisko KPN-u. Naszym pomysłem było popularyzowanie miejsca po drugiej stronie pomnika Gloria Victis jako miejsca pamięci o ofiarach terroru powojennego (teraz są tam groby dowódców ZWZ-AK).

Przed 1 listopada 1979 r. nie było łatwo wspiąć się na rosące tam brzozy, by zawiesić długie i szerokie szarfy w barwach narodowych z odpowiednimi napisami. Mój przyjaciel Piotrek Krawczyk do dziś mi wypomina, że wspinałem się po jego plecach, a jak twierdzi nie byłem przesadnie lekki. Dzisiaj pewnie nie dalibyśmy już rady i to nie tylko dlatego, że brzozy znacznie urosły od tamtego czasu.

Największa i najgłośniejsza była demonstracja w Święto Niepodległości – 11 listopada 1979 r. Jak się do niej przygotowywaliście?

Pierwsza, skromna demonstracja 11 listopada odbyła się jeszcze w 1977 r., gdy Wojtek Ziemiński odśpiewał tablicę poświęconą Orlętom Lwowskim w katedrze warszawskiej. Wtedy ja ze Staszkiem Czopowiczem w czapkach harcerskich stanowiliśmy wartę honorową. Rok później, w 1978 r., postanowiliśmy zorganizować niewielką demonstrację polegającą na przejściu z katedry św. Jana pod Grób Nieznanego Żołnierza. To się udało, milicja była zaskoczona i chyba nie chciała interweniować z uwagi na religijno-patriotyczny charakter uroczystości. W następnym roku przygotowaliśmy się już lepiej, ale bezpieka też. Na bardzo prymitywnej maszynie drukarskiej, z czcionką składaną ręcznie, wydaliśmy śpiewniczek pieśni patriotycznych, bo lepiej się maszeruje śpiewając. Były też przygotowane pochodnie i flagi. Robiliśmy to wspólnie z Andrzejem Czumą i Wojtkiem Ziemińskim. Umówiliśmy się, że my z Ziemińskim zawiadamiamy ludzi o manifestacji za pomocą plakatów i klepsydr, a Czuma załatwia nagłośnienie.

Bezpieka próbowała nas wcześniej wyaresztować, ale jej się nie udało. Ja przedostałem się do katedry w towarzystwie mojej ciotki Medzi Kornikowicz, wnuczki Henryka Sienkiewicza, co jak mi się wydawało, jakoś miało mnie chronić. Założyłem płaszcz kobiecy i przez zakrystię udało mi się wejść do katedry, mimo że sporo ludzi zatrzymano. Po mszy do Grobu Nieznanego Żołnierza poszła duża manifestacja z wieniec. Służba Bezpieczeństwa nas atakowała, szarpała, pamiętam, że lekko stłukli Lutka Dorna. Przy wyjściu na Świętojańską mnie też zahaczyli. Miałem zajęte ręce, bo trzymałem wieniec, Marian Piłka z dziewczynami trzymali szarfy. Te szarfy milicja nam zdołała wyrwać, ale wieniec utrzymałem, mam z tego powodu do dziś poczucie satysfakcji. Mając ręce uwiązane z powodu wienca, skutecznie broniłem się nogami. Wciąż czuję smak zwycięstwa, gdy dobrze trafiony esbek zwinął się z bólu na chodniku...

Na szarfię widniał napis: „Jeszcze Polska nie zginęła”, na transparentach hasła: „Nie będzie Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej”, „Wolność i Demokracja. Żądamy wolnych wyborów”. Jak zaobserwowała SB, wieńce pod Grobem Nieznanego Żołnierza złożyli Wojciech Ziemiński – w imieniu żołnierzy RP i Armii Krajowej – oraz Bronisław Komorowski. W meldunku zapisano Pana wystąpienie: „Złożyliśmy przed chwilą wieniec w imieniu środowisk młodzieżowych, a więc tych, które rosły już w Polsce Ludowej bez niepodległości, i tych, którym jest w dalszym ciągu ta niepodległość bliska. Jesteśmy nadzieją Polski, jesteśmy nadzieją świata, jak mówił Ojciec Święty. Te słowa mieliśmy wypisane na transparencie, który nam został ukradziony przed katedrą. Ojciec Święty na tym placu wypowiedział słowa znamienne – nie może być Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej. To jest naszym celem, to jest naszym hasłem”. Były oklaski i skandowanie: „Jesteś naszą nadzieją”.

Gdy doszliśmy pod grób, było już ciemno. Przemawialiśmy kolejno – Czuma, Ziemiński, Józef Michał Janowski i na końcu ja. Moje wystąpienie było krótkie, co miało potem wpływ na wysokość kary, jaką dostałem, bo na rozprawie sędziego Kryże (późniejszy wiceminister sprawiedliwości w rządzie Jarosława Kaczyńskiego) powiedział: Komorowski mówił najkrócej i jest najmłodszy, więc dostał tylko miesiąc.

Kilka dni po demonstracji, 16 listopada 1979 r., SB zanotowała: „Z całości informacji wynika, że figurant czuje się zaszczycony swoim wystąpieniem i faktem składania wieńca w czasie tej »manifestacji«. Odebrał Pan też gratulacje od Macierewicza. W meldunku z podłuchu waszej rozmowy (14 listopada) zapisano: „Antoni Macierewicz chwalił Komorowskiego za jego wystąpienie, określając je jako »najlepszy tekst manifestacji«”.

Rzeczywiście, w Warszawie zrobił się wokół tego duży szum. Pojawił się nawet wiersz o tych czterech, co przemawiali przy Grobie Nieznanego Żołnierza, więc rosnę w dumę. Władza też nas doceniła. Dostaliśmy wezwania na kolegium do spraw wykroczeń. Odbywało się to na Nowogrodzkiej, gdzie zresztą w marcu 1968 r. pierwszy raz w życiu dostałem pałą od milicjanta obywatelskiego. Na rozprawę przyszła cała opozycja, demonstrując solidarność z nami, był Jacek Kuroń, byli moi przyjaciele, m.in. Witek Górczyński, który w trakcie manifestacji rozwinął polską flagę. Była ciocia Medzia Kornikowicz w charakterze świadka; powiedziała, że ona jako wnuczka Henryka Sienkiewicza jest pewna, że jej dziadek byłby dumny z takiego wystąpienia. Została wyproszona z sali rozpraw. Występował też wtedy w mojej obronie ks. Stanisław Małkowski. Pewnie coś mówił, jak zawsze, o czerwonych smokach...

10 grudnia 1979 r. kolegium wydało wyrok: za zorganizowanie nielegalnego zgromadzenia i przemówienia lekceważące naród polski Czuma i Ziemiński zostali skazani na trzy miesiące aresztu, Janowski i Komorowski – na miesiąc. Był to jeden z nielicznych przypadków kary bezwzględnego aresztu w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. 23 stycznia 1980 r. odbyła się dziesięciogodzinna rozprawa re-

wizyjna w Sądzie Rejonowym, której przewodniczył sędzia Andrzej Kryże. Świadek oskarżenia, funkcjonariusz MO Świerczyński, stwierdził, że jego uczucia patriotyczne zostały obrażone. Sąd podtrzymał orzeczenie kolegium, uznał oskarżonych za winnych korzystania ze środków masowego przekazu (głośników) bez zezwolenia, tamowania ruchu ulicznego oraz zachowania lekceważącego i obrażającego godność narodu polskiego. „Zdaniem sądu podnoszenie kwestii niepodległości przed Grobem Nieznanego Żołnierza było nietaktem i to właśnie narusza uczucia narodowe wielu Polaków” – pisano w uzasadnieniu.

Rok 1979 był rokiem opozycyjnych demonstracji. Do kolejnej manifestacji, czwartej w ciągu kilku miesięcy, jednak nie doszło. Organizowały ją w rocznicę Grudnia '70 grupa „Głosu” z KSS KOR, środowisko Andrzeja Czumy z ROPCiO i grupa Biblioteki Historycznej i Literackiej.

Bardzo ważnym katalizatorem, przyspieszającym eskalację manifestacji i w ogóle działań opozycji, był wybór papieża w październiku 1978 r. i pielgrzymka Jana Pawła II do Polski w czerwcu 1979 r. To był przełom w naszym zachowaniu, zyskałszy nieoczekiwanego, potężnego sojusznika. Nagle zobaczyliśmy, że są nas rzesze – ludzi podobnie odczuwających, że cele, które sobie stawiamy, takie jak niepodległość, są podzielane przez papieża, i że jesteśmy razem z resztą wolnej Europy. Finałem miała być manifestacja w rocznicę wydarzeń grudniowych 1970 r. Było to posunięcie o tyle nowe, że podczas gdy poprzednie demonstracje odwoływały się do rocznic z odległej historii, ta wymierzona była bezpośrednio w rządy komunistyczne i ekipę Gierka, w której nadal byli ludzie odpowiedzialni za tamtą masakrę. Aresztowano nas wtedy chyba głównie dlatego, że obawiano się, iż opozycja przechodzi od swego rodzaju polityki historycznej do spraw bliższych, takich jak odpowiedzialność poprzedniej i obecnej ekipy rządzącej.

Czy wiązał się z tym także zamiar powołania nowego ugrupowania opozycyjnego?

W pewnym sensie tak. My jako BHiL widzieliśmy swoje miejsce pomiędzy KOR-em a Ruchem Obrony. Ja współpracowałem z KOR-em od samego początku, a Janek Dworak, Piotrek Krawczyk i Marian Piłka należeli do ludzi sfrustrowanych kłótniami i konfliktami w Ruchu Obrony. Postanowiliśmy odciąć się od kłótni starych, od ciągłych sporów między Ziemińskim a Moczulskim, między Moczulskim a Czumą, od konfliktów w redakcji „Opinii”, której członkiem był Dworak. Najpierw więc założyliśmy własną inicjatywę wydawniczą, potem wyszliśmy z ideą demonstracji ulicznych jako elementem religijno-patriotycznych obchodów rocznic narodowych jednoczących ludzi o różnych sympatiach opozycyjnych. Trzecim punktem tej strategii miało być budowanie szerszego środowiska, z zamysłem przekreślenia różnic, głównie natury personalnej, które niszczyły opozycję. Stąd pomysł zorganizowania razem demonstracji grudniowej.

Rozgrywało się to także w kontekście konfliktu, jaki zaznaczył się w KOR-ze między grupą „Głosu” a tzw. lewicą laicką, czyli grupą Jacka Kuronia i dawnych „komandosów”. Ten konflikt wydawał się zbudowany wedle schematu odpowiadającego wyborowi ideowemu, który legł u podstaw naszego zaangażowania w Ruch Obrony Praw Człowieka

i Obywatela, tzn. stosunku do niepodległości i stopnia ostrości stanowiska antyrządowego i antykomunistycznego. Tak ocenialiśmy to z zewnątrz, naturalne więc było nasze zbliżenie ze środowiskiem Antka Macierewicza i projekt zrobienia czegoś razem. Grupa „Głosu” zareagowała pozytywnie na projekt wspólnej demonstracji grudniowej, który wyszedł od nas. Zorganizowana miesiąc wcześniej manifestacja w Święto Niepodległości bardzo się udała, więc uważaliśmy, że trzeba iść za ciosem.

Demonstracja grudniowa nie mogła się odbyć na tradycyjnym szlaku między katedrą a Grobem Nieznanego Żołnierza, bo proboszcz katedry św. Jana odmówił odprawienia mszy w intencji robotników pomordowanych w grudniu 1970 r. Andrzej Czuma miał zamówić mszę w kościele ojców kapucynów. Wydawało się nam, że załatwił na to zgodę kościelną, a tymczasem on po prostu w zeszycie w zakrystii dopisał drugą intencję mszalną do mszy za jakiegoś zmarłego. Uważał, że jako członek Kościoła nie musi tego uzgadniać z duchowieństwem. Nie poinformował więc ani władz kościelnych, ani parafii, że mamy zamiar zrobić po mszy demonstrację polityczną. Nam też nie powiedział, że tego nie załatwił.

Jak zwykle, podzieliliśmy się rolami. My zajmowaliśmy się rozwieszaniem klepsydr i zawiadomieniami o mszy, przygotowaniem wieńców, flag i pochodni. Pochodnie załatwiłem od mojego szczebu 208. Warszawskich Drużyn Harcerskich i Zuchowych im. Batalionu Parasol. Czuma miał zorganizować nagłośnienie od jakiejś grupy pielgrzymkowej. Do przygotowań włączyła się także grupa Macierewicza.

Odnaleziony przeze mnie w archiwum IPN-u donos ze spotkania Czumy i Macierewicza 8 grudnia mówi o planach powołania nowego ugrupowania opozycyjnego. Wedle SB miało się nazywać Centrum Demokratyczne⁴.

Coś było na rzeczy. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, też byłem w to zaangażowany. Faktem też było oświadczenie podpisane przez trzy środowiska – „Opinii”, „Głosu” i BHiL. Prowadziliśmy rozmowy o tym, by zbudować jakąś podstawę wspólnego działania, ale chyba nie był to zamysł aż tak bardzo konkretny. Być może jakieś znaczenie miał przykład KPN-u jako partii politycznej. Ale nie podjęto decyzji, aby doprowadzić do powstania nowej struktury. Świadomym zamysłem było natomiast, by przez nową formę opozycyjności, czyli demonstracje, w tym wypadku demonstrację związaną z sytuacją bieżącą, a nie odległą historią, budować nową jakość relacji między środowiskami opozycyjnymi. Istotne było, że robimy coś razem. Dla mnie było więc szalenie ważne, że znaleźli się w tym ludzie z KOR-u.

W waszej wspólnej ulotce pt. „17 grudnia 1970 – 17 grudnia 1979”, opublikowanej w „Opinii” i „Głosie”, zawarty był jednak zarys program politycznego. Śmierć robotników – pisaliście – „pozostaje symbolem walki Polaków o Wolność, Równość, Niezawisłość”. Przywoływaliście prawo do współzrządzenia własnym krajem. „Jesteśmy przekonani, że nie można podejmować decyzji gospodarczych i politycznych bez zgody narodu, że wolne związki zawodowe, swoboda zrzeszania się to gwarancja ładu demokratycznego, że tylko wolność słowa zapewni prawdę w życiu społecznym,

⁴ AIPN, 0256/442, t. 7, Informacja operacyjna, 9 XII 1979, k. 9–11.

że Niepodległość to wartość, do której Polacy muszą dążyć”. Jako cel wskazywaliście „Sejm wybrany w wolnych wyborach”. Pana podpis figuruje na pierwszym miejscu, obok Mariana Piłki. Ze środowiska KOR-u tekst sygnowali Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Urszula Doroszevska i Ludwik Dorn, z ROPCiO Andrzej Czuma, Wojciech Ziemiński, Emil Morgiewicz i Kazimierz Janusz.

Podpisy ułożono w trzech kolumnach, było czytelne, że sygnatariusze pochodzą z trzech środowisk. Ja z Piłką reprezentowaliśmy Bibliotekę Historyczną. Postawienie postulatu wolnych wyborów do sejmu oznaczało świadome eskalowanie celów opozycji.

Rocznica grudniowa była dla nas ważna także dlatego, iż byliśmy przekonani, że trzeba przełamać tradycję odrębnych buntów robotniczych i inteligenckich. Była to szansa zmanifestowania woli wspólnego działania. A także okazja do zaatakowania władz komunistycznych, odpowiedzialnych za tę nieodległą w czasie zbrodnię.

Miał Pan być jednym z mówców podczas manifestacji pod pomnikiem Kilińskiego zaplanowanej na 17 grudnia, po mszy w kościele kapucynów. Ale 14 grudnia do waszego mieszkania wkroczyła Służba Bezpieczeństwa. Łupem rewizji padło wiele egzemplarzy prasy niezależnej i papier, a Pan został aresztowany pod zarzutem udziału – napisała prokuratura – „w związku określającym się jako »ruch obrony praw człowieka i obywatela«, którego celem jest działalność przestępcza polegająca na rozpowszechnianiu wydawnictw pozbawionych debitu komunikacyjnego”. W aktach odnotowano, że podejrzany odmówił składania jakichkolwiek wyjaśnień. Zatrzymano wówczas blisko dwieście osób w całej Polsce, kilkanaście otrzymało sankcję prokuratorską i zostało aresztowanych. Wielu sądziło, że władze szykują się do rozprawy z opozycją. Pan też tak myślał?

Tak. Pamiętam rozmowy na Rakowieckiej zaraz po aresztowaniu. W pierwszym momencie nas nie izolowano, siedzieliśmy po kilku w pokojach i bodaj Adam Wojciechowski mówi: „A co nas będą tu trzymać? Mamy prawo wyjść na korytarz”. Wyszliśmy na korytarz, policja nie wiedziała, co robić. Może nie mieli tylu strażników? Na tym korytarzu zrobił się nagle opozycyjny konwentykiel kilkunastu osób – w areszcie śledczym! Wymieniliśmy poglądy na sytuację. Ja byłem przekonany, że poszliśmy, jak to się mówi, po bandzie, zaatakowaliśmy pierwszego sekretarza partii, obecną ekipę władzy i oni nam oddadzą. Że idą na zaostrezenie polityki wobec opozycji. Tym bardziej że skala aresztowań była bardzo duża, objęła także kolegów z lewicy korowskiej, niezaangażowanych w planowaną demonstrację.

Gdy już nas zabierali z korytarza, chyba Antek Macierewicz krzyknął: „Chłopaki, od niedzieli (jeśli dobrze pamiętam) głodówka!”. Było mi w to graj, bo to był następny stopień wtajemniczenia opozycyjnego, więc myślę sobie: w porządku. Zamknęli mnie w celi bez żadnego kolegi z opozycji, tylko z jakimś cinkciarzem, który prawdopodobnie był donosicielem. On dostał paczki na święta, więc nieźle sobie podjedliśmy, a ja odliczałem dni do głodówki.

Nadszedł ten dzień. Rozpaczynam głodówkę, bohatersko nie zjadłem śniadania, szykuję się do demonstracyjnego niezjedzenia obiadu, a tu raptem wzywają mnie do oficera

śledczego. Wchodzę do niego, a on zza biurka: „No, znowu się wam, k...a, udało! Znowu musimy was wypuścić, ale następnym razem was dorwiemy”. Daje mi druk o zwolnieniu, bez zamknięcia śledztwa, tylko zwolnienie z aresztu tymczasowego. Wychodzę zdumiony z pokoju, wypuszczają mnie z więzienia, na ulicy Rakowieckiej natykam się na kolegów, też już zwolnionych. Ale widzę, że niektórzy kiepsko wyglądają, jacyś tacy szarzy, zmęczeni. Podchodzę do Antka Macierewicza, a on pyta: „No jak, głodowałeś?”. „Głodowałem” – odpowiadam. I dopiero wtedy się zorientowałem, że oni głodowali od pierwszego dnia. Do dziś nie wiem, czy mam zaliczoną tę głodówkę, czy nie...

Zwolniono Pana 19 grudnia. W środowisku KOR-u sprawa niedosłej manifestacji grudniowej, organizowanej w tajemnicy przed osobami spoza „Głosu”, wywołała wielki spór, omal nie doprowadzając do rozłamu komitetu. Macierewicz nie poinformował kolegów o planowanej demonstracji, która stanowiła zaskoczenie także dla Kościoła i osób przybyłych na mszę. Większość członków KOR-u uznała to za naruszenie obowiązujących w opozycji zasad. Czy w Pana środowisku także prowadzono dyskusje na ten temat?

Oczywiście, mieliśmy pretensje do Czumy, gdy okazało się, że nie załatwił tego z Kościołem. Natomiast sygnały o sporze w KOR-ze na ten temat odczytywaliśmy jako potwierdzenie głębokich różnic ideowych w tym środowisku. Wzmocniało to nasze sympatie do grupy „Głosu”, która była bardziej radykalna, bardziej jednoznaczna w kwestii oceny władzy komunistycznej i skłonna wpisać się w nasz projekt działania politycznego za pomocą demonstracji. Patrzyliśmy też z pewnym zdziwieniem, jak ludzie z lewicy laickiej troszczyli się o to, by Kościół nie został uszkodzony. Ta troska była wówczas dla nas mało przekonująca. Wydawało się nam, że w sprawie Kościoła to my mamy więcej do powiedzenia, że jest on bardziej nasz. Mieliśmy przecież radykalnych księży po swojej stronie, takich jak Bronek Sroka czy o. Ludwik Wiśniewski. To był dla nas prawdziwy Kościół, który nie szuka kompromisu z komunistami, jest opoką także dla ruchów wolnościowych. Więc troska o to, czy popsuliśmy relacje opozycji z prymasem, do nas nie przemawiała. Naturalnie, Kościół miał prawo poczuć się potraktowany instrumentalnie. To był błąd Andrzeja Czumy, tak się takich spraw nie załatwia.

Wedle mojej pamięci wspólna deklaracja trzech środowisk była naszą inicjatywą. Za nią nie szedł projekt budowania partii, ale zamiar tworzenia pomostu między środowiskami niepodległościowymi wywodzącymi się z ROPCiO i grupą z KOR-u wrażliwą na te same wartości. Jaka była pointa tego wydarzenia? Nieudana demonstracja oznaczała, że obie strony – i władza, i opozycja – zalcytowały wyżej. My przygotowując wystąpienie przeciwko ekipie rządzącej, oni – wręczając na skalę relatywnie masową sankcje prokuratorские. Rzecz w tym, że oni nas wypuścili, więc musieli się w pewnej mierze wycofać, a my nie zrezygnowaliśmy z robienia demonstracji, choć z tej konkretnej – tak, bo się po prostu nie udało. Ocenialiśmy tę sytuację następująco: jak się idzie ostro, to oni się cofają. Bo przecież sankcje nie odegrały zaplanowanej roli – nie zastraszyły nas, choć śledztwo trwało. Ja się w ogóle nie interesowałem, co się z tym śledztwem dzieje, nas to w ogóle nie obchodziło. Toczy się jakaś sprawa – no i co z tego? Niech się toczy pięć!

To nie ma żadnego znaczenia. Wiadomo, że na końcu albo my wygramy, albo oni nas zgnoją w więzieniu. Taki był stan ducha.

Gdy dzisiaj myślę o tej niedosłej demonstracji, to istotnie, widzę w tym pójście po bandzie, ale gdybyśmy się przed tym cofnęli, to za chwilę zrobiłby to ktoś inny. Był już przecież KPN, dawały o sobie znać nastroje radykalne także w Komitecie Obrony Robotników. Eskalacja była przesądzona. Zresztą skłonność do zaostrzania metod działania jest rzeczą typową dla środowisk rewolucyjnych. Dochodziło też do swoistej licytacji w tej mierze. Utrzymywało się to jednak w pewnych ramach, nie sięgaliśmy po środki przemocy, typowe przecież dla rewolucji. My zawsze demonstrowaliśmy pokojowo.

Tym niemniej dostaliście wyroki więzienia za demonstrację listopadową, co było precedensem w polityce wobec opozycji.

Tak, to też była nowa jakość. Z wykonaniem tego wyroku były kłopoty, bo nie chcieli mnie przyjąć do więzienia na Służewcu. Dostałem termin, w którym miałem się zgłosić do odbycia kary. W oznaczonym dniu poszliśmy tam całą grupą kolegów z rodzinami i przyjaciółmi, ale mnie do więzienia nie przyjęli. W końcu odsiedziałem ten miesiąc, ale głównie w więzieniu w Pułtusku. Przewieziono mnie tam ze Służewca prawdopodobnie dlatego, że tu spotkałem dawnego kolegę, który siedział za pobicie milicjanta w knajpie. Był kalifaktorem, roznosił zarcie. Poznaliśmy się, dostałem od niego więcej zupy, ale straż się zorientowała, że mam „swojego” człowieka funkcyjnego w więzieniu. Pułtusk to stare więzienie w budynku poklasztornym, trafiłem tam do celi grypsującej, co było rzeczą niepraktykowaną i dość nieprzyjemną. Po jednej nocy przeniesli mnie jednak do celi ze starszymi kryminalistami, ale nie bandytami. Siedziałem tam z księgowym (więziennym donosicielem), z hydraulikiem włamywaczem i z kierowcą, który ukradł z zakładu jakieś lampy.

Z więzienia wyszedł Pan 5 maja 1980 r. Resocjalizacja nie bardzo się udała. 14 sierpnia, w dniu rozpoczęcia strajku w Stoczni Gdańskiej, składaliście wraz z Wojciechem Ziemińskim z Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu i działaczami KPN-u wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza z okazji rocznicy „cudu nad Wisłą”.

Tego dnia składałem też razem z żoną kwiaty na kwaterze Orłąt Lwowskich na Powązkach.

Od redakcji: Drugą część rozmowy z Bronisławem Komorowskim, obejmującą czasy Solidarności, opublikujemy w następnym numerze „Wolności i Solidarności”.

UCIEC PRZED KONFRONTACJĄ. KONCEPCJA RZĄDU NARODOWEGO W 1981 ROKU

Pod koniec I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność Jan Lityński i Paweł Śpiewak zastanawiali się w „Robotniku” nad możliwym rozwojem wydarzeń. Stwierdzali, że nadszedł moment najtrudniejszy i najniebezpieczniejszy od chwili powstania Solidarności. Do lata 1981 r. społeczeństwo wierzyło, że władza może się zmienić, dostosować do nowego układu sił. Teraz ta wiara zanikła, „społeczeństwo już wie, że władza się nie zmieni, że trzeba zmienić władzę”. Ludzie mają świadomość, że „władza nie jest już w stanie rządzić – a w każdym razie nie panuje nad gospodarką – i że zmierzamy ku katastrofie. [...] Związek musi i chce wziąć odpowiedzialność za stan gospodarczy i społeczny kraju”.

Samorząd pracowniczy był jedynym pomysłem na wyrwanie monopolistycznej władzy kontroli nad gospodarką, ale niewiele zrobiono, by przetłumaczyć ideę samorządu na język codziennych działań w zakładach pracy. Powstanie rad pracowniczych to jednak zaledwie krok, potrzebne są zmiany prawne i polityczne, by samorząd nie został zniszczony – pisali Lityński i Śpiewak. Reforma gospodarcza przyniesie bankructwo wielu zakładów, redukcję zatrudnienia, różnicowanie się dochodów różnych grup, co nieuchronnie doprowadzi do nowych konfliktów i podziałów. „Jeżeli zatem nie powstaną instytucjonalne formy rozładowania rodzących się sprzeczności, samorząd pracowniczy okaże się bezradny – nie zahamuje chaosu i dezorganizacji”. Konieczna jest walka o samorząd terytorialny i drugą izbę w sejmie. „Tworzenie samorządu terytorialnego musi zatem być kolejnym elementem strategii Związku. Stąd postulat wolnych wyborów do rad narodowych, co przy poszerzeniu ich kompetencji da społeczeństwu możliwość przejmowania władzy w terenie”. Jest to program do przyjęcia dla władzy; wprowadzie ogranicza jej monopol, ale daje w zamian minimum zaufania społecznego. „I zostawia jej – przynajmniej na dziś – Sejm. Na dziś, bo ruch przemian musi prowadzić dalej – do wolnych wyborów do Sejmu. Taka jest logika tego ruchu”.

Co na to władza? Próbuje skompromitować Solidarność, oskarżając ją o przyczynienie się do kryzysu i dążenie do konfrontacji. „Chodzi o to, by odizolować działaczy, którzy nie zechcą się podporządkować, a wytuskać tych, którzy pójdą na daleko idącą współpracę, wejdą do FJN [Frontu Jedności Narodowej – A.F.] czy nawet do Sejmu lub rządu. W takiej sytuacji władza mogłaby uzyskać pewne społeczne poparcie, którego brak tak ją

ANDRZEJ FRISZKE

prof. dr hab., historyk, profesor w Instytucie Studiów Politycznych PAN, wykładowca Collegium Civitas, członek redakcji „Więzi”, przewodniczący Stowarzyszenia Archiwum Solidarności. W 1981 r. redaktor działu historycznego „Tygodnika Solidarność”, w latach 1999–2006 członek Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej, od 2011 r. Rady IPN. Autor wielu prac z najnowszej historii Polski, m.in.: *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980* (1994), *Oaza na Kopernika. Klub Inteligencji Katolickiej 1956–1989* (1997), *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* (2003), *Niepokorni. Rozmowy o Komitecie Obrony Robotników* (wspólnie z Andrzejem Paczkowskim, 2008), *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi* (2010), *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności* (2011); redaktor pracy zbiorowej (i autor artykułu w niej) *Solidarność podziemna 1981–1989* (2006).

paraliżuje. Nie znaczy to jednak, że ma zamiar cokolwiek oddać”. Zerwanie rozmów sierpniowych miało podzielić Solidarność. „Liczone, że Wałęsa powie: dość radykałów, bo przeszkadzają w porozumieniu. Tylko że nikt na to nie poszedł”. Obecnie władza ma w odwodzie wrześniowy list Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i straszenie społeczeństwa, że „rząd Jaruzelskiego jest rządem ostatnim, że po nim jest już tylko interwencja i panowanie radzieckie. Po drugie, liczy na zmęczenie i co za tym idzie, polityczne zubożenie społeczeństwa, a także na to, że sytuacja przestanie być przejrzysta [...], że uda się ludzi zdezorientować, że przestaną rozumieć, do czego właściwie dąży »Solidarność«. Na tym polega obecna kampania propagandowa”.

Lityński i Śpiewak prognozowali trzy możliwe scenariusze dalszych zdarzeń. „»Solidarność« może stracić kontrolę nad swymi członkami, którzy radykalizują się tak, że nic ich nie powstrzyma, kiedy będą np. chcieli – jak to było podczas akcji protestacyjnej w Warszawie – skrócić w lewo. Dojdzie wtedy do starcia z MO i w konsekwencji do niekontrolowanego łańcucha wydarzeń. Może też być tak, że władza pójdzie na świadome uderzenie: wbrew Związkowi ogłosi swoją wersję podwyżki cen lub np. zmilitaryzuje RTV. »Solidarność« może wówczas zdecydować się na strajk generalny”. Najprawdopodobniej jednak władza nie pójdzie na frontalne uderzenie. „Jeśli gra na podział Związku i społeczeństwa, to będzie uderzać »bokami«, licząc na to, że uda się jej aresztować część działaczy i zrobić »swoją« Solidarność. Jest to jednak próba samobójcza, która musiałaby się skończyć konfrontacją. »Każda z tych sytuacji może doprowadzić do tragedii: do próby użycia sił wewnętrznych i w konsekwencji do wkroczenia wojsk radzieckich”.

Druga możliwość – władza się opamięta, pójdzie na ustępstwa. „I jeżeli np. dojdzie do strajku generalnego – zaczną negocjować. Takie rozmowy musiałby doprowadzić do przekreślenia formuły o kierowniczej

roli partii”. Zaufanie społeczne mógłby zdobyć tylko „rząd koalicyjny, rodzaj komitetu ocalenia narodowego”, w którym znaleźliby się przedstawiciele Solidarności, Kościoła i partii komunistycznej. „Przerażony perspektywą całkowitej utraty kontroli nad Polską, Kreml mógłby uderzyć. Powstanie takiego rządu nie musi jednak stawiać kraju w obliczu bezpośredniej groźby interwencji”. Scenariusz trzeci to gra na zwłokę, kampanie propagandowe na przemian z drobnymi ustępstwami, bez istotnych reform ekonomicznych, czyli „sytuacja, jaką znamy od miesięcy”¹.

Artykuł ten dobrze oddawał pytania i dylematy liderów i doradców Solidarności, zwłaszcza z kręgu korowskiego. Dobrze też diagnozował sytuację jesieni 1981 r.

Po zakończonym zjeździe Solidarności Jacek Kuroń wyjechał z żoną w góry. Do Warszawy wrócili 22 października na wieść o tym, że gen. Wojciech Jaruzelski został wybrany na szefa PZPR. Podstuchujący telefon Kuronia esbecy odnotowali, że między 23 a 25 października miał wiele rozmów, m.in. ze Zbigniewem Bujakiem, Andrzejem Celińskim, Janem Lityńskim. Udzielił też wywiadu Norweskiej Agencji Prasowej. Oceniał, że konfrontacja między władzami a Solidarnością jest nie do uniknięcia, ale Solidarność ma szansę ją wygrać, jeśli władzom nie uda się narzucić społeczeństwu opinii, że to związek odpowiada za doprowadzenie do konfrontacji. Wówczas może dojść do utworzenia Komitetu Ocalenia Narodowego. „Dotychczas PZPR nie wyraża na to zgody – streszczano wywody Kuronia. – Jednak należy spodziewać się, iż nastąpi frustracja w PZPR i w przypadku konfrontacji część członków partii opowie się za Solidarnością. Przedstawiciele tej frakcji weszliby w skład KON. Kuroń nie jest pewny, czy powołanie Komitetu Ocalenia Narodowego bez członków PZPR nie spowoduje interwencji zbrojnej ZSRR, tym niemniej rozważa takie przedsięwzięcie. Uważa, że z inicjatywą utworzenia KON powinna wystąpić PZPR. Obawia się, że w sytu-

¹ J. Lityński, P. Śpiewak, *Między konfrontacją a porozumieniem*, „Robotnik” 1981, nr 79; por. J. Tarkowski, *Fundament pod samorząd lokalny*, *ibidem*.

acji, gdy Solidarność pójdzie na konfrontację, wojsko wystąpi z programem zaprowadzenia porządku i zyska społeczne poparcie, wygrywając całą batalię polityczną w Polsce. Kryzys w Polsce jest również kryzysem zaufania. Nowa władza musi mieć zaufanie społeczeństwa. Obecnie władze nie mają takiego zaufania, ale również traci je Komisja Krajowa [NSZZ Solidarność], regiony, a nawet poszczególni działacze związku. Aktualnie konieczne jest wyjście z takim programem, który uzyska poparcie całego społeczeństwa. Program, który choć w części nie zostanie zaakceptowany, poniesie klęskę wraz z osobami, które z nim wystąpią”².

Swoją koncepcję Komitetu Ocalenia Narodowego Kuroń rozwijał, napotykał na sprzeciw z różnych stron. Radykalną krytykę tego sposobu myślenia wyraził jeszcze w czasie zjazdu Solidarności Antoni Macierewicz na łamach pisma „Głos Wolny”. „Jaki wpływ na kierunki polityki tego Komitetu miałyby społeczeństwo w sytuacji, gdy podstawowe instrumenty władzy – tj. wojsko, policja, administracja, informacja i polityka gospodarcza – pozostają nadal poza społeczną kontrolą? Czy nie oznaczałoby to utrzymania obecnej sytuacji pod zmienioną nazwą? Dotychczasowe doświadczenia polityki polskiej każą ostrożnie podchodzić do wszelkich koncepcji, jakie nakierowane są przede wszystkim na przejęcie władzy politycznej”. Doświadczenia ostatnich miesięcy uczą, że bez zmiany struktury politycznej nie sposób dokonać najpilniejszych reform gospodarczych. Kontynuowanie zaś polityki gospodarczej grozi nieobliczalnymi konsekwencjami w najbliższym czasie. „Najbezpieczniejszy wydaje się program przebudowy ekonomicznych i politycznych struktur drogą nieustannej presji, wymuszania reform demokratyzujących kolejne sfery życia. Potrzeba czasu, by społeczeństwo zaczęło odtworzać naturalne więzi, odzyskiwać podmiotowość niezbędną do autentycznego udziału w polityce i rządzeniu własnym państwem”. Nie jest to perspektywa odległa, bo za cztery miesiące odbędą się wybory do

rad narodowych. Trzeba też przyspieszyć wybory do sejmu, gdyż nie da się utrzymać sytuacji, gdy „najwyższe przedstawicielstwo narodu pochodzi z nominacji”. Wybory do rad i sejmu muszą być oparte o demokratyczną ordynację. „W międzyczasie samorządowa reforma gospodarcza przyczyniłaby się do upodmiotowienia poszczególnych grup społecznych, uzależnionych od państwowego pracodawcy. W ten sposób zostałyby dokonana przebudowa systemu politycznego i ekonomicznego, gwarantująca suwerenność i demokrację. Sejm i wyłoniony przezeń rząd podjęłyby niezbędne negocjacje ustalające zakres obowiązywania międzynarodowych sojuszy Polski”. Zasadniczym czynnikiem warunkującym powodzenie tego programu „jest wymuszenie na władzach polityki gospodarczej zgodnej z potrzebami i dążeniami społecznymi” – twierdził Macierewicz. W tym celu konieczne jest „obsadzenie ministerstw gospodarczych fachowcami zaakceptowanymi przez »Solidarność« oraz powołanie w porozumieniu z naszym związkiem Rady Społeczno-Gospodarczej, która nadzorowałaby zarówno bieżącą politykę gospodarczą, jak i realizację reformy”.

W tej wizji brakowało tylko odpowiedzi na najważniejsze pytania: jak skłonić rząd do oddania władzy Solidarności? I jak zneutralizować Moskwę? W tej ostatniej kwestii Macierewicz posuwał się do brzydkich insynuacji, pisząc, że koncepcja Kuronia, podjęta w sejmie przez Ryszarda Reiffa, nasuwa obawę, że jej skutki „znaczyć będą powrót do smutnych czasów z końca XVIII w., kiedy to poszczególne koterie polityczne ubiegały się w rosyjskiej ambasadzie o mandat sprawowania władzy w Polsce. Wątpliwe, by obecnie ZSRR zgodził się na udzielenie tego mandatu komukolwiek poza PZPR. Z pewnością jednak polityka rosyjska skorzysta z pojawienia się kontrkandydata. Zacząłby się w ten sposób proces »bałkanizacji« polityki polskiej; walka o rosyjski mandat nie przybliżałaby, lecz oddalała szanse Polaków na odzyskanie niepodległości”. Prawdziwi przedstawiciele narodu

² Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 0204/1417, t. 45, Meldunek operacyjny, 27 X 1981, k. 32–33.

mogą pochodzić tylko z wyborów powszechnych i tylko przez nich wyłoniony rząd może pertraktować z innymi państwami³.

Były to podejrzenia i insynuacje, które miały blokować możliwość porozumienia się Solidarności z władzą i szukania *modus vivendi* z Moskwą. Zadeklarowane przez Macierewicza pryncypia w istocie oznaczały rezygnację z jakiegokolwiek oddziaływania na sytuację kraju. Do konkretnej sytuacji załamania gospodarczego i groźby społecznego wybuchu w ogóle się nie odnosił. W ówczesnej sytuacji ten głos nie był odosobniony, dobrze korespondował z postawą wielu działaczy, którzy do władzy czuli po prostu wstręt, a zamiast polityki realnej wybierali deklarowanie wartości. I abstrakcyjnie wierzyli, że władza sama z siebie odda społeczeństwu resorty gospodarcze oraz wybory do rad narodowych i sejm.

Z tym rozumowaniem polemizował Kuroń, proponując aktywną, elastyczną politykę, która jednak w ówczesnych warunkach była wizją przemian rewolucyjnych. Solidarność zapowiada, że będzie wspierać społeczeństwo w przeprowadzeniu reformy w różnych dziedzinach życia. „Nie da się budować Polski samorządowej w totalitarnym państwie, przy pomocy totalitarnej administracji. Ale nie da się jej też budować bez pomocy administracji. Musi więc się ona przystosować, demokratyzować państwo i zaakceptować demokratyczne przemiany.

To jest rodzaj oferty i rodzaj kompromisu. Należy liczyć się z tym, że zostanie on odrzucony i że dojdzie do konfrontacji. Trzeba być na nią przygotowanym. Jedno jest pewne: nie możemy wyjść z tego zwarenia z nowym porozumieniem, podczas gdy władza pozostanie bez zmian, a my pozostaniemy w tym samym miejscu.

I stąd bierze się ta rezerwowa koncepcja – na wypadek katastrofy – koncepcja Rządu Ocalenia Narodowego. Jego powołanie wiązać się powinno z zapowiedzią przeprowadzenia w jak najkrótszym czasie wolnych wyborów”. W takim rządzie powinni

się znaleźć ludzie akceptowani przez Solidarność z jednej, a Kościół z drugiej strony. „I oczywiście – w sprzyjających okolicznościach – można by do tego Komitetu zaprosić trzeci czynnik: aparat władzy, partię czy rząd. [...] Do czego tutaj w ogóle potrzebna jest partia? Gdyby miała ona ułatwić takie kontakty ze Związkiem Radzieckim, które oddaliłyby groźbę interwencji – to oczywiście trzeba by z nich skorzystać. [...] Jedno jest pewne – z partią czy bez partii, w Komitecie mogliby się znaleźć wyłącznie ludzie strawni dla Związku Radzieckiego. W żadnym wypadku nie mógłbym to być ja czy ktoś okrzyczany antysocjalistą i kontrrewolucjonistą”.

Kończąc, Kuroń mówił: „jeśli nie zdarzy się cud, to znaczy jeśli nie pójdziemy hiszpańską drogą do demokracji poprzez oddolne przekształcanie się władzy pod presją dynamiki tego ruchu – to musi dojść do powołania Komitetu Ocalenia Narodowego, Rządu Jedności Narodowej, wszystko jedno jak to nazwiemy. Ponad 30-milionowy kraj nie może istnieć bez władzy państwowej. I nie może istnieć władza państwowa bez społecznego zaufania”⁴.

W tych słowach widać było wahanie lub pesymistyczną ocenę, że zmianę modelu władzy zapewne poprzedzi konfrontacja. Była to istotna rewizja wcześniejszej koncepcji Kuronia, wynikająca z obserwowanego usztywnienia władzy i zapowiadanej woli obrony starego systemu. Podobnie na okoliczności ewentualnego powstania Komitetu Ocalenia Narodowego wskazywali Lityński i Śpiewak w omówionym artykule. Po przesileniu Kuroń widział jednak potrzebę współdziałania z partią i administracją w reformowaniu kraju i budowaniu systemu samorządności, obejmującego też wybory do sejm. Nie odpowiadał na pytanie, jak powstrzymać gwałtowną zapaść gospodarczą i nie dopuścić do niekontrolowanego przez nikogo wybuchu.

Oprócz wypowiedzi dla „Głosu Wolnego” zaznaczył swoje stanowisko również w prasie oficjalnej. Opublikowany 9 października w „Sztandarze Młodych”

³ A. Macierewicz, *Spór o program*, „Głos Wolny” 1981, nr 18.

⁴ J. Kuroń, *Spór o program*, *ibidem* (wywiad przeprowadzony przez J. Szczęsną i S. Blumsztajna).

jego wywiad był sensacją, gdyż po raz pierwszy od dwudziestu lat Kuroń mógł się wypowiedzieć w prasie państwowej, powszechnie dostępnej, sprzedawanej w kioskach. W obszernym wywiadzie mówił o swych przekonaniach ideowych, pokrótce scharakteryzował KOR, odpowiedział też na pytania dotyczące spraw aktualnych. Zapytano go: „Co pan teraz radzi związkowi – dogadać się z władzą i zaakceptować dotąd zreformowany po sierpniu socjalizm czy przeć dalej po władzę, po rady narodowe, po Sejm? Dla nas, przy takim postawieniu sprawy – ta druga linia oznacza dalsze napięcia polityczne, odwracanie uwagi społecznej od spraw dziś najważniejszych, od gospodarki, energii, zimy i pustych sklepów”. Odpowiedział: „Od pustych sklepów nie sposób niczyjej uwagi odwrócić. A poważnie – powiadacie panowie – przeć po władzę, zabiegać o to, aby rady narodowe i samorządy były tym, czym są z nazwy. Czyli byłyby tym, czym je stanowi ustawa zasadnicza, wybierane przez społeczeństwo. [...] Jest oczywiste i jednoznaczne, że aby wyjść z kryzysu, trzeba dokonać zasadniczych zmian strukturalnych. Zaszły pewne fakty nieodwracalne. Podstawowym z nich jest zorganizowanie się społeczeństwa. Temu społeczeństwu już nikt nic nie może narzucić. Pomysł, że można nim rządzić tak, jak przed sierpniem – jest pomysłem szalonym, halucynacją”. Trudno od ludzi wymagać, by wierzyli, że wyrzeczenia i ciężka praca, niezbędne do wyjścia z kryzysu, nie zostaną zmarnowane. „Koniecznie więc trzeba ludziom dać taki system przedstawicielski, który mógłby zafunkcjonować, aby społeczeństwo mogło poczuć się gospodarzem. W tej sytuacji nasze propozycje programowe – samorząd, rady narodowe, społeczna rada gospodarki – są to po prostu minima”. Pytany o koncepcję Komitetu Ocalenia Narodowego podkreślał, że chodzi o projekt rezerwowy, związany z sytuacją, gdyby wszystko zaczęło się walić. „Mam jednak nadzieję, że możliwość ta pozostanie wyłączona w sferze spekulacji intelektualnych”⁵.

Trudno ocenić, czy publikując wypowiedzi w „Głosie Wolnym” i „Sztandarze Młodych”, Kuroń nie był pewny swej propozycji, czy zachowywał taktyczny umiar, pragnąc, by jego koncepcja dojrzała, zyskiwała zwolenników, nim postawi ją otwarcie. Bardziej prawdopodobna jest druga możliwość, gdyż przecież jeszcze w lipcu na spotkaniu w Katowicach wykladał ją jako perspektywę realną i korzystną. Opór, jaki napotykał nawet w bliskim otoczeniu, gdzie dominował pogląd, że jest to koncepcja fantazyjna, nie do zrealizowania w istniejącej sytuacji geopolitycznej i psychologicznej, musiała go skłaniać do ostrożności. Zarzuty takie, jakie stawiał Macierewicz, były groźne, gdyż oskarżenia o skłonność do porozumienia z partyjnymi frakcjami zyskiwały dość licznych w Solidarności życzliwych słuchaczy. Równocześnie z rozwiązaniem Komitetu Samoobrony Społecznej KOR na zjeździe Solidarności proklamowano powstanie Klubów Służby Niepodległości. Odpowiednią deklarację podpisało kilkanaście osób (w tym Macierewicz), które od dawna uważały Kuronia i jego otoczenie za przeciwników politycznych. Wielu działaczy Solidarności, jak o tym świadczył choćby przebieg posiedzeń Komisji Krajowej, nie uważało sytuacji za naprawdę groźną i spodziewało się zmusić władzę do bardzo daleko idących ustępstw. Z tej perspektywy koncepcja rządu narodowego mogła się wydawać wręcz kapitulacyjna.

Zapisane przez podstuchujących esbeków opinie Kuronia świadczyły o tym, że w październiku uznał on, iż sytuacja gwałtownie przyspiesza, realna jest groźba utraty kontroli nad biegiem wydarzeń, i wprost zadeklarował się jako zwolennik niekonwencjonalnych rozwiązań. W wywiadzie, którego 27 października udzielił japońskiemu dziennikarzowi, mówił: „władze Solidarności nie w pełni kontrolują akcje strajkowe i nie posiadają możliwości im przeciwdziałać, gdyż nie potrafią znaleźć wspólnego języka z robotnikami”. Pogarszający się stan ekonomiczny pro-

⁵ „Sztandar Młodych”, 9–11 X 1981, wywiad przeprowadzili J. Gonczarski i R. Naleszkiewicz, cyt. za: J. Kuroń, *Polityka i odpowiedzialność*, Londyn 1984, s. 198–204.

wadzi do odwracania się od Solidarności. Jako wyjście umożliwiające przywrócenie równowagi wskazywał „niezbędną pomoc żywnościową z EWG i Związku Radzieckiego”. Poprawa sytuacji na rynku umożliwiłaby dalszą demokratyzację opartą na samorządach. Mówił o potrzebie porozumienia z władzami, ale pod pewnymi warunkami, m.in. powołania Rady Społeczno-Gospodarczej, która dawałaby wiarygodność decyzjom gospodarczym. Zauważył też, że brak decyzji w sprawie utworzenia Komitetu Ocalenia Narodowego może uczynić takie rozwiązanie w przyszłości niemożliwym, spóźnionym. Zapytany przez Japończyka o zmianę na stanowisku I sekretarza KC PZPR, ocenił: „jest w tym coś złowróżbnego”. Zmiana ta sprawia wrażenie, „że wojsko zamierza uporządkować gospodarkę, ale czasem porządek wojskowy może okazać się »śmiertelny dla gospodarki«”. Terenowe grupy operacyjne mogą „zamienić się w sztaby operacyjne na wypadek ogłoszenia stanu wyjątkowego”⁶.

W tym czasie Kuroń udzielił wywiadu dla rzeszowskiego pisma Solidarności „Wryj”. Był to wywiad znaczący również dlatego, że miał charakter sporu z radykalnym dziennikarzem. Kuroń wskazywał na znaczenie przestrzeni istniejącej między zdeklarowaną opozycją a władzą, mówił m.in., jak ważne to było dla KOR. Przeciwwstawiał się dzieleniu literatury pięknej na „oficjalną” i „niezależną”, a także potępianiu w czambuł telewizji, w której obok programów propagandowych są wartościowe społeczne i kulturalne. „Dla Polaków, dla nas wszystkich najlepiej by było, ażeby proces demokratyzacji, budowy nowych demokratycznych instytucji, prowadzić w ścisłej współpracy z rządem, co nie znaczy oczywiście – bez konfliktów, bo to jest niemożliwe, ale by te konflikty były elementem współpracy. [...] Obawiam się jednak, że jest cechą bardzo, bardzo wielu działaczy »Solidarności« taka zabawa w zamykanie oczu. [...] I jeśli z rządem rzeczywiście należy walczyć, to powiedzmy

uczciwie – im prędzej rząd zostanie obalony, zostanie powołana nowa władza, tym większa szansa, że nie utoniemy, a szansa i tak jest niewielka. Natomiast jeśli z rządem można jakoś współpracować, to to jest szansa, że wyjdziemy z tego wszystkiego”. Wiele ludzi kieruje się fobiami lub frustracjami, ucieka przed realną oceną sytuacji, a przecież „istnieje to państwo, biedne, w bardzo złym stanie, ale istnieje, a my istnieć bez państwa nie możemy”. By wychodzić z kryzysu, trzeba ciężko pracować, ale społeczeństwo musi uwierzyć, że jego trud nie zostanie zmarnowany. „Rządowi społeczeństwo nie wierzy i to jest cały dylemat, więc dziś ocalić nas może tylko cud gospodarczy albo cud polityczny. Cud gospodarczy to taki, że po prostu samo z siebie robi się jako tako, a cud polityczny to taki, że będzie rząd, do którego będziemy mieć zaufanie. Myślę, że cudu gospodarczego nie będzie, natomiast polityczny – to nasze jedyne wyjście i ten cud jest możliwy”⁷.

Przekonywał do takiego myślenia, ale napotykał na opór i niezrozumienie. Działacze związku reagowali emocjonalnie i negatywnie na myśl o porozumieniu z komunistami, a trwająca kampania propagandowa przeciw Solidarności, obrażająca ludzi i idee, tylko ten stan ducha wzmacniała. Kuroń ocenił: „robotnicy są zmęczeni ciągłymi strajkami i kryzysem, mają już wszystkiego dosyć i dlatego poderwani do strajku mogą usiłować za jednym zamachem obalić władzę, z drugiej strony w Solidarności pojawił się duży ruch antysemitki”⁸. Po stronie władzy ani jawnie, ani na poufnych zebraniach nie myślano o żadnym porozumieniu i podziale władzy. Co więcej, w propagandzie uderzano nawet w tony nacjonalizmu, egoizmu narodowego, jeśli było to użyteczne w walce z ludźmi KOR. Drastycznym tego przykładem był gwałtowny atak na broszurę Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* wydaną przez Solidarność poza cenzurą. Lipskiego oskarżono o brak patriotyzmu, zaprzękanie

⁶ AIPN, 0204/1417, t. 45, Meldunek operacyjny, 29 X 1981, k. 46–47.

⁷ *Ibidem*, Meldunek operacyjny, 30 X 1981, k. 55. Wywiad opublikowany w: „Wryj” 1981, nr 8 (cytaty za tekstem wydrukowanym). Kopia czasopisma w aktach sprawy karnej Kuronia, AIPN, 514/4, t. 3.

⁸ AIPN, 0204/1417, t. 45, Meldunek operacyjny, 23 X 1981, k. 37.

się niemieckim interesom, właściwie zdradę kraju⁹. Opublikowanie wywiadu z Kuroniem w „Sztandarze Młodych” zostało w kierownictwie PZPR potraktowane jako skandal, danie trybuny najgorszemu wrogowi państwa. Jacek Nachyła utracił za to stanowisko redaktora naczelnego pisma¹⁰.

Najprawdopodobniej w drugiej połowie listopada Kuroń napisał artykuł *Rząd Narodowy*, który był syntetyczną oceną zdarzeń w Polsce i próbą zarysowania perspektywy. Powtarzał w nim wiele argumentów, którymi operował wcześniej, ale zbierał je w jedną całość. Koncepcję Komitetu Ocalenia Narodowego przeformułował w hasło Rządu Narodowego. „Jak jest źle, nie trzeba pisać. Wszyscy widzą – zaczynał. – Warto natomiast napisać parę zdań o tym, jak źle może być”. Jeśli nic się nie zmieni, warunki życia będą się dalej pogarszać. Zaostrzą się napięcia społeczne, zmniejszać się będzie autorytet Solidarności i jej wpływ na lokalne wybuchy gniewu. Łatwo może dojść do rozruchów ulicznych, „palenia budynków różnych instytucji, przelewu krwi, samosądów”. Najprawdopodobniej nim do tego dojdzie, „zostanie wprowadzony stan wyjątkowy, władzę przejmie wojsko, prawa obywatelskie zostaną zawieszone”. Taka próba „musi wywołać konfrontację z »Solidarnością« i to w warunkach głębokiego podziału społeczeństwa.

Byłaby to więc taka konfrontacja, którą śmiało można nazwać wojną domową”.

Oceniał, że ZSRR nie chce interweniować w Polsce, ale nie można liczyć na bezczynność wojsk sowieckich, gdy zostaną zagrożone ich gwarancje militarne, czyli udział Polski w Układzie Warszawskim, swobodny tranzyt wojsk przez Polskę i ich obecność w naszym kraju. Sowieckiej interwencji można oczekiwać w wypadku wojny domowej lub całkowitej anarchizacji życia. „Zatem – jeśli nie nastąpią w naszym kraju radykalne zmiany – interwencja jest nieomal pewna”.

Wyjście z kryzysu może przynieść tylko tworzenie nowych form współpracy społecznej. „Społeczeństwo polskie jest zorganizowane i nic mu nie można narzucić siłą. Zatem władze państwowe mogą pełnić swoją rolę tylko w ten sposób, że będą przewodzić ruchowi społecznemu. Tymczasem ani do tej roli się nie kwapią, ani ze względu na niechęć, jaką są otoczone, nie mają do jej pełnienia warunków”. Początkiem wszelkich niezbędnych zmian musi więc być powołanie rządu obdarzonego społecznym zaufaniem.

Wolne wybory wymagają przygotowania. Powinny powstać programy wyborcze zawierające konkretne projekty rozwiązania problemów kraju, skonfrontowane z opiniami i dążeniami szerokich rzesz, które będą się mogły wokół nich skupiać. Powstające w ten

⁹ Zob. D. Luliński, *Odwracanie historii*, „Trybuna Ludu” 1981, nr 275; J. Czerwiński, *Różne patriotyzmy*, „Trybuna Ludu” 1981, nr 291; D. Luliński, *Rzecznicy destrukcji. Na garnusku obcych wywiadów*, „Trybuna Ludu” 1981, nr 298; H. Kozłowski, *Wbrew racji stanu*, „Płomienie” 1981, nr 49; K. Koźniewski, *Co i komu mamy wybaczać?*, „Polityka” 1981, nr 49; R. Łękowski, *Pour le roi de Prusse*, „Argumenty” 1981, nr 491.

¹⁰ Podczas spotkania w Głogowie 9 listopada pytany o ten wywiad Kuroń mówił: „chodzili za mną w czasie zjazdu, żeby ten wywiad ze mną zrobić. Ja nie bardzo miałem ochotę, ale wreszcie się zgodziłem. Jak się wywiad ukazał, to zaraz dzwonili do mnie koledzy, mówiąc, że są już przekonani, że ja jakieś porozumienie zawarłem w sprawie komitetu ocalenia narodowego”. Oczywiście, naprawdę „nie było nic” (AIPN, 0204/1417, t. 52, Zapis wystąpienia Kuronia w klubie Bazalt w Głogowie 9 XI 1981, k. 107). W 2010 r. o sprawie opowiedział ówczesny redaktor naczelny „Sztandaru Młodych”, „Wywiad z Jackiem Kuroniem stanął władzy kością w gardle” – powiedział PAP Jacek Nachyła. Jak wspominał, na zjazd Solidarności wydelegował „dwóch reporterów, którzy przed wyjazdem przedstawili mi listę osób, z którymi chcieli przeprowadzić wywiady. Na liście widniało nazwisko Jacka Kuronia. Zaakceptowałem. Przyszli rozmowę, przeczytałem, zaadiustowałem i skierowałem do druku. O 4 nad ranem obudził mnie telefon cenzora z zapytaniem, kto podjął decyzję o publikacji tego wywiadu. Odpowiedziałem, że ja, osobiście. On na to, że wstrzymuje druk gazety do wyjaśnienia”. Ostatecznie gazeta z wywiadem jednak się ukazała. „Jak dowiedziałem się później, decyzję o jej wydrukowaniu podjął ówczesny sekretarz propagandy KC PZPR Stefan Olszowski”. Zespół redakcyjny „Sztandaru Młodych” bezskutecznie protestował przeciwko odwołaniu naczelnego. „To było bardzo sympatyczne. Mówiąc inaczej – miałem wówczas swoje 5 minut” – dodał Nachyła. Podkreślił, że pewnie do publikacji wywiadu by nie doszło, gdyby nie drukarze. „Pomagali nam w każdej sytuacji. Graliśmy w jednej drużynie. Solidaryzując się z protestem redakcji, drukarze zarządzili dzień przestoju w pracy drukarni” (www.dzieje.pl. Portal historyczny; także: <http://wiadomosci.onet.pl/kraj/wspomnienia-naczelnego-sztandaru-młodych-z-sierpni>, 1,3694302,wiadomosc.html; por. J. Nachyła, *Moje pięć minut* [w:] *Był taki dziennik „Sztandar Młodych”*, red. W. Borsuk, Warszawa 2006, s. 203–212).

sposób ruchy muszą wysunąć ludzi, którzy zasiadą w parlamencie i będą zdolni do pokierowania realizacją tych programów. Niezbędna jest szeroka kampania wyborcza, by wyborcy mogli zapoznać się z różnymi programami, ocenić ich zalety i słabości. Pół roku na przygotowanie takich wyborów to termin zbyt krótki. Aby takie wybory mogły się odbyć, „musiałyby nastąpić takie przemiany władzy państwowej, aby mogła ona stać się organizatorem wolnych wyborów”. A zatem „do rozstrzygnięcia problemu władzy państwowej musiałoby dojść przed wyborami”. Taki rząd, pozbawiony mandatu z wolnych wyborów, musiałby być oparty na autorytecie, autorytet zaś mają tylko dwie instytucje: Kościół i Solidarność. Jeśli chcemy ograniczyć sowieckie zagrożenie i złagodzić nieuchronny konflikt, „to najkorzystniej byłoby dokonać tego nie przeciw aktualnej władzy państwowej i partii, ale za ich poparciem”.

„Najlepiej byłoby, aby Episkopat, »Solidarność« i kierownictwo PZPR powołały Rząd Narodowy, tj. ponadpartyjny, fachowy gabinet do ściśle określonych zadań, na ściśle określony czas. Zadania te to: przezwyciężenie kryzysu i reforma gospodarcza, reforma administracji terenowej i wybory do lokalnego samorządu (gmina i województwo), wreszcie przygotowanie pięcioprzymiotnikowych wyborów do Sejmu. Czas byłby wyznaczony terminem wyborów parlamentarnych, jednak nie dłuższy niż rok. Wraz z powołaniem gabinetu należałoby ustalić zasady realizacji wszystkich zadań, być może przeprowadzając w tej sprawie ogólnonarodowe referendum.

Powołanie gabinetu przez trzy wymienione instytucje rozumiem jako konieczność uzyskania aprobaty każdej z nich dla premiera i wszystkich członków rządu. Fachowość i ponadpartyjność oznacza, że nikt nie reprezentuje instytucji, która go powołała czy do której należy, lecz wyłącznie siebie i swoje kwalifikacje. Rząd taki nie podlegałby żadnemu ugrupowaniu.

Rozumiem, że byłyby kłopoty z Sejmem, który jest zdominowany przez PZPR. Ale po pierwsze – wykazał on, że potrafi wypowiedzieć posłuszeństwo tej partii, a po drugie – jak wiemy z doświadczenia, ma niewielkie możliwości przeszkadzania władzy wykonawczej.

Rząd Narodowy poręczyłby ZSRR nienaruszalność gwarancji militarnych oraz zapowiedziałby, że w wolnych wyborach wysunie, obok innych, listę rządową, której program będzie m.in. zawierał podtrzymanie tych gwarancji. Jak sądzę, gwarancje takie nie powinny wykluczać działań na rzecz demilitaryzacji Europy Środkowej”.

Kuroń wyrażał przekonanie, że jeśli Rząd Narodowy będzie realizował swój program i doprowadzi do wolnych wyborów, to jego lista uzyska w nich większość. Czy na powołanie takiego rządu Moskwa nie odpowie interwencją zbrojną? Decydujące jest przekonanie, że „jeśli nie opanujemy sytuacji, to interwencja taka nastąpi niechybnie. A innego wyjścia niż opisane nie widzę” – przekonywał Kuroń. Oceniał, że kierownictwo ZSRR nie chce „polskiej wojny”; zależy mu na gwarancjach militarnych, a nie „stukilkudziesięciu tysiącach ludzi z aparatu władzy, którzy w walce o swoje przywileje skłonni by byli utopić kraj we krwi”.

Przyznawał, że proponowany przez niego program jest teoretyczny, gdyż trzy wymienione siły nie kwapią się do powołania takiego rządu. „Episkopat ze zrozumiałych względów nie może wyjść z taką inicjatywą. Sądzę jednak, że poproszony przez »Solidarność« i kierownictwo partyjno-państwowe wyraziłby zgodę. A więc i z tego także wynika znaczenie PZPR”. Partia jednak w obecnym kształcie na proponowaną formułę władzy zgodzić się nie może, a ze względu na swój wewnętrzny układ sił nie jest zdolna do żadnych działań. „Warunkiem istnienia PZPR jest zmiana tego opartego na braku aktywności kompromisu między blokującymi się nawzajem zwolennikami reform demokratycznych a ich przeciwnikami”. W Solidarności koncepcja Rządu Narodowego jest dla części działaczy zbyt daleko idąca, dla innych zbyt umiarkowana. Ani jedni, ani drudzy nie mają jednak innej propozycji, choć zdają sobie sprawę z tego, że kompromis między nimi jest konieczny. „Jestem przekonany, że uratowanie naszego kraju z katastrofy, którą przeżywa, jest niemożliwe bez współudziału władz państwowych. Jeżeli więc próby ratunku nie mają się zakończyć klęską, prędzej czy później muszą doprowadzić do powołania Rządu Narodowego. Bieda w tym, że im

później, tym trudniej o spokojne utworzenie takiego rządu i tym bardziej skomplikowane będą jego zadania. W miarę jak sytuacja będzie się pogarszać, coraz mniejsze będą szanse, że społeczeństwo zaakceptuje udział PZPR w formowaniu gabinetu, co na pewno nie zaszkodzi sprawności tego rządu, ale zwiększy ryzyko konfliktu społecznego przy jego wprowadzaniu”.

Spółeczeństwo, a wraz z nim Solidarność, nie może zgodzić się na jedną listę wyborczą do rad narodowych ani na obciążanie kosztami reformy bez uprzedniego uzgodnienia z nim sposobów jej wprowadzenia. W takiej sytuacji musiałoby dojść do konfliktu z Solidarnością. Jeśli władza zechce ten konflikt rozstrzygnąć, wprowadzając stan wyjątkowy, Solidarność będzie walczyć wszelkimi dostępnymi środkami, ze strajkiem generalnym włącznie. „Do tej próby nie wolno przystąpić bez programu, którego urzeczywistnienie byłoby podstawą stabilizacji”.

Jakaś forma prowizorium, przejściowego ograniczenia samodzielności przedsiębiorstw jest konieczna ze względu na drastyczne braki surowca i energii. „Nie można jednak mówić o żadnych kompetencjach centrali do ograniczania tej samodzielności, jeżeli nie ma się do tej centrali zaufania”. Z tego braku zaufania zrodził się projekt Społecznej Rady Gospodarki Narodowej. Aby zyskać zaufanie, musi ona mieć pełne poparcie Episkopatu i Solidarności. Jeśli ma posiadać niezbędne uprawnienia, musi być uznana przez kierownictwo partyjno-państwowe. Rada pełniłaby pewne funkcje Rządu Narodowego, nie mogłaby go jednak zastąpić. „Nie zapewniłaby takiej skuteczności działania władz państwowych ani też nie uzyskaby dla nich takiego poparcia społecznego jak Rząd Narodowy”. Solidarność żąda również dostępu do radia i telewizji oraz kontroli centralnych magazynów żywności. Walka o spełnienie tych żądań nie będzie wcale łatwiejsza od walki o Rząd Narodowy, a bez powołania takiego rządu skuteczność realizacji postulatów będzie problematyczna.

„Istnieje szansa, że w obliczu ostrego konfliktu stanie się to, co w okresie konfliktu bydgoskiego – tzw. stronnictwa sojusznice i masy partyjne poprą »Solidarność«. Tym samym załamanie się układ sił w PZPR i obozie rządowym. Pojawi się w ten sposób możliwość nowego porozumienia podstawowych sił społecznych, a wraz z nim nowej formy władzy państwowej, tj. proponowanego tu Rządu Narodowego”.

Kuroń zastanawiał się, co robić, jeśli kierownictwo partyjno-państwowe cofnie się przed konfrontacją, a zarazem nie podejmie działań konstruktywnych. Nie wykluczał zorganizowania przez Solidarność referendum, „by określić kształt władzy, która uzyska zaufanie, reformy gospodarczej i wyborów do rad wszystkich szczebli”. W takim referendum zapewne społeczeństwo – w tym także większość członków PZPR oraz stronnictwa sojusznice – poprze propozycje związku. „Znowu więc oznacza to powstanie nowego porozumienia, a w ślad za nim nowej formy władzy. Niestety wszystko to bardzo późno. Lepiej jednak późno niż wcale”¹¹.

Przeprowadzona przez Kuronia analiza była poprawna i tworzyła optymalny scenariusz przemian, ale nie uwzględniła dwóch czynników: determinacji władzy w obronie starego systemu, co zmaterializowało się 13 grudnia, oraz determinacji ZSRR, by nie dopuścić do przemian demokratycznych w Polsce. Były to braki zasadnicze, które podważały realizm całej koncepcji, ale Kuroń miał rację, że innych realistycznych i sensownych propozycji nie było. Polska znajdowała się u kresu drogi, na której współistniały dążenia do utrzymania monopartii w pełni kontrolującej aparat państwa z silnym ruchem społeczeństwa zmierzającego do systemu demokratycznego. Taka koegzystencja, przerywana wybuchającymi konfliktami, być może mogłaby trwać dalej, gdyby nie katastrofalna sytuacja ekonomiczna i wyczerpywanie się cierpliwości społeczeństwa, a także powściągliwość

¹¹ AIPN, 01428/9, k. 268–276. Tekst był opatrzony adnotacją autora lub redakcji: „Artykuł ukaże się w »Robotniku« nr 81”. Maszynopis także w AIPN, 514/1, t. 19, k. 90–93. W druku ukazał się w zbiorach pism Kuronia: *Zło, które czynię*, Warszawa 1984 oraz *Opozycja. Pisma polityczne 1969–1989*, Warszawa 2010.

Zachodu w gotowości do dalszego finansowania polskiego eksperymentu.

Groźby wybuchu przedstawiane przez Kuronia były całkowicie realne, podobnie jak propozycja przywrócenia stabilizacji za pomocą Rządu Narodowego powołanego wedle opisanej formuły. Pomijając zasadnicze czynniki, które uniemożliwiały realizację takiego scenariusza, mógłby on zostać zakwestionowany przez silne oddolne ruchy społeczeństwa, oczekującego szybkiej poprawy ekonomicznej i niegodzącego się na drastyczne wyrzeczenia. Wizja Kuronia w znacznym stopniu urzeczywistniła się w 1989 r., ale do tego potrzebnych było wiele okoliczności nieistniejących w 1981 r.: całkowita zmiana polityki Moskwy na liberalną i prodemokratyczną oraz rezygnacja z zimnej wojny z Zachodem; pełna kontrola aparatu partyjno-państwowego przez jednego przywódcę, czyli Jaruzelskiego, który był gotów zaryzykować duże otwarcie i miał siłę tak znaczną, że nie liczył się ze sprzeciwem aparatu partyjnego; relatywna słabość Solidarności, co dawało władzy nadzieję na rozegranie transformacji wedle własnego scenariusza. Także brak silnego ruchu społecznego, co pozwalało liderom na większą swobodę politycznego manewrowania bez obawy, że podpisywane przez nich kompromisy zostaną odrzucone przez masy związkowców lub konkurujących z nimi działaczy średniego szczebla.

Wizja Rządu Narodowego w znacznym stopniu przypominała późniejszy rząd Tadeusza Mazowieckiego. Przynajmniej w tym sensie, że cieszył się on poparciem Solidarności, Kościoła i w pewnym stopniu także PZPR oraz realizował reformy ekonomiczne i przekształcające Polskę w państwo demokratyczne. Jego powstanie wiązało się z buntem stronnictw sojuszników przeciw PZPR. Wszystko to jednak dokonywało się po rozmowach Okrągłego Stołu, kiedy określono ramy najważniejszych zmian ustroju politycznego i załagodzonego konfliktu. Jesienią 1981 r. o rozmowach tego rodzaju nikt nie myślał; nie były one możliwe z wielu podniesionych wyżej względów.

Tak więc wizja Rządu Narodowego stanowiła pomysł polityczny, który miał uchronić Polskę przed wielką konfrontacją, anarchicznym buntem, dyktaturą wojskową i zapewne interwencją, ale w realiach 1981 r. nie mógł zostać zrealizowany.

Kilka lat później Kuroń pisał we wspomnieniach, że ogarniał go wielki pesymizm. Hannie Krall, która jesienią 1981 r. z nim rozmawiała, mówił, jak opłacać strach – związany z przewidywaniem zesłania w głąb Rosji lub poprzedzający rozstrzelanie¹². Były to całkiem realistyczne scenariusze. W niejednej rewolucji nadchodził taki moment. Polska była zależna od Rosji, która nie inaczej potraktowała Węgry 25 lat wcześniej. Biorąc pod uwagę te czarne scenariusze, Kuroń szukał pozytywnych dróg wyjścia, nawet jeśli rysowały się one mało realnie. Powściągliwość i hamowanie ruchu uważał za możliwe tylko pod warunkiem skierowania wzbierającej fali rewolucyjnej we właściwą stronę – ku samorządności, budowaniu szerokiego porozumienia, ewolucyjnej transformacji, postawom współodpowiedzialności.

Zarazem jednak na spotkaniach publicznych przedstawiał diagnozy i przemyślenia, które trudno uznać za pesymistyczne. Na spotkaniu z działaczami Solidarności w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi w Legnicy 9 listopada 1981 r. mówił, że cały czas pogłębia się podział na „twardogłowych” i „liberałów”. Aparat partyjny jest skostniały i nie chce odstąpić od dogmatów nawet pod wielką presją. Wykluczenie z PZPR Stefana Bratkowskiego uznał za kolejną porażkę „liberałów”. Mówił, że w Solidarności są ludzie chcący wyciągnąć rękę po władzę, ale takie tendencje zwalcza. Front porozumienia narodowego proponowany przez władze nie jest w stanie przynieść zamierzonych skutków. Nadzieję można wiązać tylko z Komitetem Ocalenia Narodowego stworzonym przez trzy główne siły w Polsce. Na pytania z sali odpowiedział, że wojsko jest w stanie wziąć władzę, ale nie potrafi uzdrowić gospodarki i wyprowadzić kraju z kryzysu. Spotkanie Jaruzelskiego, Lecha Wałęsy

¹² J. Kuroń, *Gwiazdny czas...*, s. 235.

i prymasa Józefa Glempa ma doniosłe znaczenie, ale odbyło się za późno. Przyszły komitet porozumienia narodowego musi mieć szerokie kompetencje w zakresie wykonawczym, kontrolnym i inicjatywy ustawodawczej, by zdobyć społeczne zaufanie¹³.

Nazajutrz na spotkaniu z członkami Solidarności w klubie Bazalt w Głogowie przekonywał o konieczności powstania Komitetu Ocalenia Narodowego, ale zastrzegał, że być może osiągnięte się to etapami. W skład komitetu powinni wchodzić znani fachowcy wspierani przez Solidarność, Kościół oraz PZPR. Najlepiej, by to byli ludzie niezaangażowani zanadto w dotychczasowy konflikt. Premierem takiego gabinetu mógłby zostać Wałęsa, chodzi bowiem o powszechnie znane nazwisko, choć może nim być też inna osoba. W dalszej perspektywie są „przyzwoite wybory i przyzwoity rząd, który tam jakieś gwarancje Związkowi Radzieckiemu uczyni. Jawi mi się, że dalej polityka polska powinna iść w stronę neutralizacji, ale to jest możliwe wraz z neutralizacją Europy Środkowej, co znowu ze względu na sytuację Związku Radzieckiego jest możliwe – tłumaczył Kuroń. – Mówię to wszystko z pełną świadomością. To, że po drodze może się zdarzyć parę różnych zdarzeń, które to zmieniają, przyspieszają, zwalniają”.

Tymczasem za jeden z pozytywnych przejawów zmian politycznych uznał liberalizację prasy, w której ukazują się artykuły uzasadniające konieczność budowy nowego modelu politycznego. Dużą sprawą jest wygranie przez „Tygodnik Solidarność” procesu z cenzurą. Być może to najdonioślejsze zdarzenie w walce o uspołecznienie środków masowego przekazu. „Bo jeśli cenzura przegrywa proces, to od tego momentu jest to już inna cenzura. Jest to rzeczywiście cenzura pod kontrolą prawa. I to jest taki kamień milowy do uspołecznienia”.

W pewnym momencie, odpowiadając na pytanie z sali, Kuroń odniósł się do kryzysu bydgoskiego: „ci wszyscy, co mówią, że zmarnowaliśmy okazję po marcu bydgoskim, nie biorą pod uwagę jednego,

że strajk generalny, gdyby się odbył, to władza byłaby obalona – to jest jedyny strajk skuteczny. Strajk generalny to jest strajk, który obala władzę. [...] pójście do obalenia władzy bez wiedzy o tym, co ma być potem, jest szaleństwem”. Jeśli natomiast nastąpią zdarzenia takie jak rozruchy z nienawiści, rozpacz, „to prowadzi do jednego, do dyktatury wojskowej, co większa część społeczeństwa przyjmie z ulgą, bo przestrzegam przed złudzeniami, że to całe społeczeństwo nienawidzi władzy. [...] Istnieje nie mała grupa w związku, która ma taki sposób myślenia, jest to na pewno mniejszość i gdyby ona zaczęła awanturę, nie byłoby lepiej, ale na pewno gorzej, bez porównania gorzej, a na dodatek byłoby niepewne życie. Strzelaliby do siebie, bandy rabunkowe by chodziły. I wtedy gen. Jaruzelski powiedziałby: zawieszę się swobody obywatelskie na 3 miesiące, wojsko bierze władzę, i olbrzymia część społeczeństwa by to poparła”¹⁴.

Podczas spotkania w Grudziądzu 18 listopada Kuroń charakteryzował przyczyny trwającego kryzysu, m.in. odwołując się do swojego artykułu sprzed wielu miesięcy z porównaniem powstania niezależnego związku do wprowadzenia w system pociągu jadącego według innego rozkładu jazdy. Było jasne, że należy wobec tego zaraz budować nowe zasady współpracy społecznej, tymczasem władze uznały, że „samorządne i niezależne pociągi będą wybierać to, co jest napisane w rozkładzie jazdy”. Skutek nie dał długo na siebie czekać. Niezależna była nie tylko Solidarność, niezależność i samorządność ogarniała kolejne dziedziny życia, centralny system planowania przestał istnieć. Był to najbardziej marnotrawny system w dziejach. Ekonomiści próbowali go reformować już w 1956 r., a kiedy przyszli do Gomułki, to odpowiedział, że proponują, by partia ograniczała się do organizowania akademii pierwszomajowych. Bo rzeczywiście, partia nie mogłaby kierować produkcją. „Reforma gospodarcza jest podziałem władzy. A oni władzę dzielić się

¹³ AIPN, 0204/1417, t. 52, Szyfrogram z Legnicy do Wydziału IX Departamentu III MSW, 11 XI 1981, k. 115–116.

¹⁴ *Ibidem*, Zapis wystąpienia Kuronia w Głogowie 10 XI 1981, k. 100–107.

nie chcieli". Ten sam opór widać obecnie. Tymczasem „zawaliło się to, co łączy jeden odcinek gospodarki z innym". W aparacie partyjno-państwowym jest podział na tych, którzy uznają potrzebę dokonania jakichś reform, bo dalej tak rządzić się nie da, i na takich, którzy uważają, że reformy demokratyczne to grób dla partii. „Ilekoć chcą ci przeciwnicy reform wykonać jakiś ostry manewr, doprowadzić do jakiejś zwartej konfrontacji [...] i zatrzymać to wszystko, tylekoć ci zwolennicy demokracji [właśc. demokratyzacji – A.F.] robią chwyt, odwołują się do mas członkowskich, łapią tamtych za ręce i ci nie mogą tego zrobić. Ale jeśli tylko próbują ruszyć jakąkolwiek reformę demokratyczną [...] wtedy natychmiast przeciwnicy demokracji robią chwyt, odwołują się do Związku Radzieckiego, który jest ich wspólnym mocodawcą – jak by nie było – [...] pokazują na to, co w tych reformach jest takiego antyegalitarnego, takiego, no, oni mówią, antyrobotniczego. [...] No i dają na dodatek hasła antysemickie i w rezultacie blokują całkowicie tych zwolenników reformy. I w ten sposób oni się tak ze sobą szarpią, że zrobić nic nie mogą". Zwolennicy reform nie mogą pozbyć się ich przeciwników, bo „zwrócić się przeciw tym ludziom, to zwrócić się przeciw Związkowi Radzieckiemu, na to oni w partii się nie zgodzą. I tak oto idą na siebie skazani".

Aby zacząć wychodzić z kryzysu i zachęcić chłopów do sprzedawania produktów rolnych, konieczna jest reforma cen połączona ze znaczną ich podwyżką. Kuroń uznał za sensowną propozycję Stefana Kurowskiego, by osoby najmniej zarabiające dostały rekompensatę pełną, inni zaś niższą. Wszyscy natomiast dostaliby pełną rekompensatę w papierach wartościowych, które za rok stałyby się pieniędzmi w odniesieniu do takich towarów, jakich będzie więcej na rynku, a za dwa lata mogłyby być w banku wymienione na pieniądze. Byłaby to więc olbrzymia, masowa pożyczka państwowa. Bez zaufania do władzy takiej operacji przeprowadzić się nie da. Do tego potrzebny jest Komitet Ocalenia Narodowego, powołany z poparciem Kościoła, Solidarności i PZPR.

Proponowany przez władzę Ruch Porozumienia Narodowego to ma być Front Jedności Narodu w nowym opakowaniu. „No to w ogóle nie ma o czym gadać". Projekt, który prędzej czy później wygra, „nazywam Rządem Narodowym. Powołuje się Rząd Narodowy. Ten Rząd Narodowy powołuje Kościół i Solidarność. Dobrze by było – powiem zaraz dlaczego – żeby i partia. [...] Ale jest to rząd ponadpartyjny! Fachowy, ponadpartyjny rząd do ściśle określonych zadań". Na każdego uczestnika tego rządu muszą się zgodzić trzy instytucje: Episkopat, kierownictwo Solidarności i kierownictwo PZPR. „Solidarność i Kościół mówią: oto są ludzie tej najlepszej wiary i woli [...] i prosimy was wszystkich, abyśmy im wierzyli. Ale [...] politykę będą prowadzić swoją, na swoją odpowiedzialność". Rząd taki powinien być powołany na określony czas, „do wyjścia z kryzysu, reformy gospodarczej, reformy administracji terenowej [...] powołania samorządu terytorialnego i wreszcie do zorganizowania wyborów po tych 10 miesiącach czy roku, czy pół roku. [...] Mówię Rząd Narodowy, bo chodzi o to, aby on był programowo rządem ponadpartyjnym". Kuroń przyznawał: „to jest praktycznie koniec kierowniczej roli partii", a więc „to jest krok radykalny w stronę demokracji". Problem w tym, że wszyscy potencjalni partnerzy są przeciw takiemu rozwiązaniu, nikt nie chce zaryzykować.

Kuroń stawiał pytanie o granice odporności ZSRR na zmiany w Polsce i powtarzał swój utrwalony pogląd, że interwencja możliwa jest w przypadku, gdy Moskwa uzna, że jej militarne interesy w Polsce są zagrożone, lub gdy dojdzie w Polsce do wielkiego wybuchu społecznego, rozruchów i rozlewu krwi. Natomiast gdyby taki rząd zagwarantował Moskwie udział Polski w Układzie Warszawskim, tranzyt przez nasz kraj i bazy wojskowe, to dla ZSRR mogłoby to być korzystniejsze niż interwencja zbrojna. „Słowem, zakładamy tutaj, że społeczeństwo wykona ten akt, tę rezygnację z części swojej suwerenności świadomie". Wprost powołał się na przykład Finlandii. Ustępliwość Kremla wobec zakładanej w tym scenariuszu neutralizacji Polski wiązał z postępującym kryzysem w ZSRR oraz trudnościami sprostania

wyścigowi zbrojeń, narzuconemu przez prezydenta Reagana¹⁵.

Pod koniec listopada na spotkaniu w Przemysłu mówił jeszcze śmieiej: „dla polityki polskiej kolejnym krokiem po Rządzie Narodowym jest droga do demilitaryzacji Europy Wschodniej, to jest dla nas jedyna szansa neutralności. To znaczy demilitaryzacja Niemiec i demilitaryzacja Polski, Węgier i Czechosłowacji. Jest to program, który natychmiast wprowadza nas w niezwykle problemy narodowe. Zarazem jest to program dla Związku Radzieckiego do przyjęcia, jeśli ta sytuacja będzie się utrzymywać”. Kończył, wyrażając przekonanie: „my dziś kładziemy podwaliny pod następne milenium [...] tworzymy całkiem nowe wartości, nową rzeczywistość o znaczeniu dla całego świata [...] w sposób jednak pokojowy, bezkrwawy, spokojny”¹⁶.

Było to rozumowanie prawie identyczne z przeprowadzonym pół roku wcześniej w przemówieniu wygłoszonym w Katowicach. Zawierało też analogiczne luki podważające całą koncepcję. Wówczas Kuroń zakładał, że z koncepcją wielkiej koalicji wyjdą władze, gdyż będzie ona służyć uspokojeniu sytuacji i przystąpieniu do kosztownej reformy gospodarczej. Pół roku później było oczywiste, że z taką koncepcją władze nie wystąpią. Opisany mechanizm blokowania się „twardogłowych” i „liberałów” dobrze oddawał procesy zachodzące w PZPR, z tym że ostatecznie zwyciężali „twardogłowi”, a „liberałowie” tracili na

znaczeniu, zostali rozproszeni, nie mieli przywódcy względnie dochodzili do wniosku, że najważniejsza jest obrona monopolu władzy – i skupili się wokół Jaruzelskiego.

Kuroń wyraźnie przeceniał i w lipcu, i w listopadzie elastyczność Moskwy, jej zdolność do akceptowania zmian nad Wisłą. Ponawiane od tego czasu sygnały takiej niezgody można było ocenić jako straszenie, wygrażanie pięścią, ale w sumie niebędące ostatnim słowem. Zakładał więc możliwość dalszej rozgrywki, przesuwania granicy możliwego, a wizja wielkiego załamania i możliwych gwałtownych rozruchów, jeśli nie doszłoby do przełomu poprawiającego sytuację wewnętrzną politycznie i otwierającego drogę do reform, mogła być przestrogą zarówno dla Moskwy, jak i partyjnego betonu. Było to jednak za mało, by ekipę Jaruzelskiego skłonić do podzielenia się władzą, oddania jej Rządowi Narodowemu i zrezygnowania z systemu nomenklatury.

Kuroń szukał wyjścia z sytuacji bez wyjścia. Nie mówił w Grudziądzu o prawdopodobieństwie przewrotu wojskowego, choć taką ewentualność brał pod uwagę. Zakładał jednak, że przewrót jest możliwy w odpowiedzi na wielkie rozruchy i musi pociągnąć za sobą liczne ofiary, a na takie ryzyko władza raczej się nie zdecyduje. Poza tym przewrót wojskowy nie rozwiąże w żadnym stopniu choroby toczącej kraj – wielkiego kryzysu. Taki przewrót byłby więc skokiem w otchłań.

¹⁵ AIPN, 514/1, t. 13, Stenogram wystąpienia Kuronia w Grudziądzu 18 XI 1981 sporządzony w ramach sprawy karnej przeciw Kuroniowi. Podobne poglądy na temat konieczności utworzenia rządu narodowego Kuroń wyraził w rozmowie z zachodnim dziennikarzem 16 XI 1981 (AIPN, 0204/1417, t. 45, Meldunek operacyjny, 18 XI 1981, k. 64–65).

¹⁶ AIPN, 0204/1417, t. 52, Wystąpienie Kuronia na spotkaniu w Przemysłu 27 XI 1981, k. 148, 173.

PROGRAM PODZIEMNEJ SOLIDARNOŚCI

JAN OŁASZEK

pracownik Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej, doktorant w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, członek zarządu Stowarzyszenia Archiwum Solidarności. Autor monografii „Nieliczni ekstremiści”. *Podziemna „Solidarność” w propagandzie stanu wojennego* (2010), tomów źródłowych: *Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność”. Posiedzenie 10–12 sierpnia 1981* (2010) i *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność” 1981–1989* (2010), współautor książki *Solidarność Rolników 1980–1989* (z Andrzejem W. Kaczorowskim i Tomaszem Kozłowskim, 2010). W 2012 r. stypendysta Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej w ramach programu Start.

Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ Solidarność została utworzona w kwietniu 1982 r.¹ Jej celem było nie tyle bezpośrednie kierowanie konspiracją w całym kraju, ile koordynowanie różnego rodzaju inicjatyw opozycyjnych. Członkowie władz podziemnej Solidarności wychodzili z założenia, że regionalne struktury związku powinny zachowywać szeroką autonomię. Tym niemniej chodziło o stworzenie krajowego kierownictwa związku, w którego skład weszliby działacze o znanych nazwiskach, cieszący się szerokim autorytetem. Do założycielskiego spotkania doszło 20 lub 21 kwietnia 1982 r. na warszawskim Żoliborzu. TTK utworzyli Zbigniew Bujak, Bogdan Lis, Władysław Hardek i Władysław Frasyniuk. W spotkaniu wzięły udział także Barbara Labuda, Ewa Kulik, Helena Łuczywo i Joanna Szczesna². Nazwa powstałej wówczas struktury służyła podkreśleniu, że jest to ciało właśnie tymczasowe, uznające pozycję przedgrudniowej Komisji Krajowej NSZZ Solidarność oraz przewodniczącego związku Lecha Wałęsy. TTK została zaakceptowana przez ogromną większość podziemnych struktur solidarnościowych powstających w kolejnych latach³.

W lipcu 1982 r. skład TTK rozszerzono o Eugeniusza Szumiejkę – członka prezydium Komisji Krajowej sprzed stanu wojennego. W następnych latach do TTK dołączały inne osoby. W momencie aresztowania lub ujawnienia się któregoś z członków TTK jego miejsce

¹ Artykuł powstał dzięki badaniom wspieranym przez stypendium Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej w ramach programu Start (2012). Jest poszerzoną wersją referatu wygłoszonego w czasie konferencji „Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ Solidarność – jej geneza, program i funkcjonowanie” zorganizowanej 26 IV 2012 przez Senat RP z okazji trzydziestej rocznicy powstania TTK (*W 30. rocznicę utworzenia Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarność”*, red. Z. Iwanicki, Warszawa 2012, s. 44–50). Za uwagi i sugestie dziękuję Andrzejowi Friszkiemu, Tomaszowi Kozłowskiemu i Janowi Skórzyńskiemu.

² A. Friszke, *Powstanie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” w 1982 r.*, „Zeszyty Historyczne” 2006, nr 155; *idem*, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” (1982–1989)* [w:] *Solidarność podziemna 1981–1989*, red. A. Friszke, Warszawa 2006, s. 17. Komunikat o powołaniu TTK opatrzone datą 22 IV 1982 (*Dokumenty władz NSZZ „Solidarność” 1981–1989*, wstęp i oprac. J. Ołaszek, Warszawa 2010, s. 63–64). Datowanie oświadczenia różniące się o kilka dni od daty rzeczywistego spotkania jego autorów było częstą praktyką w działaniach podziemnej Solidarności, służyło zmyleniu funkcjonariuszy SB.

³ J. Holzer, K. Leski, „Solidarność” w podziemiu, Łódź 1990, s. 35–36.

zajmował inny reprezentant tego samego regionu⁴. Oprócz już wspomnianych w skład komisji w różnych latach wchodził: Wiktor Kulerski (Mazowsze), Bogdan Borusewicz, Lech Kaczyński, Krzysztof Dowgiałło (Gdańsk), Stefan Jurczak (Małopolska), Piotr Bednarz, Józef Pinior, Marek Muszyński (Dolny Śląsk), Tadeusz Jedynak, Jan Andrzej Górny (Region Śląsko-Dąbrowski), Janusz Pałubicki (Wielkopolska), Jerzy Dłużniewski (Łódź), Andrzej Milczanowski (Pomorze Zachodnie), Antoni Stawikowski, Ryszard Musielak, Krzysztof Żabiński (Toruń-Bydgoszcz)⁵. Nazwiska nie wszystkich z nich były podawane w oświadczeniach.

Ważną rolę odgrywali tzw. łącznicy merytoryczni. Zajmowali się oni przygotowaniem oświadczeń TKK, które później były akceptowane bądź uzupełniane przez jej członków. Funkcję tę pełnili m.in.: Roman Laskowski i Jerzy Zdrada (Kraków), Michał Nawrocki i Janusz Grzelak (Warszawa), Barbara Labuda i Andrzej Wiszniewski (Wrocław), Jan Krzysztof Bielecki (Gdańsk), Jerzy Buzek (Górny Śląsk). Ten ostatni przez pewien czas podpisywał dokumenty TKK bez podawania nazwiska jako przedstawiciel Górnego Śląska.

Głównym zadaniem TKK, zwłaszcza w pierwszych kilkunastu miesiącach, było formułowanie programu działania dla ruchu podziemnej Solidarności. W czasie sześciu lat swego istnienia komisja ogłosiła ponad sto dokumentów; w drukowanych na łamach prasy podziemnej oświadczeniach, komunikatach i apelach propagowała określony model działania związku. Prezentowano też w nich diagnozę sytuacji politycznej. Podstawowe elementy programu pojawiły się już w komunikacie o powołaniu TKK. Założyciele

komisji zobowiązali się do koordynowania działań zmierzających do odwołania stanu wojennego, zwolnienia internowanych i skazanych oraz przywrócenia praw obywatelskich, a także do walki o prawo do działalności NSZZ Solidarność⁶.

Żądania zalegalizowania związku i zaprzestania represji pozostawały aktualne przez cały okres istnienia TKK. Zmieniały się natomiast proponowane formy działania. Strategia była nastawiona na skłonienie rządu do rozmów z opozycją. Postrzeganie sytuacji geopolitycznej jako niezmiennej i uniemożliwiającej obalenie systemu komunistycznego decydowało o tym, że za główne rozwiązanie uznawano kompromis. Przedstawione wyżej warunki *sine qua non* podjęcia przez stronę opozycyjną negocjacji z władzą podtrzymywano przez całe lata osiemdziesiąte.

W oświadczeniu założycielskim TKK propagowano sposób funkcjonowania związku w warunkach konspiracji. Akcentowano potrzebę działania w oddolnych i rozproszonych inicjatywach⁷. „Jak możemy obronić się przed przemocą i terrorem? Jak walczyć o nasze prawa ludzkie i obywatelskie? Jak walczyć o NSZZ Solidarność?” – pytali przywódcy podziemia i odpowiadali: „Przede wszystkim musimy odbudowywać struktury związkowe i organizować się do wspólnego działania”. Wydaje się, że ta wizja była raczej odbiciem stanu faktycznego, w którym w różnych ośrodkach samorzutnie powstawały opozycyjne struktury, grupy pomagające osobom represjonowanym, pisma i wydawnictwa książkowe, niż oryginalną propozycją. Przyznał to w 1984 r. Bogdan Lis, mówiąc, że program powstawał w działaniu⁸.

Podkreślenie znaczenia struktur zakładowych wynikało z przywiązania do związkowej tradycji ruchu.

⁴ Ten mechanizm zastosowano np. odnośnie do Dolnego Śląska, gdzie w latach 1982–1984 zostali aresztowani trzej kolejni liderzy podziemnej Solidarności: Władysław Frasyniuk, Piotr Bednarz i Józef Pinior; zob. Ł. Kamiński, *Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk (1981–1990)* [w:] *Solidarność podziemna...*, s. 330–335.

⁵ O sposobie funkcjonowania i strukturze TKK zob. A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna...*, s. 17–60.

⁶ Komunikat o powstaniu TKK, 22 IV 1982 [w:] *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność”...*, s. 63.

⁷ A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna...*, s. 26.

⁸ Biblioteka PAN w Gdańsku, Zapis rozmowy z Bogdanem Lisem do książki *Konspira...*, s. 42. Ze względu na chęć przywołania wypowiedzi w oryginale w niniejszym tekście cytowane są maszynopisy wywiadów przeprowadzanych przez autorów książki. Wersja drukowana: M. Łopiński, M. Moskit [Z. Gach], M. Wilk, *Konspira. Rzecz o podziemnej „Solidarności”*, Gdańsk – Warszawa 1989.

Pomimo zmienionych warunków Solidarność miała nadal być związkiem zawodowym. W tej koncepcji mieściło się tworzenie funduszu socjalnego, klubów dyskusyjnych formułujących wspólny program działania różnych środowisk oraz niezależnego obiegu informacji. Było to niezbędne do prowadzenia akcji ogólnopolskich i regionalnych⁹.

Główny spór wewnątrz ruchu w pierwszych miesiącach stanu wojennego dotyczył koncepcji jedno-razowego wystąpienia w postaci strajku generalnego, który miał zmusić władzę PRL do ustępstw. Dyskusje na ten temat toczyły się od momentu ustania fali protestów w pierwszym tygodniu stanu wojennego¹⁰. W marcu 1982 r. „Tygodnik Mazowsze” opublikował artykuł internowanego Jacka Kuronia. Opowiadał się on za strajkiem generalnym, który uważał za jedyną formę nacisku na władzę mogącą skłonić ją do kompromisu. Nie wykluczał nawet użycia siły. Zbigniew Bujak i Wiktor Kulerski natomiast argumentowali za strategią długotrwałego oporu i budowy tzw. społeczeństwa podziemnego¹¹. W debacie brało udział wielu czołowych działaczy opozycyjnych¹².

TKK zapowiadała przeprowadzenie strajku generalnego. Jednak w tej kwestii poszczególni członkowie komisji różnili się między sobą. Początkowo zwolennikiem strajku był Władysław Frasyniuk. Pisał on w kwietniu do Bogdana Borusewicza i Bogdana Lisa: „Uważam, że trzeba wyraźnie powiedzieć, że wszystkie działania związku podporządkowane są przygotowaniom do strajku generalnego w skali całego kraju. To nie broń strajkowa zawiodła 13 grudnia, to zawiedli ludzie, a często i działacze. Strajki odbyły się zaledwie w paru miastach (nie regionach).

Jest to bardzo poważna i odpowiedzialna decyzja proklamowania strajku generalnego. Może dojść do masakry, a przy zdecydowanej postawie społeczeństwa nawet do wejścia czerwonych [tj. wojsk ZSRR]. Ale czy nasze społeczeństwo ma inną drogę wyjścia z sytuacji? Uważam, że nie”. Frasyniuk sądził, że zbiorowe wystąpienie przeciwko władzy może uchronić konspirację przed aktami indywidualnego terroru. Jego koncepcja sprowadzała się do zcentralizowanego podziemia, przygotowującego strajk generalny¹³. Po latach Frasyniuk wspominał: „Muszę powiedzieć, że byłem wielkim zwolennikiem strajku generalnego, dlatego że miałem takie wrażenie, że naszą energię, która była i było ją czuć, że tę energię trzeba szybko wykorzystywać”¹⁴.

Innego zdania był Zbigniew Bujak, który widział strajk generalny jako punkt programu na odległą przyszłość. Przywódca Regionu Mazowsze wspominał: „Tu rzeczywiście Warszawa była długo oponentem (przez prawie cały czas), z tym że nie całkowitym. To znaczy – my uważaliśmy, że strajk generalny nie jest wystąpieniem, które się robi, tylko jest wystąpieniem, które jest wynikiem pewnej sytuacji społecznej, wynikającej z pewnych wydarzeń politycznych. Czyli że wybuch powszechnego strajku generalnego był możliwy w Sierpniu, bo taka była sytuacja społeczna, której odpowiadała sytuacja polityczna, natomiast zadekretowanie i zorganizowanie strajku generalnego uważaliśmy, że jest niemożliwe, że to jest organizacyjna mrzonka”. Bujak traktował zapowiedź strajku generalnego jako formę nacisku na władzę, jako groźbę raczej niż możliwy do zrealizowania scenariusz¹⁵.

⁹ Oświadczenie TKK w sprawie programu działania związku, 22 IV 1982 [w:] *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność”*..., s. 65–66.

¹⁰ Zob. A. Friszke, *Formowanie podziemia w 1982 r. Dylematy organizacyjne i programowe* [w:] *Wokół „mniejszego zła”. Stan wojenny w Polsce. Materiały pokonferencyjne*, red. P. Piotrowski, Wrocław 2010, s. 45–52.

¹¹ J. Kuroń, *Tezy o wyjściu z sytuacji bez wyjścia*, „Tygodnik Mazowsze”, 31 III 1983, nr 8; Z. Bujak, *Walka pozycyjna*, *ibidem*; W. Kulerski, *Trzecia możliwości*, *ibidem*. Na temat kulis publikacji tych tekstów zob. J. Olaszek, „Tygodnik Mazowsze” – głos podziemnej Solidarności 1982–1989, „Wolność i Solidarność” 2012, nr 3, s. 68–71.

¹² Zob. A. Dudek, „Solidarność” w poszukiwaniu metody walki [w:] *idem, Ślady Peerelu. Ludzie, mechanizmy, wydarzenia*, Kraków 2000, s. 276–279.

¹³ List Władysława Frasyniuka do Bogdana Lisa i Bogdana Borusewicza, 9 IV 1982, zbiory Bogdana Borusewicza.

¹⁴ Wypowiedź Władysława Frasyniuka [w:] *W 25 rocznicę utworzenia TKK NSZZ „Solidarność”*, red. Z. Iwanicki, Warszawa 2007, s. 24.

¹⁵ Biblioteka PAN w Gdańsku, Zapis rozmowy ze Zbigniewem Bujakiem do książki *Konspira...*, s. 4.

Bogdan Lis i Władysław Hardek mieli niejednolite stanowiska w tej sprawie. Lis w 1984 r. wspominał, że był zwolennikiem przeprowadzenia strajku po otrząśnięciu się społeczeństwa z szoku wywołanego stanem wojennym¹⁶. Początkowo Lis opowiadał się za strajkiem generalnym, jego przeciwnikiem był Hardek. Później obaj zmienili zdanie¹⁷.

Wszyscy przywódcy Solidarności przeżywali w tym okresie poważne dylematy, wahając się między chęcią dążenia do kompromisu a potrzebą wymuszenia go¹⁸. Wiosną 1982 r. wyrazili nadzieję na pojednawczy gest ze strony władz PRL, przede wszystkim zwolnienie internowanych¹⁹. Zdawano sobie sprawę, że internowanie działaczy związkowych musi się w pewnym momencie skończyć, władza będzie musiała znaleźć wyjście z tej sytuacji. TKK powoływała się na „Tezy” Prymasowskiej Rady Społecznej, w której zasiadali związani z Solidarnością przedstawiciele umiarkowanej opozycji, tacy jak Andrzej Wielowieyski, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Andrzej Świączki. W rozesłanym 8 kwietnia 1982 r. przez prymasa Polski kard. Józefa Glempa załączniku do listu do biskupów przekonywano o potrzebie nakłonienia władz do porozumienia narodowego, które musiałoby objąć przywrócenie Solidarności, ale jednocześnie podkreślono, że związek powinien postępować z umiarem²⁰.

Wyrazem dążeń do porozumienia była deklaracja TKK „5 x tak” wydana na początku lipca 1982 r. Legalizację związku, zaprzestanie represji, amnestię i odszkodowania dla ofiar postawiono jako warunki podjęcia rozmów z władzami. „Jesteśmy przekonani, że prawdziwe porozumienie narodowe wymaga przerwania raz na zawsze ciągu wzajemnych oskarżeń. Historia uczy, że polski świat pracy potrzebuje nieza-

leżnej i samorządnej reprezentacji swoich grupowych interesów. Okres stanu wojennego wskazuje na to, że »Solidarność« pozostaje dla swoich członków taką reprezentacją. Nie chcemy być ani rządem, ani partią polityczną. Chcemy być niezależnym i samorządnym ruchem związkowym”. TKK postulowała, by zasady porozumienia narodowego regulowały rozwiązywanie konfliktów społecznych i ekonomicznych na różnych szczeblach. Ostatni postulat dotyczył odbudowy praworządności i zmian w tym kierunku w administracji państwowej. „Gotowi jesteśmy współdziałać we wszystkich organach zapewniających styczność między reprezentacją poglądów i interesów różnych środowisk a władzą, o ile będą one miały wyraźnie określone odpowiednie kompetencje i tryb działania” – podkreślali swoje koncyliacyjne nastawienie przywódcy podziemia²¹.

Wbrew ich nadziejom władze nie wykonały gestów pojednawczych. Na posiedzeniu sejmu w lipcu 1982 r. nie podjęto żadnych inicjatyw, które można by interpretować jako zapowiedź szukania kompromisu z Solidarnością. Ogłoszono jedynie utworzenie fasadowego Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Nie zapowiedziano amnestii dla więźniów politycznych, na co liczyła część opozycji²². Odpowiedzią TKK było wydane w ostatnich dniach lipca 1982 r. oświadczenie „5 x nie”. Wspomniane posiedzenie sejmu uznano za wyraz niechęci władzy do podjęcia współpracy ze społeczeństwem. Zwrócono uwagę na zapowiedź bezterminowego utrzymywania stanu wyjątkowego w Polsce, brak zwolnienia internowanych (w tym Lecha Wałęsy), nieprzedstawienie warunków odwołania NSZZ Solidarność i odłożenie rozwiązania tego problemu, brak propozycji porozumienia

¹⁶ *Ibidem*, Zapis rozmowy z Bogdanem Lisem, s. 43–44.

¹⁷ A. Dudek, „Solidarność” w poszukiwaniu metody walki..., s. 280.

¹⁸ A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna...*, s. 28–30.

¹⁹ Oświadczenie TKK w sprawie ugody narodowej [w:] *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność”...*, s. 67.

²⁰ A. Friszke, *Formowanie podziemia...*, s. 50. Szerzej zob. *idem*, *Porozumienie – mimo wszystko. Prymasowska Rada Społeczna w stanie wojennym*, „Więź” 2004, nr 11.

²¹ Oświadczenie TKK w sprawie celów działania podziemnej Solidarności, 9 VII 1982 [w:] *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność”...*, s. 70–71.

²² A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna...*, s. 31–32; A. Paczkowski, *Wojna polsko-jaruzelska. Stan wojenny w Polsce 13 XII 1981 – 22 VII 1983*, Warszawa 2006, s. 185–186.

narodowego i brak planów reformy gospodarczej. „5 x nie to odebranie społeczeństwu jakiegokolwiek nadziei na polityczne i gospodarcze zmiany w Polsce. Dalsze pogłębienie się przepaści między rządzącymi a rządzonymi drastycznie zmniejszy szanse wyjścia kraju z kryzysu” – oceniali liderzy solidarnościowej konspiracji²³.

Wraz z tym dokumentem ogłoszono założenia deklaracji programowej TKK pod tytułem „Społeczeństwo podziemne” – jego tworzenie postulowano w odpowiedzi na brak woli porozumienia ze strony władz. „Ruch ten powinien objąć rozmaite obszary życia i aktywności społecznej. Wszystkie grupy i środowiska, miasto i wieś. Jest to podstawowym warunkiem jego siły, gdyż uniemożliwi władzy tworzenie i utrwalanie podziałów antagonizujących społeczeństwo. Podziemny ruch oporu musi zmniejszyć poczucie osamotnienia jednostki. Musi uczyć zbiorowego działania, umacniać świadomość, że tylko dzięki samoorganizacji i własnej inicjatywie możemy osiągać nasze cele. Musi ukazywać społeczeństwu tkwiącą w nim siłę”. Społeczeństwo podziemne powinno być otwarte na różne formy aktywności, takie jak pomoc dla represjonowanych, niezależny obieg wydawniczy, samokształcenie, akcje propagandowe (manifestacje, plakaty, obchody rocznicowe) oraz organizowanie działalności gospodarczej w postaci warsztatów bądź spółdzielni. W deklaracji napiętnowano osoby demonstracyjnie popierające stan wojenny jako „kolaborantów” i podkreślono konieczność formułowania środowiskowych kodeksów moralnych. Opowiadano się za zdecentralizowanym ruchem podziemnym, co było uznaniem stanu rzeczy²⁴.

TKK wezwała do udziału w masowych demonstracjach w rocznicę podpisania porozumień sierpniowych²⁵. W odpowiedzi na ten apel 31 sierpnia 1982 r. w kilkudziesięciu miastach Polski doszło do manifestacji ulicznych. Według danych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wzięło w nich udział 118 tys. osób. W wielu miastach protesty zakończyły się walkami między demonstrantami a Milicją Obywatelską i ZOMO. W Lubinie funkcjonariusze ZOMO strzelali do tłumu z odległości kilkudziesięciu metrów. Dwie osoby zginęły na miejscu, kolejna zmarła w szpitalu, około dziesięciu osób zostało rannych. Następne trzy osoby zginęły tego dnia w innych miastach²⁶.

Demonstracje w drugą rocznicę powstania Solidarności były największymi aktami oporu społecznego wobec władz PRL w stanie wojennym i stanowiły kulminacyjny moment poparcia dla podziemia. Nie we wszystkich ośrodkach miały równie dużą skalę. Przykładem może być Warszawa, gdzie spodziewano się większych protestów. Mniej więcej w tym czasie Służba Bezpieczeństwa rozbiła jedną ze struktur podziemia warszawskiego – Międzyzakładowy Robotniczy Komitet Solidarności²⁷.

Pod wrażeniem skali protestów Frasyniuk i Hardek zgłosili propozycję proklamowania strajku powszechnego²⁸. Jego przeciwnikami byli wówczas Bujak, Szumiejko i Lis. Decyzji o strajku nie podjęto²⁹. Reagując na brutalność władz i obawiając się prowokacji, we wrześniu 1982 r. TKK wezwała do powstrzymania się od nieskoordynowanych akcji oporu i do budowy społeczeństwa podziemnego. Zapowiedziała podjęcie decyzji o formie obchodów zbliżających się rocznic: rejestracji NSZZ Solidarność i odzyskania przez Polskę niepodległości³⁰.

²³ Oświadczenie TKK „5 x nie”, 28 VII 1982 [w:] *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność”...*, s. 76–77.

²⁴ „Społeczeństwo podziemne”. Wstępne założenia deklaracji programowej TKK, 28 VII 1982 [w:] *ibidem*, s. 72–75.

²⁵ Apel TKK z okazji rocznicy strajków w sierpniu 1980, 28 VII 1982 [w:] *ibidem*, s. 78.

²⁶ A. Paczkowski, *Wojna polsko-jaruzelska...*, s. 190–191.

²⁷ B. Kaliski, *Meandry radykalizmu. Międzyzakładowy Robotniczy Komitet „Solidarności” w latach 1982–1988* [w:] *Solidarność podziemna...*, s. 505–506; T. Ruzikowski, *Stan wojenny w Warszawie i województwie stołecznym*, Warszawa 2009, s. 207.

²⁸ A. Dudek, *„Solidarność” w poszukiwaniu metody walki...*, s. 283.

²⁹ A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna...*, s. 38.

³⁰ Oświadczenie TKK w sprawie demonstracji ulicznych 31 VIII 1982, 6 IX 1982 [w:] *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność”...*, s. 84.

Punktem zwrotnym w polityce TKK była ustawowa delegalizacja Solidarności (do tego czasu związek był zawieszony) uchwalona przez Sejm PRL 8 października 1982 r. Wywołało to falę protestów. TKK wezwała do przeprowadzenia 10 listopada 1982 r. ostrzegawczego czterogodzinnego strajku generalnego. Apelowano do wszystkich ludzi pracy o udział w proteście³¹. Pełny, bezterminowy strajk generalny zapowiedziano na wiosnę 1983 r.³² W tym czasie Zbigniew Bujak zmienił swój stosunek do strajku generalnego – stał się zwolennikiem jego zapowiedzenia³³. Liderzy podziemia liczyli wówczas, że po demonstracjach 31 sierpnia ruch Solidarności będzie narastał i ogłoszenie protestu z miesięcznym wyprzedzeniem ułatwi organizację strajku³⁴.

Protesty 10 listopada 1982 r. były jednak porażką związku. Według MSW strajki wybuchły jedynie w 28 zakładach w czternastu województwach. Również w demonstracjach ulicznych uczestniczyło mniej osób niż się spodziewano³⁵. Skutkiem mogło być obniżenie prestiżu kierownictwa Solidarności. Odwołano protesty planowane na grudzień 1982 r. Strajk generalny pozostawał w planie działania na wiosnę 1983 r., jednak nigdy do niego nie doszło. Za najsilniejszy środek walki uznawano go jeszcze w opublikowanym w styczniu 1983 r. oświadczeniu „Solidarność dziś”. Określano go jako nieuchronny, ale traktowano jako plan dalekosiężny, możliwy do realizacji po spełnieniu niektórych warunków. Znaczenie miały stopień organizacji i determinacji społecznej, powszechna świadomość i akceptacja celów, sytuacja polityczna. Od tych czynników zależała postawa władz i gotowość do pacyfikacji protestu. „Dotychczas władza, gotowa politycznie na użycie wszelkich środków w walce ze społeczeństwem, znajdowała dość sił, by strajk zła-

mać. Utrzymywanie przez nią takiego stopnia gotowości nie może trwać zbyt długo. Wiąże się bowiem z wielkimi kosztami politycznymi i społecznymi”. TKK chciała czekać na odpowiedni moment. „Nadchodzi czas, gdy broń strajkowa stanie się znowu realnym środkiem walki, gdy decyzja użycia siły przeciw strajkującym robotnikom nieść będzie wielkie zagrożenie dla istnienia samej dyktatury”. Jednocześnie jej członkowie zaznaczali, że perspektywa jednorazowego protestu nie przekreśla nastawienia się na ewolucyjne zmiany systemu, lecz wskazuje „sposób załamania obecnej dyktatury i stworzenia warunków wyjścia na drogę demokratycznych reform”. Jako zadanie na przyszłość przewidywali sformułowanie najważniejszych postulatów strajkowych³⁶. Zdając sobie sprawę z tego, że przeprowadzenie strajku generalnego nie jest możliwe w bliskim czasie, nadal uznawali go za najskuteczniejszy sposób nacisku na władze.

Warto postawić pytanie, czy wobec nastrojów społecznych była to koncepcja realna. Przebieg protestów wiosną i latem 1982 r. wskazuje na to, że niezależnie od utrzymującego się poparcia dużej części społeczeństwa dla Solidarności wywołanie strajku generalnego było scenariuszem mało realistycznym. Większa gotowość strajkowa istniała tuż po wprowadzeniu stanu wojennego, jako konsekwencja silnych emocji politycznych przeżywanych przez społeczeństwo w tym czasie. Znacznie trudniejsze było zorganizowanie strajku generalnego kilka miesięcy później, kiedy wiadano o ostrych represjach ze strony władz. Wydaje się, że przeciwnicy strajku generalnego mieli rację. Jednocześnie trzeba zwrócić uwagę na niekonsekwencję TKK w tej mierze. W 1984 r. mówił o tym Bogdan Borusewicz: „Jako TKK nie mieliśmy w ogóle koncepcji. Byliśmy według mnie pchani rozwojem

³¹ Oświadczenie TKK w sprawie rozwiązania przez władze PRL wszystkich związków zawodowych, 9 X 1982 [w:] *ibidem*, s. 89–90.

³² Oświadczenie TKK o strajku generalnym, 20 X 1982 [w:] *ibidem*, s. 92–93.

³³ Biblioteka PAN w Gdańsku, Zapis rozmowy ze Zbigniewem Bujakiem do książki *Konspira...*, s. 15; J. Rolicki, *Zbigniew Bujak: przepraszam za „Solidarność”*, Warszawa 1991, s. 98. Na temat podejmowania decyzji w sprawie tego strajku przez członków TKK zob. A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna...*, s. 41–45.

³⁴ A. Dudek, „Solidarność” w poszukiwaniu metody walki..., s. 284.

³⁵ A. Paczkowski, *Wojna polsko-jaruzelska...*, s. 195–200; A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna...*, s. 41.

³⁶ Oświadczenie programowe TKK „Solidarność dziś”, 22 I 1983, [w:] *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność”...*, s. 103–110.

wydarzeń. Nie mieliśmy zdecydowanej koncepcji, czy iść na strajk generalny [...] Chodzi o to, że my jako TKK nie przychylił się do zdecydowania do jednej koncepcji (albo maraton, albo strajk generalny ze wszystkimi konsekwencjami). W związku z tym nasze działania były bardzo niekonsekwentne”³⁷.

Ewolucja stanowiska TKK w sprawie strajku generalnego świadczy o rozminięciu się z nastrojami społecznymi³⁸. Prawdopodobnie liczba zwolenników strajku generalnego była największa w pierwszym okresie stanu wojennego, gdy uznawano ten krok za sposób obrony przed represjami. Ale wówczas, kiedy ogólne nastroje pozwalały liczyć na większy udział społeczeństwa – choć z całą pewnością bardzo daleki od powszechności – w protestach, liderzy podziemia byli przeciwni strajkowi generalnemu. Ogłosili go, gdy ta forma protestu nie znajdowała już oddźwięku w społeczeństwie i nie miała szans na sukces³⁹.

Postawa przywódców konspiracyjnej Solidarności częściowo wynikała z realistycznej oceny sytuacji – powszechny udział Polaków w strajku był nieosiągalny. Jednocześnie czuli się odpowiedzialni za ewentualne niepowodzenie strajku generalnego i możliwe ofiary jego pacyfikacji⁴⁰. Obawy te były uzasadnione. Z postawy władz PRL można było wnioskować, że odpowie ona z całą brutalnością. Znaczenie miała też polityka Kościoła stale nawołującego do umiarkowania oraz reakcje Zachodu. Trzymanie się koncepcji strajku mimo porażki w listopadzie 1982 r. mogłoby świadczyć o tym, że liderzy podziemia nie zdawali sobie sprawy z nastrojów społecznych⁴¹. Wydaje się jednak, że pozostawienie go jako formy działania miało raczej charakter propagandowy i nie oznaczało zamiaru realizowania tej koncepcji w przewidywalnej przyszłości.

* * *

Oświadczenie „Solidarność dziś” było najszerszym opracowaniem programowym TKK. Stanowiło aktualizację programu uchwalonego na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ Solidarność, dostosowanie go do odmiennych warunków⁴². Zbigniew Bujak w 1984 r. wspominał okoliczności powstania tego dokumentu. „Oczekiwano, że po pierwsze pokaże on wizję Polski idealnej (na którą zgodziłaby się większość Polaków), a następnie ukaże środki realizacji tego programu i wytyczy etapy dojścia do tego celu (bardzo precyzyjnie – co dziś, co jutro, co za miesiąc, co za rok). Co więcej – z tego programu jeszcze miało wynikać dla wszystkich ludzi, dla szarych członków »Solidarności«, co oni konkretnie mogą robić. To znaczy, on po przeczytaniu tego programu chciał wiedzieć właśnie, jaką ma wizję kraju (i musiała być to wizja, na którą on by się zgodził), musiał wiedzieć, co on może robić i co on w związku z tym wybiera. Oczywiście taka wizja programu była wizją utopijną – i żaden z tych programów, które powstały, nie miał absolutnie szansy na to, żeby stać się tym programem, pod którym rzeczywiście podpisałaby się większość”⁴³.

Dokument proklamował kontynuowanie „długiego marszu”. Za dalekosiężny cel związku uznawano realizację programu uchwalonego na zjeździe: szeroką demokratyzację PRL ujętą w hasło „Rzeczypospolitej Samorządnej”, obejmującą reformy polityczne, społeczne i gospodarcze. Postulowano autentyczny samorząd, praworządność, niezawisłość sądów, większą niezależność kultury i oświaty. Władza miała być poddana kontroli społecznej. Zakładano cztery główne płaszczyzny opozycyjnej aktywności: front odmowy uczestnictwa w jakichkolwiek akcjach propagando-

³⁷ Biblioteka PAN w Gdańsku, Zapis rozmowy z Borusewiczem, Bujakiem i Szumiejką do książki *Konspira...*, s. 15.

³⁸ A. Dudek, „Solidarność” w poszukiwaniu metody walki..., s. 287.

³⁹ *Ibidem*; Biblioteka PAN w Gdańsku, Zapis rozmowy z Lisem do książki *Konspira...*, s. 52.

⁴⁰ H. Głębocki, *Dzieje „Solidarności” w podziemiu* [w:] *Droga do niepodległości. „Solidarność” 1980–2005*, Warszawa 2005, s. 187.

⁴¹ A. Dudek, „Solidarność” w poszukiwaniu metody walki..., s. 284.

⁴² Wypowiedź Józefa Pinióra [w:] *W 25 rocznicę utworzenia TKK...*, s. 34.

⁴³ Biblioteka PAN w Gdańsku, Zapis rozmowy z Borusewiczem, Bujakiem i Szumiejką do książki *Konspira...*, s. 238.

wych podejmowanych przez rządzących i w prowadzących je instytucjach, walka ekonomiczna, walka o niezależną świadomość społeczną, przygotowania do strajku generalnego.

Przywódcy podziemia akceptowali natomiast udział w tych sferach życia oficjalnego, które pozostawiały margines swobody działania. „Zasadę bojkotu powinniśmy stosować selektywnie. Można i należy korzystać z możliwości prowadzenia niezależnej działalności w tych instytucjach oficjalnych, których celem jest zaspokojenie autentycznych potrzeb społecznych. Zważyć jednak trzeba, by działalność ta nie służyła uwiarygodnieniu kłamstwa i wspieraniu dyktatury” – przestrzegali.

Bardzo krytycznej diagnozie poddano stan gospodarki i politykę władz w tej sferze. Podkreślono, że chociaż Solidarność nie odpowiada za tę sytuację, uczestnicy ruchu powinni dbać o utrzymanie stanu gospodarki na poziomie, który umożliwi jej odbudowę w przyszłości. Walka ekonomiczna oznaczała strajki, obronę interesów pracowniczych i domaganie się jawności polityki gospodarczej. Dopuszczano aktywność w legalnym samorządzie pracowniczym, jeśli władze nie odbiorą mu możliwości obrony pracowników. Odrębną sferę działań stanowiła walka o świadomość społeczną. TKK apelowała o współpracę środowisk inteligenckich, robotniczych i chłopskich na rzecz budowania intelektualnej niezależności społeczeństwa. Propagowano inicjatywy samokształceniowe, rozwijanie niezależnej kultury i badań naukowych, wydawnictwa bez cenzury. Podkreślano otwartość i pluralizm ruchu solidarnościowego. „Pragniemy tworzyć płaszczyznę porozumienia i współdziałania z każdym, komu bliskie są cele naszego ruchu, ze wszystkimi nurtami społecznej aktywności, które przyjmują za swój ideał wolną, demokratyczną Polskę”.

„Solidarność dziś” postulowała tworzenie społeczeństwa niezależnego (a nie, jak w 1982 r., społeczeństwo podziemnego)⁴⁴. W ten sposób dostosowano program ruchu do nieco zmienionych warunków, obejmując jego zasięgiem także inicjatywy opozycyjne wobec władz, które nie funkcjonowały w konspiracji⁴⁵.

W kolejnych latach TKK wydawała oświadczenia nawiązujące do bieżących wydarzeń politycznych, dyskusji programowych wewnątrz ruchu, problemów społecznych i gospodarczych. Reagowano na posunięcia władz, represje wobec działaczy opozycyjnych oraz dotkliwe dla społeczeństwa kroki w sferze gospodarki. Przy okazji świąt 1 i 3 Maja oraz 11 Listopada apelowano o udział w demonstracjach dowodzących istnienia Solidarności. Problemom międzynarodowym poświęcano niewiele miejsca.

Program działania niewiele się zmieniał, ponieważ nie zmieniała się sytuacja polityczna. Surowo oceniano reżim stanu wojennego i lat następnych, piętnując dławienie dążeń demokratycznych i rządu przymusu. Zniesienia stanu wojennego w lipcu 1983 r. – podobnie jak jego zawieszenia w grudniu 1982 r. – Solidarność nie uznała za istotną cezurę. TKK poświęciła temu tematowi kilka oświadczeń. Zwracano w nich uwagę na jedynie formalny charakter tej zmiany, o którym świadczył brak zaprzestania represji i modyfikacje prawa przedłużające niektóre uprawnienia władz ze stanu wojennego⁴⁶. Jasno diagnozowano cel tych działań. „Utrzymywanie stanu wojennego stało się dla władzy politycznie nieopłacalne. Zmusiło to władze do jego formalnego zniesienia. Jest to tylko gest propagandowy, próba oszukania społeczeństwa polskiego i międzynarodowej opinii publicznej. Ma na celu uzyskanie od Zachodu ulg kredytowych i odwołania sankcji. W istocie zaś dotychczasowe ograniczenie praw obywatelskich i pracowniczych zostało utrzymane, a nowe ustawy podporządkowują władzy całe obszary życia społecznego, likwidują formy samorządności, prawo do wol-

⁴⁴ Oświadczenie programowe TKK „Solidarność dziś”, 22 I 1983 [w:] *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność”...*, s. 103–110.

⁴⁵ Biblioteka PAN w Gdańsku, Zapis rozmowy z Bujakiem do książki *Konspira...*, s. 236.

⁴⁶ Oświadczenie TKK na temat zniesienia przez władze PRL stanu wojennego, 3 VII 1983 [w:] *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność”...*, s. 126–127.

ności myśli i niezależnego działania. Oznacza to, że ubezwłasnowolnienie społeczeństwa uznane zostało za trwały element wewnętrznej polityki państwa⁴⁷. Podziemna Solidarność miała kontynuować działalność na tych samych co dotąd płaszczyznach⁴⁸.

Pewną nowością był bojkot wyborów i obliczanie jego skuteczności. Władze związku przeprowadziły kampanię bojkotu wyborów do rad narodowych w 1984 r. i do sejmu w 1985 r.⁴⁹ Dzięki temu udało się zwrócić uwagę na fałszerstwa stosowane przez władze w celu zawyżenia frekwencji wyborczej. Akcja ta, oprócz delegitymizacji władzy, miała znaczenie integracyjne. Dawała możliwość pozbawionego większego ryzyka uaktywnienia się osób, które nie miały bezpośredniego kontaktu z organizacjami konspiracyjnymi. Przywódcy TKK apelowali o pełen bojkot wyborów, by uniemożliwić całkowite sfalszowanie wyników. „Głosując – utwierdzamy władze w przekonaniu, że mogą one bezkonfliktowo i bezpiecznie rządzić nami przy pomocy terroru i zastraszania, że mogą całkowicie bezkarnie prowadzić politykę wyzysku i zaciskania nam pasa. Bojkotując wybory, pokazujemy, że najpilniejszą potrzebą kraju jest władza posiadająca zaufanie społeczeństwa, pochodząca z wolnego społecznego wyboru”⁵⁰. Jak zwracał uwagę Eugeniusz Szumiejko, TKK dobrze sprawdzała się w tego rodzaju działaniach, prowadząc akcję trwającą wiele miesięcy, w którą wiele osób mogło się zaangażować⁵¹.

* * *

Tymczasowa Komisja Koordynacyjna wypowiadała się także w sprawach gospodarczych. Silnie podkreślano obniżanie się poziomu życia obywateli PRL, czego główną przyczynę widziano w polityce rządu. „Stwier-

dzamy, że obecna polityka partyjno-państwowego kierownictwa godzi w polską rację stanu i nieuchronnie pcha naród do katastrofy. Od dwóch lat koszty utrzymania wzrastają szybciej niż oficjalne płace. Już dziś ponad 1/3 społeczeństwa żyje poniżej oficjalnie określonego progu ubóstwa. Nie bacząc na wzrastającą biedę, władza dąży do kolejnych podwyżek cen, do dalszej rabunkowej eksploatacji majątku narodowego, do wymuszenia coraz dłuższego czasu pracy i innych drastycznych form wyzysku. Broniąc własnego istnienia, obecna władza prowadzi społeczeństwo do nieuchronnej nędzy” – alarmowano w listopadzie 1983 r.⁵² Zwracano uwagę na zastój mieszkaniowy, kryzys służby zdrowia i ochrony środowiska, brak programu antykryzysowego.

Przywódcy podziemia podkreślali, że przyczyną kryzysu – wbrew propagandowej retoryce władz – nie są sankcje ekonomiczne krajów Zachodu wprowadzone po 13 grudnia, ale polityka kolejnych ekip rządzących PRL. Krytykowali władze za brak reform. Zaznaczali, że mogą zaakceptować podwyżki cen tylko wówczas, jeżeli stanowiłyby one jeden z elementów programu sanacji i prowadziły do polepszenia sytuacji gospodarczej. Musiałyby im jednak towarzyszyć działania chroniące społeczeństwo przed kosztami reform.

Sposobem walki z niepowiązanymi z programem reform podwyżkami cen miały być strajki⁵³. W 1985 r. zaapelowano o zorganizowanie akcji strajkowej w tej sprawie. Zachęcano nie tylko do prowadzenia działań związkowych przez tajne komisje zakładowe, ale także do pracy w samorządach pracowniczych, będących ważnym polem aktywności niezależnej. Jednocześnie podtrzymywano bojkot oficjalnych związków zawodowych. „NSZZ »Solidarność« podtrzymuje dotych-

⁴⁷ *Ibidem*, s. 129.

⁴⁸ Oświadczenie TKK na temat działalności związkowej po odwołaniu stanu wojennego, 28 VII 1983 [w:] *ibidem*, s. 131–132.

⁴⁹ A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna...*, s. 84–86, 113–119.

⁵⁰ Uzasadnienie stanowiska TKK w sprawie bojkotu wyborów, 9 IV 1984 [w:] *Dokumenty władz NSZZ »Solidarność«...*, s. 161.

⁵¹ Biblioteka PAN w Gdańsku, Zapis rozmowy z Borusewiczem, Bujakiem i Szumiejką do książki *Konspira...*, s. 45–46.

⁵² Stanowisko TKK w sprawie walki z podwyżkami cen, 1 XI 1983 [w:] *Dokumenty władz NSZZ »Solidarność«...*, s. 139–140.

⁵³ Uzasadnienie stanowiska TKK w sprawie walki z podwyżkami cen, 26 XI 1983 [w:] *ibidem*, s. 144–149; Komunikat o posiedzeniu TKK, 21 I 1985 [w:] *ibidem*, s. 181 i n.

czasowe stanowisko wobec związków zawodowych powstałych przed i po 13 grudnia 1981 r. Zgodnie ze statutem członkowie NSZZ »Solidarność« nie mogą być członkami żadnych innych związków zawodowych” – podkreślano w listopadzie 1984 r.⁵⁴

We wrześniu 1985 r. TKK przedstawiła swoje postulaty gospodarcze. Punktem wyjścia było opracowanie ekspertów oraz *Raport. Polska 5 lat po sierpniu*. „Aby gospodarka Polski mogła wydobyć się z kryzysu, musi zostać głęboko zreformowana. Reforma może stworzyć nie tylko szansę wzrostu gospodarczego na dłuższą metę, ale także może przynieść pewne efekty w stosunkowo krótkim czasie. Wprowadzenie warunków, w których dochody pracowników przedsiębiorstw zależałyby od ocenianej przez rynek efektywności gospodarowania, a nie od biurokratycznych decyzji władz państwowych, mogłoby dość szybko dać znaczny przyrost produkcji dzięki zainteresowaniu przedsiębiorstw likwidacją jaskrawego marnotrawstwa surowców, urządzeń i pracy ludzkiej. Zreformowanie gospodarki przyniosłoby też pewne nadzieje na otrzymanie przez PRL dalszych kredytów z Zachodu, gdyż stworzyłoby szansę, że kredyty te nie zostaną ponownie zmarnowane i roztrwonione”.

Program Solidarności w sferze ekonomicznej obejmował likwidację ministerstw branżowych, ograniczenie administracji, zniesienie nomenklatury w gospodarce, likwidację rozdzielnictwa nakazowego (umożliwiającego wywieranie presji na przedsiębiorstwa w zamian za przydział środków). Reforma powinna mieć charakter rynkowy i stworzyć warunki do konkurencji (choć nie wolnorynkowej), przynieść koniec centralnego sterowania cenami (naturalny ruch cen zamiast centralnych podwyżek) i politykę antymonopolistyczną. Proponowano wprowadzenie rynku kapitałowego, pozwalającego każdemu na zakup akcji i obligacji stanowiących jedno ze źródeł finansowania przedsiębiorstw. A także określenie zasad upadłości i bankructwa, reformę banków, uproszczenia w funkcjonowaniu firm.

Postulowano także zmiany w polityce inwestycyjnej (rynkowe kryteria oceny efektywności), likwidację systemu różnicowanego dostępu do dóbr konsumpcyjnych (przez co rozumiano sprzedaż sterowaną przez zakłady pracy, talony na dobra deficytowe, przydziały i asygnaty). W sferze społecznej domagano się ograniczania strefy ubóstwa, wprowadzenia dodatku drożyznianego, poprawy w budownictwie mieszkaniowym. Za konieczne oprócz własności państwowej w gospodarce (łącznie z przemysłem) uznawano wprowadzenie własności prywatnej, autentycznie spółdzielczej i komunalnej. Wszystkie sektory miały być równo traktowane. Postulowano też wprowadzenie regulacji korzystnych dla kapitału zagranicznego, co miało pozwolić na inwestowanie w Polsce przez firmy z innych państw. Mogłyby one tworzyć spółki akcyjne o kapitale mieszanym (państwowym i zagranicznym). Ziemię z państwowych gospodarstw rolnych należałoby przekazać chłopom, a sektor nazywany przez władze uspołecznionym ograniczyć do minimum. Miało to przyczynić się do poprawy struktury obszarowej gospodarstw prywatnych⁵⁵.

TKK odrzucała obciążanie społeczeństwa winą za kłopoty gospodarcze. „Obecna polityka nie daje żadnych szans na poprawę sytuacji, będzie owocowała kolejnymi podwyżkami i dalszą degradacją gospodarki. Rządzący swym codziennym postępowaniem manifestują gotowość obrony swych przywilejów i zakresu władzy za cenę wypychania Polski w coraz większe zacofanie i odbierania kolejnemu pokoleniu Polaków godziwego poziomu życia. Należy zwrócić uwagę, że równocześnie władze starają się obciążyć samo społeczeństwo odpowiedzialnością za obecną sytuację. Temu służy między innymi akcja propagandowa »walki z wszelkim złem moralnym«. Nie przecząc istnieniu niekorzystnych zjawisk społecznych, stwierdzamy, że odpowiedzialność za nie spada w głównej mierze na panujący system, który

⁵⁴ Komunikat TKK na temat bieżącej sytuacji politycznej, 19 XI 1984 [w:] *ibidem*, s. 177.

⁵⁵ Postulaty gospodarcze TKK, 24 IX 1985 [w:] *ibidem*, s. 202–210.

stanowi zasadniczą barierę rozwoju Polski” – pisano w kwietniu 1986 r.⁵⁶

Pogarszania się warunków życia i pracy w Polsce dotyczyło oświadczenie TKK z czerwca 1986 r. Liderzy podziemia zwrócili w nim uwagę na obniżanie się płac przy rosnących kosztach życia. Powoływali się na dane z Głównego Urzędu Statystycznego. „Powiększa się więc nieustannie ilość rodzin żyjących poniżej społecznego minimum egzystencji. Równocześnie od połowy lat 60. rosną wskaźniki umieralności, maleje przeciętny czas życia. Polacy stają się narodem ludzi chorych, powiększa się liczba inwalidów i niepełnosprawnych. Czynniki chorobotwórcze kumulują się w przemysłowych zakładach pracy”. Piętnowano eksploatację ponad siły i złe warunki pracy. Wskazywano na ciężką sytuację kobiet zatrudnionych w przemyśle. „Pracują często na dwie lub trzy zmiany (przeciętny czas snu takich osób nie jest większy niż 5 godzin), zmuszone są do przenoszenia ciężarów przekraczających 5-krotnie dopuszczalne normy, pracują w stałym hałasie i wibracji, w bardzo wysokich lub bardzo niskich temperaturach, w pomieszczeniach zapyłonych, przy stałym zagrożeniu zatruciami chemicznymi”.

Innymi problemami były zanieczyszczenie środowiska naturalnego, stan leczenia, sytuacja mieszkaniowa, kłopoty zaopatrzeniowe, trudności komunikacyjne. Krytykowano wprowadzane wówczas zmiany w prawie pracy. Chciano doprowadzić do uzależnienia zarobków kierownictwa zakładów pracy od podjęcia przez nich działań zwiększających bezpieczeństwo pracy. Postulowano likwidację akordu indywidualnego, ujednolicenie przepisów dotyczących ochrony środowiska, zamknięcie wydziałów i zakładów, w których panują złe warunki pracy bądź które zagrażają środowisku naturalnemu, zwiększenie nakładów na leczenie, cykliczne raporty na temat zatrucia środowiska i zagrożeń w pracy, ratyfikowanie przez Polskę konwencji Międzynarodowej Organizacji

Pracy dotyczących ochrony pracy i zdrowia. „Tylko zdecydowany i solidny opór wszystkich pracujących przeciwko obniżaniu płac realnych, wydłużaniu czasu pracy, pogarszaniu się jej warunków może wymusić na władzach zasadniczą zmianę polityki gospodarczej, a więc odbudowę kraju w miejsce jego rujnowania” – pisano. Propagowano solidarne wystąpienia w obronie warunków pracy w ramach różnych zakładów, branż, miejscowości, regionów⁵⁷.

Dokumenty TKK dotyczące gospodarki są dość ogólne. Komisja najczęściej ograniczała się do hasłowego wskazywania najważniejszych problemów i generalnego opisywania propozycji dróg wyjścia. Mimo wsparcia kompetentnych ekspertów, w warunkach konspiracyjnych możliwości przygotowania szczegółowych programów były zapewne dość ograniczone. Zadaniem TKK było podtrzymywanie oporu w społeczeństwie i postulowanie programu działania konspiracji, nie zaś reformowanie gospodarki. Przywódcy Solidarności nie przewidywali rychłego przejęcia choćby części władzy, stąd postulowanie bardziej konkretnych rozwiązań mogło wydawać się bezcelowe. Rolę głównego dokumentu programowego odegrał *Raport. Polska – 5 lat po sierpniu* opracowany przez grupę ekspertów związanych z Solidarnością, również ekonomistów. Był on jednak wyrazem poglądów nurtu najbliższego związanego z Lechem Wałęsą. W połowie dekady przewodniczący związku nabierał znaczenia – w przeciwieństwie do TKK, której związki z ekspertami słabły; skupiali się oni raczej wokół Wałęsy.

Program gospodarczy TKK silnie akcentował potrzebę reform przy jednoczesnym dbaniu o zminimalizowanie ich kosztów społecznych. Część postulatów miała charakter liberalny, zmierzając w stronę zasad rynkowych (np. dopuszczano zamykanie nierentownych zakładów). Jednocześnie niezbywalnym elementem działania związku była ochrona praw pracowników, dbałość o ich bezpieczeństwo. Można

⁵⁶ Komunikat o posiedzeniu TKK, 15 IV 1985 [w:] *ibidem*, s. 223.

⁵⁷ Oświadczenie TKK na temat przezwyciężania kryzysu gospodarczego, 20 VI 1986 [w:] *Dokumenty władz NSZZ „Solidarność”*..., s. 233–237.

zapytać, w jakim stopniu taki program trudnych reform bez negatywnych skutków dla społeczeństwa był realny, a w jakim utopijny. Część postulatów byłoby niezwykle trudno pogodzić. Jednak ten sposób myślenia o gospodarce był silnie zakorzeniony w tradycji Solidarności. Dyskusje mające znaleźć odpowiedź na pytanie, jak pogodzić ten sposób myślenia i dbania o interesy robotników, stanowiących podstawę ruchu Solidarności, i potrzebę reform gospodarczych, wciąż trwały. Mimo zmieniającej się optyki i coraz śmielej pojawiających się elementów myślenia wolnorynkowego program ruchu był daleki od postulowania radykalnych reform wprowadzających w Polsce system kapitalistyczny.

* * *

W 1986 r., po amnestii, pojawiły się perspektywy jawnego działania. Członkowie TKK, którą tworzyli już inne niż na początku osoby (Marek Muszyński, Lech Kaczyński, Stefan Jurczak, Andrzej Milczanowski, Antoni Stawikowski, Jerzy Dłużniewski), manifestowali niechęć do ujawniania się z uwagi na brak reform. Po powstaniu jawnej Tymczasowej Rady NSZZ Solidarność, do której weszło wielu dawnych członków TKK, podkreślono, że pracę regionów koordynuje nadal działająca w podziemiu TKK, ale podstawą związku są struktury zakładowe i regionalne. „W ostatnim czasie mamy do czynienia z próbami rozszerzenia formuły działania związku poprzez jawne wystąpienia grup działaczy NSZZ »Solidarność«. Obserwując z uwagą te próby, TKK podkreśla konieczność zachowania wymogów bezpieczeństwa i ochrony podziemnego potencjału ludzkiego i bazy materialnej,

które decydują o rzeczywistej sile i znaczeniu naszego związku”⁵⁸. Ówcześni liderzy podziemia chcieli kontynuować konspiracyjną formę działalności, natomiast dawni działacze, uwolnieni z więzień, szukali swojego miejsca na jawnej scenie publicznej. Obie grupy pogodziło dopiero utworzone w 1987 r. przez Lecha Wałęsę nowe, jawne kierownictwo związku – Krajowa Komisja Wykonawcza⁵⁹.

Dokumenty TKK szerzej formułujące program pojawiały się przede wszystkim w pierwszym okresie jej funkcjonowania. Wówczas przywódcy solidarnościowego podziemia raczej akceptowali tworzące się odolnie formy działalności opozycyjnej niż propagowali nowe. Duże znaczenie miało kilka zasad działania: istnienie ogólnopolskiej struktury koordynującej, zagraniczna reprezentacja Solidarności, pokojowe metody walki, centralny nadzór nad finansami ruchu. Model walki o przywrócenie Solidarności, a szerzej o prawo do reprezentacji społecznej („długi marsz”), niewiele się zmieniał, choć pojawiały się nowe inicjatywy, np. związane z wyborami. Rola TKK jako kierownictwa całego ruchu wolnościowego w Polsce zmniejszyła się w drugiej połowie dekady, kiedy tworzyły się odrębne grupy opozycyjne, odwołujące się do innych wartości i stosujące nieco inne metody działania. Jednak trzeba podkreślić, że obok funkcji koordynatora podziemia członkowie TKK spełniali inną, równie ważną, a może ważniejszą funkcję – byli symbolami trwania oporu wobec władz PRL. Wydaje się, że tak jak malała programowa rola TKK, tak wzrastała jej rola symboliczna. Jej trwanie, mimo zmian personalnych, dawało uczestnikom i sympatykom Solidarności sygnał, że związek nadal istnieje, że to, co robią, ma sens.

⁵⁸ Oświadczenie przewodniczącego NSZZ Solidarność Lecha Wałęsy oraz TKK na temat ujawnienia się Jana Andrzeja Górnego i Marka Muszyńskiego, 12 X 1986 [w:] *Dokumenty władz NSZZ »Solidarność«*..., s. 247–248.

⁵⁹ A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna*..., s. 172–176.

IRLANDIA, NATO I STRACH PRZED INWAZJĄ W POLSCE 1980–1981

GABRIEL DOHERTY

historyk, wykłada na wydziale historii University College Cork w Irlandii. Specjalizuje się w dziejach Irlandii XX wieku. Artykuł jest plonem rozległych badań nad reakcją Irlandii na fenomen polskiej Solidarności.

Anglojęzyczna literatura naukowa na temat wydarzeń w Polsce lat 1980–1981, choć ogromna, koncentruje się, co zrozumiale, na wybranych wątkach tej wyjątkowo ciekawej epoki w życiu wyjątkowo ciekawego narodu. Oprócz licznych relacji ogólnych z tego okresu (z których najlepsze, jak Timothy’ego Gartona Asha, weszły do obowiązującego kanonu) istnieje też literatura bardziej specjalistyczna, która z wielu powodów skupia się raczej na wewnętrznej sytuacji Polski, pomijając okoliczności zewnętrzne – opisuje powstanie, rozwój i upadek Solidarności, marazm w szeregach PZPR, problemy gospodarcze trapiące kraj i rolę w tym dramacie Kościoła rzymskokatolickiego.

Podejmowano rzecz jasna wykraczające poza ten obszar badania dotyczące wpływu na Polskę wydarzeń rozgrywających się poza jej granicami i *vice versa*. Dla wygody podzielmy je na dwie szerokie kategorie. Literatura pierwszego rodzaju opisuje działalność rozmaitych podmiotów, które organizowały poparcie dla Solidarności w wielu krajach, starając się uświadamiać społeczeństwom sens polskich wydarzeń i zachęcać rządy do bardziej aktywnego stanowiska w sprawach Polski¹. Drugiego rodzaju obszerniejsza literatura skupia się na zabiegach dyplomatycznych.

Do tej drugiej kategorii należy niniejsza praca, badająca działania i reakcje rządu Irlandii w związku z wydarzeniami w Polsce w okresie między strajkami w sierpniu 1980 r. a wczesną wiosną 1981 r. (ze szczególnym uwzględnieniem lęku przed inwazją w grudniu 1980 r. oraz na przełomie marca i kwietnia 1981 r.). Zważywszy na to, że temat zwrócił już uwagę historyków, rozsądnie byłoby zacząć od pytania o zalety proponowanego podejścia i o to, co wniesie ono do literatury przedmiotu. W tym celu przedstawimy pokrótce główne założenia niniejszego studium, a także pewne istotne spostrzeżenia dotyczące irlandzkiej polityki zagranicznej jako takiej oraz ówczesnego stanowiska Irlandii w kwestii polskiej. W anglojęzycznych publikacjach opisujących dyplomatyczny wymiar polskich problemów przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wyróżniają się trzy nazwiska –

¹ Zob. np. *Solidarity with Solidarity: western European trade unions and the Polish crisis*, red. I. Goddeeris, Lanham 2010; K. Miskeld, *A complicated solidarity: the Swedish labour movement and Solidarność*, Amsterdam 2010; *For our freedom and yours: a history of the Polish Solidarity Campaign of Great Britain 1980–1994*, red. G. Hart, London 1994; por. mój artykuł *Irlandia i polski ruch Solidarności*, „Studia Historyczne” (w druku).

Marka Kramera, Andrzeja Paczkowskiego i Douglasa MacEachina. Kramer badał szereg spraw, ale przełomowe znaczenie ma jego analiza zagrożenia interwencją wojsk radzieckich czy Układu Warszawskiego podczas szesnastu miesięcy legalnej działalności Solidarności (jest więc szczególnie ważna z perspektywy tego opracowania)². Paczkowski skupił się bardziej (choć nie wyłącznie) na scenie wewnętrznej³. Natomiast prace MacEachina rzucają szerokie światło na amerykańską perspektywę⁴. W toczącej się od blisko dwudziestu lat debacie wzięto udział wielu znakomitych uczonych⁵, jednak ta trójka zrobiła najwięcej, wyznaczając jej akademickie ramy. Badacze zgodni są, że wyolbrzymiano zagrożenie inwazją ZSRR lub Układu Warszawskiego; niektórzy dowodzą wręcz, że zagrożenia nie było⁶. Zdaniem wielu historyków bardziej prawdopodobna była interwencja we współpracy z polskim rządem, partią i wojskiem w kontekście ogłoszonego stanu wojennego. Ale strach przed inwazją był w latach 1980–1981 nie-

wątpliwie prawdziwy i – jak zobaczymy – przyczynił się do przygotowania planów na taką ewentualność (a ściślej mówiąc, takie ewentualności).

Badania nad irlandzką polityką zagraniczną są stosunkowo świeżej daty, gdyż do końca lat osiemdziesiątych utrudniała je odmowa otwarcia archiwów ze strony kolejnych irlandzkich rządów. Potem pojawiło się wiele użytecznych opracowań przeglądowych⁷, zaczął wychodzić kwartalnik „Irish Studies in International Affairs”, uruchomiono też nieoceniony (i realizowany nadal) program publikacji oryginalnych dokumentów od chwili narodzin współczesnych irlandzkich służb dyplomatycznych, które powstawały w latach walki o wyzwolenie spod brytyjskich rządów⁸. Polityka zagraniczna Irlandii koncentrowała się w przeważającej mierze wokół trzech biegunów – Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Europy Zachodniej, nic więc dziwnego, że ogromna większość naukowej literatury przedmiotu dotyczyła tej właśnie tematyki, niewiele miejsca poświęcając polityce Irlandii wobec Europy

² *Soviet deliberations during the Polish crisis, 1980–1981*, Cold War International History Project (Woodrow Wilson International Centre for Scholars), „Special Working Paper” 1999, nr 1; zob. też *Declassified Soviet documents on the Polish crisis* oraz *Warsaw Pact and the Polish crisis of 1980–81*, „Bulletin Cold War International History Project” 1995, nr 5; *Colonel Kuklinski and the Polish crisis, 1980–81* oraz *In case military assistance is provided to Poland* oraz Jaruzelski, *the Soviet Union and the imposition of martial law in Poland: new light on the mystery of December 1981*, *ibidem* 1998, nr 11.

³ Między innymi *The Spring will be ours: Poland and the Poles from occupation to freedom, 1939–1989*, Pennsylvania 2003; *Playground of the Superpowers, Poland 1980–1989: a view from inside* [w:] *The last decade of the Cold War: from conflict escalation to conflict transformation*, red. O. Njolstad, London 2004; *From Solidarity to martial law: the Polish crisis of 1980–1981: a documentary history*, red. M. Byrne, A. Paczkowski, New York 2007. Do tej ostatniej publikacji odwołujemy się szeroko w niniejszym opracowaniu.

⁴ Godne uwagi są zwłaszcza prace *US intelligence and the confrontation in Poland, 1980–1981*, Pennsylvania 1998; *US intelligence and the Polish crisis, 1980–1981*, Washington 2000.

⁵ Dwa artykuły okazały się przydatne przy pisaniu niniejszego: V. Mastny, *The Soviet non-invasion of Poland in 1980–81 and the end of the Cold War*, Cold War International History Project, „Special Working Paper” 1998, nr 23; J.D. Caytas, *The geopolitical spotlight on Poland 1980–81: pragmatic efficien*, „Special Working Paper of public diplomacy”, „Foreign Policy Journal”, 29 VII 2012.

⁶ Podsumowanie konferencji w podwarszawskiej Jachrance w 1997 r. z udziałem licznych polskich, radzieckich i amerykańskich decydentów z lat 1980–1981 zob. <http://www.wilsoncenter.org/article/cwihp-co-sponsored-conference-poland-1980-1982-internal-crisis-international-dimensions>, a zwłaszcza *Martial Law Evaluated by Historians and Generals at Jachranka*, <http://www.wilsoncenter.org/sites/default/files/Martial%20Law%20Evaluated%20by%20Historians%20and%20Generals%20at%20Jachranka.pdf> (dostęp do obu 7 I 2013).

⁷ Na przykład P. Keatinge, *The formulation of Irish foreign policy*, Dublin 1973; D. Keogh, *Ireland and Europe: 1919–1989*, Cork 1990; *Irish foreign policy, 1919–66: from independence to internationalism*, red. M. Kennedy, J.M. Skelly, Dublin 2000; *Irish foreign policy*, red. B. Tonra, Dublin 2012.

⁸ Seria „Documents in Irish Foreign Policy”, dotychczas ukazało się osiem tomów, obejmujących lata 1919–1948; <http://www.difp.ie/> (dostęp 7 I 2013).

Środkowo-Wschodniej, a w szczególności wobec Polski⁹. Mamy nadzieję, że niniejsze studium przyczyni się w jakiejś mierze do wypełnienia tej luki i skłoni do kontynuowania prac w tym zakresie.

Luka, o której mowa, jest tym dziwniejsza, że przez cały XIX wiek irlandzcy patrioci utożsamiali się ze sprawą polską bardziej niż jakąkolwiek inną w Europie, a polska tradycja powstań narodowych inspirowała tak wybitnych bojowników o niepodległość Irlandii jak Pádraig Pearse (czołowa postać powstania wielkanocnego w 1916 r.) czy Michael Collins (najwybitniejszy przywódca walki zbrojnej przeciwko Brytyjczykom podczas wojny o niepodległość w latach 1919–1921). Przyjaźń ta doczekała się instytucjonalizacji po odzyskaniu przez oba kraje niepodległości po pierwszej wojnie światowej (przez Polskę w 1918 r., przez Irlandię w 1921 r.) dzięki takim symbolicznym krokom jak mianowanie w 1924 r. polskiego konsula w Irlandii i utworzenie w następnej dekadzie Towarzystwa Irlandzko-Polskiego¹⁰. Stosunki uległy szybkiemu ochłodzeniu po drugiej wojnie światowej, kiedy w Polsce zapanował komunistyczny reżim¹¹, a Dublin jako ostatnia zachodnioeuropejska stolica dopiero w 1963 r. cofnął uznanie *de iure* polskiego rządu na uchodźstwie¹².

Relacje ociepliły się na początku lat siedemdziesiątych, kiedy Irlandia odniosła sukces w staraniach o członkostwo w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej, a irlandzki MSZ zaczął zabiegać w rządzie o rozszerzenie kontaktów dyplomatycznych w Europie Środkowo-Wschodniej. Powracała dawna bliskość, a MSZ stanął na stanowisku, że Polska oprócz Związku

Radzieckiego powinna znaleźć się w pierwszej grupie państw Układu Warszawskiego, z którymi należy odnowić stosunki dyplomatyczne, wychodząc z założenia, że (by zacytować odnośne memorandum) jest ona „przypadkiem szczególnym z uwagi na historyczne i religijne pokrewieństwo”¹³. W styczniu 1974 r. rząd podjął decyzję zgodną z tymi wytycznymi, którą ogłosił w październiku 1976 r. W 1980 r. Irlandia mianowała ambasadora w Polsce z siedzibą w Sztokholmie, a jego polski partner rezydował w Hadze.

Gdy wybuchł polski Sierpień, większość ministrów irlandzkiego rządu i urzędników państwowych – podobnie jak w wielu europejskich krajach – była na wakacjach. To, brak sprecyzowanych interesów Irlandii, które wiązałyby się z wydarzeniami w Polsce, a także pilne sprawy krajowe (najważniejsze to fala przemocy w Irlandii Północnej i bardzo trudna sytuacja gospodarcza) złożyło się na ostrożną reakcję Dublina. Odniosł się on z uznaniem do podpisanych w duchu kompromisu porozumień sierpniowych, powstrzymał się jednak od dalszych komentarzy.

Dopiero od listopada 1980 r., kiedy wydarzenia zaczęły wyraźnie nabierać tempa, nastąpiła zmiana kursu, podyktowana tym, co odebrano jako niepokojący sygnał początków załamywania się władzy państwowej w Polsce i zagrożenia inwazją wojsk radzieckich bądź Układu Warszawskiego. Główną reakcją rządu irlandzkiego było zobowiązanie się do udziału w programie pomocy żywnościowej, skleconym naprędce przez EWG w ostatnim tygodniu listopada (szczegółowo dopracowywano w wielkim pośpiechu do połowy grudnia 1980 r.). Skalę zaangażowania Irlandii w ten

⁹ Godnym uwagi wyjątkiem od ogólnej zasady jest portret Paula McNamary, irlandzkiego dyplomaty, który w latach 1934–1936 zajmował niezastępowane na zazdrość stanowisko wysokiego komisarza Ligi Narodów w Wolnym Mieście Gdańsku, *Sean Lester, Poland and the Nazi takeover of Danzig*, Dublin 2009.

¹⁰ Pierwsze Towarzystwo Irlandzko-Polskie przestało działać po drugiej wojnie światowej. Zastąpiła je nowa, nadal istniejąca, dynamiczna organizacja, utworzona w 1978 r. z okazji wizyty rok później w Irlandii papieża Jana Pawła II.

¹¹ W latach pięćdziesiątych zainteresowanie irlandzkiego rządu sprawami polskimi koncentrowało się m.in. na polityce komunistycznych władz wobec Kościoła rzymskokatolickiego, w tym uwięzieniu kard. Stefana Wyszyńskiego; zob. np. Archiwum Narodowe w Dublinie (AND), DFA 410/72/2 I oraz DFA 410/72/2 II, teczki „Persecution of the Church in Poland” ze stycznia 1950 i stycznia 1956; a także o Wyszyńskim DFA 410/188.

¹² W Europie Zachodniej uznawały wówczas rząd RP na uchodźstwie jedynie Stolica Apostolska i faszystowskie reżimy w Hiszpanii i Portugalii.

¹³ AND, D/T 2008/148/327, „Poland: diplomatic relations”, Memorandum Departamentu Spraw Zagranicznych, 28 X 1971.

program opisano gdzie indziej¹⁴. W dalszym ciągu tego artykułu zajmujemy się jej reakcją na rosnącą, jak się wówczas wydawało, radziecką presję i ostatecznie ogłoszenie stanu wojennego w Polsce.

Zanim przebadamy korespondencję dyplomatyczną, która wpłynęła na postawę Irlandii, niezbędny jest rzut oka na jej stanowisko we wszelkich kwestiach dotyczących bezpieczeństwa narodowego. Do 1980 r. przez ponad czterdzieści lat kraj realizował konsekwentnie politykę neutralności militarnej, a przynajmniej nieprzewodzenia wojen. Początki tej polityki sięgają czasów tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, jednak odmowa Irlandii udziału w sojuszach wojskowych – najwidoczniejszym tego wyrazem była nieobecność w NATO – sprawiła, że w latach 1980–1981 była ona jedynym członkiem EWG niebędącym zarazem członkiem Paktu Północnoatlantyckiego¹⁵. Ten wyjątkowy status dawał jej szczególną możliwość wpływania na politykę Wspólnoty wobec Polski, ale z tego samego powodu narażał na szczególne naciski spoza Wspólnoty, zwłaszcza ze strony Stanów Zjednoczonych.

Jednocześnie od połowy lat pięćdziesiątych Irlandia zaczęła stopniowo odchodzić od polityki izolacjonizmu i coraz chętniej angażować się na arenie międzynarodowej, a momentem przełomowym było w tym zakresie przystąpienie w 1955 r. do ONZ. Przez następne ćwierćwiecze Irlandia rozszerzała kontakty międzynarodowe (najważniejsze było wejście w 1973 r. do EWG), a później wzięła udział w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, stając się sygnatariuszem porozumień helsińskich. Jednym z fundamentów irlandzkiej polityki w omawianym okresie było konsekwentne trzymanie się ducha i litery tych porozumień.

Interesujące światło na stanowisko Irlandii w kwestiach bezpieczeństwa międzynarodowego

rzuca głos byłego premiera Seána Lemassa w dyskusji nad wnioskiem o członkostwo w EWG, złożonym na początku lat sześćdziesiątych i wycofanym, kiedy prezydent Charles de Gaulle zażądał jednoznaczny wniosek brytyjski. W wywiadzie z czerwca 1962 r. dla „New York Timesa” Lemass stwierdził: „Rozumiemy, że nieuchronnym skutkiem naszego wejścia do wspólnego rynku będzie zaangażowanie militarne, ostatecznie będziemy więc gotowi zrezygnować także z czysto formalnego wymiaru naszej neutralności. Gotowi jesteśmy wejść do integrującej się Europy bez zastrzeżeń co do tego, jak daleko nas to zaprowadzi w dziedzinie polityki zagranicznej”.

W okresie 1973–1980 polityka ta nie była realizowana (choćby z tej racji, że była to także era *détente*), co jednak znaczące, jeden z najbardziej wpływowych polityków współczesnej Irlandii gotów był nie tylko zgodzić się na rezygnację z neutralności, ale także przyznać to publicznie. Do kwestii tej wrócimy pod koniec artykułu.

Podsumowując politykę Irlandii wobec Polski podczas pierwszej fali strachu przed inwazją ZSRR na początku grudnia 1980 r., można stwierdzić, że z chęcią wspierała ona wspólne stanowisko EWG w tej kwestii, jednak nie paliła się do aktywniejszych działań, szczerze sympatyzowała z postulatami rodzącej się Solidarności, jednak zdawała sobie sprawę, że mogą one zdestabilizować *status quo*, a nade wszystko miała dostatecznie dużo pilnych problemów na własnym podwórku, nieuchronnie ważniejszych od intrygujących, ale podówczas dość mgławicowych wydarzeń na międzynarodowej scenie.

Uzasadnione obawy przed interwencją w Polsce sił Układu Warszawskiego na przełomie listopada i grudnia 1980 r. zmieniły podejście do tych spraw zarówno w Irlandii, jak i w innych krajach.

¹⁴ G. Doherty, *Ireland, Europe and the provision of food aid to Poland 1980–81*, „Irish Studies in International Affairs” (w druku).

¹⁵ Decyzję o niewchodzeniu do NATO analizuje Elizabeth Keane, „Coming out of the cave”: *the first Inter-Party Government, the Council of Europe and NATO*, „Irish Studies in International Affairs” 2004, t. 15, s. 167–190. Szersze omówienie polityki neutralności zob. N. Jesse, *Choosing to go it alone: Irish neutrality in theoretical and comparative perspective*, „International Political Science Review” 2006, t. 27, nr 1, s. 7–28.

Strach przed inwazją – odsłona pierwsza, grudzień 1980

Omawiając reakcję Irlandii na zagrożenie radziecką interwencją wojskową w Polsce w okresie od grudnia 1980 do kwietnia 1981 r., przypomnieć należy, że od pierwszych dni strajku założycielskiego w Stoczni Gdańskiej wszyscy najważniejsi aktorzy dramatu uznawali inwazję za realną możliwość. 25 sierpnia, tydzień przed zakończeniem strajku, radzieckie Biuro Polityczne powołało komisję mającą „śledzić uważnie rozwój wypadków w PRL i informować systematycznie o sytuacji w PRL i możliwych krokach z naszej strony”¹⁶. O powadze, z jaką Biuro Polityczne traktowało te „wypadki”, świadczy ranga komisji, do której weszli m.in. minister spraw zagranicznych Andriej Gromyko, ówczesny szef KGB i późniejszy sekretarz generalny KC KPZR Jurij Andropow, faktyczny asystent Breżniewa i także przyszły sekretarz generalny Konstantin Czernienko oraz przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych ZSRR i nieoficjalny główny ideolog partii Michaił Susłow. Komisja pracowała szybko i po trzech dniach przedstawiła Biuru Politycznemu raport wymieniający kroki, których może, jak przewidywano, wymagać szybko pogarszająca się sytuacja w Polsce. Należało do nich m.in. żądanie ministra obrony, by na wypadek udzielenia PZPR „pomocy wojskowej” cztery dywizje (trzy czołgów i jedna piechoty zmotoryzowanej) zostały do godziny osiemnastej następnego dnia doprowadzone do „pełnej gotowości bojowej”, a jeśli polski kryzys będzie się nadal zaostrezał, utrzymać w stanie „podwyższonej gotowości” dywizje stacjonujące w rejonie Bałtyku, na Białorusi i Zakarpaciu. Gdyby polska armia „miała przejść na stronę kontrrewolucji” (co znaczyło, że jej lojalność budzi wątpliwości), konieczne będzie uzupełnienie sił, jakimi dysponowałby ZSRR, o dalsze 5–7 dywizji¹⁷.

Oznacza to, że na dwa dni przed podpisaniem porozumienia gdańskiego władze Związku Radzieckiego nie tylko planowały interwencję w Polsce na wielką skalę, lecz chciały także aprobaty (którą uzyskały) dla szczegółowych przygotowań do interwencji. ZSRR nie mógł rzecz jasna ukryć przed Zachodem tych poczyniń, więc od początku września Amerykanie oceniali regularnie stan radzieckich przygotowań, a także opracowywali plany własnej reakcji. 23 września zebrała się Nadzwyczajna Komisja Koordynacyjna ds. Polski – którą uznać można za amerykański odpowiednik komisji radzieckiej – by omówić informacje wywiadu. Na posiedzeniu, w którym wziął udział prezydent Jimmy Carter, dyrektor CIA Stansfield Turner poinformował, że niektóre dyslokacje wojsk ZSRR wydają się porównywalne do tych, które poprzedzały inwazję na Czechosłowację, choć w tym momencie nic jeszcze nie wskazywało, by zapadła ostateczna decyzja o interwencji. Z uwagi na „powszechną zgodę” co do tego, że Polacy będą walczyć (z zastrzeżeniem, że nie sposób przewidzieć, jak zorganizowany byłby to opór), Turner ocenił, że interwencja wymagać będzie około 30 dywizji i że Zachód zostanie ostrzeżony z około dwu-trzytygodniowym wyprzedzeniem¹⁸.

Przez następne dwa miesiące zarówno przygotowania ZSRR, jak i kontrprzygotowania Stanów Zjednoczonych zyskiwały coraz wyraźniejszy kształt – jako reakcja tyle na pierwotny impuls, jakim był polski Sierpień, ile na dalszy rozwój wypadków. Do najważniejszych należało utworzenie w połowie września NSZZ Solidarność, dobrze zorganizowany, cieszący się szerokim poparciem ogólnokrajowy godzinny strajk ostrzegawczy 3 października 1980 r. w proteście przeciwko ociąganiu się rządu z realizacją zobowiązań wynikających z porozumień sierpniowych, spór o zatwierdzenie statutu Solidarności przez Sąd Najwyższy i spowodowany tym impas, rozstrzygnięty ostatecznie

¹⁶ Extract from protocol no. 210 of CPSU CC Politburo meeting, 25 VIII 1980 [w:] *From Solidarity to martial law...*, s. 50.

¹⁷ CPSU CC Politburo Commission order to enhance readiness of military units for possible use in Poland, 28 VIII 1980 [w:] *ibidem*, s. 64–65.

¹⁸ Special Co-ordinating Committee, Summary of conclusions, „Meeting on Poland”, 23 IX 1980 [w:] *ibidem*, s. 87–90. Pełniejsze omówienie stanowiska doradcy prezydenta Cartera ds. bezpieczeństwa narodowego, Zbigniewa Brzezińskiego, na temat sprawy polskiej pod koniec 1980 r. w jego *Power and principle: memoirs of the National Security Advisor 1977–1981*, New York 1985 (wyd. poprawione), s. 463–468.

na korzyść związku 10 listopada, wreszcie sprawa Narożniaka (czyli zamieszanie wokół zatrzymania Jana Narożniaka, drukarza, który przekazał Solidarności poufną instrukcję prokuratora generalnego), w okresie 20–28 listopada grożąca naruszeniem kruchego rozejmu między partią i związkiem¹⁹.

Z końcem tego kryzysu zaczyna się na dobre historia zaangażowania Irlandii w sprawy polskie. Pod koniec listopada Sekcja Polityczna irlandzkiego Departamentu Spraw Zagranicznych wzięła udział w przygotowaniach poprzedzających uczestnictwo Irlandii w zaplanowanym na 1–2 grudnia w Luksemburgu posiedzeniu Rady Europejskiej. Od początku strajku w Gdańsku ambasador w Sztokholmie informował na bieżąco departament, były to jednak tylko luźne obserwacje i dopiero w związku z posiedzeniem Rady Europejskiej zaczął przygotowywać stanowisko zastępujące na miano linii politycznej.

Ważnym punktem przygotowań była notatka sporządzona przez Sekcję Polityczną 26 listopada, obejmująca główne wątki, które, jak się spodziewano, zostaną poruszone na szczycie w Luksemburgu – m.in. ogólny stan stosunków między Wschodem i Zachodem, sytuacja w Afganistanie i spotkanie przeglądowe KBWE, które rozpoczynało obrady w Madrycie. W odniesieniu do sytuacji w Polsce padła sugestia, by ówczesny premier Charles Haughey zechciał przedstawić stanowisko Irlandii. Dwa zasadnicze elementy to zrozumienie potrzeb polskiego społeczeństwa, w szczególności problem koordynacji programu pomocy żywnościowej przez EWG, oraz delikatna kwestia tego, że pomoc mogłaby być postrzegana bądź zinterpretowana jako ingerencja w wewnętrzne sprawy Polski, a więc mogłaby dać Związkowi Radzieckiemu pretekst do interwencji. Zrozumiałe obawy o sposób prezentowania sprawy wpływały na stanowisko sek-

cji w kwestii tego, czy w rutynowym komunikacie po szczycie należy potraktować Polskę jako osobny punkt, czy też – do czego sekcja się skłaniała – lepiej ją uwzględnić „jako jeden z punktów oświadczenia o stosunkach Wschód – Zachód”²⁰.

Kilka dni później sugestia ta została po uzupełnieniu włączona do oficjalnej noty programowej Departamentu Spraw Zagranicznych jako wskazówka dla premiera. Powtórzono zalecenie dla Zachodu „zachowania ostrożności w reakcjach publicznych na wydarzenia w Polsce”, wskazując na „zagrożenie kruchej stabilizacji w Polsce” (aluzja do sprawy Narożniaka) i „nieuniknione trudności rządu i związku zawodowego znalezienia *modus vivendi* do przyjęcia dla Moskwy”. Na temat radzieckiej interwencji stwierdzono, że „byłaby to dla Związku Radzieckiego absolutna ostateczność” – Dublin nie miał wątpliwości, że Polacy stawiają silny opór, który zwiąże na czas nieokreślony „ogromne siły i środki” w czasie, gdy zaangażowanie ZSRR w Afganistanie rozciągnęło już szeroko jego front militarny i doszło, ogólnie rzecz biorąc, do nieuchronnego pogorszenia stosunków między Wschodem i Zachodem²¹.

W oświadczeniu Rady Europejskiej z 2 grudnia Polska pojawiła się jako osobny punkt. Głównym elementem tej części oświadczenia było zwrócenie uwagi na potrzebę respektowania przez wszystkie strony zasad spisanych w Karcie Narodów Zjednoczonych i zapisów Aktu Końcowego konferencji helsińskiej dotyczących suwerenności w kwestiach ściśle wewnętrznych. Jasne było, że słowa te odnoszą się do rosnącego zagrożenia radziecką interwencją, zwłaszcza odczytywane w kontekście dalszego ostrzeżenia, że każde naruszenie suwerenności „mieć będzie bardzo poważne konsekwencje dla przyszłości stosunków międzynarodowych w Europie i na całym świecie”. Poza tym

¹⁹ Wydarzenia te omawiają: T. Garton Ash, *Polska rewolucja. „Solidarność” 1980–1981*, przeł. M. Dziewulska, M. Król, Warszawa 1990; N. Ascherson, *The Polish August*, London 1981, s. 195–207; N. Andrews, *Poland 1980–81: Solidarity versus the Party*, Washington 1985, s. 78–95; A. Kemp-Welch, *Poland under Communism: a Cold War history*, Cambridge 2008, s. 269–301.

²⁰ AND, DFA 2011-39-1741, „Trade unions in Poland”, *European Council Luxembourg, 1/2 December 1980, General steering note. Political co-operation issues*.

²¹ *Ibidem*, *European Council 1/2 December 1980 East/West relations Steering note*.

państwa członkowskie Wspólnoty zgłosiły gotowość „wyjścia w miarę możliwości naprzeciw” ponawianym prośbom Polski o pomoc gospodarczą²².

Z dnia na dzień stan bezpieczeństwa pogorszył się dramatycznie. 2 grudnia do NATO dotarły alarmujące dane wywiadowcze, wskazujące na to, że przygotowania ZSRR osiągnęły poziom uzasadniający znaczące podniesienie szczebla gotowości NATO. Na porannym posiedzeniu Rady Paktu przedstawiciel Stanów Zjednoczonych wypowiadał się ostrożnie. Stwierdził m.in., że „interwencja w Polsce jest dla Związku Radzieckiego ostatecznością” i że żadne ostateczne decyzje w tej kwestii nie zostały podjęte, jednak podwyższona gotowość sił ZSRR „umożliwia w razie potrzeby szybkie podjęcie działań”²³.

Na drugim, popołudniowym spotkaniu nastroje były już wyraźnie minorowe. Przewodniczący otrzymał „ponure wieści” od głównodowodzącego Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie (SACEUR) gen. Bernarda Rogersa. W ciągu paru godzin nadeszły doniesienia o wezwaniu na konsultacje ambasadora NRD w Warszawie, odwołaniu urlopów we wschodnioniemieckich siłach zbrojnych, najwyższym stopniu gotowości sił radzieckich w zachodnich okręgach wojskowych, pełnej optymalizacji na tym obszarze systemów dowodzenia, kontroli i komunikacji, zamknięciu granicy polsko-wschodnioniemieckiej i wyjeździe do Moskwy szefa rumuńskiego MSZ. Rogers informował też o zmobilizowaniu radzieckich rezerwistów. Według niego „gotowe do rozpoczęcia działań” były 33 radzieckie dywizje. Generał nie miał wątpliwości, że polskie wojsko stawi opór inwazji i zyska poparcie polskiego społeczeństwa²⁴.

Nagły wzrost napięcia odnotowała CIA w rozproszonym nazajutrz nadzwyczajnym memorandum o sytuacji w Polsce. Wskazywano na „niezwykłe, niespotykane o tej porze roku nasilenie się aktywności militarnej wojsk radzieckich w Polsce i graniczących z nią obszarach”, a także istotne w tym kontekście i ogłoszone oficjalnie zamknięcie w okresie od 30 listopada do 9 grudnia dużego odcinka granicy Polski z NRD. Za prawdopodobne uznano odbywanie się innych, niewykrytych działań mobilizacyjnych i ćwiczebnych. We wnioskach czytamy, że łącznie dane te nie wskazują na groźbę natychmiastowej inwazji, niemniej staje się ona „coraz bardziej prawdopodobna”²⁵.

Nie wiedzieliśmy wówczas – nie wiedzieli zwłaszcza sami zainteresowani – że kryzys sięgnął szczytu 4–5 grudnia. 4 grudnia najwyżej ulokowany w dziejach zimnej wojny agent CIA w polskiej armii, płk Ryszard Kukliński – szybko awansujący oficer w Sztabie Generalnym WP, który od 1971 r. przekazywał na Zachód tajne dane najwyższej jakości – wysłał pilną wiadomość do Stanów. Poinformował w niej, że za wiedzą i zgodą gen. Wojciecha Jaruzelskiego (podówczas ministra obrony narodowej) najwyżsi dowódcy polskiej armii wyrazili zgodę na wejście na terytorium Polski pod pretekstem manewrów jednostek radzieckich, wschodnioniemieckich i czechosłowackich – ogółem osiemnastu dywizji – a początek operacji wyznaczono na 8 grudnia. Kukliński opisał szczegółowo podjęte już działania przygotowawcze, m.in. sprowadzenie oficerów wywiadu „bratnich armii” celem rozpoznania dróg przemarszu, poligonów i rejonów przyszłych działań. Wbrew zdecydowanym opiniom zachodniego wywiadu jego zdaniem polscy współorganizatorzy

²² Pełny tekst zob. *Conclusions of the European Council Luxembourg, December 1 & 2, 1980*, http://aei.pitt.edu/1415/1/Luxembourg_dec_1980.pdf (dostęp 7 1 2013).

²³ *Summary record of a private meeting of the Council on 2nd December, 1980 on the situation in Poland*, http://www.nato.int/nato_static/assets/pdf/pdf_archives/20111213_4_19811205_PR_80_69-ENG.pdf (dostęp 7 1 2013). To jeden z wielu dokumentów na temat polityki NATO wobec Polski w latach 1980–1984, dostępnych na <http://www.nato.int/cps/en/natolive/82109.htm>.

²⁴ *Summary record of a private meeting of the Council on 2 December 1980, on implications for Alliance defence of the situation in Poland*, http://www.nato.int/nato_static/assets/pdf/pdf_archives/20111213_5_19801205_PR_80_70-ENG.pdf (dostęp 7 1 2013).

²⁵ *CIA alert memorandum „Poland”, 3 XII 1980 [w:] From Solidarity to martial law..., s. 138.*

operacji byli „przygnębieni i załamani [...] ale nikt nie myślał o zbrojnym przeciwstawieniu się polskich wojsk operacji militarnej Układu Warszawskiego” (nie byłaby to, jak podkreślał, samodzielna operacja wojsk ZSRR, ale wspólne przedsięwzięcie sił Układu)²⁶.

Jeszcze tego dnia (zanim dotarła depesza Kuklińskiego) zebrała się Rada NATO, stwierdzając, że przygotowania ZSRR do interwencji w Polsce osiągnęły poziom wymagający reakcji Paktu. Oficjalnie uzgodniono potrzebę wydania komunikatu prezentującego „uzgodnione oficjalne stanowisko” państw członkowskich. Zgodzono się, że nie należy mówić publicznie niczego, co wykraczałoby poza to stanowisko i co mogłoby zostać uznane za ingerencję NATO, która dałaby ZSRR pretekst do interwencji. Co istotniejsze, przedstawiciel Stanów Zjednoczonych poparł nieoficjalnie wniosek SACEUR „o przekazanie uprawnień do podjęcia określonych działań militarnych po ewentualnej radzieckiej interwencji” bez dodatkowych politycznych zezwoleń. Świadczy to niezbicie o tym, że interwencję uważano wówczas za nieuniknioną²⁷.

Nazajutrz w Moskwie odbyło się spotkanie przywódców krajów członkowskich Układu Warszawskiego, potwierdzające, że na razie odstąpiono od planów inwazji. Spotkanie było niewątpliwie trudne dla pierwszego sekretarza KC PZPR Stanisława Kania. Zbierał on bezlitosne ciągi od ludzi pokroju Kádára, Honeckera, Ceaușescu, Husáka i zwłaszcza Leonida Breżniewa, który dyrygował atakiem. Twierdził on, że w Polsce dochodzi codziennie do „trudnych i niepokojących wydarzeń”, których konsekwencje wykraczają daleko poza jej granice, gdyż różne siły – „od tak zwanych liberałów po faszystów” – „mobilizują się przeciwko socjalizmowi w Polsce”, ale ich celem jest „cała socjalistyczna wspólnota”. Kania poczuł się

w obowiązku „mówić twardo”. Potwierdził, że Polska „jest ważną, nieusuwalną częścią socjalistycznej wspólnoty” i rozumiejąc wynikające stąd obowiązki, gotów jest przeciwstawić się groźbie „anarchii i kontrrewolucji”, którą wszyscy jasno dostrzegają. Bronił „czysto politycznych” metod postępowania wobec sierpniowej fali strajków, obiecał jednak, że jeśli partia i rząd uznają, iż muszą „bronić socjalizmu i socjalistycznej Polski”, zastosuje „inne środki”, nieograniczające się do działań politycznych – „metody konfrontacji połączone ze środkami przymusu”. Odpowiedź Breżniewa – „polscy towarzysze postępują słusznie, przygotowując się na nadzwyczajne działania” – odzwierciedlała zgodne stanowisko przywódców bloku wschodniego. Było to nie tyle wotum zaufania, ile wyraz zniecierpliwienia, wyczerpywania się tolerancji dla „nieudolności” polskich władz²⁸.

Jest jakaś ironia w tym, że podczas szczytu w Moskwie, oznaczającego przesilenie w pierwszej fazie inwazyjnego zagrożenia, kiedy Zachód dopinał przygotowania, z irlandzkiej perspektywy zagrożenie rosło, bo później tego dnia (czyli 5 grudnia) Irlandia zaangażowała się w skomplikowane manewry dyplomatyczne. Radca irlandzkiej ambasady w Londynie Hugh Swift zaplanował na ten dzień spotkanie z szefem Wydziału ds. Europy Wschodniej i ZSRR w brytyjskim Foreign Office, Brianem Fallem, „celem przedyskutowania najnowszych wydarzeń w Polsce”²⁹. Fall potwierdził doniesienia prasowe (po części pochodzące od samych Brytyjczyków) o gotowości ZSRR do interweniowania w Polsce w każdej chwili, jednak dodał, że nie znaczy to, iż inwazja jest nieunikniona ani bliska. Zauważył, że przygotowania mogą służyć innym celom, m.in. „umocnieniu determinacji polskich władz i osłabieniu przywódców Solidarności”.

²⁶ Szczegóły tej kluczowej informacji i roli Kuklińskiego w przekazaniu wiadomości CIA w: B. Weiser, *A secret life: the Polish officer, his covert mission, and the price he paid to save his country*, New York 2004, s. 218–225 i in.

²⁷ *Summary record of a private meeting of the Council on 4 December 1980, on the situation in Poland*, http://www.nato.int/nato_static/assets/pdf/pdf_archives/20111213_6_19801205_PR_80_71-BIL.pdf (dostęp 7 1 2013).

²⁸ *Minutes of Warsaw Pact leadership meeting in Moscow*, 5 XII 1980 [w:] *From Solidarity to martial law...*, s. 141–161.

²⁹ AND, DFA 2-011-39-1741, „Trade unions in Poland”, List Hugh Swifta do sekretarza Departamentu Spraw Zagranicznych: *Britain's views on the situation in Poland*, 9 XII 1980.

Zdaniem Falla radzieccy przywódcy rozumieli, że koszty interwencji w Polsce byłyby znacznie wyższe niż podobne operacje na Węgrzech, w Czechosłowacji czy Afganistanie. Fall starał się dać do zrozumienia – tu rozmowa potoczyła się w kierunkach ważnych dla Irlandii – że mimo podwyższonej gotowości NATO „reakcja Zachodu na radziecką interwencję, jeśli do niej dojdzie, musi mieć charakter polityczny i ekonomiczny, a nie militarny”. Dlatego Brytyjczykom zależało tak bardzo na szybkiej decyzji EWG w sprawie pomocy żywnościowej dla Polski, a jednocześnie konsultowali się z Francją, Stanami Zjednoczonymi, Austrią i Republiką Federalną Niemiec w sprawie restrukturyzacji kolosalnego polskiego zadłużenia. Zasadnicze znaczenie ma w związku z tym następujący fragment protokołu: „W przypadku interwencji ZSRR wymagającej reakcji Zachodu pojawi się pilna potrzeba koordynacji działań w ramach NATO, jak też w ramach Wspólnoty Europejskiej, a także potrzeba zapewnienia zgodności między decyzjami zapadającymi w każdej z tych organizacji”.

W tym momencie fakt, że Irlandia jest jedynym członkiem EWG niebędącym zarazem członkiem NATO, nabrał dużego znaczenia, gdyż stało się oczywiste, że uzgadnianie polityki Paktu i Wspólnoty oprze się w znacznej mierze na Dublinie. Dało to irlandzkiej dyplomacji rzadką możliwość wejścia na prawdziwie globalną scenę, ale znaczyło też, że ewentualna niezręczność zaszkodzi interesom Irlandii.

Przez następne 4–5 dni zwłaszcza Amerykanie byli przekonani (zapewne pod wpływem Kuklińskiego), że Związek Radziecki wkrótce wkroczy do Polski (prawdopodobnie około 8 grudnia) i podejmowali stosowne kroki, mimo że zbliżająca się inauguracja prezydentury Ronalda Reagana osłabiłaby skutki działań odchodzącej administracji. Nadzwyczajna Komisja Koordynacyjna ds. Polski zebrała się 7 grudnia z udziałem

doradcy prezydenta Cartera ds. bezpieczeństwa narodowego, Zbigniewa Brzezińskiego, któremu zależało na jak najtwardszej linii, odstraszałającej ZSRR od tego rodzaju zamiarów. Sam Carter wołał instrumentarium pozamilitarne, jednak przyrzekł w razie konieczności „podjąć szereg politycznych i militarnych kroków” – była to ta sama formuła, którą posłużył się Brian Fall na spotkaniu w Londynie, uzgodniona 4 grudnia na spotkaniu NATO³⁰. Jak ustalono na posiedzeniu komisji, nazajutrz CIA przedstawiła raport stwierdzający, że chociaż nie sposób przewidzieć, kiedy dojdzie do interwencji, Układ Warszawski (a więc już nie tylko siły zbrojne ZSRR) jest „gotów do interwencji w Polsce”, dysponując gotowymi do natychmiastowych działań około 15–25 dywizjami³¹.

Na dwudniowym (9–10 grudnia) spotkaniu ministerialnym Komitetu Planowania Obronnego NATO dominował temat polski. Przedstawiciel Stanów Zjednoczonych poinformował, że ZSRR zakończył przygotowania wojskowe i do rozpoczęcia inwazji potrzebuje jedynie „decyzji politycznej”. Według najnowszych szacunków w operacji mogło uczestniczyć do 31 dywizji, a zachodnie służby wywiadowcze wiedziałyby o rozpoczęciu operacji z 24–48-godzinnym wyprzedzeniem. Amerykanin powiedział, iż „dysponuje danymi wskazującymi, że decyzja o interwencji została podjęta” (miał zapewne na myśli raport Kuklińskiego, choć ten wskazał jako godzinę zero poprzedni dzień), ale sam „nie uważa jej za ostateczną”. Powiedział, że interwencja (gdyby miała miejsce, rozgrywałaby się poza obszarem dyspozycji NATO) „nie leży w obszarze bezpośrednich interesów Paktu”, ale odrzucił sugestię, jakoby była to „sprawa wewnętrzna” innych krajów. Opowiedział się więc za przygotowaniem planów awaryjnych, w tym (co szczególnie istotne w tej sytuacji) „raportu o relacjach gospodarczych ze Związkiem Radzieckim”³².

³⁰ *Minutes of US Special Co-ordinating Committee Meeting*, 7 XII 1980 [w:] *From Solidarity to martial law...*, s. 162–164.

³¹ *CIA Situation report: „Poland”*, 8 XII 1980 [w:] *ibidem*, s. 165–166.

³² *Summary record of a restricted meeting of the Defence Planning committee on 9 and 10 December 1980*, http://www.nato.int/nato_static/assets/pdf/pdf_archives/20120105_8_19810108_PR_80_73_PART1-BIL.pdf (dostęp 7 I 2013).

Tego dnia i przez następny tydzień irlandzcy dyplomaci mieli bilateralne spotkania na wysokim szczeblu z dyplomatami brytyjskimi i amerykańskimi. Pierwsze odbyło się 9 grudnia (pierwszego dnia posiedzenia Rady NATO), kiedy przedstawiciel ambasady Irlandii w Waszyngtonie został zawezwany do Departamentu Stanu celem zapoznania się z „raportem wywiadu o bieżącej sytuacji w Polsce” (reprezentant Biura Wywiadu i Badań w Departamencie podkreślał, że briefing ogranicza się do spraw wywiadowczych, nie służy omówieniu polityki Stanów Zjednoczonych wobec Polski i ma jedynie na celu umożliwienie Irlandii „ocenę polityczną w oparciu o dane”, którymi dysponują Amerykanie). Przedstawiciel Irlandii został poinformowany (w duchu biuletynu CIA z poprzedniego dnia), że „niezbędne przygotowania zostały ukończone”, choć nic nie wskazuje na to, by radzieckie kierownictwo podjęło ostateczną decyzję o interwencji. Podczas briefingu stwierdzono, że ZSRR jest w pełni świadomy kosztów (dyplomatycznych, politycznych i ekonomicznych) takiej operacji, ale jeśli „uzna, że Polska może wystąpić z Układu Warszawskiego lub zagrożony jest komunizm w tym kraju”, nie będzie miał wyboru i będzie musiał ponieść te koszty. Co ciekawe, podobną informację przekazał Departament Stanu wszystkim „podobnie myślącym krajom”, tzn. członkom NATO, Australii, Szwecji, Japonii itp. Ten incydent świadczy o tym, że Amerykanie kojarzyli (co najmniej podświadomie) Irlandię z NATO, ale nie tylko z NATO³³.

Niecały tydzień później (17 grudnia) Hugh Swift został ponownie wezwany do Foreign Office na briefing na temat bieżących wydarzeń, w szczególności posiedzenia Rady NATO 11–12 grudnia. Tym razem przewodniczył nie ktoś z Wydziału ds. Europy Wschodniej i ZSRR, tylko szef Departamentu Obrony w Foreign Office D.H. Gillmore. Poinformowano

Swifta o uzgodnieniu, że każda interwencja ZSRR „spowoduje automatyczne zwołanie Rady Północno-atlantycznej celem uzgodnienia szczegółów reakcji”. I, co kluczowe dla Irlandii, „ponieważ reakcje te będą głównie ekonomiczne, wchodzące w rozumieniu krajów Wspólnoty w zakres jej kompetencji, pojawi się potrzeba koordynacji działań z instytucjami Wspólnoty”. Gillmore podniósł też na pozór nieistotną kwestię kolejności działań, twierdząc, że „po to, by Rada NATO wiedziała, jakie kroki może podejmować”, EWG powinna jako pierwsza sprecyzować zamiary. Problem miał ważny praktyczny i symboliczny wydźwięk, z którego Dublin zdawał sobie sprawę (i o czym będzie mowa w dalszym ciągu)³⁴.

Tak się złożyło, że dzień wcześniej EWG wysłała z ważną inicjatywą wobec Polski, ogłaszając szczegóły pakietu pomocy żywnościowej (pierwszego z czterech w ciągu roku). Negocjacje i finansowanie tego pakietu z irlandzkiej perspektywy zostały już opisane z detalami³⁵. Odnotujmy jedynie, że Irlandia odegrała w tym przedsięwzięciu znaczącą rolę, a oferta przekazania 4 tys. ton bardzo potrzebnej wołowiny średnio po cenach o 15 proc. niższych od rynkowych czyni z niej w przeliczeniu na PKB na głowę najhojniejszego darczyńcę wśród wszystkich krajów członkowskich EWG.

Cisza między burzami: styczeń – marzec 1981

W okresie świąteczno-noworocznym sytuacja uspokoiła się, jednak zwłaszcza Amerykanie zachowali czujność, wypatrując oznak podejrzanej aktywności Związku Radzieckiego. 9 stycznia Departament Spraw Zagranicznych w Dublinie w kontekście wizyty ambasadora Grecji polecił ambasadzie irlandzkiej w Waszyngtonie sprawdzić, czy Departament Stanu kontaktował się z nią w kwestii ewentualnych działań Stanów Zjednoczonych na forum ONZ w przypadku

³³ AND, DFA 2-011-39-1741, „Trade unions in Poland”, Depesza radcy ambasady Irlandii w Waszyngtonie J. Sharkey’a do A. Mannixa z Wydziału Politycznego Departamentu Spraw Zagranicznych w Dublinie, 9 XII 1980.

³⁴ *Ibidem*, List Hugh Swifta do sekretarza Departamentu Spraw Zagranicznych: *Britain’s views on December’s North Atlantic Council Meeting*, 23 XII 1980.

³⁵ G. Doherty, *Ireland, Europe and the provision of food aid to Poland 1980–81*, „Irish Studies in International Affairs” (w druku).

radzieckiej interwencji w Polsce. Przyszła odpowiedź przecząca – okazało się, że konsultowano w tej sprawie tylko członków NATO, co było interesujące, gdyż informacje wywiadu przekazano w zeszłym miesiącu szerszemu gronu krajów. Ambasador Grecji informował, że jeśli po inwazji na Polskę Związek Radziecki będzie wetował każdą amerykańską rezolucję Rady Bezpieczeństwa, Amerykanie odwołają się do mechanizmu przewidzianego w uchwale 377 Zgromadzenia Ogólnego ONZ *Uniting for Peace*, dążąc do przyjęcia „mocnej rezolucji”. Depesza kończyła się wzmianką, że według ambasadora Belgia domaga się nałożenia w przypadku inwazji „surowych” sankcji gospodarczych³⁶.

Pod koniec miesiąca Amerykanie przedstawili zaktualizowaną wersję National Intelligence Estimate pod tytułem „Perspektywy Polski w nadchodzącym półroczu”³⁷. Ton dokumentu był pesymistyczny, jednak brak otwartych działań przeciwko Polsce ze strony zarówno ZSRR, jak i Układu Warszawskiego tonował ten pesymizm. Stwierdzono, że w polskim krajobrazie politycznym dominować ma ta sama płynność, z jaką mieliśmy do czynienia od sierpnia. Wobec „zasadniczo biernej, reaktywnej postawy władz” Solidarność może nabrać śmiałości i eskalować żądania, chociaż władzom byłoby trudno je przyjąć „bez narażenia własnej pozycji i zwiększenia ryzyka radzieckiej interwencji”. Trudno oczekiwać – czytamy w raporcie – by „w tak potencjalnie wybuchowej sytuacji, gdy kierownictwa zarówno partii, jak i związku są wewnętrznie podzielone, mogło utrzymać się *status quo*”. Co do Związku Radzieckiego, wydarzenia listopada i grudnia „dowodzą, że Sowietci są naprawdę gotowi do interwencji”. Wobec perspektywy dalszego politycznego dryfowania prawdopodobieństwo interwencji nie malało, ale zdawało się rosnąć. W ocenie autorów raportu „sytuacja zmierzała ku nieuchronnej interwencji”.

Tymczasem Brytyjczycy starali się informować na bieżąco Irlandię o rozwoju wypadków (czy też związać ją z NATO). Kolejne spotkanie, w Londynie 31 grudnia 1980 r., z udziałem Hugh Swifta i wysokiego przedstawiciela (wicedyrektora) Wydziału ds. Europy Wschodniej i ZSRR Foreign Office Davida Johnsona dotyczyło „planów awaryjnych NATO i Wielkiej Brytanii” (niestety w archiwum brakuje kopii protokołu spotkania). Kontynuując te konsultacje, Brian Fall (bezpośredni przełożony Johnsona) zadzwonił 3 lutego 1981 r. do Swifta, żeby przedstawić mu postęp prac. Nie był on tak szybki jak zamierzano, ale przygotowania miały zakończyć się w ciągu tygodnia. Fall podkreślał – bardzo gorliwie – że Brytyjczycy „nie chcą wkraczać w kompetencje Wspólnoty” i że przewidywane działania będą wdrażane „w ramach EWG”. Gorliwość ta dowodzi, że Irlandia stąpała po delikatnym gruncie. Kończąc Fall powtórzył, że zdaniem Londynu plan awaryjny jest nadal „potrzebny”, nie było jednak jasne, czy potrzebny z racji utrzymującego się zagrożenia ze strony ZSRR, czy dlatego, że samo planowanie wikał stopniowo Irlandię w sferę wpływów NATO³⁸.

Jednym z głównych punktów posiedzenia Rady NATO 18 lutego było zatwierdzenie planu awaryjnego, którego przygotowanie postulował obradujący 9–10 grudnia Komitet Planowania Obronnego (i który powstał w ostatnich dwóch tygodniach)³⁹.

W protokole wyczuwa się pewne zakłopotanie, a nawet konsternację z tego powodu, że nie sprawdziły się ponure grudniowe prognozy. Stwierdzono, że w ostatnich tygodniach nastąpiło „obniżenie stopnia gotowości” wojsk Układu Warszawskiego. Niemniej Rada była zdania, że kiedy dotrą sygnały „zapowiadające inwazję”, „Sowieci i ich satelici będą w stanie przeprowadzić operację, dysponując siłami umożliwiającymi realizację wszystkich założonych celów”. Zgodzono się, że w przypadku interwencji pod wodzą

³⁶ AND, DFA 2-011-39-1741, „Trade unions in Poland”, Depesza McKernana, radcy w Wydziale Politycznym Departamentu Spraw Zagranicznych, do chargé d'affaires ambasady Irlandii w Waszyngtonie, 9 I 1981.

³⁷ National Intelligence Estimate „Poland's prospects over the next six months”, 27 I 1981 [w:] *From Solidarity to martial law...*, s. 193–211.

³⁸ AND, DFA 2-011-39-1741, „Trade unions in Poland”, Depesza Swifta do McKernana, 3 II 1981.

³⁹ Summary record of a private meeting of the Council on 18 February 1981, an intelligence assessment and contingency planning on Poland, http://www.nato.int/nato_static/assets/pdf/pdf_archives/20111213_12_19810302_PR_81_11-BIL.pdf (dostęp 7 I 2013).

ZSRR potrzebna będzie „koordynacja ewentualnych działań Paktu z krajami spoza NATO”, wymieniając w tym kontekście Australię, Nową Zelandię, Japonię i Hiszpanię, ale nie Irlandię. Wynika stąd jasno, że na tym etapie nie została ona uwzględniona w planie awaryjnym NATO. Nie jest jasne, czy ktokolwiek poza Wielką Brytanią wiedział o propozycjach, jakie składała ona Irlandii w poprzednich dwóch miesiącach. Jednak zgodnie z tym, na co na późniejszym spotkaniu Brytyjczycy zwrócili uwagę członków Rady, wydaje się co najmniej możliwe, że była to jej indywidualna inicjatywa. Ale możliwe też, że nieoficjalnie wszyscy w NATO o tym wiedzieli, choć nie nadano sprawie oficjalnego biegu.

Druga fala strachu przed interwencją (marzec – kwiecień 1981): Wschód i Zachód

Zachód wiedział niewiele o przygotowaniach, jakie w tym okresie – zgodnie ze złożoną przez Kanię 5 grudnia obietnicą zastosowania „nadzwyczajnych środków” – podjęły polskie władze, które nie zamierzały ułatwiać ani utrudniać interwencji sił ZSRR lub Układu Warszawskiego, ale wprowadzić stan wojenny własnymi siłami. 15 marca z inicjatywy gen. Jaruzelskiego, który w lutym został premierem, zachowując tekę ministra obrony narodowej, spotkało się kierownictwo MSW celem przedyskutowania sytuacji w kraju i oceny przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego⁴⁰. Z protokołu wynika, że gdyby stan wojenny miał być wprowadzony szybko, ministerstwa były gotowe do „podjęcia działań [...] gdy chodzi o stronę prawną, wykorzystanie sił i środków oraz przeprowadzenie operacji internowania”, jednak wobec braku doświadczeń pozwalających przewidzieć reakcję społeczeństwa autorzy raportu nie próbowali określić skuteczności tego rodzaju działań. Rozważali trzy scenariusze. W pierwszym, optymistycznym wariantie „pozbawione antysocjalistycznych przy-

wódców i antypaństwowej organizacji [...] społeczeństwo jako całość [...] podporządkuje się poleceniom władz”. W trochę gorszym scenariuszu na szczeblu lokalnym dojdzie do „przerw w pracy na wielką skalę”. Niepokój budził wariant trzeci, w którym odpowiedział na wprowadzenie stanu wojennego byłby powszechny strajk okupacyjny. W ostateczności autorzy raportu nie wykluczali „pomocy” sił Układu Warszawskiego.

Pomoc ta nie była oczywista, co wynika jasno ze wschodnioniemieckiego raportu z początku następnego miesiąca na temat rozmów wysokiej rangi dowódców armii NRD z głównodowodzącym wojsk Układu Warszawskiego marsz. Wiktorem Kulikowem. Komentarze Kulikowa na temat polityki wobec Polski, choć utrzymane wówczas w tajemnicy, były reprezentatywne dla szerokich kręgów politycznego i wojskowego kierownictwa ZSRR. Marszałka martwił brak „zdecydowania i stanowczości” Kani i Jaruzelskiego, a zwłaszcza stwierdzenie tego ostatniego, że nie zgodzi się na użycie polskich żołnierzy przeciwko strajkującym. Kulikow podkreślał (nie pierwszy i nie ostatni raz): „naszym wspólnym celem powinno być rozwiązanie problemu bez wprowadzania do Polski wojsk sojuszniczych”, „polscy towarzysze powinni spróbować samodzielnie rozwiązać swoje problemy”. Rozważał jednak sytuację, w której siły Układu wkroczą do Polski, ale dopiero wówczas, gdy zawiodą „rozwiązania wewnętrzne”, bo „byłaby to inna sytuacja niż wówczas, gdy oddziały zostałyby tam rozmieszczone od początku”⁴¹.

Miarą tego, jak bardzo kierownictwo KPZR skłonne było wywierać psychologiczną presję na polskich towarzyszy, może być przebieg spotkania Kani i Jaruzelskiego z Jurijem Andropowem i Dymitrem Ustinowem 4–5 kwietnia 1981 r. w Brześciu nad Bugiem. Raport przedstawiony na posiedzeniu Biura Politycznego KPZR ukazuje nieskrywaną pogardę strony radzieckiej i kunktatorskie niezdecydowanie Polaków, gdy chodzi o stronę praktyczną wprowadzenia stanu

⁴⁰ Polish Ministry of Internal Affairs duty report on preparations for martial law, 16 III 1981 [w:] *From Solidarity to martial law...*, s. 223–225.

⁴¹ East German report of discussion with Marshal Viktor Kulikov, 7 IV 1981 [w:] *ibidem*, s. 246–254.

wojennego⁴². Według Andropowa operacja ta uwolniłaby polskie kierownictwo od „nacisków elementów kontrrewolucyjnych i wszelkich warchotów”, raz na zawsze kładąc kres „strajkom i anarchizacji polskiej gospodarki”, jednak zwykłe zmęczenie, nerwy i strach przyczyniły się do odkładania niezbędnych czynności. Ustinow przyznawał szczerze, że nie rozumie, „dlaczego Polacy boją się wprowadzenia stanu wyjątkowego”, i naciskał na polskich przywódców, by zaaprobowali plan „opracowany przez naszych towarzyszy”.

Jednak z perspektywy NATO wiedza ta wykraczała poza wszelkie rozumienie, więc polityka Paktu wobec Polski wychodziła nadal z założenia, że dojdzie do radzieckiej interwencji w jakiejś formie, a zapobieżenie jej jest głównym celem. W poufnym memorandum z 16 marca 1981 r. rozważano trzy scenariusze, uwzględniające opracowane plany awaryjne⁴³ – inwazja totalna (na zaproszenie bądź bez zaproszenia polskich władz), „interwencja pod pretekstem ruchów wojsk lub szeroko zakrojonych manewrów lub „operacja siłowa polskich władz przeciwko ludności, ewentualnie połączona z apelem o pomoc Układu Warszawskiego” (czyli jakiś wariant stanu wojennego bądź wyjątkowego). W trzecim scenariuszu próba obciążenia winą Związku Radzieckiego mogłaby napotkać oczywiste problemy, jednak ówczesny sposób myślenia w kręgach NATO niemal wykluczał podczas planowania tę hipotezę. Gdy chodzi o planowaną rolę Irlandii, kluczowe znaczenie miały działania ekonomiczne.

Pakt uzgodnił „jednogłośne i jednoczesne” wprowadzanie takich kroków jak sankcje, których wpływ na poszczególne kraje członkowskie byłby niejednakowy ze względu na różne rozmiary gospodarek, różną skalę wymiany handlowej z blokiem wschodnim itp. Jak stwierdzono *explicite*, ważne, by „pewne kraje spoza NATO” także wdrożyły określone posunięcia. Nie wspomniano, o które chodzi, ale w tymże protokole zapisano: „Jeśli chodzi o członków Wspólnoty Euro-

pejskiej i Paktu, posunięcia należące do jego kompetencji” muszą być rozważone na szczeblu Wspólnoty. A więc zadbano, by raz jeszcze Irlandia pojawiła się na dyplomatycznym radarze NATO.

Druga fala strachu przed interwencją (marzec – kwiecień 1981): wątek irlandzki

24 marca Hugh Swift ponownie spotkał się w londyńskim Foreign Office z Brianem Fallem „celem przedyskutowania aktualnego stanu przygotowań NATO na ewentualną radziecką interwencję w Polsce”⁴⁴ (co warto odnotować, w briefingu uczestniczył Fall z Wydziału ds. Europy Wschodniej i ZSRR w Foreign Office, a nie ktoś z Departamentu Obrony).

Jak pisze Swift w depeszy z 30 marca do Departamentu Spraw Zagranicznych w Dublinie, Fall poinformował go, że NATO uzgodniło dokument programowy opisujący warianty działań w przypadku radzieckiej interwencji. Z listu nie wynika jasno, czy Swift widział ten dokument (z pewnością nie został on załączony do korespondencji), wiadomo jednak, że znał szczegółowo jego treść, dlatego że w bardzo krótkim czasie Departament Spraw Zagranicznych przygotował niemal identyczny dokument, zarysowujący stanowisko w sprawie rozmaitych rozważanych przez NATO posunięć. Dokument – pisał Swift – przygotowano z myślą o „scenariuszu najgorszym”, czyli jawnej inwazji, nie dlatego, że NATO uważa go za najbardziej prawdopodobny, tylko „dlatego, że nastawiając się na najgorsze, możemy rozpoznać najszerzy wachlarz możliwych reakcji”. Podkreślał, że dokument jest zarysem całej palety kroków, co do których żadna wiążąca decyzja nie została i nie mogła zostać na tym etapie podjęta, choćby dlatego, że wdrażanie kroków o pozamilitarnym charakterze należy do krajów członkowskich. One zaś będą je wprowadzać z uwzględnieniem własnych konstytucyjnych i innych wymogów. Najważ-

⁴² Transcript of CPSU CC Politburo meeting, 9 IV 1981 [w:] *ibidem*, s. 259–264.

⁴³ Memorandum from Secretary General to Permanent Representatives, studying possible measures on the situation in Poland, http://www.nato.int/nato_static/assets/pdf/pdf_archives/20111130_19810316_PO_80_133-FINAL-BIL.pdf (dostęp 7 I 2013).

⁴⁴ AND, DFA 2-011-39-1739, „Martial law”, List Swifta do sekretarza Departamentu Spraw Zagranicznych w Dublinie, 30 III 1981.

niejsze dla Irlandii punkty dokumentu dotyczyły kwestii należących do kompetencji EWG. Odnośnie do procedur stwierdzono jednoznacznie, że „wymagają one dyskusji i podejmowania decyzji przez organy Wspólnoty”.

Co do „momentu”, który uruchomi część lub wszystkie przewidziane w dokumencie mechanizmy reagowania, przyjęto, że nie musi to być „jawna radziecka inwazja” – wystarczy „interwencja na znaczną skalę w postaci wspólnych manewrów” (było to oczywiście nader problematyczne, biorąc pod uwagę zaplanowane dokładnie w tym terminie manewry Układu Warszawskiego Sojuz 81). Co jeszcze ciekawsze, zważywszy na rozwój wypadków pod koniec roku, wśród możliwych scenariuszy wymieniono „użycie siły przez Polaków bez wyraźnego udziału strony radzieckiej”, mimo że zdaniem Brytyjczyków takie rozwiązanie (czyli niemal pewne ogłoszenie w jakiejś formie stanu wyjątkowego) było mało prawdopodobne. W razie ogłoszenia przez polskie władze stanu wyjątkowego – pisał Fall – „Rada NATO najprawdopodobniej ograniczy się do wyrażenia oficjalnego sprzeciwu i troski” (co okazało się, mówiąc delikatnie, dość odległe od rzeczywistości stanu wojennego), „chyba że polskie społeczeństwo stawi długotrwały opór”.

Co do sankcji gospodarczych Fall przyznawał, że mogłyby one mieć „obosieczne skutki”, wyrządzić krajom zachodnim nie mniej szkód ekonomicznych niż Związkowi Radzieckiemu lub Polsce. W relacji Swifta Fall przywiązywał „szczególną wagę do wymogu jednomyślnego i jednoczesnego” wdrożenia tych kroków. Wymagałoby to rzecz jasna ze strony EWG jakichś wstępnych planów, czegoś, do czego struktury Wspólnoty były wówczas kompletnie nieprzygotowane.

Kończąc briefing, Fall wspominał, że „także” Australia, Nowa Zelandia, Hiszpania i Japonia otrzymały „szeroki briefing”, „częściowy” zaś inne kraje, które jak Argentyna mają kontakty handlowe z Europą Wschodnią. Ta na pozór nieistotna kwestia wydaje się znacząca. Na posiedzeniu Rady NATO 18 lutego

te same cztery kraje zostały wymienione z nazwy, z pominięciem Irlandii, teraz zaś cała piątka (w tym Irlandia) uzyskały „szeroki briefing”. Najwyraźniej w tych kwestiach Irlandia traktowana była specjalnie.

Trzy dni po liście Swifta szczegóły briefingu i inne odnośne informacje zostały podsumowane w wewnętrznym memorandum Departamentu Spraw Zagranicznych „Dlaczego potrzebna jest dyskusja w gronie Dziesięciu na temat kroków, jakie mogą być podjęte w razie radzieckiej interwencji zbrojnej w Polsce”⁴⁵. Zaczynało się ono od przypomnienia, że Wielka Brytania informowała „w pewnym zakresie” Irlandię o „rozwoju wypadków w NATO” w kontekście możliwych reakcji na radziecką inwazję na Polskę.

Autorzy przyjęli, że przed ewentualną interwencją nie będą podjęte żadne decyzje na szczeblu ministerialnym. Przypomnieli też niedawną sugestię szefa MSZ Republiki Federalnej Niemiec Hansa-Dietricha Genschera, że w przypadku interwencji ZSRR konieczne będzie natychmiastowe spotkanie ministrów spraw zagranicznych NATO. Poniższy ustęp ujmuje istotę dylematu, przed jakim stanęli irlandzcy dyplomaci: „Pan Swift był wielokrotnie zapraszany do Foreign Office, informowany o rozwoju wypadków i zachęcany do przedstawiania komentarzy strony irlandzkiej. Nie skorzystaliśmy z tej ścieżki, bo nie mieliśmy pewności co do procedury, która może sugerować, że mielibyśmy swoje przedstawicielstwo w NATO, włączając się w konsultacje, podpisywalibyśmy się pod uzgodnieniami Paktu. Poza tym jeżeli powstanie wrażenie, że nasz wkład idzie w jakimś sensie na konto dyskusji w NATO, mniej wyraźna będzie potrzeba przekonsultowania sprawy przez Dziesiątkę [tzn. EWG]”.

Irlandia bowiem mogła stanąć wobec faktów dokonanych. Autorzy zakładali, że w przypadku radzieckiej interwencji w Polsce Amerykanie zażądają „mniej lub bardziej natychmiastowej, spektakularnej reakcji Zachodu”. Pytanie, czy – jeśli do tego dojdzie – działania EWG powinny w związku z wąskimi ramami czasowymi wyprzedzać akcję NATO, czy nastąpić po

⁴⁵ AND, DFA 2-011-39-1739, „Martial law”.

niej. Memorandum ujmuje to następująco: „Jak dotąd plany awaryjne powstawały w NATO, więc logiczną konsekwencją byłby priorytet szczytu Paktu. Jeżeli szczyt NATO podejmie i ogłosi decyzje przed szczytem Dziesiątki, jak wpłynie to na stanowisko Irlandii w EWG? Albo zgodzimy się ze stanowiskiem NATO (co oprócz możliwych poważnych trudności może nasuwać pytania o nasze relacje z Paktem), albo zaryzykujemy publiczną izolację od naszych partnerów i zarzut zbytnej ustępliwości wobec ZSRR. Z drugiej strony jeśli spotkanie Dziesiątki poprzedzi spotkanie NATO, znajdziemy się pod presją, by podjąć szybką decyzję, niepoprzedzoną debatą na forum Dziesiątki”.

Były dwie możliwości – kontynuowanie bilateralnych spotkań z Brytyjczykami, które dawały nam dostęp do niezbędnych informacji, ale miałyby opisane skutki negatywne (przyznanie po cichu, że dotychczasowa procedura faktycznie naraża nasz rząd na zarzut, że zostaliśmy *de facto* dokooptowani do procesu planowania w NATO), albo planowanie awaryjne w ramach EWG. Irlandia wskazywała Europejską Współpracę Polityczną (EPC) jako stosowne instytucjonalne forum. Dublin uważał, że polski kryzys to dogodny „przypadek kontrolny”, pozwalający przetestować sensowność tego pomysłu, a spotkanie politycznego kierownictwa EWG wieczorem 7 kwietnia jest równie dobrym momentem jak każdy inny, żeby oficjalnie lub nieformalnie o tym porozmawiać.

Notatka z narady przy kolacyjnym stole wiele wyjaśnia⁴⁶. W dogodnym momencie, kiedy wypłynęła sprawa Polski, przedstawiciel Irlandii Michael Lillis zaproponował, by Wspólnota zaczęła opracowywać plan awaryjny, najlepiej pod auspicjami Grupy Roboczej ds. Europy Wschodniej, „zarówno po to, by wziąć pod uwagę ostateczny wymiar wspólnotowy, jak i uwzględnić Irlandię w procesie podejmowania decyzji, która już teraz dotyczy kwestii mieszczących się w kompetencjach Wspólnoty” (uznać można, że Irlandia dała w ten sposób przymiarkę swoim europejskim partnerom za to, że omawiali na innym forum

kompetencje EWG). Wedle notatki „zrazu partnerzy odnieśli się w większości obronnie bądź krytycznie do tej propozycji, jednak stopniowo doszli do wniosku, że po pierwsze Irlandia miała prawo poruszyć tę kwestię, a po drugie, że Wspólnota ma też problem instytucjonalny”. Delegat Włoch podsumował dyskusję, stwierdzając, że jeśli chodzi o Polskę, „Irlandia okazała się może bardziej europejska od reszty Dziesiątki” – zapewne dlatego, że nie będąc członkiem NATO, była zwolniona z obowiązku respektowania transatlantyckich zobowiązań i miała w polityce wobec Polski większą niż inne kraje swobodę.

W dalszym ciągu poinformowano oficjalnie, że w toku spotkań bilateralnych Wielka Brytania informowała Irlandię o planach NATO wobec Polski. Brytyjski przedstawiciel zasugerował, że jeśli Irlandia ma jakieś opinie w kwestiach należących do kompetencji Wspólnoty, może przekazywać te opinie NATO za pośrednictwem Wielkiej Brytanii. Strona irlandzka odpowiedziała, że ta ścieżka jest wykluczona politycznie, gdyż Irlandii „trudno uczestniczyć za cudzym pośrednictwem w wewnętrznym procesie [decyzyjnym] NATO”. Lillis dodał też, że „Dziesiątka powinna zająć się teraz sformułowaniem własnego planu awaryjnego” na szczęblu Wspólnoty. Nie osiągnięto porozumienia oprócz, jak stwierdza notatka, „przyjęcia do wiadomości naszego problemu”. Co interesujące, propozycji rozpatrywania sytuacji w Polsce na forum Wspólnoty najostrzej sprzeciwiły się Holandia i Dania.

Irlandzki Departament Spraw Zagranicznych nie czekał na debatę EWG nad tą propozycją; zaczął przygotowywać własną opinię na temat kroków wymienionych w dokumencie NATO, co potwierdza list z 7 kwietnia Patricka („Paddy’ego”) McKernana z Wydziału Politycznego Departamentu Spraw Zagranicznych do stałego przedstawiciela Irlandii przy ONZ Noela Dorra⁴⁷. W dokumencie tym, z kwietnia 1981 r. (dokładna data nieznana), zakładano, że Moskwa nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji o interwencji, a sugestie, że jest ona szybka bądź nieunikniona,

⁴⁶ AND, DFA 2-011-39-1739, „Martial law”, *Dinner discussion of Political Directors*, 7 IV 1981.

⁴⁷ AND, DFA 2-011-39-1741, „Trade unions in Poland”.

„mogły być formą presji psychologicznej na polskie władze i niekoniecznie świadczą o zdecydowanym zamiarze”⁴⁸. Jednak zakładano też możliwość interwencji, choć trudno z góry ustalić moment, w którym przechyla się szala. Panowało przeświadczenie, że ryzyko radzieckiej inwazji będzie wysokie, przynajmniej do zakończenia zaplanowanego na lipiec zjazdu PZPR.

Na temat stanowiska Irlandii dokument stwierdzał, iż jej dyplomacja została powiadomiona o tym, że NATO od grudnia zeszłego roku przygotowuje plany awaryjne. Do tego momentu w EWG kwestia ta nie była przedmiotem dyskusji, ale rząd irlandzki „chcąc zapewnić Dziesiątce i Wspólnocie jako takiej pełny udział w uzgadnianiu reakcji [Zachodu] [...] dążył do jak najwcześniejszego przedyskutowania planu awaryjnego”. Przy tym założeniu dokument analizował stanowisko Irlandii wobec każdego kroku, który „wedle naszej wiedzy figurował w »katalogu« NATO”. Zwróćmy uwagę, że w sprawie reakcji ekonomicznej na radziecką interwencję w Polsce jedyna wzmianka o sankcjach dotyczyła możliwości nałożenia ich nie na Polskę, tylko na Związek Radziecki.

W dalszym ciągu dokumentu omówiono po kolei każdy z możliwych kroków z podziałem na kroki polityczne i ekonomiczne i w rozbiciu na działy, takie jak „skutki dla ZSRR i możliwa reakcja Moskwy” lub „konsekwencje dla Irlandii” (nie wszystkie w przypadku każdego scenariusza), a także „zalecenia”. Generalny ton zaleceń był taki, że Irlandia, która nie naraża na szwank swoich bezpośrednich interesów polityczno-gospodarczych, może z niewielkim ryzykiem podjąć współpracę i że to stanowisko bez względu na ostrożność winno przeważać.

Podsumowanie

Choć niekoniecznie zdawano sobie wówczas z tego sprawę, wydarzenia końca marca i kwietnia 1981 r. to apogeum lęku Zachodu przed radziecką interwencją

w Polsce. Przez resztę roku (zwłaszcza rzecz jasna po wprowadzeniu stanu wojennego) Irlandia śledziła uważnie rozwój wydarzeń w Warszawie i innych częściach kraju, jednak wizja możliwej, a zwłaszcza rychłej interwencji stopniowo słabła, choćby dlatego, że po dwóch fałszywych alarmach w niecałe cztery miesiące spadło w naturalny sposób zainteresowanie kolejnymi, licznymi w Polsce od kwietnia do grudnia 1981 r. dzwonkami alarmowymi.

Trzeba ustalić, w jakiej mierze Irlandia została *de facto* włączona w natowski proces planowania awaryjnego na wypadek radzieckiej interwencji w Polsce w latach 1980–1981. W tej kwestii istnieją dwie diametralnie przeciwne interpretacje cytowanych materiałów. Według pierwszej Irlandia dała się wówczas wmanewrować w rolę pomocnika NATO. Co najmniej sześć argumentów wspiera tę hipotezę.

Po pierwsze w okresie od początku grudnia 1980 do końca marca 1981 r. Irlandia zgadzała się wielokrotnie na briefing *via* ambasada w Londynie, prowadzony z inicjatywy Foreign Office i przez tę instytucję. W żadnym momencie irlandzki przedstawiciel w Londynie ani jego przełożeni w Dublinie nie dali po sobie poznać, że nie życzą sobie briefingu; wprost przeciwnie, na spotkaniu 5 grudnia 1980 r. Hugh Swift dał jasno do zrozumienia, że irlandzki Departament Spraw Zagranicznych chętnie informacje te uzyska, skoro Brytyjczycy chcą się nimi dzielić. Co więcej, 30 grudnia na spotkaniu w Londynie Brytyjczycy powiadomili *explicite* stronę irlandzką o pewnych postępach w przygotowywaniu planów awaryjnych przez NATO i poprosili ją o komentarz. Po wtóre strona irlandzka w żadnym momencie nie odrzuciła brytyjskiej tezy, że niezbędna jest koordynacja działań zarówno w ramach EWG, jak i – co o wiele istotniejsze – pomiędzy nią a NATO. Po trzecie, kontynuując ten wątek, zauważmy, że na posiedzeniu Rady NATO 17 grudnia 1980 r. przedstawiciel Wielkiej Brytanii zasugerował, że EWG powinna zaplanować posunięcia jako pierwsza, aby NATO wiedziało, jakie ma

⁴⁸ *Ibidem*, *Contingency planning for a possible Soviet military intervention in Poland*.

możliwości działania w razie radzieckiej interwencji. Rozmawiając na początku kwietnia z europejskimi partnerami, Irlandia ostatecznie przychyliła się do tej sugestii. Po czwarte, co chyba najbardziej wymowne, lista działań awaryjnych dopięta na posiedzeniu NATO 18 lutego pokrywała się z tą, którą posłużył się irlandzki rząd dwa miesiące później, przygotowując listę dostępnych Irlandii (i szerzej – EWG) opcji w przypadku radzieckiej interwencji w Polsce. Po piąte sam plan zakładał, że Irlandia nie ma wyboru – musi włączyć się w tej czy innej formie w każde działania ekonomiczne podjęte przez EWG w odpowiedzi na interwencję, „choćby dlatego, że nasi partnerzy (wszyscy należą do NATO) będą musieli przejść procedury Wspólnoty, by wdrożyć każdą sankcję, jaką rozważają”. Wreszcie po szóste (argument nasuwający wątpliwości) na spotkaniu NATO 16 marca 1981 r. uzgodniono, że istnieje potrzeba, by niektóre (nie wskazane z nazwy) kraje niebędące członkami Paktu przyłączyły się do sankcji gospodarczych, a biorąc pod uwagę kluczową pod tym względem pozycję Irlandii w EWG, rozsądnie byłoby przyjąć, że znalazła się ona na liście owych państw, na które wywierana będzie presja, by realizowały linię NATO.

Bardziej przekonująca wydaje się dalsza część argumentacji – że wśród krajów niestowarzyszonych Irlandia była po słusznej stronie. I tym razem dysponujemy szeregiem faktów wspierających tę konkluzję. Pierwszy to stanowisko, jakie zajęła na posiedzeniu Rady Europejskiej na początku grudnia, dowodząc, że EWG nie powinna dać ZSRR żadnego pretekstu do interwencji (za taki pretekst mogłoby oczywiście posłużyć obmyślanie planów awaryjnych na taką ewentualność). Po drugie Irlandia w pełni poparła program pomocy żywnościowej EWG, który stanowił jej główny wkład w próby stabilizowania sytuacji w Polsce – o planach tych Irlandia poinformowała publicznie w połowie grudnia 1980 r., na długo przed wyłonieniem się wizji planu awaryjnego NATO. Po trzecie na posiedzeniu Rady NATO 18 lutego 1981 r. nie padła wzmianka o Irlandii jako jednym z krajów

spoza Paktu, z którym miałyby skontaktować się kraje członkowskie, choć wspomniano w tym kontekście o innych, m.in. Hiszpanii i Nowej Zelandii. Po czwarte na posiedzeniu Rady 16 marca uznano *explicite*, że kroki podejmowane pod egidą EWG organizować powinny struktury Wspólnoty; powtórzyli to Brytyjczycy na briefingu 24 marca.

A co najważniejsze, irlandzkie dokumenty powstałe w pierwszym tygodniu kwietnia zawierają liczne wzmianki o tym, że Irlandia chciała nie tylko pozostać poza strukturami NATO, ale też tak być postrzegana. W memorandum z 2 kwietnia podkreślano, że Irlandia nie skorzystała z zachęty Brytyjczyków do skomentowania planów NATO, gdyż mogłoby to zostać potraktowane jako „obecność pośrednia” w Pakcie, 7 kwietnia zaś podczas kolacyjnej narady kierownictwa przedstawiciel Irlandii stwierdził wprost, że jego krajowi trudno angażować się „pośrednio” w proces będący dotąd wyłączną domeną NATO. Wniosek z noty z 2 kwietnia i wieczornej narady jest ten sam – Dziś siatka powinna zacząć myśleć o własnym planie awaryjnym, pracując co prawda równoległe z NATO, ale zarazem osobno.

Tak dochodzimy do ostatniej, o wiele ważniejszej kwestii. Nalegając, by w związku z polskim kryzysem EWG opracowała własny plan awaryjny (nawet jeśli byłby on pod wieloma względami zwierciadlanym odbiciem planów NATO), Irlandia zachęcała Wspólnotę do budowania w związku z Polską (jeśli nie szerzej) własnej, odrębnej i wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa – całe dziesięć lat zanim pojęcie to weszło do powszechnego użytku dzięki debacie o Maastricht. Linia ta nie odbiegała od tradycji irlandzkiej dyplomacji, a pod wieloma względami była wręcz powrotem do pierwotnej koncepcji Seána Lemassa tego, czym Wspólnota może i powinna się stać w obszarze bezpieczeństwa zbiorowego. To część szerokiej i zapomnianej spuścizny epoki Solidarności.

Przekład Sergiusz Kowalski

Plan awaryjny NATO na wypadek radzieckiej interwencji w Polsce. Analiza Irlandii
(Archiwum Narodowe Irlandii, DFA 2011-39-1741, „Trade unions in Poland”)

Kroki	Prawdopodobieństwo nacisków na podjęcie działania przez Irlandię	Procedury	Skutki dla ZSRR i ewentualna reakcja Moskwy	Skutki dla Irlandii	Możliwe rozwiązania kompensujące	Zalecenia
Polityczne						
Działania na forum Rady Bezpieczeństwa i Zgromadzenia Ogólnego ONZ.	„Pewne” naciski wewnętrzne i międzynarodowe, prawdopodobnie na forum Rady Bezpieczeństwa, Zgromadzenia Ogólnego, UNESCO, Rady Gospodarczej i Społecznej.	Stali zachodni członkowie Rady Bezpieczeństwa składają wniosek zawetowany przez ZSRR. Zgromadzenie Ogólne rozważa problem w ramach procedury Uniting for Peace, jeśli jest szansa na poparcie większości. Działania na innych forach ONZ ograniczone do dyskusji.	ZSRR najpewniej sprzeciwi się naciskom na forum ONZ.	Jeśli nastąpi to w kwietniu, kiedy Irlandia zasiada w Radzie Bezpieczeństwa, odegra ona, gdy chodzi o reakcję ONZ, „kluczową rolę”. Jako kraj niestowarzyszony Irlandia może odegrać pewną rolę w przygotowaniu rezolucji.	Brak.	Irlandia powinna uczestniczyć „w pełnym wymiarze” w obradach Rady Bezpieczeństwa. Na forach ONZ, takich jak Zgromadzenie Ogólne, powinna popierać kroki zmierzające do pojęcia „inwazji”. Nie powinna popierać objęcia tymi działaniami innych ciał ONZ, takich jak WHO, ale może to być nieuniknione.
Działania poprzez KBWE w Madrycie.	„Prawie pewne”, że inne kraje EWG opowiedzą się za natychmiastowym wycofaniem się.	Decyzje KBWE wymagają jednomyślności, ZSRR i jego sojusznicy nie zgodzą się na jednostronne działanie. Prawdopodobne wycofanie się państw zachodnich.	ZSRR najpewniej oskarży Zachód o zerwanie procesu KBWE, a po cichu może być zadowolony z tego, że nie ograniczają go ustalenia Aktu Końcowego w kwestii praw człowieka.	Wycofanie się zostanie najpewniej uznane za skutek inspiracji NATO, co – jeśli postąpi inaczej – spowoduje nieporozumienia. Jednak niewykluczone jest wycofanie się także krajów neutralnych i niestowarzyszonych. Irlandia preferuje kontynuowanie procesu KBWE.	Brak.	Irlandia powinna dążyć w miarę możliwości do ocalenia KBWE przez zamknięcie jej na parę lat po inwazji w „zamrażarce”, Irlandia woli to od ostatecznej rezygnacji.
Odwotanie ambasadora z Moskwy.	„Prawdopodobne” naciski partnerów na Irlandię – gest ten trafia do opinii publicznej, choć rządy widzą też minusy.	Odwotanie bądź (preferowane) odwotanie na konsultacje. Jeśli w ramach współdziałania EWG, prawdopodobnie uzgodniony będzie pewien przedział czasu.	Działania te ZSRR uzna najpewniej za „niepożądane”. Może odwołać swojego ambasadora z Dublina lub zastosować retorsje handlowe.	Dla Irlandii kwestia „delikatna”, jeśli zrobią to tylko kraje NATO, gdyż będzie to potencjalnie niepokojący precedens.	Brak.	Wybadać stanowisko innych europejskich krajów neutralnych, takich jak Szwecja i Szwajcaria. Uzasadnione może być odwołanie ambasadora na „określony czas”.

Zerwanie rozmów rozbrojeniowych.	„Prawdopodobne” naciski partnerów z EWG, by Irlandia mniej energicznie niż dotąd wspierała ideę rozbrojenia.		ZSRR nie skieruje zapewne szczególnie ostrej krytyki w stronę Irlandii, ale może zarzucić jej, że ulega politycznemu dyktatowi NATO, i zachęcać ludzi takich jak Sean Garland do ostrzejszej krytyki rządu.	Irlandia dotąd odróżniała współpracę polityczną w ramach EWG od współpracy w zakresie bezpieczeństwa w ramach NATO. Partnerzy z EWG będą prawdopodobnie domagać się akceptacji ich polityki rozbrojeniowej.	Brak.	„Powinniśmy odróżniać polityczne i związane z bezpieczeństwem aspekty współpracy z naszymi partnerami, traktując zarazem z wyczuciem problematykę ich bezpieczeństwa”. Irlandia podkreśla, że rozbrojenie nie ogranicza się do stosunków Wschód – Zachód.
Ekonomiczne						
Wpływ na kredytowanie Polski.	–	Wstrzymanie transportu 4 tys. ton wołowiny do Polski i cofnięcie kredytu w wys. 4,1 mln funtów irlandzkich.	Jeśli inwazja nastąpi przed wysłaniem transportu, nie będzie problemu. W przeciwnym razie dług ten nie będzie prawdopodobnie honorowany.	–	Brak.	Jeśli dojdzie do inwazji, zawiesić kredyt i transport.
Całkowite embargo na eksport do ZSRR.		Ministrowie wykorzystują swoje uprawnienia, wstrzymując eksport. Ponieważ handel leży w gestii Wspólnoty, należy rozważyć reakcję EWG.	Eksport do ZSRR w 1980 r. osiągnął kwotę 24 mln funtów irlandzkich. Eksport produktów mlecznych ucierpiał już wskutek sankcji nałożonych po inwazji na Afganistan. ZSRR prawdopodobnie odpłaci nam tym samym. Możliwe jest też obcięcie dostaw gazu i ropy.	Całkowite wstrzymanie eksportu i niktę szansę na jego przyszłą odbudowę.	Brak.	Doświadczenia Iranu dowodzą nieskuteczności embargo. Mało prawdopodobne, by poparty je takie kraje jak RFN. Naciskać na wyłączenie z embargo „realizowanych kontraktów”.
Częściowe embargo na eksport do ZSRR.		Jak w przypadku embargo całkowitego powyżej.	Skutki embargo dla ZSRR będą minimalne, jeśli nie przyłączą się kraje pozaeuropejskie, takie jak Australia i Nowa Zelandia.	Embargo obejmie prawdopodobnie produkty rolne i wysoką technologię, które stanowią 80 proc. eksportu Irlandii do ZSRR.	Irlandia może domagać się rekompensat w ramach Wspólnej Polityki Rolnej za straty w eksporcie produktów rolnych.	Przed zgodą na częściowe embargo domagać się rekompensat.

Zawieszenie wizyt na najwyższym szczeblu.		Dwie komisje wspólne, z Polską i ZSRR, obradują rokrocznie na przemian w różnych stolicach. Należy poinformować Polskę i ZSRR o zawieszeniu tych spotkań.	Głównym zadaniem komisji było promowanie handlu, więc bezpośredni skutek zawieszenia rozmów zależeć będzie od sankcji handlowych.	Skutki zależne od zakresu i typu nałożonych sankcji handlowych.	Brak, jednak Irlandia powinna domagać się, by decyzję podjęły wszystkie kraje Wspólnoty.	Niezbędne jest odkładanie spotkań.
Ograniczenia radzieckiego ruchu powietrznego.		Obecne porozumienia wymagają wystąpienia o zmianę zasad z rocznym wyprzedzeniem. Jednostronny irlandzki zakaz byłby złamaniem umów międzynarodowych.	ZSRR nie może powstrzymać zakazu, ale może podjąć kroki odwetowe, np. ograniczyć eksport ropy do Irlandii.	Całkowite wstrzymanie ruchu powietrznego między ZSRR a Zachodem będzie dla ZSRR „poważnym ciosem”. Jednostronny irlandzki zakaz będzie miał „skutek minimalny bądź zerowy”. Jeśli Irlandia nie zastosuje zakazu wprowadzonego przez inne kraje, ruch może wzrosnąć. „Poważne” konsekwencje dla lotniska Shannon w razie objęcia Aeroftotu całkowitym zakazem. <i>De facto</i> Shannon próbuje przyciągnąć polskie linie.	Brak.	Irlandia nie powinna działać w pojedynkę, może poprzeć jedynie całkowity zakaz na wszystkich trasach.
Ograniczenia energetyczne.	Nie odnotowano.					
Embargo na wielkie przedsięwzięcia przemysłowe.	Obecnie nie ma takich planów.	–	Wpływ raczej ograniczony, jeśli poczyni się wyjątek dla „realizowanych kontraktów”, czego prawdopodobnie zażądają RFN, Włochy i Francja.	–	–	Irlandia nie jest zainteresowana, ale nie powinna naciskać na działania w tym kierunku na wypadek, gdyby żądano od niej ustępstw tam, gdzie wchodzi w grę jej interesy.

Ograniczenia kredytowe.		Sama Irlandia nie udziela kredytów, ale ministrowie mają prawo ubezpieczać kredyty eksportowe.	Minimalne w przypadku eksportu z Irlandii artykułów przemysłowych. ZSRR wywiązuje się ze spłat i raczej nie wyrzeknie się dotychczasowych zobowiązań.	Nie odnotowano.	Nie odnotowano.	Nie odnotowano.
Rozszerzenie listy CoCom.		Irlandia zastosuje wszelkie dodatkowe restrykcje oprócz już istniejących na eksport produktów strategicznych znajdujących się na liście USA i sojuszników.	Efekty raczej znikome. Ograniczenia uległy już zaostrzeniu po inwazji na Afganistan, a niemal wszystkie irlandzkie firmy high-tech są w rękach Amerykanów.	Niewprowadzenie dodatkowych ograniczeń może skutkować ograniczeniem importu wysokich technologii z USA do Irlandii. Reakcja ZSRR nie do przewidzenia.	Brak.	Irlandia może przystać na każde rozszerzenie listy CoCom.

NIEREALNA REALPOLITIK. REPUBLIKA BOŃSKA WOBEC STANU WOJENNEGO I NORMALIZACJI W POLSCE 1981–1986

Z pewnym uproszczeniem reakcje polityczne państw Zachodu na wprowadzenie w Polsce stanu wojennego i późniejszą politykę „normalizacji” można podzielić na trzy kategorie: najostrzejszą linię amerykańską, pośrednią i pełną sprzeczności linię francuską oraz ugodową linię niemiecką. Najbardziej jaskrawym przejawem ugodowości tej ostatniej były z jednej strony kontrowersyjne wypowiedzi polityków niemieckich z pierwszych dni stanu wojennego, z drugiej – powszechnie skrytykowana podróż byłego kanclerza Willy’ego Brandta do Warszawy w grudniu 1985 r.

Zaproponowany podział jest rzecz jasna w dużej mierze sztuczny, ma zresztą na celu podkreślenie niuansów polityki zachodniej, która na najbardziej ogólnym planie pozostawała stosunkowo spójna. Postulaty niemieckie nie różniły się znacznie od żądań wysuwanych wobec Wojciecha Jaruzelskiego przez inne państwa Zachodu, a nawet Stany Zjednoczone. Wszystkie te państwa zgadzały się co do wymogu wycofania stanu wojennego (a później – demokratyzacji), podjęcia dialogu z Kościołem i opozycją, zwolnienia internowanych i więźniów politycznych oraz powrotu na drogę reform. Inna była forma przekazywania tych żądań, akcentowanie problemów i pomysły, jak reagować na bieżące wydarzenia. To właśnie na tym polu, bardziej szczegółowym, można wyróżnić trzy linie dyplomatyczne. Państwa „obozu niemieckiego” były najbardziej zainteresowane porozumieniem się z władzami PRL i zniesieniem lub nienakładaniem sankcji gospodarczych na Polskę. Siłą rzeczy polityka ta realizowała się kosztem Solidarności i podziemnej opozycji. Obok RFN można do tego obozu zaliczyć Austrię (kraj neutralny), Kanadę i Grecję.

Jak podkreślał dziennikarz William E. Smith, w grudniu 1981 r. Niemcy pragnęły „zachować wszystko co możliwe z [polityki] *détente*”¹. Mieczysław Tomala dodaje, że Bonn łagodniej niż inne stolice zachodnie zareagowało na stan wojenny, co wywołało krytykę ze strony działaczy Solidarności². Jeszcze dosadniej wypowiada się Dieter Bingen: „w dniu tra-

PATRYK PLESKOT

dr, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego i École des Hautes Études en Sciences Sociales w Paryżu. Pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie. Autor książek, m.in. *Intelektualni sąsiedzi. Kontakty polskich historyków z francuskim środowiskiem „Annales” w latach 1945–1989* (2010), *Pokolenie 82/89. Niezależne Zrzeszenie Studentów na Uniwersytecie Warszawskim 1982–1989* (2011), *Niewiadomski: zabić prezydenta* (Warszawa 2012), a także wyborów źródeł: *Spętana Akademia. Polska Akademia Nauk w dokumentach władz PRL*, t. 1–2 (z Tadeuszem P. Rutkowskim, 2009–2012), *„Tarcza partii i narodu”. Kontrwywiad Polski Ludowej w latach 1945–1956* (2010).

¹ W.E. Smith, *Candles in the Night*, „Time”, 4 I 1982.

² M. Tomala, *Die Beziehungen zwischen Polen und der Bundesrepublik Deutschland [w:] Bonn – Warschau 1945–1991. Die deutsch-polnischen Beziehungen. Analyse und Dokumentation*, red. H.A. Jacobsen, M. Tomala, Köln 1992, s. 10.

gicznych wydarzeń w Polsce kanclerz demokratycznej części Niemiec czuł się niezdolny do jakiegokolwiek publicznej krytyki wprowadzenia stanu wojennego w Polsce³. W Bonn kwestie wschodnie rozpatrywano w kontekście jedności narodu niemieckiego, której nie dałoby się osiągnąć bez zgody Moskwy. Stąd pewna miękkość, podporządkowana nadrzędnemu celowi zjednoczenia, wpływająca na relacje z polskim reżimem i ostrożny stosunek do Solidarności jako elementu potencjalnie zaostrzającego sytuację w bloku wschodnim i przez to oddalającego nadzieje na zjednoczenie. Dlatego też władze zachodnioniemieckie – w przeciwieństwie do amerykańskich – interpretowały stan wojenny nie jako skutek działań ZSRR, ale właśnie jako „mniejsze zło”, wręcz ratunek przed radziecką inwazją. Obie interpretacje decyzji gen. Jaruzelskiego podyktowane były racją stanu tych państw, a nie wynikały z obiektywnej oceny.

Jak zaznacza Heinrich August Winkler, wypadki z 12 i 13 grudnia 1981 r. zostały w Bonn „przyjęte z trwogą i ulgą jednocześnie – trwogą, bo konsekwencji nie można było jeszcze przewidzieć, a z ulgą, ponieważ wewnętrzne rozwiązanie kryzysu przez samych Polaków wydawało się złem o wiele mniejszym niż interwencja wojskowa Związku Radzieckiego”⁴. Specyficzne stanowisko RFN uwidocznili się już w pierwszych godzinach po wprowadzeniu stanu wojennego. Kanclerz Helmut Schmidt zareagował zaskakująco umiarkowanie⁵. Trzeba jednak pamiętać o jego specyficznym położeniu: w nocy z 12 na 13 grudnia Schmidt przebywał z oficjalną wizytą w NRD. Od 1970 r. żaden zachodnioniemiecki polityk tej rangi nie gościł u wschodniego sąsiada. Wizytę już dwukrotnie przekładano: najpierw z powodu radzieckiej inwazji

na Afganistan, potem z racji sierpniowych strajków w Polsce. Teraz kanclerz robił wszystko, by sprawa polska nie przeszkodziła dążeniu do poprawy stosunków między RFN i NRD. Tuż przed podróżą otrzymał od niemieckiego wywiadu BND ściśle tajną notatkę, w której pisano o „bardzo dużej możliwości” operacji wojskowej w Polsce. Sam jednak z rozbrajającą szczerością przyznał kilka lat później: „nigdy nie czytałem notatek tajnych służb, wołałem zawsze wyrobić sobie własną opinię”⁶.

Postanowił zatem nie zmieniać planu wizyty w NRD. 13 grudnia wystąpił przed kamerami razem z Erichem Honeckerem na specjalnej konferencji prasowej. Obaj zgodnie poparli wprowadzenie stanu wojennego. Schmidt uważał je za mniejsze zło i zabezpieczenie przed radziecką inwazją. „Pan Honecker był równie zaskoczony jak ja, że okazało się to konieczne” – stwierdził naiwnie. Największe zaniepokojenie kanclerza budziło internowanie... Edwarda Gierka, którego uważał za swego przyjaciela⁷. Na koniec w imieniu swoim i Honeckera wyraził nadzieję, że w Polsce uda się pogodzić skonfliktowane strony⁸. Próbuąc wyjaśnić postawę kanclerza, Dieter Bingen stwierdza: „chodziło o to, aby gwałtowny konflikt komunistycznego rządu w Polsce z ruchem »Solidarności« w jak najmniejszym stopniu obciążył stosunki niemiecko-niemieckie”⁹.

Ugodowa postawa kanclerza zyskała poparcie dużej części członków Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, którzy co prawda wyrażali solidarność z narodem polskim i zalecali szybkie zniesienie stanu wojennego, ale negatywnie oceniali amerykańską politykę sankcji gospodarczych¹⁰. Niektórzy działacze SPD krytykowali jednak zbyt ugodową ich zdaniem

³ D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej wobec Polski. Od Adenauera do Kohla 1949–1991*, Kraków 1997, s. 200.

⁴ H.A. Winkler, *Polskie wyzwolenie, niemieckie zjednoczenie. Trudna droga do rozwiązania dwóch kwestii stulecia*, Warszawa 2002, s. 16.

⁵ N. Dombrowsky, *Solidarität mit Solidarnosc? Politische Reaktionen aus der Bundesrepublik auf die Entstehung der „Solidarnosc“ und die Ausrufung des Kriegszustandes in der Volksrepublik Polen 1980–1982*, „Deutschland Archiv” 2009, nr 41, s. 68, 71.

⁶ G. Mérétyk, *Noc generała*, Warszawa 1989, s. 142.

⁷ H.A. Winkler, *Polskie wyzwolenie...*, s. 16; zob. też J. Szarek, *Zachód wobec stanu wojennego [w:] Droga do niepodległości. „Solidarnosc” 1980–2005*, Warszawa 2005, s. 341.

⁸ *Texte zur Deutschlandpolitik*, seria 2, t. 8: 20 III 1980 – 1 X 1982, Bonn 1983, s. 408–412.

⁹ D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 201.

¹⁰ W. Korzycki, *Reakcja RFN na stan wojenny w Polsce*, „Sprawy Międzynarodowe” 1982, nr 5, s. 107–108.

retorykę, zwłaszcza lidera rządzącej partii i byłego kanclerza Willy'ego Brandta, który w swym liście do gen. Jaruzelskiego i wystąpieniu w Bundestagu w sprawie stanu wojennego wyrażał się jeszcze ostrożniej niż Schmidt¹¹. Taki wydźwięk miał wywiad Brandta dla telewizji ZDF z 23 grudnia, w którym wypowiadał się bardzo mętnie i pośrednio uzasadniał stanowisko strony polskiej¹². Stwierdził, że ostra krytyka jest wyłącznie „quasi-bohaterstwem”, które nikomu w Polsce nie pomoże¹³.

13 grudnia w niemieckim MSZ powołano sztab roboczy analizujący rozwój wydarzeń w Polsce. Dzień później doszło do konsultacji w gronie koalicjantów (socjaldemokratów i liberałów), po której kanclerz Schmidt wyraził nadzieję, że polski kryzys nie wymknie się spod kontroli, proces reform będzie kontynuowany, a Polsce uda się rozwiązać problemy bez użycia siły i zewnętrznej interwencji¹⁴. Liberałowie reagowali nieco szybciej i bardziej zdecydowanie: już 14 grudnia prezydium FDP wystosowało rezolucję nawołującą do zniesienia stanu wojennego¹⁵. Jednak szef partii i minister spraw zagranicznych Hans-Dietrich Genscher zachowywał bardziej ostrożną postawę – wyraził nadzieję, że Polacy sami i bez użycia siły rozwiążą swoje problemy¹⁶.

Prezydium SPD swoje oświadczenie sformułowało dopiero 16 grudnia. „Nasza sympatia leży po stronie całego polskiego narodu”, powinien on rozwiązać swoje problemy bez użycia przemocy i rozlewu

krwi – ogłoszono. Zapewniono o woli niemieszania się w wewnętrzne sprawy polskie. Nie zdobyto się na krytyczną ocenę posunięć gen. Jaruzelskiego, zaważając jedynie, że należałoby przyspieszyć „proces reform i odnowy”. Za niezbędne uznano utrzymanie polityki odprężenia, leżącej w interesie Polaków. SPD deklarowała gotowość pomocy¹⁷.

18 grudnia w wystąpieniu przed Bundestagiem kanclerz oświadczył: „my, Niemcy, nie powinniśmy uważać się za sędziów Polaków”, choć zapewnił, że „całym sercem” stoi po ich stronie¹⁸. Liczył, że stan wojenny zostanie szybko cofnięty. Wyraził też nadzieję, że sygnatariusze Aktu Helsińskiego nie będą mieszać się w sprawy polskie, a Polacy sami rozwiążą swe problemy. Dotyczyło to zatem państw i Wschodu, i Zachodu. Życzył sobie kontynuowania procesu reform w PRL, wyrażając na koniec „solidarność z Polską”. O Solidarności nie wspomniał¹⁹. Było to bardzo ostrożne wystąpienie.

Miękki stosunek rządu do spraw polskich wzbudzał krytykę opozycyjnej chadecji, oskarżającej Schmidta o „politykę proradziecką”, choć i chadecy nie byli zgodni w interpretowaniu polskich wydarzeń²⁰. Zarzucano socjalistom beczynność i uciekanie przed problemem pod przykrywką działań humanitarnych. Rzecznik frakcji parlamentarnej CDU/CSU Alois Merthes określił wręcz wystąpienie Schmidta z Honeckerem jako jedno z „najbardziej deprymujących zdarzeń najnowszej historii polsko-niemieckiej”. Sam Kohl nie

¹¹ Zob. np. Archiwum Socjaldemokracji w Bonn (AdSD), Willy Brandt Archiv, A 11.10, 288, Pismo Erwina Behrendta do Rainera Wagnera, 28 XII 1981, k. 102–103; *ibidem*, A 11.10, 293, Pismo działaczy SPD z Monachium do Willy'ego Brandta, [styczeń?] 1981, k. 91–92.

¹² *Ibidem*, A 11.10, 306, Pismo Wolfganga Schulta do Willy'ego Brandta, 6 I 1982, k. 247–248.

¹³ *Ibidem*, A 11.10, 308, Pismo Hansa-Achima Thiemego do Willy'ego Brandta, 27 XII 1981, k. 26.

¹⁴ *Bonn will sich an den Grundsatz der Nichteinmischung halten*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 15 XII 1981; Archiwum Chrześcijańskiej Demokracji w Sankt Augustin (AfCDP), 0/073-Polen-1, *Bundesregierung betrachtet Lage in Polen mit grosser Sorge*, 14 XII 1981, b.p.

¹⁵ J.J. Węc, *FDP wobec polityki wschodniej RFN 1969–1982*, „Deutschland-Archiv” 1991, nr 5, s. 235; zob. też H.D. Genscher, *Erinnerungen*, Berlin 1995, s. 268.

¹⁶ AfCDP, 0/73-Polen-1, Reakcje RFN na sytuację w Polsce: streszczenie, 19 XII 1981, b.p.

¹⁷ AdSD, Willy Brandt Archiv, A 13, 100A, Oświadczenie prezydium SPD w sprawie Polski, 16 XII 1981, k. 80–81; AfCDP, 0/073-Polen-1, Stanowisko prezydium SPD w sprawie Polski, 16 XII 1981, b.p. Według Dietera Bingena oświadczenie opublikowano dopiero 17 grudnia (D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 202).

¹⁸ W.E. Smith, *The Darkness Descends*, „Time”, 28 XII 1981; N. Dombrowsky, *Solidarität mit Solidarność?...*, s. 71–72.

¹⁹ *Bonn – Warschau 1945–1991...*, s. 626.

²⁰ Zob. np. AdSD, Willy Brandt Archiv, A 13, 100A, Komunikat prasowy CDU w sprawie postawy SPD wobec spraw polskich, 21 XII 1981, k. 66.

wypowiadał się jednak o wiele bardziej stanowczo niż Schmidt, choć w odróżnieniu od kanclerza zwracał uwagę na wątek radziecki²¹.

Mimo wszystkich różnic i ostrych sporów koalicji z opozycją na posiedzeniu Bundestagu 18 grudnia zdołano przyjąć ogólnikowy wniosek końcowy dotyczący wydarzeń w Polsce, podpisany przez przedstawicieli trzech największych partii. Wyrażono w nim „solidarność z ciężko doświadczonym narodem polskim”. Nawoływano władze PRL do uwolnienia internowanych, kontynuowania reform, dialogu z „patriotycznymi i reformistycznymi warstwami polskiego społeczeństwa”. Zabrakło potępienia stanu wojennego; nie padła też nazwa Solidarność, choć mówiono o „gwałtownie zerwanym dialogu”, sprzeciwiającym się Aktowi Helsińskiemu z 1975 r. Nie wspomniano również o ZSRR, podkreślano jedynie helsińską zasadę niemieszania się w sprawy wewnętrzne państw sygnatariuszy. W tym kontekście wyrażano „poważną troskę” z powodu „narastającej propagandowej nagonki na polski kurs reform i otwartych lub ukrytych gróźb z zewnątrz wobec polskiej niepodległości”. Na koniec wezwano Niemców do pomocy humanitarnej dla sąsiadów. Apel o pomoc gospodarczą skierowano także do instytucji państwowych²². Ceną parlamentarnego kompromisu był brak wezwania do zniesienia stanu wojennego²³.

Tego samego dnia oświadczenie sformułował również rząd federalny. Miało ono podobny, choć jeszcze bardziej ostrożny wydźwięk: rząd wzywał sygnatariuszy Aktu Helsińskiego do nieingerowania w sprawy polskie, które należy rozstrzygać bez użycia siły.

Apelowano do władz PRL, by kontynuowały reformy i odnowę, i obiecano pomoc żywnościową²⁴.

Wytyczne te z pewnymi wariacjami stały się wiążące przez kilka najbliższych miesięcy. Co prawda niedługo po powrocie z Berlina Wschodniego kanclerz zmodyfikował swoje zdanie, a podczas obrad NATO 5 stycznia 1982 r. – płacąc trybut amerykańskiemu sojusznikowi – wraz z Ronaldem Reaganem obarczył ZSRR dość niejasną odpowiedzialnością za wydarzenia w Polsce i uznał niezdolność komunizmu do realizacji dążeń społeczeństwa²⁵, to jednak podstawowych wytycznych swej polityki nie zmienił²⁶. Priorytetem pozostawały stosunki z NRD, a wyraźne potępienie PRL i ZSRR mogło je znacznie pogorszyć²⁷. Powszechnie zdawano sobie sprawę, że deklaracja z 5 stycznia została złożona pod naciskiem Reagana²⁸.

Więcej zaangażowania w sprawy polskie zaczęła wykazywać największa niemiecka federacja związków zawodowych DGB (Deutscher Gewerkschaftsbund), która zorganizowała akcję Solidarität mit Polen. Inicjatywa – w porównaniu z działalnością związków francuskich i włoskich nieco spóźniona – miała przede wszystkim humanitarny charakter, choć związkowcy domagali się również natychmiastowego uwolnienia internowanych oraz podjęcia przez władze w Warszawie rozmów z Solidarnością²⁹.

Bardzo dużo kłopotów sprawiła niemieckim władzom dwunastoosobowa delegacja gdańskiej Solidarności, kierowana przez Kazimierza Kunikowskiego, która 12 grudnia 1981 r. wyruszyła do Bremy. Tam dowiedziała się o wprowadzeniu stanu wojennego. Gospodarze nie bardzo wiedzieli, co zrobić z przybyły-

²¹ D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 202–203.

²² *Menschliche und moralische Solidarität*, „Süddeutsche Zeitung”, 19 XII 1981; *Appell des Deutschen Bundestages zur Verhängung des Kriegsrechts in Polen*, „Frankfurter Rundschau”, 21 XII 1981.

²³ D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 204.

²⁴ *Texte zur Deutschlandpolitik*, seria 2, t. 8..., s. 441–450.

²⁵ AdSD, Willy Brandt Archiv, A 13, 100A, Komunikat prasowy SPD w sprawie niemiecko-amerykańskich konsultacji, 6 I 1982, k. 8; AfCDP, 0/73-Polen-1, Wspólne oświadczenie Schmidta i Reagana, 14 I 1982, b.p.

²⁶ J. Szarek, *Zachód wobec stanu wojennego...*, s. 341.

²⁷ T. Garton Ash, *Polska rewolucja. Solidarność 1980–1982*, Londyn 1987, s. 205.

²⁸ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 1242/41, Stenogram wywiadu z socjologiem Zygmuntem Tkoczem, „Głos Ameryki”, 17 IV 1982, k. 111–113.

²⁹ AdSD, Willy Brandt Archiv, A 13, 100A, Akcja Solidarität mit Polen, 21[?] XII 1981, k. 59.

mi: czy odesłać ich do Polski, czy przyjąć w RFN, a jeśli przyjąć, to na jakich warunkach. Przyznanie azylu politycznego mogło dać pretekst stronie polskiej do pozbawienia ich obywatelstwa. Wynikające z tych rozterek zwleknięcie było coraz gorzej odbierane przez opinię publiczną. Burmistrz Bremy Hans Koschnick starał się lawirować między tymi sprzecznościami. 20 stycznia bremeński parlament krajowy przyjął Polaków na swym posiedzeniu. Powitano ich owacyjnie, ale ich status był przedmiotem partyjnych sporów. Ostatecznie zapewniono delegacji lokum w Bremie i pomoc w zorganizowaniu przez nią stałej komórki solidarnościowej. Otwarto ją dopiero 19 kwietnia 1982 r. Miała być wspomagana przez DGB, która jednak nie okazała wielkiej chęci do pomocy³⁰. W tych warunkach placówka funkcjonowała tylko dwa lata, oskarżana z jednej strony o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa, a z drugiej – z CIA³¹.

* * *

W Bonn niechętnie spoglądano na amerykańską strategię sankcji gospodarczych. 4 stycznia podczas spotkania z Reaganem kanclerz Schmidt określił sankcje jako bezzasadne³². Sprzeciw RFN wobec tych restrykcji – mimo deklaracji, że Zachód mówi w sprawach polskich jednym głosem³³ – miał bardzo ważne podłoże gospodarczo-finansowe. Po pierwsze polsko-niemiecka wymiana handlowa była znacznie większa niż marginalne w sumie zaangażowanie amerykańskie w Polsce; sankcje nie kosztowały Stanów

Zjednoczonych zbyt wiele, inaczej było w przypadku RFN³⁴. Po drugie nałożenie sankcji przez Bonn mogłoby spowodować ogłoszenie przez PRL niewypłacalności, co mocno uderzyłoby w zachodnioniemieckie banki, którym Warszawa była dłużna najwięcej, bo około 18 mld marek. Jako że kredyty były gwarantowane przez rząd, niewypłacalność zaszkodziłaby ekipie Schmidta, grożąc gospodarce i samej koalicji rządowej³⁵. Trzeba zarazem podkreślić, że bardzo dotkliwe dla reżimu Jaruzelskiego było już to, że w wyniku wprowadzenia stanu wojennego RFN po prostu wstrzymała pomoc gospodarczą dla Polski³⁶.

Co prawda Genscher – na potrzeby Waszyngtonu prezentując twardy wizerunek – stwierdził 10 stycznia 1982 r., że sprawy polskie idą w złym kierunku³⁷, a RFN podpisała rezolucję NATO z 11 stycznia (nawołującą do wprowadzenia sankcji) i oficjalnie uzależniła pomoc dla Polski od zniesienia stanu wojennego, zwolnienia internowanych i wznowienia dialogu z opozycją, jednak w praktyce warunki te nie były w Bonn traktowane bezwzględnie. Zachodni analitycy podkreślali, że międzynarodowe deklaracje RFN ze stycznia były utrzymane w znacznie ostrzejszym tonie niż indywidualna retoryka zachodnioniemiecka³⁸. Bonn starało się uniknąć izolacji na arenie europejskiej i atlantyckiej.

14 stycznia 1982 r. w Bundestagu odbyła się kolejna debata poświęcona sprawom polskim. Z tej okazji postowie SPD i FDP wydali deklarację o kontynuowaniu drogi wytyczonej uchwałą z 18 grudnia. Wyrażono w niej zadowolenie z dotychczasowych oświadczeń

³⁰ A. Riechers, *Pomoc dla „Solidarności”. Przykłady pomocy zachodnioniemieckiego społeczeństwa i państwa w latach 1980–1982*, Warszawa 2006, s. 36–42.

³¹ I. Goddeeris, *Ministerstwo Spraw Zagranicznych „Solidarności”. Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” 1982–1989*, cz. 1, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2006, nr 2, s. 322–324; A. Riechers, *Pomoc dla „Solidarności”...*, s. 45.

³² Schmidt: *Sanktionen gegen Polen problematisch*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 4 I 1982.

³³ AfCDP, 0/73-Polen-1, Wischniewski dostrzega „jedność Zachodu” w sprawie Polski, 7 I 1982, b.p.

³⁴ D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 206.

³⁵ AIPN, 1585/3874, Informacja dotycząca niektórych politycznych i ekonomicznych aspektów determinujących aktualne stanowisko RFN w kwestii współpracy finansowej z Polską, 12 I 1982, k. 43–44.

³⁶ D. Korger, *Die Polenpolitik der deutschen Bundesregierung 1982–1991*, Bonn 1993, s. 26.

³⁷ AfCDP, 0/73-Polen-1, Genscher: sytuacja w Polsce pogarsza się, 10 I 1982, b.p.

³⁸ Centre des Archives Diplomatiques de Nantes, 316, Szyfrogram ambasady francuskiej w Bonn w sprawie zachodnioniemieckich ocen wydarzeń w Polsce, 5 I 1982, b.p.

zachodnioniemieckiego rządu na arenie międzynarodowej, a jednocześnie chwalono rząd za „rozważną postawę”, zwłaszcza na forum NATO. Powtórnie apelowano do polskich władz o cofnięcie stanu wojennego, zwolnienie internowanych, kontynuowanie dialogu z Kościołem i opozycją, wprowadzenie reform gospodarczych. Starano się nie mówić o ZSRR; wyrażano tylko nadzieję, że konferencja przeglądowa Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, rozpoczęta w Madrycie jeszcze w 1980 r., zajmie się geopolitycznymi uwarunkowaniami sytuacji w Polsce – co oczywiście nie było prawdopodobne. Wezwano do udzielenia Polsce pomocy humanitarnej, podkreślając trudności reżimów komunistycznych z realizacją społecznych oczekiwań³⁹.

Dieter Bingen, podsumowując reakcje RFN na wprowadzenie stanu wojennego z pierwszych tygodni, stwierdził: „polityczne protesty i demonstracyjne gesty sprzeciwu kierowane pod adresem przywódców w Warszawie wypadły o wiele skromniej w porównaniu z publicznymi reakcjami np. we Francji i w USA. Działania symboliczne w polityce nie były mocną stroną Niemców”⁴⁰. Niezrozumiała dla Solidarności polityka socjaldemokratów zaważyła na chłodnych stosunkach między polską opozycją a SPD nie tylko w latach osiemdziesiątych, ale i później⁴¹.

Jedną z głównych cech linii niemieckiej było niezaprzestanie kontaktów politycznych i dyplomatycznych z polskim reżimem – wbrew przyjętej przez NATO i EWG nieformalnej zasadzie międzynarodowej izolacji PRL. Już 30 grudnia 1981 r. przyjechał do Bonn z dwudniową wizytą wicepremier Mieczysław Rakowski, zaproszony przez szefa MSZ Hansa-Die-

tricha Genschera. Był to ewenement w świecie zachodnim; podobną politykę wśród państw zachodnich stosowała jedynie Grecja. W rozmowie w cztery oczy z Genscherem Rakowski przekonywał, że polskie władze myślą o cofnięciu stanu wojennego. Genscher zaś twierdził, że oczekuje na jak najszybsze podjęcie dialogu z Kościołem i społeczeństwem, zwolnienie internowanych i zakończenie stanu wojennego⁴². Wyraził też „zdziwienie i troskę” z powodu sytuacji w Polsce, podkreślał wagę „szybkiego sygnału” ze strony władz⁴³. Nazwa Solidarność nie padła⁴⁴.

Niektórzy z postów SPD bezpośrednio po 13 grudnia jeździli do Polski w prywatnym czy też nieoficjalnym charakterze. Od 12 do 15 lutego 1982 r. w Polsce, zgodnie z życzeniem Willy’ego Brandta, przebywał wpływowy polityk Karsten D. Voigt, który rozmawiał z przedstawicielami władz, m.in. z Józefem Czyrkim i Tadeuszem Olechowskim. W sprawozdaniu z podróży zwracał szczególną uwagę na fatalny stan polskiej gospodarki⁴⁵. Po powrocie podzielił się spostrzeżeniami nie tylko z kolegami z rządu, ale też z amerykańskim Departamentem Stanu. Stosujące blokadę dyplomatyczną Stany Zjednoczone musiały uznać te informacje za cenne, choć nie pochwałyły przecież łamania bojkotu.

Cztery dni po Voigcie do Warszawy przybył z nieoficjalną wizytą Herbert Wehner, przewodniczący frakcji parlamentarnej SPD w Bundestagu⁴⁶. Choć w rozmowie z Jaruzelskim próbował wybadać możliwość przywrócenia dialogu z Solidarnością i Lechem Wałęsą, to jego wizyta – głównie na skutek manipulacji polskich władz – wzbudziła duże kontrowersje i sprzeciw chadeckiej opozycji, oskarżającej ekipę

³⁹ AdSD, Willy Brandt Archiv, A 13, 100A, Rezolucja frakcji parlamentarnych SPD i FDP w sprawach polskich, 13 I 1982, k. 10.

⁴⁰ D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 203.

⁴¹ A. Hajnicz, *Polen in seinem geopolitischen Dreieck*, „Aussenpolitik” 1989, nr 1, s. 29.

⁴² AfCDP, 0/073-Polen-5, Rozmowa Genschera z Mieczysławem Rakowskim, 30 XII 1981, b.p.; *Bonn – Warschau 1945–1991...*, s. 626; M.F. Rakowski, *Jak to się stało*, Warszawa 1991, s. 60.

⁴³ AfCDP, 0/073-Polen-5, Genscher: wielkie współczucie narodu niemieckiego, 30 XII 1981, b.p.; *ibidem*, Tematyka rozmów Genschera z Rakowskim, 31 XII 1981, b.p.

⁴⁴ AdSD, Archiv Eugen Selbmann, 186, Streszczenie rozmowy Hansa-Jürgena Wischniewskiego z Mieczysławem Rakowskim, 6 I 1982, b.p.

⁴⁵ AdSD, Archiv Karsten D. Voigt, H 51, Sprawozdanie Karsten D. Voigta z podróży do Polski 12–16 II 1982, 16 II 1982, b.p.

⁴⁶ AdSD, Archiv Eugen Selbmann, 201, Notatka Eugena Selbmann [?] dotycząca wizyty Herberta Wehnera w Polsce, 25 II 1982, b.p.

Schmidta o popieranie reżimu wojskowego w Polsce. Pod wrażeniem upadku gospodarki, na który zwracała uwagę jego polscy rozmówcy, Wehner był jednym z pierwszych zachodnich polityków, który *explicite* nazwał stan wojenny „mniejszym złem”⁴⁷.

Nierespektowanie bojkotu dyplomatycznego odróżniało stanowisko zachodnioniemieckie nie tylko od stanowczej linii amerykańskiej, ale także od mniej zdecydowanej orientacji francuskiej. Helmut Schmidt podsumowywał bez ogródek, że „pewne kręgi” amerykańskie chciałyby przeprowadzić „krucjatę” w Polsce, a „tylko wariaci ze skrajnej prawicy sądzili, że Zachód powinien lub mógłby w jakikolwiek sposób interweniować”⁴⁸. Oficjalne wypowiedzi brzmiały inaczej. 30 stycznia w oświadczeniu z okazji amerykańskiej akcji Dzień Solidarności kanclerz zapewniał, że Niemcy „całym sercem stali po stronie polskich robotników w ich dążeniach do praworządności i demokracji”, a uciskanie wolności w Polsce jest „poważnym moralnym wyzwaniem dla całego świata”. Podkreślał, że Polacy sami muszą znaleźć swoją „drogę ku przyszłości”, i przestrzegał ZSRR przed wpływaniem na ten wybór⁴⁹. Tego samego dnia w telegramie do centrali DGB przekonywał o swoim zaangażowaniu po stronie Solidarności, wspominał o robotnikach, którzy zginęli lub zostali uwięzieni, podkreślał akcje pomocowe dla

Polaków. Dodał, że władze warszawskie muszą podjąć dialog z wolnymi związkami zawodowymi⁵⁰. Bońska dyplomacja zmieniała ton zależnie od okoliczności i adresatów.

Znaczącą formą rekompensaty za brak oficjalnego zaangażowania stały się posunięcia rządu służące ułatwieniu przesyłania pomocy humanitarnej do Polski, na które w godny podziwu sposób odpowiedziało niemieckie społeczeństwo⁵¹. Najbardziej spektakularnym z tych działań było okresowe zniesienie opłat pocztowych za paczki żywnościowe i ubraniowe wysyłane do Polski. Decyzja Bundestagu w tej sprawie weszła w życie 8 lutego 1982 r., obowiązywała do 30 czerwca. Niemiecka Poczta Federalna straciła około 77 mln marek planowanych przychodów; otrzymała je jednak z budżetu państwa. Akcja przyczyniła się do znacznego wzrostu liczby paczek: przez te pięć miesięcy wysłano ich do Polski ponad 4,3 mln⁵². Nowa centroprawicowa koalicja CDU-FDP powtórzyła tę akcję w przedświątecznym okresie listopada i grudnia 1982 r. W ogólnej liczbie przesyłek z 1982 r. znalazło się w sumie około 2 mln paczek z ubraniami i żywnością⁵³. Z kolei za pośrednictwem niemieckiego Caritasu przesłano w tym czasie za Odrę prawie 23 tys. ton produktów⁵⁴. Helmut Kohl ogólną wartość niemieckiej pomocy dla Polaków ocenia na 300 mln

⁴⁷ AfCDP, 0/073-Polen-5, Oświadczenie frakcji parlamentarnej CDU-CSU w sprawie wizyty Herberta Wehnera w Polsce, 24 II 1982, b.p.; M. Świder, *Wizyta Herberta Wehnera w Warszawie w lutym 1982 roku w świetle sprawozdań Frakcji SPD*, „Rocznik Polsko-Niemiecki”/„Deutsch-Polnisches Jahrbuch” 2009, nr 16, k. 71–91; *idem*, *Privatreise oder Spezialmission? Herbert Wehner in Warschau – Februar 1982*, „Przegląd Stosunków Międzynarodowych” 2007, nr 2, s. 133–149.

⁴⁸ J. Szarek, *Zachód wobec stanu wojennego...*, s. 343.

⁴⁹ AdSD, Archiv Eugen Selbmann, 124, Oświadczenie Helmuta Schmidta z okazji Dnia Solidarności, 30 I 1982, b.p.; AfCDP, 0/73-Polen-1, Schmidt: Represje w Polsce są zagrożeniem dla pokoju, 30 I 1982, b.p.

⁵⁰ AfCDP, 0/73-Polen-1, Komunikat prasowy wydziału prasy i informacji rządu federalnego dotyczący telegramu kanclerza Schmidta do DGB, 30 I 1982, b.p.

⁵¹ A. Riechers, *Pomoc dla „Solidarności”...*, s. 10; zob. też P. Bender, *Die Neue Ostpolitik und ihre Folgen. Vom Mauerbau bis zur Vereinigung*, München 1995.

⁵² N. Dombrowsky, *Solidarität mit Solidarnosc?...*, s. 74.

⁵³ C. Klessmann, *Ostpolitik und Koexistenz der Systeme* [w:] *Deutschland und Polen im zwanzigsten Jahrhundert*, red. U. Becher, W. Boro-dziej, R. Maier, Hannover 2002, s. 98; H.A. Jacobsen, *Bundesrepublik Deutschland – Polen. Aspekte ihrer Beziehungen* [w:] *Bonn – Warschau 1945–1991...*, s. 46.

⁵⁴ C. Domin, *Nachbarliche Hilfe in der Not des Kriegsrechts* [w:] *Feinde werden Freunde: von den Schwierigkeiten der deutsch-polnischen Nachbarschaft*, red. F. Pflüger, W. Lipscher, Bonn 1993, s. 280.

marek⁵⁵. Zdaniem Dietera Bingena osiągnęła ona wśród państw Europy Zachodniej największe rozmiary. Ówczesny ambasador w Warszawie Georg Negwer przypomina zarazem, że masowe akcje społecznej pomocy dla Polaków były sprzeczne z oficjalnymi stosunkami bilateralnymi, które znalazły się w impasie⁵⁶.

Ciekawe, że stosunek do Solidarności i stanu wojennego tak bardzo oddzielił niezwykle aktywne na tym odcinku społeczeństwo niemieckie od nieco makiawelicznej polityki władz. Akcji towarzyszyły wszakże formułowane co jakiś czas przez parlamentarzystów (głównie opozycyjnych) wezwania do zwolnienia internowanych, zwłaszcza Lecha Wałęsy⁵⁷. Niektórzy politycy angażowali się także w niepolityczne inicjatywy prosolidarnościowe, takie jak komitet Solidarność z Polskim Narodem, który powstał na początku lutego 1982 r. z udziałem członków CDU⁵⁸. Włączali się oni osobiście w organizację akcji charytatywnych, np. poseł SPD Eugen Selbmann⁵⁹. Spotykali się też z emigracyjnymi działaczami Solidarności. Pierwszym ważnym politykiem SPD, który to uczynił, był Johannes Rau. 16 lutego odwiedziła go w Düsseldorfie grupa polskich działaczy opozycyjnych⁶⁰. Kontakty te jednak miały nieoficjalny charakter i były sporadyczne.

Stłumienie demonstracji w Polsce 1–3 maja 1982 r. rządząca SPD przyjęła z „konsternacją i troską”, choć zarazem wyrażano zadowolenie ze zwolnienia części internowanych przed 1 maja. Poza wezwaniem do zniesienia stanu wojennego, uwolnienia więźniów politycznych i rozpoczęcia rozmów z „wszystkimi

ważnymi siłami” społecznymi nie podjęto żadnych kroków⁶¹. W retorykę tę wpisał się rząd, nawołując 5 maja do dialogu władz z Kościołem i Solidarnością⁶².

Częściową amnestię z 21 lipca 1982 r. rzecznik rządu Lothar Rühl ocenił tego samego dnia jako „krok w dobrym kierunku”, choć podkreślił, że wiarygodność posunięć polskiego rządu musi być zweryfikowana przez Bonn w ramach współpracy z partnerami z Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i NATO⁶³. Ostrożność wynikała z kontynuowania przez polskie władze polityki represyjnej. Brutalne stłumienie przez milicję i SB demonstracji z końca sierpnia 1982 r. zostało przez Bonn skrytykowane – Klaus Bölling podkreślał, że pacyfikacje doprowadziły do ofiar śmiertelnych. Ograniczono się jednak do ponownego wezwania do dialogu⁶⁴.

Można przypuszczać, że zaostrzenie retoryki niemieckich władz, widoczne od połowy 1982 r., wynikało z trudnej sytuacji kanclerza i rządu, który miał w tym czasie charakter mniejszościowy. 1 października kanclerz Schmidt został zmuszony do rezygnacji. W pożegnalnym przemówieniu podkreślał, że krytyka stanu wojennego nie może zniszczyć woli porozumienia z polskim narodem⁶⁵. Były to dość niejasne sformułowania. Tak kończyła się era dominacji socjalistycznej *Ostpolitik*, którą polska rewolucja Solidarności faktycznie pograżyła.

Chadecja, przejmując władzę, nie miała jasno wypracowanego planu działania względem Polski. Co prawda bardziej jednoznacznie popierała Solidarność, ale nie utrzymywała relacji z polską opozycją⁶⁶.

⁵⁵ Margaret Thatcher Foundation, Speeches, Interviews and other Statements, Thatcher Archive: COI transcript, Wspólna konferencja prasowa Helmuta Kohla i Margaret Thatcher w Londynie, 22 IV 1983, b.p.

⁵⁶ G. Negwer, *Schwierige Mission...*, s. 201–202.

⁵⁷ AfCDP, 2/205/1, Wniosek grupy posłów CDU-CSU w sprawie uwolnienia Lecha Wałęsy i innych więźniów politycznych, 30 III 1982, b.p.

⁵⁸ AfCDP, 0/73-Polen-1, Powstanie komitetu Solidarność z Polskim Narodem, 2 II 1982, b.p.

⁵⁹ AdSD, Archiv Eugen Selbmann, 123, Pismo Joachima F. Kendelbachera do Eugena Selbmann, 6 VIII 1982, b.p.

⁶⁰ AfCDP, 0/73-Polen-1, Johannes Rau przyjmuje członków Solidarności, 16 II 1982, b.p.

⁶¹ SPD *verurteilt Gewalt gegen Demonstranten in Polen*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 5 V 1982.

⁶² AfCDP, 0/073-Polen-1, Rząd federalny: polskie problemy należy rozwiązywać tylko za pomocą dialogu, 4 V 1982, b.p.

⁶³ AdSD, Archiv Eugen Selbmann, 123, Oświadczenie Karstena D. Voigta w sprawie zawieszenia stanu wojennego w Polsce, 22 VII 1982, b.p.

⁶⁴ AfCDP, 0/073-Polen-1, Bonn betroffen über Vorfälle in Polen, 1 IX 1982, b.p.

⁶⁵ Przemówienie Helmuta Schmidta w Bundestagu, 1 X 1982 [w:] *Bonn – Warschau 1945–1991...*, s. 352.

⁶⁶ D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 211–212.

CDU i CSU musiały dopiero rozwinąć politykę na tym polu, również w szerszej perspektywie stosunków niemiecko-polskich, których architektem przez kilkanaście ostatnich lat pozostawała socjaldemokracja. Na początek nowy rząd Helmuta Kohla (z Hansem-Dietrichem Genscherem jako szefem MSZ, symbolem kontynuacji polityki zagranicznej) przyjął nieco bardziej zdecydowaną retorykę – np. stosunkowo ostro komentował zdelegalizowanie Solidarności⁶⁷. Genscher mówił o „gorzkim rozczarowaniu”, nazywał decyzję Jaruzelskiego „poważnym wykroczeniem przeciwko Aktowi Końcowemu z Helsinek”⁶⁸.

W niemieckiej prasie pojawiły się głosy, że nowa chadecko-liberalna koalicja może zaostrzyć kurs względem PRL⁶⁹, choć w swym inauguracyjnym przemówieniu z 13 października Kohl zapowiedział kontynuację wschodniej polityki poprzedniej ekipy⁷⁰. Dieter Bingen przekonuje jednak, że ta rzeczywista kontynuacja zyskała nowe akcenty: priorytetem zachodnioniemieckiej polityki zagranicznej stała się nie tylko niemiecka jedność, ale też sojusz ze Stanami Zjednoczonymi i budowanie struktur europejskich. Niemniej w *Ostpolitik* nadal najważniejsze były stosunki z NRD i ZSRR, którym sprawa polskiej opozycji musiała ustępować⁷¹. Wygrana chadecji na pewno ożywiła kwestię mniejszości niemieckiej i polskiej granicy zachodniej, na których socjaliści skupiali się w mniejszym stopniu.

Zapowiedzi zniesienia stanu wojennego odbiły się w Bonn niewielkim echem. Niemniej rząd wyraził

zadowolenie z powodu decyzji polskich władz i nadzieję, że doprowadzi ona do dialogu ze wszystkimi grupami społecznymi i narodowego konsensusu. Nadal domagano się zwolnienia wszystkich internowanych i prawa robotników do posiadania własnego związku zawodowego, ale znów nie wspomniano o Solidarności⁷².

Po zawieszeniu stanu wojennego strona niemiecka nie wyrażała woli pełnej normalizacji kontaktów. Tematem numer jeden w RFN stała się zresztą kampania przed wyborami przewidzianymi na początek marca 1983 r. W kampanii pojawiały się na drugim planie wątki polskie, np. w lutym kilkunastu deputowanych i działaczy SPD podpisało protest przeciwko więzieniu szczecińskiego związkowca Edmunda Bałuki (w tym czasie miał ruszyć jego proces)⁷³, a Kohl chwalił Niemców za „bezprecedensową” skalę pomocy humanitarnej dla Polaków⁷⁴. Za tę pomoc gorąco dziękował Wałęsa, politykę wschodnią chadeków ostro krytykowały zaś reżimowe media PRL⁷⁵.

Trzeba zauważyć, że po marcowej wygranej chadecja bardziej jednoznacznie niż wcześniej zaczęła solidaryzować się (na nieoficjalnej płaszczyźnie) z polską opozycją, np. domagając się zwolnień z aresztów konkretnych działaczy, wymienianych z nazwiska, a nie w sposób ogólny, jak to robili socjaliści⁷⁶. To przewartościowanie zaczęło przynosić owoce. W czerwcu 1983 r. doszło do pierwszych tajnych, bezpośrednich kontaktów organizacyjnych chadecji z Solidarnością – rzecz nie do pomyślenia dla SPD. W tym

⁶⁷ AfCDP, 0/073-Polen-1, Oświadczenie Norberta Blüma w sprawie zdelegalizowania Solidarności, 12 X 1982, b.p.

⁶⁸ *Ibidem*, Genscher „bitter enttäuscht” über neues Gewerkschaftsgesetz, 9 IX 1982, b.p.

⁶⁹ E. Neumaier, Die Wiederkehr des Buhmanns, „Süddeutsche Zeitung”, 15 X 1982.

⁷⁰ D. Bingen, Helmut Kohls Polenpolitik..., s. 27; B. Koszel, Die Aussenpolitik der Volksrepublik Polen gegenüber der Bundesrepublik Deutschland 1949–1989 [w:] *Erlebte Nachbarschaft. Aspekte der deutsch-polnischen Beziehungen im 20. Jahrhundert*, red. J.P. Barbian, M. Zybur, Wiesbaden 1999, s. 70.

⁷¹ D. Bingen, Die deutsch-polnischen Beziehungen in der Ära der sozial-liberalen Koalition [w:] *Feinde werden Freunde...*, s. 181.

⁷² AfCDP, 0/073-Polen-1, Komunikat prasowy rzecznika rządu, 16 XII 1982, b.p.

⁷³ AMSZ, Depesze przychodzące – Kolonia, w. 8/72, Szyfrogram MSZ nr 2355/I z Kolonii, 17 II 1983, k. 72.

⁷⁴ AfCDP, 0/073-Polen-1, Kohl szacuje prywatną pomoc dla Polski na 300 mln marek, 10 II 1983, b.p.

⁷⁵ *Ibidem*, Wałęsa dziękuje za niemiecką pomoc humanitarną, 25 II 1983, b.p.; *ibidem*, 2/205/1, Ostra krytyka chadeckiej *Ostpolitik* ze strony polskiej, 7 II 1983, b.p.

⁷⁶ D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 215–216.

czasie pod pozorami podróży naukowej przybył do RFN bliski współpracownik Tadeusza Mazowieckiego Artur Hajnicz, aby przedstawić władzom federalnym poglądy opozycji na stosunki z Niemcami. Po przełamaniu pierwszych oporów (dokładnie sprawdzano „list żelazny”, jaki Hajniczowi wystawiła podziemna Solidarność) doszło 30 czerwca do jego rozmowy z sekretarzem stanu w MSZ Aloisem Mertesem. Hajnicz poinformował, że Solidarność jest gotowa przychylnie spojrzeć na zjednoczenie Niemiec, ale pod warunkiem ostatecznego uznania granicy na Odrze i Nysie. Pozostawia również RFN wolną rękę w sprawie restrykcji gospodarczych (kredyty). Mertes najprawdopodobniej zachęcił samego Kohla do spotkania z Hajniczem. Zorganizowano je bardzo szybko. Polak powtórzył kanclerzowi swoje tezy⁷⁷.

Wygrana chadecji oznaczała dalszy zwrot na prawo polityki niemieckiej i pewne zbliżenie do Stanów Zjednoczonych, które jednak nie prowadziło do znaczącej modyfikacji polityki wschodniej. Niewiele reakcji nad Renem wywołało stłumienie niezależnych manifestacji z 1 i 3 maja 1983 r. Protestowali pojedynczy postowie, np. Otto Zink z CDU⁷⁸. Znacznie większym echem odbiło się zniesienie stanu wojennego. W Bonn chwalono przyjęte ustawy sejmowe, amnestię i sygnalizowanie chęci poprawy stosunków z Zachodem. Genscher przekonywał, że Zachód powinien zachęcać PRL do dalszej liberalizacji, m.in. odchodząc od sankcji. W ten sposób rozmiękczano linię amerykańską.

Mimo zniesienia stanu wojennego dyplomacja RFN, podobnie jak jej sojuszników, wyczekiwała na rozwój sytuacji. Genscher, manifestując zadowolenie z tej decyzji, stwierdził, że należy teraz czekać na jej praktyczne skutki⁷⁹. Uchwalone 28 lipca restrykcyjne ustawy o cenzurze i prawie karnym utwierdzały zachodnich polityków w takiej postawie⁸⁰.

Socjalistycznej opozycji nie przeszkadzało to w próbach zacieśniania więzów z PZPR. Od 24 do 26 października 1983 r. w Niemczech gościła delegacja Klubu Poselskiego PZPR z Kazimierzem Barcikowskim na czele⁸¹. Obok konsultacji partyjnych z czołowymi politykami SPD polski polityk rozmawiał też z przedstawicielami koalicji, w tym z Genscherem⁸². Chadecja nie zamierzała bowiem **zbytnio odchodzić od strategii** przełamywania bojkotu dyplomatycznego, którą stosowała SPD. Od wczesnej jesieni 1983 r. trwały przygotowania do wizyty wpływowego polityka CDU Bernharda Vogela w Polsce⁸³. Przyjechał on w listopadzie, kontaktował się m.in. z ważnymi członkami partii, rządu i episkopatu, deklarując wolę polepszenia obustronnych relacji⁸⁴. Inicjatywy te nie podobały się sojusznikom Bonn, głównie Waszyngtonowi⁸⁵.

W 1984 r. przewidywano wizyty kolejnych polityków średniego szczebla, niełamiące wąsko rozumianego bojkotu dyplomatycznego. Wśród przyjeżdżających dominowali socjaliści. Między 31 stycznia a 4 lutego w Polsce bawiła na zaproszenie PZPR delegacja SPD kierowana przez Hansa-Jürgena Wischniewskiego. Podróż okazała się sukcesem władz

⁷⁷ K. Miszczak, *Deklarationen und Realitäten. Die Beziehungen zwischen der Bundesrepublik Deutschland und der (Volks-)Republik Polen von der Unterzeichnung des Warschauer Vertrages bis zum Abkommen über gute Nachbarschaft und freundschaftliche Zusammenarbeit (1970–1991)*, München 1993, s. 246.

⁷⁸ AfCDP, 0/073-Polen-1, Artykuł posta CDU Otto Zinka w „Deutschland Union Dienst”, 3 V 1983, b.p.; *CDU mit den Arbeitern Polens solidarisch*, „Münchener Merkur”, 4 V 1983.

⁷⁹ AfCDP, 0/073-Polen-1, Genscher: Zachód powinien ośmielić Polskę, 22 VII 1983, b.p.

⁸⁰ AMSZ, Depesze przychodzące – Kolonia, w. 8/73, Szyfrogram MSZ nr 2175/III z Kolonii, 15 VIII 1983, k 41.

⁸¹ E. Mörbitz, *Warschau will Dialog mit Bonn beleben*, „Frankfurter Rundschau”, 28 X 1983; *Bonn – Warschau 1945–1991...*, s. 627.

⁸² *Barcikowski bei Genscher*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 25 X 1983.

⁸³ AMSZ, Depesze przychodzące – Kolonia, w. 8/73, Szyfrogram MSZ nr 1129/IV z Kolonii, 21 X 1983, k 163.

⁸⁴ *Ibidem*, Szyfrogram MSZ nr 1449/IV z Kolonii, 27 X 1983, k 177; *ibidem*, Szyfrogram MSZ nr 2310/IV z Kolonii, 1 XI 1983, k 205.

⁸⁵ *Ibidem*, Szyfrogram MSZ nr 4127/IV z Kolonii, 15 XII 1983, k. 274.

polskich; po powrocie Wischniewski na konferencji prasowej wezwał rząd do normalizacji stosunków z PRL⁸⁶. Przez tego typu kontakty opozycyjna SPD próbowała prowadzić swoją tradycyjną, odprężeniową *Ostpolitik*.

W lipcu 1984 r. w Polsce ogłoszono kolejną amnestię dla więźniów politycznych. Zachodnioniemieckie władze próbowały wykorzystać to do swej odprężeniowej polityki. Określiły amnestię – tak jak inne państwa Zachodu – jako „krok w dobrym kierunku”⁸⁷. Niemiecki rząd sugerował, że polskie posunięcia powinny skłonić Zachód do „częściowego odejścia od sankcji”, ale z zastrzeżeniem ponownego ich nałożenia w razie powrotu opozycjonistów do więzień. Bardzo ostrożnie zalecał Warszawie powrót do porozumień sierpniowych, a w sprawach szczegółowych starał się naciskać na uwolnienie aresztowanego w czerwcu 1984 r. i nadal więzionego Bogdana Lisa⁸⁸.

W sumie amnestia nie zlikwidowała impasu, jaki panował w stosunkach polsko-niemieckich po zniesieniu stanu wojennego – niezobowiązujących gestów sympatii niemieckich władz w stosunku do władz PRL, napotykających na sztywną postawę strony polskiej. Miękkie stanowisko RFN uwidoczniło się podczas czwartej rocznicy Sierpnia i po zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki – Bonn nie zdobyło się na żadną oficjalną reakcję na te wydarzenia⁸⁹.

Ugodowa dyplomacja niemiecka zaczęła jednak powoli i z trudem przynosić pożądane – zarówno przez Bonn, jak i Warszawę – skutki. W drugiej połowie 1984 r. PRL wreszcie zdecydowała się pozytywnie odnieść do kwestii wizyty Hansa-Dietricha Genschera, podnoszonej przez Niemców od początku roku. Wątki solidarnościowe nie odgrywały w tych przygotowaniach pierwszorzędnej roli. Z powodu braku zgody co do programu pobytu (poszło m.in. o spotkania z opozycjonistami i odwiedzenie grobu ks. Popiełuszki) ostatecznie niemiecki polityk bezterminowo przełożył swą podróż⁹⁰. Ważną przyczyną, która usztywniła stanowisko polskie, był brak wyraźnego odcięcia się Kohla i Genschera od „rewizjonistycznych” wypowiedzi niektórych polityków chadeckich⁹¹.

Fiasko wizyty odbiło się echem w całej Europie – jako niemiecki falstart **w wyścigu o normalizację kontaktów z PRL**. Również dla Warszawy niepowodzenie misji Genschera było porażką⁹². Być może dlatego ponowne negocjacje podjęto już w grudniu⁹³. Genscher był gotowy do daleko idących ustępstw protokolarnych, choć nie chciał rezygnować ze złożenia kwiatów na grobie ks. Popiełuszki⁹⁴. Jego skłonność do kompromisu rosta jednak z upływem czasu. W styczniu 1985 r. sygnalizował możliwość rezygnacji z kontaktu z opozycją i złożenia kwiatów na grobie Popiełuszki. Chciał jednak w jakiejś formie uczcić pamięć pole-

⁸⁶ *Bonn – Warschau 1945–1991...*, s. 628; por. AMSZ, Depesze przychodzące – Kolonia, w. 8/73, Szyfrogram MSZ nr 4521/IV z Kolonii, 22 XII 1983, k. 293.

⁸⁷ AdSD, Archiv Eugen Selbmann, 187, Stefan Olszowski żąda jednoznacznego komunikatu chadeków w sprawie układu z 1970 r., [lipiec] 1984, b.p.; AfCDP, 0/073-Polen-1, Bonn cieszy się z polskiej amnestii, 23 VII 1984, b.p.

⁸⁸ AIPN, 1585/3894, Załącznik do informacji dziennej na temat zachodnich ocen amnestii w Polsce, 28 VII 1984, k. 37–38.

⁸⁹ AMSZ, Depesze przychodzące – Kolonia, w. 10/74, Szyfrogram MSZ nr 3262/III z Kolonii, 4 IX 1984, k. 222; *ibidem*, w. 10/73, Szyfrogram MSZ nr 1724/IV z Kolonii, 30 X 1984, k. 109.

⁹⁰ AfCDP, 0/073-Polen-5, Komunikat prasowy Ambasady RFN w Warszawie w sprawie oświadczenia rzecznika MSZ PRL, 21 XI 1984, b.p.; Archiwum Foreign & Commonwealth Office, Roczny raport ambasady Wielkiej Brytanii w Warszawie na temat sytuacji w Polsce w 1984 r., 31 XII 1984, b.p.; AMSZ, Depesze przychodzące – Kolonia, w. 10/73, Szyfrogram MSZ nr 3493/IV z Kolonii, 28 XI 1984, k. 182; H.D. Genscher, *Erinnerungen...*, s. 272; D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 222.

⁹¹ D. Korger, *Die Polenpolitik der deutschen Bundesregierung...*, s. 59, 92 (przypis 293); D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 219; A. Hajnicz, *Polen in seinem geopolitischen Dreieck...*, s. 35.

⁹² AfCDP, 0/073-Polen-1, Genscher: Wizyta w Polsce jest konieczna i ważna, 27 XI 1984, b.p.

⁹³ AfCDP, 0/073-Polen-1, Genscher o Polsce: nadszedł czas na ocieplenie wzajemnych stosunków, 6 XII 1984, b.p.

⁹⁴ *Z przecieków*, „Tygodnik Mazowski” 1984, nr 108, s. 2.

głych niemieckich żołnierzy i chociaż przejść koło grobu ks. Jerzego⁹⁵.

Ostatecznie przeważała zupełnie inna formuła wizyty, uzgodniona zaledwie kilka dni przed przylotem. Szef MSZ i wicekanclerz przybył do Warszawy 6 marca 1985 r. jedynie na sześć godzin, w drodze z Helsinek do Sofii. Spotkał się z Jaruzelskim i ministrem spraw zagranicznych Stefanem Olszowskim, a także wicepremierem Rakowskim, szefem Stronnictwa Demokratycznego Edwardem Kowalczykiem i prymasem Polski kard. Józefem Glempem⁹⁶. Z przyjętego harmonogramu wynikało, że nie będzie czasu na spotkanie z opozycją. Wizyta nie była jednak jedynie afirmacją władz PRL – mimo wszystko Genscher znalazł czas, by zobaczyć grób ks. Popiełuszki⁹⁷. Tak oto – pośpieszenie, roboczo i tranzytowo – kończyła się era bojkotu dyplomatycznego między PRL i RFN.

Misja Genschera wywołała raczej negatywne komentarze wielu polityków zachodnich. Nie rozwiązała palących problemów między Bonn i Warszawą, zwłaszcza podnoszonego przez stronę polską „rewizjonizmu”⁹⁸. Dyplomacja Bonn pozostawała w połowie lat osiemdziesiątych bardziej pasywna – mimo swej ugodowości – i konserwatywna niż francuska, włoska czy brytyjska. Praktycznie już od 1981 r. RFN prowadziła politykę podwójnej strategii, czyli kontynuowania prób odprężenia z reżimem Jaruzelskiego przy jednoczesnych nieoficjalnych gestach prosolidarnościowych⁹⁹. Kładła przy tym większy nacisk na

porozumienie ze stroną rządową, mniej angażowała się w popieranie polskiej opozycji, które miało się kanalizować w pomocy humanitarnej i akcjach społecznych. Linia niemiecka nie wpływała na wyraźną poprawę bilateralnych relacji z Polską. I choć chadecy potrafili bardziej stanowczo niż SPD oceniać sytuację w PRL, nie zmienili zasadniczo podstawowych założeń *Ostpolitik*. Co więcej, realizując ją, niekiedy korzystali z pomocy socjalistycznych polityków, mających lepsze kontakty w Polsce.

Wyrazem niejednoznacznej postawy Bonn wobec PRL i opozycji, a również coraz mniej realnej strategii wschodniej SPD, była bardzo kontrowersyjna podróż byłego kanclerza Willy’ego Brandta do Warszawy w dniach 6–9 grudnia 1985 r. z okazji piętnastej rocznicy układu między PRL i RFN¹⁰⁰. Lech Wałęsa, korzystając z tej okazji, zaprosił Brandta w liście wysłanym 1 września 1985 r. do wspólnego złożenia kwiatów na Westerplatte¹⁰¹. W odpowiedzi, przekazanej Wałęsie dopiero po kilku tygodniach, Brandt grzecznie odmówił¹⁰². Dziękując za zaproszenie, stwierdził: „nie jestem pewien, czy podczas mego krótkiego pobytu znajdę czas, żeby odwiedzić Gdańsk”¹⁰³. Odpowiedź była zadziwiająca i niespotykana wśród polityków innych krajów zachodnich. Wizyta Brandta stała się okazją dla PRL-owskiej propagandy¹⁰⁴. Wywołała zarazem rozgoryczenie w środowisku opozycji – zachowanie Brandta skrytykowali Bronisław Geremek i Zbigniew Bujak, który wysłał pod koniec listopada

⁹⁵ AMSZ, Depesze przychodzące – Kolonia, 33/82, w. 13, Szyfrogram MSZ nr 1396/I z Kolonii, 25 I 1985, k. 43.

⁹⁶ D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 226; AMSZ, Depesze przychodzące – Kolonia, 33/82, w. 13, Szyfrogram MSZ nr 3550/I z Kolonii, 28 II 1985, k. 125.

⁹⁷ M. Frybes, *Dziękujemy za solidarność – Merci pour votre solidarité!*, Warszawa 2005, s. 90.

⁹⁸ AfCDP, 0/073-Polen-1, Warszawa: Kohl poczynił krok do tyłu, 18 VI 1985, b.p.

⁹⁹ A. Riechers, *Pomoc dla „Solidarności”...*, s. 53; N. Bégin, *Kontakte zwischen Gewerkschaften in Ost und West: die Auswirkungen von Solidarnosc in Deutschland und Frankreich: ein Vergleich*, „Archiv für Sozialgeschichte” 2005, t. 45, s. 323.

¹⁰⁰ Kilkutomowa dokumentacja tej podróży w: AdSD, Willy Brandt Archiv, A 19, 263, k. 1–125; *ibidem*, A 19, 264, k. 1–191; *ibidem*, A 19, 265, k. 1–145; *ibidem*, A 19, 266, k. 1–177; *ibidem*, A 19, 267, k. 1–190.

¹⁰¹ AdSD, Willy Brandt Archiv, A 11.2, 174, List Lecha Wałęsy do Willy’ego Brandta, 1 IX 1985, k. 43.

¹⁰² AfCDP, 0/073-Polen-1, Willy Brandt odrzuca zaproszenie Lecha Wałęsy, 18 XI 1985, b.p.; *Kein Treffen von Brandt mit Walesa*, „Die Welt”, 21 XI 1985.

¹⁰³ AdSD, Willy Brandt Archiv, A 11.2, 174, List Willy’ego Brandta do Lecha Wałęsy, 22 X 1985, k. 43.

¹⁰⁴ J. Szarek, *Zachód wobec stanu wojennego...*, s. 349; B. Rother, *Wizyta Willy Brandta w Warszawie w grudniu 1985 roku. Okoliczności i fakty*, „Przegląd Zachodni” 2006, nr 2.

do ekskanclerza list otwarty. Pisał w nim, że „obecna polityka SPD budzi w Polsce podejrzliwość”. Niezadowolenie wyrażał też Jan Józef Lipski, mówiąc, że Brandt nie tylko nie mógł, ale i nie chciał przyjąć zaproszenia Wałęsy¹⁰⁵. Niezręczne kroki Brandta wywołały ataki rządzącej chadecji, która namawiała byłego kanclerza do zmiany zdania i przyjęcia propozycji Wałęsy¹⁰⁶.

Brandt, przestraszony medialną i polityczną wrzawą, jaką mimochodem wywołał, próbował w następnych dniach sugerować, że mógłby się zobaczyć z Wałęsą w Warszawie, jeśli ten ostatni by tego chciał¹⁰⁷. W rzeczywistości jednak ugiął się pod sprzeciwem swych oficjalnych polskich gospodarzy wobec planów spotkania z liderem Solidarności.

Podczas wizyty Brandtowi towarzyszyła grupa polityków niemieckich z burmistrzem Bremy Hansem Koschnickiem i wiceprzewodniczącym frakcji SPD Horstem Ehmke na czele¹⁰⁸. 8 grudnia delegacja odwiedziła Auschwitz, gdzie Koschnick wygłosił przemówienie¹⁰⁹. Dzień wcześniej doszło do międzypartyjnych rozmów przedstawicieli SPD i PZPR¹¹⁰, a Brandt wygłosił przemówienie na Zamku Królewskim w Warszawie z okazji piętnastolecia układu polsko-niemieckiego w sprawie granic¹¹¹. Tego samego dnia odbyło

się pierwsze z dwóch najważniejszych spotkań wizyty: rozmowa Brandta z Jaruzelskim. Choć trwała prawie dwie godziny, nie wyszła poza poziom ogólników¹¹². Podobny charakter miało drugie, krótsze spotkanie 9 grudnia¹¹³. Obaj politycy dyplomatycznie wyrażali zadowolenie z rozmów i deklarowali wolę współpracy polsko-niemieckiej w kontekście odprężenia w Europie¹¹⁴. Zgodnie z przygotowywanymi przez wiele miesięcy planami Brandt spotkał się z prymasem Glępem oraz przedstawicielami Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie (m.in. Tadeuszem Mazowieckim, Andrzejem Wielowieyskim, Andrzejem Stelmachowskim, Stanisławem Stommą)¹¹⁵. Występowali oni jako członkowie KIK, a nie reprezentanci nielegalnej opozycji¹¹⁶.

Misja Brandta odbiła się echem w międzynarodowych mediach – głównie ze względu na zachowanie byłego kanclerza wobec Wałęsy¹¹⁷. Wywołała krytykę ze strony podziemnej Solidarności, która oskarżała Brandta i całą SPD o zbyt bliską współpracę z polskimi władzami kosztem opozycji oraz o „niemiecki nacjonalizm”¹¹⁸. Chcąc zatrzeć to niekorzystne wrażenie, 13 grudnia (tuż po powrocie do Bonn) Brandt wysłał list do lidera Solidarności, w którym znowu tłumaczył, że nie miał czasu na rozmowę, ale członkom KIK

¹⁰⁵ *Aus der „Solidarität” Kritik an Brandt und seiner Partei, „Die Welt”, 29 XI 1985.*

¹⁰⁶ AfCDP, O/073-Polen-1, Apel do laureata pokojowej Nagrody Nobla, 29 XI 1985, b.p.

¹⁰⁷ AdSD, Willy Brandt Archiv, A 13, 190, Pismo Klausu Lindenberga do Christel Folger, 29 XI 1985, k. 7.

¹⁰⁸ *Ibidem*, A 13, 190, Pismo Klausu Lindenberga do Heinza Schneppena z MSZ i do niemieckiej ambasady w Warszawie, 28 XI 1985, k. 11–14 (z załącznikami); AMSZ, Depesze przychodzące – Kolonia, 33/87, w. 14, Szyfrogram MSZ nr 2540/IV z Kolonii, 12 XI 1985, k. 703 (błędna paginacja).

¹⁰⁹ AdSD, Willy Brandt Archiv, A 19, 263, Wystąpienie Hansa Koschnicka w Auschwitz, 8 XII 1985, k. 1–7.

¹¹⁰ *Ibidem*, A 19, 264, Rozmowa delegacji SPD i PZPR z 7 XII 1985, 20 XII 1985, k. 34–44.

¹¹¹ *Ibidem*, A 19, 265, Przemówienie Willy’ego Brandta na Zamku Królewskim w Warszawie, 7 XII 1985, k. 125–128.

¹¹² *Ibidem*, A 19, 264, Rozmowa Willy’ego Brandta z Wojciechem Jaruzelskim z 7 XII 1985, 17 XII 1985, k. 44–55.

¹¹³ *Ibidem*, A 19, 264, Rozmowa Willy’ego Brandta z Wojciechem Jaruzelskim z 9 XII 1985, 20 XII 1985, k. 70–72.

¹¹⁴ AfCDP, O/073-Polen-5, Brandt i Jaruzelski podkreślili pozytywny bilans wizyty, 9 XII 1985, b.p.

¹¹⁵ AdSD, Willy Brandt Archiv, A 19, 264, Rozmowa Willy’ego Brandta z prymasem Józefem Glępem z 9 XII 1985, 20 XII 1985, k. 27–33; *ibidem*, A 19, 265, Program podróży Willy’ego Brandta do Polski, 5 XII 1985, k. 63–70; *ibidem*, Komunikat prasowy dotyczący wizyty Willy’ego Brandta i delegacji SPD w Polsce, 6 XII 1985, k. 90–92.

¹¹⁶ D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 210; A. Hajnicz, *Polen in seinem geopolitischen Dreieck...*, s. 31.

¹¹⁷ Zob. wycinki prasowe poświęcone wizycie: AdSD, Willy Brandt Archiv, A 19, 264, k. 87–192; *ibidem*, A 19, 267, k. 7–190.

¹¹⁸ *List otwarty RKW „S” Mazowsze do Willy Brandta*, „Tygodnik Mazowsze” 1985, nr 148, s. 2; „KOS” 1985, nr 85, s. 8–9. Tekst ten przetłumaczony na niemiecki trafił na biurko lidera SPD, zob. AdSD, Willy Brandt Archiv, A 19, 266, List otwarty Regionu Mazowsze do Willy’ego Brandta, [kwiecień?] 1986, k. 80–84.

przekazał swe pozdrowienia dla Wałęsy. Wyrażał też nadzieję, że Wałęsa zrozumie jego decyzję. Przekonywał, że wizyta w Polsce służyła pojednaniu narodów i polityce odprężenia. Ani razu nie wymienił nazwy Solidarność¹¹⁹. Tego samego dnia przesłał gen. Jaruzelskiemu podziękowania za gościnne przyjęcie¹²⁰.

Inicjatywa Brandta wywołała bardzo ciekawą wymianę korespondencji między nim a Wałęsą. 17 stycznia 1986 r. lider Solidarności przesłał Brandtowi odpowiedź. Stwierdził, że takie odprężenie, o którym pisze były kanclerz, musi objąć nie tylko poziom rządów, ale i społeczeństw. Nie bez złośliwości dodawał: „chodzi o to, by uwzględnić również istnienie sił i dążeń społecznych, które wyrażają ludzkie nadzieje i aspiracje, jakim odprężenie powinno sprzyjać i służyć. Co do Polski – to zignorowanie tych szerokich społecznie aspiracji i dążeń jest nie do pomyślenia”¹²¹.

Dopiero 3 marca 1986 r. Brandt zareagował na te słowa, choć w archiwaliach Fundacji Friedricha Eberta zachowało się kilka brudnopisów listu datowanych na koniec lutego oraz wymiana uwag między Brandtem a jego doradcami na temat odpowiedzi¹²². Ostatecznie przyjął postawę defensywną, przyznając Wałęsie rację w sprawie konieczności uznania dążeń społecznych, a nie tylko wytycznych rządowych, podczas rozwijania polsko-niemieckich relacji. Przekonywał, że jego odprężeniowej polityce towarzyszyła wola bronięcia praw obywatelskich – było to pewne ustępstwo na rzecz Solidarności. Jednak i teraz nie padła nazwa związku¹²³.

Po latach w swych wspomnieniach Brandt próbował się usprawiedliwiać, wskazując na trudności *Ostpolitik* realizowanej przez SPD: „niemieckiemu so-

cialdemokracie, nie tylko w przypadku Polski, często bardzo trudno było we właściwy sposób postępować wobec rządzących, unikając jednocześnie nieporozumienia, że uważa się walkę opozycji demokratycznej za polityczny folklor [...] W 1985 r. nie mogłem pogodzić »oficjalnej« wizyty w Warszawie z podróżą do Gdańska, gdzie zaprosił mnie Lech Wałęsa, ale przeprowadziłem szczegółowe rozmowy z wieloma jego współpracownikami. Długo rozmawiałem z Jaruzelskim o możliwościach wyjazdu prof. Bronisława Geremka, który później w 1989 r. został przewodniczącym klubu »Solidarności« w Sejmie”¹²⁴. Tłumaczenia te nie brzmiały zbyt przekonująco.

* * *

Zniesienie stanu wojennego, stopniowa rezygnacja z dyplomatycznego izolowania Polski przez państwa EWG i NATO, a także kolejne amnestie z lipca 1984 r. i września 1986 r. skłaniały Bonn do aktywizacji polityki zagranicznej wobec PRL. Podobnie jak inne państwa Zachodu, RFN weszła na długą drogę do pełnej normalizacji bilateralnych stosunków politycznych i gospodarczych. Droga ta była jednak bardziej wyboista niż w przypadku Francji, Włoch czy nawet Wielkiej Brytanii. Bonn stosowało bardziej ugodową retorykę względem PRL niż te państwa, ale nie oznaczało to przełamania bojkotu dyplomatycznego – głównie z powodu twardej postawy Warszawy. Zachodnioniemiecka polityka względem Polski nadal zachowywała wiele elementów dotychczasowej strategii działania, według której powrót do odprężenia i normalizacja stosunków z PRL miały służyć zbliżeniu z NRD. Zbliżenie to pozostawało absolutnym priorytetem¹²⁵.

¹¹⁹ AdSD, Willy Brandt Archiv, A 19, 264, Pismo Willy’ego Brandta do Lecha Wałęsy, 13 XII 1985, k. 24–26.

¹²⁰ *Ibidem*, Pismo Willy’ego Brandta do Wojciecha Jaruzelskiego, 13 XII 1985, k. 12–13.

¹²¹ *Ibidem*, A 19, 266, Pismo Lecha Wałęsy do Willy’ego Brandta, 17 I 1986, k. 10–11; zob. też *Wymiana listów Brandt – Wałęsa*, „Tygodnik Mazowski” 1986, nr 157, s. 1.

¹²² Zob. np. AdSD, Willy Brandt Archiv, A 19, 266, Projekt listu Willy’ego Brandta do Lecha Wałęsy, 26 II 1986, k. 33–36; *ibidem*, Pismo Horsta Ehmke do Klaus Lindnerberga w sprawie listu Willy’ego Brandta do Lecha Wałęsy, 27 II 1986, k. 32.

¹²³ *Ibidem*, Pismo Willy’ego Brandta do Lecha Wałęsy, 3 III 1986, k. 23–25.

¹²⁴ W. Brandt, *Erinnerungen*, Frankfurt am Main 1992 (wyd. 4), s. 473–474; D. Bingen, *Polityka Republiki Bońskiej...*, s. 211.

¹²⁵ *Kwestia niemiecka*, „Tygodnik Mazowski” 1984, nr 96, s. 4.

INTERPRETACJE

TOTALITARYZM W MYŚLENIU POLITYCZNYM OPOZYCJI DEMOKRATYCZNEJ

W powojennej historii intelektualnej pojęcie totalitaryzmu było wielokrotnie przedmiotem sporów¹. Część z nich dotyczyła języka politycznego środkowoeuropejskich dysydentów, którzy zaczęli się tym pojęciem szerzej posługiwać w latach siedemdziesiątych, w momencie gdy zostało ono odrzucone przez znaczącą liczbę zachodnich sowietologów i doradców politycznych. Debatę na temat owej wędrówki idei², która jest punktem wyjścia niniejszego szkicu, można uporządkować, wyróżniając trzy typowe stanowiska. I tak Martin Malia był orędownikiem pozytywnego ujęcia problemu. Według niego środkowoeuropejska recepcja pojęcia totalitaryzmu dowodziła ogólnej słuszności koncepcji, do której ono się odnosi. Z kolei Andrzej Walicki, najbardziej konsekwentny wyraziciel podejścia przeciwnego, twierdził, że aczkolwiek totalitaryzm ma zasadnicze zastosowanie do opisu epoki stalinowskiej, opozycjoniści, mechanicznie rzutując ten termin na okres późniejszy, postępowali w złej wierze – w podwójnym, poznawczo-politycznym sensie: po pierwsze w ten sposób wypaczali rozumienie procesu detotalitaryzacji, a po drugie, używając go jako politycznego

PIOTR WCIŚLIK

absolwent Międzyobszarowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego, pisze rozprawę doktorską o ideach demokratycznych w czasach Solidarności na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie.

¹ Klasyczne już ujęcie tematu w: A. Gleason, *Totalitarianism: The Inner History of the Cold War*, New York 1995. Najciekawsza próba przemyślenia na nowo totalitarnego doświadczenia i jego wpływu na myśl polityczną w: D. Roberts, *The Totalitarian Experiment in Twentieth-Century Europe: Understanding the Poverty of Great Politics*, New York 2006.

² Można się spierać, czy rzeczywiście w przypadku pojęcia totalitaryzmu miała miejsce wędrówka z Zachodu na Wschód. Myśl polityczna Europy Środkowo-Wschodniej, zwłaszcza w okresie międzywojennym, ma solidne doświadczenie w rozważaniu tej problematyki – przez wzgląd na „przekleństwo geografii” oraz na lokalne eksperymenty. Ten bagaż doświadczeń nie grał jednak większej roli w wielkiej debacie o totalitaryzmie z początków zimnej wojny, która opierała się głównie na głosach politycznych emigrantów z nazistowskich Niemiec i ZSRR. To samo dotyczy się powojennych emigrantów z Europy Środkowo-Wschodniej, z ważnym wyjątkiem Czesława Miłosza (a później również Milana Kundery). To właśnie powojenna debata była punktem odniesienia dla dysydenckiego pisania o totalitaryzmie, podczas gdy doświadczenie międzywojenne zostało zapomniane. Warto dodać, że w okresie międzywojennym chodziło głównie o to, co dzieje się w państwach ościennych, natomiast w epoce późnego socjalizmu totalitaryzm ujmowany był przez pryzmat doświadczenia. Zob. *Antykomunizm polski. Tradycje intelektualne*, red. B. Szlachta, Kraków 2000; M. Kornat, *Bolszewizm, totalitaryzm, rewolucja, Rosja. Początki sowietologii i studiów nad systemami totalitarnymi w Polsce (1918–1939)*, Kraków 2003.

tarana do demonizacji systemu władzy, przeciwdziałali zaistnieniu wewnątrzsystemowych alternatyw zmiany politycznej. Wreszcie Jacques Rupnik kładł nacisk na zawikłanie dysydenckich rozważań na ten temat. Według niego niezależni myśliciele polityczni przyswoili sobie to pojęcie w sposób twórczy, biorąc pod uwagę zarówno ciągłość, jak i zerwanie właściwe epoce późnej PRL.

Celem poniższych rozważań jest przesłедzenie środkowoeuropejskiej kariery totalitaryzmu z perspektywy historii pojęć politycznych, głównie na przykładzie polskim. W części pierwszej omawiam wymienione podejścia, wskazując na zalety tego trzeciego. W części drugiej proponuję uzupełnienia do tez Rupnika. Najpierw odnoszę się do kwestii będącej największym wyzwaniem dla dysydenckiego postępowania się tym pojęciem, nad którą jednak Rupnik przechodził do porządku dziennego: jak wytłumaczyć istnienie zorganizowanej opozycji w warunkach totalitarnych?

Rupnik omawiał opozycyjne odczytania totalitaryzmu jako formy sprawowania władzy (reżimu politycznego). Ten szkic natomiast ma za zadanie pokazać, że semantyka tego pojęcia w użyciu dysydentów była znacznie bardziej pojemna, obejmowała dwa inne pola: „umysłowego zniewolenia” społeczeństwa oraz „pokusy totalitarnej” grożącej samym dysydencom. To pierwsze było swego rodzaju mroczną odwrotnością innego ważnego elementu dysydenckiego słownika, pojęcia społeczeństwa obywatelskiego, a odnosiło się do obywatelskiej bierności oraz do anomijnych przejawów antykomunistycznej rebelii. To drugie można odczytywać jako refleksję o tym, jak egzystencjalna okoliczność społecznej i politycznej marginalizacji odbija się na politycznym myśleniu i działaniu.

Niniejszy esej rozszerza ponadto zakres analizy pojęcia, uwzględniając jego posthistorię. W ostatniej części stawiam tezę, że totalitaryzm odgrywał kluczową rolę w kształtowaniu się pola politycznego po 1989 r., którego stawkę dobrze oddają słowa Tadeusza Ma-

zowieckiego o „grubej kresce”. W przeciwieństwie do niektórych tranzytologów elita postsolidarnościowa nie widziała nic oczywistego w procesie przejścia od totalitarnej przeszłości do europejskiej przyszłości. Linia podziału musiała być dopiero stworzona i owa poznawczo-polityczna praktyka demarkacji stała się przedmiotem niezwykle ostrego sporu politycznego. W dużym stopniu stanowiska w tym sporze były określone przez istniejące odczytania totalitaryzmu, jednakże w postkomunistycznym kontekście wspomniane wyżej trzy pola semantyczne zyskały nową dynamikę, która przyniosła nieoczekiwane skutki. Podczas gdy dyskusje o komunistycznej przeszłości koncentrują się zazwyczaj na aparacie władzy (tematy takie jak odpowiedzialność za zbrodnie komunistyczne, lustracja, dekomunizacja i prywatyzacja nomenklaturowa mają już sporą literaturę, a nawet klasyków), posthistoria umysłowego zniewolenia i pokusy totalitarnej pozostaje nadal do napisania, a przecież te ostatnie wątki miały zasadnicze znaczenie, chociażby w debatach o *homo sovieticus* czy o populizmie, które stanowiły z kolei zasadnicze tło kształtowania polityki państwowej.

1. TOTALITARYZM I TRZY TEORIE TRANSFERU

Teoria pozytywnego transferu: Martin Malia

W *Sowieckiej tragedii* Martin Malia przedstawił prawdopodobnie najbardziej wyczerpującą obronę koncepcji totalitaryzmu w odniesieniu do ZSRR³. Chociaż nie była to najważniejsza część jego rozumowania, Malia powoływał się na środkowoeuropejski odbiór tego pojęcia, które nadawało wiarygodność jego własnemu stanowisku w sporach z dominującą w latach osiemdziesiątych tzw. rewizjonistyczną szkołą sowietologii. Chociaż, jak przyznawał, klasyczny model totalitaryzmu wypracowany przez Carla J. Friedricha i Zbigniewa Brzezińskiego był zbyt statyczny i ahistoryczny, z pewnymi modyfikacjami mógł znaleźć

³ M.E. Malia, *Sowiecka tragedia. Historia komunistycznego imperium rosyjskiego 1917–1991*, Warszawa 1998.

zastosowanie do konkretnych sytuacji. Z kolei model rewizjonistyczny w sposób zasadniczy fałszował radzieckie realia, starając się je wtłoczyć w pojęciowe ramy zachodnich nauk społecznych: teorii modernizacji i modernizacyjnych dyktatur lub modeli pluralizmu grup interesu.

Według Malii ruch komunistyczny nigdy nie starał się dogonić rozwiniętych krajów Zachodu, lecz ostatecznie je przegonić. Gdyby chodziło tylko o nowocześnieść zacofanego regionu, socjalizm nigdy nie stałby się przedmiotem światowego zainteresowania. Cały świat śledził losy ZSRR dlatego, że chodziło o socjalizm, „ideologię wspólną nowoczesności”. Radziecka polityka była realizacją utopijnego eksperymentu całościowego przekształcenia społeczeństwa. Prawem niezamierzonych konsekwencji zastosowanie utopii do rzeczywistości stworzyło nie tyle zwykłe nowoczesne państwo, ile społeczną formację *sui generis*, rzeczywistość surrealistyczną, która jako taka zasługiwała według Malii na odrębny język opisu. Chociaż po śmierci Stalina utopijny horyzont uległ zasadniczemu zawężeniu, to sam cel obrony „zdobyczy socjalizmu” pozostał, aż do końca brał górę w radzieckiej polityce nad pragmatycznie pojętymi interesami elity rządzącej.

W opinii Malii doświadczenie środkowoeuropejskich dysydentów dowodziło słuszności powyższego wyводу. Jak dla dysydentów, tak dla sowietologów nazywanie totalitaryzmu po imieniu to nic innego niż „odmowa życia w kłamstwie”. „Europejczycy ze Wschodu przyswoili sobie odrzucone na Zachodzie pojęcie totalitaryzmu, aby nazwać właśnie taki totalny system. Dla nich totalitaryzm nie oznaczał, że tego typu reżimy rzeczywiście sprawowały totalną kontrolę nad populacją (gdyż jest to niemożliwe). Oznaczał natomiast, że taka kontrola była podstawowym dążeniem tych reżimów. Chodziło nie o to, że tego typu

reżimy były wszechwładne w działaniu, ale o to, że były wszechogarniające co do kompetencji swoich struktur i instytucji. Mówiąc krótko, to państwo typu radzieckiego, a nie radzieckie społeczeństwo, było totalitarne”⁴.

Teoria pozytywnego transferu idei sformułowana przez Malie budzi zasadnicze pytania. Czy dysydenci, posługując się pojęciem totalitaryzmu, rzeczywiście mówili o tym samym co on? Czy tylko reżim był totalitarny (ale nie społeczeństwo)? Jaka była funkcja ideologii? Czy państwa typu radzieckiego były totalitarne w swoich dążeniach, lecz nie w praktyce?

Teoria transferu w złej wierze: Andrzej Walicki

W przeciwieństwie do Malii, Andrzej Walicki⁵ uważał, że klasyczny model totalitaryzmu dobrze oddawał doświadczenie historyczne (w tym jego własne doświadczenie biograficzne) szczytowej fazy stalinizmu. Rządy Bolesława Bieruta w Polsce były sprawowane za pomocą terroru i presji polityczno-moralnej w imię ideologicznych założeń marksizmu i w celu utrzymywania kontroli nie tylko nad ekonomią i polityką, ale też nad ludzkimi umysłami. Po śmierci Stalina doszło do powolnej detotalitaryzacji, której awangardą od 1956 r. była Polska. Rządy Wojciecha Jaruzelskiego, ani nie totalitarne, ani nawet niespecjalnie komunistyczne, były kulminacją tego procesu. Partia nie tylko zrzekła się kontrolowania ludzkich umysłów jako celu, ale wręcz odrzuciła marksizm, starając się uzasadnić swoje rządy legitymizacją narodową, w czym zresztą okazała nie lada skromność. W apelach o konstruktywny patriotyzm i pojednanie narodowe pretendowała do miana przedstawiciela nie tyle woli zbiorowej, ile geopolitycznego realizmu, z jego „mniejszym złem”. Zamiast obiecywać świetlaną przyszłość, robiła wszystko, by nie rozdmuchiwać społecz-

⁴ M.E. Malia, *The Soviet Tragedy: A History of Socialism in Russia, 1917–1991*, New York 1999, s. 14 (tłumaczenie własne).

⁵ Poruszane tutaj kwestie stanowiły jedną z głównych osi refleksji Walickiego w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, zob. przede wszystkim: A. Walicki, *Myśli o sytuacji politycznej i moralno-psychologicznej w Polsce*, „Aneks” 1984, nr 35; idem, *Spotkania z Miłoszem*, Londyn 1985; idem, *Notes from Jaruzelski's Poland [w:] Crisis and Reform in Eastern Europe*, red. F. Fehér, A. Arato, New Brunswick 1991; idem, *From Stalinism to Post-Communist Pluralism: The Case of Poland*, „New Left Review” 1991, nr 185, s. 93–121.

nych oczekiwań. Priorytety budowania socjalizmu zastąpiła naciskiem na prawo i porządek.

Podczas gdy celem stalinowskiego aparatu była polityzacja kultury, miękka, samoograniczająca się kontrrewolucja Jaruzelskiego stawiała sobie cel odwrotny. W sytuacji kiedy inteligencja ogłosiła bojkot instytucji oficjalnych, sfera publiczna stała się otwarta dla każdego, kto chciał podpisać się pod represjami – rzekomo koniecznymi dla narodowego pojednania – niezależnie od swych wcześniejszych poglądów, często uznawanych przez władze za reakcyjne.

Z tej diagnozy wynikała ostra krytyka poczyniń demokratycznej opozycji, z jej przekonaniem o totalitarnym charakterze ustroju na czele. Według Walickiego dysydenci przeceniali swój własny potencjał polityczny. Chociaż przedstawiali siebie jako pogromców totalitarnego smoka, nie zdawali sobie sprawy, że w rzeczywistości sami są wytworem systemu – wskutek po pierwsze pewnego etapu historycznego w cyklu wewnętrznej ewolucji państw typu radzieckiego, a po drugie zakorzenienia ich dogmatycznego myślenia politycznego w okolicznościach ich politycznego wychowania. Antytalitarna krucjata lat osiemdziesiątych i towarzysząca jej polityczno-moralna presja przypominała Walickiemu najgorsze czasy stalinizmu, zwłaszcza że dysydenci wojowali nie tylko przeciwko rzekomo bezradnej i zapędzonej w kozi róg władzy, ale również przeciwko tym grupom poza partią, które w imię politycznego realizmu starały się szukać

bardziej konstruktywnych rozwiązań. Dogmatyzm i zastraszanie w połączeniu z socjalistycznymi wartościami, którymi według Walickiego Solidarność była przesiąknięta, skłaniały go do wniosku, że antytalitarna opozycja jest w istocie bardziej totalitarna niż sam reżim.

Do tej konkluzji Walickiego powrócę w dalszej części szkicu. W tym miejscu wspomnę tylko, że ten wybitny historyk idei nie znalazł w pismach dysydentów żadnych kontrargumentów na przedstawioną przez siebie miażdżącą krytykę. Dlatego warto przyjrzeć się bliżej paru kwestiom. Na czym w przekonaniu dysydentów polegał totalitarny charakter oficjalnej ideologii? Czy tylko marksizm mógł spełniać totalitarną funkcję? Czy odejście od utopii oznacza odejście od totalitaryzmu? Ogólnie, czy w dyskusji o totalitaryzmie ważniejsza jest ideologia, czy forma sprawowania władzy, którą ona uzasadniała? Co sposób używania pojęcia totalitaryzmu mówi nam o poglądach niezależnych myślicieli politycznych na dynamikę ewolucji systemu?

Teoria transferu zawikłanego⁶: Jacques Rupnik

Podczas gdy Malia opierał się na przypadku ZSRR, a Walicki na przypadku polskim, Jacques Rupnik porównał przypadki Polski, Czechosłowacji, Węgier oraz do pewnego stopnia Rosji, aby stwierdzić: „Ponowne odkrycie pojęcia (i realiów) totalitaryzmu nie było

⁶ Moje rozumienie zawikłania czerpie inspirację z *histoire croisée* – podejścia metodologicznego do historii najczęściej kojarzonego z osobami Michaela Wernera i Bénédicte Zimmermann. Przyjmuje ono za punkt wyjścia założenie o refleksyjności kognitywnych operacji, które obserwatorzy i aktorzy historyczni wykonują, rzutując pojęcia na różne kulturowe, społeczne i geograficzne okoliczności. Ani owe przedmioty refleksji, ani konteksty, na które są one rzutowane, nie istnieją uprzednio w stosunku do historycznie określonych, miejscowych ram pojęciowych, będących aktywnym czynnikiem w interakcjach jednych i drugich, produkując odkształcenia, napięcia i sprzeczności. Zarówno migrujące pojęcia, jak i realia potrzebują swoich rzeczników, których kognitywne praktyki są zlokalizowane w tych samych kontekstach, które starają się opisać i ocenić. Badania Rupnika utrzymane są w duchu podejścia Wernera i Zimmermann, natomiast zarówno Walicki, jak i Malia rozumieją transfer idei w sposób bardziej statyczny. Obaj przyjmują, że totalitaryzm jest pojęciem stabilnym, składającym się z pewnej wiązki podstawowych cech, zwłaszcza tych wyróżnionych przez Brzezińskiego i Friedricha. Obaj zakładają, że skoro niezależni myśliciele zza żelaznej kurtyny posługują się tym pojęciem, to odwołują się do tej właśnie wiązki cech. Wreszcie, obaj rozumieją transfer jako relację korespondencji między pojęciem i realiami późnego socjalizmu, chociaż nie zgadzają się, czy owa relacja zachodziła (M. Werner, B. Zimmermann, *Beyond Comparison: „Histoire Croisée” and the Challenge of Reflexivity*, „History & Theory” 2006, nr 45, s. 30–50; terminu zawikłanie (*entanglement*) używam za: S. Randeria, *Entangled Histories of Uneven Modernities: Civil Society, Caste Solidarities and Legal Pluralism in Post-Colonial India* [w:] *Unraveling Ties: From Social Cohesion to New Practices of Connectedness*, red. Y. Elkana et al., Frankfurt 2002).

w żadnym wypadku powrotem do amerykańskich nauk politycznych z lat pięćdziesiątych. Była to próba zdefiniowania tego pojęcia na nowo w świetle ewolucji systemu komunistycznego i nowych metod sprawowania władzy”⁷.

Zarówno dla Walickiego, jak i dla Malii najważniejszym elementem koncepcji totalitaryzmu była ideologia, która zgodnie z klasycznymi ujęciami miała napędzać radziecki eksperyment całościowej odnowy ludzkości, utopię stworzenia nowego świata i nowego człowieka za pomocą polityki. W zależności od poglądów na charakter i funkcję ideologii oficjalnej w dobie późnego socjalizmu, odmiennie oceniali dysydenckie odczytania. Rupnik dla odmiany dość wnikliwie przekonywał, że to, co środkowoeuropejscy myśliciele uznawali za totalitarne cechy oficjalnej ideologii, różniło się od tradycyjnych ujęć. U George’a Orwella cechą szczególną ideologii totalitarnej jest jej roszczenie wobec jednostki: celem jest tutaj nie bierna akceptacja, ale czynne poparcie, które wymaga pracy nad tożsamością zgodnie z partyjnymi wytycznymi. Dla niezależnych pisarzy politycznych totalitarne właściwości propagandy miały niewiele wspólnego z Wielkim Bratem (mocą kontrolowania umysłów), a wszystko – z aparaturą zagłuszającą. Dla Václava Havla i Leszka Kołakowskiego o totalitarnym charakterze propagandy świadczyła nie zdolność do narzucania się umysłom jednostek, ale zdolność do systematycznego zniekształcania mowy publicznej, a zatem unieważnienia racjonalnej polityki jako takiej. Na gruncie moralnym propaganda nie tyle dyktowała jednostce, czym ma być, ile uniemożliwiała osiągnięcie autentyczności, stanie się tym, czym jednostka być chciała.

Odmienne ujęcie relacji między totalitaryzmem a ideologią odnosiło się również do kwestii ogólnej dynamiki systemu w jego późnym wcieleniu. W tym względzie i dla Walickiego, i dla Malii zasadnicze było pytanie, czy fakt przejawiania się tota-

litarnych właściwości z mniejszą intensywnością (chodzi zwłaszcza o terror i nacisk ideologiczny) przekładał się na nową jakość. Podczas gdy Walicki za Zbigniewem Brzezińskim postulował przejście od totalitaryzmu przez autorytaryzm do „postkomunistycznego pluralizmu”, Malia mówił raczej o cyklach wahających się między „utopią u władzy” a uwiadem. Rupnik natomiast słusznie wskazywał, że dysydenci inaczej stawiali samo pytanie. Nie chodziło o rozumowanie w kategoriach ilościowo-jakościowych, tylko o kwestię reformowalności systemu.

Formuły „posttotalitaryzmu” Havla czy „totalitaryzmu z powyłamywanymi zębami” Adama Michnika kryły odmienne przesłanki. Zakładały istnienie totalitarnego jądra, choć nie wykluczały możliwości transformacji. Dysydenci zauważali pewną systemową dynamikę państw typu radzieckiego, polegała ona jednak na przemieszczeniu raczej niż na prawdziwym zaniku poprzednich metod sprawowania władzy. Wprawdzie procesy pokazowe w dużej mierze zostały zastąpione przez kolegia do spraw wykroczeń, ale prawo nadal zawierało artykuły typowe dla stanu wyjątkowego, które w każdej chwili pozwalały na kryminalizację działań niezależnych, o partyjnym umocowaniu sędziów nie wspominając. W dziedzinie ekonomii poczyniono pewne ustępstwa na rzecz potrzeb konsumenckich, ale reformy z prawdziwego zdarzenia nigdy nie przeprowadzono. Wprawdzie robotnicy z wielkoprzemysłowych zakładów pracy (w Polsce dzięki kolejnym buntom, na Węgrzech w ramach układów korporacyjnych) zdobyli zasadnicze prawo weta co do decyzji władz, ale nie przełożyło się ono na instytucjonalizację samorządu robotniczego. Innymi słowy, dla niezależnych autorów kwestia totalitarnego jądra polegała nie tyle na braku dynamiki wewnątrzsystemowej, ile na niemożności trwałej, zinstytucjonalizowanej zmiany.

⁷ J. Rupnik, *Totalitarianism Revisited* [w:] *Civil Society and the State: New European Perspectives*, red. J. Keane, London 1988, s. 267.

2. SEMANTYKA TOTALITARYZMU

Polityka w totalitarnych okolicznościach, czyli o dysydenckiej antypolityce

Chociaż sam Rupnik nie zajmował się tą kwestią, w ostatniej części jego wywodu należy szukać odpowiedzi na ważny argument krytyków pojęcia totalitaryzmu: w jaki sposób w totalitarnym państwie możliwe jest istnienie zorganizowanej opozycji? Jeśli totalitarne jądro systemu jest nie do zreformowania, po co w ogóle angażować się w dysydencką działalność?

Pytania te należały do najważniejszych zagadnień opozycyjnej myśli politycznej. Dysydenci odnosili się do nich nie bez dozy sceptycyzmu. Pomimo koncepcji ze strony władzy, uzyskiwanych i wycofywanych w miarę sukcesów i porażek ruchu społecznego, zasadnicze instytucjonalne zręby systemu pozostawały nienaruszone, niczym strzelba na ścianie w sztuce Czechowa. Długie doświadczenie w działalności niezależnej niosło niezbite dowody na to, że każde ustępstwo i kompromis ze strony rządzących może być jedynie taktyczny i tymczasowy. Co więcej, w oczach środkowoeuropejskich pisarzy politycznych krucha stabilność państw typu radzieckiego wcale nie oscylowała między totalitaryzmem a autorytaryzmem, lecz między posttotalitaryzmem a nierządnością. Zarówno węgierska rewolucja 1956 r., jak istnienie Solidarności zaświadczały o tym, że reżim typu radzieckiego na żądania demokratyzacji i reformy wysuwane przez ruch masowy reaguje nie mechanizmami korekcyjnymi i nowym sposobem sprawowania władzy, ale totalnym paraliżem swoich struktur. Taką diagnozę przedstawiał Jacek Kuroń u progu stanu wojennego. Twierdził, że skutkiem demontażu totalitaryzmu był nie nowy sposób sprawowania władzy, ale bezwład struktur państwa. Fakt, że mimo radykalizacji związku przywódcy Solidarności, choćby w obawie

przed wkroczeniem wojsk Układu Warszawskiego, nie ośmielili się w tę pustkę władzy wkroczyć, oznaczał dla niego sedno „samoograniczającej się rewolucji”⁸, strategicznej „sytuacji bez wyjścia”, której sprzeczności nie udało się ostatecznie przezwyciężyć.

Jak więc demokratyczna opozycja uzasadniała swoje istnienie, abstrahując od niepolitycznego „dawania świadectwa”? Po pierwsze totalitarna w swojej strukturze forma władzy nie była pozbawiona wewnętrznych sprzeczności. *Nota bene*, analiza polityczna budowana wokół kategorii sprzeczności była sporym i nieuznanym długiem wobec myśli marksistowskiej, która przetrwała odrzucenie rewizjonizmu. Przekonanie o wewnętrznych sprzecznościach totalitaryzmu było kluczowym elementem dysydenckiej strategii politycznej w Polsce, jak dowodzą tego *Tezy o nadziei i beznadziejności* Leszka Kołakowskiego⁹ oraz pisma Kuronia. Należy jednak nadmienić, że postrewizjonistyczne ujęcie kategorii sprzeczności było niedeterministyczne. Inaczej niż w marksizmie, istnienie sprzeczności nie gwarantowało tego, że prędzej czy później system się zawali, a jedynie otwierało przestrzeń większej wolności, przestrzeń możliwą, której zagospodarowanie w sprzyjających okolicznościach należało do działających wspólnie obywateli.

Z tego samego powodu, po drugie, argument o nie-reformowalności systemu (o zasadniczym braku wewnętrznych mechanizmów zmiany instytucjonalnej) nie wykluczał przekonania o jego podatności na nacisk – wewnętrzny, wywierany przez zorganizowane ruchy społeczne, oraz zewnętrzny, wywierany przez państwa i instytucje międzynarodowe. Ta teza została najlepiej przedstawiona w *Nowym ewolucjonizmie* Adama Michnika¹⁰. Michnik odrzucał możliwość dokonania zmian w wyniku wewnątrzsystemowych działań doradców komunistycznego księcia. To jednak nie wykluczało negocjowanej ewolucji, jeżeli stroną kompromisu będą zorganizowane siły obywatelskie. W komunistycznym państwie to nie rządy prawa gwa-

⁸ J. Kuroń, *O sytuacji w związku i w kraju* [w:] idem, *Opozycja. Pisma polityczne 1969–1989*, Warszawa 2010.

⁹ L. Kołakowski, *Tezy o nadziei i beznadziejności*, „Kultura” (Paryż) 1971, nr 6, s. 2–21.

¹⁰ A. Michnik, *Nowy ewolucjonizm*, „Aneks” 1977, nr 13/14, s. 33–48.

rantują umowę społeczną między rządzącymi a rządzonymi; jej gwarantem może być tylko niezależny ruch społeczny.

Strategia nakreślona w *Nowym ewolucjonizmie* zdobyła szerokie uznanie środkowoeuropejskiej wspólnoty dysydentów, lecz również uważnych zachodnich obserwatorów, wchodząc do kanonu niezależnej myśli politycznej jako paradygmat antypolityki. Myśl, że zasięg działania totalitarnego państwa może zostać ograniczony przez siły społeczeństwa obywatelskiego, brzmiała obiecująco nie tylko na Wschodzie, lecz również na Zachodzie, gdzie rezonowała z niektórymi ideami rozwiniętymi przez radykalno-demokratyczną myśl polityczną spod znaku Maja '68¹¹. Jednakże w Polsce, gdzie ten paradygmat działania został sprawdzony, rezultaty były niejednoznaczne.

Ową niejednoznaczność strategii nowego ewolucjonizmu można określić jako napięcie między etyką i pragmatyką zaangażowania politycznego, między orientacją na wartości i niesprzyjającymi okolicznościami, w których podług tych wartości chce się działać. Pomimo niezaprzeczalnych różnic w szeregach zorganizowanej opozycji istniał konsensus co do wartości takich jak prawa człowieka, niepodległość narodowa i autonomia polityczna w formie praworządnej demokracji reprezentacyjnej. Różnice dotyczyły strategii wprowadzania tych wartości w życie w totalitarnym państwie. W uproszczeniu: aby skutecznie wywierać nacisk, musi istnieć punkt styczności, a na styku między ruchem społecznym i państwem trudno czasem odróżnić kompromis od zrzeczenia się nieza-

leżności, realizowanie wartości od ich zdrady, jednym słowem – umowę od kolaboracji.

Strategiczne dylematy antypolityki odnosiły się w szczególności do relacji między niezależnym ruchem obywatelskim i instytucjami komunistycznego państwa. Jedni wybierali drogę (często utożsamianą z pojęciem antypolityki *tout court*) budowania tego, co Václav Benda trafnie określił mianem „równoległej polis”¹², tzn. sieci instytucji w pełni niezależnych od państwa, tworzących przestrzeń wolności, w której wierność wartościom podstawowym mogła być dochowana bez kompromisów. Ale istniała też inna droga, w Polsce właściwa szczególnie Jackowi Kuroniowi, na której budowanie niezależnej wspólnoty było tylko pierwszym krokiem. Drugim i ważniejszym było przemycenie do instytucji życia oficjalnego zastrzyku zdrowego demokratycznego ducha.

Owe dwie formy antypolityki były zgodne w tym, co odrzucały – politykę jako domenę elit władzy i racjonalności instrumentalnej, oddzieloną od etyki i pozbawioną związku ze wspólnotą obywatelską. Ale głęboko różniły się w ocenie, czy ów rozdzwiek, nawet w totalitarnych warunkach, jest nieunikniony. Zdawałoby się, że wybór którejś z tych dwóch dróg zależy od przekonania na temat natury systemu. O ile totalitaryzm całkiem nieźle koresponduje z „równoległą polis” we wzajemnej wsobności, o tyle ta druga strategia – trzeba przyznać, że bardziej polityczna – już niekoniecznie. Dlatego właśnie myśl polityczna Jacka Kuronia, mniej znana niż pierwszy, antypolityczny wariant, była bardziej wpływowa, nadal zaś pozostaje bardziej zaskakująca¹³.

¹¹ J.L. Cohen, A. Arato, *Civil Society and Political Theory*, Cambridge (Mass.) 1992.

¹² V. Benda, *Parallel Polis* [w:] *Civic Freedom in Central Europe: Voices from Czechoslovakia*, red. H.G. Skilling, P. Wilson, London 1991.

¹³ Dysydencka antypolityka nie musi koniecznie oznaczać odrzucenia polityki jako takiej. W przypadkach Kuronia i Havla chodziło raczej o odmienne rozumienie polityczności. Nie było ono liberalne (jeśli przez to rozumieć doktrynę ograniczonego rządu i silnego podziału na publiczne i prywatne), ale – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – republikańskie w nacisku na deliberację, uczestnictwo i cnoty obywatelskie. Z tego ujęcia obywatelskości wypływała krytyka władzy arbitralnej i nieodpowiedzialnej, ale nie przekładała się ona na stwierdzenie, że każda władza jest arbitralna i nieodpowiedzialna, jeśli się jej nie poskromi. Przeciwnie, Havel i Kuroň rozumieli fenomen władzy jako współdziałanie w dążeniu do celów, których nie możemy osiągnąć własnymi siłami raczej niż zjawisko, którego główną cechą jest robienie krzywdy. Co więcej, Kuroň uważał, że tym więcej demokracji, im bardziej owa współpraca zamazuje podział na tych, którzy wyznaczają, i tych, którzy realizują wspólne cele. Według Kuronia podział ten był wspólnym mianownikiem realnie istniejących ustrojów autorytarnych i przedstawicielskich, nawet jeśli współczesne demokracje gwarantowały wolność osobistą. Jeśli chodzi o bardziej liberalne ujęcia antypolityki, to na pewno należy do nich ujęcie autora samego pojęcia; zob. G. Konrád, *Antipolitics: An Essay*, San Diego 1984.

Jedną z przesłanek, która nadawała myśleniu politycznemu Kuronia szczególnie charakter, było przekonanie, że poststalinowskie rządy komunistyczne opierają się nie na atomizacji społeczeństwa, lecz na hipertrofii fasadowych stowarzyszeń. Celem tej technologii władzy było nie tyle zniszczenie przejawów obywatelskiej samoorganizacji, ile stworzenie w jej miejsce oficjalnych, podporządkowanych sobowtórów. Dla Kuronia metaforą relacji między obywatelami a władzą w późnym socjalizmie nie był już gułag, ale osiedlowy plac zabaw, na którym administracja rysuje idealnie kwadratowe pola do gry w klasy. Opór – twierdził – bierze się z tego, że „dzieci w upaństwowione klasy nie grają”¹⁴. Jednak – dodawał – w pewnych okolicznościach dzieci muszą przezwyciężyć swoje opory, nie mają wyboru, jak tylko wejść do gry takiej, jaką ona jest.

Działanie wewnątrz oficjalnych organizacji mogło przynieść ograniczone korzyści, dopóki trwał partyjny monopol kontroli. Jednakże ponieważ konflikt między aspiracjami obywateli ku autonomii a politycznym *status quo* był na dłuższą metę nieunikniony, owa „wewnętrzna” opozycja miała sens tak długo, jak długo istniało wsparcie ze strony instytucji społecznych, takich jak Komitet Samoobrony Społecznej KOR, działających niezależnie od władz.

Paradoksalnie, według Kuronia niezależna i asertywna opozycja była najbardziej potrzebna nie w okresie liberalizacji, ale w okresie kryzysu. To przekonanie wiązało się z następnym rysem szczególnie politycznego myślenia Kuronia – był on mimowolnym rewolucjonistą. Nie był jakobinem z oficjalnej propagandy, który widzi na każdym rogu masy zdobywające Bastyle. Natomiast z przekonania o ryzyku wynikającym z niereformowalności totalitaryzmu, a zatem jego niesterowności w czasach kryzysu, wynikało, że jeśli nie stworzy się jakiegoś pomostu między organizacjami obywatelskimi a instytucjami państwowymi, system prędzej czy później runie, czyniąc inwazję wojsk radzieckich nieuniknioną.

Jeszcze przed Sierpnem, kiedy taki scenariusz, wtedy zwany potocznie finlandyzacją, pozostawał jedynie teoretyczną możliwością, Kuroń był ostro krytykowany z pozycji pierwszego antypolitycznego wariantu. Po Sierpniu należał do twórców przyjętego przez Solidarność programu *Samorządna Rzeczpospolita*, którego jednym z głównych postulatów było stworzenie autentycznego samorządu w fabrykach i na szczeblu lokalnym. Ten postulat pokrywał się z ideowymi założeniami demokratycznej lewicy po 1956 r., ale jednocześnie miał bardziej sytuacyjne uzasadnienie. Według Kuronia umożliwiał rozwiązanie sytuacji próżni władzy, a dokładnie sytuacji dwuwładzy: między państwem, sparaliżowanym, ale dysponującym monopolem przemocy, a Solidarnością, która – niezależnie od swojej genezy jako związku zawodowego – dla dziesięciu milionów członków, których demokratycznie reprezentowała, stała się źródłem władzy stanowiącej.

Po zamachu gen. Wojciecha Jaruzelskiego Kuroń, piszący z więzienia, stał na stanowisku, że Solidarność powinna w samoobronie uciec się do strajku powszechnego, aby utrzymać swoją silną pozycję wobec władz. Zwyciężyła jednak strategia „społeczeństwa podziemnego” proponowana przez ukrywających się przywódców Solidarności – Zbigniewa Bujaka, Bogdana Lisa i Władysława Frasyniuka. To oznaczało powrót do antypolityki spod znaku „równoległej polis” na skalę dotąd niespotykaną. Granice tej strategii wyznaczała współzależność państwa i społeczeństwa w sytuacji zapaści ekonomicznej. Solidarność pozostała silnym symbolem dążenia do politycznej autonomii, jednakże nawet podziemni działacze w końcu zaczęli wątpić, czy za masowym bojkotem państwowych instytucji kryje się jakkolwiek pozytywna wizja zmiany politycznej.

Aż do amnestii w 1986 r. solidarność z więźniami politycznymi była decydującą racją za utrzymywaniem podziemnej organizacji. Po amnestii głównym tematem związkowej prasy niezależnej stał się kryzys

¹⁴ J. Kuroń, *Notatki o samorządzie* [w:] *idem, Opozycja...*, s. 96.

wewnętrzny struktur podziemnych. Z kilku powodów. Po pierwsze akcje podejmowane przez podziemną Solidarność, takie jak bojkot wybór, symboliczne przejawy oporu w postaci protestów ulicznych oraz strajki o płace (równie symboliczne, ponieważ robotnicy przywódcy wiedzieli, że nie ma czego rozdzielać), przynosiły pewne poczucie moralnego zadowolenia, ale nie miały większego wpływu na zmniejszające się szanse życiowe bazy społecznej związku. Po drugie wraz z pewnego rodzaju normalizacją pojawiła się nowa, „naziemna” przestrzeń działania. Na przykład prawo o samorządach robotniczych, uchwalone przed grudniem 1981 r., ale wprowadzone po stanie wojennym w okrojonej wersji, dawało robotnikom dozę kontroli nad warunkami pracy i zarządzaniem. Po trzecie pojawiły się nowe grupy i partie polityczne, dla których Solidarność – ze względów pokoleniowych albo jako punkt odniesienia do budowania tożsamości politycznej – była zamkniętym rozdziałem historii.

Odpowiedź solidarnościowych działaczy na kryzys oscylowała między dwoma biegunami. Organizatorzy podziemia, którzy z czasem zyskali miano radykałów, argumentowali, że wyjście Solidarności z konspiracji i jej działanie w oficjalnych ramach oznaczałoby odrzucenie ciągłości z ruchem posierpniowym, a więc byłoby jednoznaczne z odrzuceniem demokratycznego mandatu powierzonego jego przywódcom przez miliony członków, poza tym reżim wkroczył w terminalną fazę i aby wygrać, wystarczy go przeczekać. Radykałowie, głośna, ale mniejszościowa grupa, w największym stopniu przypominali obraz całego ruchu kreślony przez Walickiego – w tym, że wykluczali jakąkolwiek możliwość działania wewnątrzsystemowego oraz przedkładali politykę protestu i symbolicznej delegitymizacji przeciwnika nad cząstkowe, pragmatyczne zwycięstwa.

Polityczne myślenie radykałów pokazywało rozumowanie Walickiego w krzywym zwierciadle. Walicki przedstawiał wizję władz zapędzonych w kozi róg przez opozycję, która sama była wytworem późnego socjalizmu. Radykałowie na swój sposób również

łączyli przekonanie o rozkładzie reżimu z założeniem o jego wszechmocy: każdy fakt polityczny, który nie kończył się nagłym krachem systemu, był uznawany za prowokację, spisek władz mający na celu przechytrzenie przeciwnika. Był to jeden z powodów, dla których zdominowana przez radykałów część podziemia nie przyłączyła się do strajków latem 1988 r., mających przesądzić o rozpoczęciu okrągłostołowych negocjacji. W czasie przygotowań do czerwcowych wyborów do sejmu radykałowie znaleźli się w obozie przeciwników negocjowanej rewolucji.

Na biegunie przeciwnym do taktyki radykałów były tezy przedstawione przez Kuronia w artykule *Krajobraz po bitwie*¹⁵ z 1987 r. i poparte przez władze Regionu Mazowsze NSZZ Solidarność. Sprowadzały się one do stwierdzenia, że ruch społeczny, aby przetrwać, musi nie tylko wyrażać wartości, ale też walczyć o interesy swoich członków, a kapitał zaufania zbudowany na chlubnej przeszłości niechybnie topnieje. Mimo iż system znajduje się w schyłkowym okresie, nie ma żadnych powodów, by wierzyć, że jego krach jest bliski. Jednocześnie władze nie są w stanie przeprowadzić reform bez poparcia ze strony sił niezależnych, co otwiera przestrzeń dla polityki faktów dokonanych.

Ostatecznie historia nie dowiodła słuszności żadnego z wariantów antypolityki. Partia postanowiła nie walczyć do upadłego, zdecydowała się usiąść do stołu negocjacji. Strategia faktów dokonanych, mimo legalizacji związku, ostatecznie nie doprowadziła do odrodzenia się ruchu społecznego w jego masowej i łączącej przeciwstawne politycznie żywioły formule sprzed grudnia 1981 r. *Annus mirabilis* 1989 krył w sobie niespodzianki dla wszystkich.

Umysłowe zniewolenie i totalitarna pokusa

Chociaż kwestia totalitaryzmu dotyczyła przede wszystkim formy sprawowania władzy oraz charakteru i zasięgu niezależnego działania politycznego możliwego w totalitarnych warunkach, semantyka

¹⁵ J. Kuroń, *Krajobraz po bitwie* [w:] *idem, Opozycja...*, s. 350–357.

pojęcia była znacznie szersza, obejmowała dwa odmienne pola: umysłowego zniewolenia rządzonych oraz totalitarnej pokusy będącej udziałem samych dysydentów.

Rupnik jedynie mimochodem odniósł się do *Homo Sovieticus*, głośnego eseju Aleksandra Zinowiewa z 1982 r.¹⁶ Tytuł określał to, co Zinowiew uważał za rzeczywisty skutek radzieckiego eksperymentu stworzenia „nowego człowieka”. Ten realny człowiek sowiecki był żywą drwiną z komunistycznej ambicji: pozbawiony elementarnej etyki pracy i poczucia indywidualnej odpowiedzialności, traktujący wspólną własność jako ziemię niczyją, pasywny i posłuszny. Rupnik zakładał, że skoro rosyjscy dysydenci w odróżnieniu od ich środkowoeuropejskich odpowiedników mówili przede wszystkim o *homo sovieticus*, a nie o niezależnym społeczeństwie, kulturze i ekonomii, musiało to być odzwierciedleniem specyficznie radzieckich realiów¹⁷. Chociaż w dużym stopniu była to słuszna uwaga, te dwa sposoby mówienia o społeczeństwie późnego socjalizmu wcale się nie wykluczały. Wystarczy pamiętać, że również w Europie Środkowej proces obywatelskiej emancypacji nie przebiegał liniowo i kumulacyjnie, ale był drogą pełną wybojów, ślepych uliczek i mylnych znaków. Dlatego

również środkowoeuropejscy pisarze polityczni zapuszczali się w domenę Zinowiewa.

Tym samym wątki niezależnej myśli politycznej, które postanowiłem zebrać razem pod zbiorczą nazwą umysłowego zniewolenia¹⁸, powinny być rozważane w kategoriach nie odmiennej opinii, ale raczej mrocznego rewersu innego kluczowego pojęcia ze słownika dysydentów – społeczeństwa obywatelskiego. Była to odpowiedź na pytanie, dlaczego ludzie nie buntują się przeciwko reżimowi, nawet jeśli już go nie popierają. Dysydencka tożsamość polityczna została zbudowana w opozycji nie tylko do systemu, ale również obywatelskiej bierności, umysłowe zniewolenie zaś pozostawało dla niej zasadniczo negatywnym punktem odniesienia.

Wątek umysłowego zniewolenia pojawia się na przecięciu różnych opozycyjnych diagnoz dotyczących wpływu komunizmu na moralność, pamięć zbiorową i kulturę polityczną, z różnym rozłożeniem akcentów, w zależności od autora. Najczęstsze, ale też najbardziej banalne ujęcia problemu dotyczyły moralności i zazwyczaj mówiły o związku między socjalistycznym wychowaniem politycznym a brakiem przywiązania do zasadniczych wartości, takich jak prawda, wolność i godność¹⁹. Ponadto dysydenci

¹⁶ A. Zinowiew, *Homo Sovieticus*, Boston 1982.

¹⁷ J. Rupnik, *Totalitarianism Revisited...*, s. 274.

¹⁸ Z oczywistych względów wątki, które łączą się w tym terminie, tylko częściowo pokrywają się ze znaczeniem nadanym mu przez Czesława Miłosza w *Zniewolonym umyśle* (1953). Esej, opublikowany wkrótce po śmierci Stalina, udzielał odpowiedzi na pytanie, dlaczego inteligencja poparła Nową Wiarę. Miłosz mówił w tym kontekście o „heglowskim ukąszeniu”, utożsamieniu się z działalnością komunistycznego państwa jako wcieleniem logiki historii oraz o „ketmanie”, skromniejszej formie podporządkowania, która łączyła w sobie wewnętrzną niezgodę i zewnętrzne przejawy lojalności. W czasach schyłkowego socjalizmu termin heglowskie ukąszenie zasadniczo stracił na znaczeniu, gdyż nikt rozsądny nie mógł sądzić, że państwa typu radzieckiego pozostają wcieleniem logiki historii, a marksizm-leninizm może stanowić komentarz do jej obiektywnego biegu. Natomiast niezależnych myślicieli nadal absorbował problem ketmana – konformizmu i hipokryzji na użytek publiczny.

¹⁹ Pierwszy numer „Krytyki” (1978), jednego z najważniejszych pism niezależnych okresu PRL, wydawanego przez członków opozycji demokratycznej skupionej wokół KOR, zawierał oprócz wspomnień o Marcu i listu Havla do Gustava Husaka artykuł Sołżenicyna z 1974 r. o „wyształciuchach”. Neologizm ten (ros. *obrazowanszczyna*, tłumaczony w „Krytyce” jako „inteligentstwo”, gdzie indziej również jako „wyształceniec”) miał osobliwą karierę. Początkowo odnosił się do nowej, ukształtowanej przez socjalizm inteligencji, pozbawionej etosu i moralnego kręgosłupa inteligencji starej, sprzed wojny. Oczywiście, niepokorna inteligencja PRL uważała się za spadkobiercę tej drugiej. W 2006 r. termin przeżył spektakularny *comeback*, przywołany przez Ludwika Dorna (niegdyś działacza KOR, podówczas ważnej osobistości rządzącej partii Prawo i Sprawiedliwość), który posłużył się nim do określenia postkomunistycznej klasy średniej popierającej Platformę Obywatelską. Adam Michnik, który (jako pierwszy redaktor „Krytyki”) był odpowiedzialny za znalezienie się tego terminu w polskim obiegu, w 2006 r. uznał go za wyraz antyinteligentckiej, populistycznej fobii. Stawką w tej wymianie nieuprzejmości był rodowód klasy średniej i przetrwanie starych nawyków w nowych czasach.

byli zafrasowani spustoszeniami późnego socjalizmu w dziedzinie kultury politycznej. Odnosili się krytycznie zwłaszcza do tzw. niepisanej umowy społecznej, w myśl której władza obiecywała nieco wolności od ryzyka i dobrobyt w zamian za zrzeczenie się wolności obywatelskich. Jednak w przypadku Polski przedsierniowej problem umysłowego zniewolenia dotyczył nie tylko politycznej bierności, ale również anomijnych przejawów antykomunistycznego buntu, takiego, który jest wyrazem gniewu i zbiorowej demoralizacji raczej niż dążenia do ustanowienia nowego porządku przez obywateli, buntu przeciwko normom, ale nie w imię nowych norm²⁰. Wreszcie, wątek umysłowego zniewolenia łączono z problemem pamięci i amnezji, czego najlepszym przykładem była tocząca się w czechosłowackich kręgach opozycyjnych (a ostatecznie także w sferze oficjalnej) debata o dekretych Benesa: wysiedlenie i przejęcie własności Niemców Sudeckich miało być według niektórych dysydentów aktem zbiorowej winy, który czynił naród współnikiem komunistycznych zbrodni i przesądzał o późniejszym pogodzeniu się z reżimem²¹.

Jest znaczące, że badacze, którzy zwrócili uwagę na ten wątek dysydenckiej krytyki społecznej, pracowali w ramach teoretycznych zaproponowanych przez Michela Foucaulta. Agnes Horváth i Árpád Szakolczai widzieli podobieństwo między węgierskimi dysydentami, zwłaszcza o komunistycznej genealogii, a totalitarną władzą w tym, że ci pierwsi, kiedy znaleźli się na marginesie życia publicznego, postawili sobie za

cel polityzację sfery życia codziennego (nie dysponując wszakże aparatem biopolitycznym pozostającym do dyspozycji ich przeciwników)²². Tym tłumaczyli brak sukcesów postdysydenckiej polityki po 1989 r. Jeśli pozostali na marginesie, to dlatego, że zwykli ludzie mieli dość dyskursów dyscyplinarnych, niezależnie od kogo pochodzili.

Podobnie w przypadku czechosłowackim – Gil Eyal argumentował, że stawiając moralne wymagania zwykłemu obywatelowi i widząc pole walki w każdym indywidualnym sumieniu, dysydenci aspirowali do władzy pastoralnej, a więc pewnego rodzaju kapitału politycznego, który bierze się z rozróżnienia na przewodników i wiernych, na tych, którzy osiągnęli już duchową emancypację i tych, którzy nadal pozostają w trybach władzy²³. Jednak niezależni myśliciele w krytyce społecznych efektów późnego socjalizmu byli surowi nie tylko dla społeczeństwa, ale również dla siebie.

Trzecie pole semantyczne obecne w dysydenckich koncepcjach totalitaryzmu odnosiło się właśnie do „totalitarnej pokusy” obecnej w umysłach tych, którzy przez swoją niezgodę na *status quo* znaleźli się na marginesie życia społecznego. Był to namysł nad tym, jak sytuacja politycznej i społecznej marginalizacji zabarwia polityczne myślenie i praktykę. Nic dziwnego, że ci, którzy budowali swoją polityczną tożsamość na sprzeciwie wobec komunizmu, mieli obsesję, aby nie upodobnić się do wroga. I ów samozwrotny namysł nad totalitaryzmem stanowił swojego rodza-

²⁰ W tym sensie można było pozostawać w stanie zniewolenia (niewolnictwa) nie tylko w posłuszeństwie, ale również w momentach ślepego i bezmyślnego wyładowywania gniewu. Przeciwnie – być wolnym obywatelem, takim jakim chcieli być dysydenci, to myśleć politycznie, bez emocji, działać w sposób odpowiedzialny i nie tracić kontaktu z rzeczywistością.

²¹ Podobnie węgierska opozycja widziała w milczeniu o rewolucji 1956 r. jedną z podstaw kadaryzmu. Gulaszowy komunizm, uważali, opierał się na politycznej amnezji, w której społeczeństwo oddało swoje prawa obywatelskie za obietnicę przyzwoitego poziomu życia.

²² A. Horváth, A. Szakolczai, *The Dissolution of Communist Power: The Case of Hungary*, London 1992. Pojęcie biopolityki u Foucaulta odnosi się do właściwego dobie nowoczesności sposobu sprawowania władzy, który nie jest tradycyjną domeną prawa oraz przymusu, ale domeną masowego nadzoru nad populacją (np. poprzez kontrolę narodzeń albo nadzwyczajne środki związane z zagrożeniem terrorystycznym) oraz dyskursów dyscyplinarnych kształtujących myśli i zachowania jednostek, ich zdolność do samokontroli zgodnie z racjami władzy. W skrajnych ujęciach, takich jak te wyżej wymienione, ten drugi wątek refleksji Foucaulta zostaje rozciągnięty na każde rozumowanie w kategoriach moralnych zobowiązań, ujmowane jako pretensja do dyscyplinarnej władzy, niezależnie od kontekstu historycznego, w którym rzekomi pretendenci do biowładzy nie dysponują stosownymi instytucjami nadzoru (M. Foucault, *Narodziny biopolityki. Wykłady z Collège de France 1978/1979*, Warszawa 2011).

²³ G. Eyal, *The Origins of Postcommunist Elites: From Prague Spring to the Breakup of Czechoslovakia*, Minneapolis 2003.

ju przeciwwagę dla krytyki „umysłowego zniewolenia”, relatywizował ją, przypominając, że każda forma politycznie motywowanej pogardy koniec końców jest belką w oku ciskającego nienawistne spojrzenia.

To dotyczyło zwłaszcza byłych rewizjonistów, ale również innych niezależnych intelektualistów identyfikujących się z szeroko pojętą niekomunistyczną tradycją lewicy. Pytanie o to, co poszło źle z socjalizmem i dlaczego tak niewielu polityków i przedstawicieli postępowej inteligencji stawiało opór przejęciu władzy przez komunistów, zadawano nierzadko. Jednocześnie lewicowi dysydenci w swojej refleksji wykraczali poza zwyczajową odpowiedź, wskazującą na ideowe związki między socjaldemokratyczną i komunistyczną lewicą i siłę marksizmu jako ideologii z polityczno-mesjanistyczną obietnicą. Gdyby totalitarna pokusa brała się z wyznawania politycznej religii, dysydenci, którzy podzielali zdanie Leszka Kołakowskiego o nieodwracalnym rozkładzie marksizmu, nie mieliby się czego obawiać. A jednak było inaczej.

Dysydenci nie czuli się odporni na wirusa totalitaryzmu właśnie dlatego, że poza ideologią istniał również problem społeczno-politycznych okoliczności, które zabarwiają wyobraźnię polityczną we właściwy sobie sposób. To polityczna i społeczna marginalizacja czyniła niepokornych podatnymi na totalitarne ukąszenie. Konspiracje, uważali, degenerują się w sekty. Ludzie podziemni łączą dyscyplinę i ślepą lojalność wobec towarzyszy z całkowicie instrumentalnym stosunkiem do reszty społeczeństwa. Innymi słowy, w leninizmie zły był nie marksizm, ale „partia nowego typu”. Konspiracja tworzyła groźny stan rozdźwięku między konspiratorem i zwykłym człowiekiem, zarówno jeśli chodzi o poczucie politycznej sprawczości i obywatelskich zobowiązań, jak i warunki życia codziennego. Z owego rozdźwięku brała się właśnie pogarda dla niewolniczej egzystencji z jej przyziemnymi troskami i tysiącem kompromisów, która torowała drogę do pedagogicznej tyranii bojowników o wolność.

Jednakże refleksja nad pokusą totalitarną zawierała nie tylko przestrogi, ale również strategie zaradcze. Pierwszą była sama formuła ruchu dysydenckiego – działanie jawne, z szeroką bazą, oparte na demokratycznych i deliberacyjnych zasadach podejmowania decyzji. Taka formuła, wcielona w KSS KOR oraz (na swój sposób) w posierpniowej Solidarności, oparta była na założeniu, że powodzenie wspólnoty politycznej zależy od ducha jej początków, a niepodległość nie będzie demokratyczna, jeśli fundamenty kultury politycznej nie zostaną położone wcześniej, w okresie podporządkowania.

Po drugie szczepionką było krytyczne podejście do wszelkich ideologii. Nie odnosiło się ono jedynie do tradycji lewicowych, ale również do innych nurtów politycznych, z których lewicowa opozycja przyswoiła pewne elementy, ale odrzuciła inne. Paradygmatycznym przypadkiem jest *Kościół, lewica, dialog*, ale w tym kontekście warto również przypomnieć zainteresowanie wywołane książką związanej z „komandosami” Barbary Toruńczyk o wczesnym etapie Narodowej Demokracji, do którego autorka odnosiła się dość przychylnie, widząc w nim – między wersami – przykład strategii podobnej do korowskiej²⁴. Jednocześnie, ponieważ ideologia międzywojennej prawicy często uchodziła za najbardziej konsekwentne przeciwieństwo marksizmu, lewicowi dysydenci obawiali się, że naiwny powrót do kategorii takich jak egoizm narodowy może być niebezpieczne. Stąd brały się polemiki z prawicowymi opozycjonistami, którzy uznawali te apele za wybieg w celu odwrócenia uwagi od niechlubnej genealogii opozycjonistów lewicowych, którym zarzucano rezydujący komunizm i oskarżano o chwiejność w stosunku do władzy. Dla pisarzy prawicowych dowodem na pozostałości komunistycznego myślenia było owo krytyczne podejście właśnie, które uważali za „tastykę salami” w dziedzinie tradycji politycznych, polegającą na odróżnianiu na prawicy tradycji postępowych i reakcyjnych. Dysydencka lewica zazwyczaj odpierała te zarzuty, upierając się, że totalitarny potencjał nie leży w poglądach, które

²⁴ *Narodowa Demokracja. Antologia myśli politycznej „Przeglądu Wszechpolskiego” 1895–1905*, wstęp i oprac. B. Toruńczyk, Londyn 1983.

się ma, tylko w sposobie, w jaki się je przedstawia; rzeczywistym problemem jest dogmatyczny i naiwny stosunek do własnych poglądów.

Kontrapunkt: wzmianka o totalitaryzmie u nowych realistów

Powyższa analiza byłaby niekompletna, gdyby nie uwzględniła poglądów środowiska stojącego w dużej mierze na antypodach wobec solidarnościowych przywódców opinii. Walickiego krytyka totalitaryzmu w dysydenckiej retoryce była czymś więcej niż akademickim ujęciem tematu. Wyrażała poglądy istotnej części opozycyjnej opinii publicznej, które Walicki popierał z właściwej sobie pozycji zaangażowanego obserwatora. Chodzi o tzw. nowych realistów²⁵, nigdy nie sformalizowaną grupę opozycyjnych publicystów, którzy w latach osiemdziesiątych postanowili wybić się na niezależność w stosunku do głównego nurtu reprezentowanego przez Solidarność. Alternatywą dla głównego nurtu była strategia, którą Mirosław Dzielski nazywał „konstruktywnym antykomunizmem”²⁶, łączącym intelektualną niezależność z kompromisowym nastawieniem do władz, strategia walki „nie przeciwko państwu, ale o państwo” (Jacek Bartyzel)²⁷. Pod tym względem nowi realiści identyfikowali się nie tylko z wcześniejszym neopozytywistycznym nurtem opozycji wewnątrzsystemowej uosabianym przez grupę Znak, lecz również z konserwatywnymi tradycjami galicyjskich stańczyków.

Nowy realizm miał jeden rys charakterystyczny. Zazwyczaj realistyczny styl argumentacji odwołuje się do doświadczenia i zasady rzeczywistości, a nie do idei. W warunkach schyłkowego socjalizmu natomiast to raczej opozycja związana z Solidarnością na poparcie swojej polityki wskazywała na długie doświadczenie nieudanych prób zawarcia umowy

społecznej z władzami. Nowi realiści z kolei woleli przedstawiać swoje argumenty na gruncie teorii politycznej – zimnowojennego liberalizmu spod znaku Friedricha Hayeka.

Dotyczy to zwłaszcza rozróżnienia, które było kluczowe dla politycznego języka nowych realistów i przesądzało o ich politycznej tożsamości. Było to zainspirowane Hayekiem rozróżnienie między liberalizmem a demokracją, stosowane do warunków Polski Jaruzelskiego: tak jak liberalizm może istnieć bez demokracji, można również sobie wyobrazić nieliberalną demokrację. Ten pierwszy wariant był dla nowych realistów znacznie atrakcyjniejszy. Nieliberalna demokracja wyradza się w totalitaryzm *tout court*, jeśli nie jest po prostu jego odmianą. Dlatego konstruktywny antykomunizm powinien zmierzać do liberalizacji monopartyjnego państwa, a nie do jego demokratyzacji; powinien starać się o zmniejszenie jego zasięgu oddziaływania i powiększenie przestrzeni wolności negatywnej, zwłaszcza w gospodarce, zamiast walczyć o udział we władzy.

Tłumacząc związek między nieliberalną demokracją a totalitaryzmem, polscy zimnowojenni liberałowie powoływali się nierzadko na inne kluczowe pojęcie ze słownika politycznego Hayeka – konstruktywizm²⁸, oznaczający wiarę w pierwszeństwo polityki zbudowane na przekonaniu o tym, że ludzie są w stanie racjonalnie zapanować nad swoim losem i działając wspólnie, stworzyć taki ład społeczny, który połączy aspiracje do wolności i sprawiedliwości społecznej, pogodzi dążenia do autonomii indywidualnej i zbiorowej. Tej wierze Hayek przeciwstawiał przekonanie o istnieniu jakoby naturalnego stanu rzeczy, w ramach którego wolność oparta jest o zasady własności prywatnej, wolnego rynku i ograniczonego rządu, czyli takiego ładu społecznego, który – mimo

²⁵ Zob. J. Skórzyński, *Rewolucja Okrągłego Stołu*, Kraków 2009; R. Matyja, *Konserwatyzm po komunizmie*, Warszawa 2009; A. Smolar, *Tabu i niewinność*, Kraków 2010.

²⁶ M. Dzielski, *Potrzeba twórczego antykomunizmu* [w:] idem, *Odrodzenie ducha – budowa wolności. Pisma zebrane*, Kraków 1995.

²⁷ J. Bartyzel, *Uznać państwo?*, „Polska” 1987, nr 9, s. 37–40.

²⁸ M. Dzielski, *Odrodzenie ducha...*, s. 95.

nieuniknionych nierówności – przynajmniej jest wolny od ideologicznie motywowanych eksperymentów na jednostkach, przeprowadzanych w imię utopijnych scenariuszy.

Nowi realiści, stosując Hayeka do lokalnych realiów, dopatrywali się podobieństw między konstruktywizmem stalinizmu w jego szczytowej formie a konstruktywizmem Solidarności. Solidarność według Bronisława Łagowskiego reprezentowała „filozofię rewolucji” (bez ograniczeń), która chciała raczej równego udziału we władzy niż rządu ograniczonego i negatywnej wolności. Ową filozofię – a zwłaszcza uosabiającą totalitarne zagrożenie ideą samorządności w ramach „demokratycznego socjalizmu” – Solidarność przejęła od swoich doradców, wywodzących się z elit starego reżimu – twierdził Łagowski²⁹.

Nikt nie wyraził lepiej związku między Solidarnością a totalitaryzmem w tej optyce niż sam Walicki: „»Solidarność« widzieć trzeba jako socjalistyczny ruch mas, ruch dążący do partycypacji we władzy lub do przejęcia władzy, ale nie do prawnego ograniczenia zakresu władzy w imię wolności jednostki; ruch dążący nie tyle do separacji ekonomiki od polityki, lecz raczej do demokratyzacji politycznej kontroli nad ekonomiką. Jest to więc ruch demokratyczny, ale nie ruch liberalny, ruch walczący z autorytarnym, biurokratycznym kolektywizmem nie w imię wartości indywidualistycznych, lecz w imię demokratycznego kolektywizmu mas. Chce on podzielić, zdecentralizować władzę polityczną, ale nie jest dostatecznie świadomy potrzeby ograniczenia zakresu wszelkiej władzy politycznej, łącznie z władzą demokratyczną. W tym szczególnym sensie możemy powiedzieć, że myślenie polityczne przywódców »Solidarności« (nie mówiąc już o szeregowych uczestnikach ruchu) skażone zostało przez ducha socjalistycznego totalitaryzmu – mimo werbalnych potępień wszelkich odmian władzy totalitarnej”³⁰.

Teza o totalitarnym charakterze Solidarności była oparta na trzech założeniach. Po pierwsze była to ty-

powa dla zimnowojennego liberalizmu retoryka równi pochyłej, która zamazywała przestrzeń możliwości między wolnym rynkiem i rządami prawa (w ramach demokracji lub nie) a socjalistycznym totalitaryzmem, a zatem kwalifikowała każdą nieliberalną myśl polityczną jako wyraz tego drugiego. Po drugie argumentacja nowych realistów brała w nawias wielokrotne deklaracje przywódców solidarnościowego podziemia o wyższości gospodarki rynkowej i powszechności praw człowieka, wskazując na domniemany poziom zbiorowej podświadomości szeregowych członków, z której to perspektywy związek jawił się jako populistyczny, kolektywistyczny i egalitarny. Ten tajemniczy stan ducha – po trzecie – opisywano, nie zważając na kontekst społeczno-ekonomiczny oraz wypaczając skądinąd znane autorom i otwarcie głoszone założenia programowe związku.

Należy bowiem podkreślić, że strategia polityczna Solidarności była uzasadniana sytuacyjnie, tzn. przez wskazanie na niemal całkowitą zapaść ekonomiczną, która wymagała nadzwyczajnych środków, natomiast nie przekładała się automatycznie na wymiar ideowy, a zwłaszcza na postulowane relacje między domeną polityki a domeną gospodarki w normalnych warunkach. Nawet w latach 1980–1981 nie było żadnych złudzeń co do tego, że reforma ekonomiczna musi przynieść drastyczny wzrost społecznego cierpienia, a idea samorządowa nie znajdowała wielu zwolenników wśród szeregowych członków ruchu, którym zależało bardziej na obronie swoich interesów niż na współzrządzeniu. W tym sensie samorząd nie był demokratycznym substytutem reformy, ale instrumentem kontroli efektywnego wprowadzenia jej w życie; nie aspiracją, ale koniecznością.

Podobnie z niezgody na nierówne rozłożenie ciężarów reformy nie wynika, że związek postępował według zasady „każdemu wobec potrzeb”, lecz raczej innej: *no taxation without representation*. Nie był to wyraz ogólnej awersji do merytokracji, ale trzeźwa reakcja na długie doświadczenie trwonienia zasobów

²⁹ B. Łagowski, *Filozofia rewolucji czy filozofia państwa* [w:] *idem, Co jest lepsze od prawdy*, Kraków 1986, s. 169–170.

³⁰ A. Walicki, *Myśli o sytuacji...*, s. 103.

w gospodarce planowej. Nowi realiści, którzy krytykowali solidarnościowych publicystów za tworzenie opinii, jakoby Polska lat osiemdziesiątych była reżimem stalinowskim, sami trwali w przeświadczeniu, że pojęcia takie jak merytokracja, relacje własności albo redystrybucja dochodów mają jednakowe znaczenie i w świecie kwitnącej gospodarki rynkowej, i gospodarki planowej w fazie zapaści.

Nowi realiści, dla których samorząd był ucieleśnieniem zgubnego prymatu polityki nad gospodarką, wierzyli, że władze będą w stanie skanalizować narodową energię potrzebną do wyjścia z kryzysu, jeśli tylko da im się szansę. Byłoby to w jej najlepiej pojętym interesie, gdyby elita władzy – już postkomunistyczna pod względem przekonań ideologicznych, ale nadal niechętna demokracji masowej – ograniczyła swoje ekonomiczne wszechwładztwo w imię utrzymania hegemonii politycznej, tworząc przestrzeń wolności negatywnej, zwłaszcza w dziedzinie relacji własności i działalności gospodarczej.

Nie mieli oni natomiast dobrej odpowiedzi na pytanie, dlaczego im właśnie miało się udać tam, gdzie nie udało się tylu doradcom komunistycznego księcia. Nowy realizm wprowadził tym się różnił od starego, że nie postulował już demokratyzacji socjalistycznej gospodarki, ale jej liberalizację. Natomiast w tym był podobny do swoich poprzedników, że czynnika sprawczego reformy upatrywał w posunięciach liberalnej (i przedsiębiorczej) frakcji elity władzy. Co więcej, realiści nie udzielali odpowiedzi na pytanie, dlaczego nowa klasa średnia socjalistycznych przedsiębiorców, kiedy już powstała, miałyby się zrzec demokracji, a nie upomnieć się o nią tak jak niegdyś historyczna klasa mieszczańska. Wreszcie z punktu widzenia robotniczej bazy związku strategia nowych realistów, bijąca w egalitaryzm mas i hołubiąca przyszłe socjalistyczne klasy posiadające, była niczym więcej niż uzasadnieniem dla nieograniczonego wyzysku w czasie teraźniejszym (kiedy to państwo było największym pracodawcą i zarządcą w jednym), bez najmniejszych gwarancji, że owoce wyzysku byłyby zarządzane lepiej niż w przeszłości.

Te wszystkie dylematy skłaniały zapewne nowych realistów ku przekonaniu, że oświecona dyktatura była nie tylko czymś koniecznym, ale również pożądanym. Koniecznym dlatego, że walka o rynek i demokrację bez żadnych stadiów pośrednich byłaby nierealistyczna. Ale autorytarna faza przejściowa była również pożądana, aby dać czas dyktatorskiej władzy na ujarzmienie mas i stworzenie kapitalistycznej klasy średniej. Według przewidywań Dzielskiego demokracja polityczna stałaby się możliwa dopiero po trzydziestu latach wolności gospodarczej i oddziaływania chrześcijańskiej etyki pracy pod pedagogiczną dyktaturą.

Przeniesienie pojęcia totalitaryzmu z Zachodu na grunt środkowoeuropejski i użytek, jaki czynili z niego niezależni pisarze polityczni, ani nie świadczy o jego uniwersalnej stosowalności, ani nie pozwala na stwierdzenie, że był to jedynie konstrukt zimnowojennej propagandy. Pojęcie totalitaryzmu, które uzyskało swoją rozwiniętą i kanoniczną formę najpierw na Zachodzie, ale następnie zdomowało się w językach politycznych na wschód od żelaznej kurtyny, nie było ani zwierciadłem, ani maską natury systemu. Niewątpliwie natomiast myśl polityczna opozycji demokratycznej była myśleniem posttotalitarnym w tym sensie, że to pojęcie stanowiło jedną z najważniejszych idei regulatywnych, która służyła do określenia granic możliwości w polityce. W przypadku dysydentów posttotalitarne myślenie polityczne cechowało się Gramscianskim „pesymizmem intelektu i optymizmem woli”. Oscylowało między poczuciem otwartości procesu politycznego i przekonaniem do obywatelskiego upodmiotowienia a sceptycyzmem warunkowanym doświadczeniem o niemożności jakiegokolwiek trwałej zmiany. Na płaszczyźnie politycznej pragmatyki wahało się między okopywaniem się w instytucjach niezależnych a zakusami w stronę sfery oficjalnej, aby wnieść życie w jej skostniałe struktury.

W jej najbardziej antypolitycznych momentach dysydencka strategia miała na celu wznoszenie murów do obrony przed państwem, ale również oznaczała nieumiejętność przejęcia inicjatywy w sprzyjających okolicznościach. Ale w innych momentach celem

było przerzucanie mostów, łączenie instytucji państwowych i obywatelskich, ze świadomością ryzyka, że na tych mostach ruch będzie odbywał się w obie strony. Jednakże poczucie granic możliwości w dysydenckim myśleniu o polityce wyznaczało rozumienie dwóch innych pól totalitaryzmu: na poziomie tego, co społeczne brało ono pod uwagę skutki oddziaływania socjalistycznego państwa na moralność publiczną, kulturę polityczną i pamięć zbiorową; na poziomie autoanalizy zakładało czujność, by nie ulec pokusom antykomunistycznego radykalizmu. Taką samą funkcję totalitaryzm pełnił w pisarstwie politycznym nowych realistów – pomimo krańcowej odmienności treści. W tym przypadku chodziło bardziej o totalitaryzm mas i konstruktywizm solidarnościowych przywódców opinii, co z kolei przekładało się na sceptycyzm co do możliwości, a nawet stosowności dążenia do politycznej demokracji w krótkim okresie.

3. TOTALITARYZM: POSTHISTORIA

Kairos przejścia

Kariera pojęcia totalitaryzmu nie kończy się wraz z upadkiem systemu, który miało opisywać. Przeciwnie, jego posthistoria w okresie transformacji jest tak samo ciekawa jak debaty okresu schyłkowego socjalizmu. Przez długi czas opisywanie transformacyjnych debat należało do domeny tranzytologii, dziedziny nauk społecznych, która oferowała schronienie so-wietologom i badaczom krajów rozwijających się Ameryki Łacińskiej. Tranzytologia opisywała powstające

na zgłiszczach socjalizmu demokracje i rynki w kategoriach wymiernych modeli szerokich społecznych procesów i podług ustalonych scenariuszy modernizacji, w których mało było miejsca na specyfikę historyczną (choć przecież Portugalia, Chile i Węgry wychodziły ze swoich dyktatur w cokolwiek odmiennych okolicznościach).

Zadaniem historyka idei jest podnieść kwestię specyfiki historycznej postkomunistycznych transformacji. Istnieje wiele sposobów, aby to pytanie postawić. W tym szkicu sugeruję, aby zacząć od tego, co najbardziej ogólne, od formy czasowości zawartej w okresie przejścia od transformacyjnego *kairos*³¹. Podczas gdy w czasach „zwyczajnej polityki” przeszłość, teraźniejszość i przyszłość mają swoje ustalone znaczenie, czasowość transformacji warto rozumieć w odniesieniu do pojęcia „widmowej ontologii” (hauntologii) ukutego przez Jacques’a Derridę na marginesie przemyśleń nad *Manifestem komunistycznym*. Widmowość, proponuje Derrida, burzy rozróżnienie między obecnością i nieobecnością, między daną rzeczywistością a jej brakiem, między czasem żywych i czasem umarłych, którzy nad żywymi nie mają już władzy. W moim przekonaniu transformacja 1989 r. należała do tych historycznych momentów, kiedy zadaniem niemożliwym staje się odróżnienie „ducha nadchodzącego czasu od powrotu widma”³². Transformacyjna czasowość jest mieszanką nadziei i entuzjazmu z powodu odzyskania wolności oraz trwogi, że nad wysiłkiem zmierzającym ku europejskiej przyszłości ciąży totalitarna przeszłość. Inaczej niż dla tranzytologów, dla postsolidarno-

³¹ Terminów *kairos* oraz czasowość używam dla oznaczenia politycznego i historycznego wymiaru społecznego poczucia czasu. *Kairos* jest pojęciem z klasycznej retoryki, które oznacza umiejętność wykorzystania nadarzających się okoliczności w praktyce oratorskiej. W odróżnieniu od *chronos*, upływu czasu po prostu, oznacza wycucie czasu, odnosi się do przestrzeni możliwości otwartych w danej chwili. Socjolog Pierre Bourdieu używa tego pojęcia do opisu tego aspektu strategii społecznych, który odnosi się do odmiennego – zależnie od nabytych dyspozycji – rozumienia tego, co stosowne i możliwe w danej interakcji przez przedstawicieli różnych klas społecznych. W kontekście nauk historycznych Reinhart Koselleck używa bardziej ogólnego pojęcia czasowości, zwracając uwagę na fakt, że badanie historii pojęć musi uwzględniać nie tylko kontekst społeczny, polityczny czy językowy, ale też „przestrzeń doświadczenia” i „horyzont możliwości” właściwy danemu momentowi historycznemu (R. Koselleck, *On the Semantics of Historical Time*, New York 2004).

³² J. Derrida, *Spectres of Marx*, „New Left Review” 1994, nr 205, s. 5. Czytelnicy Derridy zapewne się zorientują, że posługuję się jego pojęciami w sposób odbiegający od intencji autora.

ściowej elity politycznej w tym procesie nie było nic oczywistego – chociaż (i właśnie dlatego, że) „powrót do Europy” był celem niekwestionowanym, kwestia totalitarnej przeszłości stała się zasadniczym problemem politycznym. Wydawało się, że powodzenie transformacji – oraz odpowiedzialność za jej sukces lub porażkę – zależy od stawienia czoła temu wyzwaniu.

Z tego powodu zasadniczą stawką pola politycznego wyłaniającego się po 1989 r. było – jak to ujął Tadeusz Mazowiecki – odkreślenie przeszłości grubą linią. Na przekór intencjom pierwszego niekomunistycznego premiera (chodziło po prostu o odmowę przyjęcia odpowiedzialności za negatywny bilans PRL) „gruba kreska” – wezwanie do pojednania dla jednych, do amnezji dla innych – zaczęła być własnym życiem. Otóż odkreślać przeszłość grubą kreską to jednocześnie podkreślać jej niechcianą obecność. Ale też umieszczać niektóre ze współobecných spraw i zjawisk po stronie niedawnej przeszłości, która teraz stała się stroną wykluczoną, z góry przegraną. Innymi słowy, podział posttotalitarny jest zarazem podziałem politycznym, a poznawczo-polityczny wysiłek tworzenia demarkacji nie może obyć się bez prób jej podważania.

W dużym stopniu spór o podział posttotalitarny był uwarunkowany istniejącymi rozumieniami totalitaryzmu, natomiast w okolicznościach transformacji wcześniejsza semantyka została poddana nowym zabiegom interpretacyjnym, które przyniosły niezamierzone konsekwencje. Postkomunistyczna polityka pamięci od dawna przyciąga uwagę zarówno badaczy, jak i opinii publicznej. Niestety, ta uwaga skupiała się głównie na systemie władzy, jej aparacie represji i jej elitach, wyznaczając jako główne wątki lustrację, dekomunizację i prywatyzację nomenklatury. Różnicowanie kwestii dotyczących umysłowego zniewolenia i totalitarnej pokusy pozostaje co najwyżej szczątkowe. Poniżej staram się zastanowić nad ich posthistorią, ich znaczeniem dla kształtowania postkomunistycznej kultury politycznej w ogóle, a dla rozpadu obozu solidarnościowego w szczególności.

Transformacja i wojna na górze

Dla Bronisława Geremka, architekta porozumień Okrągłego Stołu, przejściowy charakter polskich realiów polegał przede wszystkim na zestawie paradoksów życia politycznego i społecznego. Ten sam komunistyczny generał, który zdecydował się rozgromić Solidarność w grudniu 1981 r., w 1989 r. został wybrany na prezydenta PRL głosami solidarnościowych postów. Państwo znalazło się w pół drogi – między niepodległością i demokracją polityczną a ramami kompromisu politycznego, który radykalnie odmiennych okolicznościach nadal pozostawał w mocy. W ramach tego układu część sejmu prawnomocnie wyrażała – po raz pierwszy od ponad pół wieku – wolę narodu, podczas gdy druga część była obsadzona przez władze reżimu, który tymczasem przestał istnieć. Dlatego według Geremka transformacja powinna być rozumiana nie tyle jako moment gwałtownego zerwania z monopartyjnym panowaniem i gospodarką planową, ile jako specyficzny okres przejściowy, w którym kontury pluralistycznego i demokratycznego ładu społecznego dopiero zaczynają się kształtować.

W dodatku wątki instytucje okresu przejściowego musiały zmagać się z trzema typami zagrożeń. Po pierwsze istniało zagrożenie populizmem karmionym „egalitarnymi iluzjami” typowymi dla postkomunistycznej mentalności, która mogła stać się łatwym celem politycznych demagogów. Po drugie Geremek mówił o deficycie „demokratycznego stylu myślenia”, który połączony ze słabością instytucji niósł ze sobą zagrożenie ciągłymi autorytarnymi. Po trzecie podczas gdy „pod rządami komunistycznymi najprostszą formą oporu społeczeństwa było odwołanie się do poczucia narodowego”, w obliczu wielkiej społecznej transformacji owo poczucie mogło się wyrodzić w szowinistyczny nacjonalizm. Geremek uważał, że te trzy zagrożenia „nie przekreślają ani nie pomniejszają szans, jakie stają przed społeczeństwami środkowoeuropejskimi w okresie przejściowym. Uzasadniają natomiast stopniowość przemian i wspierają pewną filozofię działania, która powiada, że między

systemem autorytarnym a demokracją niezbędny jest okres przejściowy”³³.

Główne wątki rozumowania Geremka pojawiają się w publicznych wypowiedziach innych ważnych osobistości obozu popierającego ścieżkę transformacji wytyczoną przez Mazowieckiego³⁴. Wszystkie dość klarownie oddają ducha czasu transformacji, tak jak rozumieli go jej twórcy. Jednakże rzadko kiedy zdarza się, że wydarzenia podobnej doniosłości odpowiadają jakiegokolwiek filozofii działania i Polska transformacja nie była tutaj wyjątkiem.

W naszej wyobraźni historycznej założycielskie momenty demokracji przedstawiane są jako chwalebny akt, w którym polityczny suweren, lud, wkracza na dziejową scenę, aby wyrazić swoją wolę zbiorową. Później założycielski akt przekształca się w zbiorowy mit, budujący symboliczną jedność. W przypadku polskiej transformacji nic podobnego się nie stało (nad czym m.in. Geremek z czasem zaczął ubolewać)³⁵. Negocjowana zmiana systemu władzy nie miała w sobie nic spektakularnego: prędko miejscami działania politycznego przestały być ulice, fabryki i kościoły, a zaczęły być korytarze ministerstw i rządowe wille. Co ważniejsze, bezsporny przełom wyznaczony przez wybory z czerwca 1989 r. oraz powołanie pierwszego niekomunistycznego rządu został wkrótce przyćmiony przez gwałtowny rozpad obozu solidarnościowego.

Na bardzo podstawowym poziomie to, co z czasem nazwano wojną na górze, sprowadzało się do konfliktu między dwoma znaczącymi ołtami wewnątrz sił opozycji, konfliktu o kształt wyłaniającego się pola politycznego. Natomiast na głębszym poziomie wojna na górze była momentem kluczowym dla wyznaczenia treści i formy sporów wewnątrz współczesnej polskiej kultury politycznej. Jak postaram się pokazać, warto ten konflikt rozumieć jako spór o znaczenie podziału posttotalitarnego. Z tej perspektywy dla zrozumienia

posthistorii totalitaryzmu wojna na górze wydaje się szczególnie ciekawym laboratorium.

Droga, której nie wybrano

Przestrzeń niepewności, którą otworzyły przemiany 1989 r., była równocześnie przestrzenią politycznej możliwości. W tym początkowym momencie obawa, że z wysiłkiem stawiane fundamenty demokracji załamają się pod ciężarem swojej przeszłości, graniczyła z politycznym entuzjazmem, z Arendtiańską w duchu radością rozpoczynania na nowo. Chociaż to obawy okazały się mieć ostatnie słowo, warto przypomnieć sobie, że istniała droga, której nie wybrano.

Większość dysydentów z kręgu KOR oraz przywódców Solidarności popierała Obywatelski Klub Parlamentarny. Początkowo dominująca w OKP wizja polityczna przemian została chyba najlepiej wyrażona przez Adama Michnika, który proponował, by uczynić z Solidarności forpocztę przemian. Według Michnika Solidarność była „specyficzną polską syntezą orientacji dawniej konkurencyjnych; [...] ruchem wyrosłym organicznie z polskiej gleby i polskiej walki z systemem totalitarnym. Na zespół zasad »Solidarności« składa się etyka chrześcijańska i nie skrywana łączność z wartościami Kościoła katolickiego; tradycja narodowa walki o wolność, niepodległość i tolerancję; uparta walka o sprawiedliwość społeczną i wyzwolenie świata pracy, o prawdę w świecie politycznych konfliktów i racjonalność w świecie ekonomicznych decyzji. Twierdzę, że »Solidarność« nie jest ani prawicowa, ani lewicowa, ani socjaldemokratyczna, ani chadecka. »Solidarność« jest ruchem nowym, nieemożliwym do zrozumienia i opisu w języku politycznych pojęć II Rzeczypospolitej”.

Ten wizerunek, w dużej mierze zbieżny z tożsamością członków i przywódców ruchu, nie był niczym nowym. Nowy był natomiast rys, jaki transformacyjny

³³ B. Geremek, *Polski układ nadziei*, „Tygodnik Powszechny”, 17 VI 1990. Większość przytoczonych poniżej źródeł prasowych można znaleźć w niezwykle przydatnym zbiorze *Spór o Polskę 1989–99. Wybór tekstów prasowych*, red. P. Śpiewak, Warszawa 2000.

³⁴ Zob. A. Michnik, *Trzy fundamentalizmy*, „Krytyka” 1991, nr 36.

³⁵ B. Geremek, *Historyk w świecie polityki*, „Gazeta Wyborcza”, 9–10 I 1993.

kairos odcisnął na tym wizerunku. Michnik nadaje szczególną wagę właściwemu zrozumieniu historycznych okoliczności. „Przypuszczam, że nie da się również zrekonstruować świata politycznych podziałów sprzed roku. Weszliśmy w czas kształtowania się podziałów nowego typu, właściwych epoce post-totalitarnej ewolucji. Idea demokratyczna zderzać się będzie teraz z tęsknotą za autokracją; idea europejska z nacjonalistycznym zaściankiem, społeczeństwo otwarte ze społeczeństwem zamkniętym. Dlatego twierdzę, że taki ruch jak »Solidarność« potrzebny jest Polsce”³⁶.

Duch (widmo) czasów wyraża się tutaj nie w efektownych dychotomiach samych w sobie, lecz w sposobie używania przeciwstawnych pojęć. Wystarczy zdać sobie sprawę, że idea społeczeństwa otwartego Karla Poppera nie może być czymś takim jak „synteza orientacji wcześniej konkurencyjnych”. U Poppera społeczeństwo otwarte określa pewną minimalną zgodę co do formy demokratycznej wspólnoty, zostawiając kwestię treści grze różnych punktów widzenia. Idea ta zakłada wewnętrzne podziały i wielość tożsamości politycznych reprezentujących odmienne wizje porządku społecznego, ale zgadzających się co do tego, że żaden z punktów widzenia nie jest uprzywilejowany. Michnik natomiast przypisuje uniwersalny punkt widzenia jednemu określone aktorowi, Solidarności, a tym samym przekształca ideę regulatywną dotyczącą zewnętrznych granic polityki w podział wewnętrzny, jako że „społeczeństwo zamknięte” (czyli totalitaryzm w języku Poppera) jest *implicite* przypisane przeciwnikowi. Ponadto w rozumowaniu Michnika istnieje napięcie między niecodziennym charakterem historycznych okoliczności (a zatem koniecznością przemyślenia na nowo podziałów politycznych) a ciągłością z latami osiemdziesiątymi, kiedy program solidarnościowej opozycji był powszechnie akceptowany przez społeczeństwo, które naprzeciw siebie miało powszechnie odrzucałą władzę. Otóż w toku przemian 1989 r. wspólnota

programu oraz przeciwnika stała się nie do utrzymania.

Pomimo początkowych prób wymyślenia Solidarności na nowo „synteza orientacji wcześniej konkurencyjnych” nigdy nie doszła do skutku. Częściowo wynikało to z napięcia między programowym roszczeniem do powszechnego uznania a poszczególnością aktora politycznego, który ową powszechność miał spajać. Ale były też być może poważniejsze powody. Solidarność wyszła z podziemia jako zupełnie inny ruch. Wiele pisano o tym, że związek był dużo słabszy oraz bardziej podzielony w porównaniu z czasami posierpniowymi, kiedy o jedności przesądzał wspólny horyzont wyobrażeń społecznych, osadzony w symbolach narodowych i religijnych, a także również charzmatyczne przywództwo. Ale większy nacisk należy położyć na aspekt instytucjonalny.

W latach 1980–1981 historyczna wyjątkowość Solidarności zasadzała się m.in. na jej deliberatywnych i partycypacyjnych instytucjach. Chociaż rdzeniem ruchu był związek zawodowy wielkoprzemysłowych robotników, tworzył on parasol ochronny, pod którym od początku zaczęły pączkować różne organizacje społeczne, think-thanki i platformy polityczne różnych orientacji, od trockistów po „prawdziwych Polaków”. Metodą prób i błędów Solidarności udało się skanalizować tę wielość interesów, żądań i idei w działającą strukturę demokratycznego podejmowania decyzji, której wielkim osiągnięciem był I Krajowy Zjazd Delegatów oraz uchwalony tam program – *Samorządna Rzeczpospolita*. Niezależnie od szczegółowych treści program był realizacją obietnicy o społecznym upodmiotowieniu, gdzie polityka instytucjonalna jest zakorzeniona w społeczeństwie obywatelskim, gdzie programy polityczne nie są narzucane w toku kampanii wyborczej, ale wypracowywane oddolnie. Przede wszystkim dzięki demokratycznemu mandatowi pochodzącemu od dziesięciu milionów członków, a tylko wtórnie ze względu na wspomniane wyżej symboliczne przejawy jedności, Solidarność stała się

³⁶ Oba cytaty z: A. Michnik, *Związek zawodowy już nie wystarczy*, „Gazeta Wyborcza”, 6 X 1989. Zob. też E. Skalski, *Bieda-partie*, „Gazeta Wyborcza”, 7 IV 1990; M. Kozłowski, *Rzeczpospolita Bezpartyjna?*, „Tygodnik Powszechny”, 18 III 1990.

wcieleniem władzy stanowiącej w państwie rządowym przez monopartię.

Po 1989 r. Solidarność nie odrodziła się w tej formie. W tym sensie solidarnościowi radykałowie słusznie kładli nacisk na legalizm, świadomi zagrożenia, jakie niosło ze sobą zaniedbanie instytucjonalnej i programowej ciągłości na rzecz bardziej amorficznej formuły „społeczeństwa niezależnego”. Jednakże ani przed 1989 r., ani potem radykałowie nie mieli odpowiedzi, jak ową ciągłość utrzymać. Nie mieli jej również przywódcy transformacji. Jedynym zwornikiem między przedstawicielstwem parlamentarnym, lokalnymi komitetami obywatelskimi i odradzającymi się komórkami zakładowymi związku był Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ Solidarność. Był jednak zupełnie inną instytucją niż Komisja Krajowa z 1981 r. Dawne władze Solidarności składały się z delegatów obdarzonych mandatem z regionu, a później również mandatem ze zjazdu, pod przywództwem przewodniczącego i z zapleczem eksperckim. Komitet Obywatelski natomiast składał się z osób obdarzonych społecznym autorytetem, ale dobranych w drodze kooptacji, pod egidą Wałęsy. Działał bez sformalizowanych reguł, a jego prawomocność pochodziła z samorządnego uznania owych autorytetów. Powód był prosty: członkowie KO nigdy nie spodziewali się dojść tam, gdzie doszli. W końcu było to po prostu ciało doradcze, które niespodziewanie znalazło się w centrum władzy. Ze względu na instytucjonalną słabość oraz deficyt prawomocności KO stał się pierwszym polem bitwy i zarazem pierwszą ofiarą wojny na górze. Bo tam, gdzie nie ma zasad, nie jest łatwo rozwiązywać konflikty roszczeń. Tam gdzie prawomocność zasadza się na indywidualnym autorytecie, walka polityczna przybiera formę argumentów *ad personam*. Tak właśnie wielorakie *body politic* Solidarności znalazło się bez głowy.

Na tym jednak nie koniec. Istniała również sprzeczność między monetarystycznym sposobem myślenia właściwym terapii szokowej Leszka Balcerowicza

a wyobrażeniami o roli obywateli w wyjściu z kryzysu, obowiązującymi jeszcze podczas czerwcowych wyborów. Monetaryzm operuje kategoriami makroekonomicznymi, a więc nie ma wiele do powiedzenia na temat społecznej i politycznej dynamiki społeczeństwa obywatelskiego. Monetaryści przedstawiali ideę samorządu z nutą pobłażliwości jako miękką, podobną do tzw. trzeciej drogi wersję doktryny prymatu polityki nad ekonomią. Pod tym względem David Ost ma rację, że podczas gdy rewolucja 1989 r. odbywała się pod solidarnościowymi sztandarami, zwycięstwo rewolucji było jednocześnie klęską Solidarności jako projektu inkluzyjnej i uczestniczącej demokracji³⁷. Problem w tym, że w miejsce odrzuconego programu samorządu nie powstał żaden pomysł na to, jak zaangażować obywateli i wytworzyć zaufanie do procesu przemian.

Plan Balcerowicza miał na celu budowę kapitalizmu bez kapitalistów narzędziami makroekonomii. W robotnikach widział raczej załążki przyszłej kapitalistycznej klasy średniej, a nie rzeczywiście istniejących ludzi z przynależnymi potrzebami i prawem do dobrobytu. Ten absolutny brak wyczulenia na mikroekonomiczne utrapienia przeciętnego obywatela pchnął Solidarność w stronę tego, czym ostatecznie się stała, tzn. w stronę tradycyjnego ruchu związkowego z rewindykacyjną postawą w sporach z pracodawcą. A ponieważ największym pojedynczym pracodawcą nadal pozostawało państwo, teraz rządzone przez weteranów opozycji, sytuacja nie mogła skończyć się dobrze.

Następna sprzeczność istniała między ogólnym rozumieniem transformacji jako „powrotu do Europy” a Solidarnością jako formacją polityczną (potencjalnie) nowego typu. Architekci transformacji stanęli przed skazanym na porażkę zadaniem jednoczesnej obrony reformy jako projektu o europejskiej orientacji i stanowiska, że Solidarność – jako szeroka platforma polityczna, reprezentująca różne polityczne orientacje i posiadająca swoje związkowe i obywatelskie

³⁷ D. Ost, *Klęska „Solidarności”: gniew i polityka w postkomunistycznej Europie*, Warszawa 2005. Jednakże jak staram się pokazać, sprawa jest bardziej skomplikowana niż zwykła „zdrada klerków”.

skrzydła – powinna pozostać forpocztą przemian. Ta sprzeczność była ze szczególnym powodzeniem atakowana przez liderów wyłaniających się partii, którzy wszyscy zgodnie twierdzili, że to partie są kamieniem węgielnym europejskich ustrojów politycznych, a pomysł na Solidarność przypomina Indie albo Meksyk, jeśli nie jest po prostu pomysłem na nową monopartię³⁸.

Trudno określić moment, w którym postdysydencka elita polityczna zaczęła widzieć w Solidarności raczej obciążenie niż nadzieję. Ale wystarczy stwierdzić, że ten sam pisarz polityczny, który w 1989 r. bronił Solidarności jako „syntezy orientacji dawniej konkurencyjnych”, w 1991 r. zaczął opisywać ją w kategoriach „rewolty tłumu”, antykomunistycznego buntu niewolników, którego główną cechą był populizm. Solidarnościowy język polityki – wyrokował Adam Michnik, do niedawna uważany za twarz Solidarności – był irracjonalny, ponieważ opierał się na dychotomii my – oni, a nie na racjonalnej analizie interesów politycznych i społecznych, a także dlatego, że był to antykomunistyczny bunt w imię sprawiedliwości społecznej, a więc wartości, która przez dekady uzasadniała komunistyczne rządy. Na ową rewoltę tłumu racjonalny dyskurs dysydenckiej elity, dyskurs prawno-demokratycznych procedur, nie wywarł żadnego wpływu cywilizującego. Przeciwnie, to elity odkryły zalety posługiwania się „językiem tłumu”³⁹.

Bezsilni u władzy

Po odrzuceniu solidarnościowej utopii obywatelskiego upodmiotowienia na placu boju pozostał jedynie dziwny język polityczny „bezsilnych u władzy”. Był to język antypolitycznego samozaprzeczenia, polegającego na tym, że ludzie sprawujący władzę sprawiają

wrażenie, jak gdyby tylko zarządzali samorzutnie rozwijającym się procesem, którego zasadnicze parametry zostały gdzie indziej i dawno już wyznaczone. Uzasadnieniem takiego stylu rządzenia była obrona tego samorzutnego procesu przed łaknącymi władzy fanatykami.

Najlepszym określeniem politycznego języka „bezsilnych u władzy” jest ukuty przez Judith Shklar termin „liberalizm strachu”⁴⁰. Z całą mocą należy natomiast podkreślić, że to podobieństwo świadczy raczej o głębokiej przemianie języka „siły bezsilnych”, nie jest zaś jego ostateczną konsekwencją. Wielką zasługą *Liberalizmu po komunizmie* Jerzego Szackiego⁴¹ było dowiedzenie, że nawet jeśli rewolucje 1989 r. można nazwać zwycięstwem liberalizmu, to na pewno nie w tym sensie, że liberalne były siły polityczne, które wywalczyły wolność. Jak widzieliśmy, nowi realiści, którzy jako jedyni świadomie podnosili sztandar liberalizmu w latach osiemdziesiątych, budowali swoją polityczną tożsamość na krytyce Solidarności i przedsięwziętej opozycji. A w przypadku tych ostatnich, jak zauważał Szacki, można mówić co najwyżej o „protoliberalizmie”, co swoją drogą jest terminem dość mylącym (choć zrozumiałym w kontekście nobilitacji liberalizmu w tamtych czasach) przez wzgląd na teleologiczny ładunek, jaki zawiera. Niemniej jeśli można mówić o liberalnych elementach w opozycyjnej myśli politycznej przed 1989 r., należałyby one nie do liberalizmu strachu, ale do dwóch pozostałych wariantów tej doktryny, o których Shklar wspomina w swoim eseju. Byłby to liberalizm praw Johna Locke’a oraz liberalizm samorealizacji Johna Stuarta Milla. Dla żadnego z powyższych wariantów doktryny liberalnej obrona przed okrucieństwem i fundamentalizmem silnych przekonań religijnych, etycznych czy politycznych nie była kwestią kluczową. Kluczowa była normatyw-

³⁸ Zob. zwłaszcza M. Drozdek, *Michnika projekt monopartii*, „Ład”, 29 X 1989.

³⁹ A. Michnik, *Związek zawodowy...*

⁴⁰ J. Shklar, *Liberalism of Fear* [w:] *Political Liberalism: Variations on a Theme*, red. S. Young, Albany 2004, s. 147–167.

⁴¹ J. Szacki, *Liberalizm po komunizmie*, Kraków 1994.

na wizja dobrego społeczeństwa. Liberalizm strachu – przeciwnie, świadomie odrzuca wszelkie normatywne roszczenia do ważności, uzasadniając swoją wartość w odwołaniu do historycznie uniwersalnej emocji – strachu, a zwłaszcza strachu przed okrucieństwem zadawanym przez państwo⁴².

Shklar (za Waldo Emersonem) określiła liberalizm strachu jako „partię pamięci raczej niż partię nadziei”⁴³, pamięci, która jest nieodmiennie pamięcią czasów złych. Język polityczny „bezsilnych u władzy” był napędzany strachem przed totalitarną przeszłością, który opierał się na wcześniejszych interpretacjach totalitaryzmu. Te jednak w nowych okolicznościach spłotyły się w nowe formy dyskursywne, które przyniosły nieoczekiwane rezultaty.

Prawdziwy triumf zimnowojennych liberałów spod znaku nowego realizmu nie polegał jedynie na tym, że mimo reprezentowania pozornie niewielkiego odłamu opozycyjnej opinii udało im się nadać ton debacie publicznej i zająć strategiczne pozycje w gremiach wyznaczających zasadniczy kierunek reform. Chodziło również o to, że udało im się przekonać ważne osobistości popierające solidarnościowy rząd do swojego poglądu na socjalistyczny charakter ruchu. Co prawda w ramach sojuszu nowi realiści musieli się rzec pomysłu na pedagogiczną dyktaturę, gdyż w perspektywie liberalizmu strachu wolność osobista i demokracja polityczna są niepodzielne, ta druga przeciwdziała bowiem koncentracji władzy, co stanowi zagrożenie dla tej pierwszej.

Z kolei postdysydencka elita polityczna całymi garściami czerpała z polskiego wydania zimnowojennego liberalizmu, jeśli chodzi o wątek posttotalitarnej mentalności. Jak pamiętamy, przed 1989 r. niezależni pisarze polityczni rzucali gromy na umysłowe zniewolenie społeczeństwa, starając się obudzić obywatela

w biernym poddanym PRL. Ten wątek był odpowiedzią na pytanie, dlaczego ludzie nie chcą dochodzić swoich praw. Otóż po 1989 r. obiektem krytyki stała się nie obywatelska bierność, ale przeciwnie – rosnąca fala społecznego oburzenia na nierówne rozłożenie ciężarów w procesie kapitalistycznej przebudowy gospodarki. A nowi realiści mieli najbardziej spójną odpowiedź na owe roszczenia.

Zwrot Adama Michnika od „syntezy orientacji dawniej konkurencyjnych” do „rewolty tłumu” jest tylko jednym z przykładów tego pogrobowego zwyczajstwa. Ale warto wspomnieć również o przypadku ks. Józefa Tischnera, kapelana Solidarności z czasów I Krajowego Zjazdu Delegatów oraz autora *Etyki solidarności* (1981), jednego z najważniejszych ujęć solidarnościowego etosu. Po 1989 r. Tischner stał się autorem równie wpływowej narracji o transformacji, której wątkiem przewodnim był *homo sovieticus*⁴⁴. Przed wymyśloną przez Zinowiewa postacią otwierał się pierwszy rozdział życia pogrobowego.

Mówiąc o *homo sovieticus*, Tischner miał na myśli pozostałości totalitarnej przeszłości utrzymujące się w ludzkich umysłach i odruchach. Komunizm bowiem według Tischnera nie był jedynie typem ustroju politycznego. Z katolickiego punktu widzenia był zjawiskiem z dziedziny duchowości, konkurencyjną wizją człowieka i społeczeństwa. Chociaż komunizm jako ustrój upadł, mentalność *homo sovieticus* pozostała. Komunistyczny poddany miał przed sobą jeszcze długą drogę do osiągnięcia duchowej przemiany.

Komunizm, twierdził Tischner, był „społeczeństwem monologicznym”, opartym na przekonaniu, że istnieje jeden punkt widzenia – władzy, z którego prawda o społeczeństwie może zostać uchwycona w całości, podczas gdy poszczególni podwładni są tylko „nosicielami poszczególnych złudzeń”. Z kolei

⁴² Aczkolwiek pewien ładunek normatywny zawierało hasło „powrotu do Europy”, była to wizja odwołująca się do eksperckiego języka i tradycyjnej przynależności do Zachodu, a więc owe podstawy normatywne były dość wątkie w porównaniu z poprzednimi utopiami praw człowieka i upodmiotowienia społeczeństwa.

⁴³ J. Shklar, *Liberalism...*, s. 154–155.

⁴⁴ J. Tischner, *Dokąd prowadzi ta droga?*, „Tygodnik Powszechny”, 19 XI 1989; *idem*, *Homo sovieticus. Między Wawelem a Jasną Górą*, „Tygodnik Powszechny”, 24 VI 1990.

w „społeczeństwie dialogicznym”, do którego aspiruje postkomunizm, każdy obywatel jest nośnikiem prawdy, a uprzywilejowane punkty widzenia nie istnieją. W społeczeństwie monologicznym prawda spływa z góry jak deszcz. Dialogiczne społeczeństwo jest oparte na zasadzie równego rozkładu prawdy i złudzenia, a do prawdy ostatecznie dochodzi się własnymi siłami. W przejściu od społeczeństwa monologicznego do dialogicznego poddany komunizmowi, żeby stać się obywatelem, musi odrzucić nie tylko potrzebę, aby ci na górze wyręczyli tych na dole w odpowiedzi na pytanie, jak rzeczy się mają, ale w ogóle jakiejkolwiek żądanie, aby ci pierwsi utożsamiali się z potrzebami tych drugich.

Dla Tischnera objawem umysłowego zniewolenia była nie tylko potrzeba silnej ręki, ale jakiejkolwiek roszczenia równościowe zakładające interwencję państwa. Co więcej, między potrzebą sprawiedliwości społecznej i potrzebą silnej ręki Tischner stawiał znak tożsamości. *Homo sovieticus* był „człowiekiem uspołecznionym”. To uspołecznienie według Tischnera polegało nie tylko na zrzeczeniu się prawa do posiadania siebie (osobistej i obywatelskiej autonomii). Człowiek sowiecki wierzył również, że jego najgorszym wrogiem jest instytucja prywatnej własności. Komunizm, oddzielając pracę w celu zaspokojenia potrzeb od instytucji własności prywatnej, wprowadził na to miejsce nawyk „socjalistycznego konsumpcjonizmu”, czyli czerpania przyjemności z używania dóbr, które należą do kogoś innego.

Z tego powodu posttotalitarna metamorfoza nie będzie mogła się dokonać dopóty, dopóki do byłego poddanego komunizmowi nie dotrze, że prawo własności jest fundamentem społeczeństwa obywatelskiego, pomnażanie kapitału jest jedynym kryterium produktywności pracy, a alternatywą dla wyzysku jest stracone życie. Z tego rozumowania wynikało z kolei, że protest przeciwko wyzyskowi pracy, niewypłaconym wynagrodzeniom, przeciwko skutkom inflacji dla warunków życia oraz innym patologiom przejścia do gospodarki rynkowej powinien być odczytywany jako objaw posttotalitarnej mentalności tych, którzy w duchu nadal pozostali poddanymi komu-

nizmowi i jako tacy nie zasługiwali na włączenie we wspólnotę dialogu. Tak jak u Michnika, budowanie inkluzyjnej wspólnoty politycznej jest tutaj poprzedzone założycielskim aktem wykluczenia na podstawie kryteriów moralnych i psychologicznych, a nie politycznych.

Podczas gdy semantyczną zmianę umysłowego zniewolenia w języku „bezsilnych u władzy” należałoby rozumieć jako zwycięstwo nowego realizmu, w przypadku totalitarnej pokusy zmiana polegała raczej na przesunięciu znaczenia niż na zapożyczeniu. Jak pamiętamy, umysłowe zniewolenie i totalitarna pokusa tworzyły pojęciową parę, jedno stanowiło przeciwwagę drugiego. Pogarda dla zniewolonych umysłów była uważana za niebezpieczny objaw etycznego fundamentalizmu właściwego dysydencyjnej kondycji społecznej i politycznej marginalizacji. W myśl tego rozumowania budowanie politycznych tożsamości na rozróżnieniu na niezłomną elitę i zniewolone masy prowadziło do błędnego koła antytotalitarnej negacji i totalitarnego powtórzenia. Otóż w języku „bezsilnych u władzy” znaczenie totalitarnej pokusy zostało odczytane na nowo przez pryzmat żądania sprawiedliwości czasu przejściowego. Co prawda język „siły bezsilnych” był zbudowany na odrzuceniu przemocy i nienawiści do przeciwnika, ale jednak mieścił w sobie pojęcie politycznej odpowiedzialności, tak długo jak egzekwowanie jej przybierało formy państwa prawa, a nie linczu. W czasie transformacji natomiast w jakimkolwiek apelu o dekomunizację i lustrację widziano podżeganie do politycznego fanatyzmu i przeniesienia polityki na ulicę. Po części w tym również można widzieć pomniejszą wygraną nowych realistów, że funkcjonariusze dawnego reżimu zaczęli być postrzegani jako przewidywalni i rozsądni politycy, „ludzie honoru”, którzy dążyli do tych samych celów co opozycjoniści, chociaż z innej strony barykady i używając mniej szlachetnych środków. Prawdziwą twarz pokazali wprawdzie dopiero po przegranych wyborach, ale w przekonaniu wielu byłych dysydentów „historyczny kompromis” uzasadniał rzutowanie tego wizerunku w przeszłość.

Jednakże wizja etycznego fundamentalizmu zwracającego się przeciwko pokonanym miała również głębsze źródła. Realia transformacji podważały filozofię działania rozwiniętą w czasach schyłkowej PRL. Scenariusz radzenia sobie z totalitarnymi pokusami za pomocą budowania fundamentów demokratycznej kultury politycznej jeszcze w czasach zniewolenia miał jeden istotny warunek – czas. Za Jaruzelskiego siła była po stronie generała, ale czas był po stronie „bezsilnych”. Również pod tym względem upadek komunizmu był zaskoczeniem dla wszystkich.

W tych okolicznościach, które również były okolicznościami ostrego politycznego sporu, samoograniczająca równowaga między wątkami umysłowego zniewolenia i totalitarnej pokusy została zerwana, zyskując przeciwną, samonapędzającą się dynamikę. W przejściu od „siły bezsilnych” do „bezsilnych u władzy” postdysydencka elita straciła zarówno dystans do swojego własnego osądu, jak i wyrozumiałość dla postaw kojarzonych z figurą *homo sovieticus*. Ponadto w żądaniach sprawiedliwości społecznej i domaganiu się politycznej odpowiedzialności dawnego reżimu zaczęto widzieć dwie strony tej samej posttotalitarnej monety. W tym pierwszym widziano – jak u Tischnera – zawołowaną potrzebę rządów silnej ręki, w tym drugim szturmowanie Bastylii, które musi prowadzić do budowania nowych.

Innym remedium na totalitarną pokusę było krytyczne podejście do wszelkich ideologii. Jak widzieliśmy, dysydenci byli w tym podejściu raczej ekumeniczni, w tym sensie, że krytycznie przyglądali się wszelkim polskim tradycjom politycznym, czerpiąc z pewnych aspektów, a odrzucając inne, chociaż szczególnie niepokój budziło w nich idealizowanie „najbardziej konsekwentnego przeciwieństwa komunizmu” – ideologii międzywojennej prawicy. Chociaż w czasie transformacji ten ekumenizm pozostawał częścią wizerunku, który chcieli budować (stąd „synteza orientacji dawniej konkurencyjnych”), w praktyce przeważał strach przed widmem nacjonalizmu.

Według tezy Adama Michnika „konający totalitaryzm pozostawia w spadku agresywny nacjonalizm i plemienną nienawiść”. Michnik zauważał, że humanistyczne i europejskie ideały społeczeństwa obywatelskiego i praw człowieka nie były jedyną platformą walki z komunistyczną hegemonią. Była nią również idea katolickiego państwa narodu polskiego, doktryna nacjonalistyczna rodem z międzywojennej prawicy. Nacjonalizm, tak jak dwa inne fundamentalizmy – religijny fanatyzm i etyczny fundamentalizm antykomunistycznego podziemia – stanowiły według Michnika o nieumiejętności krytycznej oceny polskiej świadomości historycznej. „Bez takiej refleksji skazani będziemy na idealizację własnej przeszłości, na świadomość historyczną obciążoną mitologią, a nie trzeźwym osądem i na pewną bezbronność wobec tego, co można nazwać rewanżem pamięci – pamięci przez lata całe zepchniętej w podświadomość”⁴⁵. Jak długo Polacy nie będą wstanie przezwyciężyć przeszłości, podejmując się trzeźwej oceny swojego politycznego dziedzictwa, tak długo będą narażeni na jej zgubne oddziaływanie. Zatem, jak sugeruje Michnik, teraźniejszości zagraża nie tyle bezpośrednia schedą po komunizmie, ile zatrute dziedzictwo, zakorzenione głębiej w pokładach pamięci zbiorowej.

Strach przed widmem nacjonalizmu spowodował prawdopodobnie najbardziej doniosłe przekształcenie całego języka totalitaryzmu. Przed 1989 r., mimo całej złożoności tego języka, zagrożeniem konkretnym i namacalnym pozostawał komunistyczny reżim, natomiast widmo krwawej rewolucji, chociaż niepokojące, było jedynie mglistą możliwością. Po upadku komunizmu natomiast owe dyskursywne role się odwróciły. Coraz częściej obawy przed posttotalitarnym zagrożeniem dysydenci kierowali w stronę katolicko-narodowej i antykomunistycznej prawicy, jak gdyby istota komunistycznego totalitaryzmu była poza nim samym, w reakcjach, jakie powodował, nie zaś w okrucieństwie jego funkcjonariuszy. Była to swojego rodzaju teoria totalitaryzmu jako zamrażarki,

⁴⁵ A. Michnik, *Związek zawodowy...*

w myśl której najgorsze w komunizmie było to, że nadawał on polityczną wiarygodność najgorszym odmianom nacjonalizmu, fundamentalizmu religijnego i robotniczego populizmu, jeśli tylko niosły antykomunistyczny sztandar⁴⁶. Podczas gdy – jak utrzymywali dysydenci – na Zachodzie owe patologie zostały dawno przepracowane, na Wschodzie autorytarna mentalność poddanych komunizmu przeżyła jego upadek w tej zamrożonej formie. Ponadto poszerzenie pola semantycznego totalitaryzmu o wątki związane z krytyką świadomości historycznej i rewanżem pamięci czyniło możliwym włączenie w jego orbitę ideologii politycznych, które historycznie poprzedzały powstanie totalitarnych ustrojów, co przekładało się na podejrzliwość wobec wszelkich prób ich restauracji.

Antykomunizm po upadku komunizmu

Zarysowana powyżej rekonfiguracja politycznych języków miała na celu pokazanie procesu, w którego ramach doszło do połączenia dwóch semantyk totalitaryzmu należących do wcześniej konkurencyjnych środowisk politycznych – solidarnościowej i dysydenckiej elity z jednej strony oraz liberalnych nowych realistów z drugiej. Kończąc wywód, wypada jeszcze wspomnieć, że owa rekonfiguracja miała jedną zasadniczą konsekwencję. W kontekście szybko postępującej polaryzacji pola politycznego radykalny antykomunizm wyłonił się jako najsilniejszy język politycznej kontestacji.

Przeciwnicy polityki rządu Tadeusza Mazowieckiego połączyli swoje sztandary pod hasłami przyspieszenia procesu transformacji. Na przekór obawom „bezsilnych u władzy” program przyspieszenia nie podważał europejskiej orientacji reform co do spraw fundamentalnych – kapitalistycznej przebudowy gospodarki i wprowadzenia instytucji demokracji

przedstawicielskiej. Przeciwnie, środowiska te, które czuły się odsunięte od decyzji w sprawie strategicznych posunięć pierwszego solidarnościowego rządu, najgłośniej domagały się otwarcia systemu politycznego na nowe partie polityczne i krytkowały próby przekształcenia Solidarności w lokomotywę transformacji jako bez mała nowe wcielenie monopartii. Program przyspieszenia był również stanowczo za kapitalizmem. Jego liderzy uważali nawet, że w przeprowadzeniu reform są nie tylko bardziej kompetentni i stanowczy, ale też bardziej wiarygodni niż rząd. Natomiast swój program za kapitalizmem i za systemem przedstawicielskim głosili w populistyczny sposób.

Tak więc istotą programu przyspieszenia była nie tyle inna wizja transformacji, ile cel przewartościowania głównych linii podziału pola politycznego. Podział ten, jak widzieliśmy, został zbudowany wokół widma powrotu totalitarnej przeszłości. Realizacja celu przyspieszenia wymagała takiej redefinicji totalitaryzmu, która podważyłaby ramy współpracy politycznej proponowanej przez architektów transformacji, redukując zawarte tam pretensje do powszechnej akceptacji do rangi partykularnego stanowiska politycznego. Tej redefinicji sprzyjały polityczne okoliczności, w jakich znalazł się pierwszy niekomunistyczny rząd, który mimo tego miana uważał za konieczne znaleźć *modus vivendi* z funkcjonariuszami dawnego reżimu, pozbawionymi politycznej inicjatywy, ale nadal utrzymującymi znaczne wpływy w administracji państwowej i resortach siłowych.

Kairos przejścia odcisnął więc swoje piętno również na języku politycznym zwolenników przyspieszenia. Jednakże problem odróżnienia ducha nadchodzącego czasu od powrotu totalitarnego widma został wyrażony w ramach wiązki znaczeń, która do tej pory była znakiem szczególnym antykomunistycznych radykałów. Chodzi o wizerunek systemu będącego zarazem w fazie ostatecznego rozkładu i u szczytu swoich

⁴⁶ W kontekście węgierskim István Rév zauważał, że równanie między antykomunizmem i faszyzmem z komunistycznej propagandy po 1989 r. zostało przywłaszczone przez węgierską prawnicę, aby rehabilitować różne podejrzane postacie, którym przydarzył się w życiu antykomunistyczny epizod (I. Rév, *Dzieje jednej kanałii*, „Gazeta Wyborcza”, 29 VII 1999; więcej o polityce pamięci na Węgrzech zob. *idem*, *Retroactive Justice: Prehistory of Post-Communism*, Stanford 2005).

mocy, któremu jednocześnie wieszczono rychły upadek i przypisywano wyłączność w tworzeniu faktów politycznych, nie tylko tych, do których otwarcie się przyznawał, lecz również tych, które inspirował i promował. Nawet symptomy słabości były tutaj dowodami siły, gdyż mogły się one okazać jedynie następnym manewrem taktycznym. Pod takimi sztandarami walczący antykomunizm kontestował porozumienia okrągłostołowe i apelował o bojkot wyborów czerwcowych. Zwolennikom przyspieszenia właśnie ta retoryka wydała się najlepszym sposobem, aby wyrazić rosnące niezadowolenie społeczne spowodowane z jednej strony tempem i kosztem zmian, a z drugiej zimnym, technokratycznym stylem rządzenia „bezsilnych u władzy”.

Z tej perspektywy hasło przyspieszenia nie odnosiło się wyłącznie do politycznego kalendarza wiążącego do wolnych wyborów, ale oznaczało przede wszystkim żądanie twardej ręki dla byłych komunistów. Stopniowe i rozciągające się w czasie przekazywanie władzy przez elity dawnego reżimu nie było w oczach zwolenników przyspieszenia decydującym dowodem jego upadku, dopóki nie istniały zabezpieczenia przed scenariuszem restauracji. Byli komuniści nie mogli przedstawić takich gwarancji. Według diagnozy zwolenników przyspieszenia mimo rozpadu partii rządzących nie tylko w Polsce, ale i w całym bloku siatka sowieckiej agentury pozostała na miejscu, a przedstawiciele interesów Moskwy nie tyle stracili władzę, ile zamienili kapitał polityczny na ekonomiczny w ramach tzw. prywatyzacji nomenklaturowej. A ponieważ w naturze wszelkiego kapitału leży właśnie jego wymienialność, obawiano się, że zapewnienie pokoju politycznego drogą przyzwolenia na uwłaszczenie się komunistów „na państwowym” będzie miało skutek odwrotny do zamierzonego, torując im drogę powrotu na polityczną arenę w formie bądź zorganizowanej siły politycznej, bądź kompleksu gospodarczo-agenturalnego, kontrolującego politykę z tylnego siedzenia za pomocą finansowej marchewki i kija bezpieczniackich teczek.

Czerpiąc pewną wiarygodność ze swojej zmarginalizowanej pozycji wewnątrz obozu solidarnościowego, krytycy mogli oskarżać rząd Mazowieckiego o opóźnienie transformacji. Podsumowując pierwszy rok solidarnościowych rządów i w obliczu nagłego upadku komunistycznych elit w większości państw bloku wschodniego, Jacek Kurski wyrokował, że strategia „przeprowadzenia kraju do rynku i demokracji przy decydującym udziale grup społecznych i struktur wspierających niedawny totalitaryzm” to pozbawiony racjonalnego uzasadnienia „kult Okrągłego Stołu”. To, co kilka miesięcy wcześniej wydawało się rozsądnym politycznym kosztem transformacji, teraz wyglądało na uprzywilejowanie politycznych bankrutów. To, co wcześniej było odważnym krokiem naprzód, teraz wyglądało na grzech zaniechania. Według Kurskiego rząd Mazowieckiego nie decydował się na ostateczne rozprawienie się z istotą totalitaryzmu – nomenklaturą. Partii pozwolono zachować jej własność i jej media. Kadry dawnego reżimu nadal decydowały o wszystkim na ministerialnych korytarzach, a sądy pozostawały zdominowane przez stalinowskich oprawców. Ciężar komunistycznej przeszłości dusił w zarodku kielkującą przyszłość. Problem nie leżał w starych nawykach społeczeństwa mierzącego się z nowymi realiami. Społeczeństwo miało całkiem uzasadnione podejrzenie, że rzeczywistość nie jest do końca nowa.

„Ludzie nawet jeśli widzą niektóre zmiany – nie czują się ich autorami. Psychiczne niewolnictwo wobec »okrągłego stołu« pozbawiło proces zmian dynamizmu i energii ruchu społecznego. Celebrowanie poprawności wobec przemalowanego bankruta, pośród fałszywego odmieniania słowa »demokracja« przez wszystkie przypadki obniżyło społeczne przywiązanie do samej instytucji demokracji... Gabinet Tadeusza Mazowieckiego zaczyna dziś otaczać społeczna pustka wynikająca stąd, że przytłaczająca większość Polaków nie znajduje wokół siebie dowodów zmian, widzi natomiast uparte trwanie starych układów, sitw, barier i absurdów”⁴⁷.

⁴⁷ J. Kurski, *Rok Mazowieckiego*, „Konfrontacje” 1990, nr 9.

Warto zaznaczyć, że stawanie po stronie społeczeństwa nie oznaczało potępienia terapii szokowej za jej społeczne koszty. Przeciwnie, hasłem obozu przyspieszenia było: „Balcerowicz tak, Mazowiecki nie”. Poglądy przeciwników rządu Mazowieckiego na gospodarkę David Ost słusznie nazwał „rynkowym populizmem”⁴⁸. Populizm rynkowy przeciwstawiał dobry kapitalizm złemu komunizmowi. Za niespełnione założenia planu Balcerowicza odpowiedzialne były komunistyczne wpływy w sferach gospodarczej i politycznej. Rynek dopiero wtedy przyniesie korzyść społeczeństwu, kiedy instytucje państwa zostaną oczyszczone z komunistów i ich agentury. W opinii Kurskiego spowodowana przez reformy ekonomiczne głęboka i przedłużająca się recesja była problemem nie dlatego, że przyniosła skokową degradację warunków życia, ale przeciwnie, ponieważ w niewystarczającym stopniu doprowadziła do „masowych bankructw czy wysokiego bezrobocia, które – zwłaszcza w okresie społecznego przyzwolenia – nadawałyby im reformatorski sens w postaci ruchu środków kapitałowych w kierunku rentownych gałęzi i nowych zastosowań”⁴⁹.

Neoliberalna strategia Balcerowicza była słuszna. To rząd nie był wystarczająco skuteczny w „twórczym niszczeniu” mienia państwowego. W politycznej narracji obozu przyspieszenia transformację przedstawiano jako batalię między wszędochyłskim chwastem socjalistycznych przedsiębiorstw pasożytujących na „kruchej roślinkie kapitalizmu”. Bankructwa państwowych przedsiębiorstw postrzegano jako akt sprawiedliwości dziejowej. Widziano w nich nie miliony miejsc pracy i przyszłość ludzi tam zatrudnionych, ale komunistyczne reduty. „Rząd Mazowieckiego bowiem, nie stawiając tamy patologicznym zjawiskom obrażającym społeczne poczucie sprawiedliwości, nie rozliczając wstecz rozgrabiających Polskę nomenklaturowych klik i dopuszczając je do kapitału

– zapoczątkował moralną erozję zaplecza kapitalizmu w społeczeństwie. Ludzie będą zdolni do nowych wyrzeczeń tylko wtedy, gdy przekonają się, że sprawcy ich nędzy – nomenklatura – cierpi nędzę nie mniejszą niż oni sami i nie zajmuje już kierowniczych stanowisk”⁵⁰.

Innymi słowy, nie ma nic złego w społecznym cierpieniu tak długo, jak długo jest ono moralnie słuszne, tzn. jak długo licuje ze społecznym poczuciem sprawiedliwości. A owo społeczne poczucie sprawiedliwości według liderów przyspieszenia opierało się na rozróżnieniu na antykomunistyczne „my” i komunistyczne „oni”. Na tym tle rząd Mazowieckiego wyglądał na elitę wyalienowaną, głuchą na nastroje społeczne. Społeczeństwo było autentycznie katolickie, zaciekle antykomunistyczne i zdecydowanie prorynkowe. Elity tylko kokietowały Kościół, wstrzymywały pochod antykomunistycznej rewolucji i konserwowały nomenklaturowe układy w gospodarce.

Ciężar komunistycznych genealogii

Aby wytłumaczyć, dlaczego nastąpiło wykorzenienie części solidarnościowych elit, dlaczego rząd Mazowieckiego był za miękki wobec komunistów, aby stanowić gwarancję przeciwko komunistycznej restauracji, zwolennicy przyspieszenia odwoływali się do innego wątku w debacie o totalitaryzmie, obecnego zwłaszcza w środowiskach antykomunistycznych radykałów. Pomyślną współpracę byłych komunistów i byłych dysydentów tłumaczyć mogła tylko rewizjonistyczna przeszłość tych drugich. Spektakularny powrót też o wpływie komunistycznej genealogii na dysydenckie działania był odpowiedzią, jaką zwolennicy przyspieszenia udzielili na oskarżenia o ich własne totalitarne pokusy.

Jak widzieliśmy, jednym ze znaków szczególnych politycznego języka „bezsilnych u władzy” była teza,

⁴⁸ D. Ost, *Kłeska „Solidarności”...*, s. 155–156.

⁴⁹ J. Kurski, *Rok Mazowieckiego...*

⁵⁰ *Ibidem*.

że podział posttotalitarny powinien zastąpić nieadekwatne i przedawnione sposoby porządkowania pola politycznego, zwłaszcza zaś podział na lewicę i prawicę. Pochodzące ze słownika zimnowojennego liberalizmu rozróżnienie na społeczeństwa otwarte i zamknięte został przekształcony z typologii ustrojów politycznych (w intencji Poppera) w podział wewnątrzustrojowy. Oczywiście, w kontekście gwałtownej polaryzacji sceny politycznej kontestatorzy strategii rzeczników społeczeństwa otwartego nieuchronnie stawali się obiektem oskarżenia o sprzyjanie siłom przeciwnym.

Nieprzypadkowo tak się złożyło, że większość stronników hasła przyspieszenia identyfikowała się z rzekomo przedawnioną kategorią „prawica”. Jednakże w ich przypadku obrona prawomocności podziału na prawicę i lewicę nie przekładała się na obronę politycznego pluralizmu jako takiego. Zazwyczaj uznanie ważności tego podziału zakłada uznanie spektrum antagonistycznych, ale wzajemnie się uznających politycznych stanowisk. Natomiast polityczny język przyspieszenia należy określić jako skryty populizm. Był on skryty w pozorowanej obietnicy powrotu polityczności, w rzeczywistości rozgrywając lewicowo-prawicowy podział na gruncie moralnym. Populistyczny w budowaniu tej moralizującej retoryki wokół dychotomii między różnie rozumianą wspólnotą a uzurpatorskimi elitami, wyrażając tę dychotomię nie w sposób polityczny, ale za pomocą rozróżnień na uczciwość i korupcję, naród i wynarodowienie, szczerść i przebiegłość.

W kontekście wojny na górze program przyspieszenia używał podziału na lewicę i prawicę w celu wskazania właśnie zepsutych, wynarodowionych i przebiegłych uzurpatorów. Jako że nie może być prawicy bez lewicy, twierdzono, rzekomo nieideologiczny, ekumeniczny dyskurs „bezsilnych u władzy” jest w rzeczywistości tylko zastoną dymną ich prawdziwych zamierzeń. A im więcej oni zaprzeczają, że reprezentują pewne polityczne stanowisko, oraz im

bardziej my się do swojego przyznajemy, tym łatwiej pokazać, że oni coś przed nami ukrywają⁵¹.

Dla prawicowego odłamu obozu solidarnościowego, który wewnątrz znalazł się na pozycji zdominowanej, upieranie się przy podziale na prawicę i lewicę było doskonałym rozwiązaniem. Z jednej strony jego przedstawiciele mogli uchodzić za porządných, umiarkowanych chadeków i tym samym wymknąć się ciemnej stronie posttotalitarnego podziału, który obsadzał ich w roli fundamentalistów budzących do życia, jeśli wręcz nie ucieleśniających, demony przeszłości. Z drugiej strony mogli głośno uderzać w tony skrytego populizmu, przeciwstawiając swoją silną tożsamość polityczną, rzekomo bliższą tradycjom i wartościom narodowym, uzurpatorom u władzy, którzy udają, że są kimś innym niż są.

Ta radykalna retoryka złudzeń i denuncjacji oznaczała również, że bycie na lewicy nie zależało już od deklarowanych poglądów (swoją drogą w tych czasach tylko najwierniejsi ryzykowali tę formę politycznego samobójstwa). Kryterium było przede wszystkim genealogiczne. Bycie na lewicy oznaczało pewnego rodzaju biograficzny osad, element czyjejś politycznej przeszłości, który – ukryty pod wieloma późniejszymi warstwami – mimo wszystko (i mimo wszystkich zaprzeczających temu deklaracji) wyznaczał kierunek czyjegoś politycznego zaangażowania w ogóle, a pobłażliwość dla komunizmu w szczególności. Z tego punktu widzenia porozumienia Okrągłego Stołu tylko z pozoru były negocjacjami między demokratyczną opozycją a przedstawicielami obozu władzy, reprezentującymi przeciwstawne opcje ideowe. W rzeczywistości był to akt zjednoczenia dwóch odłamów lewicy, które ze względów czysto ambicjonalnych walczyły po przeciwnych stronach barykady. W konsekwencji represje, które spadały na tę pierwszą grupę, nie mogły być niczym innym jak tylko wyrazem osobliwej walki frakcyjnej⁵². W najnowszym rozdziale sagi powstań narodowych przeciwko obcym

⁵¹ Zob. J. Walc, *W poszukiwaniu zaginionej lewicy*, „Wokanda”, 17 VI 1991; D. Warszawski, *Leprawica*, „Po Prostu”, 17 V 1990.

⁵² J.M. Jackowski, *Nieobecni*, „Ład”, 14 I 1990.

ciemieźcom dysydenci o lewicowej genealogii grali rolę nie forpocztę, ale hamulcowego. Starając się o polityczny kompromis i studzenie narodowych aspiracji, grali na korzyść komunistów. Okrągły Stół był tylko jawnym ukoronowaniem tej wcześniej skrywanej współpracy.

Wreszcie, skryty populizm zwolenników przyspieszenia łączył apel o polityczne otwarcie dla nowych partii politycznych (co miało być oznaką powrotu do Europy) z przekonaniem, że próby odbudowania potęgi ruchu solidarnościowego są jeszcze jednym wybiegiem taktycznym lewicy. „Walka polityczna w Polsce, prowadzona obecnie, sprowadza się w gruncie rzeczy do walki z lewicą, do starcia sił demokratycznych ze zwolennikami demokracji sterowanej, będącej pochodną demokracji socjalistycznej”⁵³.

Dla Stefana Niesiołowskiego to, że Solidarność stała się lewicowym koniem trojańskim, było jasne – abstrahując od politycznej przeszłości niektórych jej ideowych przywódców – ze względu na apele o zachowanie jedności wewnątrz obozu reformatorskiego, co Niesiołowskiemu przypominało komunistyczne taktyki jednolitofrontowe i walkę z politycznymi dewiacjami. W jego przekonaniu próba zastąpienia „jasnego i czytelnego dla wszystkich pojęcia etyki chrześcijańskiej” koncepcją „etyki solidarności” tworzyło „zagrożenie dla tradycji europejskiej kultury politycznej”. „Bezsilni u władzy” apelowali o tolerancję tylko po to, aby oskarżyć prawicę o antysemityzm i ksenofobię, ostrzegali przed fundamentalizmem, żeby wywołać podejrzliwość w stosunku do prawicy wiernej narodowym i katolickim tradycjom.

To samo rozumowanie niektórzy zwolennicy przyspieszenia, np. Piotr Wierzbicki, przedstawiali, odwołując się do pojęcia konstruktywizmu. Pochodziło ono ze słownika zimnowojennego liberalizmu, ale wielu liberałów je opuściło, wchodząc w reformatorski sojusz. W obu przypadkach rozumowanie polegało na przeciwstawieniu jasnych wartości będących przedmiotem powszechnej zgody i odpowiadających im

społecznych instytucji, przy których stała prawica, sztucznej kombinacji krytycznie pojmowanych tradycji w dyskursie dysydenckiej lewicy; afirmatywnego patriotyzmu tych pierwszych krytycznemu patriotyzmowi tych drugich. Chodziło także o snucie paraleli między tym krytycznym splotem idei a komunistyczną utopią transformacji ludzkiej natury.

Uwagi końcowe

Posthistoria pojęcia totalitaryzmu jest historią zarówno ciągłości, jak i zerwania w stosunku do jego kariery w kręgach demokratycznej opozycji. Po 1989 r. totalitaryzm ciągle spełniał funkcję regulatywną, wyznaczał granice tego, co możliwe w polityce, natomiast *kairos* przejścia niósł ze sobą nowy zestaw problemów i dylematów. Pierwszorzędnym zadaniem stało się „odkreślenie przeszłości grubą linią”, pozbycie się totalitarnego balastu. Jednakże ten sam gest oznaczał jednocześnie podkreślenie jej niechcianej obecności, nazwanie i umiejscowienie widma, które groziło powrotem, a w sytuacji radykalnej niepewności straciło swoją znajomą twarz i przez to wydawało się wszechobecne. A w tym stopniu, w jakim totalitaryzm jako obecna przeszłość musiał zyskać ucieleśnioną postać, stał się czynnikiem porządkującym postkomunistyczne pole polityczne.

W procesie powstawania nowej, posttotalitarnej kultury politycznej w Polsce wydarzeniem o zasadniczej doniosłości była rekonfiguracja opozycyjnych języków politycznych, stanowiących ramy debat o totalitaryzmie w obliczu rozpadu obozu solidarnościowego. Liderzy pączkujących (głównie prawicowych) partii politycznych całkiem otwarcie (i ze zrozumiałych względów) odrzucali udział we wspólnej platformie, w której decydujące zdanie miały osobistości przedsierniowej opozycji, a byli dysydenci i przywódcy ruchu solidarnościowego nie zdołali nadać wspólnych ram przeciwnym tożsamościom, interesom i strategiom, ujawniającym się w trakcie procesu przemian.

⁵³ S. Niesiołowski, *Reguły gry*, „Ład”, 10 I 1990.

„Synteza orientacji wcześniej konkurencyjnych” spełniała się nie w powrocie Solidarności do swojego dawnego znaczenia, ale w połączeniu politycznych języków liberalizmu dysydentów i liberalizmu zimnowojennego w wydaniu nowych realistów. Wyobraźnię polityczną architektów transformacji zdominował strach przed powrotem wypartych lub nieprzepracowanych idei, nawyków i pasji, strach przed posttotalitarną mentalnością społeczeństwa, która mogła stanowić podatny grunt dla antykomunistycznych bolszewików. Społeczeństwo obywatelskie i umysłowe zniewolenie nadal pozostawały dwiema stronami medalu, ale jak gdyby awers i rewers zamieniły się miejscami. To pierwsze przestało być kojarzone z ruchami społecznymi i aktywnym zaangażowaniem obywateli w decydowanie o rzeczach wspólnych, a zaczęło oznaczać przestrzeń realizacji interesów jednostkowych, których spontaniczna gra przynosi ogólny dobrobyt. To drugie przestało grać rolę mobilizującą, a zaczęło pełnić funkcję przeciwną. Wcześniej służyło do obudzenia w biernym komunistycznym poddanym obywatela, który domaga się swoich praw i interesów. Teraz zaczęło być używane po to, by podobne roszczenia w stosunku do państwa oddalić. Obawa przed totalitarnym powtórzeniem działała przeciwko demokratycznej inwencji, na rzecz rozproszenia i ograniczenia władzy zgodnie ze sprawdzonymi modelami.

Najbardziej doniosłą konsekwencją syntezy języka politycznego dysydentów i nowych realistów było podniesienie radykalnego komunizmu do rangi najmocniejszego języka politycznej kontestacji. Krytycy transformacji byli najgorętszymi orędownikami gwałtownego zerwania z przeszłością, a jednocześnie najwięcej uczynili, aby zamazać kontury starego i nowego, utrwalając w wyobraźni politycznej wizerunek reżimu na progu ostatecznego i nieodwołalnego krachu, ale mimo to wszechmocnego, zakulisowego

pays réel, który kieruje tym, co się zdaje wydarzać w *pays legal*, przy cichym współnictwie byłych dysydentów, obciążonych osadem ich komunistycznych genealogii.

W miarę jak rozluźniał się związek z bezpośrednim historycznym doświadczeniem, w miarę jak następowała polityczna konsolidacja postkomunistycznych społeczeństw, podział posttotalitarny zdawał się odchodzić w niepamięć. Obrońcy transformacji pozbyli się totalitaryzmu ze swojego słownika szybciej niż jej krytycy, dla których to pojęcie pozostawało ważne tak długo, jak długo trwał postkomunizm, owa dziwna, przejściowa formacja społeczna określona przede wszystkim przez obecność *damnosa hereditas*, nie zaś przez bardziej pozytywne zdarzenia. Niemniej jednak w obu przypadkach nowe warstwy myśli politycznej przykryły dawne ramy pojęciowe: liberalna modernizacja bez alternatywy, konserwatywny republikanizm cnót i tradycji, dyskursy globalizacji i antyglobalizacji, europeizacji i postkolonializmu.

Jednakże totalitaryzm jak stara farba będzie nadal gdzieś przetrzymywać, zwłaszcza w okresach przesilen politycznych. Populizm i ksenofobia nadal będą rozumiane przez pryzmat widm przeszłości, nawet jeśli podobne zjawiska zachodzą równocześnie w krajach nienaznaczonych bezpośrednio doświadczeniem komunizmu i nazizmu. Istnienie „przebranych transformacji” będzie się wydawało bardziej dopuszczalne, a sprawa społecznej równości mniej poważna, gdy wspomni się, że *homo sovieticus* nadal żyje wśród nas. Narzucona stalinowska modernizacja i naśladowcza modernizacja postkomunistyczna nadal będą się zlewać w jeden obraz niesuwerennych peryferii. To wszystko zaś skłania do konkluzji, że pojęcie totalitaryzmu wciąż włada polityczną wyobraźnią nad Wisłą. Upłynie jeszcze dużo słów, nim posttotalitarna polityka stanie się zamkniętym rozdziałem historii.

SIERPIEŃ 1988

STRAJKI, CENZURA I PRAWA CZŁOWIEKA

Eugeniusza Polmańskiego spotkałem w krakowskich Mistrzejowicach latem 1988 r. Od 25 do 27 sierpnia odbywała się tam w kościele św. Maksymiliana Kolbego Międzynarodowa Konferencja Praw Człowieka, zorganizowana przez Komisję Interwencji i Praworządności NSZZ Solidarność oraz Ruch Wolność i Pokój w czterdziestą rocznicę uchwalenia przez ONZ Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Konferencja, w której wzięło udział wielu gości z zagranicy, m.in. przedstawiciele ruchów wolnościowych z Argentyny, Chile, Czechosłowacji, Węgier, a nawet Afganistanu, była dużym sukcesem ruchu solidarnościowego. Jej głównymi organizatorami byli Zbigniew Romaszewski i Jan Maria Rokita, a gospodarzem ks. Kazimierz Jancarz. W obradach wzięło udział blisko tysiąc osób, przybyli przedstawiciele międzynarodowych centrali związkowych, Parlamentu Europejskiego, obrońcy praw człowieka z około czterdziestu krajów.

Polmański był jednym z gości, którzy przyjechali do Mistrzejowic. 32-letni wówczas górnik należał do działaczy podziemnej Solidarności. Był członkiem Tajnej Komisji Zakładowej związku w kopalni Andaluzja i redaktorem podziemnego pisma „Nasze Sprawy”. Uruchomił Radio Solidarność w Piekarach Śląskich, animował również Bractwo Trzeźwości im. św. Maksymiliana Kolbego w tym mieście. W sierpniu 1988 r. był wiceprzewodniczącym Komitetu Strajkowego w Andaluzji, o czym opowiada w wywiadzie (jego starszy brat, Piotr, przewodniczył temu komitetowi). Z Krakowa pojechał do Jastrzębia, gdzie wziął jeszcze udział w ostatnich dniach strajku w kopalni Manifest Lipcowy. Został wyrzucony z pracy i ukarany grzywną 30 tys. zł, ale po trzech miesiącach przyjęto go z powrotem. W 1989 r. wszedł do władz Regionu Śląsko-Dąbrowskiego Solidarności, był też szefem Komitetu Obywatelskiego w Bytomiu.

Do Mistrzejowic pojechałem jako dziennikarz „Przeglądu Katolickiego”, tygodnika wydawanego przez archidiecezję warszawską, pod patronatem prymasa Polski kard. Józefa Glempa. Obrady konferencji, największej imprezy niezależnej w Polsce od 1981 r., były bardzo ciekawe. Tym bardziej że toczyły się w akompaniamencie strajków na Śląsku, w Gdańsku, Szczecinie i Stalowej Woli – prowadzonych pod hasłem uznania Solidarności, zdelegalizowanej od 1982 r.

JAN SKÓRZYŃSKI

dr, historyk i dziennikarz, w latach 1989–1990 kierownik działu historycznego „Tygodnika Solidarność”, 2000–2006 zastępca redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej” i szef dodatku „Plus-Minus”. Wydał m.in. *Kalendarium Solidarności 1980–89* (wraz z Markiem Pernalem, 1990), *Uгода i rewolucja. Władza i opozycja 1985–1989* (1995), *Rewolucja Okrągłego Stołu* (2009, nominowana do nagrody im. Kazimierza Moczarskiego), *Zadra. Biografia Lecha Wałęsy* (2010), *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników* (2012).

Rozmowa z Eugeniuszem Polmańskim wywarła na mnie spore wrażenie. Dzięki takim właśnie ludziom Solidarność przetrwała lata konspiracji i powróciła – w wyniku strajków i negocjacji Okrągłego Stołu – do legalnego życia publicznego. Wtedy nic nie było jednak przesądzone, choć Polmański przekonywał, że związek do końca roku zostanie zalegalizowany. Pomylił się o kilka miesięcy.

Strajki sierpnia 1988 r. przyniosły polityczne przesilenie. Po raz pierwszy od 13 grudnia 1981 r. komuniści uznali przedstawicieli Solidarności za partnera rozmów. Minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczał spotkał się 31 sierpnia z Lechem Wałęsą; podjęto rozmowy przygotowawcze do Okrągłego Stołu. Klimat polityczny w kraju zaczynał się zmieniać. Jednak w redakcji nie byliśmy pewni losów przywiezionego przeze mnie materiału. Wywiad z działaczem Solidarności opowiadającym o strajku – tego jeszcze w prasie ukazującej się oficjalnie nie było. „Przegląd Katolicki” był niezależny od władz, ale podlegał cenzurze prewencyjnej – wszystkie materiały należało przedstawiać przed drukiem urzędowi cenzury. Według obowiązującej od 1981 r. ustawy o kontroli publikacji i widowisk (zaostrojonej w 1983 r.) każda ingerencja cenzury miała być widoczna w wydrukowanym tekście, przysługiwało też prawo do odwołania się

do sądu od cenzorskich decyzji. Jednak ogromna większość wychodzących w kraju gazet i czasopism, kontrolowanych przez partię, nie pokazywała ingerencji. Czyniły tak jedynie pisma katolickie – takie jak „Przegląd” właśnie, „Tygodnik Powszechny”, „Znak” czy „Więź” – oraz „Res Publica”, ukazująca się od 1987 r. legalnie.

Cenzura zgodziła się na publikację wywiadu („puściła” tekst, jak się wówczas mówiło), ale z poważnymi ingerencjami. W tekście prezentowanym obok na czerwono zostały zaznaczone „zdjęte” fragmenty. W druku zamiast nich ukazał się tylko znaczek [– – –] oraz informacja o podstawie prawnej ingerencji – z odwołaniem się do odpowiednich artykułów ustawy opublikowanej w „Dzienniku Ustaw”. Urząd cenzury nie lubił ujawniać swoich poczynań, więc czasem można było uratować zagrożony fragment tekstu za cenę zmiany jednego określenia – bez zaznaczania ingerencji. Niekiedy cenzura sama proponowała jakąś korektę, która mogłaby zdanie ocalić przed wyrzuceniem. W drukowanej obok rozmowie te miejsca zaznaczone są na szaro. Takie dodatkowe negocjacje toczyły się stale.

Oczywiście, zawsze można było odmówić jakichkolwiek zmian; wtedy cenzor zdejmował cały tekst. W druku pojawiało się wówczas tylko nazwisko autora, a i to nie zawsze.

SIERPIEŃ 1988

MARYJO, POBŁOGOSŁAW SOLIDARNOŚĆ¹

ROZMOWA Z EUGENIUSZEM POLMAŃSKIM

Jan Skórzyński: Byłeś uczestnikiem strajku w kopalni Andaluzja w Piekarach Śląskich, wiceprzewodniczącym utworzonego przez górników Komitetu Strajkowego. Jakie są twoim zdaniem przyczyny strajku, który objął w sierpniu kilkanaście śląskich kopalń?

Eugeniusz Polmański: Już od czerwca zbierało się na wybuch. Wbrew zapowiedzianym podwyżkom płac, jak przyszło do wypłaty, to się okazało, że ludzie otrzymali mniej pieniędzy niż zazwyczaj. Tłumaczono nam to w ten sposób, że to była regulacja płac, a regulacja nie zawsze przecież wiąże się z podwyżką...

No tak, regulować można w obie strony.

Właśnie. Wtedy miał miejsce strajk w kopalni Bolesław Śmiały. To był pierwszy symptom, że źle się dzieje w górnictwie. Ludziom się nie mieściło w głowach, żeby górnik za pracę w „czarne dni”, czyli nie licząc sobót i niedziel, nie zarobił tych pięćdziesięciu tysięcy. Ja np. w kwietniu za przepracowanych 21 dni otrzymałem trzydzieści tysięcy. Wciąż byliśmy opłacani według starych stawek, podczas gdy w innych branżach poszły one dawno do góry.

Czy to znaczy, że nie mieliście od kilku lat podwyżek?

Praktycznie tak to wyglądało. Zarobek górnika jest obliczany w ten sposób, że 70 proc. jest ruchome, a tylko 30 proc. to wielkość stała. Chociaż stała część się zwiększyła, na całość wypłaty nie miało to większego wpływu. Ruchoma część wypłaty decyduje więc o jej wysokości, a są to pieniądze, które zależą od oceny kierownika oddziału – premie uznaniowe, premie produkcyjne itp. Daje to ogromną możliwość kombinacji. Są w kopalniach

¹ Tytuł oryginalny, zakwestionowany przez cenzurę, bez zaznaczenia ingerencji. Wywiad opatrzone tytułem *Robotnicy 88* został opublikowany w „Przeglądzie Katolickim” 18 IX 1988.

stanowiska pracy, gdzie można zarobić nawet do stu tysięcy, nie licząc sobót i niedziel, ale są one obsadzone przez „swoich” ludzi. A mi mogą w całości odebrać uprawnienia wynikające z Karty Górnika w wyniku upomnienia albo powiedzą, że nie wywiązuję się ze swoich obowiązków. Wszystko jest więc warunkowane zachowaniem człowieka, wszystko zależy od uznania przełożonego. Potem, przy wypłacie, jeden może dostać o trzydzieści tysięcy więcej od drugiego.

Mimo że pracował podobnie.

Tak, ale *może*² o to chodzi, żeby załogę poróżnić w myśl starej zasady: dziel i rządź.

Strajk w kopalni Bolesław Śmiały miał więc podłoże płacowe?

Oczywiście. Zastrajkowali robotnicy, a później wzięty to w ręce [neo]³ związki OPZZ⁴ i nic z tego nie wyszło. [Tam, gdzie są komitety założycielskie NSZZ Solidarność, nikt nie da się wyprzeć przez neozwiązki]⁵. [– – –] [Ustawa z d. 31 VII 81 r. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3 (DzU nr 20, poz. 99, zm. 1983, DzU nr 44, poz. 204)], ale tam, gdzie kopalnie nie były zorganizowane, sprawy płacowe zostały przejęte przez te związki i bardzo szybko ucięto łeb sprawie.

I [neo]⁶ związki OPZZ⁷ niczego nie wywalczyły?

Było niby powiedziane, że od pierwszego sierpnia będzie odblokowana Karta Górnika, ale nikt tego jeszcze na własnej kieszeni nie odczuł. Cała sprawa była załatwiana w żółtim tempie. Oni w ogóle się nie spieszyli, a kryzys narastał. Ja przecież ocieram się o ludzi dołowych, sam jestem górnikiem dołowym, na kopalni pracuję od dwunastu lat i widziałem, co ludzie mówią. Górnik na dole, jak nikt nie słyszy i nie widzi, psioczy ile wlezie na władze i na swojego zarobkodawcę. Ale gdy trzeba pokazać coś na zewnątrz, ujawnić swoje nazwisko, to zapada cisza. Wtedy tylko ta grupa, która się ujawniła, bierze wszystko na siebie. Więc karzą nas za byle co, pod byle pretekstem.

Co było bezpośrednim powodem strajku?

Narastające napięcie skłoniło niektóre kopalnie, by zaczęły ze sobą rozmawiać. My w Andaluzji mieliśmy kontakt z Manifestem Lipcowym i wraz z nimi doszliśmy do wniosku, że trzeba zaprotestować poprzez strajk, bo żadnej innej formy nacisku na dzień dzisiejszy nie ma. Wszystkie perswazje i monity u dyrektora – a jako komitet założycielski Solidar-

² Dodane przez cenzurę.

³ Zakwestionowane przez cenzurę, bez zaznaczenia ingerencji.

⁴ Dodane przez cenzurę.

⁵ Zakwestionowane przez cenzurę.

⁶ Zakwestionowane przez cenzurę, bez zaznaczenia ingerencji.

⁷ Dodane przez cenzurę.

ności występowaliśmy niejednokrotnie w sprawach całej załogi – nie dały żadnego efektu. Więc razem z Manifestem Lipcowym zdecydowaliśmy, że 17 sierpnia przystąpimy do strajku. Manifest wypalił o dwa dni wcześniej, widocznie sytuacja tam szybciej dojrzała, a my zaczęliśmy według planu – w środę, między zmianą B i C, o godzinie 21 przejęliśmy bramę. Odbyło się to bez żadnych incydentów. Potem był wiec, na którym zdecydowaliśmy o strajku. Szybko się zawiązał Komitet Strajkowy, do którego wszedł cały komitet założycielski NSZZ Solidarność i górnicy ze wszystkich trzech zmian. Było nas w sumie 36.

Jaka część załogi zaczęła u was strajkować?

Na początku było około sześciuset osób, a później liczba strajkujących – wiem to dokładnie, bo prowadziłem statystykę – doszła do dwóch i pół tysiąca. Była to więc większość wśród pracowników dołowych.

Jakie były postulaty?

Najpierw był to strajk solidarnościowy z Jastrzębiem. Poparliśmy ich dwadzieścia jeden postulatów, które były praktycznie i naszymi, a poza tym dołączyliśmy kilka postulatów naszej kopalni, które zgłosiła załoga. Te postulaty zresztą podczas pierwszych rozmów z dyrekcją zostały załatwione od razu. Wysunęliśmy także postulat, aby do końca września Rada Państwa odblokowała zapis w ustawie o związkach zawodowych, który zezwala na pluralizm związkowy. Ujęliśmy to w tej formie, żeby to żądanie nie miało znamion politycznych.

Kiedy dowiedzieliście się, że wasz strajk jest „nielegalny”?

Zaraz po rozpoczęciu strajku, w nocy przyjechał prokurator wojewódzki z Katowic, który oznajmił załodze, że strajk jest nielegalny ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Wpuściliście go do kopalni?

Oczywiście. Myśmy żyli w zgodzie z dyrekcją, ze wszystkimi służbami zabezpieczającymi, gdyż wszyscy wywodzimy się ze środowiska zgrupowanego wokół Kościoła i za hasło przewodnie wzięliśmy sobie: „Zło dobrem zwyciężaj”. Nie chcieliśmy więc wchodzić w konflikt z kimkolwiek. Był to po prostu strajk solidarnościowy i przy tym chcieliśmy wytrwać.

Kiedy nawiązaliście kontakt z Jastrzębiem?

Drugiego dnia strajku wysłaliśmy tam swojego przedstawiciela, który wszedł do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Manifeście. Andaluzja była jedyną kopalnią z Górnego Śląska reprezentowaną w MKS. Szybko zaczęły strajkować kopalnie, które należą do Rybnickiego Okręgu Węglowego, ale żadna z kopalń sąsiadujących z nami nie próbowała nam pomóc. Kopalnie Bytom, Chorzów, Katowice, Zagłębie – wszędzie cisza. Tym łatwiej było skoncentrować wokół Andaluzji nacisk propagandowy. Cała historia naszego strajku to

dobry przykład, jak można wyciągnąć strajkujących robotników z zakładu, nie używając siły. Byliśmy poddani niesamowitej presji psychologicznej.

W telewizji wciąż mówiono o zagrożeniu pożarowym i rozmaitych incydentach w Andaluzji. Ile w tym było prawdy?

O, tak, przedstawiano nas jako terrorystów. Zagrożenie pożarowe istniało rzeczywiście. Myśmy o tym doskonale wiedzieli, bo codziennie na dół zjeżdżało czterech naszych ratowników, którzy badali tę sytuację. Ale dyrektor, chcąc sprawę rozdmuchać, ogłosił, że jest pożar, i mianował nawet kierownika akcji pożarowej. Do kopalni zaczęły przyjeżdżać po dwa autokary ratowników, a my obawialiśmy się, że zamiast tych ratowników to nam wjadą zomowcy. Wtedy w telewizji podano, że po raz pierwszy w historii górnictwa zdarzyło się, że górnicy nie wpuszcili ratowników na teren kopalni. Sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Myśmy posłali samochodem służbowym do Jastrzębia jednego z członków Komitetu Strajkowego, który miał przywieźć stamtąd pana Henryka Sienkiewicza. To jest doktor inżynier, specjalista właśnie od takich spraw, a także szef Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Nasz człowiek został 150 metrów za kopalnią zatrzymany i do niego nie dotarł.

Obok kopalni bez przerwy kręciła się telewizja i szukała czegoś kompromitującego. Gdy przyjechali ci ratownicy, myśmy wiedzieli, że nie ma żadnego pożaru, więc nie było nam śpieszno, żeby ich tam wpuszczać. Ich ściągano dlatego, że trzeba było założyć 1300 metrów rurociągu posadzkowego, ale to mogliśmy zrobić własnymi siłami. Uzgodniliśmy to zresztą z naszą stacją ratowniczą. Ale dyrekcja była sprytniejsza, bo w ten sposób tworzyło się psychozę strachu. Ciągłe mówiono, że w Andaluzji są terroryści, że odbieramy na bramie dowody, że je drzemy i wrzucamy do ścieku, że w ten sposób terroryzujemy załogę. Postawiliśmy więc warunek, że przed ratownikami wjedzie samochód z naszym człowiekiem i z Sienkiewiczem. Naszego milicja po dwóch godzinach zwolniła i wtedy wpuszciliśmy ratowników. Posłaliśmy znowu po pana Sienkiewicza, który sam przyjechać nie mógł, ale nam polecił swojego kolegę, profesora z Głównego Instytutu Górnictwa. On przyjechał następnego dnia i ocenił sytuację. Myśmy się całkowicie dostosowali do jego zaleceń. On stwierdził, że najlepiej byłoby wznowić wydobywanie z zagrożonej ściany. Zgodziliśmy się na to i doszliśmy do porozumienia z dyrekcją, która ustaliła wysokość wydobywania i wyznaczyła ludzi do pracy.

Co na to strajkujący?

Ludzi denerwowało to, że podczas trwania strajku ktoś ma w kopalni fedrować, choć pracować mieli ci, którzy nie strajkowali. Ale strajk już się kończył i nie zdążyli ruszyć na tej ścianie. Z tego, co wiem, to dotąd nic się tam nie dzieje.

Skończyście strajk jako pierwsza kopalnia. Dlaczego?

Na pewno cała ta sprawa z pożarem przyczyniła się do rozbicia strajku. Poza tym szkalowanie w telewizji, nacisk wywierany na nasze rodziny, plotki o przygotowywanej pacyfikacji

kopalni, próbowano różnych sposobów. Trzydziestu górników powołano do wojska. Przed bramą odbywały się wtedy niesamowite sceny: matki płakały, żony płakały, jedna kobieta przyszła z dzieckiem, wezwała swojego męża, dała mu dziecko na rękę i uciekła, żeby zmusić go do wyjścia. Kopalnia zresztą nie była otoczona przez milicję. Ilość strajkujących topniała nam z dnia na dzień, ludzie uciekali.

Tak szybko wypalił się w nich zapal strajkowy?

Mnie się zdaje, że zdecydowała o tym presja rodzin górników. W Manifeście np. sytuacja wyglądała całkiem inaczej, tam rodziny przynosiły kwiaty, solidaryzowały się ze strajkującymi. U nas było odwrotnie i tego ludzie nie mogli wytrzymać. A dyrektor w geście kurtuazji wprowadził nam konia trojańskiego na cechownię – telewizor. Po przemówieniu Kiszczaka wokół kopalni zgromadziło się ze dwadzieścia milicyjnych starów i z megafoonów popłynął apel naczelnego inżyniera do załogi o wyjście. Powtórzono go trzykrotnie. Gwarantował nam bezpieczeństwo, zadośćuczynienie pieniężne itd.

Obiecał wam więc zapłatę za czas strajku?

Tak. Wszystko za cenę opuszczenia kopalni. Sumienia ludzi się łamały. Niektórzy z kolegów nie mieli odwagi, żeby wyjść, więc wymyślali rozmaite preteksty – jednego dnia na Andaluji urodziło się np. pięćdziesięcioro dzieci.

A jak Komitet Strajkowy reagował, gdy ktoś przychodził i mówił, że chce skończyć strajk i iść do domu?

Postępowaliśmy całkowicie demokratycznie – wypuszczaliśmy każdego. Nawet we wtorek, ostatniego dnia strajku, otworzyliśmy bramy na piętnaście minut – kto chciał, to wychodził. Opuściło nas wtedy około stu osób. Ludzie chowali twarze i wychodzili. To był początek końca.

Jak wyglądał zwyczajny dzień strajku?

W nocy czuwały tylko służby wartownicze. Dzień rozpoczynał się komunikatami, potem była msza. Codziennie. To było ważne. Mieliśmy kontakt z ks. Siemińskim z Gliwic, który co dzień przyjeżdżał do nas do kopalni i odprawiał mszę.

A księży z waszej parafii?

Z naszej parafii był ks. Górnik, a także ks. Wieczorek z parafii św. Józefa. Poza tym mój brat Leszek, który jest na drugim roku teologii dla osób świeckich, troszczył się o to, aby załoga duchowo była podbudowana. Czytał nam homilie ks. Popiełuszki, prowadził rozważania wokół encyklik papieskich.

On też pracuje w kopalni?

Tak. Nas jest trójka braci i wszyscy pracujemy w Andaluzji. Mój najstarszy brat, Piotr, był przewodniczącym Komitetu Strajkowego. On jest po wyższych studiach, ukończył prawo. Atmosfera w kopalni była w sumie dość fajna. Ludzie nie mogli narzekać, że się nudzili, chociaż były duże grupy, które po prostu grały w karty na pieniądze. Ich praktycznie strajk nie interesował, dla nich to była możliwość odpoczynku. W każdym strajku są grupy, które się czynnie udzielają, a są też statyści i to jest normalne.

Doskonale jest znany obraz drugiej bramy Stoczni Gdańskiej z 1980 r., przyozdobionej wizerunkami Matki Boskiej Częstochowskiej i portretem papieża. Czy podobnie udekorowaliście waszą kopalnię?

Wisiąco ze sto plakatów nawiązujących do rocznicy Sierpnia. Były też transparenty. „Maryjo, pobłogosław Solidarność” – taki transparent wielkości trzech metrów wisi na bramie zakładu. Przywieźliśmy go jeszcze z pielgrzymki mężczyzn do Piekar. Były też inne transparenty, oznajmujące o strajku. Fajnie przyozdobiona była cechownia. Mamy tam ołtarz ze św. Barbarą, który po wielu latach wrócił do górników. Wizerunek ten był przez dziesięć lat zamurowany gdzieś na dole kopalni i tam go pilnowano. Dopiero w 1980 r., gdy narodził się nasz autentyczny związek, ktoś się upomniał o tę św. Barbarę, ktoś wiedział o niej. Została wydobyta i do dzisiejszego dnia jest na cechowni.

Czy ludzie rzeczywiście uznawali legalizację Solidarności za najważniejszy postulat?

Nie robiliśmy niczego wbrew załodze, wszystko z nią konsultowaliśmy. Cała lista postulatów, razem z żądaniem legalizacji Solidarności, była ustalona na pierwszym wiecu po rozpoczęciu strajku. Ludzie to zaaprobowali. Świadoma mniejszość uważała na pewno ten punkt za najważniejszy, a dla nieświadomej większości liczą się tylko pieniądze. Dla mnie to nie jest takie istotne, czy podniosą mi pensję o pięć, dziesięć tysięcy, bo – powiedzmy – za dwa dni bułka będzie kosztować sześćset złotych i to mi nic nie daje. Jeżeli nie będę miał swojego autentycznego przedstawiciela we władzach, to wszelkie takie działania są niszczone przez czas. I dlatego tylko rejestracja Solidarności mogłaby nam pomóc w jakiś sposób. Chodzi już nie o wyjście z kryzysu, a o prawa robotnicze. Trzeba zmienić mechanizmy, które kierują gospodarką. Byłbym nawet za tym, ażeby zmienić pewne zasady ustrojowe, gdyż to, co jest teraz, to czysta utopia.

Czy ludzie dobrze pamiętają czasy Solidarności?

W tym strajku jest wielu młodych, którzy 1980 i 1981 r. nie pamiętają w ogóle. Ja przeszedłem przez wszystkie trzy strajki na Andaluzji – ten z Sierpnia, z grudnia 1981 r. i obecny, jestem więc prawie weteranem. Ale ci młodzi uznali Solidarność za swoją sprawę i nawet bardziej się garnęli do działania niż starsi. Wiele nam pomogli. I to może jest nasz największy sukces.

Jaka była cena tego sukcesu?

[43 osoby zwolnione z pracy – cały komitet strajkowy i założycielski. Dwie osoby są już zamknięte, a siedem osób otrzymało wezwania do prokuratora, między innymi ja. A mój brat, ten, który studiuje teologię, już siedzi. Prokurator straszył, że otrzymamy kolegia w trybie przyspieszonym. Chcą nam niby wlepić po pół miliona, bo oszacowali straty, jakie strajk przyniósł kopalni, na ponad pół miliarda]⁸. [– – –] [Ustawa z d. 31 VII 81 r. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 6 (DzU nr 20, poz. 99, zm. 1983, DzU nr 44, poz. 204)].

I wy macie to zapłacić?

No, przynajmniej w części zrekompensować. Ale to wszystko strachy. Mamy zresztą w Katowicach mecenasa Kurcysza, który zawsze służy nam pomocą. Poza tym cały jeden zespół adwokacki w Katowicach jest do dyspozycji poszkodowanych. A w kościele św. Piotra i Pawła w Tarnowskich Górach oraz w Kamieniu i Piekarach Śląskich są punkty pomocy charytatywnej dla rodzin. To bardzo potrzebne, [bo wśród zwolnionych z pracy jest wielu, którzy mają dzieci na utrzymaniu.

Czy oni mogą znaleźć pracę w innych kopalniach?

Nie. Jak tu nas nie przyjmą, to żadna inna kopalnia nas nie przyjmie. Bo to jest zwolnienie dyscyplinarne. Ale będziemy odwoływać się do sądu]⁹. [– – –] [Ustawa z d. 31 VII 81 r. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 6 (DzU nr 20, poz. 99, zm. 1983, DzU nr 44, poz. 204)]. Wydaje mi się zresztą, że to się jeszcze unormuje. Albo wszyscy wrócimy do pracy, albo nie przyjmą tylko tych z czołówki strajku, a resztę przyjmą.

Liczyliście się chyba z takim zagrożeniem, gdy zaczynaliście strajk?

Liczyliśmy, że wygramy sprawę. Jak już stało czternaście kopalń, myśleliśmy, że to pójdzie dalej lawinowo. Przecież Śląsk to jest klucz przemysłu. Gdyby faktycznie te kopalnie solidarnościowo poszły jedna za drugą, to my już mamy wszystko wywalczone. [Albo władza musiałaby się poddać, albo musieliby na nowo wprowadzić stan wojenny. Ale kto się chce cofać o dziesięć lat do tyłu?

Uznawaliście więc postulat legalizacji Solidarności za całkiem realny?

Mnie się wydaje, że związek już wywalczyliśmy. Może władza nie chce tego uznać pod batem strajków, ale myślę, że rozmowy będą prowadzone i tak czy owak do końca roku związek nam oddadzą. Nierealny jest natomiast dalszy upór władzy w tej sprawie, bo prze-

⁸ Zakwestionowane przez cenzurę.

⁹ Zakwestionowane przez cenzurę.

cież za dwa, trzy miesiące może wybuchnąć kolejna fala strajków i tego już nie opanują. A to faktycznie są wymierne straty. Ale czy to kogoś obchodzi?]¹⁰. [— — —] [Ustawa z d. 31 VII 81 r. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 6 (DzU nr 20, poz. 99, zm. 1983, DzU nr 44, poz. 204)].

Opowiedz, jak wyglądało zakończenie strajku.

Strajk się zakończył o godzinie 17 we wtorek 23 sierpnia, po sześciu dniach. Było nas już bardzo mało, ze sto pięćdziesiąt osób, obstawiliśmy tylko bramę główną. Ludzie, którzy chcieli pracować, napierali na nas, wyrwali bramę z zawiasów. Wycofaliśmy się wtedy do cechowni. Tam ks. Siemiński odprawił mszę, po której zaczęliśmy radzić, co dalej. Komitet Strajkowy zaproponował ludziom dwa warianty zachowania: albo przejść, tak jak jesteśmy, do kościoła, tam zakończyć strajk i powołać Komitet Organizacyjny NSZZ Solidarność, tak jak było w maju w Nowej Hucie, albo zabarykadować się jeszcze w cechowni. Ale wtedy to byłoby już tylko takie siedzenie dla siedzenia, reszta kopalni normalnie by pracowała. Odbłyło się głosowanie. 101 osób zdecydowało, żeby przejść do kościoła, a 35 było za okupacją. Zebraliśmy więc rzeczy i w orszaku przeszliśmy do kościoła w Kamieniu. Ludzie płakali, nawet młodzi.

Koniec smutny.

Mnie się wydaje, że ten strajk, mimo że się w ten sposób zakończył, dał nam jakieś sto pięćdziesiąt osób do działania, takich... czystych, sprawdzonych. My wiemy, że tu już nie ma plew, ci ludzie to dopływ świeżej krwi. Sprawdzili się w trudnym momencie i wiadomo, że na nich można liczyć. I to jest jedyna na dzień dzisiejszy pociecha z tego strajku. Bo jakie postulaty będą spełnione, tego nie wiemy. Wiemy tylko to, że z tymi ludźmi możemy coś zrobić. Od razu ich wciągamy do Bractwa Trzeźwości. Bo jak chcesz być wzorem dla innych, to nie możesz chodzić pijany.

Uczestniczycie więc także w ruchu trzeźwości?

W ruchu im. Maksymiliana Kolbego działamy już od 1983 r. Władza wie, że nam nie można nic zarzucić. My jesteśmy czysti, my nie mamy bumelek, nie chodzimy po zwolnienie, gdy pijemy. Ludzi, których pozyskujemy, od razu ustawiamy podobnie.

I ten sam krąg ludzi utworzył Komitet Założycielski NSZZ Solidarność?

Ten sam. 90 proc. członków komitetu to abstynenci. W sierpniu zawsze pikietujemy sklepy monopolowe. Na bramie kalwarii w Piekarach wisi wtedy transparent: „Albo Polska bę-

¹⁰ Zakwestionowane przez cenzurę.

dzie trzeźwa, albo nie będzie jej wcale”. Przed sierpniem w każdą niedzielę podczas mszy czytamy apel do mieszkańców o podjęcie abstynencji przynajmniej w tym miesiącu, jeżeli nie chcą należeć do bractwa. Przy bazylice w Piekarach założyliśmy PTTK i organizujemy wycieczki, wakacje dla dzieci z rodzin zagrożonych alkoholizmem. Mamy specjalny ośrodek w Koszęcinie, którym zajmuje się Kościół, a od nas ludzie jeżdżą jako wychowawcy czy kucharki.

Wszyscy to robią społecznie?

Oczywiście. Na każdy turnus, a to trwa co dwa tygodnie przez całe wakacje, zabieramy ponad trzydzieścioro dzieci. W większości są to dzieci z rodzin zagrożonych, zdarzają się też i takie ze szkół specjalnych. Robimy też wspólne spotkania z okazji św. Mikołaja, opłatka i dla dzieci, i dla uczestników bractwa. Na ostatnim opłatku było 250 takich dzieciaków. Ale żeby nikt ich nie pokazywał palcem, przyprowadzamy też na takie spotkania swoje dzieci.

Czy udało wam się odciągnąć trochę ludzi od wódki?

Trudno jest z tym walczyć. Niekiedy aż siły brakuje, jak się widzi, że nie ma żadnego efektu. Ale my to też robimy dla własnej satysfakcji. Gdyby to było tylko działanie dla efektu, już dawno by się rozpadło.

Jak władze przyjmują waszą działalność?

Jesteśmy traktowani jak wróg numer jeden. Głowa boli, co z nami wyprawiano prze te siedem lat. Potrafiono nas przenieść na inną zmianę, żeby tylko nie było ludzi, np. na pokazie filmu *Całun turyński*. To samo było podczas spotkań z różnymi ludźmi. Teraz, od września, rozpoczynamy cykl szkoleń dla naszych działaczy [związkowych]¹¹. Pierwszym prelegentem miał być doc. Strzelecki¹². Niestety, nigdy już do nas nie przyjedzie... Zastąpi go prof. Czartoryski¹³. Ci dwaj uczeni z Warszawy mieli z nami od dawna kontakty. Przyjeżdżali na wszystkie barbórki bezalkoholowe, które od sześciu lat urządzamy w Piekarach. Przyjeżdżało też do nas mnóstwo aktorów, m.in. Anna Nehrebecka, Andrzej Szczepkowski, Józef Duriasz i wielu innych.

Jak ludzie przyjęli ideę tych barbórek?

¹¹ Zakwestionowane przez cenzurę, bez zaznaczenia ingerencji.

¹² Jan Strzelecki (1919–1988) – socjolog, eseista, lewicowy działacz społeczny. Członek PZPR (do 1979), Klubu Krzywego Koła (w 1956 prezes), Towarzystwa Kursów Naukowych, NSZZ Solidarność. W lipcu 1988 padł ofiarą brutalnego napadu, w którego wyniku zmarł.

¹³ Paweł Czartoryski (1924–1999) – prawnik i historyk nauki, wydawca dzieł Mikołaja Kopernika. Czynny w Solidarności, członek Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ Solidarność, uczestnik rozmów Okrągłego Stołu.

To był ewenement, że górnik może w barbórkę nie pić. Nawet w deputacie barbórkowym górnicy otrzymywali pół litra. Wystaliśmy w tej sprawie list do ministra górnictwa i teraz już nigdzie wódki nie dają.

Trudno więc wam zarzucić, że prowadzicie działania destrukcyjne. [Władze zwlekają jednak z legalizacją Solidarności.

Władza boi się związkowej kontroli. A my nie chcemy przejąć władzy, my chcemy tylko egzekwować to, co nam się należy. I kontrolować. A bez związku tego się w żaden sposób nie osiągnie – to jest klucz]¹⁴. [– – –] [Ustawa z d. 31 VII 81 r. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 6 (DzU nr 20, poz. 99, zm. 1983, DzU nr 44, poz. 204)].

Kraków, 27 sierpnia 1988 r.

¹⁴ Zakwestionowane przez cenzurę.

SALON KULTURY NIEZALEŻNEJ

SNOBIZM I OPOZYCJA

Wiadomo, że w drugiej połowie gierkowskiej dekady, choć rozpoczęła się na dobre od dramatycznych wydarzeń radomskich, odwaga stopniowo okazywała się łatwiejsza. Nie tylko dla odważnych. Nie chciałbym, aby to, co teraz powiem, zabrzmiało antypatycznie czy prowokująco, lecz odwaga nie tylko na szczęście potaniała, ale wespół ze swoimi siostrami cnotą i prawdą zaczęła się opłacać. Pisarzom, artystom, ludziom kultury i sztuki. W przeciwieństwie do kolaboracji i konformizmu, które w czasie najgorszym pozwalały przetrwać. A kiedy skończył się stalinizm, egzystować na poziomie względnie przyzwoitym. Oczywiście ludzie ideowi, różnych zresztą poglądów, pionierzy opozycji, nie liczyli na sukcesy czy nagrody za swój wybór. Wybierali w odruchu etycznym, czyli bezinteresownie. Kierując się, może instynktownie, szekspirowską mądrością. Aby spodziewać się najlepszego. Kiedyś. Na pewno. Ale bez wyznaczania daty. I być też przygotowanym na najgorsze, choćby jutro, tylko nigdy nie tracąc nadziei.

Przekonanie, że jak to określił Władysław Bartoszewski, opłaca się być przyzwoitym człowiekiem (a nawet podejmować w związku z tym jakieś ryzyko), upowszechniło się w świadomości pisarzy i artystów, ludzi – można powiedzieć – zawodowo wrażliwych moralnie, również na swoim punkcie. Nie darmo w Komitecie Obrony Robotników znaleźli się pisarze różnych pokoleń i orientacji. Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Anka Kowalska, historyk literatury Jan Józef Lipski, artystka teatralna Halina Mikołajska. Ten proces promocji odwagi w słusznej sprawie także dzięki ich świadectwom postępował, szybciej lub wolniej, meandrując, ale naprzód. Układność i fałsz, choć mogły się komuś do czegoś przydać, ostatecznie straciły wdzięk, a prawdę mówiąc, nigdy nim nie grzeszyły. Ale, trywializując problem przykładem, stypendia zagraniczne Ministerstwa Kultury ustępowały tym, które mogli uzyskać ludzie związani z opozycją. A władza traktowała przedstawicieli środowiska łagodnie, wyrozumialej niż tzw. zwykłych ludzi. Zwłaszcza jeżeli ci ostatni protestując czy manifestując, zapominali, gdzie jest ich właściwe miejsce. Nawet zwalczani przeciwnicy systemu mogli z jego strony liczyć na więcej grzeczności, byle pamiętała o nich opinia publiczna, najlepiej światowa. Represje zastosowano wobec Ursusa i Radomia wybiórczo, klasowo. Zresztą w całym bloku radzieckim władza samochowawczo mądrzała. Widocznie nauka wielkich rewolucji, francuskiej i październikowej, na coś się jednak przydała. Że kiedy rewolucji nie staje wrogów, poszukuje ich we własnych

TOMASZ ŁUBIEŃSKI

pisarz, dramaturg, eseista, studiował historię i polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Współzałożyciel „Res Publiki”, pracował w redakcjach „Kultury” i „Tygodnika Solidarność”, jest redaktorem naczelnym „Nowych Książek”. Autor wielu książek, m.in. *Bić się czy nie bić? O polskich powstaniach* (1978), *M jak Mickiewicz* (1999), *Ani tryumf, ani zgon. Szkice o Powstaniu Warszawskim* (2004), *1939. Zaczęło się we wrześniu* (2009).

szeregach, pożera własne dzieci. A w Polsce władza nie miała nawet rewolucyjnego pochodzenia, została geopolitycznie zainstalowana. Z czasem uwrażliwiła się na punkcie swojej wiarygodności, przyswajając sobie chętnie patriotyczne hasła.

Pisarzom i artystom mogła zapewnić głównie, że są ważni. Pamiętam, jak podczas dyżurnej dyskusji o polskim dramacie współczesnym jeden z kolegów przechwalił się, że w jego sprawie deliberowano w Komitecie Centralnym. I wzajemnie. Władza snobowała się na artystów i pisarzy. Co rozumiałe: było jednak wygodniej i zabawniej pouczać, besztuć, schlebiać, prowadzić dworskie gry z nieznośnym politycznie pisarzem, niż stanąć oko w oko z tłumem wściekłych łódzkich tkaczek. Albo czuć blisko głuchą, robotniczą nienawiść. Rzecz jasna można było artystę, jak każdego, pozbawić paszportu, wolności (ale to ostatnie już raczej w zawieszeniu). Cenzura stanowiła realną groźbę skazania na milczenie, niebyt (nie każdy czuje się Norwidem i może liczyć na odkrycie przez późnego wnuka), lecz rozwijający się od chwili powstania „Zapisu” drugi obieg literacki łamał państwowy monopol. NOWA do 1979 r. wydała już pięćdziesiąt książek. Działyły oficyny emigracyjne, nierówno przez PRL traktowane. Obsesyjnie wrogo „Kultura” paryska, Instytut Literacki, podczas gdy konszachty z polonijnym Londynem uważano za grzech łżejszy. Nic dziwnego, że Kazimierz Orłoś, który wydał *Cudowną melinę* u Giedroycia pod własnym nazwiskiem, aż do końca dekady znalazł bardzo niewielu naśladowców, choćby kryły ich pseudonimy.

Funkcjonowało kilka obiegów literackich o różnym prestiżu i znaczeniu politycznym. Konkurowały ze sobą o autorów i czytelników. Nie licząc zasadniczo zgodnego z linią partii i rządu, który można by określić jako reżimowy. Ale za zezwoleniem cenzury (i w walce z nią) ukazywały się również śmiałe książki, takie jak – żeby ograniczyć się do literatury faktu – *Zdążyć przed Panem Bogiem* czy *Rozmowy z katem*. Drugi obieg stawał się dla pierwszego alternatywą i tym sposobem zwiększał szansę odwołań od cenzorskich decyzji. Wśród czasopism, które wychodziły oficjalnie, nobilitował „Tygodnik Powszechny”. Można

powiedzieć, że istniał zresztą przez cały PRL obieg kościelny, który podlegał kontroli na innych zasadach.

Wszystko bardzo było skomplikowane i czasami mogło sprawiać wrażenie, że i dla władzy, i dla opozycji, negatywnie czy pozytywnie, ważniejsze było „gdzie”, niż „co” jest publikowane. Natomiast „jak”, czyli wartości artystyczne, było już na dalszym miejscu. Zaistniało niebezpieczeństwo, że wspomniana już odwaga stanie się dla pozacenzuralnej krytyki dodatkowym ważnym kryterium oceny dzieła. Odwaga – słowo piękne, tylko że można ją mierzyć zależnie od okoliczności. Zresztą dla obu stron liczyła się nie tylko twórczość, również działanie. Głosowanie w stowarzyszeniach artystycznych, aktywność na nielegalnych zebraniach, wreszcie podpisywanie apeli czy protestów pod adresem władz, które niczego takiego przecież sobie nie życzyły. Podpisywanie – można powiedzieć – tradycyjne, bo najważniejsze listy 34, 59 czy 101 miały miejsce już wcześniej. Ale okoliczności, mechanizmy psychologiczne towarzyszące podejmowaniu opozycyjnego ryzyka działały zarówno gdy chodziło o krok zdecydowany, np. udział w głódówce, kontakt z „Kulturą” paryską albo Wolną Europą, jak i poparcie dla opozycji poprzez kolportowanie wydawnictw czy anonimową zbiórkę pieniędzy. Albo ryzyko życiowe, polegające np. na oddaniu piwnicy do dyspozycji podziemnych drukarzy lub przechowywaniu poszukiwanych. Stanowiło to zawsze wyzwanie nieznanego, bo reakcji władz nie sposób było przewidzieć. Każdy narażał się na swoją miarę, ale przecież zawsze kusiło, aby tę naturalną granicę przekroczyć. Udowodnić sobie: nie boję się, stać mnie na to i na tamto też. Nigdy oczywiście nie brakowało racjonalnych argumentów, żeby się cofnąć. Uczciwie zresztą: ze względów rodzinnych, zdrowotnych, materialnych. Czy nawet społecznych: gdyby to tylko ode mnie zależało, ale jestem własnością również kultury polskiej; chociaż brzmiało to wykrętnie, była w tym racja, bo np. filmowcom czy ludziom teatru państwo (monopolista) mogło odebrać twórczy warsztat. Ale koniec końców rzecz sprowadzała się do biblijnego tak czy nie. Jeżeli ktoś nie mógł, w porządku; dosta-

tecnie nie chciał, jego problem. A siebie jak wiadomo najtrudniej, właściwie nie da się, oszukać.

Zrozumiałe naturalnie, że garnie się do działania niejeden młody poeta czy malarz, w każdej rewolucji jest ich pełno. Niewiele ma za sobą, niewiele do stracenia, a zyskać może, jeśli szczęście będzie mu sprzyjało, podziw w środowisku. Z kolei literat zmęczony, zużyty, może wykonując opozycyjny gest doznać faustycznego odrodzenia. Oto zdarzyło mu się coś nowego, jak może kiedyś, dawno, dawno temu. Odważnego, niebezpiecznego. W tej sytuacji to, co ma za sobą, traci na wartości. Co więcej, taka decyzja, na ogół nieodwołalna, przynosi wolność od taktycznych uwikłań. I poczucie uczestniczenia w czymś ważnym: neutralność w momencie przemian bywa trudna do utrzymania. Samotni łatwiej poddają się złym nastrojom, podatniejsi są na załamanie czy manipulację.

Środowisko opozycyjne miało wobec milczącej, ale sprzyjającej solidarnie i od pewnego momentu snobistycznie większości – takiej szarej strefy, ładniej byłoby nazwać ją opozycyjną otuliną – taktykę znacznie skuteczniejszą niż złośliwa, pamiętliwa, nielojalna władza. Szantaż patriotyczny i bojkot towarzyski. Odwoływanie się do sumienia, działanie na ambicję. I nie mając żadnej materialnej władzy, stopniowo, rok za rokiem, zdobywało nieformalny, więc tym trudniejszy do zwalczania, rząd dusz. Przydawały się też socjotechniczne, a wywodzące się z chrześcijańskiej tradycji sposoby dusz pozyskiwania. Więc robotnicy ostatniej godziny starali się udowodnić, że słusznie są traktowani nie gorzej niż ci z pierwszej. Zbłąkana owca była przedmiotem specjalnej troski i daru zaufania nigdy już nie zawiedzie. Bardziej niż represji wolno było obawiać się opinii publicznej, bo dotyka ona zarówno społecznego, jak prywatnego życia.

Taki, nieformalny wprawdzie, rząd dusz oznaczał jednak jakąś sprawiedliwszą władzę nad ludźmi. Choć często ferowano wyroki samowolnie albo wysta-

wiano pochopnie świadectwa moralności. Zdarzały się przykre pomyłki, skoro wśród pisarzy i artystów szczególną rolę odgrywają zaszłości, osobiste anse czy sympatie. Stosowano subiektywne, ale bardzo skuteczne kryterium potęgi smaku. Dawał o sobie znać darwinizm literacki. Próbowano korygować hierarchie pisarskie. Stąd Iwaszkiewicz czy Różewicz tracili (pozornie, przejściowo) należne im miejsce.

Rywalizacja obiegu, pierwszego i drugiego czy literatury krajowej i emigracyjnej (którą tuszowano w imię patriotycznej poprawności), choć nie przyniosła sama przez się wielkich dzieł, sprawiła jednak, że powiązane z polityką trudne nocne rozmowy rodaków, pisarzy i artystów stworzyły mocną wspólnotową tkankę.

Pisał Dante: „za zło mieć karę, za dobro nagrodę, nie, to zbyt proste” – i takie nie było. Choć wielu żałuje, że nie dosyć uczestniczyli, naprawdę wszystko mogło się źle skończyć. Inni znów czują się niedocenieni, jakby poprzez sam fakt swojego udziału nie odebrali już należnej nagrody. Co wymagało determinacji. Bo tu nie wystarczały dobre skłonności i słuszne poglądy. Skazanie siebie na drugi obieg groziło przecież marginalizacją. Wydawnictwa emigracyjne były mało dostępne. Samizdatowe druki słabo czytelne. Wolnego radia słuchano bardziej dla polityki niż dla kultury. A byli też pisarze, którym uchodziło funkcjonowanie w kilku obiegach równolegle. W tym poza cenzurą, dzięki stosowaniu asekuranckiej formuły: „bez wiedzy i zgody autora”, bo w tych latach wyboru wybierano także taktykę, unikanie konfrontacji, skuteczność ceniono wyżej niż efekt. I bardzo dobrze, że tym razem niepotrzebna była, jak napisał Herbert, wielka odwaga. Że opłacało się, będąc pisarzem czy artystą, kierować się smakiem. Bo może dlatego m.in. większa liczba ludzi kultury i sztuki stanęła po słusznej stronie, odegrała w czasie pierwszej Solidarności istotną rolę.

EUROPA GEORGE'A MINDENA

PAWEŁ SOWIŃSKI

dr hab., absolwent historii na Uniwersytecie Warszawskim, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Publikował na temat obchodów 1 Maja, historii turystyki w PRL oraz opozycji demokratycznej. W 2011 r. opublikował pracę *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*.

Na marginesie podłużnej kserokopii ze znaczkiem Archiwum Hoovera duży wykrzyknik dopisany ołówkiem ręką profesora. Obok czytamy: „Jerzy Giedroyc, redaktor paryskiej »Kultury«, przyznał 300 dolarów stypendium młodemu polskiemu historykowi na trzymiesięczny pobyt w Paryżu, by przeprowadzić badania do książki o powojennej Polsce. Ma się ona ukazać pod pseudonimem w Bibliotece Kultury”. To chyba chodzi o mnie – mówi prof. Andrzej Paczkowski i przekazuje mi pękatą teczkę papierów ze słonecznej Kalifornii. Nie miałem łatwo z tym wyjazdem – wraca myślami do czasów Gomułki. Nie mogłem przecież oficjalnie pozyskać żadnych pieniędzy ani powiedzieć, po co jadę. Wyjeżdżałem na wizie prywatnej – zaproszenie od pewnej Francuzki. Opłaciła mi podróż, w zamian gdy byłem we Francji, przyjechała do Polski i zamieszkała w moim mieszkaniu – wspomina lata, kiedy nadzieje na takie badania naukowe wyglądały bardziej niż mizernie¹.

Ciągle spotykam kolegów-historyków, którym kiedyś wręczano na Zachodzie zupełnie nowe książki, nie żądając ani grosza. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych dostałem całą walizkę miniaturek w księgarni polskiej w Paryżu – wspomina Andrzej Żbikowski. W sierpniu 1985 r. na pielgrzymce historyków Uniwersytetu Warszawskiego w Rzymie zaoferowano mi w prezencie m.in. *Dzieje Polski* Mariana Kukiela w pomniejszonym formacie – mówi Andrzej W. Kaczorowski, historyk wsi. Napchałem wydawnictwami plecak do połowy, przykryłem rzeczami osobistymi – odtwarza powrót z Londynu Dariusz Stola. Niepodróżujący za granicę specjaliści z różnych dziedzin przecierali oczy ze zdumienia, wyjmując ze skrzynek pocztowych przesyłki od niespodziewanych przyjaciół, a w nich spe-

¹ Autor składa serdeczne podziękowania prof. Andrzejowi Paczkowskiemu za kwerendę w Archiwum Hoovera w Stanford w USA i udostępnienie swoich notatek. Archiwum Hoovera, Kolekcja Mindena, 2007 C35-141, 06 (dalej: Kolekcja Mindena), box 3, *East-West contacts*, 1 VII – 31 XII 1967, s. 11. Takie malutkie granty mogły być jedynie uzupełnieniem budżetu, czasami pozwalały na przedłużenie pobytu o pewien czas bądź na bardziej swobodne podróżowanie. W 1966 r. przyznano je trzydziestu polskim przybyszom z programu publikacji i projektów specjalnych Komitetu Wolnej Europy, jak wówczas nazywała się komórka Mindena. Więcej na temat raczej skromnej egzystencji Polaków w Paryżu zob. M. Kula, *Mimo wszystko bliżej Paryża niż Moskwy. Książka o Francji, PRL i o nas historykach*, Warszawa 2010.

cialistyczne książki obcojęzyczne, a nawet katalogi z zachętą do zamawiania publikacji. Dziś takie rzeczy się nie przytrafiają. Niektórzy może nadal zadają sobie pytanie, kto krył się za tymi cudownymi podarunkami i jak to wszystko funkcjonowało.

Amerykanie! Oni – jak nikt inny – żywili przekonanie, że dobre książki przyczynią się kiedyś do demokratyzacji społeczeństw Europy Wschodniej. Od 1957 r. wytrwale rozwijali program wysyłania tu książek. Ogółem zakupiono z budżetu federalnego i przekazano za żelazną kurtynę 10 mln publikacji, w tym 4 mln do Polski². Operacja miała charakter długofalowy, wyrastała z amerykańskich koncepcji powolnego zbliżania, niewidzialnego wnikania, pokojowej koegzystencji³. Dwanaście lat po zakończeniu drugiej wojny światowej nikt już nie miał złudzeń, że podział na dwa wrogie obozy jest względnie trwały. Wartościowe lektury miały być inwestycją w dalszą przyszłość. Z czasem mogły przecież doprowadzić do zmiany mentalności wśród naszych elit (także komunistycznych) na bardziej prozachodnią, do poprawy stosunków, lepszego rozumienia się.

Utrzymać co się da z dawnej duchowej i intelektualnej wspólnoty w rozdartej politycznie Europie – o tym marzyli organizatorzy tego niecodziennego zamierzenia. Środkowoeuropejskich intelektualistów związanych tradycjami i inspiracjami z Zachodem nie trzeba było dwa razy zapraszać. Mieli oni duże, niezaspokojone apetyty czytelnicze. Europejskie kompleksy lub aspiracje, w każdym razie poczucie odcięcia od najnowszej literatury światowej. Akcja od początku rozwijała się na korzystnym podłożu kulturowym. Książki i czasopisma wraz z Radiem Wolna Europa tworzyły pakiet edukacyjny, który dla krajów i narodów ujarzmionych przez ZSRR miał się stać substytutem wolnych mediów. Ten niepozorny przepływ idei powoli podmywał fundamenty systemu

sowieckiego, opierającego się właśnie na izolacji tej części Europy. Naszym celem jest też walka z nudą, miernością, irracjonalnością i prowincjonalizmem – pisali pomysłodawcy w lekko misyjnym tonie⁴.

Od 1950 r. podobny zamiar przyświecał Kongresowi Wolności Kultury z siedzibą w Paryżu – wspólnemu przedsięwzięciu intelektualistów europejskich i amerykańskich, emigracyjnych i zachodnich, przeciwstawiających się ideologii komunistycznej, z niepokojem patrzących na kulturowo-ideologiczną ofensywę ZSRR na świecie. Pod dyskretnym patronatem Amerykanów, ale bez ingerowania w meritum, ukazywały się przez lata pisma ważne dla promocji wolności – „Encounter” (Melvin Lasky), „Prevues” (Konstanty Jeleński i François Bondy) czy „Tempo Presente” (Nicola Chiaromonte i Ignazio Silone). Dzięki subsydium zza oceanu drukowano również książki zachodnioeuropejskich twórców. Pomocą dla naukowców i artystów z naszej części Europy okazały się fundowane przez Kongres książki i niewielkie stypendia dla wojażujących na Zachód, a także możliwość wymiany myśli, pobudzenie dialogu z ważnymi postaciami frontu antytotalitarnego w Europie⁵.

Ten walor miała również niżej opisywana historia. Misja modernizacyjna Zachodu – nie pierwsza w historii Europy Środkowej – przybrała w tym wypadku kształty bardzo dla nas przyjemne, pokojowe, intelektualne. Posyłano albumy z malarstwem, podręczniki, słowniki, paryskie żurnale, literaturę obcojęzyczną na tematy historyczne, socjologiczne, filozoficzne, niegroźne ideologicznie powieści. Czasami, głównie na początku akcji, odbywało się to na zasadzie wymiany za książki z Europy Wschodniej. Ale wspierano również – w skryty sposób – ośrodki wydawnicze emigracji, a za ich pośrednictwem krajowych pisarzy, naukowców, w latach osiemdziesiątych niezależnych wydawców, dziennikarzy. Dwa razy do

² M. Rudzki, *Akcja masowych przekazów książek do Polski w latach 1956–1994*, „Zeszyty Historyczne” 2000, nr 134, s. 217–224.

³ Z. Brzeziński, *Europa bez podziału. Właściwe zadania polityki amerykańskiej w Europie*, Londyn 1966 (wydanie amerykańskie opublikowano rok wcześniej).

⁴ Kolekcja Mindena, box 3, George Minden, *The Book Project. A Presentation*, 18 VII 1969.

⁵ P. Grémon, *Konspiracja wolności. Kongres Wolności Kultury w Paryżu (1950–1975)*, Warszawa 2004; F.S. Saunders, *The Cultural Cold War. The CIA and World of Arts and Letters*, New York 2000.

roku podróżował do Europy, odwiedzając księgarnie i wydawnictwa, George Minden, szef tego programu. Tajemniczy, elegancko ubrany mężczyzna w szarym garniturze – jak go określili czechosłowackie służby wywiadowcze⁶.

Szefował International Literary Centre, mieszczącemu się w szklanym wieżowcu przy 475 Park Avenue South na Manhattanie, nieopodal Piątej Alei. Organizacja Mindena powiązana była co prawda z CIA – twierdzą amerykańscy badacze – ale ten urodzony w 1920 r. w Bukareszcie poliglota i kosmopolita z wyższych sfer nie pasował do wizerunku agenta wywiadu i raczej nie na tym polegała jego rola. Tuż po wojnie uciekł z opanowanej przez komunistów Rumunii. Zostawił majątek rodzinny i zaczynał nowe życie. Może dlatego dobrze rozumiał uciekinierów z Europy Wschodniej. Sam był jednym z nich. Początkowo studiował w Londynie, następnie wykładał w Cambridge, pracował w Madrycie i w mieście Meksyk. W połowie lat pięćdziesiątych porzucił dla Stanów Zjednoczonych spokojne życie naukowca i szybko pozyskał zaufanie nowych chlebodawców. Przez kolejne trzydzieści parę lat stał na czele – jak to ujął ktoś po jego śmierci – zimnej wojny na pióra z blokiem radzieckim⁷. „To był człowiek literatury” – charakteryzuje go krótko Eugeniusz Smolar, dawniej w redakcji emigracyjnego Aneksu, czołowy organizator pomocy dla kraju i londyński rozmówca Mindena⁸.

Bardzo uprzejmy, elegancki, kulturalny, niewiele mówił o sobie – wspomina Barbara Toruńczyk, redaktor „Zeszytów Literackich”, które właśnie obchodzą trzydziestolecie istnienia. – Przygotowywaliśmy

długie listy książek literackich, nowości i starszych wydań, zazwyczaj obcojęzycznych. On te życzenia realizował w sposób szalenie hojny. Nie stawiał żadnych ograniczeń, mimo że nasze zainteresowania jawiły się wówczas jako dość ekstrawaganckie – w Polsce trwał stan wojenny. Wyszukiwanie takich upragnionych pozycji stało się wręcz naszym hobby. Minden wybierał piękne miejsca na spotkania. Umówił się kiedyś ze mną w Angelinie, stynnej ciastkarni przy ogrodach Tuileries – ciągnie Toruńczyk. – Zaprosił mnie na suflęt czekoladowy. To był mój pierwszy suflęt w życiu. Zachowywał się niestychanie życzliwie. Zdawał sobie sprawę z naszej trudnej sytuacji. Miał dla nas różne dobre rady, jakby chciał się nami zaopiekować⁹.

Przystojny dżentelmen w kapeluszu – takim widzimy go na jednym z nielicznych opublikowanych zdjęć. Odwiedzał „księgarskie kantory” w Londynie, Genewie, Paryżu, Rzymie, Monachium i Wiedniu. Spotykał się na śniadaniach, lunchach, kolacjach z intelektualistami i przemysłowcami, starymi żołnierzami Andersa, buntownikami z pokolenia ‘68 oraz „nowymi Polakami” – uchodźcami z Polski stanu wojennego. Jego postać – owiana mgiełką tajemnicy – pobudzała wyobraźnię niektórych jego interlokutorów. Odbył dziesiątki taktownych rozmów, które pozostawiły po sobie ślady w archiwach amerykańskich. Minden – przenikliwy i dyskretny – miał pewne rozeznanie w polskim światku. Wypytywał o ludzi, nastroje, sytuację polityczną. Zapisywał też plotki, czasami jednak zupełnie niedorzeczne, jak ta z 1980 r. o potajemnym ślubie Jerzego Giedroycia i Zofii Hertz¹⁰. Jego obserwacje układają się w ciekawą,

⁶ J. Matthews, *The West's Secret Marshall Plan for the Mind*, „International Journal of Intelligence and CounterIntelligence” 2003, nr 16, s. 409–427; B. Fischer, *Solidarity, the CIA and Western Technology*, *ibidem* 2012, nr 25, s. 427–469; M. Rudzki, *Akcja masowych przekazów książek...*, s. 217–224; A.A. Reisch, *Ideological Warfare during the Cold War: The West's Secret Book Distribution Program Behind the Iron Curtain*, „Magyar Kulugyi Szemle”, grudzień 2009. W najbliższym czasie ukaże się książka Reischa *Hot Books in the Cold War. The CIA-Funded Secret Book Distribution Program behind the Iron Curtain*.

⁷ D. Martin, *George Minden Dies, 85, Led a Cold War of Words*, „New York Times”, 23 IV 2006.

⁸ Relacja Eugeniusza Smolara, 4 X 2006, w zbiorach autora. Za komentarze i korektę tekstu dziękuję również Ninie Smolar, szefowej wydawnictwa Aneks.

⁹ Relacja Barbary Toruńczyk, 14 IX 2012, w zbiorach autora. Według notatek Mindena po raz pierwszy spotkał się z Barbarą Toruńczyk w czerwcu 1983.

¹⁰ Trzeba jednak przyznać, że plotkę tę – usłyszaną od Witolda Zahorskiego w Rzymie – później starał się potwierdzić u innych rozmówców i w końcu doszedł do wniosku, że jest fałszywa.

niepozbowiony ironii portret polskiej diaspory politycznej¹¹.

Książkowa erudycja i kultura osobista szły u Mindena w parze ze zdolnościami menadżerskimi. Może dlatego, że skończył tuż po wojnie London School of Economics. Z nowojorską centralą Mindena współdziałało wielu emigrantów różnych narodów, temperamentów i pokoleń rozsianych po Europie Zachodniej. Publikacje przenikały do Polski, Węgier, Czechosłowacji, Rumunii, Bułgarii, niektórych części Związku Radzieckiego (nie posyłano ich tylko do NRD). Koordynował więc skomplikowane logistycznie przedsięwzięcie, wymagające nieszablonowych pomysłów. Jego struktura przypominała system naczyń połączonych poziomo i pionowo – książki krążyły zarówno między Ameryką i Europą, jak i europejskimi partnerami ILC. Dbał o raporty i księgowość, doglądał interesu, ustalał limity darmowych publikacji, zabiegał o rabaty, pomagał i doradzał. Analizował ofertę pod kątem chodliwości, domagał się potwierdzeń od czytelników z Polski, baz adresowych, fiszek, katalogów wysyłkowych – tworzył w istocie coś w rodzaju klubu dobrej książki dla Europy Wschodniej¹².

W chwilach szczególnie trudnych, gdy nic więcej nie można było zrobić, te wydawnictwa stawały się dla ludzi symbolicznym znakiem solidarności. W 1968 r., niedługo po zdławieniu praskiej wiosny, nadszedł przejmujący list z Pragi: „teraz bardziej niż kiedykolwiek państwa wymiana kulturalna jest czymś więcej niż tylko osobistym darem. Pozwala nam mieć nadzieję, że nasz kraj cieszy się sympatią świata w swojej walce przeciwko tym, którzy naruszyli nasze granice i pogwałcili fundamentalne zasady przyzwoitości, powszechnie szanowane między narodami”. Dzięki akcji Mindena Zachód docierał z zakazaną wiedzą w momentach kluczowych kryzysów komunizmu. International Literary Centre bardzo szybko udało się

wydać w różnych językach i wprowadzić do międzynarodowego obrotu tzw. Czarną księgę – dokumentację demaskującą interwencję państw Układu Warszawskiego. W ślad za tą publikacją poszły następne¹³.

Wyprawy przemysłnicze do Czechosłowacji organizowali m.in. Jan Kavan, Alexander Tomskey, hrabia Richard Belcredi i Pavel Tigrid, „stary przyjaciel, mój czeski redaktor, w 1958 roku zaczynałem z nim akcję wysyłkową” – jak napisał o nim Minden. Ci dwaj ostatni z jego czeskich kontaktów w latach osiemdziesiątych posyłali z Niemiec do Pragi przebudowane samochody, a w nich publikacje emigracyjne ukryte w podwójnym zbiorniku na paliwo. Wspomina o tym Belcredi, który po 1989 r. wrócił do Czech i osiadł na starość w dawnym pałacu rodzinnym¹⁴. Kupowali również kawior od sowieckich marynarzy na Zachodzie. W zamian prosili ich o zabieranie egzemplarzy Biblii, którą później odsprzedawano na radzieckim czarnym rynku. Belcredi wydaje się trochę zmanierowany, miałem na niego skargi z Pragi – martwił się Minden – „jego ludzie dostarczają przesyłki z pozdrowieniami od hrabiego Belcredi”¹⁵. Ale może było to raczej czeskie poczucie humoru, które w sytuacji zagrożenia nie mogło się, rzecz jasna, wszystkim udzielić.

Jan Kavan – syn czeskiego komunisty skazanego kiedyś za „kosmopolityzm” i angielskiej nauczycielki o imieniu Rosmary – miał nieco inne przygody. Wyjechał do Wielkiej Brytanii w marcu 1969 r., po upadku praskiej wiosny. Na przedmieściach Londynu ulokował swoją bazę – Palach Press. Namiętny i zasadniczy, zaprzędany duszą i ciałem sprawie pomocy dla dysydentów – tak zapamiętali go przyjaciele z tych londyńskich lat. Poza rozdawaniem w Londynie Kavan przygotowywał również „wycieczki samochodowe na obszary docelowe” – jak określał to Minden. Pomogły w tym zażyłe kontakty w środowisku zachodnioeuropejskiej lewicy. Specjalnie przerobione busy kampin-

¹¹ Kolekcja Mindena, box 2, *European trips reports*, 6 V – 3 VI i 29 X – 21 XI 1983.

¹² D. Martin, *George Minden Dies...*

¹³ *Sedm pražských dnů. 21–27 srpen 1968. Dokumentace*, Praha 1968. Książka została przygotowana przez czeskich akademików jeszcze przed nastaniem „normalizacji”. Kolekcja Mindena, box 3, George Minden, *The Book Project. A Presentation*, 18 VII 1969.

¹⁴ Rozmowa z Richardem Belcredim, www.pamietnaroda.cz.

¹⁵ Kolekcja Mindena, box 2, *Report from European Trip*, maj 1985.

gowe jeździły kilka razy w roku do Czechosłowacji od początku lat siedemdziesiątych aż do kwietnia 1981 r., kiedy to na przejściu granicznym z Austrią zatrzymano do kontroli podejrzanego peugeota. W ręce czechosłowackiej policji trafiła nie tylko literatura (ponad 400 kilogramów, w tym o polskiej Solidarności), ale także dwoje kierowców – młodych francuskich trockistów¹⁶.

Był to jeden z bardziej dramatycznych momentów w historii czeskiego samizdatu. W Pradze zatrzymano kilkudziesięciu działaczy opozycyjnych, siedmiu spędziło rok w areszcie¹⁷. Ich związek z kanałem przesyłowym Kavana – „kanałem życia”, jak nazywali go prascy opozycjoniści – pozostaje nie w pełni wyjaśniony. Tego feralnego razu Kavan włożył między książki rulon z listą prenumeratorów, którą dostał od Tigrida na potrzeby dystrybucji¹⁸. Została ona znaleziona, choć nie wiadomo, czy rozszyfrowana. Policja miała jednak w środowisku odbiorców tajnych przesylek agenta, który wydał ten szlak i znanych sobie czytelników. Dla Kavana oznaczało to tylko początek kłopotów. Najpierw oskarżony przez telewizję brytyjską o nieostrożność, potem, już po 1989 r., w Czechach – o współpracę ze służbą bezpieczeństwa, przez lata walczył o swoje dobre imię¹⁹. Oskarżenia i procesy „Jana K.” nasuwały skojarzenia z Józefem K. i powieścią innego prażanina, Franza Kafki. Szybko

stały się dość głośne na świecie jako przykład nieco absurdalnych pułapek przeszłości²⁰.

Londyńskie mieszkanie Kavana – spał na materacu wciśniętym między powielacze i komputery – pozostawało do 1989 r. centralą przemysłowych operacji²¹. Stał się on jednak ostrożniejszy niż dawniej – odniósł wrażenie Minden w maju 1985 r. W kwietniu 1987 r. Kavan jednak mocno zaryzykował. Niespodziewanie przyjechał do Pragi jako Ian James na brytyjskim paszporcie. W Czechosłowacji, tak jak jego kurierzy, udawał zachodniego turystę. Na jednym ze zdjęć widzimy go w praskiej gospodzie z aparatem fotograficznym w ręku wśród przyjaciół z opozycji, co zresztą parę lat później tylko podgrzeje atmosferę oskarżeń o rzekomą współpracę z tajnymi służbami²². W sumie jego kanałami napłynęło do Czechosłowacji około 10 ton literatury. W drogę powrotną do karawanów ładowano dokumentację, rękopisy, nakręcone filmy, które potem Kavan publikował na emigracji lub przekazywał zachodnim mediom, bibliotekom uniwersyteckim, zachodnim dyplomatom. Tą drogą do Komitetu Noblowskiego trafiły materiały dotyczące Jaroslava Seiferta przed przyznaniem mu nagrody w 1984 r.²³

„Tomsy teraz wziął na siebie robotę dla Tigrida, którą kiedyś wykonywał Kavan. Musi być ona prowadzona z wielką dbałością i dyskrecją” – zapisał Minden w maju 1983 r. Alexander Tomsy emigrował jak

¹⁶ J. Kavan, *Spravedlnost s náhubkem*, Brno 1996, s. 15–18; P. Vachalovský, P. Žáček, *Jan Kavan v labyrintu služeb*, Praha 2003, s. 240–241 (tam omówienie akt służby bezpieczeństwa na temat Kavana).

¹⁷ D. Kaiser, *Dissident. Vaclav Havel 1936–1989*, Praha – Litomyšl 2000, s. 180. Władze rozgrywały sprawę propagandowo. W telewizji pokazywano skonfiskowane materiały, podawano nazwiska, oskarżano o agenturalne powiązania z Zachodem. Procesu jednak nie zdecydowano się wytoczyć.

¹⁸ Tigrid, redaktor pisma „Svedectvi”, prowadził również dużą akcję wysyłkową z Paryża i miał sporą bazę adresową. Posługiwał się komputerowo drukowanymi naklejkami na koperty. Ale, jak twierdzi, nie wiedział, że Kavan nierozsądnie wysłał je tym samym transportem co książki. Kolekcja Mindena, box 2, *Report from European Trip*, maj 1985; P. Tigrid, *Mně se nestýskalo*, rozm. P. Kotyka, Praha 2010, s. 104–105.

¹⁹ Epilog autorstwa Jana Kavana do ostatniego wydania wspomnień jego matki Rosmary Kavan *Love and Freedom*, Fiber Finds 2009; L. Weschler, *Opowieści środkowoeuropejskie*, Warszawa 2008.

²⁰ L. Weschler, *Opowieści środkowoeuropejskie...*; A. Kershaw, *The Trial of Jan K.*, „Independent”, 20 IX 1992.

²¹ L. Weschler, *Opowieści środkowoeuropejskie...*, s. 146–147.

²² L. Weschler, *Calamities of Exile: Three Nonfiction Novellas*, University of Chicago Press 2009, s. 90. Do Pragi przyjechał ponownie w 1988 r. Znów potajemnie. Przez 20 emigracyjnych lat dysponował w sumie dziesięcioma brytyjskimi paszportami – wydanymi na różne nazwiska, co chyba nie mogłoby się zdarzyć bez pomocy rządu Jej Królewskiej Mości. (Przyjeżdżał pod fikcyjnym nazwiskiem m.in. do Warszawy i Budapesztu). Podejrzewania budziła też łatwość przekraczania granicy czechosłowackiej i ryzykanctwo Kavana – trudne do wyobrażenia dla przeciętnych obywateli Czechosłowacji.

²³ J. Kavan, *Spravedlnost s náhubkem...*, s. 15–18.

Kavan po upadku praskiej wiosny. Ten konserwatysta z przekonania znalazł zatrudnienie w podlondyńskim Keston College, uruchomił emigracyjne pismo „Rozmłuvy”. Prawdopodobnie uczestniczył w operacjach Mindena od wczesnych lat siedemdziesiątych. „Był żarliwym katolikiem, ale pracował u angielskich protestantów. Przemyczał za ich pośrednictwem, mieli dobre kontakty z Czechach” – wspomina Tigrid, który po wpadce Kavana związał się z Tomskim²⁴. „Znów się udało, nikt nie został złapany” – mówił rozentuzjzmowany Tomski Mindenowi w połowie lat osiemdziesiątych, po kolejnym zakończonym sukcesem transporcie. Współpracował wówczas z kilkunastoma kurierami, wysyłał ich do Pragi, Brna i Ołomuńca. Swoje możliwości przemysłnicze oceniał na 120 kilogramów kwartalnie (17 kilogramów dla każdego adresata). Pomny niebezpieczeństw tej pracy nigdy nie umawiał wcześniej terminów ze swoimi odbiorcami. Jego wysłannicy zawsze przyjeżdżali niespodziewanie – jakby mieszkali dwie ulice dalej²⁵.

Możemy się tylko domyślać, jakie jeszcze trudności jeżyły się przed tymi śmiałkami. Minden nie pozostawił po sobie niestety żadnych wspomnień²⁶. Nie wiemy nawet, do kogo adresował swoje notatki z podróży europejskich. Na pewno Europę rozumiał jako pewną jedność. Tysiące potwierdzeń i podziękowań, jakie napływały zza żelaznej kurtyny, umacniały w nim poczucie sensu. Dla „klubowiczów” z Polski miał zawsze sporo nowości i duży wybór publikacji, jako że siatka polskich ośrodków wydawniczych i księgarni na

Zachodzie działała w miarę prężnie. Bez zaangażowania Polaków cały program z pewnością nie przybrałby tych rozmiarów. Wysiłki Mindena na rzecz poszerzenia swobody myślenia oznaczały zakup kilkuset, czasami tysiąca, egzemplarzy nakładu głównych polskojęzycznych wydawnictw emigracyjnych. Część, jak wiemy, wysyłano do Polski pocztą, ale prawie połowa całego kontyngentu została rozdana przyjezdnym zza żelaznej kurtyny w ośrodkach polskiej kultury na Zachodzie²⁷.

Placówka jest w wyśmienitej kondycji i obchodzi pod koniec roku 150-lecie – zanotował po wizycie w paryskiej Librairie Polonaise²⁸. Po powstaniu listopadowym szmuglowano stąd dzieła m.in. Adama Mickiewicza, w zmniejszonym formacie, na cienkim papierze, tłoczone drobną czcionką. Czy Minden zdawał sobie sprawę, że wpisuje się w ten długotrwały ciąg historycznych zdarzeń? On i jego drużyna to współczesne wcielenie tamtych „orędowników wolności”, banitów i tułaczy. Żeglarzy zapuszczających się pod osłoną nocy z Anglii na francuskie wybrzeże z literaturą dla zwolenników republiki. Uchodźców znad Łaby i Renu, członków organizacji spiskowych z lat 1833–1843, rozsiewających swoje „wywrotowe” publikacje z Paryża do krajów niemieckich. Mazzinistów, karbonariuszy, uczestników nieudanej wyprawy sabaudzkiej, szukających „okazji” – przez Brukselę do Szwajcarii, a stamtąd do Lombardii, Wenecji, Piemontu, w bagażach kupców, księgarzy, marynarzy. Wreszcie wygnanych z ojczyzny polskich powstańców,

²⁴ P. Tigrid, *Mně se nestýskalo...*, s. 95.

²⁵ Działalność Tomskiego została odnotowana – choć bardzo pobieżnie – w monografii na temat czeskiego katolickiego samizdatu: M.E. Holečková, *Cesty českého katolického samizdatu 80. let*, Vyšehrad 2009. Rozmówcy Holečkovéj – działacze Kościoła katolickiego – prawdopodobnie należeli do grona obdarowanych przez Tomskiego, który to właśnie do tej grupy kierował swoją pomoc. Więcej na temat Tomskiego można znaleźć w korespondencji Václava Havla z Vilém Prečanem z lat 1983–1989 (Praha 2011). Prečan, historyk, opozycjonista, emigrant, zamieszkały wówczas w Niemczech Zachodnich, współpracował z Tomskim w sprawach wydawniczych i przemysłniczych.

²⁶ Jego współpracownicy również dochowują dyskrecji. Jak do tej pory ani polscy, ani czescy rozmówcy Mindena specjalnie się znajomością z nim nie chwaliли.

²⁷ Kolekcja Mindena, box 2, *Report from European Trip*, maj – czerwiec 1984; M. Rudzki, *Akcja masowych przekazów książek...*, s. 218. Operacje Mindena stanowiły źródło dodatkowego dochodu dla niezamożnych wydawców emigracyjnych. Zazwyczaj nie oznaczało to wielkiego wsparcia, ale np. po rozmowie z Markiem Jonikaszem z paryskiej księgarni Libella Minden zanotował, że w 1984 r. jego zakupy to prawie połowa obrotu księgarni.

²⁸ Kolekcja Mindena, box 2, *European trips reports*, 6 V – 3 VI 1983. Od października 1984 do maja 1985 prawie połowę obrotów tej najdłuższej działającej polskiej księgarni stanowiły zakupy ILC – wynika z notatek Mindena.

takich jak założyciel tej pierwszej księgarni emigracyjnej Eustachy Januskiewicz²⁹.

„Kolejna edycja wolności” – by zacytować Marcina Kulę. Mało już zostało na mapie zachodnich metropolii takich polskich księgarni. Jedną z niewielu, gdzie zachował się klimat lat osiemdziesiątych XX wieku, jest wiedeńska księgarnia przy Burggasse, a więc na drodze do Hofburga. Małutkie, przytulne pomieszczenie w otoczeniu eleganckich, empirowych kamienic, zawalone od podłogi po sufit polskimi książkami. Nad wejściem czerwony szyld z wykrojonymi ze szkła literkami: „książki, bücher”, zapewne niezmieniony od czasów, gdy toczyło się tu bujne życie, wpadali po prohibita „krajowcy”. „Prowadziłam w końcu interes – opowiada właścicielka, Zofia Reinbacher – i wydawało mi się rzeczą sztuczną rozdawanie książek w księgarniach. Ludzie ze strachu czasem wyrzucali książki przed powrotem do kraju. Na książki kupionej mogło im bardziej zależeć”. Niewielka opłata – pomysł Piotra Jeglińskiego – pozwoliła przyciągnąć tych, którzy czuli się niezręcznie, biorąc cenną rzecz zupełnie za darmo. Płacić wolno było w krajowej walucie. Złotówki, mało wtedy w Wiedniu przydatne, wysyłano z powrotem do Polski dla solidarnościowego podziemia³⁰.

Odbiór osobisty to szansa na nawiązanie bezpośredniego kontaktu, pozyskanie świeżych wieści z Polski, wypytanie o preferencje czytelnicze, o sytuację na granicach, a więc o gotowość zaryzykowania przewozu do kraju. Taka pogawędka z księgarzem tworzyła inny klimat niż w zwyczajnej księgarni. Nie wszyscy chętni dostawali takie prezenty. Trzeba było

czasami okazać paszport, przedstawić się chociaż, powołać na znajomość z kimś znanym na emigracji lub okazać się pewną wiedzą, zainteresowaniem. W listopadzie 1987 r. Minden zauważył, że jego watykański współpracownik ks. Hieronim Fokciński z Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych oferuje książki religijne, historyczne i literackie w jednym pokoju, a polityczne w drugim. Gdy Fokciński miał wątpliwości co do intencji odwiedzających jego sklepik, zapraszał tylko do pokoju niepolitycznego, by wysondować, z kim ma do czynienia. Podejrzanych nie wpuszczał dalej. Jesienią 1987 r. przez jego punkt dystrybucji przewijało się około czterdziestu osób dziennie³¹.

Panowała wówczas opinia – trudna na razie do zweryfikowania – że po książki przychodzą również wysłannicy służb specjalnych PRL lub ambasady, tylko po to, by wyprzedzić prawdziwych miłośników zakazanego czytania. Zdarzały się nawet kradzieże, np. w rzymskim punkcie Witolda Zahorskiego³². Prawdopodobnie służby specjalne byłyby zainteresowane raczej wewnętrzną dokumentacją, korespondencją czy sprawozdaniami, które pozwoliłyby wnikać za kulisy wydawnicze³³. Polski paszport miał z kolei zabezpieczyć przed wynoszeniem cennych publikacji przez zasiedziałą polską emigrację, która nie była celem tej akcji. Krajowym odbiorcom z trudem przychodziło jednak wylegitymować się przed nieznanym bliżej sprzedawcą. Księgarze musieli więc być czujni, mieć dobre oko do ludzi, tak by kontyngent Mindena trafiał w odpowiednie ręce, a nie do żywiołowej odsprzedaży wśród polskich uchodźców. Ale oczywiście pewnych strat nie udawało się unik-

²⁹ K. Kopczyński, *Książki Mickiewicza w drodze do zaboru rosyjskiego (1831–1855)*, „Akta Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu” 1991, t. 1; Z. Szeląg, *Literatura zabroniona 1832–1862. Zjawisko – rynek – rozpowszechnianie*, Kielce 1989.

³⁰ Relacja Zofii Reinbacher, 15 IX 2009 i 2 X 2012, w zbiorach autora.

³¹ Kolekcja Mindena, box 3, *Report from Rome*, 7–11 XI 1987.

³² W Wiecznym Mieście Minden współpracował od lat z Witoldem i Elżbietą Zahorskimi. Zahorski, dawny żołnierz II Korpusu, piastował funkcję przewodniczącego polskich kombatanów we Włoszech. Jego punkt kolportażowy zaopatrywał w książki przyjeżdżających z Polski, ale także m.in. papieskiego sekretarza ks. Stanisława Dziwisza. Służba Bezpieczeństwa co prawda prowadziła rozpoznanie jego działalności kolportażowej, uważała go za współpracownika amerykańskiego wywiadu, ale nie ma dowodów na to, że stała za tymi kradzieżami – Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 01940/60/CD, Sprawa kryptonim „Witz”, k. 49–71.

³³ Zofia Reinbacher wspomina, że w latach osiemdziesiątych z jej księgarni nieznani sprawcy próbowali wynieść papiery, na gorącym uczynku złapała pewną dziewczynę (relacja Zofii Reinbacher, 10 XI 2012, w zbiorach autora).

nać³⁴. Polska emigracja była w omawianym okresie względnie duża, niezbyt zamożna i cały czas rosła.

Minden opłócił łańcuszkiem swojej książkowej promocji blok wschodni od Wiednia (Danuta Stołecka i Zofia Reinbacher) aż po Sztokholm (Norbert Żaba). Tak duża penetracja nie mogła pozostać zupełnie niezauważona. W 1986 r. w krótkiej charakterystyce polityki Stanów Zjednoczonych Służba Bezpieczeństwa wymieniła International Literary Centre obok Radia Wolna Europa i National Endowment for Democracy jako czołowego przeciwnika. Według tego raportu w 1985 r. nowojorska organizacja zapłaciła paryskiej „Kulturze” aż milion franków francuskich za miniaturowe edycje przemycane do kraju, zwane przez emigrantów żartobliwie książeczkami do nabożeństwa³⁵. Książkowa „dywersja ideologiczna” nie uszła więc uwadze służb, ale też obecnie brak danych o ich sukcesach wywiadowczych, głębokiej inwigilacji, błyskotliwej wiedzy. Milion franków dla paryskiej „Kultury”, a więc wówczas około 110 tys. dolarów, to suma raczej zawyżona³⁶. Cały budżet projektu – wraz z utrzymaniem manhattańskiej centrali – wynosił w latach osiemdziesiątych około 2 mln dolarów.

Londyńska biblioteka POSK – bodajże największy z polskich outletów Mindena – mogła wystać na zaprzyjaźnione adresy i rozdać na miejscu nawet 2 tys. książek miesięcznie. „Skutecznie, tanio i bez wzbudzania podejrzeń drugiej strony” – podkreślał w swoich notatkach³⁷. Był bardzo czuły na punkcie

bezpieczeństwa – pisze Alfred Reisch, dawniej węgierski współpracownik Mindena, a teraz historyk tamtej walki. Minden szukał zarazem niekonwencjonalnych sposobów docierania z książkami do ludzi z Europy Wschodniej. Przecierał szlaki do polskich pielgrzymów w Rzymie, którzy po wyborze Jana Pawła II nawiedzali coraz tłumniej Watykan (nie wszyscy księża prowadzący polskie domy pielgrzymów godzili się na rozdawanie takich publikacji³⁸). Próbował wraz z londyńskim wydawnictwem Veritas – nie wiemy, czy skutecznie – przerzucać książki na polskie budowy w krajach arabskich. Za pośrednictwem swoich współpracowników kaptował księży, marynarzy, bibliotekarzy, archeologów³⁹.

Mądrość Amerykanów polegała na tym, że zależało im na możliwie najbardziej legalnych i niewinnych sposobach ekspansji. Nie prowokować represji wobec kurierów, nie drażnić bez potrzeby władz i nie płoszyć nadmiernie samych odbiorców – tej linii rozumowania się trzymali. Pewną rezerwę Mindena wywoływały zatem książki w formie „przemysłowej”, wtykane przez pomysłodawców emigrantów do konserwy parówek albo opakowania z tamponami i wysyłanych z pomocą humanitarną. Niezbyt wierzył w publikacje, które miały znienacka wyskakiwać na stół z płatków śniadaniowych albo spadać na głowy dosłownie z powietrza, podczipione do balonów. W latach osiemdziesiątych finansował i takie operacje – sam niegdyś je nawet organizował – ale już bez

³⁴ Wiele książek polskich marnuje się w Monachium, Wiedniu i Sztokholmie. Zostają one na Zachodzie, zamiast trafiać do kraju – donosił Mindenowi Alexander Tomsy, czeski emigrant i wydawca w Wielkiej Brytanii, który oskarżał – nie wiadomo, czy prawdziwie – niektórych polskich dystrybutorów o niegospodarność (Kolekcja Mindena, box 2, *Report from European Trip*, maj – czerwiec 1984).

³⁵ AIPN, 1585/14979, *Charakter i uwarunkowania działań Zachodu w sferze dywersji ideologicznej*, 1986, k. 303–310 (materiał wywiadu PRL). Fakty tego rodzaju, odpowiednio podane, starano się również nagłaśniać, czego dowodem jest choćby popularna książka Lesława Wojtasika *Podziemie polityczne*, Warszawa 1983, mowa tam o przerzutach miniaturowych edycji do Polski.

³⁶ Jeden dolar wart był wówczas około 9 franków; kurs na podstawie danych z „Le Monde”, maj – czerwiec 1985.

³⁷ Kolekcja Mindena, box 2, *Report from European Trip*, listopad – grudzień 1984. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie prowadzi od lat Bibliotekę Polską. W akcji Mindena w 1980 r. jej możliwości oceniano na 10,5 tys. książek rocznie (*ibidem*, październik – listopad 1980). Dane własne biblioteki z lat osiemdziesiątych zob. G. Pisarski, J. Szmidt, *Biblioteka Polska POSK. Struktury organizacyjne i współpraca z krajem*, www.biblioteka.info/mabpz/posk.

³⁸ Zdecydowanie odmówił Mindenowi o. Konrad Hejmo, kierownik domu pielgrzymkowego Corda Cordi, motywując swoją decyzję lękiem przed wmieszaniem Kościoła w politykę (Kolekcja Mindena, box 2, *Report from Rome*, 22 VI 1985).

³⁹ A. Reisch, *The West's Secret Book Distribution Program Behind the Iron Curtain*, „Magyar Kulugyi Szemle”, grudzień 2009.

większego przekonania⁴⁰. Lepiej oceniał coraz śmielsze próby oficjalnego wwozu książek emigracyjnych dla bibliotek i na prywatne adresy, a więc wprost do zainteresowanych środowisk.

Niemniej jednak przykre konfiskaty na granicach PRL wciąż się zdarzały. Nie wszyscy też życzyli sobie, by przysyłać im książki oficjalną pocztą, szczególnie w większej liczbie lub w momentach narastania atmosfery represji. Zbigniew Landau poprosił mnie, by przez pewien czas nie wysyłać mu książek – relacjonował w 1985 r. Mindenowi Jerzy Kulczycki, właściciel księgarni Orbis, główny organizator wysyłek z Londynu⁴¹. Pamiętam, jak dostałem od niego dosłownie całą walizkę książek – wspomina Andrzej Friszke, dziś znany historyk, w 1983 r. stypendysta Herdera w Wiedniu. – Bardzo się ucieszyłem, ale trzeba było je jeszcze przewieźć bezpiecznie do kraju. Kanałami Kulczyckiego trafiały one do Andrzeja Paluchowskiego i prowadzonej przezzeń biblioteki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w większym transporcie, który następnie po odprawie celnej dzielono między jego bibliotekę i osoby znane organizatorom tej półlegalnej akcji⁴². Paluchowski zgromadził na KUL bodajże największą kolekcję prohibitów w kraju.

Takie przewozy świadczyły też może nie najgorzej o władzach PRL w ostatnim okresie jego istnienia.

Kontrola celna dokonywana jest już na terenie biblioteki. Praktycznie nie zdarzają się nam konfiskaty. Jaruzelski jest skłonny dopuścić do ograniczonej cyrkulacji zagranicznej literatury. Jeszcze w latach siedemdziesiątych jako minister obrony narodowej akceptował obecność emigracyjnych pozycji w niektórych instytucjach wojskowych – tłumaczył Mindenowi w 1983 r. Kulczycki. W latach siedemdziesiątych cytowanie emigracyjnych wspomnień i wyborów dokumentów było już przyjęte w krajowych rozprawach naukowych. Literaturę tę coraz trudniej było zupełnie zignorować nawet partyjnym historykom. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych pojawiała się w przypisach do książek Eugeniusza Duraczyńskiego, Mariana Stępnia, nawet Tadeusza Walichnowskiego⁴³. To przyswajanie idei narastało przez lata. Powodowało, że pewni ludzie i tytuły stawały się dla władz bardziej strawne⁴⁴. Aż wreszcie do Polski wpuszczono nawet samego Kulczyckiego (pierwsza podróż w 1981 r.), w końcu wydawcę i dystrybutora zakazanych w PRL książek, choćby Jana Nowaka-Jeziorańskiego⁴⁵.

Zasoby są zawsze ograniczone. Musi więc czasami dochodzić między ludźmi do rywalizacji o lepszy dostęp – w wypadku naszych wydawców i księgarzy – do mecenasów, ciekawych maszynopisów, kanałów dystrybucji i informacji. Stąd brały się pewne różnice

⁴⁰ Kolekcja Mindena, box 2, *Polish Talks, London, Geneva, Paris, Rome, Vienna, Munich, Paris*, 6 V – 3 VI 1983; *ibidem*, *Report from European Trip*, listopad – grudzień 1984; relacja Jana Chodakowskiego, 3 XII 2006, w zbiorach autora; M. Choma-Jusińska, *Współpraca środowiska „Spotkań” z emigracją na Zachodzie*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2010, nr 1, s. 207.

⁴¹ Kolekcja Mindena, box 2, *Report from London trip*, 2 XII 1985. Orbis – największa księgarnia polska na Wyspach Brytyjskich – została założona w latach czterdziestych przez osoby z emigracji wojennej. Jerzy Kulczycki, przedstawiciel nieco młodszej generacji, przejął Orbis w 1972 r.; więcej zob. R. Habielski, *Polski Londyn*, Wrocław 2000, s. 120.

⁴² Rozmowa z Andrzejem Friszke, 30 VII 2012.

⁴³ Zob. np. *Deportacje i przemieszczenia ludności polskiej w głąb ZSRR 1939–1945. Przegląd piśmiennictwa*, oprac. T. Walichnowski, Warszawa 1988; E. Duraczyński, *Między Londynem a Warszawą. Lipiec 1943 – lipiec 1944*, Warszawa 1986; M. Stępień, *Dalekie drogi literatury polskiej (szkie o literaturze emigracyjnej)*, Kraków 1989.

⁴⁴ Ciekawym przyczynkiem do takich rozważań może być studium emigracyjnego historyka Jana Ciechanowskiego o powstaniu warszawskim, wydane w PRL oficjalnie w 1984 r. Prawda, że praca ta sytuowała się w nurcie krytycznym wobec rządu londyńskiego i decyzji o wybuchu powstania. Niemniej jednak na tylnej okładce książki w notce o autorze można było przeczytać, że jest laureatem nagrody i autorem „Zeszytów Historycznych”, skądinąd uznawanych za wrogie przedsięwzięcie paryskiej „Kultury”.

⁴⁵ Kolekcja Mindena, box 2, *European trips reports*, 6 V – 3 VI, 29 X – 21 XI 1983, listopad – grudzień 1984 i następne lata. Kulczycki zapewne nie rozmawiał osobiście z gen. Jaruzelskim, informacje o jego stosunku do publikacji emigracyjnych musiały jednak pochodzić ze źródeł partyjnych. Podczas podróży do Polski – na zaproszenie KUL – dawano Kulczyckiemu do zrozumienia, że jest obserwowany przez służby specjalne PRL (np. przeszukiwano jego bagaże).

poglądów, ewentualne animozje, przesadne opinie na temat własnych możliwości. Z zapisków Mindena, który postrzegany bywał jako swojego rodzaju arbiter i donator, można czasami odczytać emocje tamtego czasu, dzisiaj już zatarte w pamięci uczestników, ale wówczas trudne do odparcia. Jest to temat delikatny, niełatwy do naukowej weryfikacji ze względu na brak pełnych danych, jednostronność źródła, wreszcie z powodu upływu czasu. Ten rys konkurencji, różnorodności interesów, słabych punktów intryguje Mindena. Być może sam prowokował do takich zwierzeń, by w razie eskalacji konfliktu odegrać rolę moderatora. W jego ciekawości życia wewnętrznego wydawców i księgarzy dostrzegam chęć utrzymania harmonijnej kooperacji między nim, bez której cały system dystrybucji mógłby znaleźć się w tarapatkach.

„Jegliński jak zwykle ostrzegał mnie przed niektórymi swoim przyjaciółmi, dostarczając najnowsze podejrzenia na ich temat. Na przykład zwrócił mi uwagę na ostatnią wizytę Piotra Lasoty w Polsce i jego siostrę [Irenę – P.S.], która używa różnych nazwisk i trzech paszportów: francuskiego, amerykańskiego i polskiego. W Jeglińskim jest coś z Robespierre’a” – notował Minden w listopadzie 1985 r.⁴⁶ Zwróćmy uwagę na ostatnie zdanie. Minden nie dawał łatwego posłuchu takimi podszeptom. Nie stracił zresztą zaufania do nikogo ze swoich rozmówców. Nie sądzę, by temu staremu wiarusowi posiadanie paru paszportów wydawało się czymś bardzo dziwnym. Zagrożenie agenturalne brał pod uwagę, ale też zachowywał wstrzeźliwość w podejrzliwości. Niekoniecznie przejmował się ewentualnymi wyjazdami do Polski niektórych współpracowników. Uznawał je raczej – tak było w przypadku Kulczyckiego – za okazję do rozwinięcia akcji książkowej, a może również oznakę

ocieplania się relacji między Wschodem i Zachodem, co było z jego punktu widzenia korzystne.

Może niepokoje Jeglińskiego wyrastały z ostrożności, poczucia zagrożenia i niepewności – sytuacja emigrantów politycznych nie należała do łatwych. Pozbawieni solidnych podstaw materialnych, życiowego przydziału w społeczeństwach zachodnich, żyli trochę w zawieszeniu. Utknęli jakby pomiędzy: do Polski już wrócić nie mogli, ale wciąż żyli jej sprawami, odkładając na przyszłość konieczność ułożenia sobie życia na Zachodzie. Dokuczała niekiedy zimnowojenna atmosfera, nawet w Paryżu nie można było wykluczyć inwigilacji ze strony tajnej polskiej policji, czego Jegliński doświadczył na własnej skórze⁴⁷. Minden i jego współpracownicy postrzegani byli przez kraje radzieckiej dominacji nie jako pisarze i wydawcy, ale pracownicy frontu ideologicznego w służbie obcych służb specjalnych. Ludziom tego rodzaju chętnie zakładano *dossier* w komunistycznych instancjach wywiadowczych. Można jednak także zobaczyć w „dobrych radach” Jeglińskiego po prostu zabiegi o względy Mindena i jego organizacji.

Do incydentalnych zatargów dochodziło w Rzymie między jezuitą ks. Hieronimem Fokcińskim należącym do kół watykańskich a Witoldem Zahorskim reprezentującym Związek Polskich Kombatantów. Jedna i druga grupa pragnęła na własną rękę upamiętnić czterdziestą rocznicę bitwy pod Monte Cassino, co wywoływało zadrażnienia. Zahorski podejrzewał Fokcińskiego o to, że w związku z wyjazdami do kraju współpracuje z rządem warszawskim (rozmowy z ministrem do spraw wyznań Adamem Łopatką). Podobne przypuszczenia snuł jezuita wobec Zahorskiego (rzekome kontakty z peerelowską ambasadą w Rzymie)⁴⁸. „Musimy pamiętać, że istniały też różnice polityczne

⁴⁶ Piotr Jegliński, twórca paryskiego Editions Spotkania i w drugiej połowie lat osiemdziesiątych dyrektor księgarni polskiej w Paryżu, należał do najbardziej dynamicznych wydawców w zespole Mindena. Więcej na temat tej postaci zob. M. Choma-Jusińska, *Współpraca środowiska „Spotkań”...*, s. 187–209.

⁴⁷ Operacja „Reszka” – nieudany projekt SB mający na celu porwanie Jeglińskiego – doczekała się obszernego omówienia historycznego (*ibidem*), a nawet adaptacji na scenie teatru telewizji (www.tvp.pl). Nerwowe reakcje udzielały się też Kulczyckiemu. Jesienią 1983 r. zorientował się, że jego walizka została dokładnie przeszukana podczas lotu z Londynu do Rzymu; poświadcza to notatka Mindena, który informował o takich incydentach ambasadę amerykańską.

⁴⁸ Kolekcja Mindena, box 2, *European trips reports*, październik – listopad 1983, maj – czerwiec 1984, maj – czerwiec 1985.

między wydawcami” – dodaje Nina Karsov⁴⁹. I rzeczywiście w rozmowach z Mindenem odnajdujemy nie tylko negocjacje w celu poprawy własnej pozycji, nie tylko obawy przed penetracją wywiadowczą, ale także zderzające się ze sobą światopoglądy. Piotr Jegliński przywiązany do katolicyzmu, związany z KUL, wobec wydawców z kręgu „komandosów” ujawniał wyraźną rezerwę. Jego sceptycyzm pogłębiały trudności w porozumieniu się z innymi oficynami⁵⁰.

Obserwacje Mindena – krótkie, wyrwykowe – nie staną się obiecującym źródłem do takich rozważań. Autor tych notatek nie znał języka polskiego, przejawiał ograniczone zainteresowanie naszymi drobiazgowymi sprawami, patrzył natomiast całościowo – nie na nici, ale na całą sieć. Prezentował generalnie przychylne nastawienie do polskiej diaspory. Rozumiał, że konkurencja, jeżeli oparta jest na zasadach *fair play*, korzystnie wpływa na ofertę wydawniczą, powiększa też liczbę kanałów, jakimi książki trafiają do Europy Wschodniej. W czerwcu 1983 r. przyrównał grupę młodych – Barbarę Toruńczyk, Piotra Jeglińskiego – do weterana wydawniczej emigracji Jerzego Giedroycia. Ci młodzi ludzie mimo trudnego startu zdołali już stworzyć przeciwwagę dla autorytetu „Kultury” – z zadowoleniem konstatował. I notował dalej: „Uważam młodych Polaków za kompetentnych, pracowitych, pełnych entuzjazmu. Wyglądają na znacznie bardziej dojrzałych we wzajemnych relacjach od swoich odpowiedników z ZSRR, którzy to pograżają się w gorszących walkach wewnętrznych. Z pewnością młodzi zwiększą nasz potencjał”⁵¹.

Mieszkający w Nowym Jorku Marek Rudzki zachował we wspomnieniach barwne relacje swojego

ojca Adama z podróży europejskich. Rudzki senior, najbliższy z polskich współpracowników Mindena, również odwiedzał ważniejszych wydawców. A właściwie to oni często go odwiedzali. Zamawiał zawsze pokój w prowadzonym przez Polaków hotelu Shelburne na Earls Court, wieść o jego pobycie rozchodziła się lotem błyskawicy po polskim Londynie. Z Jerzym Giedroyciem Rudzki spotykał się zarówno w jego podparyskiej kwaterze, jak i w mieście, weekendy czasami spędzał w burgundzkim domu Zofii i Kazimierza Romanowiczów, właścicieli księgarni w Paryżu, a na śniadanie szef innej polskiej placówki przy bulwarze St. Germain zapraszał go do pobliskiej Brasserie Lipp. „Listy z Maisons-Laffitte przychodziły do Nowego Jorku niemal co tydzień. Zdarzało się, że wydawcy przed wydaniem książki pytali ojca, na co można liczyć, uzależniając od tego dalsze decyzje” – ciągnie Rudzki⁵².

Nie będzie to historia ani tajnych służb, ani wielkich pieniędzy – ostrzega jednak Pavel Tigris⁵³. Minden i spółka to dla redaktorów i księgarzy jedynie najlepsi klienci, kupujący partie publikacji na pniu. Faktycznie żaden z polskich punktów nie należał do Amerykanów, co zresztą uważali oni za wielką zaletę całego programu – finansową i moralną. „Księgarnie emigracyjne prowadzą dla nas rachunki za skromne wynagrodzenie, potrącamy im 50 procent z ich marży księgarskiej”⁵⁴. Nie płacimy za naszą działalność żadnych pensji, czynszów. Oszczędzamy sporo na takiej współpracy” – informował Minden, który odrzucał uparcie pomysły zakładania nowych księgarni za pieniądze amerykańskie. To autorytet emigracji budował zaufanie odwiedzających⁵⁵. W znanych mi jego papierach nie ma mowy o sugerowaniu tytułów. Part-

⁴⁹ List od Niny Karsov, listopad 2012, w zbiorach autora. Nina Karsov prowadzi w Londynie wydawnictwo Kontra, pracowała także dla Overseas Publications Interchange, które wydawało publikacje po rosyjsku z myślą o czytelnikach w ZSRR.

⁵⁰ Kolekcja Mindena, box 2, *Report from European Trip*, listopad – grudzień 1984. Nie udawało się uniknąć wzajemnej rywalizacji nawet Jeglińskiemu i Kulczyckiemu, skądinąd bliskim sobie ideowo.

⁵¹ Kolekcja Mindena, box 2, *Polish Talks, London, Geneva, Paris, Rome, Vienna, Munich, Paris*, 6 V – 3 VI 1983.

⁵² M. Rudzki, *Akcja masowych przekazów książek...*, s. 222–223.

⁵³ P. Zidek, *Tajemne Svadečtvi Pavla Tigrida*, „Lidove Noviny”, 21 X 2006.

⁵⁴ Minden kupował publikacje z marżą księgarską, zazwyczaj jednak żądał upustów cenowych, tak jak to się robi w sprzedaży hurtowej. Zarobki księgarzy mogły się wahać w zależności od tytułu, nakładu i sytuacji finansowej programu.

⁵⁵ Kolekcja Mindena, box 2, *European trips reports*, 6 V – 3 VI 1983.

nerzy emigracyjni zachowywali suwerenność i pewnie przetrwaliby również bez wsparcia amerykańskiego, ale prawdopodobnie nie osiągnęliby tak wysokiej dynamiki wydawniczej⁵⁶.

Ze statystyki Mindena wynika, że w 1982 r. jego komitet kupił 36 tys. egzemplarzy osiemnastu nowości wydawniczych⁵⁷. W przypadku mniej chodliwych produkcji dolarowe czeki z nowojorskiego centrum literatury międzynarodowej stawały się szczególnie cenne. Promesa na zakup kilkuset egzemplarzy *Głównych nurtów marksizmu* Leszka Kołakowskiego zapewne pomogła londyńskiemu Aneksowi podjąć decyzję o przystąpieniu do skomplikowanej i kosztownej reedycji tej grubej książki (wydanej po raz pierwszy po polsku przez Instytut Literacki). W grudniu 1985 r. w rozmowie z Mindenem Eugeniusz Smolar szacował koszt publikacji na 17 tys. funtów. Dotacja Mindena miała opiewać na 4 tys. funtów (zakup 500 egzemplarzy po osiem funtów za sztukę), więc jak widzimy miała stanowić jedynie około 25 procent kosztów całego przedsięwzięcia. Ostatecznie okazała się chyba nawet mniejsza – wynika z raportów z 1987 i 1988 r. Jednak bez subsydiów trudniej byłoby poważnie się na takie przedsięwzięcie. Ostatecznie książka ukazała się w 1988 r.

Bez amerykańskiego mecenatu zapewne skromniej prezentowałaby się oferta Instytutu Literackiego, co przyznał w końcu nawet sam Jerzy Giedroyc⁵⁸. W latach osiemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych powstał National Endowment for Democracy i dotowany przezeń Instytut na rzecz Europy Wschodniej, który już niemal wprost finansował z pieniędzy zdobywanych w Ameryce polskie wydawnictwa drugoobiegowe⁵⁹. Z dobrodziejstw NED korzystała również opozycja w Czechosłowacji⁶⁰. A to przecież nie wyczerpuje listy zachodnich sponsorów⁶¹. Miękkie oddziaływanie, pozyskiwanie nowych przyjaciół, tworzenie kulturowej alternatywy – to się udało. Same przedruki książek paryskiej „Kultury” w krajowym drugim obiegu – ponad tysiąc tytułów – to jedna szóstka wszystkich pozycji zarejestrowanych w bibliografii książek podziemnych Biblioteki Narodowej⁶². Po doliczeniu do tego przedruków wydawnictw londyńskich widać, że wpływ emigracji na niezależną ofertę czytelniczną był bardzo duży.

Ileż to podróży imaginacyjnych odbyło się dzięki tym publikacjom, jakich odkryć dokonywano – nie ruszając się z kraju. „Czuje się jak najpopularniejszy mieszkaniec Krakowa [...] Znajomi, z którymi od dawna nie miałem kontaktu, nagle postanawiają mnie od-

⁵⁶ Część naszych bohaterów łączyła działalność wydawniczo-księgarską z pracą zawodową. Eugeniusz Smolar pracował w BBC, Kulczycki przez wiele lat zatrudniony był w służbach miejskich Londynu, Barbara Toruńczyk dorabiała w Paryżu jako bibliotekarka. To mogłoby potwierdzać, że wsparcie Mindena nie było tak wysokie, by pozwalało na spokojne życie z samych książek.

⁵⁷ Kolekcja Mindena, box 3, *Distribution statistics* 1982.

⁵⁸ M.A. Supruniuk, *Zobaczyć inną Polskę. Pomoc paryskiego Instytutu Literackiego dla Polski w latach 1946–1990. Koncepcje i realizacja*, Toruń 2011, s. 85.

⁵⁹ I. Lasota, *Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej – rozliczenie (1984–1989)*, „Kultura” 1990, nr 4, s. 118–123; relacja Ireny Lasoty, 6 VI 2007, w zbiorach autora. Głównie były to środki federalne – dotacje NED.

⁶⁰ W ten sposób finansowany był np. czeski ośrodek emigracji na zamku Schwarzenberga w Bawarii, który odegrał znaczną rolę w opisywanych wcześniej historiach wydawniczo-przemysłowych: *Archiv svobody na zámku Schwarzenbergu: příspěvek k historii československého exilu*, oprac. J. Hanáková, Praha 2011.

⁶¹ W 1986 r. powstał tzw. The Oxford Project jako połączone wysiłki kilku dużych fundacji, m.in. Forda i Rockefellera. Pomagał on finansowo m.in. drugoobiegowej „Krytyce”, pierwszoobiegowej „Res Publice” i emigracyjnym „Zeszytom Literackim”. Więcej zob. *Freedom for Publishing. Publishing for Freedom. The Central and East European Publishing Project*, CEU Press 1995 (za wskazanie tej publikacji dziękuję Barbarze Toruńczyk).

⁶² A. Supruniuk, *Kultura. Bibliografia przedruków wydawnictw Instytutu Literackiego w Paryżu w niezależnych oficynach wydawniczych w Polsce w latach 1977–1990*, Warszawa 1995. Dodać do tego należy książki innych oficyn emigracyjnych oraz trudną w tej chwili do oszacowania pomoc materialną i wydawniczą dla kraju.

wiedzić” – pisał jeden z obdarowanych⁶³. Pobudzenie świadomości opozycyjnej pod wpływem takich lektur prześledziła Małgorzata Choma-Jusińska z Lublina⁶⁴. Właśnie tam m.in. dzięki znakomicie zaopatrzonej bibliotece KUL wyrastało ciekawe środowisko kontestatorskie. Książki, rzeczy delikatne i niewinne, stawały się nośnikami protestu, jak by uczenie powiedzieli socjologowie⁶⁵. Materiału do refleksji nad tworzeniem się wysublimowanych idei dostarcza środowisko „Res Publik”, o czym dobitnie świadczy esej Marcina Króla *Europa i my* z pierwszego numeru tego pisma⁶⁶. Czy w izolowanej od świata komunistycznej Polsce mogłyby powstać tak wspaniałe świadectwa niezależności myślenia bez książek i czasopism, które wcześniej Król przeczytał i za które zresztą miał okazję osobiście dziękować Mindenowi w 1985 r.⁶⁷

„Dobry wujaszek George” zmarł w 2006 r., nie zdążyliśmy mu jako państwo podziękować za zbudowanie intelektualnego połączenia ze światem, za zadbanie o dobrą kondycję naszych elit, poprawę ich samopoczucia, wreszcie za emocje lekturowe. Erudycyjność polskiej nauki brała się po części z tych książek. Gdyby nie one, nasza wiedza o świecie zapewne byłaby mniej rozległa, poziom polskiej humanistyki niższy. Na liście obdarowanych obcojęzycznymi i emigracyjnymi wydawnictwami tylko w latach 1966–1967 znaleźli się młodszy i starszy przedstawiciele polskiej nauki: Henryk Wereszycki, Jacek Woźniakowski, Jerzy Szacki, Andrzej Walicki, Olgierd Terlecki, Stani-

ław Lorentz, Tadeusz Bereza, Paweł Jasienica, Jerzy Borejsza, Bohdan Cywiński, Adam Vetulani, Zygmunt Bauman, Andrzej Siciński, Jan Szczepański i wielu innych. Wszyscy oni oczywiście pasjonowałiby się ideami i bez pomocy amerykańskiej, ale wówczas może byłiby – z konieczności – bardziej podatni na inne wpływy albo w ogóle rozwijaliby się wolniej⁶⁸.

„To jest sprawa niesłychanie istotna, mówimy o zapisanym dziedzictwie polskiej emigracji, które przeniknęło do kraju” – uczuła nas Andrzej Paluchowski⁶⁹. Jak ten impuls poznawczy wpływał na indywidualne przeżycia związane z lekturą, formowanie postaw, pogłębianie się dystansu do systemu, możemy czasami dowiedzieć się po latach ze wspomnień⁷⁰, ale również z europejskich *tour d’horizon* Mindena, jak je nazywał. Zdzisław Najder, wówczas nowo mianowany dyrektor polskiej sekcji Radia Wolna Europa, powiedział Kazimierzowi Romanowiczowi w Paryżu, że już w latach studenckich książki emigracyjne ukształtowały go duchowo i intelektualnie – zanotował Minden⁷¹. Co myślał, gdy słyszał takie zwierzenia? Miał chyba poczucie satysfakcji. W końcu Najder zaczął od czytania książek przez niego rozdawanych, by dwadzieścia lat później przeistoczyć się w politycznego emigranta, wroga PRL, stać się jakby jego kolegą po fachu, łowcą polskich dusz.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Tadeusz Mazowiecki, pierwszy niekomunistyczny premier w Europie Wschodniej, zachodził do mnie

⁶³ List anonimowego miłośnika literatury emigracyjnej z 1959 r. [w:] A. Reisch, *Początki programu bezpośredniej dystrybucji książki w Polsce w latach 1958–1959*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2012, nr 1, s. 297.

⁶⁴ M. Choma-Jusińska, *Współpraca środowiska „Spotkań”...*, s. 187–209; M. Choma-Jusińska, *Wolne słowo z Zachodu. Program dystrybucji książek za żelazną kurtyną na przykładzie Polski (rekonesans badawczy)*, referat wygłoszony podczas konferencji IPN „Drugi obieg wydawniczy w PRL na tle samizdatu w państwach bloku sowieckiego po 1956 r.”, Warszawa 2012.

⁶⁵ Kolekcja Mindena, box 2–3, rozmowy Mindena z Kulczyckim i Jeglińskim z lat osiemdziesiątych.

⁶⁶ Ostatnio opublikowany w „Wolności i Solidarności” 2012, nr 4.

⁶⁷ Kolekcja Mindena, box 2, rozmowa Mindena z Marcinem Królem, Londyn, czerwiec 1985. Zob. też M. Król, *Trochę z boku. Biografia niepolityczna*, Warszawa 2008, s. 90.

⁶⁸ Fragmenty korespondencji genewskiego współpracownika Mindena Zygmunta Kallenbacha z krajowymi naukowcami i literatami z 1966 r. w: AIPN, 01227/581, Teczka rozpracowania Kallenbacha krypt. Fellin; Kolekcja Mindena, box 3, raporty z lat 1966–1967.

⁶⁹ Referat Andrzeja Paluchowskiego, emerytowanego dyrektora biblioteki KUL, na konferencji IPN poświęconej pomocy emigracji dla kraju, Gdańsk, 26 III 2010.

⁷⁰ Zob. P. Sowiński, *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*, Warszawa 2011.

⁷¹ Kolekcja Mindena, box 2, *Polish Talks, London, Geneva, Paris, Rome, Vienna, Munich, Paris*, 6 V – 3 VI 1983.

po książki – wspomniał z dumą i może nostalgią Kazimierz Romanowicz w czerwcu 1990 r., podczas końcowej rozmowy z Mindenem w swojej księgarni na Wyspie Świętego Ludwika; tuż obok rezydował kiedyś książę Adam Czartoryski. Ludzie pokroju Mazowieckiego – politycy, ale nie technokraci, ludzie z humanistyczną podbudową, przepojeni duchem tych książek – mogli zmieniać tę część świata już sami. Amerykanie właśnie zwiłali interes, regulowali ostatnie rachunki, czyścili magazyny, a obaj panowie, weterani wydawniczej kampanii, myśleli już chyba o zasłużonej emeryturze.

Koniec nadszedł gwałtownie. Wkrótce po upadku komunizmu wszedłem do Librairie Polonaise na bulwarze St. Germain i znacząco powiedziałem: „Wracam do Polski” – opowiada Marcin Kula. – Liczyłem, że mi zaproponują jakieś książki. Tymczasem usłyszałem tylko: „Życzymy dobrej podróży!”⁷².

* * *

Ktoś po latach – patrząc z perspektywy państwa demokratycznego – zada przewrotne pytanie: czy to dobrze, że za tym „amerykańskim oświeceniem” stały służby specjalne? Ale gdyby te pieniądze dawał (powiedzmy) amerykański departament edukacji, dużo by to zmieniało?⁷³ Trwała zimna wojna w sferze idei. Związek Radziecki rozwijał ofensywę propagandową, finansował eurokomunizm. Miał swoje księgar-

nie w Europie Zachodniej, Stanach Zjednoczonych, a nawet w Australii i całkiem sporo do nich dopłacał, zapewniał dostawy papieru dla bratnich partii⁷⁴. Można w przyszłości spojrzeć na te sprawy w kontekście przenikalności i współzawodnictwa; ruch przeciwnika pociąga za sobą reakcję drugiej strony. Stany Zjednoczone w zasadzie nie miały wyjścia, musiały przystąpić do tej cichej rywalizacji, a także próbowały zapewnić ludziom zaangażowanym po swojej stronie dyskretną ochronę logistyczną i kontrwywiadowczą. Dlatego prawdopodobnie potrzebna była CIA.

Jednocześnie starano się nie ujawniać, co w takiej sytuacji rozumiało⁷⁵. Stąd schemat organizacji pośredniczącej – ILC. Do dzisiaj zresztą te sprawy pozostają urzędową tajemnicą⁷⁶. Otwarte zaangażowanie rządu Stanów Zjednoczonych wpłynęłoby na zaostrzenie sytuacji międzynarodowej, naraziłoby na jeszcze ostrzejsze ataki propagandowe ze strony władz PRL. Być może w niektórych środowiskach podważyłoby to wiarygodność uczestników akcji, którzy działali przede wszystkim ze szlachetnych pobudek, a nie z chęci zarobku. Po latach jesteśmy mile zaskoczeni dużym zaangażowaniem elit amerykańskich w sprawy europejskie, ich dalekowzrocznością, wyczuciem trendu. Może szkoda, że podobnej książkowej dyplomacji Waszyngton już nie prowadzi wobec Polski. Czasami tęsknię za tak subtelną przyjaźnią polsko-amerykańską. Dzisiaj trudno o środki na ambitne wydawnictwa. Ale jesteśmy wolnym krajem.

⁷² M. Kula, *Historia moja miłość (z zastrzeżeniami)*, Lublin 2005, s. 118.

⁷³ Recenzja Marcina Króla z książki Pierre'a Grémiona *Konspiracja wolności. Kongres Wolności Kultury w Paryżu 1950–1975*, „Gazeta Wyborcza”, 12 III 2003.

⁷⁴ W. Bukowski, *Moskiewski proces. Dysydent w archiwach Kremla*, Warszawa 1998, s. 34–35.

⁷⁵ R.M. Gates, *From the Shadows*, New York 2006, s. 237–238, 450–451. Robert M. Gates, były szef CIA, opisuje krótko zaangażowanie Agencji w pomoc dla Solidarności. Potwierdza zarazem, że CIA nie miała bezpośredniego kontaktu z odbiorcami pomocy. Udział amerykańskiego wywiadu utrzymywano przed Polakami w tajemnicy.

⁷⁶ Również ZSRR kamuflował rozmiary i metody swojej pomocy dla sympatyków komunizmu. CIA nigdy oficjalnie nie potwierdziła udziału w operacji Mindena, nie odtajniła również dokumentacji na ten temat. O jej udziale dowiadujemy się z tekstów pracowników ILC (np. cytowanych wcześniej Matthews i Reischa) oraz historyków amerykańskich bliskich CIA (Benamina Fischera).

ARCHIWUM WOLNEJ MYŚLI

W krajobrazie antykomunistycznej opozycji Polskie Porozumienie Niepodległościowe zajmuje miejsce szczególne. W odróżnieniu od innych grup opozycyjnych powstałych w latach siedemdziesiątych XX wieku nie ujawniało swego składu, nie podpisywało ogłaszanych tekstów. Rodziło to pewne niebezpieczeństwa, ale dawało większą swobodę myślenia, nieograniczonego ramami pojałtańskiej geopolityki. Jednym z założeń twórców PPN było zresztą przekonanie, że sytuacja geopolityczna nie jest wieczna, międzynarodowe położenie Polski może ulec zmianie, a zadaniem elit niezależnych jest być do tej zmiany przygotowanym.

W ogłoszonym 3 maja 1976 r. programie PPN na pierwszym miejscu znajdowało się odzyskanie suwerenności, w dalszych punktach pisano o wielopartyjnej demokracji, wolnych wyborach, niezawisłych sądach, wolności słowa, swobodzie prywatnej przedsiębiorczości. A także o nawiązaniu jak najściślejszych związków ze Wspólnotą (dziś: Unią) Europejską. Jerzy Giedroyc ocenił, że jest to „pierwszy poważny program alternatywny, jaki powstał w Polsce od końca wojny”. Twórcą PPN i głównym autorem programu był Zdzisław Najder. Jego najbliżsi współpracownicy to Jan Olszewski, Wojciech Karpiński, Jan Józef Szczepański, Wojciech Włodarczyk i Jan Zarański. Domenę PPN stanowiła praca intelektualna; był to opozycyjny think-tank – w kolejnych ogłaszanych tekstach analizował najważniejsze polskie problemy. Do grona autorów – zawsze anonimowych – zaliczali się Władysław Bartoszewski, Jerzy Holzer, Andrzej Kijowski, Wojciech Roszkowski i inni.

Szczególną wagę PPN przykładło do spraw zagranicznych. Tak jak inne środowiska niezależne postulowało poparcie dla niepodległościowych dążeń Białorusi, Ukrainy i krajów bałtyckich. Wiele uwagi poświęcano miejscu Polski w Europie i stosunkom z naszym zachodnim sąsiadem – Niemcami. Tekst, który przypominamy w tym numerze „Wolności i Solidarności”, został ogłoszony w maju 1978 r. jako zeszyt nr 18. Jego głównym autorem był Zdzisław Najder, ale przeszedł on, tak jak inne publikacje PPN, proces konsultacji w szerszym gronie – z ważnym udziałem Władysława Bartoszewskiego. W przeszyconym antyniemiecką propagandą klimacie PRL jego tezy brzmiały niemal rewolucyjnie. Po pierwsze – „Niemcy mają takie samo prawo do zjednoczenia, jak my do niepodległości”. Po drugie – nie trzeba traktować tej perspektywy jako zagrożenia, bowiem „Polska nie leży już między Rosją a Niemcami – ale między imperialnym ZSRR a integrującymi się z wolną państwami zjednoczonej Europy, której częścią składową jest RFN”. Zjednoczenie Niemiec będzie dla Polski korzystne, jeśli uznają one naszą zachodnią granicę i jeżeli będą trwale należeć do Wspólnoty Europejskiej.

„Nie możemy sobie pozwolić na postawę: Niemiec – wieczny wróg. Żaden mądry naród nie kieruje się w polityce zasadą kultywowania wrogów” – pisał Najder w 1978 r. Ta zasada nadal jest aktualna.

Jan Skórzyński

POLSKIE POROZUMIENIE NIEPODLEGŁOŚCIOWE: POLSKA A NIEMCY

ZDZISŁAW NAJDER

Jeżeli wysuwanie przez nas postulatu niepodległości ma być aktem w pełni świadomym, pociąga za sobą obowiązek przemyślenia, jak zmieni się międzynarodowe położenie Polski z chwilą, kiedy odzyska ona niepodległość¹.

Jako kraj centrycznie położony, największy i najsilniejszy, Polska jest obszarem krytycznym dla całego układu sił w Europie Środkowo-Wschodniej. Dla każdego kryzysu czy konfliktu międzynarodowego w tej części Europy decydujące będzie to, co stanie się na terytorium Polski. Również dlatego, że zmiana systemu rządzenia w Polsce otwiera możliwość zmian u jej sąsiadów.

Jedną z konsekwencji odzyskania przez Polskę niepodległości stanie się otworenie nowych możliwości dla zjednoczenia Niemiec. Są tacy, którzy uważają to za argument przeciwko staraniu się o niepodległość. Nie zgadzamy się z nimi.

Trzeźwe spojrzenie na sprawę przyszłych stosunków polsko-niemieckich jest utrudnione przez naszą przeszłość i teraźniejszość. Na bezpośredniej przeszłości ciąży ogrom zbrodni dokonanych przez III Rzeszę na ludności Rzeczypospolitej Polskiej. Porozumienie albo przyjaźń między Polakami a Niemcami nie mogą się opierać na zapomnieniu o latach 1939–1945. Sądzymy, że w naszych myślach i postawach powinniśmy kłaść nacisk na przyszłość, nie na tragiczną przeszłość. Ale Niemcy muszą pamiętać, że wymaga to od nas odwracania oczu od doznanych krzywd.

Nasza teraźniejszość – to położenie przymusowe wasala ZSRR, państwa społecznie i administracyjnie zacofanego. Odcięcie od możliwości swobodnych, naturalnych procesów politycznych sprawia, że nasze kategorie myślenia politycznego stają się coraz bardziej archaiczne.

Nasz los polityczny skłania nas do wyolbrzymienia roli sąsiedztw. „Obóz”, do którego należymy, wyznaczył nam Niemcy za „naturalnego” wroga i wieczny straszak, natomiast drugi sąsiad, ZSRR, trzyma nas w paraliżującym uścisku Wielkiego Brata. Tymczasem we współczesnym świecie, przy dzisiejszej technice wojskowej i możliwościach technologicz-

¹ Przedruk za: *Polskie Porozumienie Niepodległościowe. Wybór tekstów*, Londyn 1989, s. 117–122.

nych, nie sąsiedztwa, nie sojusze i układy decydują o zachowaniu samoistności państwowej: przykładem Izrael, a z drugiej strony Kuba.

Polska granica zachodnia nie została ostatecznie uznana przez Niemcy. Istniejące układy obowiązują, w myśl uchwały Bundestagu i orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego RFN, tylko istniejące państwo RFN, nie zaś przyszłe zjednoczone Niemcy. Być może, gdyby nasze kraje nie należały do antagonistycznych bloków polityczno-wojskowych i gdyby granica polsko-niemiecka była tak łatwo przekraczalna jak np. niemiecko-holenderska, nie doszłoby do takiej deklaracji i orzeczenia. Niemcy muszą sobie jednak zdać sprawę, że pozostawienie spraw w zawieszeniu nastroja Polaków nieufnie i uniemożliwia wyzbycie się podejrzeń o ekspansjonizm. Polacy muszą sobie uświadomić, że w całej Europie poza „naszym” blokiem granice odgrywają rolę coraz mniejszą, zarówno w życiu codziennym, jak w świadomości obywateli. Tak je łatwo przekraczać, że przestaje się je zauważać. W naszej części świata granice pozostają ogromnie ważne, bo są nieprzenikliwe. Porównajmy np. doniosłość przebiegu granicy między Polską a ZSRR i granicy między Niemcami a Francją. A przecież Francuzi więcej wojowali z Niemcami o granice niż my.

Sprawę stosunków polsko-niemieckich musimy stale przemyślać na nowo, unikając właśnie takich przestarzałych formuł i nie poddając się propagandowym szablonom, chociaż nie zapominając zarazem o gorzkich naukach historii. Jeżeli tej sprawy śmiało i twórczo nie przemyślimy, pozostaniemy tylko biernym przedmiotem rozgrywek. Uważamy, że jeden aspekt tych stosunków powinien zostać poza ramami rozważań i dyskusji: niezależnie od tego, co sądzimy o sposobie wytyczenia naszych granic w roku 1945 i o ówczesnej możliwości bardziej racjonalnego ich przeprowadzenia – obecne granice z Niemcami uznajemy za niezmiennie.

Wbrew temu, co nam wmawia propaganda, ZSRR nie jest gwarantem naszych granic, ale gwarantem określonego, narzuconego nam systemu politycznego. Zmiana tego systemu jest niemożliwa bez uwolnienia się od przymusowej opieki tego gwaranta.

Jednakże z chwilą, kiedy rozluźnimy więzy kurateli – staniemy twarzą w twarz z Niemcami. Jest więc jasne, że na naszą determinację uniezależnienia się od ZSRR wpłynie fakt, czy RFN dość przekonująco wypowiadać się będzie za bezwzględnym uznaniem integralności terytorialnej Polski.

Ci wszyscy, którzy głoszą konieczność „sojuszu” z ZSRR, czyli w rzeczywistości podporządkowania się jego interesom państwowym i oficjalnej ideologii, jako obrony przed niemieckimi zakusami – muszą stawiać sprawę jasno: trwanie tego sojuszu w obecnej formie oznacza trwanie tego poddaństwa. Rozluźnienie sojuszu oznacza podjęcie ryzyka; od RFN zależy, jak niebezpieczne będzie to ryzyko w świadomości Polaków. Niemcy natomiast muszą zdawać sobie sprawę, że jeżeli Polska nie odzyska niepodległości – szanse na uniezależnienie się NRD są bardzo znikome.

Zjednoczenie Niemiec jest zasadniczym dalekodystansowym celem obu obozów politycznych w Republice Federalnej. Nie można wątpić, że będą do tego celu dążyć Niemcy wschodni, pozbawieni suwerenności i swobód obywatelskich. Fakt, że na temat zjednoczenia tak mało się dziś w RFN otwarcie pisze i głośno mówi, nie powinien nas wprowadzać w błąd. Nie świadczy to bynajmniej o zapomnianiu celu, ale o panującym wśród tutejszych polityków przekonaniu, że wybrane pokojowe metody działania wymagają dyskrecji. My z kolei musimy pamiętać, że w wieku XIX przez całe dziesięciolecia głucho było o możliwościach wskrzeszenia zjednoczonej po rozbiorach Polski; również o tym, że Niemcy mają takie samo prawo do zjednoczenia, jak my do niepodległości.

Dla Niemców, przywykłych do podziału na niezależne lub półzależne państwa oraz do tego, że ich granice państwowe nie pokrywają się z językowymi, zjednoczenie może oznaczać związek znacznie luźniejszy, niż oznaczało dla Polaków połączenie trzech zaborowych dzielnic w roku 1918.

Dwa wielkie obozy polityczne w RFN starają się dążyć do zjednoczenia odmiennymi drogami: SPD poprzez porozumienie z istniejącymi rządami – ZSRR i PRL oraz powolne zbliżenie ekonomiczne i społeczne obu państw niemieckich; CDU/CSU poprzez stop-

niowe ograniczenie wpływów radzieckich w Europie. Żaden z obozów zdaje się nie przywiązywać wagi do nastawienia społeczeństwa polskiego. Przywódcy zachodnioniemieccy wiedzą, że PRL nie może prowadzić niezależnej polityki zagranicznej i są skłonni przyznawać Polakom rolę biernego przedmiotu międzynarodowych rozgrywek. Jest to stanowczo krótkowzroczne, bo dla przyszłości Niemców nie jest obojętne, czy Polska jest suwerenna, czy nie.

Powtarza się często slogan, że Polska ma bezwzględne położenie geopolityczne. Twierdzi się, że wciśnięci między dwa potężne państwa musimy, aby nie paść ofiarą obu naraz, utrzymać ścisły sojusz z jednym z nich – sojusz, który wobec nierówności sił i naszej przymusowej sytuacji staje się zależnością. Jednakże położenie geopolityczne nie jest niezmiennie. Inne było dla nas w wieku XVI, inne w wieku XVII, inne pięćdziesiąt lat temu, a inne jest dzisiaj – i należy to zauważyć.

Możemy dziś nasze położenie geopolityczne widzieć dwójako. 1. Jesteśmy otoczeni przez ZSRR i jego wasali. Paraliżuje to ewolucję w kierunku niepodległości i demokratycznego postępu. NRD, nasz „dobry sąsiad, wierny przyjaciel”, jak głosi propagandowe hasło, jest naszym przyjacielem z obowiązku – co nie znaczy, by czasem nie występowała z sugestiami rewizji granic (bo im Szczecin „potrzebny”). 2. Polska nie leży już między Rosją a Niemcami – ale między imperialnym ZSRR a integrującymi się z wolna państwami zjednoczonej Europy, której częścią składową jest RFN.

RFN nie jest, przy całej swojej potędze, jak dawne Niemcy mocarstwem zdolnym do całkowicie samodzielnej polityki zagranicznej w wielkiej skali – a już zwłaszcza do polityki agresywnej. Próbując takiej polityki, utraciłaby natychmiast nie tylko osłonę obronną Stanów Zjednoczonych, ale przede wszystkim poparcie wszystkich innych krajów Wspólnoty Europejskiej. Związki ze Wspólnotą stają się z każdym rokiem coraz trudniejsze do rozluźnienia gospodarczo, politycznie, a nawet wojskowo. Jest też zgoda nieprawdopodobna, aby dla jakichś niepewnych zdobyczy terytorialnych RFN skłonna była zdać się na łaskę ZSRR.

Zjednoczenie Niemiec ma dwu zasadniczych przeciwników: ZSRR i sfery rządzące NRD. Dla ZSRR zjednoczenie oznaczałoby skurczenie się obszaru imperium, dla obecnej ekipy rządzącej NRD – utratę władzy.

Na możliwość zjednoczenia patrzą również bez entuzjazmu inne kraje Wspólnoty Europejskiej. Obawiają się bowiem dalszego wzmocnienia gospodarczego i politycznego Niemiec oraz ich chęci dominowania nad Wspólnotą. Można jednak przypuszczać, że im bardziej zintegrowana będzie zjednoczona Europa, tym mniejsze będą w jej ramach opory przeciwko zjednoczeniu Niemiec.

Opory Polaków wobec możliwości zjednoczenia Niemiec płyną z podobnych źródeł. Obawiamy się, że wzmocnione Niemcy zechcą wykorzystać swoją siłę dla wymuszenia rewindykacji terytorialnych. Gdyby zjednoczenie miało dokonać się jednoznacznie w ramach Wspólnoty Europejskiej, gdyby obszar stanowiący obecnie NRD stał się częścią skonfederowanej Europy, a nie tylko częścią RFN, i wzmocnił całą Wspólnotę, a nie tylko jedno państwo członkowskie – wówczas spory Polaków mogłyby osłabnąć. Zjednoczenie się Niemiec w ramach Wspólnoty Europejskiej sprawiłoby, że Polska uzyskałaby bezpośrednią styczność z Zachodem, z którym jest związana całą swoją tradycją i współczesnością kulturalną, możliwość współpracy ze Wspólnotą, wreszcie możliwość autentycznego wyboru sojuszków i związków gospodarczych.

Polacy mogliby więc uznać, że zjednoczenie Niemiec leży w interesie polskim, pod dwoma warunkami: 1. bezwzględne uznanie naszej granicy zachodniej, 2. zasadnicza integracja Niemiec ze Wspólnotą Europejską. Natomiast niespełnienie tych warunków stanowi stały i koronny argument za sojuszem z Rosją, niezależnie od formy rządów w Polsce i Rosji.

Wykazując zrozumienie dla niemieckich aspiracji, a jednocześnie posiadając jasne poczucie własnych interesów, możemy ułatwić przyszłe kształtowanie się rzeczywiście dobrosąsiedzkich stosunków. Dla dobra przyszłości powinniśmy się zdobywać na wielkoduszne przewyżanie uprzedzeń i obaw.

Oficjalne stosunki polsko-niemieckie są dzisiaj w znacznym stopniu kierowane przez Kreml. Na stosunki międzynarodowe wpływają również nasze potrzeby gospodarcze, które sprawiają, że RFN jest naszym największym kredytodawcą i europejskim partnerem handlowym.

Stosunki między społeczeństwami, środowiskami i jednostkami pozostają nadal w cieniu tragicznych przeżyć lat 1939–1945. Nieoficjalne kontakty były w ciągu ostatnich trzydziestu lat znikome. Władze ZSRR i PRL, potrzebujące Niemiec w roli czynnika zaskarżającego, utrudniają próby pojednania podejmowane przez niektóre koła zachodnioniemieckie oraz polskie środowiska katolickie. Nie podaje się więc do wiadomości publicznej faktów takich, jak przyjazdy młodzieży niemieckiej do Polski w ramach Akcji Pokuty, liczne zbiórki na polskie cele i potrzeby organizowane w RFN głównie przez organizacje religijne, zainteresowanie odczytami o okupacji wygłaszanymi w RFN przez polskich intelektualistów, przede wszystkim katolickich, ogłaszanie tam licznych przekładów z literatury polskiej itd., natomiast na komendę rodmuchuje się antyniemieckie nastroje, wyolbrzymia informacje o zachodnioniemieckich organizacjach prawicowych i wydawnictwach neohitlerowskich, co robi reklamę ugrupowaniom i wydawnictwom o niewielkim zasięgu. Szczególnie dla nas bolesna, wstydliva i powszechnie przemilczana jest sprawa wielu tysięcy Mazurów i Opolan, którzy oparli się przez setki lat germanizacji, zostali sztucznie zgermanizowani przez głupotę władz komunistycznych. Większość tych ludzi nie zna niemieckiego i emigruje nie z pobudek narodowych, ale w poszukiwaniu swobody i łatwiejszego życia.

Nastroje i postawy w RFN są rozmaite, ale mają tę zaletę, że są autentyczne, przez nikogo z góry nie planowane i nie dyrygowane. Powinniśmy jak najszerzej współpracować z tymi, którzy nam sprzyjają, którzy rozumieją nasze problemy, którzy uświadamiają niemieckim rodakom historyczne tło naszych dzisiejszych stosunków.

Słusznie dopominając się o to, by młodzież niemiecka zdawała sobie sprawę z podłoża i rozmiaru

hitlerowskich zbrodni, musimy pamiętać i o tym, że młodzież polska jest przez reżim wychowywana w nieznajomości naszej własnej najnowszej historii. Mamy słuszne pretensje, że kilkunastoletni Niemcy nie wiedzą, co to Oświęcim – ale nasze dzieci nie mają możliwości dowiedzenia się o zbrodniach stalinizmu, a nawet o tym, co stało się na polskim Wybrzeżu przed niespełna ośmiu laty.

Zadośćuczynienie za zbrodnie niemieckie ostatniej wojny nie jest możliwe. Jakikolwiek wymiar kary może mieć tylko charakter symbolu: żadna kara nie wyrówna straty milionów ludzkich istnień. Należy jednak pamiętać o tym, że RFN jest pierwszym w historii państwem, które – chociaż powolnie i nieraz opieszale – karze własnych obywateli za przestępstwa popełnione na obywatelach innych państw. Natomiast w NRD odpowiedzialność za zbrodnie wojenne została złożona ogólnikowo na instytucje i organizacje hitlerowskie: nikt za nie osobiście nie jest sądzony. Zaś w ZSRR, który spowodował około 20 proc. polskich strat ludnościowych podczas ostatniej wojny (tj. około miliona dwustu tysięcy zgonów), nikt nigdy nie wspomniął nawet o odpowiedzialności karnej.

Na przykładzie stosunków polsko-radzieckich wiemy, ile jest warta obowiązująca w NRD przyjaźń z PRL. Przyjazne gesty, dyrygowane przez władze obu krajów, pokrywają wzajemną nieufność, a nawet wrogość. Wiele wskazuje na to, że właśnie NRD jest potencjalnie ośrodkiem najbardziej antypolskich tendencji w Niemczech. Rozgoryczeni, poniżani, zmuszani na co dzień do fałszu mieszkańcy NRD mogą się w przyszłości stać największą przeszkodą w ułożeniu dobrosąsiedzkich stosunków między obu narodami.

Pamięć o zbrodniarzach niemieckich ułatwia dziś wielu Polakom godzenie się z sowieckim jarzmem. Ludzie, którzy pamiętają hitlerowski terror – a zwłaszcza ci, którzy nie zetknęli się z sowieckim – są często skłonni dla ośłonięcia wstydliwego faktu braku suwerenności Polski wysuwać argumenty, że ZSRR „uwolnił” nas od Niemców i broni przed ich „zakusami”. Jest to rozumowanie fałszywe. Zbrodnie ludobójstwa dokonywane na narodzie polskim przez

ZSRR w latach 1939–1941 nie stały się dla Polaków argumentem za kolaboracją z Niemcami. Tak samo ludobójstwo niemieckie nie może być argumentem za wiernopoddańczością wobec ZSRR.

Autentyczna, nie manipulowana, obustronna poprawa stosunków polsko-niemieckich na płaszczyźnie międzyspołecznej i międzyludzkiej jest jednym z najważniejszych zadań, jakie stoją przed nami w ostatniej ćwierci XX wieku. Nie możemy sobie pozwolić na postawę: Niemiec – wieczny wróg. Żaden mądry

naród nie kieruje się w polityce zasadą kultywowania wrogów.

Od rozsądku, dobrej woli i poczucia odpowiedzialności Niemców z jednej strony, a odwagi twórczego politycznego myślenia Polaków z drugiej zależy wyjście z obecnego impasu, zależą przyszłe losy obu naszych narodów.

Zespół Problemowy Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, maj 1978

JAN PAWEŁ II I WALKA Z KOMUNIZMEM

ALEKSANDER HALL

GEORGE WEIGEL, *Kres i początek. Papież Jan Paweł II – zwycięstwo wolności, ostatnie lata, dziedzictwo*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2012, ss. 592.

Wydawnictwo Znak opublikowało polską edycję ostatniej książki George’a Weigla, poświęconej działalności i dziedzictwu Karola Wojtyły (Jana Pawła II). Już samo nazwisko autora jest ważną rekomendacją. George Weigel przecież napisał – chyba najlepszą, a na pewno najlepiej się sprzedającą – biografię Jana Pawła II *Świadek nadziei*, doprowadzoną do 1998 r., a więc do dwudziestolecia pontyfikatu papieża z Polski. W zamierzeniu autora książka *Kres i początek* stanowić miała dopełnienie tamtego dzieła. Bez wątpienia Weigel jest jednym z najlepszych znawców drogi życiowej i myśli Karola Wojtyły i nie przypadkiem biografia Jana Pawła II jego autorstwa zyskała tak duże uznanie.

George Weigel (rocznik 1951) – amerykański filozof i teolog katolicki – jest ważnym uczestnikiem debat dotyczących węzłowych problemów współczesności. Opublikował piętnaście książek. Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku stał się jednym z filarów miesięcznika „First Things”, założonego przez Richarda Johna Neuhausa, amerykańskiego intelektualistę, który w 1990 r. przeszedł z luteranizmu na katolicyzm i został księdzem. „First Things” stał się ważnym ośrodkiem intelektualnym, w wielkiej mierze inspirowanym myślą Jana Pawła II. Krąg „First

Things” – w którym obok Neuhausa i Weigla konieczne trzeba wymienić Michaela Novaka – opowiadał się za otwarciem katolickiego nauczania społecznego na wartości demokratycznego kapitalizmu, prowadził nie tylko krytykę komunizmu, ale także krytykę poszukiwań „trzeciej drogi” pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem, wielokrotnie podejmowaną na gruncie katolickiej myśli społecznej. Radykalna krytyka komunizmu i roli odgrywanej w polityce światowej przez Związek Radziecki zbliżała autorów „First Things” do obozu republikańskiego w Stanach Zjednoczonych i uznania zasług administracji prezydentów Ronalda Reagana i George’a H.W. Busha w doprowadzeniu do upadku „imperium zła”.

Weigel, zafascynowany postacią Jana Pawła II, został przedstawiony papieżowi przez dominikanina o. Macieja Ziębę, zaprzyjaźnionego ze środowiskiem „First Things” i intelektualnie mu bliskiego. Znalazł się w kręgu intelektualistów regularnie spotykających się i dyskutujących z papieżem. Zyskał jego sympatię, zaufanie i akceptację dla zamiaru napisania jego biografii, na której kształt Jan Paweł II nigdy jednak nie próbował wpłynąć. Zaufanie papieża i jego polskich przyjaciół odegrało wielką rolę w utorowaniu drogi Weiglowi do polskich środowisk, w których żył,

pracował i kształtował się Karol Wojtyła. Ponad trzysta pierwszych stron *Świadka nadziei*, poświęconych życiu Wojtyły zanim został papieżem, stanowi bardzo mocny punkt biografii Jana Pawła II, która stała się bestsellerem w Stanach Zjednoczonych i w Polsce.

Kres i początek w istocie jest suplementem do tej biografii, zawierającym także podsumowanie pontyfikatu. To wartościowa książka, chociaż czytelnicy *Świadka nadziei* mogą odczuwać pewien niedosyt. Biografia Jana Pawła II była dziełem jednorodnym, bogatym w szczegóły, a zarazem tworzącym przemyślaną syntezę. Ostatniej książce Weigla tej jednorodności i spójności brakuje. Składa się ona z trzech wyraźnie wyodrębnionych części. Pierwsza, zatytułowana *Nemesis. Karol Wojtyła przeciwko komunizmowi 1945–1989*, przedstawia rolę naszego wielkiego rodaka w przeciwstawianiu się systemowi komunistycznemu w Polsce, gdy żył w kraju, i później: w okresie, w którym przewodził całemu Kościołowi katolickiemu. Drugą część – *Kenoza. Ostatnie lata papieża Jana Pawła II 2000–2005* – należy uznać za dokończenie biografii papieża. Jest to chronologiczna kontynuacja *Świadka nadziei*. Autor koncentruje swą uwagę przede wszystkim na dwóch wydarzeniach: Wielkim Jubileuszu 2000 r. i odchodzeniu papieża. Trzecia część, *Metanoja. Życie ucznia pod lupą*, jest próbą zarysowania duchowej i intelektualnej osobowości Karola Wojtyły i posumowania jego pontyfikatu.

Brak jednorodności ostatniej książki Weigla jest konsekwencją przyjętej przez niego konstrukcji. Stojąc przed wyborem, czy uzupełnić *Świadka nadziei* o nieznane dotąd fakty, wyłaniające się przede wszystkim z archiwów tajnych służb PRL i NRD, oraz podjąć się opisu ostatnich lat pontyfikatu i jego podsumowania, czy też napisać nową książkę, stanowiącą bardzo obszerny suplement do istniejącej już biografii papieża, autor wybrał tę drugą możliwość.

Pierwsza część *Kresu i początku*, poświęcona zmaganiom Jana Pawła II z komunizmem, reklamowana jest jako praca przynosząca nowe ujęcie tematu dzięki uwzględnieniu w niej materiałów zgromadzonych w archiwach służb specjalnych państw bloku wschodniego, udostępnionych historykom i opinii publicznej

po upadku systemu komunistycznego. Wydaje mi się, że jest to ocena przesadzona. Wielki udział Jana Pawła II w przyczynieniu się do upadku komunizmu Weigel ukazał już w *Świadku nadziei*. Zdaniem autora wynikał on z dobrej znajomości natury i praktyki systemu, konsekwencji papieskiego przestania dla świata, jego szczególnego charyzmatu proroka i zarazem męża stanu, który na początku pontyfikatu wypowiedział słowa: „nie lękajcie się!” i kierował się zasadą, by zło dobrem zwyciężać. Dokumenty służb specjalnych państw bloku wschodniego nie zmieniają w żaden sposób oceny historycznej roli Jana Pawła II, dostarczają jedynie nowych szczegółów dotyczących walki z Kościołem i Karolem Wojtyłą (Janem Pawłem II) prowadzonej przez system komunistyczny, zwłaszcza za pomocą agentury.

Polskim czytelnikom zainteresowanym problematyką walki z Kościołem ostatnia książka Weigla przynosi niewiele nowych faktów, gdyż autor przede wszystkim posługuje się opublikowanymi już ustaleniami polskich historyków, zwłaszcza Andrzeja Gajewskiego i Marka Lasoty. W kwestiach dotyczących agentury usiłującej osaczać Karola Wojtyłę, a później Jana Pawła II, moją wątpliwość budzi jednoznaczne zakwalifikowanie dominikanina Konrada Hejmo jako agenta Służby Bezpieczeństwa. Postępowanie o. Hejmo w kontaktach z SB z pewnością było naganne i co najmniej wysoce nieroztropne, ale sądzę, że nie zostało jednoznacznie dowiedzione, iż był on „tajnym i świadomym” współpracownikiem policji politycznej.

Nowym i ciekawym elementem tej części książki jest wyraźnie inne niż w *Świadku nadziei* rozłożenie akcentów w ocenie wschodniej polityki Watykanu i roli w niej Sekretariatu Stanu, a zwłaszcza kard. Agostino Casarolego. Przeciwstawienie linii postępowania Jana Pawła II wobec państw komunistycznych watykańskiej *Ostpolitik* z czasów Pawła VI jest bardziej radykalne niż w *Świadku nadziei*. Zmienia się także ocena kard. Casarolego jako współpracownika Jana Pawła II. W biografii papieża Weigel przedstawiał architekta ugodowej i defensywnej polityki wschodniej Pawła VI jako lojalnego wykonawcę linii Jana

Pawła II, chociaż sceptycznego wobec jego wizji misji Kościoła i papieża w części Europy znajdującej się pod władzą komunistycznych reżimów. W swej ostatniej książce Weigel rewiduje ocenę sekretarza stanu jako lojalnego wykonawcy linii Jana Pawła II. Przedstawia fakty przemawiające na rzecz tezy, iż niekiedy linia polityczna Sekretariatu Stanu była odmienna od postępowania papieża.

Tezę tę zdają się potwierdzać wypowiedzi Casarolego w trakcie jego wizyty w Stanach Zjednoczonych, składanej tuż po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w grudniu 1981 r. W rozmowie z prezydentem Reaganem i innymi wysokimi przedstawicielami amerykańskiej administracji, a także z ambasadorem PRL przy ONZ, watykański sekretarz stanu wykazywał wiele zrozumienia dla decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, a także dzielił się przypuszczeniem, że ta decyzja została podjęta suwerennie przez gen. Jaruzelskiego, aby zapobiec bezpośredniej interwencji radzieckiej. Stanowisko formułowane przez Jana Pawła II wobec wprowadzenia stanu wojennego było zupełnie inne: pełne współczucia dla cierpień narodu, zachęcające władze PRL do podjęcia dialogu z Solidarnością, w której papież widział wielki ruch narodowy, w znacznej mierze inspirujący się społecznym nauczaniem Kościoła. Tę różnicę poglądów papieża i jego sekretarza stanu Weigel podsumowuje, cytując z aprobatą opinię Zbigniewa Brzezińskiego: „Dla Casarolego komunizm był systemem władzy, z którym trzeba było żyć. Dla Jana Pawła II komunizm był złem, którego nie dało się uniknąć, ale które można było podkopywać”.

Druga część książki, poświęcona ostatnim latom pontyfikatu Jana Pawła II, jest jej mocnym punktem. Napisana z rozmachem, w stylu *Świadka nadziei*, stanowi w istocie końcową część tej biografii papieża. Pewną moją wątpliwość budzi jedynie przeciwstawienie przez autora stanowczego, ale – jego zdaniem – „starannie dopracowanego” sprzeciwu Jana Pawła II wobec wojny w Iraku ideologicznej i przesadnej reakcji na tę wojnę części jego współpracowników, bardzo krytycznych wobec decyzji podjętej przez administrację prezydenta George’a W. Busha. Weigel pisze o ich postawie z wyraźną irytacją, być może wynikającą z faktu, że sam solidaryzował się z ówczesnymi decyzjami amerykańskiej administracji w kwestii Iraku.

Ostatnia część książki zawiera charakterystykę osobowości Karola Wojtyły (Jana Pawła II) jako człowieka, duchownego i męża stanu, a także podsumowanie pontyfikatu i ocenę dziedzictwa papieża. Bez wątplenia jest to jedno z najciekawszych i najpełniejszych syntetycznych spojrzeń na Jana Pawła II i jego dzieło. Ostatni rozdział książki, zatytułowany *Miara pontyfikatu*, autor zamknął następującą oceną: „Karol Wojtyła, papież Jan Paweł II, stał się prorokiem nowego i autentycznego humanizmu – i zmienił świat – ponieważ był uczniem: radykalnie nawróconym chrześcijaninem, którego niewzruszona wiara w Chrystusa zrodziła przemieniającą świat nadzieję na nową wiosnę ludzkiego ducha”.

Kres i początek jest książką zdecydowanie wartą polecenia. Radzę postawić ją na półce obok *Świadka nadziei* i traktować obie książki jako całość.

KRÓLESTWO WOLNEGO SŁOWA

TOMASZ JASTRUN

PAWEŁ SOWIŃSKI, *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 2012, ss. 367.

Praca Pawła Sowińskiego na temat drugiego obiegu wydawniczego lat 1977–1989 to pierwsze bodaj tak pełne opracowanie zjawiska. Autor zdecydował się pisać jedynie o książkach, a pominąć periodyki. Sztuczny to podział, o czym wie. A i tak miał problem, jak zapanować nad całością ruchu, który był tak obszerny, spontaniczny, bez wyraźnych kształtów, za to radosny, bałaganiarski i pełen emocji.

W książce bardzo potrzebnej i rzetelnie przygotowanej jest wiele informacji, nazwisk, jest też aspekt anegdotyczny, tak wtedy ważny, i próba ocalenia atmosfery. Anegdota jednak zawsze wiele traci wyjęta z kontekstu swego czasu i środowiska. A napięcie, które było w powietrzu, znika między słowami dokumentu. Nie ma na to chyba rady. Nikną też zapachy. Do końca życia będę pamiętał świeży zapach farby drukarskiej.

Pomysł był prosty: ominąć cenzurę. Jak stalowa obręcz trzymała w uścisku nasze myśli i słowa, kontrolowała nawet nekrologi i zaproszenia ślubne. Druk poza cenzurą był jak przedarcie zasłony. Wtedy okazało się, że nie jest to stalowa kurtyna, raczej zasłona z papieru. Ale za nią mogły być kraty.

W moim domu panowała atmosfera szacunku dla słowa i prawdy. Oboje rodziców to pisarze, ściany okupowane były więc przez półki z książkami. Grały dwie

maszyny do pisania. I pamiętam nieustanne gniewy mego ojca na kłamstwo i cenzurę. Czasami w domu pojawiały się jakieś numery paryskiej „Kultury”, jak ptaki z dalekiego świata. Nie mogłem wtedy wiedzieć, że kiedyś zostanę wieloletnim autorem tego pisma.

Słowo samizdat (sam wydał) usłyszałem po raz pierwszy w Wolnej Europie gdzieś chyba pod koniec lat sześćdziesiątych. W Związku Radzieckim ktoś wpadł na pomysł, by przepisywać teksty ręcznie lub na maszynie. Tam szło się za to do łagru. (U nas w latach siedemdziesiątych system już prawie nie miał kłów i pazurów, ale to nie było pewne, to trzeba było sprawdzić na sobie). Poruszyła mnie ta wiadomość o samizdacie; nie pamiętam dokładnie, który to był rok, pamiętam poruszenie.

Za to dokładnie pamiętam pewien dzień w 1976 r. Odwiedziłem mego przyjaciela, polskiego Japończyka Yoshiho Umedę. Przepisywał na maszynie pierwszy „Komunikat” Komitetu Obrony Robotników. Usiadłem i też zabrałem się do pracy. W kilka miesięcy potem to jednak ja wciągnąłem Yoha do współpracy z NOW-ą. Sprowadzał przez lata z Japonii bezcenne materiały techniczne. Po stanie wojennym zapłacił za to banicją z Polski.

U źródeł mego dzieciństwa jest szum zagłuszarek. Najdonośniej dobiegał z sufitu, ojciec naszej sąsiadki,

korektorki w Państwowym Instytucie Wydawniczym, łysy starzec zwany przez nas „Głuszcem”, przebiegał się przez zgiełk. Mój ojciec mocował się z radiem w swoim gabinecie. Czasami widziałem, jak wygraża pięścią zagłuszcaczom. Przez lata zasypiałem kołysany szumem zagłuszarek. W końcu sam zacząłem słuchać Wolnej Europy. Chyba nie miałem wyjścia.

Kiedy w innej epoce, w 1988 r., udało mi się wyjechać po odbiór Nagrody Kościelskich, mówiłem do kraju z monachijskiej rozgłośni. Czułem poruszenie, jak zawsze, gdy przekracza się granice, nie tylko fizyczne.

W „Tygodniku Kulturalnym”, gdzie pracowałem w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, korektorki szeptały: „oni cenzurują nawet przemówienia I sekretarza PZPR”. Odnotowuję w swoich dziennikach z tamtego czasu zakaz publikowania informacji o poszukiwaniach w Polsce ropy naftowej. 5 lutego 1978 r. zapisałem: „Mam dyżur w drukarni. Wylatuje wymienione w recenzji nazwisko Konwickiego. Cenzura wyrzuca również dane statystyczne dotyczące liczby wojskowych zespołów estradowych. Kto by się spodziewał, że to jest tajemnica państwowa?”. W końcu mnie też wyrzucono z tej pracy po kilku donosach z terenu, że kolportuję druki zakazane.

31 stycznia 1978 r. notuję w dzienniku: „Kilka dni temu oddałem korektę tomu *Bez usprawiedliwienia*. Dzisiaj byłem w PIW-ie w sprawie cenzury. Jak na razie usunięto tylko jeden wiersz *Dłużnicy*, zaczynający się do słów: »O tylu rzeczach zabroniono pisać«”. 5 lutego 1978 r.: „Dynamicznie rozwija się akcja wydawnicza KSS KOR. Niedawno wydano *Kompleks polski* Konwickiego w nakładzie 3 tys. egz. Książka pięknie wydana. Cena 200 zł”. 15 marca 1978 r. krok dalej: „Noc ciężka od gwiazd. Miejscowość za Warszawą, dom w ciemnym lesie, za brudnymi szybkami meble, szare ściany, zapach nędzy. Ludzie w mroku, proste, milczące twarze. Tak bardzo boję się, by nie stała im się jakaś krzywda. Z tym uczuciem, które wypełniło mnie niemal po brzegi, wracam ku światłom Warszawy, której dłonie zdają być przebite kolcem Pałacu Kultury”.

W kilka tygodni później znowu piszę, niezbyt ostrożnie: „Znowu tajna drukarnia. Krzepiący obraz.

Las, gwiazdy, które nadają tej sprawie kosmiczny wymiar”.

Bardziej szczegółowy opis tego miejsca, już z nazwiskami, zamieściłem po 1989 r.: „Pamiętam niewielki domek w Konstancinie, w beczelnej bliskości milicyjnej komendy. Właścicielami byli prości ludzie. Schody prowadziły do obszernej piwnicy. A tam miałem wrażenie, że odbywa się niezwykle misterium. Zdumiewająco hałaśliwa maszyna wyrzucała z siebie brutalnie kartki, charcząc i zacinając się. Doglądał jej mały, nagi, cały w tatuażach Romek Wojciechowski (siedział kiedyś lat piętnaście i napisał dwa, trzy świetne opowiadania znamionujące duży talent – oczywiście niewykorzystany). Pomagał mu X, też wytatuowany. Podobno znalazł go kiedyś Chojewski na parkowej ławce. X nie posiadał w ogóle dowodu osobistego, ale miał swój rozum. Wąsaty Wiesiek Kęćik, potem główny specjalista od chłopów, odbijał wałkiem na stole kolejne strony. To samo robiła mała dziewczynka, córka gospodarzy, a warkoczyk podskakiwał jej wesoło na plecach. Czarny kot, nie wiadomo, czarny z natury czy od farby, przechadzał się po grubej warstwie papierów pokrywających podłogę. Pamiętam, że na zewnątrz świeciły przenikliwe gwiazdy, i miałem poczucie, że prawo moralne jest we mnie. Wracałem wioząc samochodem zadrukowane kartki, a towarzyszył mi Konrad Bieliński, który na zajutrz rano miał prowadzić zajęcia z matematyki na uniwersytecie”.

Mniej więcej w tym czasie zanotowałem, jak składał się w moim mieszkaniu pierwszą powieść wydaną przez NOW-ą, *Nierzeczywistość* Kazimierza Brandysa: „Był środek złotej gierkowskiej jesieni, ludziom wydawało się, że żyją dostatniej, a Polska rosła..., jak to się zdarza przy wodnej puchlinie. Gościłem u siebie pisarza starszej generacji przybyłego z nadmorskiego miasta. Nietrudno się domyślić, o czym wtedy rozmawialiśmy. Była to jedna z tych rozmów, które w tej części Europy są odbijane na przeklętej kalce od ponad stu lat. Ktoś zapukał do drzwi. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że są to ostatnie chwile, kiedy takie pukanie nie budzi mojego niepokoju, i że dopiero w dziesięć lat później ten dźwięk zno-

wu odzyska swój ciepły wyraz. Do mieszkania wtoczył się mój kolega, brodaty chemik, jakby tańczył z niezwykle otyłą niewiastą. Dźwigał ciężkie paczki, które pomogłem mu zdjąć z ramion. W tych paczkach leżały kartki o formacie A-4 zapisane słabym, ginącym miejscami niebieskim drukiem. Była to powieść Kazimierza Brandysa *Nierzeczywistość* przywieziona do mojego mieszkania w postaci luźnych kartek, by ją tu złożyć i oprawić. Ta bodajże pierwsza powieść wydana w drugim obiegu, została odbita (z trudem) na powielaczu spirytusowym i pachniała tak intensywnie, że można się było upić przy późniejszej lekturze. Z czasem spirytus został zastąpiony przez pastę do prania o nazwie Komfort. I ten zapach kojarzył mi się potem z podziemną książką.

I na zawsze już będę pamiętał słodki dreszcz emocji, gdy z żoną i małym synkiem przekładaliśmy w pocie czoła dziesiątki tysięcy kartek zadrukowanych ledwie widocznymi literami.

Czytając książkę Pawła Sowińskiego, spotkałem wielu znajomych, niepokojąco liczni zostali już zagrzebani w niepamięci. Z Pawłem Bąkowskim, szefem kolportażu NOW-ej, współpracowałem w latach siedemdziesiątych. Kiedyś jeździliśmy moim samochodem, rozwoząc książki lub papier po naszych magazynach, umiejscowionych zwykle w piwnicach ludzi, których nie dane było mi poznać. Paweł zostawił wtedy w moim wozie gruby notes, pełen informacji na temat sprzedaży książek i Bóg wie jeszcze czego. To też pokazuje, jak wyglądała nasza konspiracja. A może była ona po prostu skrojona na skalę i miarę represji tamtego czasu.

Paweł przez dwa lata ukrywał się w stanie wojennym, ja tylko przez rok, on jednak potem wyemigrował. A mnie bezpieczeństwa wielokrotnie namawiała na wyjazd. Odwzajemniałem się im tym samym. A Pawła już jako emigranta spotkałem w 1985 r. w Stanach. Wiózł mnie samochodem spod Nowego Jorku do Bostonu. Ale to z książki Sowińskiego wiem o jego przygodzie związanej z moimi wierszami: „W czerwcu 1982 r. uciekający przed policją Paweł Bąkowski wyskoczył z ruszającego pociągu na stacji Warszawa Stadion – wraz z torbą poezji Tomasza Jastruna *Na skrzyżowaniu Azji i Euro-*

py. Nie miał czasu do stracenia. Pobiegł nad pobliską Wisłę, przedzierał się przez zarośla. Zostawił torbę w krzakach. Wrócił po książki następnego dnia”.

Kto by przypuszczał, że moje wiersze, wtedy jeszcze pisane pod pseudonimem Te Jot, narobią tyle kłopotu. Służby przez lata będą próbowały udowodnić, że jestem autorem tych wierszy. Zniechęcali mnie do pisania i do redagowania pisma „Wezwanie” na wszelkie sposoby, nigdy jednak nie brutalnie. Wyjątkiem może być całonocne przesłuchanie, gdy złapali mnie po roku ukrywania się, w listopadzie 1982 r. Już wtedy wydawało mi się humorystyczne, kiedy powtarzali: „Pana utwory godzą w Polskę Ludową. Zamknijmy pana tak, że nie będzie pan mógł nic pisać”. Pisarz, dziennikarz, nawet poeta mógł doprawdy czuć się wtedy kimś ważnym.

Cała ta konspiracja była szczególna, czasami gęboka, częściej bałaganiarska, a bywało, że nawet pół jawna. (Wyjątkiem będzie rok stanu wojennego). Toczyła się gra z bezpieczeńką na nie do końca ustalonych prawach i regułach. To mogło jednak w każdej chwili się zmienić, i nie myśmy ustalali te reguły. Wszystko działo się w groteskowych dekoracjach Polski Ludowej. Między rozdziałem przed Sierpniem i po stanie wojennym był „karnawał” Solidarności. Wszystko wtedy się ujawniło w formie wybuchu. Był też gnilny rozdział końca lat osiemdziesiątych.

Jeśli w mej pamięci lata siedemdziesiąte mają wiele kolorów, to stan wojenny ma raczej barwę czarną, a lata następne szaro-burą.

Urodzonym w epoce bez cenzury trudno pojąć szczególną wartość prawdy i to, jakie znaczenie miało jej powielanie. W wielkiej ciszy, której pilnowała szczelna cenzura, każda wolna kropla brzmiała jak wystrzał armatni. Stąd lęk ówczesnej władzy przed wolnym słowem. Dlatego nawet zwykła maszyna do pisania bywała przedmiotem represyjnych działań. Losy mojej maszyny marki Continental, zabranej w czasie rewizji, to temat osobny, który zapełniłby sporą część miejsca przeznaczonego na ten tekst. Pod koniec lat osiemdziesiątych próbowałem wielokrotnie ją odzyskać. Przy kolejnej próbie, gdy się zdawało, że jestem już bliski sukcesu, z portierni, gdzie miała na

mnie czekać, zaproszono mnie na wyższe piętra. Od razu miałem złe przeczucia.

Maszyna stała na biurku, pokój był pusty, po chwili wypełnił go swoją kanciąstą obecnością ptk Krzysztof Majchrowski. Usiadł, kazał mi siadać. Nie usiadłem. Zaczęliśmy patrzeć sobie w oczy. I tak w milczeniu przez wiele minut toczyła się walka na miny. Gombrowicz byłby z tej sceny zadowolony. Pułkownik nie wytrzymał i przerywał milczenie: – Co pan tak patrzy, myśli pan, że wkrótce zamienimy się na miejsce? O, nie będzie tak. Maszynę oddamy, jak podpisze pan oświadczenie, że nie będzie pan na niej pisał utworów godzących w Polskę Ludową.

Coś kiepsko z wami – pomyślałem, nie wiedziałem jednak, że było aż tak kiepsko. Oni też nie wiedzieli. Dopiero gdy powstała „Gazeta Wyborcza”, do jednego z pierwszych numerów napisałem felieton z tezą, że dla mnie wojna trwa nadal, moja maszyna jest ciągle jeńcem na Rakowieckiej. Po interwencji Adama Michnika, co nie było ze mną konsultowane, generał maszynę mi oddał osobiście. A przy okazji kilkadziesiąt książek zabranych podczas rewizji. Wszystko to leżało na wielkim stole w jego wielkim gabinecie.

Od początku niezależnej działalności wydawniczej był problem, jak nazwać to, co robimy. Kiedyś Mirek Chojecki przywłókł nazwę „bibuła”. Pachniała co prawda myszką, ale przyjęła się, chociaż chyba nie zadowoliła się na dobre, mimo że sympatycznie kojarzyła się z Piłsudskim. „Drugi obieg” brzmiał nieco zawile i drugorzędnie. Ale zgadzam się z autorem książki, że ten właśnie termin czas dobrze zweryfikował. Niech więc tak zostanie.

Jarosław Markiewicz, mój przyjaciel, malarz i poeta, w stanie wojennym założył z Wackiem Cholewińskim wydawnictwo Przedświt. Jarka poznałem na progu stanu wojennego, na spotkaniu, jak się potem okazało, założycielskim pisma „Wezwanie”. Nie wiedział, kim jest Sołżenicyn. Buddysta i mistyk, wszedł do redakcji „Wezwania”. Kiedy był problem z wydawaniem tak grubego pisma, stworzył wydawnictwo, również po to, aby opublikować numer 2/3 „naszego pisma”. Taki był to czas niezwykłych przemian ludzi.

Wydawnictwo Przedświt mieściło się w magicznym mieszkaniu Jarka, w starej kamienicy. Do 1989 r. opublikowali setki tytułów książek, w tym wiele tomów wierszy. Liczne książki, jeśli nie większość, na tzw. dojściach. Drugi obieg w latach osiemdziesiątych korzystał coraz śmielej z usług zdemoralizowanych lub ideowych państwowych drukarzy. Szara strefa w Polsce rozrastała się monstrualnie, a korupcja wyjadała system od środka. Opowieści Jarka o kulisach działalności Przedświtu to rozgałęziona anegdota o niezwyklej grotesce tamtego czasu. Wszystko już gniło, opozycja i władza. (Jaka szkoda, że Jarek nigdy tego nie zapisał).

A nasze gnicie nie było wcale zabawne. Bardzo się tym trapiłem. Pamiętam jakiś konflikt o maszynę drukarską, podarowaną przez zagranicę, byłem tu nieszczęśliwym pośrednikiem. Oddana na przechowanie, została bezczelnie zawłaszczona przez firmę podziemną. Pamiętam nocną wizytę dwóch kolegów, przedstawicieli podziemnego wydawnictwa, którzy zachowywali się jak gangsterzy z innej rodziny. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych było już widać, że podziemie komercjalizuje się, a nawet degeneruje. Jeszcze szybciej jednak następował rozkład państwa. Więc w 1989 r. zwaliliśmy się, mniej lub bardziej bezwładnie, w swoje ramiona. Energii, siły i pomysłu, co robić, wyobraźni, co dalej, brakowało obu stronom.

Myśląc o tamtym czasie, widzę, jak wiele było pięknych odruchów, ile bezinteresowności, co widać szczególnie wyraźnie dzisiaj, kiedy bezinteresowność jest na wymarcu. Był też – szczególnie silny w latach siedemdziesiątych – element towarzyski. Czasami zapewne krzepiliśmy się poczuciem, że jesteśmy lepsi, bardziej odważni. Świat wydawał się czarno-biały, a my byliśmy na pewno po stronie światła. Po latach już wiemy, że to nie było i nie jest takie proste.

Na pewno był to czas szczególnej wagi słowa i prawdy. Wolnego słowa śmiertelnie bała się władza. Tylko dla ludzi pozbawionych wolności prawda jest tak cenna. Było więc wtedy poczucie wagi drugiego obiegu. Nie potrafię zliczyć swoich tajnych spotkań autorskich w mieszkaniach, a także w kościołach, w ich podziemiach, a czasami na ołtarzach.

Książka Pawła Sowińskiego z konieczności wiele osób i aktywności przeocza. Nie ma na to rady, czas zawsze redukuje i usuwa miliony szczegółów. I musi to robić autor. Sam ruch był nieuporządkowany i czasami niejasny. To była wojna podjazdowa i partyzancka.

Jej uczestników znanych z imienia i nazwiska nie było tak wielu, więcej bezimiennych. Czy nie powinien więc jeden rozdział zostać pusty, jak grób nieznanego żołnierza? Hołd dla tysięcy bezimiennych bohaterów.

Ta wojna miała swój triumf w sierpniu 1980 r. Klęskę grudnia 1981 r. I okupację stanu wojennego. Potem partyzantkę na wielką skalę. I wyraźny element zmęczenia i korupcji po 1985 r.

Nie udało się autorowi – czy mogło się udać? – odmalować wszystkich kolorów tego ruchu, jego radosnej energii. Tej jednorodności w różnorodności. Nie ma załączków konfliktów, z jakich dzisiaj wyrasta dżungla, która nas dzisiaj tak dzieli. Może warto było spróbować.

Pamiętam, że kiedyś byłem piekielnie ciekaw, jak to jest po tej drugiej stronie. Co oni o nas wiedzą? Po lekturach kilku swoich teczek wiem, że wiedzieli o wiele mniej niż myślałem, jeśli coś wiedzieli, to dzięki agentom. Nie było ich wcale tak wielu. Mój główny donosiciel, filmowiec, mieszkał w Helsinkach, miał fiński paszport, ale był agentem węgierskiej SB. W tajnym lokalu agentury węgierskiej w Warszawie płk Beszdesz spotykał się z moimi aniołami stróżami, by ustalać plany operacyjne agenta „Skrzypka” wobec „Juniora” – taki mi nadali kryptonim. Kiedyś zrobiono tajne przeszukanie mojego mieszkania, a ekipa techniczna zakładała podsłuch. Potem były „operacje kombinowane”, zastawianie pułapek z udziałem urzędników administracji i milicji drogowej. Wiele różnych atrakcji.

Podczas tajnej rewizji w moim mieszkaniu znaleziono odpowiednie miejsce na zainstalowanie podsłuchu. Oto fragment reportażu z mieszkania: „W lokalu figuranta w szeregu miejscach, też w ubikacji – umieszczone są egzemplarze nielegalnych ulotek oraz wycinki z pracy oficjalnej, np. »Trybuny Ludu«. [...] Bezpośrednie zestawienie tych obrazów i haseł

nadaje całości wrogi, dwuznaczny i ośmieszający wydźwięk. [...] Figurant w ten sposób trenuje codzienne i systematycznie swoje odczucia nienawiści do socjalizmu”.

Czytam, jak Urząd szykuje „kombinację operacyjną”: „Celem jest spowodować zatrzymanie figuranta jadącego samochodem i dokonanie dokładnej kontroli stanu technicznego pojazdu. W wypadku braku posiadania dokumentów wykorzystać ten fakt do dialogu operacyjnego z figurantem”. Wyjaśniam: zgubiłem portfel, a jakiś pocztowiec wrzucił go do skrzynki pocztowej. I tak SB przejmuje moje dokumenty. I czeka. Mają nadzieję, że będę jeździł bez prawa jazdy. Stąd pomysł „operacji kombinacyjnej” (co za język!). Milicja drogowa bierze w tym udział.

Nie wiedzieli, że jestem chorobliwym legalistą, tylko wobec PRL inaczej mi się porobiło. Próbuję wyrobić nowe dokumenty, teraz wiem, czemu tak długo to trwało. SB blokuje ich wydanie w nadziei, że jednak zmięknę i wsiedę bez nich do samochodu. W końcu dostaję wtórniki dokumentów, a przy okazji znajduje się nagle mój portfel. Wiele to mówi, jak grano na ludzkich słabościach, a to bogaty instrument. Urząd osacza też moich ówczesnych sąsiadów, nareszcie mogę ich teraz bliżej poznać. Kiedy tuż przed Sierpniem jestem na wakacjach z rodziną w Ustce, robią mi tam kilka fotografii. W miarę lektur nagle wyjaśniają się różne dziwne zdarzenia z mego życia, np. jakies osobliwe sytuacje i rewizje na Okęciu.

Czy jednak można to nazwać okrutnymi prześladowaniami? Czas i ulatnianie się emocji każą patrzeć na te „prześladowania” inaczej niż wtedy. Reżim bronił się jak mógł, ale starał się nie stosować środków drastycznych. Tylko czasami coś im się wymykało z rąk.

Wielu znajomych ostrzegało nas wtedy: marnujecie życie, przegracie. W jakimś sensie przegraliśmy. Zawsze przegrywa się z czasem i ze słabościami ludzkiej natury, która uparcie powtarza stare grzechy już w nowych czasach. O wiele bardziej jednak wygraliśmy. Drugi obieg to była wielka przygoda mojej generacji. Tyle emocji, pasji, potu, nadziei, zwątpienia, triumfu, aż w końcu – nie do wiary – udało się! Najpierw na chwilę w 1980 r. Potem w 1989. Pamiętam,

jak nas to przeraziło! Za pierwszym i za drugim razem. Po raz drugi inaczej, jakby ostatecznie...

Drugi obieg w swej wielkiej improwizacji, w niezwykłej fantazji był jakoś bardzo polski, też w tym, co u nas ładne i przekorne. Wierzę w polski gen buntu i przekory. Zawsze uważałem, że powinny powstawać o tym książki i filmy. Dlaczego więc miałem taką trudność, by książkę Sowińskiego czytać i pisać ten tekst? Czy to zawiedziona miłość, złość na nasze obecne podziały, paranoje i konflikty? Wielu ludzi wtedy mi bliskich jest dzisiaj obcych i wrogich, tak jak wtedy byli mi wrodzy nasi śmiertelni wrogowie. I pewnie bywa na odwrót.

Kiedyś pisałem o drugim obiegu zapewne zbyt patetycznie i przesadnie, ale nie wycofuję się z tych słów: nigdzie „na świecie nie było takiego niezwy-

kłego zjawiska, tylu książek i pism wydawanych w konspiracji. Zbudowaliśmy królestwo wolnego słowa. Może to zbyt patetyczne, ale tak czułem i nadal czuję. Czym mamy się chwalić, jak nie tym? Żubr, żurek, Mickiewicz i Szopen, powstanie warszawskie, Solidarność i drugi obieg. Ale my jesteśmy mistrzami świata w niszczeniu swoich mitów, specjalistami od autodestrukcji, tym już bym się nie chwalił. I udało nam się zapaskudzić Solidarność do tego stopnia, że napis, który tak poruszał serca, teraz budzi odruch niesmaku”.

To – jak widać – nie była recenzja książki, ona mówi sama za siebie, ale okruszki mych wspomnień i garść refleksji. Pewnie równie bałaganiarskie jak samo zjawisko. Czas zawsze porządkuje taki bałagan, ale gubi miliony szczegółów. Może coś udało mi się ocalić?

HISTORYK NIE JEST PROKURATOREM ANI OBROŃCĄ

ŁUKASZ GARBAL

KONRAD ROKICKI, *Literaci. Relacje między literatami a władzami PRL w latach 1956–1970*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2011, ss. 560.

Takie książki są bardzo potrzebne: solidne, zwarte (niegubiące się w zbędnych szczegółach), wykorzystujące różne źródła (bez uprzywilejowania któregoś z nich), wypełniające luki w stanie badań. Trzeba to podkreślić raz jeszcze: Konrad Rokicki, korzystając z różnych źródeł, nie absolutyzuje żadnego (czy byłyby to relacje, czy dokumenty wytworzone przez tajną policję), ale konfrontując je ze sobą, stara się ustalić fakty, uporządkować chaos danych, których poznanie w całości wydaje się co najmniej trudne. Ta podstawowa zasada często gdzieś się gubi w pracach o historii najnowszej. Łatwo ulec potokowi danych, szczególnie z „tajnych archiwów”, a nie można przecież zapominać, że to tylko jedno ze źródeł, trzeba traktować je tak jak inne – nie demonizować (to jednak jest źródło), ale też nie wywyższać kosztem innych. Archiwa dawnego MSW to tylko jedno ze źródeł, a nie czyste fakty. Widać to choćby w pewnym fragmencie pracy Rokickiego: jeden z memoriałów pisarzy adresowanych do premiera Józefa Cyrankiewicza w wersji MSW pozbawiony był koncyliacyjnego wstępu i zakończenia, uzyskując w ten sposób bardziej konfrontacyjny charakter... (Ten przykład można interpretować na dwa sposoby: Służba Bezpieczeństwa zdobyła tylko wersję roboczą albo ktoś w MSW prowadził własną politykę, chciał doprowadzić do kolejnego konfliktu między pisarzami i władzą).

Przy korzystaniu z archiwów potrzebna jest natężona uwaga. Charakteryzuje ona pracę Rokickiego, który nie ogranicza się do cytowania i próby weryfikacji materiałów dotyczących pisarzy w archiwach byłego MSW, ale wybiera właściwą jego zdaniem wersję danego tekstu źródłowego. Dobrze, kiedy historyk pracujący w tych archiwach ma duszę edytora; nie wystarczy zacytowanie wewnętrznego dokumentu SB, warto ustalić jego ostatnią wersję, z dopiskami przełożonych. Rokicki cytuje zatem np. ostatnią, obowiązującą postać planu przeszukania u Jana Józefa Lipskiego w związku ze sprawą Listu 34, z odręcznymi uwagami płk. Idziego Bryniarskiego – nie zaś wersję wcześniejszą, zapewne roboczą, która niewątpliwie była łatwiejsza do odnalezienia...

Książka Rokickiego potrzebna jest nie tylko dlatego, że uzupełnia nasz stan wiedzy o faktach, często znanych dziś wyłącznie w legendzie, ale – powtórzę – także ze względów metodologicznych. Prezentuje bowiem postawę badawczą, której trzeba uczyć czasem na nowo – sięgania do fundamentów, tj. ustalenia faktów, a wyciągania wniosków dopiero później.

Konrad Rokicki relacjonuje kilkanaście lat stosunków między PRL-owską władzą a pisarzami, koncentrując się na epoce, w której I sekretarzem PZPR był Władysław Gomułka. To przełomowy czas, „między Bierutem a Gierkiem”, kiedy obserwować możemy

stopniowe i niełatwe próby emancypowania się pisarzy, których jeszcze niedawno określano jako „inżynierów dusz”. Autor trafnie napisał na początku książki, że „w końcu lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych w środowisku literackim stale obecny był strach przed powrotem socrealizmu” (s. 19). Właśnie ten strach był tłem niektórych działań, takich choćby jak List 34. Z dzisiejszego punktu widzenia trudno zrozumieć stanowcze odżegnywanie się pisarzy, często nawet o poglądach opozycyjnych, od współpracy czy to z paryską „Kulturą”, czy z Radiem Wolna Europa (co władza wykorzystała w nagonce na część sygnatariuszy Listu 34). Na ten problem patrzymy przez okulary lat osiemdziesiątych, tymczasem w epoce Gomułki dość powszechnie uważano to nie za „współpracę”, ale raczej „kolaborację” (mogło się zdarzyć, że z lęku przed oskarżeniem o taką „kolaborację” twórca podejmował działania, których nie podjęłby z innych powodów). Opisanie tego zbiorowego przekonania, stereotypu „gniazda wywiadów” – i dogłębne zbadanie, bez założeń wstępnych, zarówno socjologicznie, jak też historycznie – to zadanie na osobną pracę, zapewne zbiorową. Inaczej pozostaniemy w naszym wygodnym fotelu i nic nie będziemy rozumieć: dlaczego oni się tak wahali, trzeba było obalać komunizm!

Taką pracą u podstaw zbiorowej pamięci (myślącej poprzednim, nie zaś ówczesnym doświadczeniem) jest książka Rokickiego – śledzącego skomplikowaną grę między pisarzami a władzą. Autor nie popełnia błędu pojmowania czy to pisarzy, czy władzy jako zwartych grup. Starannie rekonstruuje grupki i frakcje, choć może bardziej wśród pisarzy niż w kręgach władzy. Ani władza nie była monolitem, ani pisarze (to chyba Gombrowicz zwracał uwagę na to, że paradoksem jest samo sformułowanie związek pisarzy...).

Czytając *Literatów*, można mieć wrażenie obecności w stacji sejsmograficznej. Środowisko pisarskie w latach sześćdziesiątych miotane było gwałtownymi konfliktami, które przynajmniej w tym obszarze zmie-

nają naszą interpretację epoki Gomułki, zamkniętą słowami „mała stabilizacja”; byłaby to zatem raczej destabilizacja, używając terminu zaproponowanego przez Marcina Zarembe, z chwilami spokoju między kolejnymi głośnymi konfliktami: List 34, wyrzucenie z partii Leszka Kołakowskiego, Marzec '68. Rokicki pokazuje nam zapomniane już dziś inicjatywy, jak choćby memoriał Igora Newerlego.

Pomijając szczegółowe analizy, możemy spojrzeć na temat szerzej, widząc w tym czasie konfliktów w środowisku pisarskim – między latami stalinowskimi i latami Gierka, zakończonymi powstaniem jawnych i zdeklarowanych środowisk opozycyjnych – epokę przejściową, emancypowanie się niegdysiejszych „inżynierów dusz”. Z dzisiejszej perspektywy możemy to przejście widzieć jako wynikające z konstrukcji systemu i jej sprzeczności z podstawową zasadą twórczości artystycznej, czyli swobodą, brakiem przymusu. Dziś trudno zrozumieć, jak to się mogło stać, że niektórzy twórcy, później opozycyjni, współtworzyli system, który podcinał im skrzydła, odbierając swobodę tworzenia (cenzura, oficjalna doktryna socrealizmu, stale w czasach Gomułki grożąca powrotem).

Rokicki pomaga nam to zrozumieć, ukazując fakty i tło działań. Pokazuje kontekst, tak ważny, bez którego nie możemy zrozumieć; może tylko czasem zbyt ascetycznie, zbyt wąsko. Opisując wagę, jaką dla pisarzy miało uzyskanie nowych stawek honorariów, warto byłoby jednak zasygnalizować głęboki kryzys gospodarczy w 1963 r. Biuro Polityczne KC PZPR w październiku 1963 r. planowało np. na 1964 r. „wstrzymać przyjęcia do pracy, głównie pracowników umysłowych. [...] Wprowadzić generalny zakaz wypłat z tytułu pracy w godzinach nadliczbowych z wyjątkiem zakładów, gdzie jest to uzasadnione interesami gospodarki narodowej [...] Zablokować wzrost wynagrodzenia za prace zleczone, diety i z tytułów pokrewnych”¹. To pokazuje społeczny kontekst powstawania Listu 34.

¹ *Centrum władzy. Protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970*, oprac. A. Dudek, A. Kochański, K. Persak, Warszawa 2000, s. 363 (protokół nr 87 posiedzenia Biura Politycznego 19 X 1963).

Pewne fakty wymagałyby nie tyle zasygnalizowania, co powiedzenia wprost: co, kto, gdzie, kiedy; np. czy w „Kulturze” paryskiej ukazał się tekst podpisany Gaston de Cerizay, który nie był autorstwa Stanisława Cata-Mackiewicza, ale funkcjonariusza MSW (s. 331).

Jednak przy tak trudnym temacie – którego nikt wcześniej chyba tak głęboko nie próbował opisać – to marginalia, warte uwagi przy kolejnym wydaniu tej pionierskiej książki. Jej autor zmagał się z kłopotami niespotykanymi w dotychczasowych pracach. W opisie tak trudnego zagadnienia jak stosunek pisarzy do PRL problemem jest już sam język opisu. „Współpraca”, „kolaboracja”, „zaangażowanie” – trudno znaleźć styl nienarzucający interpretacji, a z drugiej strony nieodstręczający suchością sformułowań. Konrad Rokicki rozwiązuje to, starając się przede wszystkim dbać o opis faktów, dynamizuje jednak narrację krótkimi cytatami, podawanymi na zasadzie wtrąceń – i krótkimi zdaniem. Czyta się dobrze, można mieć drobne uwagi do szczegółów (przy przedzieraniu się przez dżunglę archiwów czasem stępi się maczetę czujności). Czasem wynika to chyba z chęci zdynamizowania języka, kiedy np. w opisie chronologii powstania Listu 34 zamiast zachowawczo napisać „jak wynika z zeznania Lipskiego...”, Rokicki pisze o podanej przez Lipskiego dacie jako faktycznej; tymczasem Lipski mógł przecież podać SB nieprawdziwą datę. Zdarzają się błędy, wynikające z pośpiechu. To jednak drobiazgi, nie ma ich wiele i nie wpływają na ogólny – bardzo dobry – obraz książki, której najważniejszą chyba cechą jest po prostu rzetelne potraktowanie tematu, bez uprzedzeń, obaw i mitów.

Takie podejście – traktowanie tematu normalnie, po prostu jako kolejnego zagadnienia badawczego – wymagało młodego historyka, nieobawiającego się „sprawdzania legendy”. Konrad Rokicki – to jego zasługa – pokazuje, że bardziej od donosów „interesujące są materiały wyższego rzędu, tj. notatki i oceny”, które „pozwalają prześledzić mechanizm tworzenia raportów dla kierownictwa partyjnego i wpływanie na jego decyzje za pomocą podkreślania jednych, a pomijania innych informacji”. Zauważmy, że to ciekawa propozycja badawcza, godna kontynuacji – lata

sześćdziesiąte to przecież gra Mieczysława Moczar (wiceministra, a później ministra spraw wewnętrznych) o władzę (celnie pokazuje to ironicznie dobrana fotografia na okładce – Moczar i Gomułka obok siebie wpatrują się w dal). Na rolę MSW w kreowaniu polityki i w ogóle konflikty w ramach różnych instytucji władzy zwracał już uwagę m.in. Andrzej Friszke; ten problem wymaga uważnych studiów metodą rzetelnej analizy, pozbawionej uprzedzeń i odgórných założeń. Trafne jest pokazywanie przez Rokickiego sprzężenia meandrów polityki kulturalnej PRL ze zdarzeniami poza krajem (choćby zaostrzenie kursu po ataku Nikity Chruszczowa na zapożyczenia ze sztuki zachodniej). To w ogóle ważna uwaga, aby uwzględnić zmiany polityki wewnętrznej PRL w relacji ze zmianami w ZSRR.

Autor wykazuje się dużą orientacją nie tylko w teorii, ale i praktyce ówczesnych czasów. Zauważa, że niektórzy mogli się nie bać represji MSW (pisząc o jednym z wystąpień Jarosława Iwaszkiewicza, zauważył: „mocne słowa, za które inny pisarz mógłby »znaleźć się w zainteresowaniu« SB. W wypadku Iwaszkiewicza nie zostały nawet odnotowane w policyjnych streszczeniach wystąpień” – s. 343 (z czego wynikała ta praktyka, czy były jakieś odgórne zalecenia w stosunku do Iwaszkiewicza?). Rokicki celnie przypuszcza też, że w spuściźnie Oddziału Warszawskiego ZLP nie zachował się protokół z zebrania 7 maja 1965 r. zapewne dlatego, że znalazł się w archiwum MSW.

Konrad Rokicki swoją książkę napisał zapewne w reakcji na dwie skrajne postawy, o których wprost napisał we wstępie: hagiograficznej i obrazoburczej. Książce Anny Bikont i Joanny Szczęsnej *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu* zarzucił, że zajmuje się tylko jedną grupą pisarzy, tych, którzy wcześniej zaangażowali się w komunizm, a później (czego już nie dopowiada wprost) w działania opozycji demokratycznej, przez co „niektóre dokumenty i fakty wydawały się autorkom mniej istotne, co moim zdaniem rzutuje na obraz całego środowiska”. Joannę Siedlecką (*Obława. Losy pisarzy represjonowanych*) natomiast krytykuje za zbyt uproszczony „podział na »bohaterów« i »kolaborantów«” oraz „zbyt łatwe”

wydawanie osądów, szczególnie tych, które „dotyczą współpracy z SB”. W rezultacie powstała książka, która w swojej postawie badawczej może być wzorem (choć może przydałoby się dodatkowe źródło – rozmowy z samymi pisarzami, uzupełniające dokumenty archiwalne?).

Opis relacji między środowiskiem pisarzy a władzą w latach sześćdziesiątych nie jest jednak tylko, jak mogłoby się wydawać, drobnym wycinkiem historii społecznej PRL. Autor podkreśla: „nie przeceniając roli dyskusji [...] na forum ZLP, należy zaznaczyć, że od likwidacji Klubu Krzywego Koła w lutym 1962 r. było to jedyne miejsce, w którym publicznie wypowiedziano krytyczne sądy o polityce wewnętrznej” (s. 512). Co jednak warto uwagi – i także symboliczne dla ówczesnych czasów – „przytłaczająca większość pisarzy zachowywała się [...] biernie”, spory i protesty zwykle dotyczyły jedynie garstki spośród nich (kilkudziestyciu z 700–1000 członków ZLP). Rokicki słusznie zwraca uwagę na to, że nieprzypadkowo w działalność opozycyjną angażowali się pisarze znani – bowiem „autor niecieszący się popularnością, wywodzący się z mniejszego środowiska literackiego w konfrontacji z machiną władzy był w zasadzie bezradny” (s. 513).

Stąd waga zarówno środowiska warszawskiego, jak konkretnych nazwisk, które trudniej było represjonować. Już ta charakterystyka sytuacji pokazuje wrażliwość badacza na rzeczywistość, próbę jej zrozumienia bez założonej oceny.

Autor próbuje powściągać emocje, co nie zawsze mu się udaje; nie wpływa to jednak na ogólny obraz, a pokazuje szczerą fascynację podjętą tematyką. Tym bardziej namawiałbym go do kontynuacji pracy – i to w obu kierunkach chronologicznych: do opisanie jest epoka „inżynierów dusz” (Bohdan Urbankowski wyszukiwał dzieła z tej epoki kompromitujące twórców, Anna Bikont i Joanna Szczęsna ukazały ją przez relacje ich samych; do napisania jest praca krytyczna, konfrontująca różne źródła) oraz czasy Gierka (szczególnie epoka KOR, czasy „Zapisu” – i wciąż trudne decyzje pisarzy o jawnym poparciu opozycji) i Jaruzelskiego („dwie” kultury?).

Konrad Rokicki przypomina nam, że historyk nie jest ani prokuratorem, ani obrońcą. Pracuje uczciwie, starając się dojść do faktów, czy to dotyczy rzeczy mało znanych, czy czasem, zdawać by się mogło, znanych tak bardzo, że niczego nowego już nie znajdziemy. A jednak to możliwe.

W OCZACH ROSYJSKICH NIEPOKORNYCH

JÓZEF MARIA RUSZAR

TATIANA KOSINOWA, *Polski mit. Polska w oczach sowieckich dysydentów*, Biblioteka „Nowej Polszy”, Kraków – Warszawa 2012, ss. 427.

Obszerne opisanie wiedzy rosyjskich dysydentów o Polsce i Polakach dowodzi ich słabej znajomości sąsiedniego kraju. I nie jest żadnym usprawiedliwieniem, że relacja odwrotna jest jeszcze bardziej mizerna. Wyobrażenia o drugiej stronie słusznie zostały określone w książce Tatiany Kosinowej mianem mitu. Równie dobrze można by użyć słów legenda, pogłoska, fama. W żadnym wypadku wiedza. Jedynym pocieszeniem jest wzajemna sympatia opozycjonistów, nawet jeśli oparta na nieporozumieniach.

Polski mit opowiada o wyobrażeniach kilku pokoleń sowieckich dysydentów, a zatem ujawnia odczucia z różnych epok polskiego i rosyjskiego komunizmu. Najpierw doszło do potężnego tąpnięcia, jakim była śmierć Stalina i „tajny referat” Chruszczowa. Jego upublicznienie wstrząsnęło imperium opartym na całkowitym zakłamaniu życia publicznego. I chociaż liderem fermentu była sama sowiecka Rosja, a głównym zagranicznym przeżyciem pokoleniowym niezależnie myślących Rosjan było militarne zduszenie powstania węgierskiego, to oddziaływanie polskiej odwilży miało skutki najważniejsze, bo dalekosiężne i długotrwałe. Okres od Października '56 do powstania Solidarności latem 1980 r. był czasem największego wpływu polskiej kultury na niezależne elity Rosji, a po części także innych europejskich republik ZSRR. Uznanie zgrzebnych rządów

Gomułki za świeży powiew z innego, lepszego świata może dzisiaj dziwić lub śmieszyć, ale to właśnie nasza „mała stabilizacja” była w warunkach sowieckich jeśli nie szczytem marzeń, to w każdym razie nieosiągalnym stanem swobody.

Powstanie Solidarności otworzyło nowy rozdział wzorcotwórczej roli Polaków dla rosyjskich przeciwników komunizmu. Mimo to, jak można sądzić z wywiadów przeprowadzonych przez Tatianę Kosinową, wpływ polskiej rewolucji nie mógł się rozwinąć, głównie z powodu nasilenia się represji oraz bierności mas sowieckich. Utrwały się wprawdzie schematy „polskiego mitu”, ale ograniczenie oficjalnych i nieoficjalnych kontaktów skutkowało mniejszym wzajemnym wpływem. Ostatni etap – zmiany i w Polsce, i w Rosji po 1989 r. – cechuje niemal zupełny brak wzajemnego zainteresowania. Nikt już nie jest dla nikogo wzorem, dawne osobiste kontakty zamarły, a oba społeczeństwa zbyt są zapatrzone w zachodnią popkulturę i skupione na uczestnictwie w jej konsumpcji, by interesować się tym, co niedalekie lub wspólne.

Niemal połowa książki opowiada o czasach przed-solidarnościowych. Po 1956 r. to Rosjanie są najbardziej nieustraszonymi opozycjonistami w sowieckim bloku. Ich samotny protest, czasem organizowany niemal zupełnie pojedynczo, wywoływał represje w Polsce niespotykane, z wyjątkiem może krótkich

okresów zaraz po wydarzeniach marcowych, grudniowych i czerwcowych, kiedy także nad Wisłą zapadały kilkuletnie wyroki więzienia. Charakterystyczny pod tym względem jest wywiad z Inessą Zawadzką, która mieszkała w Polsce i została aresztowana w 1968 r. za kontaktowanie Polaków z rosyjską opozycją. Była zachwycona „galanterią” polskich prokuratorów, a przede wszystkim dozgonnie wdzięczna za to, że nie wydali jej Rosjanom, którzy się o nią upominali. Przesiedziała niecały rok w śledztwie i została uniewinniona. Dla porównania: w ówczesnym ZSRR działanie na drobną skalę (innych nie było) skutkowało kilkuletnim łaćm lub psychuszką. Tym bardziej zachłystywano się liberalną – jak na sowieckie warunki – polską kulturą: filmem, prasą, książkami. Dla czytelnika relacji zebranych przez Kosinową nieustanne wspomnianie tych samych tytułów jest nawet trochę nużące, ale potraktowane zbiorczo, daje pewien obraz.

Niektóre cechy oglądu świata przez rosyjskich niepokornych zastanawiają, np. brak poczucia winy za okupację Polski przy jednoczesnym kajaniu się za interwencję na Węgrzech i w Czechosłowacji (s. 139). Książka nie daje odpowiedzi na pytanie o przyczyny, bo autorki ta kwestia raczej nie szokuje. Dlatego brak wyrazistych odpowiedzi. Można jednak wyobrazić sobie trzy powody. Po pierwsze wkroczenie wojsk sowieckich do Budapesztu było jawną interwencją, a zniewolenie Polski odbyło się ponad dziesięć lat wcześniej, w czasie operacji wojennych; wymordowanie elity Polskiego Państwa Podziemnego nie było z kolei powszechnie znane (podobnie jak sprawa Katyńia). Stąd – paradoksalnie – krwawa interwencja w Budapeszcie była powodem np. „wyjścia z Komsołtu” (jak u Lwa Krasnopiewcewa, s. 27), a sukces polskiego Października nie dawał moralnych podstaw do potępienia (dla całej epoki dysydentów, zarówno polskiej, jak sowieckiej, charakterystyczna była moralna ocena wydarzeń politycznych).

Po drugie niemal wszyscy rozmówcy dysydenci mają lewicowy rodowód, a właściwie komunistyczne korzenie, i nie do końca zarzucili sądy o „słusznych” i „nieluszych” represjach. Nacjonalizm był dla nich

zawsze strasznym złem i represje wobec „półfaszystów” lub „imperialistów” albo „byłych elementów” są odbierane trochę inaczej (mówi o tym np. Nikołaj Obuszenkow, s. 36–37, podobnie Wiktor Szejnis, s. 242). Ta kwestia w wywiadach pojawia się zaledwie jako cień, niejasno i niewyraźnie, ale uważny czytelnik może wyczuć dystans niektórych rozmówców. Często jest to różnica generacyjna. Starsi – jak ci, którzy doświadczyli frontu – albo wcześniej zdali sobie sprawę z imperialnego charakteru ZSRR, albo nie przeszli przez zachłystnięcie się bolszewicką ideologią; potrafili poczuć związek z wymordowanymi żołnierzami AK, powstańcami warszawskimi czy obrońcami Warszawy z 1920 r., ale często czuli się jak czarna owca w swym własnym środowisku (np. Borys Pustynczew, s. 34–35, Siergiej Chanżenkov, s. 35–36, Lew Kopielew, s. 47–48, Era Korobowa, s. 139). Tu zresztą widać moralny ekstremizm opozycjonistów inspirowanych religijnie, którzy najboleśniej przeżywają imperialne grzechy swojego narodu. Prawosławna pokora wobec wspólnotowego grzechu może być powodem silnego wzruszenia i podziwu katolików.

Lewicowy rodowód niektórych dysydentów, zwłaszcza tych, którzy chcieli „marksizmu z ludzką twarzą”, powodował w okresie Października '56 nieporozumienia między rewolucyjnie nastawionymi Polakami i Rosjanami. Ci ostatni mieli za złe polskim towarzyszom zbyt frywolne traktowanie marksizmu (jednocześnie zachwyceni byli Leszkiem Kołakowskim, s. 40, 55). Marian Czeszkow wspomina, że on i wielu jego kolegów mieli „poczucie wyższości” wobec polskich partnerów, ponieważ „lepiej posługiwali się teorią marksistowską” (s. 41–42). Aby zrozumieć zabawne z dzisiejszego punktu widzenia konflikty, takie jak spór o to, czy zwracać się do siebie per towarzysze, czy panowie, trzeba wziąć pod uwagę, że kontakty dotyczyły wówczas najczęściej liberalnie nastawionych komunistów, którzy przyjeżdżali do Moskwy (także na studia) lub do Warszawy na różne zloty młodzieży (s. 39–42) i szukali porozumienia z „awangardą”, np. grupującą się wokół „Po Prostu”, a nie z „reakcjonistami”.

Po trzecie wreszcie rosyjscy dysydenci (głównie pochodzenia żydowskiego, ale nie tylko) uważają Polaków za antysemitów. Ciekawa jest pod tym względem rozmowa z Susanną Pieczuro, która została polonofilką w łagrze, czym bardzo zdziwiła i swoją rodzinę, i wywiadowczynię. Najczęściej powtarzającym się zarzutem jest obojętność wobec powstańców w getcie warszawskim lub brak pomocy (s. 57–58), pogrom w Kielcach i wyrzucenie Żydów z Polski po 1968 r. (s. 90). Lew Łurje uważa, że antysemityzm Gomułki został poparty przez społeczeństwo, w szczególności przez robotników, ponieważ w ruchu studenckim uczestniczyło dużo Żydów (s. 110). Inna postawa Susanny Pieczuro wynika z faktu, że poszła do łagru, będąc jeszcze uczennicą, a tam zaopiekowały się nią niewiele starsze koleżanki – uczestniczki powstania warszawskiego. To one zaimponowały sowieckiej gimnazjalistce godną postawą, świadomością celów i brakiem złudzeń wobec komunizmu (Pieczuro została skazana w 1952 r. na 25 lat łagru za udział w młodzieżowym Związku Walki o Sprawę Rewolucji).

Najbardziej wyrazisty jest Nikołaj Bielak, który gniewnie zareagował na pytanie, czy powinien mieć poczucie winy wobec Polski: „Kto? Ja? [Oburza się]. To chyba Polska powinna mieć w stosunku do mnie jako Żyda” (s. 126). Dowodem jest obraźliwe i niewdzięczne potraktowanie jego rodziny przez Polaka, który zawdzięczał im życie.

Jest w tym kwestia ogólniejszej natury: niechęć do poczucia winy za zbrodnie swojego państwa (co jest zrozumiałe, jeśli się z nim nie utożsamiamy, a nawet jesteśmy jego ofiarami) przy stosowaniu innego kryterium wobec obywateli innych państw (zarzut, że Gomułka wygnał Żydów, co obciąża Polaków jako takich, albo że Polacy najechali w 1968 r. Czechosłowację). Ten rodzaj rozumowania często obecny jest niemal w każdej sprawie i prezentowany zarówno przez Polaków, jak Rosjan i Żydów, a więc wydaje

się cechą mentalną, niezwiązaną z narodowością (to rodzaj mechanizmu obronnego w kwestii wizerunku grupowego). Tak np. Susanna Pieczuro spotkała się w Polsce z sybirakami, którzy „rosyjskim dzieciom” życzyli „śmierci głodowej” (s. 62). Bardzo ją dotknęła ta uwaga, bo przecież sama była ofiarą systemu!

Zabrzmie to zabawnie, ale jedyną grupą bez zastrzeżeń zachwyconą Polską i Polakami były rodziny sowieckich wojsk stacjonujących na naszych ziemiach zachodnich.

Z dzisiejszej perspektywy polska obecność kulturalna w Rosji lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych jest zwyczajnie imponująca, ale z rozmów Tatiany Kosinowej trudno wyrobić sobie opinię na temat hierarchii dzieł i autorów. Oczywiście istnieje wyjątek: Andrzej Wajda, którego nazwisko i dwa filmy (*Kanał* oraz *Popiół i diament*) powtarzają się właściwie we wszystkich wywiadach. Rzecz charakterystyczna: w książce znajdujemy tylko jedną wypowiedź krytyczną pod adresem filmowego kunsztu polskiego reżysera¹ oraz jedną próbę analizy sensu „najważniejszego” filmu Wajdy. Wprawdzie na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wielu młodych ubierało się jak Zbigniew Cybulski (tragiczny, heroiczny, egzystencjalny), mnóstwo kobiet kochało się w „romantycznym” i przystojnie „pańskim” Danielu Olbrychskim, a każdy wymieniał ekranizację powieści Jerzego Andrzejewskiego, ale tylko Lew Łurje (s. 108–110) zdobył się na wypowiedź o wartości *Popiołu i diamentu*, która dowodzi, że lepiej niż inni zrozumiał jego przesłanie: „Bohater Cybulskiego odrzuca wszystkie symbole Armii Krajowej, nie podoba mu się, jak rozumiem, sama idea, uważa ją za martwą i niepotrzebną. Członek AK [chyba chodzi o Floriana, zwierznika Maćka Chełmickiego – J.M.R.] został pokazany jako odrażający typ, płacący krwią innych. Jednak bohater mówi, że nie może inaczej, ponieważ postępuje tak nie z pobudek etycznych, lecz estetycznych. Nie może pójść i się

¹ „Lubię sztukę złożoną. Ale Wajdzie, moim zdaniem, brakuje wrodzonego talentu. Wszystkie te »kamienne posągi« są takie wymęczone, zupełnie nienaturalne” (Wadim Kozowoj, s. 85).

poddać. Dokładnie w tej estetyce działał Bukowski” (s. 109).

Polskiego czytelnika cieszy też, że niektórzy inteligentni Rosjanie rozumieli wymowę ostatnich kadrów *Kanału*: „powstańcy stoją u wylotu kanału, a naprzeciwko nich działa... I te działa milczą, a tutaj się z nimi rozprawiają... Wtedy byliśmy Polakami...” (Ałła Kowriżnych, s. 103). Z innych filmów starsi dy-sydenci wspominali *Zamach* Jerzego Passendorfera i *Pierwszy dzień wolności* Aleksandra Forda², a także *Rękopis znaleziony w Saragossie* Jerzego Hassa.

Poszukiwacze idei politycznych zachwycali się nie tylko niezależnością i liberalizmem tygodnika „Polityka”, ale nawet tym, co czytając między wierszami, mogą znaleźć w „Trybunie Ludu”, „Sztandarze Młodych” i „Życiu Warszawy”. Na sowieckim tle niezwykłą śmiałością marksizmu odznaczały się „Nowe Drogi” (teoretyczny organ PZPR). Także oficjalne pisma poświęcone „polsko-sowieckiej дружbie”, takie jak „Polsza” i „Przyjaźń”, dawały więcej ciekawych informacji niż sowieckie gazety. Powodzeniem cieszyły się „Szpilki” i „Przegląd Kulturalny”, a z pism poświęconych kinematografii – „Filmu” i „Ekranu” – dowiadywano się o ekranizacjach, których człowiek sowiecki nie miał nadziei zobaczyć.

Największe wrażenie kulturalne robił „Przekrój”, co zrozumiałe, bo nawet w Polsce odczuwano jego niezwykłość. W ZSRR tygodnik był po prostu synonimem wyższej, subtelniejszej kultury – ikoną polskiej inteligencji. Podobnie jak „Kobieta i Życie” oraz „Przyjaciółka” – wyrocznie mody i kobiecej elegancji w zachodnim stylu. Zapewne wyłącznie w wąskich kręgach fachowców wielkie znaczenie miały profesjonalne pisma – „Dialog” czy „Sztuka”, a już tylko jeden z rozmówców wskazuje na specjalistyczny „Zbiór Dokumentów”, wydawany przez Instytut Spraw Międzynarodowych. Pismo znajdowało się w dziale „cymelia” radzieckich bibliotek politologicznych,

ponieważ drukowano w nim ważne dokumenty międzynarodowe i trzeba było wpaść na pomysł, że jest istotnym źródłem „tajnej” informacji.

Poza filmem dostępna była polska szkoła plakatu, w mniejszym stopniu teatr (np. Erwin Axer lub znany tylko ze słyszenia Jerzy Grotowski) oraz awangarda muzyczna, w tym Krzysztof Penderecki. Zastanawia, że rozmówcy wymieniają Ewę Demarczyk, której płyty wydawała rosyjska wytwórnia Mielodia, a żaden nie wspominał o Czesławie Niemenie, który miał w ZSRR kilka tras koncertowych.

Ze wspomnianych mimochodem polskich poetów i prozaików chyba najczęściej przywoływany jest Mickiewicz i jego *Dziady*³, a z twórców dwudziestowiecznych Bolesław Leśmian, Julian Tuwim oraz Konstanty Ildefons Gałczyński, którego tłumaczył Josif Brodski. Wydaje się, że Rosjanom bliżsi są poeci tradycyjnie liryczni i symboliczni niż intelektualna poezja Tadeusza Różewicza, Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej, ale to raczej domysł niż wnioski. Po otrzymaniu Nagrody Nobla karierę w rosyjskim samizdacie zrobił też Czesław Miłosz. Bardziej literacko wyrobieni znali dramaty Sławomira Mrożka, prozę (i biografię) Marka Hłaski, a nawet *Matkę Królów* Kazimierza Brandyśa czy *Ferdynandę* Witolda Gombrowicza. Ciekawe, że w książce pojawia się Helena Raszka, mało znana w Polsce poetka surrealistyczno-religijna.

Z tego katalogu nazwisk i tytułów rysuje się obraz „liberalnej” polskiej kultury czasów Gomułki i Gierki, co świadczy przede wszystkim o pustyni kulturalnej w ZSRR.

Solidarność i niemożność

Niemal wszyscy rozmówcy Tatiany Kosinowej uważali, że Solidarność jest nieosiągalnym w Rosji mitem, choć – tak jak to miało miejsce na Zachodzie – każdy czym innym był zauroczony. Odpowiedź na pytanie,

² Bardzo ciekawą minirecenzję z tego filmu można przeczytać w wypowiedzi Wiczesława Igrunowa (s. 117). Jest to rzadkość, bo na ogół respondenci Kosinowej zadowalają się zdawkowym zachwytem.

³ Do wyjątków należy opinia Władimira Uflanda (s. 105), że w porównaniu z Puszkinem i Lermontowem jest to „niezdarny poeta”.

dlaczego polskiego doświadczenia nie da się powtórzyć w ZSRR, inaczej się rysowała w różnych grupach dysydenckich⁴. „Winy” szukano w sobie lub w masach. Robotników oskarżano o bierność i ciemnotę, społeczeństwo o niejednorodność kulturalną (rozdziew między inteligencją a robotnikami), a całość obywateli o niejednorodność narodowościową i brak religijno-historycznych tradycji obywatelskich (spuścizna po prawosławiu i samodzierżawiu). Jedynie organizatorzy SWOT (rodzaj Wolnych Związków Zawodowych, powstałych w 1978 r.) byli nieco bardziej optymistycznie nastawieni do możliwości powtórzenia polskiego eksperymentu w Rosji (s. 208–212), ale sami nie mieli raczej kontaktów z robotnikami.

Rozmówcy sami siebie postrzegają jako ludzi „luźnych”, nienadających się na politycznych czy związkowych liderów (s. 187–227). Wskazują na słabą organizację i bezhołowie grup dysydenckich, wyizolowanie z szerszych warstw społecznych, inteligencki indywidualizm nakierowany na samorozwój, nawet anarchizm, apolityczność i wiele innych cech rosyjskich opozycjonistów, którzy „spotykali się w kuchni”, a nie na wiecach, jak się wyraziła Jelena Sannikowa (s. 190). Chyba najjaśniej ujął to znany obrońca praw człowieka Aleksandr Daniel, mówiąc o zasadniczej różnicy między postawami Rosjan i opozycjonistów z Karty 77 czy KOR, z których wielu miało polityczny temperament i zakładało później partie polityczne: „Myślenie dysydenckie wyglądało następująco: jestem tu i teraz i postępuję w taki to a taki sposób. Dlaczego tak postępuję? Proszę o wybaczenie, ale w związku z Tołstojem, Sartre’em i wszystkimi egzystencjalistami nie mogę inaczej. Był to czyn czysto egzystencjalny, biorący się z impulsu moralnego, chociaż przybierający postać aktu obrony prawa. Większość dysydentów, oczywiście, nie lubiła władzy sowieckiej, no bo – powiedzmy sobie – za co ją lubić? Jednak oni przecież z nią nie walczyli. Wszystkie ich

wypowiedzi nie były w tamtych czasach mydleniem oczu pracownikom bezpieczeństwa. Oni naprawdę nie stawiali sobie takiego celu. Dlaczego? Ponieważ nie było widać perspektyw politycznych. Działanie na podstawie tego, jaki oddźwięk zyskają twoje słowa za 300 lat lub nigdy, na podstawie filozofii beznadziejności, nie jest możliwe w powiązaniu z myśleniem politycznym” (s. 225).

Niemal identycznie tłumaczy etyczną, a nie polityczną, postawę dysydentów Ludmiła Aleksiejewa. Nawet jeśli pogląd ten nazbyt generalizuje sytuację, od której były wyjątki (jak wspomniany przez Daniela Andriej Sacharow), to trzeba przyznać, że ściśle odpowiada temu, co polscy opozycjoniści rozumieli ze stanowiska Rosjan w latach siedemdziesiątych, np. czytając *Życie bez kłamstwa* Aleksandra Sołżenicyna. Tym bardziej zdumiewa – nieznana w Polsce – skala poparcia Rosjan dla Solidarności, jaka wyłania się z książki Kosinowej (odezwy, ulotki, koncerty, wiersze, publiczne wystąpienia). Akcje miały wyłącznie moralne znaczenie i rzadko wychodziły poza niewielki krąg znajomych, a czasami towarzyszy więziennych lub łagierników, bo także w więzieniach dochodziło do aktów solidarności z polską rewolucją. Biorąc pod uwagę mizериę sowieckiego zaopatrzenia oraz skalę organizacyjnych trudności, najbardziej wzruszające było organizowanie paczek w stanie wojennym dla polskich domów dziecka (s. 208).

Sympatia dla Polaków i obawa przed interwencją Armii Radzieckiej były powszechne. Niemal wszyscy czuli, że sowiecka władza musi utopić polski ruch we krwi i że nie ma innej opcji, jak starcie Polski z powierzchnią ziemi (uważali bowiem, że wariant czeski, rozumiany jako słaby opór, nie jest w przypadku Polaków możliwy). Toteż stan wojenny przyjęli z ulgą – jako mniej kosztowną alternatywę, a nawet przeciwnie, jako zapowiedź przetrwania. Kilku dysydentów, czasami powołując się na Adama Michnika,

⁴ Jednym z największych mankamentów książki jest brak indeksu rzeczowego, a w szczególności spisu dysydenckich organizacji i publikacji samizdatowych. Trudno wymagać od polskiego czytelnika (a może nawet i rosyjskiego), by łatwo rozszyfrowywał skróty lub potrafił przypisać poszczególne nazwiska do konkretnego ugrupowania. Indeks nazwisk i spis rozmówców z krótkimi biogramami – to za mało, by zorientować się w opozycyjnej geografii ZSRR.

uważa Jaruzelskiego za postać tragiczną, a może za wybawcę, który nie wyróżnął przywódców związkowych i uratował światową równowagę sił (s. 194–199; historycy z kręgu pisma „Poiski”, Michaił Gefter i Gleb Pawłowski, s. 221–222).

Wiedza, sympatie i nieporozumienia

Książka jest interesująca, choć główna teza o wpływie polskiej, bardziej liberalnej kultury na swobodną myśl rosyjską, a potem nadzieje związane z Solidarnością – specjalnie nie zaskakuje⁵. Ale ważne są konkrety, aby wiedzieć, jak się to odbywało w praktyce, zwłaszcza że wiedza polskich opozycjonistów o ich rosyjskich kolegach była niewielka. Myślę, że trzeba przestrzec czytelnika przed trzema niebezpieczeństwami tej lektury.

Po pierwsze – przedstawiony w książce obraz polskiego i rosyjskiego świata jest formułowany przez ludzi lewicy. Niemal wszyscy wypowiadający się, Polacy i Rosjanie, to byli marksiści, którzy zostali polskimi opozycjonistami lub sowieckimi dysydentami. W przypadku rozdziału *Spojrzenie socjologów* rozmowy toczą się w gronie liberalnie nastawionych uczonych sowieckich, którzy dysydentami nigdy nie byli (jeden z nich, Borys Firsow, w stanie wojennym pracował w Polsce w Ośrodku Badań Opinii Publicznej przy Komitecie do spraw Radia i Telewizji, a także w krakowskim Ośrodku Badań Prasoznawczych, ale – niestety – dziennikarka nie zapytała go o ówczesne wrażenia i nabytą wiedzę). Brak w książce poglądów opozycjonistów związanych czy to z Sołżenicynem, czy podziemną Cerkwią prawosławną, czy innymi grupami – nie jest to więc obraz całościowy, lecz wycinek rosyjskiej rzeczywistości.

Drugie ostrzeżenie dotyczy przyjemności, jakiej dostarcza nam lektura *Polskiego mitu*. To satysfakcja wynikająca z poczucia bycia kimś ważnym – jako

naród – dla myślących Rosjan, a także z generalnie pozytywnego obrazu „dumnego Polaka”, nie mówiąc już o nagminnym poszukiwaniu „polskiej babci” (to trochę jak dzisiejsza moda na szlacheckie rodowody). Takie miłe podbijanie bębenka może prowadzić do uśpienia, które nie pozwoli zauważyć niepokojących rysów owego wzorowania się na Polakach. Mit pozytywny („pomost do Europy”, „lokomotywa”, „symbol wolności”, „subtelna kultura” itp.) żyje bowiem równoległe z mitem negatywnym, który niewyraźnie majaczy w tle. „Polska godność”, którą tak niektórzy rozmówcy podziwiają i wychwalają, ma swój cień w oskarżeniu o nadmierną dumę lub wręcz pychę Polaków, a także wywyższanie się ponad innych. Tu także można zauważyć skrzętnie skrywane poczucie kulturalnej niższości wobec słowiańskich pobratymców znajdujących się bliżej europejskiego wzorca cywilizacyjnego (uczestnicy rozmów Tatiany Kosinowej to raczej bez wyjątku „zapadnicy”). Ów negatyw „polskiego mitu” jest prawdopodobnie znacznie bardziej niż pozytywny mit rozpowszechniony, bo przecież rozmówcy Kosinowej, którzy o nim mówią, należą do elitarnej garstki dysydentów. Rosyjskie masy, jak podkreśla Aleksandr Ławnut, nawet te siedzące w łagrach, popierały imperialną politykę władzy i cieszyły się, że „pokażą zagranicą” (s. 213). Tak niewolnicy imperium rekompensowali sobie własną nędzę i poniżenie. Ławnut wie, co mówi, bo reakcje na interwencję w Afganistanie i stan wojenny w Polsce obserwował w Kraju Chabarowskim w łagrze o zwykłym rygorze.

Poza tym – mówiąc żartobliwie – *to se ne vrati*. Kiedy żona litewskiego poety Tomasza Venclovy powiada: „Polacy wtedy podjęli się roli pośrednika między kulturą zachodnią a obozem socjalistycznym” (s. 133), to używa czasu zaprzęskiego, a kilka stron dalej stwierdza zgodnie z prawdą, że dziś Polska „przestała być ważna” (s. 140). Nie ona jedna tak twierdzi – jest to jeden z refrenów tej opowieści. Dziś Rosjanie czy

⁵ Autorka otrzymała specjalne granty naukowe na „badanie historii ruchu dysydenckiego”, w związku z czym we wstępie sugeruje naukowe pretensje tej publikacji. Wydaje się, że niepotrzebnie. W rzeczywistości jest to zbiór wywiadów reporterskich z dwudziestu lat pracy i choć nie zawsze – wbrew samookreśleniu – są to „pogłębione wywiady biograficzne”, to przecież stanowią ważne świadectwo epoki. Niemal wszystkie materiały były publikowane w „Nowej Polsce”.

Litwini nie muszą się uczyć polskiego języka, aby czytać klasykę światowej literatury⁶, nawiązywać kontakt z wybitnym kinem (którego w Polsce brak) albo obcować z myślą demokratyczną. Dzisiejsza polska poezja przestała być latarnią dla Venclovy, nie byłaby nią zapewne dla Josifa Brodskiego, gdyby żył.

Po trzecie – warto pamiętać, że czytając wspomnienia opowiadające o ideach, nastrojach i odczuciach sprzed pół wieku lub nawet dwudziestu lat, osadzonych w realiach tamtych czasów, patrzymy na nie według obecnych standardów i pojęć intelektualnych. To – oczywiście – uwaga ogólniejszej natury, choć ważna także dla tej książki. Oceniamy myśli i poglądy, mając przewagę kogoś, kto wie, co „było potem”, a ludzi według tego, kim stali się po zwycięstwie (lub klęsce, jak w Rosji) myśli liberalnej. Jeśli chodzi o idee, to przede wszystkim dotyczy to niemożności wyjścia z kategorii marksistowskich i – szerzej – idei lewicowych, co widać szczególnie po 1956 r. Łatwo nabrać postawy wyższości, pewnej pobłażliwości wobec naiwnych pojęć i ówczesnych złudzeń (choć jednocześnie może zdumiewać uporczywe trwanie niektórych marksistowskich wyobrażeń).

Tym bardziej godzien uznania jest inny nurt rosyjskiej myśli niezależnej, ekstremalnie moralny, który pozwala przezwyciężyć imperialne koleiny myślowe. To prawdziwy wyczyn intelektualny niektórych opozycjonistów, akt niezawisłości wobec stadnego myślenia. Rzecz charakterystyczna: większą odwagą myślenia i niepodległością wobec własnych narodowych mitów cechują się literaci i znawcy literatury niż historycy, politolodzy i socjolodzy (rozmowy z tymi ostatnimi należą w książce do najbardziej banalnych). Przykład – Siergiej Stratanowski, poeta i eseista (s. 169–172), którego znajomość wspólnej historii oraz stosunku pisarzy rosyjskich do Polaków uodporniła na rozumowanie w kategoriach imperium (dlatego jest w stanie zauważyć antypolskość Pus-

kina, którego inni rozmówcy na ogół traktują jako piewę wolności). A przecież niechęć do ucisku wobec własnych obywateli niekoniecznie musi iść w parze z pragnieniem wolności dla podbitych narodów, jak to miało miejsce w przypadku Aleksandra Siergiejewicza.

Polski mit mówi coś jeszcze o polskiej inteligencji, co nie dotyczy konkretnych wydarzeń historycznych, a umyka także badaniom socjologicznym: o częścio-wo zmitologizowanym wizerunku własnym. Czytając wywiad z poetką Jeleną Szwarz, można zauważyć to, co i w innych rozmowach się przewija, ale nie tak jasno i wyraźnie: rosyjski podziw, a nawet czasami miłość, rodzi się z cech, których polska liberalna inteligencja się wstydzi! Tak! Mamy do czynienia z cudownym nieporozumieniem. Kiedy rosyjska poetka pisze (tłum. Hałyna Dubyk):

Kto tak jak Polska dźwiga przeznaczenie,
Kto się urodził mrokom tym na przekór
W boleści, lecz istnienia próg przekroczył,
Kto dla śpiewu własne gardło przekuł
I wodą żywą obmył swoje oczy.
I kto jak trzcina wbrew grudniowej złości
Zakwita w szeleszczącej samotności

to mamy do czynienia z mesjańskim obrazem Polski, jakiego nie powstydziliby się Mickiewicz, Słowacki i August Cieszkowski, nieakceptowanym przecież przez dzisiejsze polskie elity. Zachwyt dla „romantyzmu” Polaków jest wśród rozmówców Tatiany Kosinowej niemal powszechny, co prowadzi do zabawnych zdziwień – takich jak w rozmowie tłumaczki polskiej literatury Kseni Starosielskiej z Kornelem Filipowiczem (s. 295). Moskiewscy dysydenci kochali Polskę za coś, co w Warszawie uchodzi coraz częściej za mentalne zacofanie. Czyżby więc szlacheckie obciążenia polskiej inteligencji (nawet tej stalinowskiego chowu, bo w grę wchodzi rodzaj genetyki kulturowej) miały w lewicowej Rosji najwyższą cenę?

⁶ Z wywiadów wynika, że Kafka, Camus, Becket, Hemingway, Marquez, Cortázar, Faulkner, Joyce i inni pisarze światowej sławy bywali czytani po polsku, a chęć dostępu do tej literatury była powodem nauczania się języka polskiego.

JAK NIE URATOWANO KOMUNIZMU W POLSCE

TOMASZ WIŚCICKI

PAWEŁ KOWAL, *Koniec systemu władzy. Polityka ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego w latach 1986–1989*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Instytut Pamięci Narodowej, Trio, Warszawa 2011, ss. 524.

Przystępując do lektury najnowszej książki Pawła Kowala, miałem nadzieję, że nareszcie zrozumieć, jak to się stało, że mimo tylu atutów – wojska, policji tajnych, widnych i dwupłciowych, propagandy i – szerzej – wszechstronnej, nawet jeśli niedoskonałej kontroli nad przepływem informacji, praktycznego monopolu w gospodarce itp., itd. – komunizm w Polsce i w innych krajach, nie wyłączając moskiewskiej centrali systemu, jednak upadł. Nie przekonują mnie teorie, według których wszystko było pod kontrolą. Owszem, komuniści z pewnością od pewnego momentu brali pod uwagę ewentualność oddania władzy i przygotowali się na to całkiem skutecznie, jednak gdyby mogli po prostu władzę utrzymać, to by ją utrzymali. Nikt mnie nie przekona, że oddanie władzy było dla nich korzystniejsze niż jej zachowanie.

Po lekturze książki Pawła Kowala nadal nie wiem, dlaczego komunizm upadł. To nie jest zarzut pod adresem autora, który bardzo szczegółowo i przekonująco przedstawił przebieg wypadków. Może na pytanie, jak to było możliwe, nie da się w ogóle znaleźć odpowiedzi? Obszerna praca polityka i historyka w jednej osobie potwierdza, że komuniści do ostatnich chwil istnienia swego reżimu starali się z niego zachować tyle, ile się da. A dało się coraz mniej... Kowal przekonująco uzasadnia fałszywość tezy, jakoby władza komunistyczna postanowiła dobrowolnie ustąpić.

Pokazuje coś wręcz przeciwnego: stopniowy rozkład systemu, jego zapadanie się, aż po upadek jakby pod własnym ciężarem.

Oczywiście, ekipie gen. Jaruzelskiego nie sposób odmówić tego, że rozumiała dramatycznie kurczące się granice możliwości swego działania. Kto jak kto, ale właśnie ludzie u szczytu ówczesnej hierarchii władzy najbardziej dobitnie to zawężające się pole manewru zauważali. Dlatego zagrożenie w 1989 r. buntem aparatu, podsycanie obaw z natury rzeczy niepomiernie gorzej poinformowanego przeciwnika (opozycji) itp. – było czystym blefem.

Kowal analizuje proces samozagłady komunizmu od strony aparatu władzy. Na podstawie rozmaitych źródeł odtwarza sposób myślenia ekipy gen. Jaruzelskiego, pokazuje tworzone przez nią plany i próby ich realizacji. Jego opis ukazuje stopniowe cofanie się władzy, narastającą świadomość własnej słabości. Uderzające jest jednak, że dopiero po klęsce wyborów z 4 czerwca 1989 r. rządzący dostrzegli, że ich gra o ocalenie władzy jest skończona. Wcześniej jedynie na marginesie, mimochodem pojawiały się sygnały, iż usiłująca przetrwać władza w ogóle dopuszcza myśl, że może ponieść fiasko.

Jest to uderzające w świetle tego, co wiemy o działaniach zmierzających do zabezpieczenia się przed skutkami utraty władzy – uwłaszczaniu nomenklatury

oraz działaniach służb specjalnych. Na temat samego przebiegu tych procesów, ich planów itp. wiemy wprawdzie nie za wiele, widać jednak gołym okiem ich skutki. Co więcej, badania socjologów dostarczają całkiem sporo danych na temat reprodukcji elit, potwierdzających potoczne przekonanie, że „góra” dawnego systemu nieźle poradziła sobie w nowym. Jest zupełnie nieprawdopodobne, by działało się to ot tak, przypadkiem. Podobnie to, co wiemy o działaniach służb specjalnych – wystarczy wspomnieć bardzo sprawny proces niszczenia (a zapewne i „prywatyzacji”) akt SB – pokazuje, że przynajmniej ta część aparatu daleka była od rozsypki. Również spektakularne, wręcz ostentacyjne mordy na trzech znanych z niechęci do władzy księżach w 1989 r. świadczą o tym, że także ta najbardziej mroczna część ubeckiego aparatu nie zatraciła zdolności do działania.

Płyną stąd dwa wnioski. Po pierwsze – że nawet zachowane w niezłym stanie aktywa MSW nie wystarczyły, by ocalić system. Także ubecki aparat podlegał ogólnej prawidłowości, że sama zdolność do działania to nie wszystko. Komunizm w Polsce doszedł do takiego stanu, że teoretycznie mógł jeszcze działać, ale się nie dało. Ten proces pokazuje Paweł Kowal bardzo trafnie.

Po drugie – widać, że istniał i był wcielany w życie „plan B” – rezerwowy: na wypadek, gdyby desperackie próby uratowania władzy jednak się nie powiodły. O tych działaniach z omawianej książki wiele się nie dowiemy. Czy to zarzut? I tak, i nie. Nie, bo nie ma pracy tak wyczerpującej, by recenzent nie był w stanie jej zniszczyć zarzutem, że czegoś w niej zabrakło. Ponadto z praktycznego milczenia Kowala na temat „planu B” można wywnioskować, że w źródłach, z których korzystał, przede wszystkim proweniencji partyjnej i administracyjnej, niewiele albo nic na ten temat nie było. Jeśli ten wniosek jest trafny, można by – z całą ostrożnością, z jaką należy traktować wnioskowanie z braku źródeł – postawić hipotezę, że odbywało się to innymi kanałami, zapewne głównie za pośrednictwem służb.

Można jednak to milczenie potraktować jako pewną wadę omawianej książki. Gdyby bowiem ściśle

trzymać się jej treści, można by wywnioskować, że komuniści w ogóle nie brali pod uwagę ewentualności utraty władzy i przejeździ na oczy dopiero 5 czerwca 1989 r. Tymczasem upadek komunizmu był stanowczo zbyt gładki, by uwierzyć w tę wersję. Kowal zresztą niekiedy napomyka, że brano to pod uwagę, pozostaje jednak wrażenie, że widzimy tylko jedną stronę, niczym awers bez rewersu. Owszem, awers jest ważny, bogaty, obszerny i dobrze przez autora opisany, ale nie jest całym medalem.

Wiąże się z tym jeden, już tym razem niewątpliwy moim zdaniem, brak omawianej pracy. Paweł Kowal nie zadaje mianowicie pytania, kiedy i w jakich okolicznościach rządząca ekipa dopuściła w ogóle myśl o utracie władzy jako o realnym wariacie rozwoju wypadków, nawet jeśli niezbyt prawdopodobnym. W poprzednich „polskich miesiącach”, mimo wszystkich kryzysów, załamań, zmiany ekip, niezadowolienia społecznego itd., perspektywa upadku komunizmu nie była brana pod uwagę. Wciąż w mocy pozostawało przekonanie wypowiedziane wprost przez Władysława Gomułkę w sławnej moskiewskiej rozmowie ze Stanisławem Mikołajczykiem: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”. Wierzyli w to rządzący, wierzyli i rządzili, co tworzyło najskuteczniejszą być może legitymizację komunistycznego panowania nad Polską, którą Jadwiga Staniszkis nazwała legitymizacją przez bezalternatywność.

Kiedy to przekonanie zaczęło pękać? Niewątpliwym dla niej ciosem była Solidarność, a może już pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II. Jednak stan wojenny wydawał się skuteczną odtrutką na te niebezpieczne z punktu widzenia władzy gry wyobraźni. Paradoksalnie, im większe nadzieje, że da się z tego jakoś wyjść, tym bardziej bolesny powrót do rzeczywistości: skoro zorganizowany antykomunistyczny bunt arytmetycznej większości dorosłego społeczeństwa da się tak łatwo spacyfikować – to znikąd ratunku.

A jednak okazało się, że to tylko pozory. Na to, kiedy zaczęło się to przebijać do świadomości ekipy Jaruzelskiego, Paweł Kowal nie tylko nie odpowiada, ale nawet o to nie pyta. Moim zdaniem to pytanie kluczowe. Wszystko wskazuje na to, że przełom

nastąpił wówczas, gdy Michaił Gorbaczow najpierw dał do zrozumienia, a potem już jaśniej wskazał, że Związek Sowiecki nie będzie interweniował zbrojnie w obronie władzy komunistycznej w Polsce. Ta hipoteza nie tylko efektownie brzmi – władza zainstalowana dzięki sowieckiej przemocy upada, gdy jej mocodawca odmówił jej podtrzymywania siłą – ale też wydaje się prawdziwa. Nieprzypadkowo gorączkowe próby reformy pojawiają się właśnie za rządów Gorbaczowa. Kowal o tym napomyka, ale wspomnianego problemu wprost nie podejmuje.

Pisze natomiast wiele o samych działaniach ekipy Jaruzelskiego. Z kart książki wyłania się obraz grupy właściwie zupełnie już bezideowej, skupionej na samej władzy. Owszem, komunistyczna nowomowa jest wciąż w użyciu, jednak sprawia wrażenie rytuału, pustej liturgii nie tylko bez Boga, ale i bez dotychczasowych bożków. A jeszcze na przełomie lat 1984 i 1985, gdy niemal ci sami ludzie omawiali „kryzys”, jaki powstał po zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki, ze stenogramów posiedzeń Politbiura PZPR wyłaniał się obraz dziwnie schizofreniczny, w którym zimnej technologii władzy towarzyszą nostalgiczne westchnienia za pomysłami znanymi ze starych, do-brych, stalinowskich czasów. Po kilku latach tej nostalgii, przynajmniej na szczytach władzy, prawie nie widać. Być może jedynym ideowym przekonaniem, które pozostało gen. Jaruzelskiemu aż do końca jego politycznej kariery, było przeświadczenie o fatalnych następstwach, jakie miało przynieść Polsce i Europie zjednoczenie Niemiec.

Autor, odwołując się do klasycznych definicji totalitaryzmu i badań historyków, przekonująco wykazuje, że władza w PRL niemal do końca zachowała charakter totalitarny. Cytuje Krystynę Kersten, która wywodziła, że choć totalitaryzm peerelowski nigdy nie był „doskonały”, to jednak do końca nie zmienił swej istoty. Kowal trafnie uznaje, że dopiero w 1988 r., počawszy od wiosennych strajków, system zaczął powoli przekształcać się w autorytarny, ale nie zdążył dokończyć tej ewolucji, bo wcześniej upadł.

Wyjątkowo dużo miejsca poświęca Paweł Kowal opisom relacji ówczesnej władzy z instytucjonalnym

Kościółem – papieżem i biskupami. Pragmatyzm podpowiadał rządzącym, że poparcie, a przynajmniej przyjazna neutralność z ich strony jest warunkiem efektywnego sprawowania władzy. Jak pisze Kowal, „Kościół miał być arbitralnie obsadzony przez władze w roli ich jedyne go partnera. Zasady i granice tej współpracy w zależności od potrzeb miał określać Jaruzelski. Celem tej operacji było niedopuszczenie, by miejsce dotychczasowego partnera politycznego ekipy Jaruzelskiego zajęła opozycja skupiona wokół Wałęsy”. Jednym z pierwszych rozmówców nowo mianowanego premiera Mieczysława Rakowskiego był... prymas Józef Glemp, u którego zabiegał o wejście do rządu przedstawicieli umiarkowanej opozycji. Oczywiście niczego nie osiągnął.

Towarzyszy temu zadziwiające nieraz niezrozumienie przeciwnika, z którego chce się uczynić sojusznika. Przykładem były próby dyktowania papieżowi przez gen. Jaruzelskiego treści publicznych wystąpień podczas pielgrzymki w 1987 r., np. żeby wspomniał o radzieckich i polskich żołnierzach wyzwających ziemię zachodnie... Jan Paweł II uprzejmie, acz stanowczo odmówił. Jeszcze bardziej groteskowe w swej bezczelności wrażenie sprawia ekspedycja na Jasną Górę Kazimierza Barcikowskiego i Stanisława Cioska, którzy – nie mogąc dostać się do Jana Pawła II – wobec kard. Casarolego skrytykowali wygłoszone już papieskie przemówienia, które ich zdaniem miały prowokować zamieszki i stawiać Polskę w złym świetle.

Nie wszystkie działania wobec Kościoła były tak groteskowe. Jednak plan „historycznego kompromisu” z Kościołem, który miał wzmocnić władzę i zneutralizować opozycję, opierał się na zasadniczym nieporozumieniu. Rządzący PRL nie rozumieli najwyraźniej, że Kościół ma długą tradycję taktycznego układania się ze źle ocenianą, ale realną władzą. Nie musi wynikać z takiego paktowania żaden trwały sojusznik – zwłaszcza gdy znika jego podstawowy powód, tzn. władza słabnie. Stąd nieprzyjemne zdziwienie ekipy Jaruzelskiego, gdy przed wyborami 1989 r. Solidarność wsparli nawet ci hierarchowie, którzy wcześniej nie angażowali się po stronie opozycji,

a nawet czynili pewne gesty pod adresem władz, jak biskupi Jerzy Ablewicz i Kazimierz Majdański.

Niewątpliwym sojusznikiem władzy wśród biskupów był natomiast zastępca sekretarza Episkopatu bp Jerzy Dąbrowski. Paweł Kowal pisze elegancyjnie: „Poufalość biskupa Dąbrowskiego w relacjach z Wiesławem Górnickim oraz Edwardem Kotowskim [funkcjonariusz SB, oficjalnie – dyplomata i urzędnik, postać bardzo ważna, a zupełnie nieznana, odegrał ogromną rolę w stosunkach z Kościołem w schyłkowej PRL – T.W.] i brak powściągliwości w rozmowach powodowały, że był jednym z najważniejszych źródeł informacji o sytuacji wewnętrznej w Episkopacie – zbyt często wydawali się agenci i donosiciele”. A informował swych rozmówców m.in. o strategii negocjacyjnej swego przełożonego, sekretarza Episkopatu abp. Bronisława Dąbrowskiego...

Końcem złudzeń ekipy gen. Jaruzelskiego były kontraktowe wybory. Aparat komunistyczny okazał się zupełnie nieudolny w zabieganiu o poparcie w choćby częściowo wolnych wyborach. Jeszcze większym paradoksem było to, że totalitarna władza przegrała z opozycją, bo – w przeciwieństwie do niej – nie potrafiła już działać w sposób zjednoczony i skoordynowany.

W pracy Pawła Kowala znać, że jej autor jest czynnym politykiem i mechanizmy polityki zna z autopsji, a nie tylko z prac historycznych i politologicznych.

I choć polityka demokratyczna i polityka schyłkowego totalitaryzmu wyglądają zupełnie inaczej, to jednak np. procesy podejmowania (albo niepodejmowania...) decyzji nie są aż tak odmienne. Rękę i oko polityka znać np. w bardzo wnikliwym opisie grup decyzyjnych i kręgów wtajemniczenia wokół gen. Jaruzelskiego.

Wśród wykorzystanych przez autora źródeł na uwagę zasługują – prócz bogatej bazy dokumentów oraz prasy i wspomnień – także liczne zebrane relacje osób z różnych stron ówczesnej barykady, ale też dzieła literackie. Książka wiele zawdzięcza starannemu wykorzystaniu notatek Wiesława Górnickiego – polityka, pułkownika i publicysty w jednej osobie, ważnej postaci w kręgu Jaruzelskiego.

Książka ma aż trzech wydawców, skądinąd wielce zasłużonych: Instytut Studiów Politycznych PAN, Instytut Pamięci Narodowej i oficynę Trio. Być może ta edytorska trójwładza odegrała rolę przysłowiowych sześciu kucharek: w uważnej lekturze (a inna nie ma sensu) przeszkadza ponadprzeciętna liczba redakcyjnych niedoróbek, literówek, pomyłonych imion itp. Warto jednak z pewnością przebrnąć przez te nieliczne w sumie słabości, by poznać od mało znanej strony niezwykle okres naszej historii – kiedy komuniści, usiłując uratować swą władzę, musieli w końcu uznać bezowocność swych wysiłków. Ciąg dalszy, nie mniej pasjonujący, (chyba?) wciąż nie jest jeszcze historią.

SZCZECIŃSKA KONSPIRA

JAN OLASZEK

ARTUR KUBAJ, *Nie wyrośli z marzeń. Szczecińska podziemna „Solidarność”*, Instytut Nauk Historycznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Szczecinie, Wydawnictwo LTW, Warszawa 2011, ss. 445.

W sierpniu 1980 r. Szczecin należał do głównych ośrodków strajkowych, w latach 1980–1981 był siedzibą jednego z najważniejszych regionów Solidarności. Strajki w tym mieście odegrały ważną rolę w 1988 r. Artur Kubaj opisuje historię związku w regionie w okresie od wprowadzenia stanu wojennego do początku przemian ustrojowych w 1989 r. Píše o Szczecinie i innych miastach Pomorza Zachodniego, ale regionalną specyfikę przedstawia na ogólnopolskim tle.

Książka ma układ chronologiczny. Autor rozpoczyna opowieść o szczecińskim podziemiu od przedstawienia środowisk opozycji przedsierpniowej funkcjonujących w tym mieście. W Szczecinie działali współpracownicy Komitetu Obrony Robotników oraz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, podjęto też udaną próbę założenia tam Wolnych Związków Zawodowych. Na kolejnych stronach Kubaj szeroko omawia historię NSZZ Solidarność Pomorza Zachodniego w latach 1980–1981. Opisuje przebieg strajków sierpniowych, budowę struktur związku, reakcje w regionie na ważne wydarzenia (np. kryzys bydgoski), powstawanie Niezależnego Zrzeszenia Studentów, Solidarności rolniczej i innych ugrupowań opozycyjnych oraz niezależnych pism i oficyn wydawniczych. Zwraca uwagę

na zasługi szczecińskich przywódców Solidarności, przede wszystkim Mariana Jurczyka i Stanisława Wądołowskiego, którzy byli ważnymi postaciami ruchu w skali kraju.

Jednocześnie zachowuje do nich dystans i podchodzi krytycznie do części ich działań, nie kryjąc własnej oceny wydarzeń. Podsumowując fragment poświęcony 1980 i 1981 r., pisze: „Działacze związkowi ze Szczecina nie zawsze podejmowali decyzje, które można ocenić jako słuszne. W szczególności ich ostre stanowisko podczas kryzysu bydgoskiego, prowadzące do zbędnego wzrostu napięcia pomiędzy opozycją a władzą, nie mogło służyć realizacji celów Związku. Podobnie można oceniać propozycję przeprowadzenia wolnych wyborów do rad narodowych i sejmu PRL z grudnia 1981 r., zgłoszoną przez K[omitet] Z[akładowy] Stoczni Warszawskiej pomimo nieuchronności konfliktu w tamtym czasie”. Kubaj przypomina głośne wypowiedzi Mariana Jurczyka o bardzo radykalnej wymowie, które dawały pretekst do ataków na Solidarność. Dość szerokie omówienie okresu poprzedzającego podziemną działalność związku wydaje się w pełni uzasadnione. Bez tego nie da się zrozumieć wielu późniejszych wydarzeń. Wówczas wykształciły się regionalne elity aktywne później w konspiracji, powstały więzi międzyludzkie, upowszechniło

się przekonanie o potrzebie zachowania pokojowej drogi działania.

Następnie autor przechodzi do wydarzeń po wprowadzeniu stanu wojennego. Opisuje przebieg strajków w regionie, internowanie głównych działaczy związku, pomoc ze strony Kościoła katolickiego, działania Służby Bezpieczeństwa. Od początku stanu wojennego powstawały na Pomorzu Zachodnim grupy prowadzące działalność opozycyjną. Specyfiką Szczecina na tle np. głównych ośrodków podziemnej Solidarności, takich jak Warszawa czy Wrocław, były przedłużające się problemy z utworzeniem regionalnego kierownictwa podziemia. Wynikało to z internowania lokalnych przywódców związkowych. Szczecińscy konspiratorzy nie mieli stałego kontaktu z innymi liderami Solidarności, toteż w pierwszym okresie nie było przedstawiciela Szczecina w Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej.

W Szczecinie podobnie jak w innych ośrodkach funkcjonowały podziemne wydawnictwa książkowe, odbywały się demonstracje, organizowano tajne komisje zakładowe Solidarności, pomagano osobom represjonowanym. Do najważniejszych szczecińskich pism podziemnych należały m.in. dwa pisma o tytule „KOS”, „Obraz”, reaktywowana po 13 grudnia „Jedność”. Drukowano tu też edycje pism ogólnopolskich: „Tygodnika Wojennego” i „Tygodnika Mazowsze”.

Przełomowe znaczenie dla szczecińskiego podziemia miało wypuszczenie na wolność w 1984 r. Andrzeja Milczanowskiego i Mariana Jurczyka. „Były to osoby powszechnie znane, cieszące się zaufaniem i autorytetem wielu środowisk oraz potrafiące nawiązać trwałe kontakty ze strukturami ogólnopolskimi Związku” – pisze Kubaj. Ich powrót z więzienia był impulsem do powstawania nowych struktur podziemnych. Andrzej Milczanowski wszedł w skład TKK. Jednak te dwie silne osobowości były ze sobą skonfliktowane. Spór między nimi o przywództwo stał się jednym z głównych problemów dla zachodniopomorskiej Solidarności. Miał skomplikowane tło: kwestie ambicjonalne łączyły się z różnicami programowymi. Jurczyk był zwolennikiem powoływania

statutowych władz związku, Milczanowski zaś stał na stanowisku, że to postulat nierealny, a w konspiracji powinny funkcjonować struktury uwzględniające liderów podziemia z okresu stanu wojennego.

Spór między Jurczykiem i Milczanowskim trwał długo i rzutował na działalność opozycyjną w regionie również w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Temu okresowi, od amnestii 1986 r. do wyborów czerwcowych, autor poświęca większą część książki. Píše o tworzeniu się w Szczecinie jawnych struktur Solidarności w skali regionu i zakładów pracy. Zarysowuje mapę szczecińskiej opozycji, wskazując na zaangażowanie Mariana Jurczyka w Grupę Roboczą Komisji Krajowej NSZZ Solidarność, która kontestowała linię Lecha Wałęsy i żądała powołania Komisji Krajowej w składzie z 1981 r. Konflikty między Milczanowskim i Jurczykiem miały znaczenie w 1988 r. w związku z falą strajków w maju i sierpniu tego roku. Zwłaszcza te drugie pokazały znaczenie Szczecina dla ruchu Solidarności – wówczas doszło do najdłuższego strajku w historii miasta. Milczanowski jako lider strajków sierpniowych w 1988 r. oceniany był krytycznie przez niektórych działaczy, którzy tworzyli wobec niego wewnątrzwiązkową opozycję. Ciągłym dalszym sporu były różnice na tle stosunku do Okrąglego Stołu.

Monografia Artura Kubaja została napisana na podstawie obszernego materiału źródłowego. Autor przeprowadził szeroką kwerendę w Archiwum Akt Nowych (dokumenty Komitetu Centralnego PZPR), Archiwum Informacji i Dokumentacji Senatu RP (dokumenty Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego), w archiwach Instytutu Pamięi Narodowej w Warszawie i Szczecinie (dokumenty SB), w zbiorach Stowarzyszenia Archiwum Solidarności przechowywanych w Ośrodku Karta (dokumenty Solidarności), a także w zbiorach prywatnych działaczy związkowych. Ważnym źródłem była ogólnopolska i regionalna prasa, zarówno podziemna, jak i oficjalna. Kwerenda biblioteczna objęła wiele opracowań dotyczących Solidarności w wymiarze ogólnopolskim i regionalnym. Dużą zaletą pracy jest wykorzystanie kilkudziesięciu relacji działaczy opozycyjnych zebranych przez autora.

Dzięki nim wiele wydarzeń, których SB nie znała lub nie rozumiała, stało się możliwych do opisanie.

Kubaj historię solidarnościowego podziemia w Szczecinie opisuje z dużym znanstwem. Dla zrozumienia funkcjonowania podziemia w Polsce ważne jest uwzględnienie perspektywy odmiennej od głównych ośrodków solidarnościowej konspiracji – Warszawy, Wrocławia, Krakowa czy Gdańska. Z książki wyłania się obraz ruchu skoncentrowanego przede wszystkim wokół robotników. Szczecin był jednym z głównych ośrodków Solidarności w tych momentach, kiedy najważniejszą rolę odgrywały strajkujące zakłady: w sierpniu 1980 r., w grudniu 1981 r. i w sierpniu 1988 r. Znaczenie miały też demonstracje uliczne w tym mieście. Mniejszy rozmach zyskały formy działania opozycyjnego o bardziej inteligenckim i długofalowym charakterze, np. tworzenie drugiego obiegu wydawniczego. Warto byłoby poszerzyć wniosek o to, co wynika z zestawienia Szczecina z innymi ośrodkami, biorąc pod uwagę ten aspekt. Książka dotyczy w większym stopniu działań nielegalnych (według optyki władz), ale prowadzonych jawnie, niż konspiracyjnych.

Autor nie udziela jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o stopień rozpracowania szczecińskiego podziemia solidarnościowego przez SB (dużym utrudnieniem w formułowaniu wniosków na ten temat jest stan zachowania archiwaliów), jednak stawia tezę: „zakres istniejących materiałów pozwala na przyjęcie, że w zasadzie wszystkie grupy były rozpoznane przez SB”. Policja polityczna PRL je inwigilowała, wprowadzała do ich swoich agentów, próbowała zaogniać konflikty. Jednocześnie Kubaj podkreśla, że nie była w stanie powstrzymać rozwoju opozycji, jej nowych inicjatyw.

Mimo istnienia kilku ważnych inicjatyw wydawniczych Szczecin nie należał do głównych ośrodków drugiego obiegu – zaznacza autor. Szkoda, że nie prezentuje statystyk dotyczących książek i pism podziemnych wydawanych w Szczecinie w poszczególnych latach na tle innych miast. Miejsce Szczecina poza grupą głównych ośrodków w tej hierarchii tłumaczy znacznie większym dorobkiem akademickim

pozostałych centrów, brakiem tradycji nielegalnego drukowania pism i książek sprzed powstania Solidarności oraz niskim stopniem zintegrowania społeczności tego miasta.

Zastanawiając się nad liczbą czytelników jednego z najważniejszych szczecińskich pism drugiego obiegu, pisze, że na podstawie „metodologii Jacka Kuronia w zakresie badania poczytności pism w czasach »podziemia« (twierdził on, że jeden egzemplarz jest czytany średnio przez dziesięć osób), szacować można, iż »Obraz« czytany był regularnie przez kilkanaście tysięcy osób (w końcowym okresie wydawano go w nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy, jednak część tego nakładu przejmowała Służba Bezpieczeństwa)”. W przypadku oceny Kuronia, dotyczącej raczej Warszawy i niekoniecznie tych lat, trudno mówić o metodologii. Mnożenie przez dziesięć nakładów pism nie pozwala realistycznie ocenić liczby ich czytelników. Kubaj pisze zresztą o końcowym okresie ukazywania się „Obrazu”, trudno więc oceniać na tej podstawie, kto czytał to pismo regularnie przez cały czas. Na koniec fragmentu o środowisku „Obrazu” przywołuje opinię Andrzeja Milczanowskiego, który podkreślił, że był to jeden z najlepszych podziemnych miesięczników w Polsce. Znacznie wyraźniejszą wymowę miałyby jednak relacja kogoś z innego ośrodka. Następnie Kubaj stawia „środowisko skupione wokół pisma w gronie najaktywniejszych podmiotów kontynuujących zorganizowany ruch opozycyjny w Polsce”. Czy było tak rzeczywiście? „Obraz” – jak wynika z książki – był pismem ważnym i ciekawym, a i inne inicjatywy tego środowiska były dużym dokonaniem. Dla uzasadnienia takiego wniosku przydatne byłoby jednak ich zestawienie z działaniami grup z innych miast, już opisanych przez historyków.

Podobny przykład znajdziemy w zakończeniu. Autor podkreśla sukces manifestacji w Szczecinie w maju 1982 r. i maju 1983 r., pisze: „zaangażowanie członków i sympatyków »Solidarności« sytuowało region Pomorze Zachodnie w gronie pięciu najważniejszych obszarów oporu społecznego, obok Mazowsza, Gdańska oraz Górnego i Dolnego Śląska”. Czy to uzasadnione twierdzenie? Niestety nie pominęły zostać Kraków

(z Nową Hutą, określaną jako bastion Solidarności). Podobnie jak w kilku innych miejscach zabrakło tu danych porównawczych, których prezentacja uzasadniałaby wysokie miejsce Szczecina. Można by pokusić się o zestawienie ilościowe strajków, demonstracji, osób zaangażowanych lub represjonowanych.

Książka ma charakter faktograficzny. Szczegółowość i dokładność ustaleń jest jedną z jej zalet. Ale czasem wydaje się, że autor zbyt wiele miejsca poświęca na wyliczanie kolejnych nazwisk opozycjonistów, nie tłumacząc, kto kim był lub co z tego wynika. Obok podanych informacji mogłyby częściej pojawiać się pytania badawcze pozwalające na szersze interpretowanie tematu. Kubaj np. pisze krótko o tym, że Wiesław Szajko i Romuald Lipiński zrezygnowali z wydawania własnego pisma „Prolet” i zaczęli drukować szczecińską edycję „Tygodnika Wojennego”, korzystając z diapozytywów docierających z Warszawy. Dlaczego tak się stało? Czy z powodu działań SB przeciwko redaktorom? Może „Prolet” miał problemy organizacyjne bądź kłopoty z pozyskiwaniem autorów tekstów? Rezygnacja z wydawania własnego pisma, które mogło przynieść prestiż, na rzecz pisma ogólnopolskiego, mającego bardziej renomowanych autorów i prawdopodobnie lepszy poziom techniczny, może świadczyć o silnym poczuciu wspólnoty ruchu i gotowości do rezygnacji z osobi-

stych aspiracji. Takie konkretne przykłady są ważne w dyskusji nad motywacjami działaczy podziemnej Solidarności.

Podobnych miejsc, w których autor poprzestaje na faktograficznym opisie, jest w książce wiele. Pewnym wytłumaczeniem jest ograniczenie miejsca i chęć podania czytelnikowi jak największej liczby informacji. Pytanie, czy większego sensu nie miałoby sprofilowanie opisu i zwiększenie warstwy interpretacyjnej. Z książki wiele dowiadujemy się o strukturach podziemnej Solidarności, ale mniej o jej twórcach. Interesującym uzupełnieniem byłby rozdział pokazujący uczestników szczecińskiej konspiracji jako pewnej społeczności, opis tej grupy pod względem wyznawanych idei i stylu życia, zarysowanie struktury płci, wieku, wykształcenia i zatrudnienia. Te proste informacje (dotyczące najważniejszych działaczy) znajdują się w biogramach zamieszczonych w aneksie do książki, brakuje jednak próby ich zanalizowania i zastanowienia się na tej podstawie nad specyfiką szczecińskiej Solidarności.

Uwagi do książki Artura Kubaja i zgłaszane postulaty badawcze nie powinny przysłonić jej zalet. To wartościowa monografia, która przynosi istotne ustalenia rzeczowe. Będą one podstawą dalszych badań, zarówno tych dotyczących Solidarności w Szczecinie, jak i w całej Polsce.

WOLNOŚĆ I POKÓJ – AUTOPORTRET

MICHAŁ SIEDZIAKO

ANNA SMÓŁKA-GNAUCK, *Między wolnością a pokojem. Zarys historii Ruchu „Wolność i Pokój”,* Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2012, ss. 312 + płyta DVD.

Wiosną 1985 r. na mapie opozycji demokratycznej w PRL pojawiła się inicjatywa wnosząca w dotychczasowe programy i sposoby działania zupełnie nową – jak miało się niebawem okazać – jakość. Bezpośrednim impulsem do niej były represje wobec 28-letniego studenta matematyki ze Szczecina Marka Adamkiewicza – niegdyś współzałożyciela Studenckiego Komitetu Solidarności we Wrocławiu, jednego z liderów Niezależnego Zrzeszenia Studentów i Akademickiego Ruchu Oporu w Szczecinie. Jesienią 1984 r. Adamkiewicz został powołany do zasadniczej służby wojskowej i odmówił złożenia przysięgi. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Szczecinie 18 grudnia tego roku skazał go za to na karę dwóch lat i sześciu miesięcy więzienia. Był to pierwszy tego rodzaju wyrok sądowy w historii PRL. Choć już wcześniej wśród poborowych zdarzały się osoby, które nie chciały „stać nieugięcie na straży władzy ludowej” „w braterskim przymierzu z Armią Radziecką”¹, Adamkiewicz jako pierwszy taką postawę przypłacił utratą wolności.

W marcu 1985 r. grupa opozycjonistów z kilku miast zorganizowała w Podkowie Leśnej pod Warszawą głodówkę w obronie uwięzionego kolegi. Tam też pojawił się pomysł powołania nowego ruchu opozycyjnego odwołującego się do idei pokoju w rozumieniu papieża Jana Pawła II – jako ładu społecznego oraz ładu moralnego. Niecały miesiąc po zakończeniu głodówki ogłoszono w Krakowie deklarację założycielską Ruchu Wolność i Pokój.

WiP nie miał do tej pory swojej monografii². Opracowanie Anny Smółki-Gnauck zmienia ten stan rzeczy. Książka, wydana nakładem Instytutu Pamięci Narodowej, nie będzie jednak zupełnie nieznana dla zainteresowanych tematem. Została ona przygotowana na podstawie pracy magisterskiej, obronionej w 1994 r., udostępnianej przez długi czas na stronie internetowej Tezeusz³. W stosunku do wersji publikowanej w internecie praca została przeredagowana oraz uzupełniona o dodatkowe rozdziały. Autorka poszerzyła także bazę źródłową, m.in. o materiały taj-

¹ Fragmenty obowiązującej ówczesnie rotty przysięgi wojskowej (DzU 1952, nr 46, poz. 310, art. 1, Ustawa z 22 XI 1952 o przysiędze wojskowej).

² Wśród ciekawszych opracowań na temat WiP warto jednak zwrócić uwagę na następujące: J. Podsiadło, *Krótki kurs historii Ruchu Wolność i Pokój*, Gdańsk 2010; M. Litwińska, G. Waligóra, *Ruch Wolność i Pokój 1985–1989* [w:] *NSZZ „Solidarność” 1980–1989*, t. 7: *Wokół „Solidarności”*, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 299–330; J. Czaputowicz, *Działania Służby Bezpieczeństwa i kontrwywiadu wojskowego wobec Ruchu „Wolność i Pokój”* [w:] *„Jesteście naszą wielką szansą”. Młodzież na rozstajach komunizmu 1944–1989*, red. P. Ceranka, S. Stępień, Warszawa 2009, s. 286–300; E. Krasucki, *W kręgu postaw uczestników szczecińskiego Ruchu „Wolność i Pokój”* [w:] *ibidem*, s. 301–313.

³ Zob. <http://tezeusz.pl/cms/tz/index.php?id=1857>. Można tu w dalszym ciągu odnaleźć wiele ciekawych materiałów na temat WiP.

nej policji politycznej przechowywane w archiwach IPN oraz nowe relacje.

Książka składa się z czternastu rozdziałów poprzedzonych wstępem oraz aneksu. Jej struktura ma charakter problemowy. W pierwszych rozdziałach znalazł się opis genezy ruchu. Smółka-Gnauck przybliżyła w nich historię organizacji opozycyjnych, których działacze tworzyli trzon WiP – studenckich komitetów solidarności oraz Niezależnego Zrzeszenia Studentów, sytuację tych środowisk w połowie lat osiemdziesiątych, wreszcie głódówkę w Podkowie Leśnej i powołanie do życia nowego ruchu.

WiP był konglomeratem środowisk o bardzo różnych zapatrywaniach ideowych. Tworzyli go pacyfiści, ekolodzy, anarchiści, katolicy i konserwatyści, ludzie z doświadczeniem w działalności opozycyjnej, a z czasem coraz liczniejsza radykalna młodzież, którą mniej interesowały ideologie, bardziej zaś branie udziału w różnego rodzaju „akcjach”. Dzieliło ich wiele – pisze autorka, łączyło jedno: „antykomunizm i poszukiwanie nowej formuły funkcjonowania w opozycji” (s. 32). W rozdziale czwartym czytelnik odnajdzie mozaikę tych środowisk.

Kolejne rozdziały dotyczą poszczególnych obszarów działalności ruchu. Autorka opisuje więc stosunek wipowców do wojska, akcje ekologiczne, kontakty z zagranicznymi ruchami pacyfistycznymi, udział w strajkach w 1988 r. oraz działalność wydawniczą ruchu. Nie unika także trudnego zagadnienia, często pomijanego przez badaczy dziejów opozycji – finansów. Szkicuje działania podejmowane wobec wipowców przez policję polityczną PRL oraz przedstawia obraz ruchu, jaki wyłaniał się z publikacji w oficjalnej prasie.

W ostatnim rozdziale odnajdziemy ciekawy opis zmierzchu działalności WiP. Jeszcze w 1988 r. działacze ruchu wywalczyli realizację swoich sztabowych postulatów – zmianę rotę przysięgi wojskowej oraz wprowadzenie służby zastępczej. Wobec napływania do ruchu nowych osób, którzy już w samym sposobie myślenia bardzo różnili się od wipowskiej „starszyny”, oraz różnych koncepcji działania poszczególnych grup w szybko zmieniających się wa-

runkach politycznych (zasadniczy podział przebiegał tu między zwolennikami budowy sformalizowanych struktur i pozostania przy dotychczasowej formule) powoli zaczynało brakować łączącego różne frakcje spoiwa. Wraz z demokratycznym przełomem 1989 r., kiedy przywrócono wolność zakładania stowarzyszeń i partii politycznych, organizacja składająca się z tak wielu różnych grup ideowych, dla których wspólnym mianownikiem był sprzeciw wobec systemu politycznego PRL, straciła sens. Koniec komunizmu w Polsce stał się jednocześnie końcem antykomunistycznego WiP.

W aneksie zamieszczono fragment dyskusji podczas wspomnianej głódówki w Podkowie Leśnej w marcu 1985 r., w której brali udział m.in. Jacek Kuroń, Jarema Dubiel, Leszek Budrewicz, Konstanty Radziwiłł, Roland Kruk, Tomasz Wacko oraz Jacek Czaputowicz, a więc czołówka późniejszego WiP. To właśnie wówczas w tym gronie kształtowała się koncepcja ruchu.

Zaletą pracy jest ikonografia, przedstawiająca działaczy, wydawnictwa oraz akcje organizowane przez ruch. Autorka dotarła do fotografii przechowywanych m.in. we wrocławskim Ośrodku Pamięć i Przyszłość, Instytucie Pamięci Narodowej, Fundacji WiP, a także w zbiorach prywatnych. Do książki dołączono płytę DVD z wypowiedziami Marka Adamkiewicza, Piotra Niemczyka, Jacka Czaputowicza, Andrzeja Miszka, Jaremy Dubiela, Jana Rokity, Barbary Hrybaczk i Mariusza Maszkiewicza, uzupełnionymi komentarzami autorki. Zostały one ułożone w staranny sposób, tematycznie, co umożliwia szybkie odnalezienie relacji mówiącej o określonym wydarzeniu.

Książka Anny Smółki-Gnauck oparta jest w znacznej części na relacjach. Stanowią one specyficzny typ źródła historycznego, praca z nimi wymaga dużej dozy ostrożności i krytycznego podejścia, ale pisząc na temat opozycji demokratycznej w PRL, nie sposób z nich nie korzystać. Poznanie pewnych faktów bez rozmów ze świadkami wydarzeń jest często wręcz niemożliwe, a rekonstrukcja rzeczywistości sprzed lat na podstawie samych dokumentów mogłaby się okazać kreowaniem, nie zaś opisywaniem historii.

Odwołując się do ludzkiej pamięci, należy jednak mieć na uwadze, że jest ona subiektywna, a z upływem lat obraz w niej przechowywany zaciera się i zniekształca⁴. Najbardziej cenne są relacje uzyskane krótko po wydarzeniach, których dotyczą. Z tego punktu widzenia notacje, z których korzystała Smółka-Gnauck, przeprowadzone w większości w 1993 r., są szczególnie wartościowe⁵. Autorka nie ograniczyła się do rozmów z działaczami WiP (dotarła właściwie do wszystkich czołowych postaci ruchu), przeprowadziła także relacje z Rüdigerem von Fritschem, w latach osiemdziesiątych referentem do spraw politycznych ambasady RFN w Warszawie, który utrzymywał kontakty z WiP, oraz płk. Wojciechem Garstką, szefem Zespołu Analiz MSW, który zajmował się zwalczaniem opozycji.

Narracja oparta na wypowiedziach bohaterów opisywanej historii, choć opatrzonej autorskim komentarzem, jak również na informacjach zaczerpniętych z prasy drugiego obiegu momentami wzbudza jednak zastrzeżenia. Autorka odtwarza za pomocą relacji nawet wydarzenia, które lepiej byłoby opisać na podstawie obszernej literatury. Odniesień do niej w wielu miejscach brakuje, np. w rozdziale dotyczącym SKS i NZS. Rozdział ten, zamiast rekonstruować spójnie, w ogólnym zarysie, historię środowisk, z których wywodził się WiP, zawiera przede wszystkim wyrywkowe autobiograficzne informacje z życiorysów poszczególnych działaczy. Sięgnięcie do dostępnych publikacji pozwoliłoby także lepiej nakreślić szersze tło opisywanych wydarzeń, np. w przypadku strajków z 1988 r., w których wipowcy mieli znaczny udział⁶.

Szkoda, że Autorka nie skorzystała z zasobów Archiwum Akt Nowych, co pozwoliłoby jej na pełniejszy opis stosunku PRL-owskich władz do WiP. Wizerunek ruchu w oficjalnej propagandzie zrekonstruowany został na podstawie analizy zaledwie dwóch tytułów prasowych – „Trybuny Ludu” i „Żołnierza Wolności”. Niepełny pozostaje również opis działań podejmowanych wobec WiP przez Służbę Bezpieczeństwa, mimo że – jak wynika z bibliografii – Autorka dotarła do odpowiednich źródeł. Wymienianie ciągiem kilkunastu kryptonimów spraw, w ramach których tajna policja polityczna inwigilowała działaczy ruchu (s. 246), bez chociażby ogólnej ich charakterystyki mija się z celem. Zastrzeżenia budzi też sam sposób przywoływania w tekście dokumentów archiwalnych przechowywanych w archiwach IPN – w przypisach czytelnik odnajdzie zaledwie sygnatury jednostek archiwalnych (brakuje tytułów dokumentów, dat oraz numerów kart).

Anna Smółka-Gnauck wykorzystała w swojej pracy kilkadziesiąt wartościowych, pozyskanych niemalże na gorąco relacji liderów WiP, wykonała imponującą kwerendę prasy wipowskiej, ale nie udało jej się ustrzec błędów. I tak np. Marek Adamkiewicz został wyrzucony ze studiów na Uniwersytecie Wrocławskim nie w wyniku awantury na dworcu kolejowym (s. 12) – która rzeczywiście miała miejsce, ale jego los był już wówczas właściwie przesądzony – ale po jednej z tzw. akcji stolikowych, kiedy rozprawdzał wraz z Krzysztofem Grzelczykiem materiały drugiego obiegu na Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu. Można by także polemizować z opinią, że po Sierpniu '80 studenci „masowo zapisywali się” do NZS (s. 16)⁷.

⁴ Por. T. Maruszewski, *Pamięć autobiograficzna*, Gdańsk 2005, s. 90–116.

⁵ Jak stwierdza sama Autorka we wstępie: „Pamięci ubywa. Oglądając notacje nagrane przez IPN w roku 2011, dostrzegłam, jak zmienia się perspektywa opowiadającego, przybiera refleksji i ocen, umykają szczegóły zdarzeń, rozmów, blask emocji i kolory”.

⁶ Zob. m.in. Zarejestrujcie nam „Solidarność”! Strajk sierpniowy 1988 r. w Szczecinie, red. A. Kubaj, M. Maciejowski, Szczecin 2009; „Nic tu nie jest nielegalne”. Sierpień '88 w dokumentach szczecińskiej Służby Bezpieczeństwa, oprac. P. Knap, A. Kubaj, Szczecin 2009; A. Kubaj, *W drodze do relegalizacji Solidarności – strajki sierpniowe 1988 roku* [w:] *Strajki w Polsce w XX wieku*, red. R. Gryz, Warszawa 2011, s. 383–393; B. Tracz, *Strajki na Górnym Śląsku w 1988 roku oraz ich wpływ na postawy i decyzje przedstawicieli aparatu władzy* [w:] *ibidem*, s. 395–419.

⁷ Według danych na 31 XII 1980 na wszystkich uczelniach w Polsce studiowało łącznie 453 700 studentów, w tym trybem dziennym 299 100 (*Polska 1946–1983*, Warszawa 1984, s. 93–94). Tymczasem liczbę członków NZS samo zrzeszenie w kwietniu 1981 r. szacowało na 80 tys., władze zaś na nie więcej niż 45 tys. studentów (T. Kozłowski, *Niezależne Zrzeszenie Studentów 1980–1989* [w:] *NSZZ „Solidarność” 1980–1989*, t. 7: *Wokół „Solidarności”*, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 254).

W innym miejscu Autorka słusznie stwierdza, że w drugiej połowie lat osiemdziesiątych „część działaczy »Solidarności« postanowiła zmienić sposób działania i powołać jawne struktury związku” (s. 192). Datuje jednak ową zmianę nastawienia na 1987 r., podczas kiedy już we wrześniu 1986 r. Lech Wałęsa, po kolejnej amnestii dla więźniów politycznych ogłoszonej przez władze PRL, powołał jawną Tymczasową Radę NSZZ Solidarność, a w listopadzie tego roku Stanisław Możejko ze Świnoujścia zainicjował akcję tworzenia jawnych komitetów założycielskich NSZZ Solidarność w zakładach pracy. Odwołanie do literatury historycznej pozwoliłoby także na uniknięcie błędnego stwierdzenia, że 17 sierpnia 1988 r. w Szczecinie „zastrajkowała stocznia” (s. 201). Autorka zapewne ma na myśli Stocznnię Szczecińską im. Adolfa Warskiego (choć w mieście znajdowało się wówczas kilka stoczni),

która w ogóle nie przystąpiła tego lata do strajku – rolę centrum strajkowego pełnił wówczas szczeciński port. W pracy naukowej nie powinny znaleźć się ponadto tak nieprecyzyjne sformułowania jak „zachowały się meldunki z jakichś rozmów” (s. 244) czy „zachował się donos jakiegoś agenta” (s. 245). Te niedociągnięcia nie przekreślają wartości merytorycznej książki, jednakże łatwo można było ich uniknąć.

Należy docenić pracę Anny Smółki-Gnauck jako pierwszą monografię Ruchu Wolność i Pokój. Powinna ona stać się lekturą obowiązkową dla wszystkich zainteresowanych opozycją polityczną w Polsce lat osiemdziesiątych. Nie jest to jednak monografia kompletna. Obraz WiP, który się z niej wyłania, choć barwny i obszerny, to jednak – z racji wykorzystanych przez Autorkę źródeł – przede wszystkim jego „portret własny”.

NOTY O KSIĄŻKACH

Kryptonim 333. Internowanie Lecha Wałęsy w raportach funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu, wstęp i oprac. Tomasz Kozłowski i Grzegorz Majchrzak, Wydawnictwo Videograf SA, Chorzów 1012, ss. 396.

Jednym z kluczowych momentów politycznej biografii Lecha Wałęsy był czas internowania – od grudnia 1981 do listopada 1982 r. Dwanaście miesięcy, które spędził jako więzień generałów, zadecydowało zarówno o losach przewodniczącego, jak i o przyszłości Solidarności. Kapitulacja charyzmatycznego lidera mogłaby stać się ciosem śmiertelnym dla ruchu wolnościowego. Jego odmowa współpracy z rządem, a zwłaszcza udziału w operacji przekształcenia związku w łże-Solidarność – twór pozornie zachowujący niezależność, lecz faktycznie podporządkowany władzom – przekreśliła plan ubezwłasnowolnienia Solidarności.

Tomasz Kozłowski i Grzegorz Majchrzak przedstawiają internowanie Wałęsy za pomocą raportów pilnujących go policjantów, opisujących zwłaszcza życie codzienne więźnia stanu opatrzonego kryptonimem „333”. Plan ogólny daje obszernie wprowadzenie. Autorzy dobrze oceniają postawę Wałęsy, w której wierność sprawie związku łączyła się z gotowością do kompromisu, a demonstracjom nieprzejeżdżania towarzyszyły pozytywne sygnały dla władz, takie jak werbalna akceptacja stanu wojennego, które miały go uwiarygodnić jako partnera do rozmów. Ekipa Wojciecha Jaruzelskiego traktowała go z pewną atencją – umieszczono go w rządowych ośrodkach, pozwolono na stały kontakt z rodziną i przedstawicielami Kościoła. „Jednak niezależnie od warunków, w jakich przetrzymywano Wałęsę, faktem jest, że był on uwięziony.

Była to dramatyczna zmiana w jego życiu – z jednej z najważniejszych osób w kraju, przywódcy blisko dziesięciomilionowego związku zawodowego stał się samotnym więźniem, izolowanym od współpracowników i doradców, w znacznym stopniu odcięty od rzetelnych informacji o tym, co się dzieje na zewnątrz” – piszą Kozłowski i Majchrzak. Tylko Jan Kułaj był równie odizolowany od internowanych kolegów. Kułaja udało się władzom nakłonić do politycznej współpracy, Wałęsy – nie. Już w połowie stycznia 1982 r. napisał gryps do innych przywódców Solidarności, uwięzionych w Białolecie, którego główna myśl – wedle Karola Modzelewskiego – brzmiała: „ani kroku wstecz, żadnych ustępstw”. Zirykowany propozycjami władz poradził, aby na czele neo-Solidarności stanęli „generał Jaruzelski lub redaktor Rakowski, albo działacz społeczny – minister Ciosek”. O dopisującym mu nieco wisielczym humorze świadczyła także cytowana przez jednego z funkcjonariuszy uwaga: „Chyba już niedługo zapanuje wszędzie socjalizm, ciekawe, skąd będziemy brali wtedy pożyczki”.

Pozbawiony doradców, odgrodzony od mobilizującego go kontaktu z ludźmi Lech Wałęsa okazał się przywódcą wielkiego formatu, choć opublikowane raporty przytaczają także momenty jego słabości. Nie dał się jednak skusić wejściem do PRL-owskiego establishmentu ani omamić iluzją fałszywego porozumienia. Politycznego instynktu i zdrowego rozsądku Wałęsy dowodzi porównanie słynnego listu do generała, napisanego przez przewodniczącego 8 listopada 1982 r., z tekstem, który chciały na nim wymusić władze. Kontrast między tymi dwoma dokumentami to różnica, jaka oddziela politykę od kapitulacji.

Jan Skórzyński

Dokumenty Krajowej Komisji Porozumiewawczej i Komisji Krajowej NSZZ Solidarność (1980–1981), wybór Marek Owsiański, wstęp i oprac. Tomasz Kozłowski, Instytut Pamięci Narodowej, Stowarzyszenie Archiwum Solidarności, Warszawa 2012, ss. 344.

Rzadki to przypadek historyczny: władza, która nie chciała być władzą (związkową). Przynajmniej na początku.

W tytule książki, o której tu mowa, mogłyby być wymienione nie dwa, lecz trzy podmioty. Oprócz Krajowej Komisji Porozumiewawczej i Komisji Krajowej NSZZ Solidarność był krótkotrwały, ale utrwalony w dokumentach, a co ważniejsze, nieodzowny do odtworzenia pierwotnej wizji związku: Komisja Porozumiewawcza (czyli bez określenia „krajowa”). Pod taką nazwą organ ten zaistniał w informacji o spotkaniu 17 września 1980 r. w Gdańsku delegatów międzyzakładowych komitetów założycielskich i międzyzakładowych komisji robotniczych, w statucie przyjętym 22 września i w oświadczeniach z 24 września. Nazwa Krajowa Komisja Porozumiewawcza pojawia się dopiero w dokumentach z 29 września i 6 października, ale niekonsekwentnie. Częściej – i to w tak doniosłych wypowiedziach jak listy do I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR Stanisława Kani (ze sprostowaniem fałszów), do wicepremiera Mieczysława Jagielskiego (w sprawie niedotrzymania obietnicy podwyżek płac) oraz do sędziego Zdzisława Kościelniaka (w odpowiedzi na krytyczne uwagi do statutu) – reprezentacja związku pisała o sobie jako o Komisji Porozumiewawczej. Nazwy w dłuższej wersji zaczęła używać konsekwentnie dopiero w dokumentach z 24 października 1980 r.

Założyciele Solidarności, zwłaszcza ci wywodzący się z gdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, wcześniej zaś z Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, nie chcieli centralizacji. Do spotkania 17 września 1980 r. wzbranieli się również przed jednym, ogólnopolskim związkiem i w pierwszych enuncjacjach konsekwentnie posługiwali się liczbą mnogą: powstać miały niezależne samorząd-

ne związki zawodowe. W informacji o tym spotkaniu znalazła się opinia Lecha Wałęsy, że „terytorialne związki winny mieć pełną autonomię, a organ centralny związku może pełnić funkcje wyłącznie koordynujące”. I następnie komunikat, że powołano Komitet Założycielski Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych Solidarność (wciąż ta liczba mnoga...). W dokumencie nie wytuszczono, jaki był skład Komitetu Założycielskiego; podczas rejestracji w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie 24 października 1980 r. związek reprezentowali, oprócz KKP, członkowie prezydium gdańskiego MKZ. Nie tylko dlatego, że byli oni sygnatariuszami porozumienia z 31 sierpnia 1980 r. Skład reprezentacji Solidarności odzwierciedlał bowiem sytuację na szczycie piramidy związkowej w ciągu dwóch pierwszych miesięcy działalności. Rola – a także lista członków – KKP dopiero się krystalizowała. Stosunkowo szybko komisja została reprezentantem związku wobec zewnętrznych podmiotów, w praktyce – w kontaktach z rządem. Dla rzesz związkowców autorytetem byli jednak przede wszystkim przywódcy strajku gdańskiego, głównie Lech Wałęsa, Andrzej Gwiazda, Bogdan Lis, w dalszej kolejności Anna Walentynowicz, Andrzej Kołodziej, i to raczej do nich, a nie do KKP, zwracano się z prośbą o radę lub rozstrzygnięcie sporu. Początkowo zresztą członkowie gdańskiego MKZ, a nawet pracownicy biura regionu brali udział w posiedzeniach KKP, wpływali na jej decyzje oraz formę przyjmowanych przez nią dokumentów. Dopiero uchwalenie regulaminu KKP 19 listopada 1980 r. na wyjazdowym posiedzeniu w Szczecinie i ustanowienie grupy roboczej (tzw. jedenastki – przedstawiciele największych regionów) przesądziło o emancypacji centralnego organu Solidarności od gdańskiego matecznika. A jeszcze dłużej trwało dojrzewanie KKP do roli ośrodka podejmowania decyzji wiążących dla regionów i związku jako całości, bo co najmniej do kryzysu bydgoskiego w marcu 1981 r.

To tylko jeden z wielu sposobów lektury zbioru dokumentów Krajowej Komisji Porozumiewawczej i Komisji Krajowej (pierwsza nazwa, a zwłaszcza jej skrót, tak się w języku związkowców utrwalił, że po-

wszechnie używano ich również po wyborze Komisji Krajowej na zjeździe w Olivii; podobnie jak po wyborach regionalnych władz związkowych nadal powszechnie mówiło się MKZ zamiast Zarząd Regionu). Dwoistość jednolitego związku i zarazem federacji autonomicznych regionów w zasadzie utrzymała się aż do 13 grudnia 1981 r.

Dokumenty zebrał Marek Owsiniński, któremu zawdzięczamy także np. opracowanie stenogramów I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność i wiele innych publikacji utrwalających spuściznę związkową – dziennikarz radiowy, współzałożyciel podziemnego Archiwum Solidarności, obecnie Stowarzyszenia Archiwum Solidarności (wraz z Instytutem Pamięci Narodowej wydawcy tej książki). Wcześniej, w 2010 r., staraniem IPN ukazał się zbiór dokumentów władz podziemnej Solidarności (za lata 1981–1989) w opracowaniu i ze wstępem Jana Olszka. Mamy więc komplet oświadczeń kierownictwa historycznej Solidarności.

Od 17 września 1980 do 12 grudnia 1981 r. takich dokumentów powstało 172. Są one rozmaitej wagi, od jednozdaniowych komunikatów do kilkustronicowych opracowań. Różni są też ich adresaci; są dokumenty kierowane przede wszystkim do członków i działaczy związku oraz takie, z którymi zapoznać się mieli przede wszystkim rządzący państwem. Co do intencji niektórych można domniemywać, że miały zbić zarzuty związkowych „jastrzębi”, inne zaś dowodziły, że Solidarność postępuje odpowiedzialnie, rozważnie i obliczalnie. Niektóre miały zademonstrować przed władzą stanowczość i nieustępliwość, ale są i takie, których celem było zaświadczenie o spolegliwości. Dobry wstęp, przybliżający kontekst wydarzeń, jest autorstwa Tomasza Kozłowskiego, historyka z IPN.

Mam uwagę do jednego niezbyt precyzyjnego sformułowania. Kozłowski wymienia uchwałę KKP z 28 stycznia 1981 r., „według której w pracach KKP na każde województwo przypadał tylko jeden ważny głos” (s. 18). Otóż głos przypadał regionowi związku, a nie województwu. Intencją uchwały było wyeliminowanie regionów o terytorium mniejszym niż obszar województwa, kilku regionów działających na obsza-

rze tego samego województwa i sytuacji, w których w województwie istniały komisje zakładowe zarejestrowane w różnych regionach. W istocie uchwała ta przyczyniła się – o czym dalej pisze Kozłowski – do pewnego uporządkowania struktury terytorialnej związku, ale do zadowalającego stanu (lecz wciąż nie idealnego; do końca regułem nie podporządkowały się cztery MKZ-ety) geografii Solidarności doprowadziła dopiero w sierpniu 1981 r. Komisja Zjazdowa.

Andrzej Kaczyński

Kamil Dworaczek, *Studencki Komitet Solidarności we Wrocławiu 1977–1980*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2011, ss. 236, ilustracje.

W Studenckim Komitecie Solidarności we Wrocławiu działało czterdzieści osób, sympatyków było koło setki, a następna setka, może trochę więcej, może trochę mniej, czytywała bibułę. Dużo to czy mało? Dobre pytanie; jaką miarą to zmierzyć? Tylu było, ilu się odważyło.

Leszka Budrewicza w ciągu dwu i pół roku SB sądziła „na dołek” (do aresztu na 48 godzin) co najmniej piętnaście razy. Po ulicy często poruszał się w kokonie esbeków. Danuta Stołecka w ciągu niespełna dwóch lat miała trzynaście rewizji, kilka pobytów „na dołku” i podstuch pokojowy. Jerzego Filaka wyrzucono z pracy. Trzy osoby – ze studiów. Kilkanaście zawieszano w prawach studentów. Kilku ludzi wskutek esbeckich intryg zostało zniestawionych. Inni doznali ostracyzmu. Służba Bezpieczeństwa nękała rodziców działaczy SKS.

Monografię o dzielnych młodych ludziach z wrocławskiego Studenckiego Komitetu Solidarności napisał Kamil Dworaczek, rocznik 1985. Historyk z Instytutu Pamięci Narodowej ostatnio wydał kolejne dwie książki o młodej opozycji schyłkowego PRL – *Burzliwa dekada. NZS we Wrocławiu 1980–1989* oraz *Niezależne Zrzeszenie Studentów 1980–1981*.

Jedną z akcji wrocławskiego SKS było w kwietniu 1980 r. malowanie na murach hasła przeciwko aresztowaniu Mirosława Chojeckiego i Bogdana Grzesiaka z Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA z zamiarem wytoczenia im procesu karnego za działalność opozycyjną. Malowali je m.in. – pisze Dworaczek – Krzysztof Bąkowski i Adam Lipiński. „Podczas pisania hasła »Nie bójcie się mówić nie« Bąkowski w wyniku zdenerwowania zawahał się, czy w wyrazie »bójcie« występuje »u«, czy też »ó«. Pobiegł w kierunku stojącego na straży Lipińskiego, aby go o to zapytać. Ten jednak zaczął uciekać, myśląc, że są ścigani. Co prawda udało się go dogonić, ale on również, wobec napiętej sytuacji, nie potrafił powiedzieć, jak należy prawidłowo napisać wyraz »bójcie«”.

Takich anegdot mogłoby być, bez szkody dla naukowości, w tej książce więcej, autor wykorzystał bowiem czterdzieści relacji działaczy SKS. Większość zebrał sam, jedenaście pochodzi z kolekcji Anki Grupińskiej, która część z nich opublikowała w książce *Buntownicy* (współautorka: Joanna Wawrzyniak). Dworaczek często powołuje się na relacje, ale tylko w przypisach. Jako czytelnikowi nic mi z tego, skoro nie mam do nich dostępu; wołałbym, żeby monografista czasem dał przemówić aktorom opisywanych wydarzeń. Z *Buntowników* wiem, że byłoby warto. Ale baza źródłowa jest imponująca i daję autorowi wiarę, że niewiele więcej można by w archiwach znaleźć na temat SKS.

Książka jest przejrzysto skonstruowana. W pierwszym rozdziale wartościowy jest opis sytuacji na wrocławskich wyższych uczelniach w końcu lat siedemdziesiątych. Uwagi na tematy ogólniejsze są mniej interesujące, z drugiej ręki, powszechnie znane; chyba nie ma powodu zakładać, że dla kogoś

rzecz o wrocławskim SKS będzie pierwszą lekturą z zakresu historii najnowszej. Dalej omówiony jest proces powstawania komitetu (z pomocą pierwszego SKS w Krakowie) i reakcje SB oraz władz akademickich. Obszernie przedstawiona została zewnętrzna aktywność SKS (wśród udanych akcji – wywalczenie większego dostępu do tzw. prohibitów, czyli książek zakazanych z powodów politycznych, w bibliotekach), działalność samokształceniowa i czasopiśmiennicza. W rozdziale poświęconym kontaktom SKS z innymi ugrupowaniami opozycji bardzo ciekawy jest fragment o występującej chyba tylko we Wrocławiu Radzie Jedności – miejscu spotkań i współpracy opozycjonistów różnych odłamów. Ale relacje między działaczami SKS i Komitetu Samoobrony Społecznej KOR Kamil Dworaczek przedstawił (na moją intuicję, umocnioną opiniami z obu środowisk) bez wyczucia. SKS nie był „filia” KSS KOR ani nie przyjmował od niego „zadań” do wykonania na Dolnym Śląsku. Owszem, SB rozpracowywała działaczy SKS pod kryptonimem „Wasale”, ale nie należy jej w to wierzyć.

W epilogu opisany został udział działaczy SKS w sierpniowych strajkach 1980 r. we Wrocławiu, a następnie organizowaniu Solidarności i Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Udział bardzo cenny, choć okupiony praktyczną likwidacją SKS; wszyscy jego aktywiści „odmaszerowali czwórkami” – jak powiedział Krzysztof Turkowski, członek SKS, a następnie wiceprzewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność we Wrocławiu – do znacznie większych zadań. I pierwszorzędnie je wypełnili.

Andrzej Kaczyński



Miesięcznik „Znak”, styczeń 2013

Mit przeludnienia:

Czy naprawdę jest nas za dużo?

Michnik i Boniecki

o Woźniakowskim

Garton Ash

o upadku Europy

Rakowski

o chłopskich korzeniach Polaków

Miesięcznik „Znak”, luty 2013

Narkotyki: Protezy duszy

Vetulani, Dobroczyński, Krajewski

Keret i Grossman

o Izraelu

Bonowicz

o Tischnerze

Sommerville

o uniwersytetach



RAPORT >> MIEJSKIE POLITYKI KULTURALNE

k w a r t a l n i k

respublica

NOWA

nr 21/2013, wiosna 2013

211/rok XXVI, ISSN: 1230-2155

Cena 20 zł (VAT 5%)



GERRI MORIARTY / MAGDALENA KUBECKA / ANDRÉ MALROUX / MARTYNA OBARSKA
PIOTR KNAŚ / IWONA KURZ / KRZYSZTOF DUDEK / JAN MENCWEL
ZOFIA BISIĄK / JOANNA ŻAK / KLARA KOPCIŃSKA / KAROLINA PLUTA / ANDRZEJ GEORGIEW

ROBERT COOPER >> KONIEC UNII EUROPEJSKIEJ

